

FREDRIK BACKMAN

Kolejna urzekająca historia autora bestsellerowych
Mężczyzna imieniem Ove i *Pozdrawiam i przepraszam*

MY PRZECIWKO WAM

Czasem tak łatwo sprawić, żeby ludzie się znenawidzili
że wydaje się wręcz niemożliwe,
by kiedykolwiek miało się to zmienić.



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

FREDRIK BACKMAN

MY PRZECIWKO WAM

Z języka szwedzkiego przełożyła
Anna Kicka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Vi mot er

Copyright © Fredrik Backman 2017

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2020 for the Polish translation by Anna Kicka (under exclusive license to
Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Iwona Wyrwisz, Maria Zając, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8230-013-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadrage.pl

www.soniadrage.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2020

Spis treści

1. To będzie czyjaś wina
2. Są trzy rodzaje ludzi
3. Jak mężczyzna
4. Kobiety to zawsze problem
5. Każdy człowiek ma przynajmniej sto twarzy
6. Jak nie ma wojny, to czas ją zacząć
7. Dobrze jest zacząć od lunchu
8. Gdy coś między ludźmi się kończy
9. Dzisiejszego wieczoru przydałby się ktoś chętny do bójki
10. Jak to powiedzieć dzieciom?
11. Ostatnia szansa na zwycięstwo
12. Jestem gotowy, by tu spłonąć
13. Dali mu więc armię
14. Przybysz
15. Vidar Rinnius
16. Björnstad przeciwko reszcie
17. Wyczuwam krew i zapalam się
18. Baba
19. Ta sama niebieska koszulka polo
20. Pianka do golenia w butach
21. Leży na ziemi
22. Kapitan drużyny
23. Wszystko, co niezbędne do tego, co ważne
24. Właśnie obudził się w niej niedźwiedź
25. Pieśń matki
26. Czyje to będzie miasto?

27. Nienawiść i chaos
28. Jebane homo
29. We śnie zabija go za każdym razem
30. To właśnie im nie należą się szczęśliwe zakończenia
31. Ciemność
32. Potem bierze strzelbę i idzie do lasu
33. Nie budzi się
34. Przemoc wobec policyjnego konia
35. Tylko jeśli będziesz najlepszy
36. Psychopaci nie chodzą na spacerzy?
37. Do czego jesteśmy zdolni?
38. Mecz
39. Przemoc
40. Zawsze sprawiedliwie. Zawsze niesprawiedliwie
41. Jak wy jesteście z nami
42. Zdobywają go
43. Jesteśmy wszędzie
44. Burza i napór
45. Drzewo wiśniowe
46. Powiemy, że to był wypadek samochodowy
47. Historia miłosna, której nigdy nie zapomnimy
48. O Boże, o Boże, o Boże! Moje dziecko!
49. Kije. Dwie bramki. Dwie drużyny

Podziękowania autora

Przypisy

*Dla Nedy.
Nadal próbuję Ci zaimponować.
Chcę, żebyś o tym wiedziała.*

To będzie czyjaś wina

Widzieliście kiedyś upadające miasto? Nasze właśnie upadło. Będziemy utrzymywać, że przemoc zagościła w Björnstad dopiero tego lata, ale to nieprawda. Przemoc już tam była. Czasem tak łatwo sprawić, aby ludzie się znienawidzili, że wydaje się wręcz niemożliwe, by kiedykolwiek miało się to zmienić.

Jesteśmy małą społecznością żyjącą wśród lasów, mówi się, że nie prowadzi tutaj żadna droga, wszystkie są przelotowe. Gospodarka pokasłuje z każdym wdechem, fabryka co roku redukuje zatrudnienie, niczym dziecko, które ma nadzieję, że po tym, jak odkroiło z każdej strony po kawałeczku, nikt nie zauważy, że tort w lodówce się zmniejszył. Jeśli nałoży się na siebie starą i nową mapę miasta, widać, że handlowa ulica i ten mały szlaczek nazywany „Centrum” kurczy się jak bekon na rozgrzanej patelni. Mamy jeszcze halę lodowiska, ale nic ponadto. Z drugiej jednak strony zwykło się tu mówić: „A czego, do cholery, potrzeba więcej?”.

Ci, którzy są tu tylko przejazdem, uważają, że Björnstad żyje tylko dla hokeja, i w niektóre dni mają pewnie rację. Czasem po prostu trzeba dla czegoś żyć, by przetrwać wszystko inne. Nie jesteśmy walnięci ani chciwi, na Björnstad można wylać wiele gówna, ale ludzie tutaj są twardzi i ciężko pracują. Zbudowaliśmy drużynę hokejową taką jak my, drużynę, z której moglibyśmy być dumni, bo nie jesteśmy tacy jak wy. Gdy ludzie z dużych miast narzekali, że coś jest zbyt trudne, uśmiechaliśmy się tylko, mówiąc: „Ma być ciężko”. Życie tutaj nie jest łatwe, dlatego też poradziliśmy sobie z nim my, a nie wy. Dawaliśmy radę, bez względu na pogodę. Ale później coś się wydarzyło i upadliśmy.

W przeszłości doszło tu do zdarzeń, za które już zawsze będzie ciążyła na nas wina. Dobrzy ludzie, przekonani, że chronią to, co kochają, popełniają czasami straszne czyny. Chłopak, gwiazda naszej drużyny hokejowej, zgwałcił dziewczynę. A my się zgubiliśmy. Na społeczeństwo składa się suma naszych wyborów i gdy skonfrontowano słowa dwojga z naszych dzieci, wybraliśmy jego wersję. Tak było łatwiej, bo gdyby dziewczyna kłamała, moglibyśmy nadal żyć naszym zwykłym życiem. Kiedy prawda wyszła na jaw, załamaliśmy się, a miasto razem z nami. Łatwo

powiedzieć, że powinniśmy byli wszystko zrobić inaczej, ale może nawet ty sam nie wiedziałbyś jak. Gdybyś się bał i musiał wybrać czyjąś stronę, gdybyś wiedział, co musisz poświęcić. Może nie jesteś taki odważny, jak ci się wydaje. Może wcale nie różnisz się od nas tak bardzo, jak masz nadzieję.

To opowieść o tym, co wydarzyło się później, od lata do zimy. O Björnstad i o sąsiednim Hed oraz o tym, jak rywalizacja między dwoma drużynami hokejowymi może urosnąć do zacieklej walki o pieniądze, władzę i przetrwanie. To opowieść o halach z lodowiskami i o wszystkich tych sercach bijących wokół nich, o ludziach, sporcie i o tym, jak czasem się nawzajem dźwigają. O nas, którzy marzymy i walczymy. Niektórzy się zakochają, inni załamią, przeżyjemy nasze najlepsze i najgorsze dni. To miasto czeka ją wiwaty, ale i płomienie. Nie ominie go też przerażający cios.

Kilka dziewczynek uczyni nas dumnymi, kilku chłopców wielkimi. W ciemnym lesie młodzi mężczyźni w różnych barwach powalczą na śmierć i życie. Jakiś samochód przekroczy prędkość w środku nocy. Stwierdzimy, że to wypadek, ale nikt przecież nie planuje wypadku. Tutaj wszyscy przyznamy, że mogliśmy go uniknąć. To będzie czyjaś wina.

Ludzie, których kochamy, umrą. Pochowamy nasze dzieci pod najpiękniejszymi drzewami w mieście.

Są trzy rodzaje Judzi

Bang-bang-bang-bang-bang.

Najwyższym punktem w Björnstad jest wzniesienie na południe od ostatniego domu w mieście. Stamtąd można zobaczyć całą drogę, która zaczyna się przy dużych domach willowych na Wzgórzu, następnie wiedzie obok fabryki i lodowiska, mniejszych szeregowców w centrum aż do czynszówek w Niecce. Na szczycie stoją dwie dziewczynki, spoglądają na swoje miasto. Maya i Ana. Niedługo skończą szesnaście lat. Nie sposób powiedzieć, czy zostały najlepszymi przyjaciółkami pomimo dzielących je różnic, czy właśnie dzięki nim; jedna lubi instrumenty, druga broń palną. Ich wzajemna niechęć wobec swoich gustów muzycznych staje się powodem kłótni niemalże równie często co dziesięcioletni konflikt o zwierzęta domowe. Nie dalej jak zimą wyrzucono je z lekcji historii, gdy Maya mruknęła: „Wiesz, kto lubił psy? Hitler!”, na co Ana wykrzyczała: „A koty? Josef Mengele!”.

Ciągle się sprzecają, kochają nieprzerwanie, od dzieciństwa zdarzały im się dni, gdy czuły, że są we dwie przeciwko całemu światu. Po tym, co przydarzyło się Mai na wiosnę, mają to wrażenie każdego dnia.

Właśnie nadszedł czerwiec. Przez trzy czwarte roku miasto zapuszkowane jest w zimie, ale przez kilka magicznych tygodni trwa lato. Mimo że las wokół nich upaja się słonecznym światłem, a drzewa kołyszą się szczęśliwie przy jeziorach, oczom dziewczynek to nie wystarcza. Ta część roku zwykła być dla nich niekończącą się przygodą, spędzały ją na łonie przyrody, wracały do domu późnymi wieczorami, w dziurawych ubraniach, z umorusanymi twarzami i dzieciństwem w oczach. Ale to się skończyło. Są dorosłe. Część dziewczynek nie ma wyboru, zostaje im to narzucone.

Bang. Bang. Bang-bang-bang.

Na zewnątrz jednego z domów matka pakuje walizki dziecka do samochodu. Ileż to razy wykonuje się tę czynność, gdy dorastają? Ile zabawek podnosi się z podłogi, jak często tuż przed spaniem urządza się poszukiwania pluszaków i po ilu zagubionych w przedszkolu rękawiczkach człowieka opuszcza nadzieja, że kiedyś się znajdą? Ileż to

razy się myśli, że jeżeli matka natura naprawdę chciała, by ludzkość przetrwała, to ewolucja już dawno powinna zaopatrzyć nas w łyżki do butów wyrastające rodzicom z łokci, tak byśmy mogli sięgnąć pod wszystkie te cholerne kanapy i lodówki? Ileż to godzin czekamy w korytarzach na nasze dzieci? O ile siwych włosów nas przyprawiają? Ile własnych żyć poświęcamy na ich jedno? Co jest niezbędne, by być dobrym rodzicem? Niewiele. A jednak wszystko. Dokładnie wszystko.

Bang. Bang.

Na wzgórzu Ana odwraca się do swojej najlepszej przyjaciółki.

- Pamiętasz, jak byliśmy małe? I zawsze chciałaś się bawić, że mamy dzieci? — pyta.

Maya kiwa głową, nie spuszczając wzroku z miasta.

- Nadal chciałabyś mieć dzieci? — zastanawia się Ana.

Usta Mai prawie się nie otwierają:

- Nie wiem. A ty?

Ana wzrusza ramionami zarówno ze złości, jak i smutku.

- Może jak już będę stara.

- To znaczy?

- No, koło trzydziestki.

Maya długo się nie odzywa.

- Chciałabyś mieć chłopców czy dziewczynki? — pyta w końcu.

Ana odpowiada, tak jakby całe życie poświęciła tylko na rozmyślanie o tym:

- Chłopców.

- Dlaczego?

- Czasem świat jest dla nich nikczemny. Ale dla nas jest taki prawie zawsze.

Bang.

Mama zamyka bagażnik, powstrzymuje płacz, bo wie, że jeśli uroni choćby łzę, to nigdy nie będzie już mogła przestać. Nie chcemy płakać przy dzieciach, bez względu na to, jak są duże. Robimy dla nich wszystko, chociaż one nie zdają sobie z tego sprawy, nie rozumiejąc jeszcze ogromu czegoś tak bezwarunkowego. Miłość rodzicielska jest nieznośna, niechlujna i nieodpowiedzialna. Dzieci wydają się takie maleńkie, gdy śpią w łóżeczkach, a my siedzimy obok, wewnętrznie przytłoczeni. Przed nami życie wypełnione niedoskonałościami i wyrzutami sumienia. Zdjęcia obrazujące szczęście stawiamy zawsze na widoku, nigdy nie pokazujemy jednak tego, co dzieje się między nimi, do albumu chowamy wszystko, co sprawia ból. Ciche łzy w

ciemnym pokoju. Leżymy, nie mogąc usnąć, przestraszeni tym, co może im się wydarzyć, na co mogą zostać narażone, w jakich sytuacjach życie zrobi z nich ofiary.

Mama obchodzi samochód i otwiera drzwi. Nie różni się specjalnie od innych mam. Kocha, boi się, załamuje, przepełnia ją wstyd, czuje, że wszystko, co robi, to za mało. Siedziała przy łóżku trzyletniego syna i przyglądała mu się, gdy spał, obawiając się, dokładnie tak jak wszyscy inni rodzice, tych wszystkich strasznych rzeczy, które mogą mu się przydarzyć. Nie sądziła tylko, że to on będzie ich sprawcą.

Bang.

Nadchodzi świt, miasto śpi, droga wyjazdowa z Björnstad wije się opustoszała, ale dziewczynki wbijają w nią wzrok. Cierpliwie czekają.

Maya nie śni już o gwałcie. Ani o dłoni Kevina na jej ustach, ciężarze jego ciała duszącym jej krzyk, pokoju z hokejowymi pucharami na półkach i podłodze, na którą potoczył się guzik bluzki. Jej sny wypełnione są teraz tylko ścieżką do biegania wokół Wzgórza, którą widzi także stąd. I Kevinem biegnącym samotnie, gdy wyszła z ciemności z bronią w rękę. Cały się trząsł i płakał, prosząc ją o łaskę, gdy przyłożyła mu pistolet do czoła. We śnie zabija go każdej nocy.

Bang. Bang.

Ile razy matce udaje się rozśmieszyć dziecko? Ile razy dziecku udaje się wywołać głośny śmiech matki? Całe nasze wnętrze wywraca nam się do góry nogami, gdy po ich psikusie zauważamy, że po raz pierwszy robią to celowo. Żartują, ucząc się manipulować naszymi uczuciami. Kochając nas, uczą się kłamać, chronić nasze uczucia, udawać szczęście. Szybko przyswajają, czego byśmy sobie życzyli. Możemy się łudzić, że je znamy, ale one tworzą własne albumy i dorastają między zdjęciami.

Ile to razy mama stała na zewnątrz przy samochodzie i spoglądała na zegarek, niecierpliwie pospieszając syna? Dzisiaj nie musi tego robić. Od wielu godzin syn siedział na fotelu pasażera, podczas gdy ona pakowała bagaże. Po tygodniach, kiedy to walczyła, by zmusić go do jedzenia, jego niegdyś wytrenowane ciało wychudło. Wygląda przez okno pustym wzrokiem.

Jak wiele matka jest w stanie wybaczyć synowi? Skąd miałaby to zawczasu wiedzieć? Żadni rodzice nie przypuszczają, że ich mały synek wyrośnie kiedyś na sprawcę. Matka nie wie, jakie koszmary dręczą teraz syna, ale chłopak budzi się z nich z krzykiem. Od poranka, gdy znalazła go na ścieżce do biegania, wychłodzonego i skostniałego ze strachu. Jego spodnie były mokre od moczu, a policzki przemarznięte od łez.

Zgwałcił dziewczynę, ale nikt nigdy nie potrafił mu tego udowodnić. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że uszło mu to płazem i że jego rodzina uniknęła kary. To rzecz jasna racja. Ale matka Kevina nigdy nie będzie się tak czuła.

Bang. Bang. Bang.

Gdy samochód rusza w górę drogi, Maya stoi na szczycie wzniesienia i wie, że Kevin nigdy już tutaj nie wróci. Złamała go. Zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że to oznacza jej wygraną.

Ale ona nigdy nie będzie się tak czuła.

Bang. Bang. Bang. Bang.

Światła stopu na moment się zapalają, mama rzuca ostatnie spojrzenie na dom, który był kiedyś ich domem, i na resztki naklejki na skrzynce pocztowej, na której nazwisko „Erdahl” zniknęło litera po literze. Ojciec Kevina samotnie pakuje drugi samochód. Na ścieżce do biegania stał obok mamy i patrzył na leżącego syna, ze smarkami na bluzie i moczem na spodniach. Ich życie roztrzaskało się dużo wcześniej, ale dopiero wtedy matka zauważyła jego okruchy. Ojciec odmówił pomocy, gdy na wpół niosła, na wpół ciągnęła syna do domu. To było dwa miesiące temu i od tamtej pory Kevin nie wyszedł na zewnątrz, a jego rodzice nie zamienili ze sobą niemal słowa. Życie nauczyło matkę, że mężczyźni definiują się w bardziej kategoryczny sposób niż kobiety, a mężczyźni w jej domu określali się zawsze jednym słowem — zwycięzca. Odkąd pamięta, ojciec wbijał synowi do głowy jedno przesłanie: „Są trzy rodzaje ludzi. Ci, co wygrywają, ci, co przegrywają, i ci, co się przyglądają”.

A teraz? Jeśli nie są zwycięzcami, to kim? Mama zwalnia hamulec, wyłącza radio, zjeżdża w dół drogi i skręca w jednym kierunku. Syn siedzi obok. Ojciec wsiada do drugiego samochodu, samotnie rusza w przeciwną stronę. Papiery rozwodowe zostały wysłane razem z listem do szkoły, informującym, że ojciec wyprowadził się do innego miasta, a mama z synem wyjechali za granicę. Na wypadek ewentualnych pytań poniżej widnieje numer telefonu do mamy, ale nikt nie zadzwoni. To miasto zrobi wszystko, by zapomnieć, że rodzina Erdahlów kiedykolwiek była jego częścią.

Po czterech godzinach w ciszy, gdy są tak daleko od Björnstad, że nie widać już lasu, Kevin szepcze do mamy: „Myślisz, że można się stać innym człowiekiem?”.

Mama kręci głową, zagryzając dolną wargę, mruga tak szybko, że nie widzi drogi przed sobą. „Nie. Ale można być lepszym”. Drżąc, Kevin ściska jej dłoń. Mama trzyma go, jakby miał trzy lata, jakby wisiał nad przepaścią. Szepcze: „Nigdy ci tego nie wybaczę. Ale nigdy cię też nie opuszczę”.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Tak właśnie brzmi to miasto, wszędzie. Prawdopodobnie można to zrozumieć, tylko jeśli się tu mieszka.

Bang-bang-bang.

Dwie dziewczynki na wzniesieniu przyglądają się odjeżdżającemu pojazdowi. Niedługo skończą szesnaście lat. Jedna z nich trzyma w dłoni gitarę, druga broń.

Jak mężczyzna

Najgorsze w innych ludziach jest to, że jesteśmy od was uzależnieni. Wasze czyny mają wpływ na nasze życie. Nie tylko tych, których wybieramy i lubimy, ale również pozostałych - idiotów. Wy, stojący przed nami w kolejce, wy, którzy nie potraficie porządnie jeździć samochodem, lubicie słabe seriale telewizyjne, za głośno rozmawiacie w restauracji, i wy, których dzieciaki zarażają nasze w przedszkolu. Wy, którzy krzywo parkujecie, podkradacie nasze miejsca pracy i głosujecie na niewłaściwą partię. Wy też macie wpływ na nasze życie, w każdym momencie.

Boże, jak my was za to nienawidzimy.

Przy barze w Futrze siedzą w rzędzie starsi mężczyźni, milcząc. Mówi się, że są koło siedemdziesiątki, ale równie dobrze mogą mieć dwa razy tyle. Jest ich pięciu, ale mają co najmniej osiem opinii. Mówi się na nich „piątka dziadków”, bo na każdym treningu drużyny Björnstad Hockey stoją przy bandzie, wyklócając się i kłamiąc. Po treningu, nie przerywając kłamstw ani kłótni, idą do Futra. Czasami zabawiają się, wmawiając sobie nawzajem demencję: nocą po kryjomu zmieniają numery na fasadach domów towarzyszy, a gdy któryś się upije, chowają mu klucze. Pewnego razu czterech z nich przepchnęło samochód piątego i zamieniło na identyczny z wypożyczalni, tylko po to, by wystraszyć kumpla, że nadszedł już czas na dom opieki dla starców, gdy następnego ranka nie mógł wyjechać z domu. Idąc na mecz, płacą banknotami z Monopoly, a kilka lat temu prawie cały sezon udawali, że są na olimpiadzie z 1980 roku, i za każdym razem, gdy spotykali dyrektora sportowego Petera Anderssona, rozmawiali z nim po niemiecku, nazywając go „Hansem Rampfem”. Powoli doprowadzało to dyrektora do szału, a piątce dziadków sprawiało większą satysfakcję niż złoty gol. Ludzie w mieście zwykli mówić, że to całkowicie możliwe, że cała piątka dziadków naprawdę cierpi na demencję, ale kto, do cholery, miałby to niby udowodnić?

Ramona, właścicielka Futra, stawia na barze pięć whisky. Serwuje się tu tylko jeden rodzaj whisky, która koi wiele rodzajów smutku. Dziadki towarzyszyły Björnstad

Hockey w drodze na sam szczyt i na sam dół ligowej tabeli. Całe życie. To będzie ich najgorszy dzień.

Mira Andersson jedzie właśnie do pracy, gdy dzwoni telefon. Ma wiele powodów do stresu. Telefon wyslizguje się jej z ręki i spada pod siedzenie. Wiązanka anatomicznych opisów władcy piekieł, która wydobywa się z ust Miry, zawstydziłaby, jak twierdzi jej mąż, nawet bandę pijanych marynarzy. Gdy w końcu udaje jej się dosięgnąć aparatu, kobieta po drugiej stronie słuchawki wciąż potrzebuje kilku chwil, by otrząsnąć się po inwektywach.

- Halo!?! - wykrzykuje Mira.

- Eee, przepraszam, dzwonię z S Expressu. Pisała pani do nas w sprawie oferty... - wydusza z siebie niepewnie kobieta.

- Z... przepraszam skąd? S Expressu? Nie, chyba dostała pani zły numer - stwierdza Mira.

- Jest pani pewna? Mam tutaj napisane, że... - zaczyna kobieta, ale w tym momencie telefon Miry znów ląduje na podłodze, a jego właścicielka wybucha spontaniczną opowieścią o tym, co uważa na temat zarówno organów płciowych, jak i stanu umysłu inżyniera, który zaprojektował telefon. Gdy w końcu udaje jej się podnieść aparat, kobieta pod drugiej stronie zdążyła już sobie wyświadczyć przysługę i się rozłączyć.

Mira nie ma czasu się nad tym zastanawiać. Czeka na telefon od męża, który ma dziś spotkanie z przedstawicielami gminy w sprawie przyszłości klubu hokejowego. Niepokój spowodowany konsekwencjami tej rozmowy sprawia, że w jej żołądku zaciska się coraz mocniejszy węzeł. Gdy odkłada aparat na siedzenie pasażera, na wyświetlaczu przez moment, zanim ekran zgaśnie, pojawia się zdjęcie dzieci, Mai i Leo.

Gdyby zatrzymała się na chwilę i sprawdziła w wyszukiwarce S Express, dowiedziałaby się, że to firma przeprowadzkowa. W miastach, które niezbyt przejmują się swoimi klubami hokejowymi, wyglądałoby to może na głupi żart, że ktoś w ich imieniu poprosił o ofertę przeprowadzki, ale Björnstad nie należy do takich miejsc. W milczącym mieście nie trzeba krzyczeć, chcąc komuś pogrozić.

Dotrze to do Miry niebawem, nie jest głupia i mieszka tu wystarczająco długo. Björnstad jest znane z wielu dobrych rzeczy: oszałamiająco pięknych lasów, ostatniej dziczy w kraju, w którym politycy dążą wyłącznie do wzrostu okręgów miejskich. Mieszkają tu przyjacielscy, skromni i ciężko pracujący ludzie kochający przyrodę i sport, publiczność, która zapełnia trybuny bez względu na ligę, w jakiej gra drużyna, emeryci malujący twarze na zielono, gdy idą na mecz. Odpowiedzialni myśliwi, kompetentni rybacy, ludzie twardzi jak las i uparci jak lód, sąsiedzi, którzy przychodzą

z pomocą, gdy zachodzi taka potrzeba. Życie jest czasem ciężkie, ale wtedy się uśmiechają i mówią: „Ma być ciężko”. Björnstad jest z tego znane... Ale... no tak, z innych rzeczy też jest znane.

Przed kilkoma laty jeden ze starszych sędziów hokejowych opowiedział w mediach o najgorszych wspomnieniach ze swojej kariery. Na drugim, trzecim i czwartym miejscu uplasował mecze w dużych miastach, w których rozzłoszczeni kibice, nie zgadzając się z jakąś decyzją arbitra, rzucali na lód opakowania snusu, monety i piłeczki golfowe. Na pierwszym miejscu znalazła się ciasna hala lodowiska znajdującego się głęboko w lesie, gdzie pewnego razu sędzia odgwizdał karę dla drużyny gospodarzy w ostatniej minucie meczu. Gdy rywal strzelił gola i Björnstad przegrało, sędzia spojrzał na osławione trybuny z miejscami stojącymi, zajmowane przez „Grupę” i wypełnione zawsze mężczyznami w czarnych kurtkach, którzy wydzierają się i śpiewają wniebogłosy, napędzając wszystkim stracha. W „Grupie” zaległa cisza jak makiem zasiał.

To mąż Miry, Peter Andersson, jako pierwszy zrozumiał nadchodzące niebezpieczeństwo. Pędem ruszył do reżyserki i wraz z sygnałem zakończenia meczu zgasił wszystkie lampy. W ciemności wyprowadzono sędziów i wywieziono ich natychmiast z miasta. Nikt nie musiał im tłumaczyć, co inaczej mogłoby się wydarzyć.

Dlatego spokojna groźba w zupełności tu wystarczy. rozmowa z firmą przeprowadzkową też. Do Miry dotrze już wkrótce, jaki jest tego cel.

Spotkanie w gminie jeszcze się nie skończyło, ale niektórzy w Björnstad znają już jego rezultat.

Z okien sali konferencyjnej widać wciągnięte na szczyt flagi powiewające na wietrze na zewnątrz budynku gminy, jedna jest w barwach narodowych, druga z herbem gminy. Za kilka dni noc świętojańska. Trzy tygodnie temu Kevin i jego rodzina opuścili miasto, zmieniając tym bieg historii - ale nie przyszłość, lecz przeszłość. Nie wszyscy jednak zdają już sobie z tego sprawę.

Jeden z polityków odchrząkuje nerwowo, ochoczo zabiera się za zapinanie marynarki, co na oko teoretycznie możliwe było jakieś pół tuzina wigilii temu:

- Przykro mi, Peter - mówi - zdecydowaliśmy, że dla regionu będzie najlepiej, jeśli przeznaczymy gminne pieniądze na wsparcie jednego klubu hokejowego, zamiast dwóch. Chcemy się skupić na... Hed Hockey. Dla wszystkich, łącznie z tobą, najlepiej byłoby po prostu to zaakceptować. Biorąc pod uwagę... sytuację.

Peter Andersson, dyrektor sportowy Björnstad Hockey, siedzi po drugiej stronie stołu. Świadomość, jak bardzo został oszukany, przepełnia go rozpaczą, jego głos jest ledwie słyszalny:

- Ale... pomoc jest nam potrzebna tylko przez kilka miesięcy, dopóki nie znajdziemy więcej sponsorów. Gmina potrzebna jest tylko do poręczenia pożyczki w banku...

Milknie, zawstydzony własną głupotą. Politycy już przecież rozmawiali z dyrektorami banków. Są sąsiadami, razem grają w golfa i polują, ta decyzja została podjęta na długo, zanim Peter przekroczył próg tego pokoju. Wzywając go tutaj, politycy dokładnie zaznaczyli, że jest to „nieformalne spotkanie”. Nie będzie z niego żadnego protokołu. Krzesła w sali konferencyjnej są wyjątkowo wąskie, tak aby najwięksi włodarze mogli siedzieć na kilku naraz.

Telefon Petera wydaje dźwięk. Właśnie dostał mejla z informacją, że dyrektor Björnstad Hockey odszedł z klubu. Zapewne wiedział, co się tu wydarzy, i dawno już dostał propozycję pracy w Hed. Peter będzie zmuszony przyjąć cios samotnie.

Politycy po drugiej stronie stołu kręcą się niespokojnie na krzesłach, Peter wie, co sobie myślą: „Tylko się teraz nie wygłupiaj. I nie pros. Przyjmij to jak mężczyzna”.

Björnstad leży nad dużym jeziorem, z plażą po jednej stronie. O tej porze roku, gdy jest tak ciepło, że prawie można zapomnieć, że zima w tej okolicy trwa dziewięć miesięcy, pełno tu młodzieży. W gąszczu plażowych piłek i wśród buzujących hormonów siedzi dwunastoletni chłopiec w okularach przeciwsłonecznych. To Leo Andersson. Niewielu na tej plaży wiedziało o tym zeszłego lata, ale teraz wszyscy już go znają i zerkają na niego niczym na bombę. Parę miesięcy temu jego siostra Maya została zgwałcona przez Kevina, któremu policja nigdy niczego nie udowodniła, więc uniknęła kary. Mieszkańcy się podzielili, większość stanęła po stronie Kevina, nienawiść eskalowała do tego stopnia, że rodzinę Leo próbowano usunąć z miasta. Przez okna pokoju jego siostry wpadały kamienie z napisem KURWA, dziewczynę gnębiono w szkole, na hali lodowiska zwołano zebranie, podczas którego próbowano doprowadzić do zwolnienia ich ojca ze stanowiska dyrektora sportowego Björnstad Hockey.

Potem pojawił się świadek, równolatek Mai, który znajdował się w tym czasie w domu, gdzie to się wydarzyło, ale to dla nikogo nie miało znaczenia. Policja nie zrobiła nic, miasto zamknęło gębę, dorośli nie pomogli Mai. Tak więc pewnej nocy, niedługo potem, wydarzyło się coś innego. Nikt nie wie, co dokładnie. Ale od tej pory Kevin nie wyszedł z domu. Zaczęły się plotki, że zwariował. a któregoś ranka, trzy tygodnie temu, wraz z rodziną opuścił miasto.

Leo myślał, że wszystko stanie się wtedy łatwiejsze. Zamiast tego sytuacja zmieniła się na gorsze. Ma dwanaście lat i właśnie się uczy, że ludzie zawsze wybiorą proste kłamstwo zamiast skomplikowanej prawdy. Kłamstwo ma bowiem zaletę nie do przebicia: prawda wymaga opowiedzenia wszystkiego, co się wydarzyło, w przypadku kłamstwa zaś wystarczy to, by łatwo w nie było uwierzyć.

Gdy na wiosennym spotkaniu członków klubu minimalną przewagą głosów zapadła decyzja, że Peter Andersson zostaje na stanowisku dyrektora sportowego, ojciec Kevina natychmiast zadbał o to, by jego syn przeniósł się do Hed Hockey. Do tego samego przekonał trenera, prawie wszystkich sponsorów i najlepszych zawodników drużyny juniorów. Gdy przed trzema tygodniami cała rodzina Kevina nagle opuściła miasto, wszystko stanęło na głowie, ale, o dziwo, nic się nie zmieniło.

I co też Leo sobie myślał? Że nagle wszyscy zrozumieją, że Kevin był jednak winny, i poproszą o wybaczenie? Że sponsorzy i zawodnicy ze spuszczoną głową wrócą do Björnstad? Nikt w tym mieście, do cholery, nie spuszcza głowy, ponieważ to, że nigdy nie chcemy przyznać się do błędu, najprościej tłumaczy wiele najgorszych ludzkich zachowań. Im większy błąd, im straszniejsze konsekwencje, tym więcej tracimy dumy w przypadku ustępstwa. Nikt więc tego nie robi. Nagle wszyscy ludzie z władzą i pieniędzmi w mieście wybrali inną strategię: przestali się przyznawać do tego, że kiedykolwiek przyjaźnili się z rodziną Erdahlów. Zaczęto przebąkiwać, początkowo ostrożnie, lecz szybko coraz głośniej, że „ten chłopak zawsze był dziwny”, że „najwyraźniej ojciec za mocno go cisnął”. Potem, niepostrzeżenie, przerodziło się to w komentarze typu: „Ta rodzina nigdy nie była jak ... no wiesz... jak my. Ojciec przecież nie był stąd, tylko przyjezdny”.

Gdy wszyscy zmieniali klub, oficjalna wersja brzmiała następująco: Kevin został „niesłusznie oskarżony” i „padł ofiarą polowania na czarownice”. Teraz jednak wszyscy opowiadają całkiem inną historię: że sponsorzy i zawodnicy wcale nie przeszli do Hed za Kevinem, ale zrobili tak właśnie po to, by się od niego „odciąć”. Jego nazwisko wymazano z list członkowskich w Hed, ale nadal znajduje się ono w Björnstad. W ten sposób wszyscy mogli odsunąć się dostatecznie daleko zarówno od gwałciciela, jak i ofiary. Dawni koledzy Kevina nazywają go teraz „psychopatą”, nadal określając Mayę mianem „kurwy”. Kłamstwa są proste, prawda trudna.

Tak wiele osób zaczęło mówić o Björnstad Hockey jako o „klubie Kevina”, że Hed Hockey automatycznie stało się jego przeciwieństwem. Między rodzicami zawodników a gminnymi politykami krążyły mejle o „odpowiedzialności” i „braku poczucia bezpieczeństwa”. Gdy ludzie czują się zagrożeni, prawie zawsze kończy się to samospełniającą się przepowiednią, jednym małym incydentem za drugim. Którejś nocy na tablicach wyjazdowych na obrzeżach miasta ktoś napisał „Gwałciciele!!!”. Kilka dni później grupa ośmiolatek z Björnstad i Hed została odesłana do domu z obozu harcerskiego po bójce, w której dzieciaki z Hed wyzywały te z Björnstad: „Bjööööörnstad, gwałciciele!!!”.

Leo jest dziś na plaży, pięćdziesiąt metrów dalej siedzą dawni koledzy Kevina, wielcy, wytrenowani osiemnastolatekowie w czerwonych bejsbolówkach na głowach.

To oni pisali w Internecie, że Maya sobie „zasłużyła” i że Kevin najwyraźniej był niewinny, bo „nikt by tej dziwki nawet patykiem nie ruszył”, tak jakby Maya kiedykolwiek prosiła kogoś z nich, żeby ją ruszył, czymkolwiek. Teraz ci sami chłopcy twierdzą, że Kevin nigdy nie był jednym z nich, i będą powtarzać to kłamstwo tak długo, aż w końcu kojarzony będzie tylko z Björnstad. Jakkolwiek przedstawiać tę historię, to chłopcy będą w niej bohaterami. Zawsze na wygranej pozycji.

Leo jest sześć lat młodszy od większości z nich, dużo mniejszy i słabszy, ale kilku jego kolegów napomknęło już, że „powinien coś zrobić”. Że te chuje „muszą dostać za swoje”. Że powinien „być mężczyzną”. Męskość jest skomplikowana, gdy ma się dwanaście lat. W każdym innym wieku też.

Nagle słychać jakiś dźwięk. Wszystkie głowy zwracają się ku kocom. Na całej plaży wibrują telefony. Najpierw jeden czy dwa, potem wszystkie naraz, aż dzwonki przenikają się jak niewidoczna orkiestra symfoniczna, której wszyscy muzycy jednocześnie stroją instrumenty. Wiadomość nadciąga.

Nie ma już Björnstad Hockey.

„To tylko klub, są ważniejsze rzeczy”. Łatwo tak mówić, gdy się wierzy, że sport składa się tylko z cyfr. Ale przecież nigdy tak nie jest, a żeby to zrozumieć, trzeba zadać sobie tylko jedno proste pytanie: co czuje dziecko, gdy gra w hokeja? Wcale nie tak trudno na nie odpowiedzieć. Byłeś kiedyś zakochany? Tak właśnie się wtedy czuje.

Poboczem szosy na obrzeżach Björnstad biegnie szesnastoletni chłopak. Ma na imię Amat. W warsztacie samochodowym w środku lasu brudny osiemnastolatek pomaga ojcu układać narzędzia i opony. Nazywa się Bobo. Na tarasie w ogrodzie stoi czteroipółletnia dziewczynka i strzela krążkami w ścianę domu. Ma na imię Alicia.

Amat ma nadzieję, że kiedyś będzie na tyle dobrym hokeistą, że dzięki temu wydestanie się stąd razem z mamą. Dla niego sport to przyszłość. Bobo liczy po prostu na jeszcze jeden sezon beztroski i śmiechu, ponieważ wie, że później każdy dzień będzie jak u ojca. Dla Bobo sport jest ostatnią zabawą w życiu.

A dla Alicii, czteroipółlatki uderzającej krążki na tarasie? Byłeś kiedyś zakochany? Tym właśnie jest dla niej sport.

Telefony wibrują. Miasto się zatrzymuje. Nic nie rozprzestrzenia się szybciej niż dobra historia.

Amat, lat szesnaście, zatrzymuje się na szosie. Z rękami na kolanach, ciężkim sercem w piersi: bang-bang-bang-bang-bang. Bobo, lat osiemnaście, wtacza nowy samochód do warsztatu, uderza we wgięcie w karoserii: bang-bang-bang. Alicia, cztery i pół roku, stoi na tarasie w ogrodzie. Ma za duże rękawice, kij jest dla niej za długi, ale nie przeszkadza jej to strzelać z całej sity w ścianę: bang!

Dorastają w małym mieście znajdującym się w dużym lesie, gdzie dorośli narzekają, że pracy jest coraz mniej, a zimy są coraz trudniejsze. Lasy robią się gęstsze, a odległości między domami większe, wszystkie surowce znajdują się na wsi, ale wszystkie pieniądze, do cholery, trafiają do dużych miast. „Bo niedźwiedzie srają w lesie, a wszyscy inni srają na Björnstad”. Dzieciom łatwo przychodzi w tej sytuacji kochać hokej, podczas gry nie ma czasu na myślenie. Utrata pamięci to najpiękniejsze, co może dać człowiekowi sport.

Ale teraz przychodzi esemes. Amat przystaje, Bobo upuszcza młotek, za chwilę ktoś będzie musiał wyjaśnić czteroipółlatce, co oznacza, że klub „zbankrutował”. Tak aby wyglądało, że to tylko koniec organizacji sportowej. Choć właściwie zawsze jest inaczej: klub po prostu przestaje funkcjonować, kończą się ludzie.

W Futrze zwykło się mówić, że drzwi mają być zamknięte, tak by „muchy nie musiały marznąć”. Zdarzają się też inne odzywki: „Ty niby się znasz na hokeju? Dupy byś nie znalazł, z obiema rękami w tylnych kieszeniach!”, „Znawca taktyki! Jesteś bardziej zagubiony niż krowa na sztucznej trawie!”, „Nasi obrońcy mają być lepsi w przyszłym sezonie? Nie szczaj mi tu na stopę, udając, że pada deszcz!”. Dzisiaj nikt się nie awanturuje, wszyscy siedzą cicho. To nie do wytrzymania. Ramona napełnia wszystkim szklanki ten ostatni raz. Pięciu dziadków, każdy z nich ma koło siedemdziesiątki, albo i więcej, wznosi krótki toast. Pięć pustych szklanek uderza ciężko o blat. Bang. Bang. Bang. Bang. Dziadkowie się podnoszą i wychodzą, każdy w swoją stronę. Zadzwonią do siebie jutro? A niby po co? O co mieliby się awanturować, skoro nie ma już klubu?

O wielu rzeczach w małym mieście się nie rozmawia, ale dla dwunastolatka, który wie, gdzie szukać w Internecie, nie ma tu tajemnic. Leo już wszystko przeczytał. Mimo gorąca ma na sobie bluzę z długim rękawem. Opowiada, że za bardzo się przypiekł na słońcu, ale tak naprawdę to nie chce, żeby ktoś widział zadrapania. Nocą nie może przestać się drapać, nienawisć wdziera mu się pod skórę. Nigdy nie brat udziału w bójkach, nawet w meczach hokejowych. Przeszło mu przez myśl, że jest jak tata, że nie ma w sobie zdolności do przemocy. Ale teraz marzy, by ktoś go zaczepił, niechcący potrącił, dał mu chociaż najmniejszy powód, by złapać pierwszy z brzegu ciężki przedmiot i rozwalić go komuś na głowie.

„Rodzeństwo powinno się o siebie troszczyć” - słyszy się wkoło przez całe dzieciństwo. „Nie kłóćcie się! Nie bijcie się! Rodzeństwo powinno się o siebie troszczyć!” A przecież Leo i Maya mieli mieć starszego brata, który może by ich obronił. Nazywał się Izaak i zmarł jeszcze przed ich narodzinami na chorobę, która sprawia, że Leo nie wierzy już w istnienie Boga. Dopóki jako siedmiolatek nie znalazł albumu ze zdjęciami rodziców z Izaakiem, Leo nie do końca rozumiał, że brat był

prawdziwy. Na zdjęciach obejmowali się mocno, rozbawieni i bezgranicznie się kochający. Tego dnia Izaak, nawet pod swą nieobecność, nauczył Leo niesamowicie wiele o życiu. Nauczył go, że miłość nie wystarczy. To straszne dowiedzieć się tego w wieku siedmiu lat. W każdym innym wieku zresztą też.

Ma dwanaście lat i próbuje być mężczyzną. Cokolwiek to znaczy. Próbuje przestać rozdrapywać nocami skórę i cicho płakać, skulony pod kołdrą, próbuje nienawidzić, tak by nikt tego nie zauważył i nie zrozumiał. Próbuje zabić myśl, od której nie chce uwolnić się głowa. Rodzeństwo ma się sobą opiekować, a on nie byt w stanie obronić siostry.

Nie byt w stanie obronić siostry nie byt w stanie obronić siostry nie byt w stanie obronić siostry.

W nocy tak długo drapał się po brzuchu i klatce piersiowej, że na skórze zrobiła mu się rana, z której powoli sączyła się krew. Rano przeglądał się w lustrze i stwierdził, że rana wygląda jak lont wijący się w kierunku serca, który może już w nim płonie. Zastanawia się, ile mu jeszcze zostało.

Kobiety to zawsze problem

Starsze pokolenia nazywały Björnstad i Hed „Niedźwiedziem i Bykiem”, zwłaszcza gdy drużyny z tych miast grały ze sobą mecz. To było lata temu, nikt dokładnie nie pamięta, czy zespół z Hed miał już wtedy na koszulkach byka, czy też zdecydował się na to po tym, gdy przyłgnęło do niego to przezwisko. W okolicach Hed wypasano wtedy wiele trzody, było tam więcej otwartej przestrzeni, dlatego gdy nadszedł czas na przemysł, łatwiej było tam budować fabryki. Mieszkańcy Björnstad słynęli z ciężkiej pracy, ale las rósł tu o wiele gęstszy, więc pieniądze trafiły do sąsiedniego miasteczka, leżącego bardziej na południe. Ludzie ze starszych pokoleń snuli opowieści o walce Niedźwiedzia i Byka, o wypracowanej równowadze, która uniemożliwiała jednemu z nich przejęcie całej władzy. Kiedyś, gdy pracy i surowców wystarczało jeszcze dla obu miast, było inaczej. Teraz sytuacja się skomplikowała, bo gdy w grę wchodzi przemoc, trudno mówić o równowadze.

Przemocy nie da się kontrolować. Jakkolwiek byśmy tego pragnęli.

Maya jest w domu u Any. To ostatnie chwile spokoju, zanim zaczną napływać esemesy, ostatnie minuty między wyjazdem Kevina a momentem, gdy znowu wybuchnie piekło. Przez trzy tygodnie ludzie prawie zapomnieli, że Maya istnieje. Było cudownie. Ale to się zaraz skończy.

Ana upewnia się, że szafa jest zamknięta, po czym przynosi klucz i sprawdza, czy znajdująca się w środku broń nie jest naładowana. Kłamie przed Mayą, mówiąc, że „chce ją tylko wyczyścić”, ale Maya wie, że przyjaciółka robi to tylko wtedy, gdy jej ojciec znów zaczyna pić. Ostatecznym znakiem, że myśliwy nie panuje nad nałogiem, jest pozostawienie naładowanej broni lub otwartej szafy. Do tej pory zdarzyło się to tylko raz, gdy Ana była mała, a jej mama dopiero co się wyprowadziła, ale od tamtego czasu niepokój nie opuszcza jej ani na chwilę.

Maya leży na podłodze, z gitarą na brzuchu, udając, że nie rozumie, o co chodzi. Ana dźwiga na sobie ciężar dziecka nałogowca, a to samotna walka.

- Ej, głąbie - mówi w końcu Ana.
- Co, głupku? - Maya się uśmiecha.

- Zagraj coś - żąda Ana.

- Tylko bez rozkazów, nie jestem twoim muzycznym niewolnikiem - prycha Maya. Ana się śmieje. Takiej przyjaźni nie da się wyhodować. Ona rośnie sama z siebie.

- Proszę...

- Lepiej sama naucz się grać, leniwy ośle.

- Nie ma potrzeby, głupku, wystarczy, że mam broń. Graj, bo strzelam!

Maya wybucha śmiechem. Jeszcze zanim nadeszło lato, obiecały sobie, że mężczyznom z tego cholernego miasta nie uda się odebrać im chociaż tego. Śmiechu.

- Ale żadnych smutów - dodaje Ana.

Maya prycha.

- Zamknij dziób! Jak masz ochotę na głupawe pozytywne umcy-umcy, to przynieś sobie komputer.

Przyjaciółka wywraca oczami.

- Halo! Mam w dłoni BRONŃ! Jeśli zagrasz te swoje narkomańskie kawałki, a ja strzelę sobie w głowę, to będzie twoja wina!

Tym razem obie wybuchają śmiechem. Maya zaczyna grać najweselszą piosenkę, jaką zna, chociaż gdyby spytała Any, to przecież nie ma w niej nic specjalnie wesołego. Tego lata nie zamierza jednak się tego czepiać.

Po chwili przerywają im dwa krótkie sygnały telefonu. I jeszcze dwa, i kolejne.

Posada dyrektora sportowego w klubie hokejowym to nie praca na cały etat. Ale na trzy etaty. „Żyjesz w dwóch małżeństwach, jednym z hokejem, a drugim ze mną” - mówi Mira, żona Petera, gdy nie może już ukryć irytacji. Nie musi dodawać, że połowa wszystkich małżeństw kończy się rozwodem.

Politycy w sali konferencyjnej zbagatelizują spotkanie, twierdząc, że „chodzi przecież tylko o sport”. Hokej i polityka nie są od siebie zależne - to największe kłamstwo, jakie Peter kiedykolwiek próbował sobie wmówić. Nic bardziej mylnego, bo gdy politycy nam sprzyjają, nazywamy to „współpracą”, a gdy sprzyjają innym, posądzamy ich o „korupcję”. Peter wygląda przez okno. Przed budynkiem gminy zawsze powiewają flagi, tak aby dupki, które tu pracują, wiedziały, z której strony wieje wiatr.

- Gmina... my... Postanowiono, że będziemy starać się o organizację mistrzostw świata w narciarstwie. Björnstad i Hed razem - informuje jeden z polityków.

Sili się na stanowczość, o co trudno, jeśli w tym samym czasie próbuje się z kieszonki na piersi marynarki wysupłać resztki pokruszonej przy jedzeniu muffinki. Mistrzostwa świata dałyby mu szansę na budowę hotelu konferencyjnego, o którego finansowanie, jak wszyscy wiedzą, zabiega od lat. Dziwnym trafem jego szwagier

pracuje w związku narciarskim, a żona prowadzi firmę organizującą łowieckie wycieczki i „kursy przetrwania” w lesie dla bogatych przedsiębiorców z wielkich miast, którzy najwyraźniej nie są w stanie przeżyć bez minibaru i zabiegów w spa. Kolejny polityk dodaje:

- Peter, musimy mieć na uwadze markę okolicy. Podatnicy się niepokoją. Cała ta negatywna uwaga mediów powoduje niepewność...

Mówi tak, jakby to niepewność była problemem. Jakby to nie sam PROBLEM był problemem. Następnie nalewa Peterowi kawę. Ktoś inny prawdopodobnie rzuciłby kubkiem o ścianę. Ale nie Peter, on nie ma w sobie skłonności do przemocy. Nie bił się nawet na lodzie. Zgromadzeni w sali mężczyźni dawniej skrycie nim z tego powodu pogardzali. Teraz nawet się z tym nie kryją.

Doskonale zdają sobie sprawę, że słabą stroną Petera są lojalność i poczucie, że jest coś winny miastu. Hokej dał mu wszystko i teraz wciąż mu o tym przypomina. Na ścianie w szatni wisi kartka z napisem „Wymaga się wiele od tego, komu wiele dano”.

Jeden z polityków, który twierdzi, że „mówi, jak jest”, schlebując w ten sposób sobie samemu, dorzuca:

- Björnstad nie ma juniorów, nie istnieje też już w zasadzie pierwszy skład! Wasi najlepsi zawodnicy i niemal wszyscy sponsorzy przeszli do Hed. Musimy myśleć o podatnikach!

Przed rokiem ten sam polityk, zapytany przez dziennikarza krytycznie nastawionej do tego pomysłu lokalnej gazety o plany budowy nowej, drogiej hali lodowiska, odparł stanowczo: „Wiecie państwo, czego życzą sobie podatnicy w Björnstad? Hokeja!”. Podatnicy - łatwo zrzucić na nich odpowiedzialność, bez względu na to, jakie reprezentuje się poglądy.

Pieniądze trafiają do tych samych kieszeni co do tej pory, zmieni się tylko miasto. Peter chciałby zaprotestować, ale nie potrafi. Gminne fundusze przeznaczone na sport zawsze skłaniały do machlojek; przekazywano je nie tylko w postaci samych „zasiłków”, ale również jako ukryte „pożyczki” i „subwencje”. Jak wtedy, gdy gmina „wynajmowała” dla siebie miejsca parkingowe przy hali lodowiska, choć sama była właścicielem terenu. Albo gdy płaciła za „wynajem hali lodowiska do użytku mieszkańców”, którzy najwyraźniej marzyli o tym, by móc jeździć na łyżwach pomiędzy drugą a piątą w nocy w każdą środę. W pewnym momencie jeden z członków zarządu klubu, piastujący również funkcję w zarządzie gminnej spółki budowlanej, wykupił drogie „pakiety sponsorskie” na mecze, które nigdy się nie odbyły. Peter o tym wszystkim wiedział. Stare kierownictwo klubu było skorumpowane od lat. Początkowo się temu sprzeciwiał, z czasem musiał jednak zaakceptować, że takie są „reguły gry”. Sport w małym mieście nie przeżyje bez

wsparcia ze strony gminy. Politycy doskonale zdają sobie sprawę, że Peter o wszystkim wiedział, nie może więc teraz krzyczeć o „machlojkach”.

Jego klub pójdzie na stracenie. Politycy tylko się upewniają, że będzie trzymał głowę na kłódce.

Na bejsbolówkach wytrenowanych osiemnastolatków widnieje atakujący byk. Chłopcy zajmują coraz więcej miejsca na plaży, rozciągają granice, sprawdzając, czy znajdzie się odważny, który ich powstrzyma. Leo ich nienawidzi, bezsilnie.

Wraz z wyjazdem Kevina zmieniła się historia, ale jego dawni koledzy szybko odnaleźli się w nowej prawdzie. Potrzebny był im tylko nowy przywódca. William Lyt, napastnik z pierwszej piątki i sąsiad Kevina, zapewnił im to, za czym tęsknili. Sam miesiącami słyszał, jak rodzice powtarzają przy kuchennym stole: „To my jesteśmy ofiarami, to nam odebrano wygraną w finale. Zwycięstwo byłoby nasze, gdyby tylko Kevin grał w finale! Ale Peter Andersson postanowił bawić się w politykę! A potem rzucić na NAS winę, gdy ten psychopata zgwałcił tę kurewkę, mimo że mieliśmy z tym GÓWNO wspólnego! Wiecie dlaczego? Bo Peter Andersson zawsze nas nienawidził. Wszyscy go słuchają tylko dlatego, że grał w NHL. Tak jakby moralnie nas przewyższał. Ale czy Kevina odsunięto by od finału, gdyby nie chodziło o córkę Petera? Czy Peter nasłaboby na niego policję w dniu finału, gdyby zgwałcona została jedna z naszych sióstr? Peter to hipokryta! Kevin był tylko wymówką, Peter nigdy nie chciał chłopaków ze Wzgórza w Björnstad Hockey! A wiecie dlaczego? Bo niektórzy z nas urodzili się w zamożnych rodzinach, a to nie pasowało do obrazu kreowanego przez jego patologiczną dobroć”.

William powtarza teraz słowa rodziców. Co roku jego mama irytowała się, że klub promuje dzieciaki z biednych dzielnic miasta, robiąc z nich twarze zespołu, ale gdy przychodzi do płacenia rachunków, to do portfeli sięgają rodzice ze Wzgórza. „Kiedy ludziom w końcu znudzi się finansowanie społecznego projektu Petera Anderssona?” - oburzała się otwarcie, gdy ogłoszono, że klub otworzył szkółkę hokejową dla cztero- i pięcioletnich dziewczynek.

- Chcą mieć klub dla bab! - wrzeszczy teraz William na plaży.

Przekaz jest łatwy do zrozumienia, więc działa. Po gwałcie Kevina wszyscy w drużynie czują się atakowani i nierozumiani. To nawet dobrze, że Peter Andersson ich nienawidzi. Najłatwiej bowiem sprawić, by nienawiść stała się obustronna, przekonując, że zaczął ten drugi.

Peter rozgląda się wokół stołu. Wszyscy oczekują, że przyjmie to „jak mężczyzna”, ale sam już nie wie, jakiego mężczyznę widzą w nim politycy. Chłopca wychowywanego

przez Björnstad Hockey? Kapitana drużyny na podupadającej prowincji, który dwadzieścia lat temu wyniósł zespół na drugą pozycję w kraju? Czy zawodowca z NHL, którym został później? Zanim go przekonano, by wrócił i objął posadę dyrektora sportowego w klubie, który spadał w rankingach i w którym, wbrew wszelkim przeciwnościom losu, stworzył jedną z najlepszych drużyn juniorów w kraju, dzięki czemu przywrócił tym barwom dawną świetność? Czy jest którymś z nich?

A może już wyłącznie ojcem? Bo to jego córka została zgwałcona. I to on pojechał z nią na policję tamtego marcowego ranka. To on stał na parkingu przed halą lodowiska i widział, jak policja wyciąga z autobusu drużyny jej największą gwiazdę przed najważniejszym meczem w życiu tych chłopców. Wie, co wszyscy zebrani sobie myślą: „Gdyby to była moja córka, zabiłbym tego, kto to zrobił”. I nie ma dnia, żeby Peter nie chciał być właśnie takim mężczyzną. Mieć w sobie przemoc. Zamiast tego przyjmuje kubek z kawą. Męskość to trudna sprawa, w każdym wieku.

Jeden z polityków wyjaśnia tonem wahającym się pomiędzy współczuciem a politowaniem:

- Teraz musimy grać zespołowo. Wziąć odpowiedzialność za wszystkich mieszkańców gminy. Nieskazitelną opinią jest kluczowa, jeśli chcemy mieć jakieś szanse przy wyborze organizatora mistrzostw świata w narciarstwie. W Hed zbudujemy nową halę lodowiska i założymy tam liceum hokejowe...

Peter nie musi dalej słuchać, zna wizję przyszłości tej okolicy, był jednym z tych, którzy ją opracowywali. Najpierw hala lodowiska i liceum hokejowe, potem centrum handlowe i lepsze połączenia komunikacyjne z autostradą. Hotel konferencyjny i telewizyjna transmisja narciarskich mistrzostw. A później kto wie? Może lotnisko? Sport to tylko sport, dopóki ludzie, którzy w dupie mają sam sport, nie dostrzegą, że można coś na nim ugrać. Wtedy zmienia się w ekonomię. Klub hokejowy miał uratować całą gminę. Nadal może. Tyle że nie jest to klub Petera.

Jeden ze zgromadzonych mężczyzn, który najwyraźniej przez dwie ostatnie godziny myślami był na wakacjach, rozkłada ręce.

- Oczywiście, współczujemy... sytuacji. Z twoją córką.

Tak to teraz ujmują: „twoja córka”. Nigdy po imieniu, „Maya”. W ten sposób próbują mu dać do myślenia: czy Peter pozwoliłby Kevinowi grać w finale, gdyby nie chodziło o jego córkę? Politycy nazywają to „sytuacją”, PR-owcy zatrudnieni przez gminę natomiast „skandalem”. Tak jakby problemem nie był gwałt, tylko jego upublicznienie. Specjaliści od PR wyjaśnili politykom, że w miejscowościach, w których wybuchały podobne afery, ucierpiała marka miasta. Tutaj do tego nie dojdzie. Najłatwiej uciszyć skandal, pogrążając Björnstad Hockey.

Wtedy dumnie wskaże się na „plan naprawczy” i budowę lepszego klubu w Hed, w którym panować będą „wyższe morale i większa odpowiedzialność”, bez obawy, że ktoś zasugeruje, że za wszystkim stoją ci sami mężczyźni co zwykle.

- Ci pieprzeni dziennikarze wciąż dzwonią. Ludzie robią się nerwowi! A gmina musi iść przeciw dalej!

Tak jakby dziennikarze nie nachodzili też rodziny Petera. Ani Maya, ani on niczego nie komentują. Zrobili wszystko jak trzeba, trzymali buzie na kłódkę, ale to i tak nie miało znaczenia. Nie trzymali ich wystarczająco mocno.

Podczas gdy osiemnastoletni William Lyt całe lato poświęcił na zebranie drużyny w Hed pod egidą wspólnej nienawiści do Petera Anderssona, rozmowy prowadzono również w innych częściach gminy. Ojciec Williama siedzi w zarządzie klubu golfowego, gdzie grywa z dyrektorami banków i politykami. Jest lubiany nie tylko dlatego, że zna zamożnych ludzi, ale również ze względu na to, że zawsze „mówi, jak jest”. Wsparcie ze strony sektora gospodarczego w staraniach gminy o mistrzostwa świata w narciarstwie było niezbędne. Przedsiębiorcy mogli więc stawiać twarde warunki: jeden klub hokejowy, nie dwa. Twierdzą, że chodzi o „odpowiedzialną gospodarkę”. Podkreślają słowo „odpowiedzialną”.

Teraz, na plaży, kilka dni przed nocą świętojańską, telefony zaczynają wibrować jeden po drugim. Początkowo wśród młodzieży zalega cisza, ale zaraz potem wytrenowani osiemnastolatki wybuchają radosnym wiwatem. Nikt nie krzyczy głośniejsz niż William Lyt. Wspina się na jedno z drzew i zawiesza na nim dwie czerwone flagi Hed Hockey, które rozplývają się niczym krwawiące rany na tle zielonych liści, barwy Björnstad.

Drużyna zbiera się w półokręgu pod drzewami, wyczekując bójk. Są jednak za duzi i za silni, poza tym wszyscy na plaży chodzą do jednej szkoły, więc nikt nie ma odwagi się przeciwstawić. Od tej pory to miejsce należy do Lyta i jest podzielone tak, jak to zwykle bywa na świecie: pomiędzy tych, których słycać, i tych, których nie słycać.

Na plaży znajdują się też nastolatki, którzy widzą całe zajście, a ponieważ ich serce należy do Björnstad, nienawidzą chłopaków z Hed. Są jednak zbyt słabi, by zareagować i rzucić się na przeciwnika. Nienawiść muszą skierować na kogoś innego. Słabszego.

Maya i Ana odczytują pierwsze anonimowe esemesy, po czym wyłączają telefony. „To twoja wina”, „Jeśli klub umrze, to ty też dziwko!”, „Twojego ojca też załatwimy”. Dziewczynki doskonale wiedzą, co się teraz wydarzy i na kogo spadną nienawiść i groźby. Według niektórych Björnstad Hockey upada przez Mayę, bo ta „powinna

trzymać gębę na kłódkę", inni ze złośliwą radością w głosie stwierdzą, że „tak to już jest z kłamliwymi kurwami”.

Maya idzie do łazienki i wymiotuje. Ana siedzi na podłodze w korytarzu. Przeczytała gdzieś, że członkowie grup wsparcia dla ofiar gwałtu nazywają siebie samych „tymi, co przetrwali”. Tym właśnie zajmują się teraz każdego dnia, wciąż na nowo próbując przetrwać to, na co zostały narażone. Ana zastanawia się, czy istnieje jakaś nazwa dla wszystkich pozostałych. Tych, którzy dopuścili, by do tego doszło. Ludzie są zawsze gotowi, żeby zniszczyć komuś życie tylko po to, aby nie musieć przyznać, jak wielu z nas nosi w sobie kawałeczki zbiorowej winy za czyny jednego chłopca. Łatwiej negować, wmawiać sobie, że to jedynie „odosobniony incydent”. Ana marzy, by zabić Kevina za to, co zrobił jej najlepszej przyjaciółce, ale najbardziej na świecie chciałaby zniszczyć całe miasto - za to, na co po tym wszystkim naraża Mayę.

Idioci nigdy nie powiedzą, że to Kevin zniszczył Björnstad Hockey, tylko że stało się tak z powodu „skandalu”. Ich prawdziwym problemem nie jest to, że Kevin dopuścił się gwałtu, lecz to, że Maya została zgwałcona. Gdyby nie istniała, nic takiego by się nie wydarzyło. W świecie mężczyzn kobiety to zawsze problem.

Maya i Ana pakują plecaki i wyruszają do lasu, nie wiedząc dokładnie, w którą stronę iść. Wszędzie jest teraz lepiej niż tu. Ana nie zabiera ze sobą broni. Jeszcze tego pożałuje.

Leo odczekuje, aż zrobi się ciemno. Kryje się samotnie na skraju lasu, dopóki plaża nie opustoszeje. Wtedy zakrada się z powrotem nad jezioro, wspina na drzewo i podpala czerwone flagi. Filmuje płomienie połykające napisy i płonące logo Hed. Następnie umieszcza film w Internecie, tam, gdzie wszyscy w szkole łatwo go znajdą.

Ludzie będą mówić, że przemoc przyszła do Björnstad właśnie tego lata, ale to nieprawda. Ona już tam była. Bo ludzie od zawsze są zależni od innych i nigdy do końca nie mogliśmy sobie tego wybaczyć.

Każdy człowiek ma przynajmniej sto twarzy

Młody mężczyzna z nagim torsem przemierza samotnie las. Na ramieniu, z którego zwisa mu plecak, widnieje tatuaż z niedźwiedziem. Elegancko ubrana adwokat siedzi w gabinecie przy biurku, postawiła na nim rodzinne zdjęcie. Przed chwilą, nie rozumiejąc dlaczego, odebrała kolejny telefon od firmy przeprowadzkowej. W tym samym czasie ktoś obcy prowadzi krajową szosą jeepa, trzymając w skrytce po stronie pasażera listę z nazwiskami.

Ich telefony wibrują. Peter Andersson nie wyszedł jeszcze ze spotkania w siedzibie gminy, ale politycy wypuścili już informację o bankructwie Björnstad Hockey. Gmina nauczyła się tego od drogich specjalistów od PR-u. „Historia wymaga kontroli”.

Młody mężczyzna w lesie, adwokat w gabinecie i obcy w jeepie złapią za telefony. Nikt nie pozostanie niewzruszony.

Każdy człowiek ma co najmniej sto twarzy, ale w obliczu innych mamy najczęściej szansę pokazać tylko jedną z nich. Mira Andersson jest świetnie wykształconym adwokatem z dwoma dyplomami uniwersyteckimi z dwóch krajów, ale w Björnstad na zawsze pozostanie tylko „żoną Petera Anderssona”. Bywają dni, gdy nienawidzi samej siebie za to, że tak bardzo tego nie znosi, że nie wystarczy jej po prostu przynależeć do innego człowieka.

Lunch zjada przy biurku, otoczona związanymi z pracą różowymi karteczkami z napisem „do zrobienia” i żółtymi, przedstawiającymi rzeczy do kupienia lub sprawy, które musi załatwić w imieniu członków rodziny. Obok komputera stoi zdjęcie Leo i Mai. Wyzierające z ich spojrzeń wyrzuty sumienia mogłyby ją zdruzgotać, gdyby nie przeszkodziły jej kroki na korytarzu.

Mimo tego koszmarnego lata Mira prawie się uśmiecha, bo domyśla się, kto zaraz szturmem wejdzie do gabinetu. Częściowo dlatego, że koleżanka to jedyny pracoholik, który tuż przed świętem nocy świętojańskiej jest jeszcze w pracy, a częściowo dlatego, że gdy przechodzi, drzwi nie tyle się przed nią otwierają, co wylatują z ram. Koleżanka ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i zachowuje się tak głośno, jakby tyle samo miała w obwodzie. Nie lubi przegrywać, a każdą skargę związaną z pracą ucina

krótkim „Zamknij gębę i fakturuj!”. Teraz jak zwykle zaczyna rozmowę w połowie zdania, tak jakby to Mira bezczelnie nie uczestniczyła w niej od samego początku:

- ... i na dodatek ta pizzeria jest ZAMKNIĘTA! „Zamknięta z powodu URLOPU”. Dasz wiarę? Co za człowiek bierze urlop, pracując w PIZZERII? Takie lokale powinno traktować się jak instytucje niezbędne społeczeństwu, jak ... przychodnie i.. . straż pożarną i.. . sklepy obuwnicze! A przecież chciałam się przespać z tym na kasie, tym, co to zawsze wygląda, jakby był smutny. Smutni są najlepsi w łóżku! Co jesz? Dużo jeszcze masz?

Mira wzdycha, jakby właśnie zdmuchiwała świece na ostatnim w swoim życiu urodzinowym torcie. Podnosi plastikowe pudełko z jedzeniem. Koleżanka udaje, że wymiotuje.

- Bardzo dojrzałe - odpowiada Mira.

- CO to jest? - pojękuje koleżanka.

Mira mimowolnie wybucha śmiechem. Cóż za cudowna chwila normalności! Koleżanka ma przyzwyczajenia żywieniowe wprost z liceum, nie interesuje jej pytanie, „co jest dobre?”, ale „czego będzie najwięcej?”. Restauracyjne menu jest dla niej niczym wypowiedzenie wojny. Mira robi zachęcający ruch widelcem.

- To się nazywa „sałatka”, jakbyś nie wiedziała. To jak mięso, tyle tylko, że nie trzeba niczego zabijać. Proszę, skosztuj!

Koleżanka się cofa.

- Nigdy w życiu! Śmierdzi, jakbyś wyciągnęła to z dupy nieboszczyka!

- Ty tak na SERIO? - wybucha Mira z obrzydzeniem.

- No co? - dziwi się koleżanka.

- Ale z ciebie dzieciór!

- Chyba z CIEBIE! Zamknij gębę i fakturuj! - Koleżanka pomrukuje, ciężko opadając na fotel.

Mira już prawie chce coś odpowiedzieć, gdy przerywa jej dzwonek telefonu. Jest pewna, że to Peter, ale głos w słuchawce rozbrzmiewa wesoło:

- Mira Andersson? Dzwonię z Przewozów i Transportu Johnsona, dostaliśmy właśnie zamówienie na pani nazwisko, na pięćdziesiąt kartonów do przeprowadzki. Możemy je zostawić u państwa w ogrodzie?

Mira nie słyszy już ostatnich słów. Widzi tylko, jak koleżanka otwiera komputer, czyta coś i robi się całkiem blada. W następnej sekundzie telefon Miry ponownie się odzywa.

Peter podnosi się z krzesła. Większość polityków po prostu wychodzi i nie upokarza go jeszcze dodatkowo, próbując ucisnąć mu dłoń. Jeden z nich się jednak zatrzymuje, pozwalając sobie na fałszywą wspaniałomyślność.

- To, co na wiosnę udało wam się osiągnąć z juniorami, było imponujące. Wyjątkowe! Chłopcy z naszego małego miasteczka przeciwko tym wszystkim wielkim! Gdyby tylko... wygrali. Może wtedy... No wiesz...

Peter wie. Nawet zbyt dobrze. W sporcie, w którym opowieści o Kopciuszku są na wymiarciu, bo duże kluby przetrzebiamą małe z młodych talentów, Björnstad udało się zatrzymać najlepszych zawodników. Doszli aż do finału, ale grali w nim bez swojej największej gwiazdy. Prawie... wygrali. Ale to za mało.

Björnstad to miasto hokeja, tutaj rośnie się według reguły „tabela nigdy nie kłamie”. Albo jesteś najlepszy, albo jesteś jak wszyscy inni. Najlepsi nie szukają wymówek, tylko sposobu na wygraną. Wszystkimi dostępnymi środkami i za wszelką cenę. Mówi się o „mentalności zwycięzcy”, bo właśnie ktoś tego typu ma to coś, czego brakuje innym, i przyjmuje za oczywiste, że człowiek się rodzi, by zostać bohaterem. W rozstrzygającym się w ostatnich sekundach meczu zwycięzca uderza kijem o lód, krzycząc do kolegów z drużyny, żeby do niego podali. Zwycięzca nie prosi o krążek, on go żąda. Gdy tysiące kibiców na trybunach podnoszą się z krzykiem, inni gracze wycofują się niepewnie. Ale nie zwycięzca. On robi krok do przodu. To kwestia mentalności. Każdy marzy o tym, by być najlepszym, oddać decydujący strzał w ostatniej, niepewnej sekundzie sezonu, ale dramatycznie niewielu z nas ma odwagę wykorzystać sytuację, gdy w grę wchodzi... wszystko. Tym się właśnie różnimy.

Przed ponad dwudziestoma laty pierwszy zespół Björnstad mógł być najlepszy w kraju. Podczas całego sezonu słyhać było hasło „Björnstad przeciwko reszcie”. Nie stawiali na nich dziennikarze z wielkich miast, świetnie opłacani przeciwnicy ich nie doceniali, ale gdy giganci przybywali do Björnstad, coś się z nimi działo. Autobus z drużyną wjeżdżał coraz głębiej w las, zawodnicy przekraczali próg zniszczonego budynku i ich oczom ukazywały się trybuny zamienione w krzyczące ze wszystkich stron zielone ściany. Drżeli. W tamtym sezonie hala lodowiska zmieniła się w prawdziwą twierdzę, w której przebywali wszyscy mieszkańcy. Drużynę wspierała cała okolica. Nieważne, że duże kluby miały pieniądze, bo hokej był stąd. „Björnstad przeciwko reszcie”.

Ostatni mecz rozgrywali jednak na wyjeździe, w dużym mieście. W ostatniej sekundzie to Peter Andersson dostał krążek. Wiele kilometrów dalej, w głębi lasu, leżało miasteczko, którego życie i śmierć zależało od tego zagrania. Jak wielką niewiadomą oznaczało to dla klubu sportowego? Przepaść między elitą a resztą jest w hokeju astronomiczna. Zespoły znajdujące się najwyżej w ligowej strukturze pławią się w pieniądzach z telewizji i kontraktach sponsorskich opiewających na miliony koron, podczas gdy drużyny plasujące się niżej uczą się, że „zawsze wygrywa najlepsza drużyna”. Gdy więc Peter dostał krążek, chodziło o coś więcej niż tylko

strzał, więcej niż tylko mecz - to była szansa małego miasteczka na powalenie giganta. Cóż by to był za fantastyczny moment. Podczas jednego jedyne go wieczoru, po całym tym syfie, który spotkał tych ludzi z lasu, Björnstad w końcu poczułoby, że nadeszła jego kolej. To byłaby jedna z tych niewiarygodnych historii, dzięki którym wszyscy uwielbiają sport, pokazująca, że najwięksi i najbogatsi nie ZAWSZE wygrywają.

Peter więc strzelił. I chybił. Całe miasteczko wstrzymało oddech, a później nie było już w stanie oddychać. Rozbrzmiała końcowa syrena, przeciwnicy wygrali, sezon później Björnstad spadło z najwyższej ligi i nigdy już do niej nie wróciło.

Peter trafił do NHL, został zawodowcem, ale doznał kontuzji. Jego kariera to prawie sen. Potem wrócił do domu i wbrew wszelkim przeciwnościom losu zbudował najlepszą w kraju drużynę juniorów. Prawie najlepszą.

Polityk stojący w drzwiach wzrusza ramionami.

- Wygrana załatwia wszystko.

Równie dobrze mógłby powiedzieć to, co naprawdę myśli: „Nie jesteś zwycięzcą, Peter. Zwycięzcy zwyciężają. Dzięki temu wiemy, że to oni”. Zwycięzca zdobywa bramkę ostatnim strzałem. Zwycięzca nie miesza ze sobą tego, co dzieje się poza lodem, z tym, co wydarza się na nim. Zwycięzca nie prosi policji, by z autobusu jadącego na najważniejszy mecz wyciągnęła największą gwiazdę drużyny. Zwycięzca wie, że w tej gminie wygrana załatwia wszystko, a drugie miejsce nic.

Polityk poklepuje go bez entuzjazmu po ramieniu.

- Ale może popatrz na to jak na nową szansę? Możliwość innej pracy? Będziesz miał więcej czasu dla rodziny!

Peter ma ochotę posłać go do wszystkich diabłów, ale zamiast tego wychodzi tylko z budynku. Skręca za róg, zatrzymuje się pod schodami i pochyla nad trawnikiem. Gdy jest już pewien, że żaden z tych dupków go nie widzi, wymiotuje.

Dzwoni telefon. To Mira. Dociera do niego, że wiadomość pewnie już się rozeszła, ale nie ma siły odebrać. Nie chce słyszeć zawodu w głosie żony i boi się, że rozpozna, że jej mąż płacze. Telefon dzwoni ponownie, kilka razy. W końcu Peter go wyłącza. Problem z poświęceniem całego życia hokejowi polega na tym, że nie wiadomo, co zrobić, gdy hokeja zabraknie. Wsiada do samochodu i odjeżdża, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że ze skóry przy połamanych paznokciach sączy się krew.

Zza ciemnych okularów przeciwsłonecznych przybysz w jeepie wyczekująco patrzy na drogę, zaciąga się płytko papierosem, wydmuchując dym przez opuszczoną szybę. Samochód stoi w cieniu pod kilkoma drzewami, jest wystarczająco zardzewiały i niepozorny, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi. Na desce rozdzielczej leży lista z

nazwiskami, „Peter Andersson” widnieje na niej na pierwszym miejscu. Gdy Peter wsiada do samochodu, przybysz rusza za nim.

Jak nie ma wojny, to czas ją zacząć

O siemnastolatek w lesie ściąga z ramienia plecak, kładzie go na trawie, a sam wspina się na drzewo. Lato rozjaśniło mu przydługawe włosy i przyciemniło skórę wokół tatuażu niedźwiedzia. Chłopiec ma na imię Benjamin, ale wołają tak na niego tylko mama i siostry, dla pozostałych jest Benjim. Jego imię rzadko kojarzono z dobrym zachowaniem, już od przedszkola zwykło się mówić, że chłopak skończy w więzieniu albo na cmentarzu. Hokej go uratował, ale i w pewien sposób napiętnował, bo jego najgorsze cechy charakteru poza lodem sprawiały, że uwielbiano go, gdy przebywał na lodzie. Kevin był gwiazdą, Benji jego ochroniarzem. Bracia. Miasto uwielbiało dłonie Kevina, ale ubóstwiała pięści Benjiego. To o nim mowa w starym dowcipie: „Poszedłem tylko popatrzeć na bójkę i nagle wybuchł mecz hokejowy”.

Gdy Kevina oskarżono o gwałt, miasto przeżyło szok. I kolejny, gdy Benji stanął po stronie Mai Andersson, przeciwko bratu. Pozostał w Björnstad, zamiast przenieść się do Hed Hockey. Benjamin Owich zrobił to, co trzeba. Ale w imię czego? Prześmiewcze esemesy od anonimowych nadawców przychodzą jeden po drugim, informując, że jego klub upadł. Źle wybrał. Teraz nie ma już nic. Przed kilkoma miesiącami wraz z najlepszym przyjacielem grał w jednej z najlepszych drużyn w kraju. Teraz siedzi na drzewie i się upala; jest bliski przyznania racji wszystkim, którzy w niego wątpili: „Wcześniej czy później ten chłopak zrobi krzywdę sobie albo komuś innemu”.

Tego lata za każdym razem, gdy Mira Andersson przyglądała się rodzinnym fotografiom na biurku, czuła bezdenne wstydy, że w pracy dużo łatwiej się ludziom, że ma zwyczajną rodzinę, że cała czwórka nie spała się od środka i że dom nie ucichł, bo nikt już nie znajduje słów.

Na początku lata, gdy siedzieli wspólnie przy stole, Maya poprosiła rodzinę, by już więcej nie rozmawiali o gwałcie. „Muszę iść dalej” - powiedziała zupełnie bez emocji. Peter i Mira próbowali się uśmiechnąć i przytaknąć, ale wzrokiem błędzili po podłodze. W takiej sytuacji trzeba wspierać dziecko, nie można tak po prostu chwycić córkę, krzycząc, że MY czujemy jeszcze potrzebę mówienia i wałkowania tematu i że

tak naprawdę rodzice się boją, czują się opuszczeni i są ... samolubni. Bo przecież tak właśnie jest, nieprawdaż? Są egoistami.

Mira zdaje sobie sprawę, że ludzie nie rozumieją, jakim cudem ma jeszcze siłę pracować albo dlaczego Peter wciąż przejmuje się hokejem. Prawda jest taka, że to czasem jedyne rzeczy, na które mają jeszcze siłę. Gdy wszystko wokół upada, człowiek rzuca się w wir tego, co jest w stanie kontrolować, bo tylko wtedy jeszcze mu się wydaje, że wie, co robi. Wszystko inne sprawia ból. Idzie się więc do pracy i zakopuje w niej jak alpinista w śniegu, gdy chce przeczekać niepogodę.

Mira nie jest naiwna, ale jest rodzicem, więc próbowała patrzeć w przyszłość. Kevina już nie ma, psycholog twierdzi, że Maya robi postępy w przepracowywaniu traumy, więc może wszystko się jednak... ułożyć. To właśnie wmawiała sobie Mira. Peter spotka się z gminą, klub dostanie pieniądze, których potrzebuje, wszystko będzie... dobrze.

Odkłada słuchawkę w połowie rozmowy z firmą przeprowadzkową, która otrzymała zlecenie na dostarczenie kartonów na jej nazwisko. Czyta odebranego właśnie esemesa. „Chcemy skontaktować się z twoim mężem Peterem, by skomentował upadek Björnstad Hockey” - pisze jakiś dziennikarz. Następny esemes przychodzi od sąsiada: „Nie wiedziałem, że się wyprowadzacie”. Do wiadomości dołączony jest zrzut ekranu ze strony internetowej biura nieruchomości, na której ktoś wystawił ich dom na sprzedaż. Zdjęcia są nowe. Ktoś zrobił je dziś rano w ogrodzie.

Mira dzwoni do Petera, ale ten nie odbiera. Wie, co się teraz wydarzy. Jeśli klub upadnie, nie będzie miało znaczenia, czyja to wina. Niektórzy w tym mieście już zaczęli szukać kozła ofiarnego. Oskarżą o to Petera. Mayę. Dyrektora sportowego. Kurwę.

Mira ponownie dzwoni do Petera. I jeszcze raz. I znów. Przy ostatniej próbie nie słyhać już sygnału. Koleżanka aż się cofa, gdy Mira z całej siły uderza pięścią w stół. Słyszy, jak trzeszczą jej kości palców, nie przestaje jednak walić w stół ze złością buzujących w niej teraz stu różnych kobiet.

BANG. BANG. BANG-BANG-BANG.

Benji się kuli, dym wydobywa mu się powoli z nozdrzy. Niektórzy opowiadają, że narkotyki prowadzą ich do nieba, ale dla niego są jak morze. Nie leci, tylko się unosi. Utrzymują go na powierzchni, tak że nie musi walczyć. Bez nich czuje się tak, jakby płynął i walczył o życie.

W dzieciństwie uwielbiał lato, bo wtedy ukrywał się na drzewach wśród liści, pozostawał niewidoczny z ziemi. Zawsze miał wiele do ukrycia, bo był inny. W szatni, gdzie wszyscy uczą się, że muszą być jednością, klanem, drużyną, by wspólnie wygrać.

Benji stał się więc tym, kogo potrzebowali - zabijaką. Wszyscy się go bali. Kiedyś trener posadził kontuzjowanego Benjiego na ławce. Chłopak nie wyszedł na лёd ani na minutę, ale przeciwnicy i tak nie odważyli się tknąć Kevina.

Jakąś część tej twardości Benji wytrenował: wspinał się na drzewa, stylem żartobliwie przez trenera nazywanym „pół czołg, pół małpa”, rąbał drewno u siostry w hodowli psów, a potem boksował stos pieńków, by dłonie stwardniały mu jeszcze bardziej. Części tej twardości nie dało się ani wypracować, ani usunąć, po prostu w nim była. I to właśnie ona sprawiła, że stał się nieprzewidywalny. Gdy był jeszcze dzieckiem, któreś zimy kilku kolegów z drużyny przeżywało go „Sanki”, bo rodzice nie podrzucali Benjiego na treningi i sam dojeżdżał na nie rowerem, a torbę ze sprzętem hokejowym ciągnął na zaczepionych z tyłu sankach. Przewisko przylgnęło do niego na kilka miesięcy, aż do dnia, kiedy jeden z kolegów przesadził i Benji wszedł do szatni z sankami w dłoniach i wybił mu nimi dwa przednie zęby. Później już nikt nie próbował go przeżywać.

Siedzi teraz w bezruchu na drzewie, ale wewnątrz czuje chaos. Pierwszy przyjaciel z dzieciństwa jest jak pierwsze zauroczenie, chcemy z nim spędzać każdą chwilę, a gdy nas opuszcza, czujemy się jak bez ręki. Kevin i Benji pochodzą z tak odmiennych części miasta, że równie dobrze mogliby należeć do różnych gatunków. Lodowisko stało się ich wspólną sceną. Kevin miał w sobie geniusz, Benji przemoc. Minęło wiele lat, zanim wszyscy odkryli, że w Benjim również tkwiła odrobina geniuszu, a w Kevinie wiele przemocy.

Co można wybaczyć najlepszemu przyjacielowi? Jak można to zawczasu przewidzieć? Którejś wiosennej nocy w lesie niedaleko stąd Kevin, cały dygocząc, prosił Benjiego o wybaczenie. Benji tylko się odwrócił i go zostawił. Nigdy więcej ze sobą nie rozmawiali.

Tego ranka przed trzema tygodniami, gdy Kevin wyjeżdżał z miasta, Benji siedział w tym samym miejscu, coraz mocniej uderzając głową o pień drzewa. Bang. Bang. Bang. Jest upalony, ciężki od nienawiści i słyszy jakieś głosy - początkowo sam nie wie, czy ich sobie nie wymyślił. Słyszy je jednak ponownie, zbliżają się, widzi kogoś pomiędzy drzewami. Mięśnie mu się napinają.

Zaraz kogoś skrzywdzi.

Zastanawia cię, dlaczego ludzie gotowi są poświęcić wszystko w imię miłości? Zaczynij w takim razie od pytania, jak wyglądał ich upadek. Czasami nie potrzeba wiele, żeby zacząć coś kochać. Wystarczy czas. W głębi duszy dorośli zdają sobie sprawę, że hokej jest na niby, że to wymyślona gra, ale każdy pięciolatek ma małe serduszek. Od razu kocha więc nim całym.

Matka Petera chorowała, a ojciec upijał się i wydzierał na chłopca, tak jakby ten nie miał uszu, i bił go, jakby byli dla siebie obcymi ludźmi. Peter dorastał z głową przepełnioną głosami, które szeptały mu, że do niczego się nie nadaje. Po raz pierwszy umilkły, gdy założył łyżwy na stopy. Tego, co odnalazł w szkółce hokejowej, nie można mu było tak po prostu bezkarnie odebrać. Nastało lato, halę lodowiska zamknięto, ale pięcioletni Peter pomaszerował do domu trenera pierwszej drużyny i zapukał do jego drzwi.

- Kiedy zacznie się hokej? - zapytał śmiało.

- Jesienią. - Sune, trener pierwszej drużyny, się uśmiechnął. Już wtedy był stary, okrągły i lubował się w błędnym kole rozumowania.

- A kiedy to będzie? - zapytał pięciolatek.

- Zima? - Trener chrząknął.

- Nie znam się na zegarku - odparł chłopiec.

- To za parę... miesięcy - wymamrotał trener.

- Mogę tu poczekać? - zapytał mały.

- Do ... JESIENI? - wykrztusił stary.

- A to długo?

To był początek przyjaźni na całe życie.

Sune nigdy nie pytał o siniaki, pięciolatek też nigdy o nich nie mówił, ale każdy cios przyjęty w domu widać było w jego oczach, gdy w ogródku trenera po raz pierwszy uczył się strzelać do bramki. Sune wiedział, że hokej nie zmieni życia chłopca, ale może otworzyć przed nim coś nowego. Drogę ucieczki. Drogę do góry.

To Sune nauczył Petera, czym jest klub. Na klub się nie narzeka, od klubu się nie wymaga. „My jesteśmy klubem, Björnstad Hockey to ty i ja, Peter. Jego najlepsze i najgorsze wyniki pokażą nasze najlepsze i najgorsze strony”. Nauczył też Petera innych rzeczy: że należy się podnieść bez względu na to, czy się wygrywa, czy przegrywa, że najbardziej utalentowani zawodnicy powinni wspierać słabszych, bo „wymaga się wiele od tego, któremu wiele dano”.

Pierwszego wieczoru Sune odprowadził pięciolatka do domu. Po drodze się zatrzymali, a trener powiedział, że jeśli chłopiec znów przyjdzie do niego nazajutrz, to potrenują strzelanie.

- Obiecuję pan? - zapytał mały.

Sune wyciągnął dłoń i powiedział:

- Obiecuję! Obietnic trzeba zawsze dotrzymywać, nieprawdaż?

Chłopiec uściskał rękę starego i przytaknął. Później usiedli na ławce i trener uczył pięciolatka, jak posługiwać się zegarkiem, żeby malec mógł liczyć minuty do kolejnego spotkania.

Czasem nie potrzeba wiele, by zacząć coś kochać, wystarczy czas. Od tej pory każdej nocy przez wiele lat Peter Andersson śnił tylko o jednym: dźwięku krążka uderzanego przez kij i odbijającego się od ściany.

Bang.

Mama Benjiego Ovicha prawie nie wspomina jego ojca, a jeśli już się to zdarza, zamyka oczy i szepcze: „Niektórzy ludzie po prostu tacy są. Jak nie ma wojny, to czas ją zacząć”.

Benji nieraz słyszał, że jest podobny do ojca, ale nie ma pojęcia, pod jakim względem. Może bardziej przypomina go charakterem niż wyglądem. Wie, że ojciec cierpiał tak bardzo, że któregoś dnia nie wytrzymał. Myśliwi z okolicy nigdy nie nazywają tego „samobójstwem”, mówią tylko: „Alain zabrał strzelbę i poszedł do lasu”. Benji zawsze się zastanawiał, czy ojciec długo to planował, czy też zrobił to tak po prostu. Nad tym samym rozmyśla, widząc w wiadomościach przerażające miejsca zbrodni, których dopuścili się samotni mężczyźni. Dlaczego właśnie tego dnia? Dlaczego nie kiedy indziej? Czy w grę wchodzi wybór, czy coś poszło nie tak?

Benji zdaje sobie sprawę, że cierpienie i złość mogą przeprogramować mózg tak jak chemikalia i narkotyki. Być może w głowach pewnych ludzi znajdują się ładunki wybuchowe z zapalnikiem czasowym, które tylko czekają na detonację. Mama prawdopodobnie ma rację: niektórzy tacy po prostu są, że zaczynają wojnę.

Z drzewa przygląda się wędrującym przez las Mai i Anie. Nigdy nie będzie potrafił wyjaśnić, co się w nim wtedy działo. To był instykt. Coś się zamknęło, coś innego otworzyło. Schodzi z drzewa, podnosi plecak z trawy i coś z niego wyjmuje. Z przedmiotem w ręce zaczyna przemieszczać się między drzewami.

Podąża za nimi.

Maya i Ana wędrują bez celu przez las, tym wolniej, im głębiej w niego wchodzi. Nie rozmawiają, ale i bez tego wiedzą, co powiedziałyby współtowarzyszka. Zawsze były świadome, że jeśli jest się innym, niełatwo dorastać w Björnstad. W dojrzewaniu najgorsze wydaje się to, że człowiek zaczyna dostrzegać, jak małe istnieje prawdopodobieństwo, że gdzie indziej jest inaczej. Świnie są wszędzie.

Te dwie młode kobiety nigdy nie miały ze sobą wiele wspólnego. Księżniczka i dziecko lasu, muzyk i myśliwy. Poznały się jako dzieci, gdy Ana wyciągnęła Mayę z przerębli. Maya dopiero co się przeprowadziła, Ana nigdy wcześniej nie miała przyjaciela, uratowały sobie nawzajem życie. Ana nabijała się z Mai, że ta nie potrafi cicho chodzić po lesie, że porusza się w nim jak łoś na obcasach. Maya się odgryza, że Ana jest, jaka jest, bo jej mama miała romans z wiewiórką.

Przestała tak mówić, gdy mama Any się wyprowadziła. Ana w zamian za to odpuściła sobie dogryzanie przyjaciółce, że ta jest uzależniona od Internetu. Przez kilka lat były sobie równe, ale dorastanie zawsze zaburza równowagę dziewczęcej przyjaźni. Pod koniec podstawówki umiejętność przetrwania w lesie straciła na znaczeniu. To Maya wiedziała, jak przeżyć na szkolnych korytarzach. Ale tego lata? Nigdzie już nie są bezpieczne.

Ana idzie przodem, Maya za nią, ze wzrokiem wbitym w jej włosy. Często myśli, że przyjaciółka jest zarówno najsilniejszą, jak i najsłabszą osobą, jaką zna. Jej ojciec znów pije, to niczyja wina, po prostu tak jest. Maya tak strasznie chciałaby uwolnić Anę od bólu, ale wie, że to równie niemożliwe jak starania Any, by Maya zapomniała o gwałcie. Każdą pochłania jej własna czeluść. Maya ma koszmary senne, a Ana powody, by nie móc usnąć. Wieczorami kładzie się do spania koło psów, a ojciec wraca późno w nocy i pijany kręci się po kuchni, przepełniony smutkiem i niewypowiedzianymi słowami. Psy, nawet bez komendy, otaczają ją ochronnym kręgiem. Kochane zwierzaki. Ojciec nigdy, przenigdy nie podniósł na nią ręki. Ale ona i tak się go boi, gdy jest nietrzeźwy. Mężczyźni nie czują własnego ciężaru, nie rozumieją fizycznego strachu, który wywołują, gdy wpadają uchłani przez drzwi. Są jak tajfuny przemierzające młody las, podnoszą się pijani ze stołu i obijają po pokoju, nie wiedząc nawet, na co wchodzą. Następnego dnia nic nie pamiętają. Puste butelki zniknęły, po cichu umyto brudne naczynia, a dom spowija cisza. Nikt nic nie mówi. Nigdy nie dostrzegą spustoszenia, jakie pozostawiają po sobie w dzieciach.

Ana przystaje i się odwraca, Maya się jej przygląda, lekko uśmiechnięta. „Jak ja cię kocham, ty wariacie” - myśli sobie i wie, że Ana to wie.

- Być zmuszonym do operacji i mieć świński ryj czy świńską dupę? - pyta Ana.

Maya zaśmiewa się w głos. To ich zabawa od dzieciństwa. Albo-albo.

- Ryj. Ogonek na dupie byłby trochę niewygodny, żeby tak na nim siedzieć i grać na gitarze.

- Jesteś walnięta!

- JA jestem walnięta? SŁYSZYSZ w ogóle, co ty wygadujesz?

Ana tylko prycha. Jej wzrok błądzi między drzewami.

- Dobra, a to: być nieszczęśliwym i żyć sto lat czy być szczęśliwym przez rok, a potem umrzeć?

Maya zastanawia się w ciszy. Nie zdąży odpowiedzieć, gdy nagle Ana obraca się wokół, wbijając wzrok w drzewa. Już wcześniej powinna to zauważyć, ale jest przyzwyczajona do śledzenia i łowiectwa, a nie do tego, że jest śledzona.

Krótki trzask, suche gałęzie łamią się pod naciskiem. Dziewczynki są daleko od miasta, w miejscu wystarczająco niebezpiecznym na spotkanie ze zwierzyną.

A tych gałęzi nie złamało żadne zwierzę.

Gdy Peter dociera na miejsce, hala lodowiska jest zamknięta, a światła zgaszone. Nie zapala ich. I bez tego dokładnie wie, gdzie na ścianach znajdzie pożółkłe kartki i co jest na nich napisane. Niepozorne wyrazy z głośnym przesłaniem: „Drużyna zawsze na pierwszym miejscu”. Kawałek dalej: „Robimy krok w tył tylko po to, by nabrać rozpędu”. Ponad nim: „Miej marzenia - walcz - wygrywaj!”. A najbliżej drzwi, napisane jego pismem: „Podnosimy się, gdy wygrywamy, podnosimy się, gdy przegrywamy, podnosimy się bez względu na wszystko”.

Logicznie myślący ludzie uważają zapewne, że tego typu hasła są głupawe, ale logiczne myślenie nie sprawi, że ktoś będzie najlepszy w hokeju, do tego trzeba być marzycielem. W podstawówce jeden z nauczycieli zapytał kiedyś uczniów, kim chcą zostać, gdy dorosną. Peter odpowiedział: „Zawodowcem w NHL”. Nadal pamięta, jak klasa go wyśmiała. Całe życie poświęcił, by udowodnić wszystkim, że się mylili. Logicznie myślący ludzie wiedzą, że to niemożliwe, aby mały chłopiec z Björnstad grał z najlepszymi zawodnikami na świecie, ale marzyciele wiedzą lepiej.

Problemem pozostaje tylko to, że trzeba to udowodniać bez przerwy, że nigdy nie da się powiedzieć „wystarczy”. Prześmiewcy po prostu przesuną granice. Na ścianie w szatni wisi zegar, nie działa, ale nikt nie będzie zawracał sobie głowy wymianą baterii. Pokochanie czegoś wymaga tylko czasu - jeszcze mniej potrzeba, by coś zabić. Wystarczy chwila. Sport jest bezlitosny, wielka gwiazda staje się nikim podczas dziesięciosekundowego przemarszu z lodowiska do szatni, klub z ponadpięćdziesięcioletnią tradycją zostaje skazany na upadek po kilku minutach spotkania w gminie. Peter się zastanawia, czy teraz zburzą halę, wybudują hotel konferencyjny albo jakieś inne gówno, o którym marzą władza i ludzie z pieniędzmi w tym mieście. Niczego nigdy nie kochali, interesuje ich tylko posiadanie. Dla nich to tylko ściany i dach.

Idzie w górę trybun i zatrzymuje się w wąskim korytarzu na piętrze, przy gabinetach. Ile lat życia poświęcił temu miejscu? Czy było warto? Na ścianach wiszą oprawione w ramki fotografie prezentujące najlepsze chwile klubu: moment założenia w 1951 roku, niewiarygodny sezon sprzed dwudziestu lat, gdy pierwszy zespół był prawie najlepszy w kraju, i drużynę juniorów, która wiosną zdobyła srebro. Na wielu z nich jest też Peter.

Jednym rozjuszonym ruchem strąca zdjęcia ze ściany. Zaczyna po jednej stronie korytarza i zrzuca je po kolei z haczyków. Szkło się rozbija i zaściela podłogę deszczem szklanych drobinek. Peter rusza do wyjścia. Gdy zatrzaskuje za sobą drzwi, lampy w hali są nadal zgaszone.

Przybysz siedzi w ciemności na trybunach i obserwuje opuszczającego budynek Petera. Dopiero gdy słyszy, że dyrektor sportowy klubu zapala silnik w stojącym na parkingu samochodzie, rusza w stronę gabinetów, by przyrzeć się spustoszeniu. Ogląda stare fotografie Petera pod kawałkami szkła i te nowsze, z drużyną juniorów. Dwóch graczy widnieje na prawie każdym zdjęciu. Przybysz odsuwa butem resztki szkła i pochyla się nad jednym ze starszych zdjęć z tymi samymi chłopcami, na długo zanim zostali gwiazdami drużyny. Rozdanie nagród, gdy mieli jakieś dziesięć, jedenaście lat; obejmują się ramionami jak bracia, na koszulkach mają numery i nazwiska: 9 ERDAHL i 16 OVICH.

Najlepsi przyjaciele, sport, który kochali, i drużyna, której oddali życie. Do czego zdolny jest młody człowiek, jeśli nagle odbierze mu się to wszystko? Przybysz rysuje w notatniku staranne kółko wokół imienia i nazwiska „Benjamin Ovich”, następnie schodzi z trybun i opuszcza halę. Na zewnątrz zapala nowe cygaro. Dzień jest ciepły i bezwietrzny, mimo to przybysz osłania płomień dłonią, tak jakby zbliżała się burza.

Ana i Maya słyszą bicie własnych serc, gdy się odwracają i zauważają między drzewami Benjiego. To chłopiec, który jeszcze niedawno kochał swoją drużynę hokejową i swojego najlepszego przyjaciela. Teraz to dorosły mężczyzna z oczami, w których utonęły źrenice. Jedną dłoń zaciska w pięść, w drugiej trzyma młotek.

Każdy w Björnstad wie, że ten chłopak to zawsze była tykająca bomba.

Dobrze jest zacząć od lunchu

W Hed mawiają: „Powiedz nieznajomemu, że nienawidzisz Björnstad, a zyskasz przyjaciela na całe życie”. Od najmłodszych lat wpaja się dzieciakom - niby półzartem - że to oczywiście ważne, aby Hed Hockey się wiodło, najważniejsze jednak, żeby Björnstad szło marnie. Trybuny krzyczą, żeby „nienawidzić” i „mordować”, ale przecież to nie na poważnie. Aż w końcu takie się nagle staje.

Większość z nas nie pamięta już, jak rozpoczęła się przemoc między tymi dwoma miastami. Co było pierwsze? Płonące flagi, które dwunastoletni Leo sfilmował i wrzucił do Internetu, czy inny filmik opublikowany przez kogoś z Hed prawie w tym samym czasie? Nic nie rozprzestrzenia się szybciej niż dobra historia. Mieszkańcy Hed, wychowani na miłości do czerwieni i nienawiści do zielonego, nie ukrywają zadowolenia, gdy gmina, ludzie z pieniędzmi i władza wybierają, po której stronie staną.

Kibic drużyny Hed zatrzymuje więc pewną polityczkę, która wraca właśnie z pracy, i zadaje jej pytanie, jednocześnie filmując: „Przepraszam, a co mają teraz zrobić ludzie z Björnstad?”. Polityczka, nerwowa kobieta w średnim wieku, nie jest pewnie nawet świadoma tego, co mówi. Albo wręcz przeciwnie. Bo odpowiada: „Mogą przecież zacząć kibicować Hed”.

W nocy budzi ją dziwny dźwięk. Gdy następnego ranka wychodzi przed dom, widzi, że w maskę jej samochodu jest wbita siekiera.

W drodze na przystanek autobusowy mija ją pojazd z dwoma ubranymi na czarno mężczyznami. Nie muszą nawet na nią patrzeć. I tak wie, że ją obserwują.

Bar Futro znajduje się tam gdzie zwykle, w centrum miasta. To ten rodzaj baru, w którym lepiej pachniało, gdy można było jeszcze palić w środku. Twarz właścicielki, Ramony, przypomina podłogę lokalu - życie poharatało ją dokładnie tak, jak przesuwane tam i z powrotem krzesła poniszczyły deski pod jej stopami. Młodzi mężczyźni, którzy traktują Futro jak drugi dom, a czasem nawet jak pierwszy, nadali jej przydomek od ulubionych papierosów: „Marlboromama”. Ramona już dawno przekroczyła wiek emerytalny, ale nikt, kto ceni sobie kształt własnego nosa, nie

wspomina o tym głośno. Gdy przybysz przekracza próg baru, kobieta wlewa sobie właśnie do wysokiej szklanki późne śniadanie. Zdziwiona właścicielka podnosi brew.

-Taaak?

Przybysz rozgląda się ze zdziwieniem po pustym lokalu.

- Przepraszam...

- Mogę w czymś pomóc? - pyta Ramona oskarżycielskim tonem.

Przybysz ma zwichrzone włosy, dzinsy, sportową kurtkę i grube skarpetki wystające z masywnych trzewików, noszonych tylko przez tych, którzy dodatnie temperatury uznają za nienaturalny stan pogody.

-To bar, prawda?

Na ustach Ramony pojawia się wyczekujący uśmiech.

- W rzeczy samej.

- Czy to w takim razie dziwne, że do baru wchodzi klient?

- Zależy od klienta.

Zdaje się, że przybyszowi pasuje takie wyjaśnienie.

- Mam kilka pytań.

- O! To nie najlepsze miasto do zadawania pytań.

Za przybyszem otwierają się drzwi. Do środka wchodzi dwaj młodzi mężczyźni.

W czarnych kurtkach.

Ana i Maya czują pulsującą im w tętnicach szyjnych krew. Nie uważały Benjiego za wroga, był przecież jednym z niewielu, którzy zostali w Björnstad, gdy Kevin i reszta przeszli do Hed Hockey. Dziewczynki nauczyły się już jednak, że w tej okolicy ludzie zmieniają stronę w sekundę i że nigdy nie można być pewnym, że jakiś mężczyzna nie będzie próbował ich skrzywdzić.

Benji zatrzymuje się kilka metrów od nich, z młotkiem wolno kołyszącym się w dłoni. Jakby na coś czekał. Zawsze był umięśniony, ale tego lata jego ciało emanuje czymś jeszcze - aurą okrucieństwa. Ana żałuje teraz, że nie zabrała ze sobą żadnej broni. Widziała Benjiego podczas gry, wie, że na lodzie najlepszym i najbardziej niebezpiecznym czyni go nieprzewidywalność. Nikt nie wiedział, kiedy wpadnie w szal i kogoś pobije.

Ale teraz stoi prawie bez ruchu. Słowa wydobywające się w końcu z jego ust są ciche i nieskładne, jakby od tygodni nie używał strun głosowych. Z głuchym dźwiękiem upuszcza młotek pod nogi Any.

- Przyda się wam. Mam coś. Dla was.

Dziewczynkom zajmuje chwilę, zanim zrozumieją, że Benji dał im młotek, by nie bały się za nim pójść. Człowiek, który wie, że w oczach innych jest niebezpiecznym

dzikusem, musi zapewne czuć niewyobrażalny smutek.

Mężczyźni w czarnych kurtkach przystają w drzwiach, przyzwyczajeni, że sama ich obecność wystarcza, by nieproszeni goście nagle przypomnieli sobie o praniu, które właśnie mają zrobić, albo o tym, że planowali oddać krew w przychodni pięćset czy sześćset kilometrów stąd. Przez następne miesiące przybysz zrozumie, jak wiele historii o bywalcach Futra istnieje i jak niewielu chce się nimi dzielić. Nie mają żadnych symboli ani strony internetowej. W dniu meczu w drodze do hali lodowiska nie sposób odróżnić ich od innych. Przybysz się jednak nauczy, że „Grupa” pilnuje, aby nikt nie kierował klubem bez ich błogosławieństwa lub czując ich dezaprobatę. Zrozumie też, że dopóki nie staną się jego wrogami, nigdy się nie dowie, ilu ich jest. Przybysz jest jednak zbyt mądry lub zbyt walnięty, żeby zaprzętać sobie tym głowę.

- Jesteś z mediów? - pyta Ramona. Nie ma pewności, czy przybysz ignoruje jej agresywny ton, czy też go nie rejestruje, bo cierpi na jakąś chorobę. Dodaje więc: - Mieliśmy tu przed tobą kilku dziennikarzy z „pytaniami”. Nie wyszli stąd z odpowiedziami, ale za to zafundowali sobie lepsze ubezpieczenie domu.

Bezpośrednia groźba przelatuje bez oddźwięku koło zmierzwionej głowy przybysza, który kręci się powoli na barowym stoiku, podziwiając wystrój i ściany pokryte zdjęciami, proporczykami i meczowymi koszulkami.

- Nie serwujecie tu przypadkiem lunchu?

Mężczyźni przy drzwiach nie są pewni, czy to zakamuflowana obelga, czy szczere pytanie. Ramona wybuchła nagłym śmiechem. Wykonuje krótki gest dłonią i mężczyźni znikają za drzwiami.

- Z mediów to ty na pewno nie jesteś - stwierdza barmanka, przekrzywiając lekko głowę. Jej ton ponownie sygnalizuje niezadowolenie: - Co więc masz tu, do cholery, do roboty?

Przybysz kładzie dłonie na kolanach.

- Najpierw mam zamiar zjeść lunch.

Mira ponownie dzwoni do Petera. Bez skutku. Szczerze? Czuła, że gmina znajdzie sposób, by zwrócić się przeciwko Peterowi. Jej mąż to romantyk, ale ona, adwokatka, już dawno zrozumiała, że najprostszym sposobem na pogrzebanie skandalu jest pogrzebanie klubu.

Na początku lata cała rodzina Anderssonów - Peter, Maya, Leo i ona sama - była zgodna, że zostają w Björnstad. Że będą walczyć. Ale teraz Mirę nachodzą wątpliwości. Jak długo można trwać w miejscu, które próbuje cię usunąć niczym groźnego wirusa? Jeśli Peter nie ma już klubu, to co im pozostaje?

Koleżanka po drugiej stronie biurka siedzi teraz cicho, ale Mira oczywiście pamięta wszystko, co ta mówiła o Peterze: „To nałogowiec. Wydaje ci się, że nałogowcy chleją, ćpają albo obstawiają na wyścigach, ale twój mąż nie ma problemów z alkoholem czy grą. Tylko ze współzawodnictwem. Ciągłe stara się wygrać. Nie może żyć bez adrenaliny”.

Ileż to razy Mira, czekając, aż nadejdzie sen, leżała i rozmyślała nad tym, czy to prawda. Dzwoni ponownie. I jeszcze raz. I kolejny. W końcu Peter odbiera telefon. Jest zły, mimo że tego nie słychać. Ale ona wie. Poznaje to po nawet najmniejszej zmianie w sposobie, w jaki wypowiada jej imię. Mira szepcze:

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić, kochanie. Ja... słyszałam, co się stało...

Peter nie odpowiada.

Mira więc pyta:

-Gdzie jesteś?

- W biurze. Mam spotkanie. Porozmawiamy później - pada szybka odpowiedź.

Po odgłosach w tle poznaje, że siedzi w samochodzie. Zawsze tak robił, gdy - jeszcze jako zawodnik - przegrywa! mecz. Wsiadał do auta i jeździł godzinami. Nigdy nie stosował przemocy wobec innych, wyłącznie wobec samego siebie. Krążył tak w ciemnościach, nie myśląc o tym, że ktoś czeka na niego w domu, przerażony, że to właśnie ten wieczór, kiedy zadzwoni telefon i to nie Peter będzie po drugiej stronie słuchawki, że policyjny głos zapyta: „Czy to pani jest żoną Petera Anderssona?”, a ona, słysząc jego głęboki, współczujący oddech, wyszeptała: „Tak”.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, kochanie. Jest mi strasznie przykro - zaczyna Mira. Słyszy szum i zastanawia się, jak szybko Peter jedzie. - Kochanie, musimy o tym porozmawiać... - dodaje.

- Nie ma o czym. Wygrali. Chcieli zniszczyć klub i znaleźli sposób, żeby z nami wygrać.

Mira wciąga ostrożnie powietrze, tak jak to zwykła robić ostatnimi czasy - jakby popełniła jakiś błąd.

- Ja... kochanie... wiem, że teraz wydaje się, że to koniec świata, ale...

- Mira, nawet nie zaczynaj.

- Jak to „nie zaczynaj”?

-Wiesz, co mam na myśli!

- Chcę tylko powiedzieć, że to może w końcu szansa dla nas, żeby usiąść i porozmawiać o tym, co innego możemy robić.

Ile razy go pytała: „Kiedy wreszcie skończysz z hokejem?”. Ile razy odpowiadał jej, że „za rok”? Za rok trochę zwolni, będzie pracował mniej, za rok nadejdzie jej kolej, by naprawdę skupić się na karierze. Od prawie dwudziestu lat czeka na kolejny rok.

Zawsze jednak dzieje się coś, co powoduje, że Peter okazuje się niezastąpiony, jakiś kryzys, który sprawia, że jest potrzebny. A ona czuje się jak ostatnia egoistka, wymagając od niego niemożliwego - stałych godzin pracy, powrotów do domu.

Peter nagle się unosi, mimo że pewnie nie miał takiego zamiaru.

- Miro, i co ja mam teraz robić? Zajmować się domem? Co?

Mira się obrusza, choć i ona nie miała tego w planie.

- Przestań wyładowywać frustrację na MNIE! Mówię tylko, że może poza ...

- Poza czym, Miro? Ten klub to całe moje ŻYCIE! - Peter słyszy tylko oddech żony, która zagryza wargę, żeby nie zacząć krzyczeć. Próbuje się opanować i ją przeprosić, ale uczucia zalewają go jak fala i jest w stanie powiedzieć tylko to: - Kochanie, rozumiesz przecież, o co mi chodzi...

Ile lat poświęciła? Przenieśli się do Kanady ze względu na hokej. Ile razy przeszło jej przez myśl, że kto, jeśli nie on, powinien ją zrozumieć? Wszyscy hokeiści chcą się przekonać, jak dobrzy mogą być. Dokładnie tak samo jest z adwokatami. Któregoś wieczoru po przeprowadzce do Björnstad wypłała za dużo i wykrzyczała mu całą prawdę: „Przeprowadzka tutaj to zgoda na to, że nigdy nie wykorzystasz się całego swojego potencjału”. Peter uznał, że mówi o nim, i poczuł się urażony. ON poczuł się urażony.

- Wiesz, co mam na myśli! - powtarza znów, a Mira doskonale go rozumie.

To właśnie ich problem. Hokej to całe jego życie, więc Mira odkłada słuchawkę.

Koleżanka ledwie zdążyła się uchylić, gdy telefon z hukiem uderza o ścianę.

Przybysz kładzie na barze pomietą kartkę z nazwiskami.

- Zna ich pani?

Stara barmanka przygląda się liście, nie dotykając jej.

- Lunch dnia to mięso z ziemniakami i sosem. Jak się już najesz, to wychodząc stąd, możesz wybrać dowolny kierunek.

Przybysz marszczy nos.

- Ma pani jakąś opcję bezmięsną?

Ramona klnie krótko i znika w kuchni. Słychać dźwięk kuchenki mikrofalowej, po czym barmanka pojawia się ponownie i kładzie talerz na barze. Mięso, ziemniaki i sos.

- Nie jem mięsa. - Przybysz mówi to, jakby była to najzwyklejsza rzecz na świecie, a nie coś, co wymaga specjalnych przeprosin.

-Że co?-Ramona chrząka.

- Nie jem mięsa.

- W takim razie mamy ziemniaki i sos - odpowiada Ramona, która niczym poirytowana matka zsuwa nożem mięso z talerza prosto na bar.

Przybysz się temu przygląda.

- Czy w sosie jest śmietana?

Ramona dopija piwo, klnie jeszcze raz, zabiera talerz i znika w kuchni. Wraca z kolejnym, na którym są tylko ziemniaki.

Przybysz kiwa spokojnie głową i zaczyna jeść. Ramona przygląda mu się przez chwilę, a potem stawia koło talerza szklankę z piwem.

- Ja stawiam. Musisz przecież, człowieku, coś naprawdę zjeść.

- Nie piję - odpowiada przybysz.

- Ja też nie, rzuciłam - odpowiada Ramona, nalewając sobie nowe piwo. I natychmiast dodaje: - To? Nie ma nawet pięciu procent! To praktycznie mleko!

Przybysz już ma zapytać, od jakich krów Ramona bierze mleko, ale odpuszcza. Barmanka nalewa dwie whisky, sama od razu wypija jedną. Swojej przybysz nawet nie dotyka.

- To kwestia alkoholu. Jest po prostu dobry na żołądek! - stwierdza Ramona.

Gdy przybysz nie sięga po swoją szklankę, barmanka wychyla również tę whisky. Podwójna korzyść dla żołądka. Przybysz rzuca krótkie spojrzenie na proporczyki i koszulki meczowe na ścianach.

- Zawsze tak bardzo lubiliście tu hokej?

Ramona prycha.

- My tutaj nie „lubimy” hokeja. Hokej „lubią” ludzie w dużych miastach, ze swoim pieprzonym popcornem w łóżach VIP. A następnego dnia przerzucają się na coś innego. Ale to nie jest duże miasto.

Przybysz nie reaguje na jej słowa. Irytuje to Ramonę, która zwykle bez problemu odczytuje zamiary innych. Przybysz kończy jeść, podnosi się, kładzie pieniądze na barze i wkłada listę z nazwiskami do kieszeni. Gdy jest już w połowie drogi do wyjścia, Ramona nie wytrzymuje:

- Dlaczego na tej liście są tylko faceci?

Przybysz się odwraca.

- Słucham?

- Jeśli jesteś w Björnstad, bo interesuje cię hokej, to dlaczego na liście masz tylko facetów?

Przybysz zasuwa zamek w kurtce.

- Nieprawda. Pani też na niej była.

Drzwi się otwierają i zamykają. Przybysz przeciska się między mężczyznami w czarnych kurtkach na zewnątrz. Zdziwiona Ramona stoi nadal za barem. Uczucie, które ją ogarnia, nie jest ani przyjemne, ani pożądane.

Gdy coś między ludźmi się kończy

W dzieciństwie, gdy tylko drzewa zaczynały się zielenić, Benji wciąż uciekał z domu i godzinami włóczył się po (esie, zanim w końcu wspiał się na któreś z nich. Przy wietrze powiewającym od strony miasta krzyczał, ile sit w płucach, próbując wyrzucić z siebie wszystko, co sprawiało mu ból. Jeśli wiatr nadchodził z innej strony, chłopiec siedział spokojnie, aż policzki prawie mu zamarzały i nie czuł już spływających łez.

Starsze siostry nauczyły go polować. Nie dlatego, że chciały- ale gdy mama całymi dniami pracowała, chłopiec najwyraźniej nie mógł zostawać w domu sam, nie wpadając na jakiś diabelski plan. W jego przypadku można było przewidzieć tylko to, że zrobi coś nieprzewidywalnego. Ku zaskoczeniu wszystkich przyrodzie udało się do niego dotrzeć o wiele lepiej niż ludziom. Jeśli człowiek od małego przebywa dużo w (esie, opanowuje dodatkowy język. Benji rozumie przemawiające w lesie powietrze. Jest smutne i dzikie.

Siostry nauczyły się polować od ojca. Benji nienawidził ich za to, że go pamiętały. Gdy poznał Kevina, po raz pierwszy w życiu miał kogoś, kto należał tylko do niego. Latem znikali w swojej tajemniczej kryjówce, na małej zarośniętej wysepce pośrodku jeziora, na którą nie zapuszczali się nawet myśliwi. Chłopcy mogli tam być w stu procentach sobą. Kąpali się nago, opalali na skałkach, łowili ryby na obiad i spali pod gwieździstym niebem, przez wiele dni nie musząc nawet ze sobą rozmawiać. Pierwszego lata byli tam jeden dzień, jako nastolatkiwie spędzali tam całe tygodnie, każdą chwilę aż do ponownego rozpoczęcia treningów.

Przez pierwsze lata przyjaźni zdarzało się, że Benji moczył się w nocy, gdy śnił o ojcu. Ale nigdy nie zdarzyło mu się to na wyspie. Po dopłynięciu do brzegu, zacumowaniu łódki i przywiązaniu jej do skat pozbywał się snów.

Kevin był dla Benjiego wszystkim. Najlepsi przyjaciele z dzieciństwa to nasza pierwsza miłość i łamią nam serca w najgorszy sposób.

Benji prowadzi Anę i Mayę na niedostępną i zarośniętą plażę. Na jeziorze nie ma pomostu, ale chłopiec wypycha schowaną w krzakach łódkę i wrzuca do niej plecak. Sam zanurza się w wodzie i płynie.

Początkowo dziewczynki nie rozumieją, dokąd zmierzają, na środku jeziora znajduje się tylko kilka zarośniętych skat z niskimi drzewami. Z łódki wygląda nawet na to, że nie można tam zejść na ląd. Ale Benji wyłania się za kilkoma większymi kamieniami, ociekając wodą, i z bosymi stopami wbitymi mocno w ziemię wciąga łódkę na brzeg.

W plecaku Ana znajduje haki i młotkiem, który wcześniej dał jej Benji, wbija je w skalną szczelinę, cumując w ten sposób łódkę. Maya wysiada za nią. Dopiero teraz do dziewczynek dociera, co widzą przed sobą na środku wysepki: oczyszczony z gałęzi fragment trawy, niewidoczny z brzegu i idealny pod namiot dla dwóch osób.

- To dobra kryjówka - mamrocze Benji ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Dlaczego nam ją pokazujesz? - pyta Maya.

- Już jej nie potrzebuję. - Widać, że kłamie. Przez sekundę sprawia wrażenie, jakby miał się do tego przyznać. Zamiast tego nieśmiało dodaje: - Jeśli będziecie się kąpać z tamtej strony, nikt z lasu was nie zobaczy. - Wskazuje dłonią drugi koniec wysepki.

May i Ana nie pytają, z kim wcześniej przypląwał na wyspę. Teraz należy ona do nich. Najlepsze w przyrodzie jest to, że nie ma w niej nic nostalgicznego, nie obchodzą jej poprzedni właściciele. Benji oddala się w kierunku skał. Chwilę przed tym, jak wskakuje do wody, Maya go wota:

- Benji?

Chłopiec się odwraca.

- Mam nadzieję, że wszystko się u ciebie ułoży, Benji - mówi Ana łamiącym się głosem.

Młody mężczyzna przytakuje szybko, po czym się odwraca, zanim Maya zrozumie, co to tak naprawdę dla niego oznacza. Dziewczynki stoją na brzegu, obserwując, jak Benji zanurza się w wodzie i odpływa.

Ana śledzi wzrokiem jego ręce przecinające taflę wody, mruży oczy, przyglądając się, jak Benji, smutny i dziki, znika w lesie po drugiej stronie jeziora. Dziewczyna z zadowoleniem przygryza dolną wargę. Gdy Maya wlepia w nią oskarżycielski wzrok, Ana tylko prychna:

- No co? Nie musiał przecież... urywać się stąd tak od razu. Akurat ON może sobie na mnie patrzeć do woli, gdy się kąpię...

Maya puka się w czoło.

- Masz poważne problemy psychiczne.

- No co? Widziałaś jego ręce? Mógłby na mnie patrzeć, gdybym...

- O nie! Dziękuję! Wystarczy! Jeszcze słowo i wylatujesz z mojej wyspy.

- Że co? Od kiedy to niby jest TWOJA wyspa?

Maya wybucha śmiechem. Jej najlepsza przyjaciółka to najmądrzejszy człowiek, jakiego zna; na swój dziwny sposób próbuje wrócić do normalności - chłopaków,

seksu, życia, świata. Zaczyna od tego, co zwykle - od humoru.

Zostają na wyspie prawie całe lato. Od czasu do czasu Ana urządza wyprawy do domu, by uzupełnić prowiant, ale głównie po to, by posprzątać w kuchni puste butelki. Zawsze wraca na wyspę przed zmrokiem i pilnuje, żeby Maya nie chodziła głodna. Pewnego ranka Maya się budzi i widzi w wodzie nagą Anę, która przeklinając, próbuje złowić rybę gołymi rękami, bo coś podobnego widziała w jakimś głupawym programie telewizyjnym. Od tej pory Maya nazywa przyjaciółkę „Gollum”. W rewanżu, gdy Ana po raz pierwszy widzi Mayę rozbierającą się na plaży i odsłaniającą jasną skórę spod koszulki i szortów, wybuchła: „Będziesz zajebistym tatą. Już teraz masz typową ojcowską opaleniznę z all inclusive”. To ostatnie lato, gdy głośno śpiewają, tańczą, wygłupiają się i śpią pod gołym niebem wolne od koszmarów. Maya, spokojna i wolna, gra na gitarze. Jeszcze o tym nie wie, ale za dziesięć lat każdy koncert będzie zaczynała jedną z piosenek, którą tu napisze. Ramiona będzie miała w tatuażach: na jednym gitara, na drugim strzelba. Piosenkę, którą zatytułuje Wyspa, zadedykuje najlepszej przyjaciółce.

Benji biega samotnie w innej części lasu. Znajduje nowe kryjówki, robi to od lat. Stał się mężczyzną, który niczego nie przyjmuje za pewnik, bo tylko dzieci wierzą w to, że pewne sprawy są oczywiste. Że zawsze będziemy mieć najlepszego przyjaciela. Że będziemy mogli być tymi, kim jesteśmy. Zakochać się, w kim chcemy. Dla Benjiego nie ma już rzeczy oczywistych. Biegnie coraz głębiej w las, aż tlen z trudem dociera do mózgu i chłopiec nie czuje już nic więcej. Wtedy wspina się na drzewo. I czeka na wiatr.

Raz danego słowa należy dotrzymać. To pierwsza rzecz, jakiej uczą się dzieci, gdy zaczynają mówić. Gdy Maya była mała, zmusiła ojca do obietnicy, że będzie mogła zostać astronautą. Peter jej to obiecał, bo tak robią rodzice. Obiecał też inne rzeczy: że nikt jej nigdy nie skrzywdzi, że wszystko zawsze się ułoży. Mimo że to nieprawda.

Po tym wszystkim, co wydarzyło się na wiosnę, Peter zapytał córkę, czy chce wyprowadzić się z Björnstad. „Nie, bo to też moje miasto” - odpowiedziała. Zapytał, co w takim razie mógłby dla niej zrobić. „Zbuduj lepszy klub”. To też jej obiecał.

Nigdy nie radził sobie dobrze ze słowami. Nie potrafił wyjaśnić, jak bardzo kocha dzieci i żonę, zawsze miał nadzieję, że wystarczy im to okazywać. A teraz? Co ma im teraz pokazać? Poza tym, że przegrał?

Zatrzymuje się przy przejściu dla pieszych. Młody ojciec mija go wraz ze swoją ósmio- czy dziewięcioletnią córką. Trzyma ją za rękę, dziewczynka wyraźnie daje mu do zrozumienia, że jest na to o jakieś sto lat za duża. Peter ma ochotę wysiąść z

samochodu i wykrzyzczyć mężczyźnie prosto w twarz, żeby nigdy nie wypuścił córki z rąk. Nigdy!

„W pierwszej kolejności jesteśmy rodzicami. Wszystko inne jest mniej ważne!” - powiedziała Mira, gdy urodził się ich pierwszy syn, Izaak. Oczywiście Peter już wtedy to wiedział. Wszyscy wiedzą. To nie jest dobrowolny proces, uczucia przejmują kontrolę nad człowiekiem i zostajemy pod władzą swych dzieci od momentu ich pierwszego płaczu. Od tej pory należymy do tej istoty. Od samego początku. Gdy więc dziecku nagle dzieje się krzywda, to zawsze nasza wina.

Peter chce wybiec z samochodu i wykrzyzczyć ojcu na przejściu dla pieszych: „Nie spuszcza jej z oczu, nikomu nie ufaj, nie pozwól jej iść na tę imprezę!”.

Gdy Izaak zmarł, wielu pytało: „Jak można poradzić sobie z czymś takim?”. Peter odpowiadał zawsze, że nie można. Człowiek po prostu żyje dalej. Część uczuć przerzuca na autopilota. Ale teraz? Sam już nie wie. Jest pewien tylko jednego: że gdy twojemu dziecku coś się przytrafia, nie ma znaczenia, kto ponosi za to winę. I tak spada ona na ciebie. Dlaczego cię tu nie było? Dlaczego go nie zabiłeś? Dlaczego nie zrobiłeś wystarczająco wiele?

Peter chce krzyknąć do ojca na przejściu dla pieszych: „NIGDY JEJ NIE WYPUŚĆ, BO TE CHUJE ZABIORĄ CI WTEDY CAŁE ŻYCIE!”.

Zamiast tego płacze tylko w ciszy, wbijając paznokcie w kierownicę.

Wyspa

*Letnia pora nastala
I wyspa byla nasza,
Choć wcześniej zima trwała
Przez tysiąc lat.*

*Odczuwałaś ból,
Ja też cierpiałam,
Zawiesiłaś sznur,
Ja węzeł zawiązałam.*

*Ileż to razy umierałyśmy,
Zanim wybiło szesnaście lat.
Ileż piosenek o pożegnaniu
Rozumiesz tylko ty?*

*Letnia pora nastala
I wyspa byla nasza.*

*Teraz jesteś moja
Na zawsze cała.*

Gdy Peter wracał późno z pracy, Mira usypiała przeważnie na kanapie. Nieotwarta butelka wina, dwa kieliszki na stole, małe, delikatne ukłucie wyrzutów sumienia, które miało mu przypominać, że ktoś na niego czekał, że kogoś bolało, że nie ma go w domu. Peter podnosił żonę delikatnie i zanosił do łóżka. Zasypiał wtulony w jej plecy.

Długie małżeństwo to suma drobnych rzeczy, ale gdy je zgubimy, nigdy nie wiadomo, gdzie i od czego zacząć szukać. Sposób, w jaki mimochodem go dotyka, podczas gdy Peter zmywa naczynia, a ona obok zaparza kawę. Jej mały palec zbliża się do jego, gdy w tym samym momencie kładą ręce na kuchennym stole, ze wzrokiem zwróconym w przeciwnym kierunku. Dwoje ludzi kochających się wystarczająco długo dotyka się wręcz nieświadomie. To raczej instynkt. Gdy spotykają się między korytarzem a kuchnią, ich ciała po prostu się odnajdują. Gdy przechodzą przez drzwi, jej dłoń jakby przez przypadek zamyka się w jego. Małe kolizje, każdego dnia, cały czas. Nie da się nimi sterować. Nikt nie wie, dlaczego znikają, a dwoje ludzi zaczyna żyć obok siebie zamiast ze sobą. Któregoś ranka nie patrzą już sobie w oczy, ich dłonie spoczywają kilka centymetrów od siebie na kuchennym stole. Mijają się w korytarzu. Już na siebie nie wpadają.

Peter otwiera wejściowe drzwi po północy. Mira udaje, że śpi, bo wie, że mąż liczy na to, że tak jest. Na stole stoi pusta butelka, obok niej tylko jeden kieliszek. Peter nie znosi żony do łóżka, tylko niezdarnie przykrywa kocem na kanapie. Przystaje na kilka chwil z nadzieją, że Mira przestanie udawać. Ale gdy ona otwiera oczy, mąż jest już w łazience. Zamyka drzwi i gapi się w podłogę. Ona leży na kanapie i wpatruje się w sufit. Nie wiedzą, czy jeszcze mają sobie coś do powiedzenia. Wszystko ma swoje granice. Mimo że często mówi się, że „wspólne szczęście jest podwójne”, wielu z nas uważa, że ze smutkiem jest na odwrót. Może to nieprawda. Dwie tonące osoby z dodatkowymi obciążnikami przywiązanyymi do stóp niekoniecznie staną się dla siebie wybawieniem, trzymając się za ręce. Utoną raczej dwa razy szybciej. Noszenie pękniętych serc w końcu staje się nie do zniesienia.

Śpią poza zasięgiem koniuszków swych palców. Bez ust we włosach i oddechu na plecach. Noc za nocą w ich głowach coraz bardziej zagnieżdża się jedno pytanie: czy tak to się właśnie zaczyna, gdy coś się między ludźmi kończy?

Dzisiejszego wieczoru przydałby się ktoś chętny do bójki

Wszyscy wielbicielowie sportu wiedzą, że w meczu rozstrzygające jest nie tylko to, co się podczas niego dzieje, ale również to, co się nie zdarza. Strzał w słupek, błędna decyzja sędziego, nieudane podanie. Wszystkie dyskusje o sporcie wcześniej czy później prowadzą do tysiąca „gdyby” i dziesięciu tysięcy „a gdyby nie”. Życie niektórych ludzi utknęło w podobnych dywagacjach, rok po roku opowiadają nieznanym przy coraz bardziej wyludnionym barze tę samą historię: o straconej młodszej miłości, nieuczciwym wspólniku, rozwodzie, niesprawiedliwym zwolnieniu z pracy, niewdzięcznych dzieciach czy wypadku. Czymś, przez co wszystko poszło się pieprzyć.

Wszyscy na dnie mają coś do powiedzenia o życiu, które powinno przypaść im w udziale zamiast tego, które mają. Miasta funkcjonują tak samo. Jeśli więc chce się zrozumieć ich wielkie historie, trzeba najpierw posłuchać tych małych.

Urząd gminy wyludnia się po święcie nocy świętojańskiej, politycy jadą na wakacje lub wracają do codziennych prac. Żeby zrozumieć, jak zarządzana jest gmina, trzeba zacząć właśnie tutaj: w tej okolicy polityka to zajęcie dodatkowe, za kilka tysięcy koron wynagrodzenia. Gdyby spojrzeć na liczbę poświęconych jej godzin, ociera się to wręcz o działalność charytatywną.

Większość polityków zatrudniona jest więc gdzie indziej lub prowadzi własne przedsiębiorstwa, a co za tym idzie - ma klientów, dostawców, szefów i partnerów biznesowych. W takiej sytuacji trudno utrzymać, że jest się „niezależnym”. Nikt nie jest wyspą, szczególnie tak głęboko w lesie.

Tylko jeden polityk w gminie, Richard Theo, latem nadal pracuje osiemnaście godzin dziennie i nie jest nikomu nic winny. Ubrany w czerń siedzi teraz samotnie w gabinecie i wykonuje telefon za telefonem. Niektórzy go nienawidzą, wielu się go boi. Niedługo to właśnie on zmieni bieg historii jednego klubu w dwóch miastach.

Gdy w Björnstad zaczyna padać deszcz, miasto się zmienia, nie jest bowiem przyzwyczajone do tego tak jak do śniegu. Ludzie zostają w domach, robią się jeszcze bardziej cisi i poirytowani niż zwykle.

Jeep przemierza las błotnistą drogą, przybysz zatrzymuje się przy niewielkim warsztacie obok zniszczonego domu. Na trawniku przed budynkiem stoi rząd samochodów czekających na naprawę. Od jednego z nich trudno oderwać wzrok - w jego maskę wbita jest siekiera.

Przybysz widzi, jak osiemnastolatek z dłońmi wielkimi jak prosięta wskakuje na maskę samochodu i wyciąga siekiere z karoserii, napinając przy tym ramiona tak mocno, że jego kark zdaje się zanurzać w jelitach.

Przysadzisty mężczyzna około czterdziestki, tak podobny do nastolatka, że przy stwierdzeniu ojcostwa zapewne nigdy nie było jakiegokolwiek mowy o wizycie listonosza, podchodzi do jeepa i stuka w szybę..

- Opony? - pochrząkuje.

Przybysz opuszcza szybę i powtarza, nie rozumiejąc:

- Opony?

Mężczyzna kopie w przednie koło.

- Strasznie zjeżdżone, rowki głębokie jak na longplayu, więc zakładam, że to powód tej wizyty.

- Okej - przybysz odpowiada.

- „Okej”? No więc nowe opony czy nie? - pyta mężczyzna.

- Okej - powtarza przybysz i wzrusza ramionami, jakby pytanie dotyczyło tego, czy chce więcej keczupu.

Mężczyzna mruczy coś prawie niesłyszalnie, po czym krzyczy:

- Bobo! Mamy opony do takiego?

Przybysz nie jest tu oczywiście po to, by wymienić opony, ale by ocenić umiejętności obrońcy. Jeśli jednak wymaga to wymiany opon, niech tak będzie. Wodzi wzrokiem za Bobo, który już samym wyciąganiem siekiery powalił go niczym niskobudżetowa wersja Króla Artura. Chłopak znika w warsztacie, gdzie o dziwo nie ma na ścianach plakatów z przewiewnie ubraną płcią piękną, co najprawdopodobniej świadczy o tym, że w domu jest też kobieta, której ani ojciec, ani syn nie chcą podpaść. Warsztat oklejony jest za to zdjęciami drużyn hokejowych, zarówno tych obecnych, jak i dawnych.

Przybysz wskazuje na nie głową, a potem na Bobo, który właśnie wychodzi z warsztatu z oponami pod pachą.

- Twój chłopak się do czegoś nadaje? Jako zawodnik? - pyta ojca.

Twarz mężczyzny rozjaśnia się dumą byłego obrońcy.

- Bobo? Jasne! To najtwardszy zawodnik w mieście!

Słowo „najtwardszy” nie zadziwia przybysza, zarówno ojciec, jak i syn sprawiają nieodparte wrażenie mężczyzn, którzy jeżdżą na łyżwach tylko w jednym kierunku. Mężczyzna wyciąga ubrudzoną olejem dłoń, przybysz odwzajemnia uścisk mniej więcej tak samo chętnie, jakby właśnie przyszło dotknąć mu węża.

- Mówią na mnie Knur. - Ojciec się uśmiecha.

- Zackell - odpowiada przybysz.

Opuszcza warsztat z lepszymi używanymi oponami za odrobinę wygórowaną cenę i notatką na nowym kawałku papieru: „Bobo. Jeśli nauczy się jeździć na łyżwach”.

Ten kawałek papieru to nie lista. To skład zespołu.

Amat biegnie poboczem szosy w przemoczonej od potu bluzie, aż oczy zalewają mu łzy, a głowa przestaje myśleć.

Zanim nastąpiła wiosna, nikt nie zauważał, że jest jednym z największych talentów hokejowych, jakie widziało to miasto. Mieszka z mamą w tanim czynszowym mieszkaniu w Niece w północnym Björnstad, zawsze grał używanym sprzętem i ciągle słyszał, że jest za mały. Ale na łyżwach nikt nie jest szybszy od niego. „Załatw ich” - krzyczą zwykle jego najlepsi przyjaciele zamiast „powodzenia”. Szybkość stała się jego bronią.

W tej okolicy hokej to sport niedźwiedzi, ale Amat nauczył się grać jak lew. Sport stał się dla niego sposobem na asymilację z otoczeniem, a kiedyś będzie może przepustką do lepszego życia. Zimą jego mama sprząta w hali lodowiska, a latem w szpitalu, ale pewnego dnia Amat zostanie zawodowcem i ją stąd wyrwie. Wiosną dostał szansę w drużynie juniorów. Nie zaprzepaścił jej. Udowodnił całemu miastu, że jest zwycięzcą. Droga ku marzeniom stała otworem. To były najlepszy dzień i najgorsza noc w jego życiu. Po meczu zaproszono go na imprezę, na której miała pojawić się również Maya Andersson. A Amat bardziej niż o hokeju marzył jedynie o jej pocałunku.

Był pijany, mimo to nigdy nie zapomni, jak zataczając się, przemierzał pokoje pełne roześmianych i śpiewających nietrzeźwych nastolatków, jak wszedł na górę i usłyszał Mayę wołającą o pomoc. Amat otworzył drzwi i zobaczył gwałt.

Gdy Kevin zrozumiał, co naprawdę ujrzał Amat, w zamian za trzymanie gęby na kłódkę zaproponował mu wraz z kilkoma kolegami z drużyny wszystko, o czym chłopak marzył: miejsce w drużynie juniorów, status gwiazdy i karierę. Tata Kevina dał mu pieniądze i obiecał lepszą pracę dla mamy. Każdy, kto kiedykolwiek posądzal Amata o to, że rozważał propozycję, żyje w świecie, w którym moralność to coś prostego. A to nieprawda. Moralność to produkt luksusowy.

Rodzice Kevina wraz ze sponsorami zwołali zebranie, na którym próbowali pozbyć się z klubu ojca Mai. Na spotkanie przyszedł też Amat. Stał na scenie i opowiedział o wszystkim, co zrobił Kevin. Peter Andersson wygrał głosowanie i zachował pracę.

A co było później? Amat biegnie coraz szybciej, nogi bolą go coraz bardziej. No i co stało się, kurwa, później? Kevina nigdy nie ukarano. Mai nie spotkało żadne zadośćuczynienie, a Amat wyszedł ze spotkania z tysiącem wrogów. Lyt wraz z kolegami go znaleźli i pobili. Gdyby w ostatniej sekundzie Bobo nie zmienił strony, pewnie by go zabili.

Ani Amat, ani Bobo nie są już mile widziani w Hed Hockey. Amat to kabel, Bobo jest zdrajcą. A Björnstad Hockey? Zaraz go nie będzie. Amat jest na dobrej drodze, by stać się jednym z tych, którzy za trzydzieści lat będą snuć przy barze opowieści pełne „gdyby” i „gdyby nie”. Nieraz widział też w hali lodowiska tych zniszczonych mężczyzn z trzydniowym zarostem i czterodniowym kacem, którzy osiągnęli szczyt swoich możliwości jeszcze jako nastolatki.

Amat mógł być zawodowcem, jego życie mogło się zmienić - zamiast tego zostanie byłym zawodnikiem już jako szesnastolatek.

Odpływa myślami. Nie zauważa jadącego za nim jeepa ani tego, że przez dłuższy czas samochód utrzymywał odległość pięćdziesięciu metrów, tak aby przybysz zdążył zanotować, jak daleko od miasta się znajdują i jak szybko Amat biegnie. Na kartce przybysz zapisuje: „Amat. Jeśli serce ma tak samo wielkie jak płuca”.

Benji siedzi oparty o nagrobek ojca. Mieszanka bimbrowa i trawy wypełnia mu ciało i umysł, wyłączając głowę. Benji odpływa. To jedyny sposób na przetrwanie.

Ma trzy starsze siostry, które łatwo rozróżnić po tym, jak reagują, gdy wypowiada się jego imię. Gaby to młoda matka, która na dobranoc czyta bajki, w piątek wieczór kładzie się wcześniej spać, a programy telewizyjne nadal ogląda w telewizji zamiast na komputerze. Katia jest barmanką w Stodole w Hed i piątkowe wieczory spędza na nalewaniu piwa i wywalaniu za drzwi stuczterdziestokilogramowych pijaków, którzy właśnie powzięli decyzję o uwolnieniu innego stuczterdziestokilowego pijaka od przednich zębów. Adri jest najstarsza i mieszka sama przy hodowli psów za miastem. Poza tym poluje, łowi ryby i lubi ludzi, którzy siedzą cicho. Jeśli więc powiesz „Benji”, to niespokojna Gaby wybuchnie: „Cz coś mu się stało?”, Katia westchnie: „Co tym razem zmalował?”, a Adri przyciśnie cię do ściany, pytając: „Po co ci, kurwa, mój brat?”. Gaby się niepokoi, Katia rozwiązuje problemy, a Adri chroni. W taki właśnie sposób dzieli się odpowiedzialność pomiędzy siostrami, gdy ojciec bierze strzelbę i idzie do lasu. Siostry wiedzą, że nie da się wychować takiego serca jak u Benjiego,

można próbować je jedynie ujarzmić. Teraz, gdy brat żyje jak koczownik, czasem w domu u mamy, czasem w lesie, a niekiedy u jednej z nich, siostry ponownie wcielają się w swoje role. Gaby wciąż zakrada się do jego pokoju i sprawdza, czy brat oddycha, mimo że ten ma już osiemnaście lat. Gdy Benji jest u Katii, siostra rozpieszcza go i przymyka oko na jego wybryki, bo nie chce, by brat przestał do niej przychodzić ze swoimi problemami. A Adri, gdy brat jest u niej, niezmiennie kładzie się wieczorem z kluczykiem do szafy z bronią pod poduszką. Żeby Benji nie poszedł w ślady ojca.

W tym mieście zawsze byli dorośli, którzy uważali Benjiego za buntownika. Jego siostry wiedzą jednak, że jest dokładnie na odwrót. Benji stał się tym, kim wszyscy chcieli, żeby był. Skrywający tajemnicę młody chłopiec szybko się uczy, że najlepiej się ukryć, pozostając na widoku.

Benji jako pierwszy, już jako dziecko, odkrył, że Kevin może zostać gwiazdą. W Björnstad takich zawodników nazywa się „drzewkami wiśni”, Benji dopilnował więc, by Kevin miał wystarczająco dużo miejsca na lodzie, by rozkwitnąć. Mógł się bić tak długo, że mężczyźni na trybunach mówili: „Prawdziwy hokeista, to nie jest sport dla pieprzonych pedałów. To sport dla takich jak Benji!”. Im więcej się bił, tym bardziej im się wydawało, że go znają. Aż stał się tym, kim chcieli, żeby był.

Ma osiemnaście lat. Podnosi się i całuje imię ojca na nagrobku. Po czym robi krok do tyłu, zaciska dłoń w pięść i z całej siły uderza w tym samym miejscu. Krew spływa mu z kostek, gdy Benji przemierza las w stronę Hed. Jutro Alain Ovich miałby urodziny, po raz pierwszy od wielu lat chłopiec będzie obchodził je bez Kevina. Dzisiejszego wieczoru przydałby się ktoś chętny do bójki.

Nie zauważa jeepa zaparkowanego pod drzewem. W deszczu przybysz podchodzi do nagrobka i przygląda się widniejącemu na nim nazwisku. Po powrocie do samochodu zapisuje na kartce: „Ovich. Jeśli nadal chce grać”.

Benji. Amat. Bobo. Każda duża historia kryje w sobie wiele mniejszych. Podczas gdy ci trzej młodzi mężczyźni są przekonani, że stracili swój klub, przybysz buduje już z nich nową drużynę.

Gdy nadchodzi wieczór, polityk Richard Theo jest już sam w budynku gminy. Nie wygląda na czterdziestolatka. To dzięki genom, których nienawidził, kiedy oczekując okresu dojrzewania, wyglądał pojawienia się włosków w pustych mieszkach, a które teraz błogosławi, bo równolatkowie wyrywają siwe włosy z brody i przeklinają grawitację podczas oddawania moczu. Koledzy noszą najwyżej dżinsy do marynarek, Theo zawsze jest w garniturze, przywykł już do drwin, że „wygląda jak poseł, mimo że jest tylko zwykłym outsiderem na wsi”. Nic sobie z tego nie robi. Nie ubiera się tak dla pracy, którą ma, tylko dla tej, którą chce mieć.

Wychowywał się w Björnstad, ale nigdy nie należał do popularnych dzieciaków, nigdy nie grał w hokeja. Nikt nie zauważył, że wyjechał za granicę na studia, przez lata pracował w banku w Londynie, aż nagle któregoś dnia zjawił się z powrotem w drogich garniturach i pełen politycznych ambicji. Wstąpił do najmniejszej partii w okolicy. Teraz nie jest już najmniejsza.

Jeszcze nie tak dawno nikt nie rozpoznałby go na szkolnych fotografiach. Wszystko się zmieniło, gdy lokalna gazeta zaczęła negatywnie oceniać jego politykę. Dla Theo nie ma jednak znaczenia, w jaki sposób ludzie przyswoili sobie jego nazwisko. Jak długo je pamiętają. Poglądy można przecież zmienić.

Z uwagi na to, że nie należy do lokalnego establishmentu, nie było go na spotkaniu, na którym poinformowano Petera o losie Björnstad Hockey. Wszystkie gminy posiadają elitę władzy, do której albo się należy, albo nie. Miejscowi notable nie dopuszczają Theo do swych kręgów, twierdząc, że to efekt jego polityki, ale on sam jest święcie przekonany, że po prostu się go obawiają.

Potrafi bowiem porwać za sobą ludzi. Nazywają go „populistą”, ale jedyną różnicą między nim a resztą polityków jest to, że nie potrzebuje flag. Pozostali mają swoje biura na najwyższym piętrze budynku i grają w golfa z dyrektorami z sektora gospodarczego, Richard Theo natomiast urządził swój gabinet na najniższym piętrze. Gromadzi informacje od tych, którzy stracili pracę, a nie od tych, którzy ich tej pracy pozbawili, słucha rozgoryczonych zamiast zadowolonych. Nie potrzebuje więc żadnych flag, by zauważyć, że wiatr zmienia kierunek. Gdy wszyscy inni politycy obierają jeden kurs, mężczyźni tacy jak Richard Theo idą w przeciwną stronę. Czasem właśnie w ten sposób wygrywają.

Słysząc pukanie do drzwi. Jest późno, nikt nie widział przybysza.

- W końcu! I co? Wiesz już wszystko? Przyjmujesz tę pracę? - pyta Richard Theo bez wahania.

Zackell stoi w drzwiach, w kieszeni kurtki ma już kartkę z nazwiskami zawodników nowego zespołu. Odpowiada jednak tak apatycznie, że trudno stwierdzić, czy to z braku entuzjazmu wobec tej konkretnej pracy, czy do życia w ogóle:

- Gdy do mnie zadzwoniłeś, zaproponowałeś mi pracę trenera pierwszego zespołu Björnstad Hockey. Ale przecież ten klub jest na drodze do bankructwa. A nawet jeśli nie, to ma już trenera. A nawet jeśli nie ma, to nadal jesteś politykiem, a nie dyrektorem sportowym, więc albo ja w rażący sposób nie rozumiem systemu demokratycznego, albo ty możesz mi zaproponować pracę trenera mniej więcej tak samo, jak sprawić, by objawił mi się jednorożec.

- A mimo to tu jesteś! - stwierdza pewnie Richard Theo.

- Tak się składa, że uwielbiam jednorożce. - Zackell wyznaje to takim tonem, że trudno stwierdzić, czy sobie żartuje, czy nie.

Theo przechyla głowę.

- Kawy?

- Nie piję kawy. Nie lubię ciepłych napojów.

Theo się wzdryga, jakby próbował uniknąć dźgnięcia nożem.

- Nie pijesz KAWY? No to niełatwo ci będzie wpasować się w to miasto!

- To akurat nie jest wyjątkowe właśnie dla tego miasta - odpowiada Zackell.

Theo się zaśmiewa.

- Dziwny z ciebie człowiek, Zackell.

- Zdarzyło mi się to już słyszeć wcześniej.

Theo uderza dłońmi o biurko i podnosi się żwawo.

- To mi się podoba! I mediom też się spodoba! Praca trenera jest twoja. I nie przejmuj się dyrektorem sportowym w Björnstad Hockey. Już nie mogę się doczekać naszej współpracy.

Wygląda, jakby przymierzał się do przybicia piątki. Mina przybysza wskazuje natomiast, że to nie wchodzi w grę.

- Mam szczerą nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli „współpracować”. Jestem tu, by zająć się hokejem, nie polityką.

Zadowolony Theo rozkłada ręce.

- Nienawidzę hokeja, więc możesz go sobie wziąć w całości!

Zackell wkłada ręce do kieszeni kurtki.

- Jak na kogoś, kto nienawidzi hokeja, sporo się nim zajmujesz.

Zadowolony Theo mruży oczy.

- To dlatego, że gdy wszyscy kierują się w jedną stronę, ja idę w przeciwną. Właśnie w ten sposób zwyciężam.

Jak to powiedzieć dzieciom

Poza jednym gabinetem światło w całym biurze adwokackim jest zgaszone. Mira Andersson jest jeszcze w pracy, na dwóch fotelach obok leży koleżanka, wyszukując w Internecie wycieczki czarterowe.

- Czarter? Przecież ty nawet nie lubisz mieć wolnego - zauważa Mira.

Koleżanka przeciąga się niczym urażony kot.

- Bo nie lubię. Ale nie pokazać takiego ciała w bikini przynajmniej raz do roku to zbrodnia przeciwko ludzkości!

Mira wybucha śmiechem. Jezu. Niesamowite, że koleżance nadal udaje się sprowokować ją do śmiechu. Co za szczęście mieć taką przyjaciółkę.

- Daj znać, jak już coś zabukujesz, żebym mogła zadzwonić i ostrzec ten biedny kraj, by pozamykali na klucz wszystkich żonatych.

Koleżanka kiwa głową z poważną miną.

- I synów. I ojców, jeśli wypiję wystarczająco dużo fernetu.

Mira się uśmiecha. Powoli mruga i wydusza:

- Dzięki, że jesteś...

Koleżanka wzrusza ramionami.

- W domu mam cienkie wi-fi.

Oczywiście to nieprawda. Została w pracy, bo wie, że Mira nie chce wrócić wcześniej do domu i samotnie czekać na Petera. Koleżanka nie ocenia ani nie roztrząsa tej sprawy, zostaje po prostu w jedynym gabinecie w biurze, w którym jeszcze pali się światło.

Jezu. Co za szczęście mieć taką przyjaciółkę.

„Nigdy nie darz uczuciem klubu hokejowego. Bo on nie będzie darzył nim ciebie” - mawiała zwykle mama Petera Anderssona. Była dużo serdeczniejsza od ojca, czasem Peter ma wrażenie, że ojciec też taki był, zanim mama zachorowała. „Nie myśl sobie, że jesteś kimś” - mówił ojciec. Najwyraźniej Peter nie słuchał żadnego z nich.

Obdzwonił już wszystkich znajomych. Wszystkich, z którymi grał. Prosił o rady, pieniądze i zawodników, by uratować klub. Wszyscy zdawali się go rozumieć,

współczuli mu, ale hokej bazuje na tabelach. Nie ma nic za darmo.

Dzwoni telefon. To Frak, przyjaciel z dzieciństwa, właściciel sklepu spożywczego i ostatni sponsor Björnstad Hockey. Drży mu głos:

- Peter, to straszne. To jest, kurwa, straszne... Ktoś... ktoś zamieścił...

- Co? - pyta Peter.

- Dzwonię, zanim twoje dzieciaki to zobaczą. Ktoś... jakiś chuj zamieścił w gazecie nekrolog. Z twoim nazwiskiem.

Peter nic nie mówi. Rozumie przesłanie. Można sobie w nieskończoność wmawiać, że „krytyka to część pracy” i żeby „nie brać tego do siebie”. Ale człowiek jest tylko człowiekiem. Bierzesz do siebie, że twoje nazwisko pojawia się w nekrologu.

- Jechać ich ... - próbuje niepewnie Frak, ale wie, że to bez sensu.

Klub z Björnstad dałoby się uratować, nie mając poparcia wszystkich. Ale nie, gdy wszyscy są przeciwko.

Peter odkłada telefon. Powinien jechać do domu, ale przypomina sobie, że Maya i Ana są na kempingu, a Leo nocuje u kolegi. Będą z Mirą sami w domu, a on wie, co powie żona. Będzie próbowała namówić go, żeby się poddał.

Zawraca więc i jedzie przed siebie. Wyjeżdża z miasta, coraz dalej, z coraz większą prędkością.

Na ścianie w gabinecie Richarda Theo wisi zdjęcie bociana. Theo studiował statystykę i zdaje sobie sprawę, że najprostszym sposobem, żeby wpłynąć na to, co ludzie myślą, jest wskazanie związku między różnymi zjawiskami: zła dieta prowadzi do choroby, alkohol powoduje wypadki samochodowe, bieda przyczynia się do wzrostu przestępczości. Theo wie również, że liczbami można sterować, odpowiednio dopasowując je do własnych politycznych potrzeb.

Z książki jednego z brytyjskich statystyków Theo dowiedział się na przykład, że istnieją dane wskazujące, że każdego roku liczba noworodków jest dużo większa w miastach, w których występuje dużo bocianów, niż w miastach, w których bocianów jest niewiele. „Co nam to mówi? Że bociany przynoszą dzieci!” - odpowiedział sarkastycznie autor książki. Oczywiście, że nie! Tak naprawdę więcej bocianów znajdowało się w miastach z wieloma kominami, bo właśnie tam budowały gniazda. Wiele kominów wskazuje na istnienie wielu domów, a co za tym idzie - na więcej ludzi, a tym samym więcej dzieci.

Richard Theo zawiesił zdjęcie bociana na ścianie, aby każdego dnia pamiętać, że nie jest ważne to, co się dzieje, lecz to, jak wyjaśni się to ludziom.

Interesują go też inne zwierzęta, jak niedźwiedzie i byki. Wyrósł w środowisku, w którym tak właśnie nazywano kluby hokejowe. Gdy studiował ekonomię za granicą,

dowiedział się, że maklerzy giełdowi na Wall Street używają podobnych nazw: „byki” dla wzbijających się w górę kursów i „niedźwiedzie” dla powolnych i bezwzględnych ruchów na rynku w czasie niskiej koniunktury. Według giełdowej zasady oba zjawiska są niezbędne, a ich walka utrzymuje finanse w korbach.

Richard Theo dokładnie w ten sam sposób patrzy na kluby hokejowe, jego celem jest jednak coś zupełnie przeciwnego - zaburzenie równowagi. Polityczne wybory są proste: gdy wszystko dobrze się układa i ludzie są zadowoleni z życia, wygrywa establishment. Ale gdy społeczeństwo jest skłócone i rozdrażnione, wygrywają tacy jak Richard Theo. Żeby władzę mógł przejąć outsider, konflikt jest niezbędny. A jeśli nie ma żadnego konfliktu? Trzeba jakiś wywołać. Theo wybiera numer dawnego kumpla z Londynu.

- Czy wszyscy są zgodni? - pyta.

- Tak, wszyscy w to wchodzi. Ale zdajesz sobie sprawę, że nowi właściciele muszą mieć pewne... gwarancje polityczne? - naciska przyjaciel z Londynu.

- Dostaną wszystko, czego sobie zażyczą, dopilnuj tylko, żeby się tu pojawili i uśmiechali na zdjęciach w lokalnej gazecie - odpowiada Theo z przekąsem.

- A ty czego byś chciał?

- Być ich przyjacielem - mówi polityk z naciskiem.

- Taa, tak jak zwykle.

- To dobry interes dla nowych właścicieli - zapewnia Theo.

Przyjaciel po drugiej stronie słuchawki przytakuje:

- Nawet bardzo dobry, bez dwóch zdań. I nie do przeprowadzenia bez twoich wyjątkowych zdolności i politycznych kontaktów. Nowi właściciele doceniają twoją pomoc. Ale szczerze: dlaczego właśnie TY interesujesz się tą fabryką?

Głos Theo jest miękki:

- Bo jest w Björnstad. Potrzebuję jej, by zdobyć klub hokejowy.

Człowiek po drugiej stronie wybucha śmiechem. Gdy po raz pierwszy spotkali się na uniwersytecie w Anglii, Theo nie miał nic poza niewielkim stypendium akademickim. Jego mama pracowała jako nauczycielka, ojciec był robotnikiem w fabryce. Udzielał się jednak w związkach zawodowych, gdzie dał się poznać jako niestrudzony negocjator. Wieść gminna niesie, że kierownictwo fabryki zrobiło z niego szefa średniego szczebla tylko po to, by nie brał udziału w negocjacjach związkowych. Ojciec szybko utył i zrobił się wygodny, a co za tym idzie - nieszkodliwy. To nauczyło Richarda Theo, jak można wykorzystywać władzę. Podczas studiów z pełną premedytacją wyszukiwał konkretny typ mężczyzn: pochodzących z bogatych rodzin, słabych, prześladowanych i z niskim poczuciem własnej wartości. Wesoły Theo był dobrym kolegą i świetnym towarzyszem na imprezach, poza tym potrafił rozmawiać z dziewczynami. Te cechy są

cenione bez względu na miejsce. W zamian za to zyskiwał lojalnych przyjaciół, którzy niebawem mieli odziedziczyć pieniądze i władzę. To nauczyło Theo, jak ważne są kontakty.

Po powrocie do Björnstad mógł przebierać, wybierając partię, ale dołączył do najmniejszej - z takiego samego powodu, dla którego postanowił rozpocząć polityczną karierę właśnie tu, a nie w dużym mieście. Czasem lepiej być dużą rybą w małej sadzawce niż małą rybą w dużej. Polityczne kierunki i barwy go nie interesują, równie dobrze mógłby stać na jednym, jak i drugim skrzydle. Część ludzi napędzają ideały, Richarda Theo natomiast nakręca wynik. Pozostali politycy uważają go za „oportunistę” z „prostymi odpowiedziami na trudne pytania”. Takiego, co w jednej chwili stoi z bezrobotnymi w Futrze i obiecuje im gminne inwestycje, a w następnej sekundzie zapewnia przedsiębiorców w Hed o obniżeniu podatków. Za każdym razem, gdy w Niece dochodzi do przestępstwa, szuka łatwych kozłów ofiarnych, w lokalnej gazecie agituje za „zwiększoną obecnością policji”, a jednocześnie krytykuje establishment za „przekraczanie budżetu gminy”. Trzyma z ruchami ekologicznymi, obiecując im zlikwidowanie wpływów myśliwych na lokalnych polityków, ale gdy agenda tego wymaga, można go znaleźć wśród myśliwych, podlegającego ich przeciwko wielkomięskim miłośnikom wilków i przeciwnikom broni w urzędach.

Theo jest to oczywiście kompletnie obojętne, dla niego to tylko kolejny sposób na pokazanie, że nie potrzebuje flag. Polityka to strategia, nie marzenia. No więc które sytuacje uda mu się wykorzystać tego lata?

Od dawna słyhać pogłoski, że szpital w Hed zostanie zamknięty. Fabryka w Björnstad zmniejsza zatrudnienie od wielu lat. A teraz jeszcze Björnstad Hockey grozi plajta. Trzeba się nieźle znać na wiatrach, żeby wiedzieć, jak tu coś ugrać na wszystkich trzech frontach.

- Klub HOKEJOWY? Nie wiedziałem, że lubisz sport - dziwi się londyński przyjaciel.
- Lubię wszystko, co przynosi mi korzyści - odpowiada Richard Theo.

Dwie kobiety, Fatima i Ann-Katrin, jadą do domu niewielkim samochodem przez las. Ich synowie, Amat i Bobo, wiosną zostali kolegami z drużyny, niedźwiedź na koszulkach połączył nie tylko chłopców, ale również matki. Latem Fatima sprząta w szpitalu, w którym Ann-Katrin pracuje jako pielęgniarka. Podczas wspólnych przerw na kawę kobiety odkryły, że wprawdzie wpisane w paszportach miejsca ich urodzenia są od siebie odległe, ale łączy je coś innego - mentalność. Obie ciężko pracują, głośno się śmieją i kochają swoje dzieci ponad wszystko.

Początkowo większość ich rozmów dotyczyła plotek o zamknięciu szpitala. Fatima opowiedziała wtedy Ann-Katrin, że jednym z pierwszych zwrotów, jakich nauczyła się w miejscowym dialekcie, gdy dopiero co sprowadziła się tutaj z niemowlakiem na

ręku, było: „Ma być ciężko”. Fatima uwielbiała miejscową społeczność, która nie udawała, że świat jest nieskomplikowany. Życie jest ciężkie, sprawia ból - tutaj nikt nie bał się do tego przyznać. Po czym z uśmiechem na twarzy dodawał: „Ale do cholery! Ma być ciężko. Inaczej każdy wielkomiastowiec by sobie tu poradził!”.

Ann-Katrin odwdzięczała się jej swoimi opowieściami. O przedwcześnie zmarłych rodzicach, dorastaniu w lesie w czasach słabej koniunktury, miłości do wielkiego, niezdarnego mężczyzny, na którego wszyscy wołali Knur, bo grał w hokeja jak postrzelony dzik i potrafił jeździć na łyżwach, tylko rozpędzony do przodu. Ann-Katrin nigdy nie podróżowała, nie widziała świata, nie czuła takiej potrzeby. „Najpiękniejsze drzewa są tutaj” - przekonywała Fatimę, dodając przy tym: „I mężczyźni też nie najgorsi, jeśli tylko ma się cierpliwość”.

Knur i ich trójka dzieci, z których Bobo jest najstarszy, wypełniają Ann-Katrin cały dzień. Każdego ranka wstaje wcześnie, karmi je i ubiera, pomaga Knurowi z papierkową robotą w warsztacie, po czym jedzie do szpitala na długie dyżury wypełnione najgorszymi dniami w życiu innych ludzi. Potem znów do domu, bo „trzeba odrobić lekcje, ogarnąć dom i od czasu do czasu otrzeć jakąś dziecięcą łzę”.

Ale wieczorem Knur zakrada się do kuchni dużo lżejszym krokiem, niż zakładałaby jego postura. I gdy tak ją obejmuje, przytuloną ciasno do niego, i tańczą, ona ze stopami na jego stopach, tak że unosi ją delikatnie przy każdym kroku, to wtedy Ann-Katrin wie, że to wszystko ma sens. Tak właśnie wygląda jej życie. „Pamiętasz, jak dzieci były jeszcze całkiem małe? Gdy odbierało się je z przedszkola, biegły w naszym kierunku i WSKAKIWAŁY nam w objęcia? Rzucały się bez namysłu, bo całkowicie nam ufały, że je złapiemy. To moja ulubiona chwila w życiu”. Fatima uśmiechała się wtedy, dodając: „Wiesz, kiedy Amat gra w hokeja, gdy jest naprawdę szczęśliwy, nadal to czuję. Wiesz, co mam na myśli?”. Ann-Katrin wie to doskonale. Tak właśnie zostały przyjaciółkami.

To Fatima podniosła Ann-Katrin, gdy ta kilka tygodni temu wyróciła się w szpitalnej kafeterii. Była jedną z pierwszych osób, którym Ann-Katrin powiedziała o chorobie. Fatima towarzyszyła jej podczas wizyt lekarskich, woziła ją do specjalistów w innych szpitalach, tak by Knur mógł zostać w domu i zająć się warsztatem. Siedzą teraz w samochodzie, zmęczona Ann-Katrin się uśmiecha.

- Za dużo dla mnie robisz.

Fatima odpowiada zdecydowanie:

- Wiesz, czego nauczyłam się po przyjeździe do Björnstad? Że jeśli same o siebie nie zadbamy, to nie zrobi tego nikt inny.

- „Niedźwiedzie srają w lesie, a wszyscy inni srają na niedźwiedzie!” - powtarza za nią Ann-Katrin głosem podchmielonego dziadka z Futra, tak że obie kobiety

wybuchają głośnym śmiechem.

Gdy wjeżdżają na trawnik pod domem Ann-Katrin, Fatima odzywa się cichym głosem:

- Musisz powiedzieć Bobo, że jesteś chora.
- Wiem - odpowiada przyjaciółka, ukrywając twarz w dłoniach.

Chciała poczekać do rozpoczęcia sezonu hokejowego, tak żeby Bobo miał gdzie pójść ze wszystkimi uczuciami. Ale nie ma już na to czasu. Co powinna więc zrobić? Jak powiedzieć dzieciom, że umrze?

Stodoła to knajpa na obrzeżach Hed, gdzie gra muzyka na żywo i serwuje się tanie piwo. Jak wszystkie tego typu miejsca jest naturalnym miejscem spotkań tych, którzy próbują zapomnieć o problemach, jak i tych, którzy ich szukają. Katia Ovich siedzi w biurze pochylona nad papierami, gdy jeden z ochroniarzy puka w futrynę drzwi.

- Wiem, że prosiłaś, żeby ci nie przeszkadzać, ale twój brat siedzi przy barze. W samej koszulce.

Benji rzeczywiście siedzi przy barze, co nie musi od razu oznaczać problemów. Chłopak praktycznie wychował się w Stodole, a gdy brakowało rąk do pracy, stawał za barem i nalewał piwo, na długo zanim samemu wolno mu było je kupić. Ale teraz jest inaczej. Stali bywalcy kibicują Hed Hockey i do tej pory przymykali oko na Benjiego, z trzech powodów: 1. Stali bywalcy lubią Katię. 2.. Benji był w Björnstad tylko juniorem. 3. Zawsze miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by nosić długi rękaw.

Ale teraz Benji ma osiemnaście lat, jeśli na jesieni dalej będzie grał, to już w pierwszym zespole, a dziś wieczorem przy barze siedzi w samej koszulce i wszyscy widzą wytatuowanego niedźwiedzia na jego ramieniu. W tygodniu, w którym w Internecie pojawił się filmik z płonącymi flagami z Hed Hockey, a pewna polityk z Hed znalazła siekiere wbity w maskę samochodu, po tym jak publicznie wypowiedziała się na temat ewentualnego bankructwa Björnstad Hockey.

- Może byś tak założył sweter, co? - pyta Katia, stając za barem.

Benji się uśmiecha.

- Siema, ulubiona siostró!

To sztuczka jeszcze z dzieciństwa; słabą stroną Katii jest to, że nigdy nie potrafiła się na niego złościć, bo tak bardzo pragnęła, by to właśnie ją kochał najbardziej. Teraz wzdycha smutno:

- Benji, proszę cię, nie mógłbyś tego robić gdzieś... indziej?

Wskazuje ręką na szklankę z piwem. Katia doskonale zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie powstrzymać członków rodziny od czegokolwiek. Nauczyła się tego już dawno temu. Jutro wypadałyby urodziny ich ojca.

- Nic się nie martw, ulubiona siostró! - odpowiada Benji.

Tak jakby to było w ogóle możliwe. Katia spogląda na niego prosząco.

- Dopijaj piwo i chodź ze mną do domu, dobra? Daj mi kwadrans, skończę tylko papiery.

Benji pochyla się ponad barem i całuje ją w policzek. Siostra ma jak zwykle ochotę jednocześnie przytulić go i uderzyć. Rzuca okiem na prawie pustą salę. Na szczęście zebrani tu dziś ludzie są albo za starzy, albo zbyt pijani, by przejmować się tatuażem brata. Ma nadzieję, że zdąży go stąd zabrać, zanim sytuacja przybierze inny obrót.

Gdy Amat nie ma już siły w nogach, zawraca i biegnie w stronę miasta. W połowie drogi mija go volvo. To Peter Andersson. Amat może i powinien się powstrzymać, unieść dumą, ale zamiast tego zaczyna podskakiwać i żywołowo machać. Samochód się zatrzymuje, jakby niechętnie. Amat przechyla się przez zsuniętą szybę, słowa wylewają się z niego, choć mocno dyszy:

- Yyy, dzień dobry ... chciałem tylko zapytać... ta cała gadka o klubie... czy na jesieni. . . czy będziemy mieć juniorów? Chciałbym grać, musz...

Peter nie powinien się być zatrzymywać, a tym bardziej zalewać swoimi uczuciami szesnastoletniego chłopca. Na sekundę zapomina, co Amat zrobił wiosną. Powodem, dla którego właśnie ten zawodnik nie może przejść do juniorów w Hed, jest to, że zeznawał na korzyść Mai. Uratował Petera od zwolnienia. Czasem jednak smutek i złość pochłaniają dorosłych tak bardzo, że nie mają już siły myśleć o uczuciach innych.

- Amat, mam teraz dużo na głowie, porozmawiamy o tym innym razem...

- Ale kiedy? Nie mam gdzie GRAC! - odcina się zdyszany Amat.

Peter nie chciał brzmieć, jakby był zły. Po prostu się boi. Duszą go wyrzuty sumienia, a wtedy do niektórych miejsc w mózgu nie dociera wystarczająco dużo tlenu.

- Nie SŁYSZYSZ, co do ciebie mówię? W DUPIE MAM JUNIORÓW! Nie wiem nawet, czy mamy KLUB!

Dopiero teraz Amat zauważa, że Peter płakał. Chłopiec odsuwa się ostrożnie od samochodu. Peter odjeżdża zdruzgotany. W deszczu nie zauważa, że Izy spływały również po policzkach Amata.

Przy barze w Stodole siedzi dwudziestopięcio- czy dwudziestosiedmioletni mężczyzna. W niebieskich džinsach i koszulce polo. Pije piwo i czyta książkę. Gdy Katia znika w biurze, mężczyzna unosi brew, spogląda na Benjiego i pyta:

- Powinienem się odsunąć?

Benji odwraca się w jego stronę z beztroskim, delikatnym uśmiechem w kącikach ust, którym potrafi zarazić każdego.

- Jak to?

Mężczyzna w koszulce polo się uśmiecha.

- Twoja siostra uważa, że wpakujesz się w problemy. Zastanawiam się więc, czy powinienem się odsunąć.

- Zależy od tego, jak bardzo lubisz problemy - odpowiada Benji, popijając piwo.

Mężczyzna w polo przytakuje, ukradkiem przyglądając się dłoni chłopca. Widzi krew na kostkach.

- Mieszkam tu od czterech godzin, jak szybko twoim zdaniem wypada tu wpaść w tarapaty?

- Zależy trochę od tego, jak długo planujesz tu zostać. Co to za książka?

Pytanie pada tak szybko, że mężczyźni na sekundę odbiera mowę; po fakcie dociera do niego, że może właśnie o to chodziło. Benji ma różne sposoby na to, by ludzie poczuli się niepewnie.

- To była... to znaczy, to JEST biografia Fryderyka Nietzschego - odpowiada mężczyzna w polo, odchrząkując.

- Tego od otchłani? - pyta Benji.

Mężczyzna w polo wygląda na zaskoczonego.

- „Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”. Tak. To Nietzsche.

- Wyglądasz na zdziwionego.

- Nie... - kłamie mężczyzna.

Benji dopija piwo. Od wielu lat jego mama miała dla niego specjalny system kar za bójki w szkole. Codzienne czytanie gazet. Benjiemu nie wolno było pójść na trening, dopóki nie odpytała go ze wszystkiego: artykułu wstępnego, części zagranicznej, krajowej, działu kulturalnego i polityki. Po kilku latach stało się to dla niego za proste, więc mama przerzuciła się na literaturę klasyczną. Sama ledwie sobie z nią radziła, ale wiedziała, że syn jest mądrzejszy, niż daje po sobie poznać. Kara za złe zachowanie była więc jednocześnie przypomnieniem, że jest lepszy, niż mu się wydaje.

Benji prycha w kierunku mężczyzny w polo:

- Myślałeś, że na hasło Nietzsche będę tu rzucał kawałkami w stylu „co mnie nie zabije, to mnie wzmocni”? Albo „W niebie brak wszystkich interesujących ludzi”? Albo ... jak to, kurwa, było? „A ci, którzy tańczyli, zostali uznani za szalonych, przez tych, którzy nie słyszeli muzyki”.

- Nie wydaje mi się, że to ostatnie to Nietzsche - odpowiada ostrożnie mężczyzna.

Benji dopija piwo, nie dając po sobie poznać, czy rzeczywiście się pomylił, czy tylko go sprawdza.

- Nadal wyglądasz na zdziwionego - dodaje po chwili.

- Ja... nie... To znaczy, jeśli mam być szczery: nie wyglądasz na kogoś, kto cytuje Nietzschego... - Mężczyzna się uśmiecha.

- Na wiele rzeczy nie wyglądam - odpowiada Benji z uśmiechem tańczącym w kąciku ust.

Wieczorem Bobo wraz z matką wybierają się na długi spacer po lesie. Ann-Katrin chciałyby opowiedzieć synowi, jak trudno jest być dorosłym, jak skomplikowany jest świat. Ale nie wie jak. Całe dzieciństwo syna uczyła go, że przemoc jest zła, ale gdy wiosną brał udział w bójce, którą prawie przypłacił życiem, była z niego dumna jak nigdy. Obronił Amata. Ochronił go własnym ciałem. Obrął stronę.

Przez długi czas czuła szczęście, że syn jest taki czuły. Inni chłopcy się wstydzili, gdy mamy całowały ich w czoło przy kolegach, ale nie Bobo. Był typem, który mówił: „Ale masz dziś piękną fryzurę, mamó”. Teraz wolałyby, żeby był twardszy. Zimniejszy. Może lepiej zniósłby to wszystko.

- Jestem chora... - szepcze mama.

Bobo płacze, ale matka płacze jeszcze bardziej. Syn nie jest już tym małym chłopcem, który wskakiwał jej w ramiona. Jest wystarczająco duży, by pomieścić w sobie cały smutek, i wystarczająco silny, by zanieść matkę na rękach do domu po tym, jak wyjawiała mu prawdę. Ann-Katrin szepcze mu do ucha:

- Zawsze byłeś najlepszym starszym bratem. Teraz musisz być jeszcze lepszy.

Wieczorem mama słyszy, jak Bobo czyta młodszemu rodzeństwu Harry'ego Pottera. W nocy Knur zaparza słabą herbatę, a Bobo przychodzi do łazienki i przytrzymuje mamie włosy, gdy ta wymiotuje. Kiedy Ann-Katrin leży już w łóżku, syn wyciera jej policzki i mówi cicho:

- Powiedzieć ci coś głupiego? Zawsze mi mówisz, że nigdy nie znajdę sobie dziewczyny, bo mam za wysokie wymagania. To twoja wina. Bo chciałbym mieć kogoś, kto patrzy na mnie tak, jak wy z tatą patrzycie na siebie.

Ann-Katrin przytula dużą, głupkowatą głowę syna do piersi. Tak bardzo chciałyby być na jego ślubie. Widzieć go w roli ojca. Życie jest czasem tak cholernie, cholernie ciężkie, że aż trudno wytrzymać. Nawet jeśli takie ma być.

Katia już prawie kończy z papierami, gdy przybiega ochroniarz. Wie, że jest już za późno. Żaden z gości nie kwapił się do potyczek z Benjim w Stodole, ale znalazł się ktoś, kto zadzwonił po innych, a ci nie byli już tak tolerancyjni, jeśli chodzi o wolność

artystycznej ekspresji. U jednego z nich na przedramieniu widnieje byk. Gdy wchodzi do Stodoły, Benji rzuca do mężczyzny w polo:

- TERAZ jest dobry moment, żeby się odsunąć!

Uśmiecha się niczym mały łobuz, który właśnie podłożył komuś na krzesło pierdzącą poduszkę. Żaden z mężczyzn w drzwiach nie jest nawet w połowie tak wytrenowany jak Benji, ale przyszli w czterech, a on jest sam. Chłopak z entuzjazmem zeskakuje z krzesła, tak jakby się cieszył, że zebrało się ich tak wielu i szanse będą wyrównane. Mężczyźni nie rzucają się na niego, to on rusza w ich kierunku, co dezorientuje ich na chwilę, wystarczająco długą, by Benji zyskał przewagę. Mężczyzna z bykiem na przedramieniu chwyta z jednego ze stołów pustą butelkę po piwie, więc Benji rusza najpierw w jego stronę. Nie udaje mu się to jednak nigdy.

Facet w polo przy barze widzi, jak Katia wybiega z biura i rzuca się prosto w grupę gotowych do walki. Odpycha mężczyznę z butelką pod ścianę i krzyczy:

- Jeden głupi ruch i przez rok będziesz chlał na smutno w domu zamiast tutaj!

Po czym odwraca się w stronę Benjiego, doskonale rozpoznając ten błysk w jego oku. Ten sam co u Adri i ojca. Jak nie ma wojny, to czas ją zacząć.

- Benji... nie tutaj, nie dzisiaj, proszę cię... - szepcze.

Kładzie ręce na jego piersi, czuje, jak bije mu serce. Puls ma miarowy, oddech wyrównany. Czterech dorosłych mężczyzn chce go zabić, a on nawet się nie boi. Nic nie przeraża Katii bardziej niż to.

Benji patrzy jej w oczy. Przypominają oczy matki. Siostra nie prosi go często. Całuje ją więc w policzek i śmieje się w kierunku czterech mężczyzn w drzwiach.

- Wchodzicie czy wychodzicie? Idę do domu, więc jeśli nie jesteście zbyt zajęci trzymaniem się za fiuty, to może byście się przesunęli, co?

Mężczyźni spoglądają na Katię i ochroniarzy, w końcu się przesuwają. Tak czy siak, dali do zrozumienia, że tatuaże z niedźwiedziem nie są już mile widziane w Hed. Może i w Björnstad mają „Grupę”, ale w Hed też znajdą się mężczyźni gotowi bronić tego, co ich.

Benji śmieje się głośno, opuszczając Stodołę. Mężczyźni za nim aż dygoczą ze złości. Jeden z nich mamrocze do Katii:

- Całe szczęście, że twój brat ma ciebie. Właśnie uratowałaś mu życie.

Katia rzuca w jego stronę ostre spojrzenie.

- Tak myślisz? Serio? JEMU uratowałam życie?

Mężczyzna sili się na uśmiech, ale twarz zastyga mu niepewnie. Katia prycha. Zabiera rzeczy z biura i idzie do samochodu. Benji zniknął już w mroku i nie ma mowy, żeby go znaleźć.

Wszystkie sporty są głupie. Wszystkie gry idiotyczne. Dwa kije i piłeczka, pot i zdyszany oddech, niby po co? Żebyśmy przez kilka marnych chwil mogli udawać, że to jedyne, co się liczy.

Nocą Knur i Bobo robią miejsce w warsztacie. Nigdy za wiele ze sobą nie rozmawiali jak ojciec z synem i teraz się boją, że wybiorą to najprostsze rozwiązanie. W domu, tak jak i w wielu innych domach, jest alkohol. Wybierają jednak coś innego. Wyjeżdżają samochodami z warsztatu, przenoszą narzędzia i sprzęt, aż garaż robi się pusty.

Po czym przynoszą kije i piłeczkę do tenisa. Grają przeciwko sobie całą noc, spoceni i dyszący, jakby tylko to się liczyło.

Po wyjściu ze Stodoły Benji idzie kilkaset metrów w głąb lasu. Następnie zatrzymuje się z rękami w kieszeniach i rozgląda wokół. Tak jakby się zastanawiał, czy poszukać jeszcze czegoś, co skomplikuje mu wieczór, czy jednak wspiać się na jakieś drzewo, upalić i zasnąć. Głos za nim go zaskakuje, choć nie do końca.

- Nigdy w życiu nie uczestniczyłem w bójce, więc raczej się nie przydam, jeśli tego właśnie szukasz. Ale chętnie wyskoczę na piwo gdzie indziej... - mówi mężczyzna w polo.

Benji spogląda przez ramię.

- Znasz jakieś dobre nocne kluby w okolicy?

Mężczyzna wybucha śmiechem.

- Jak już wspominałem, mieszkam tu od czterech godzin. Ale mam... dom. Z lodówką.

Nigdy wcześniej tego nie robił, nie zapraszał nikogo od razu do domu, nigdy to na niego nie działało. Ale Benji potrafi obudzić w innych spontaniczność. I nierozwagę.

Wybierają drogę przez las. Mężczyzna wynajmuje domek kempingowy na obrzeżach Hed, w kierunku Björnstad, na tyle daleko, by nie było go widać z żadnego z tych miasteczek. Po raz pierwszy całują się w korytarzu. Następnego ranka, gdy mężczyzna się budzi, Benjiego już nie ma.

Mężczyzna podnosi książkę, którą upuścił w połowie drogi między drzwiami wejściowymi a sypialnią. Wertuje ją, aż znajduje cytat, którego szukał: „Trzeba mieć w sobie chaos, aby móc zrodzić tańczącą gwiazdę”¹.

Kawałek dalej, na cmentarzu, młody mężczyzna strzela krążkami w nagrobek. Ma poranione dłonie i ciemność w sobie. Alan Ovich jest martwy, Kevin Erdahl równie dobrze też mógłby być. Benji kocha mężczyzn, a wszystkich, których kocha, traci.

Trudno mieć w sobie więcej chaosu.

Ostatnia szansa na zwycięstwo

Młoci nie da się zmierzyć, ale nie powstrzymuje nas to przed kolejnymi próbami. Jedną z miar może być przestrzeń: ile dasz jej człowiekowi, którym jesteś, by stać się tym, którym chcesz być?

Pewnego razu Mira podjęła odważną próbę przedyskutowania tego z Peterem, nawiązując do hokeja: „Kochanie, małżeństwo przypomina sezon hokejowy, tak? Nawet najlepszemu zespołowi zdarzają się gorsze mecze. Taka drużyna jest jednak na tyle dobra, by zwyciężyć, nawet jeśli gra słabo. Z małżeństwem sprawa ma się tak samo: nie ocenia się go na wakacjach, gdy pijemy wino już przed lunchem i uprawiamy cudowny seks, a naszym największym problemem jest zbyt ciepły piasek i odbijające się w wyświetlaczu telefonu słońce, gdy akurat mamy ochotę pograć w jakąś grę. Liczą się zwykle dni, codzienność, chwile, gdy mamy gorszy humor, to, jak ze sobą rozmawiamy i jak rozwiązujemy konflikty”.

Peter się oburzył, tak jakby specjalnie próbowała doprowadzić do kłótni, zapytał więc, czego „chce”. Odpowiedziała, że „dojrzałej dyskusji o naszych problemach”. Nedorzecznie długo zastanawiał się nad odpowiedzią, zanim w końcu wydusił: „Mam problem z tym, że zawsze odstawiasz do lodówki karton, w którym są może ze dwie krople mleka, tylko dlatego, że nie chce ci się go wypłukać i wyrzucić do kosza”. Mira spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i zapytała: „Uważasz, że TO jest naszym największym problemem w małżeństwie?”. Urażony Peter wymamrotał: „Po co w ogóle PYTASZ, jeśli masz zamiar od razu krytykować odpowiedź?”. Mira przyłożyła palce do skroni i zaczęła je masować. Peter zatrzasnął za sobą drzwi i pojechał na mecz. Nie jest łatwo żyć w takim związku.

Dzisiaj wieczorem Mira siedzi przy kuchennym stole. Widziała w gazecie nekrolog męża. Przed nią stoi nieotwarta butelka wina i dwa kieliszki. Przekręca obręczkę na palcu, raz po raz, jakby była to nakrętka, którą uparczywie próbuje zakręcić. Czasami ją zdejmuje, tylko po to, żeby poczuć, jak to jest. Zimno. Czuje wtedy chłód, jakby jej skóra stawała się nagle cieńsza właśnie w tym miejscu.

Jest już późno, gdy słyszy zatrzymujące się pod domem volvo. Wie, że to głupie, ale ustawia się zaraz przy drzwiach wejściowych. Chce usłyszeć, czy Peter, stając po

drugiej stronie, od razu wkłada klucz do zamka, czy też zatrzymuje się na chwilę. Waha. Robi kilka głębokich wdechów, by mieć siłę wejść do środka.

Peter zatrzymuje się z ręką przy zamku. Przykłada delikatnie czoło do drzwi, tak jakby próbował usłyszeć, czy dom oddycha, czy ktoś w środku nie śpi. Nie tak dawno temu, gdy Mira myślała, że Peter śpi, usłyszała ją, jak tłumaczyła komuś przez telefon: „Przez dwadzieścia lat powtarzał mi, że za rok będzie moja kolej na robienie kariery. Za rok. Czy jemu serio się wydaje, że tylko on chce się przekonać, jaki może być w czymś dobry?”.

Przez dwadzieścia lat Peter wmawiał sobie, że nie robi tego wszystkiego dla siebie, tylko dla innych. Został zawodowym hokeistą w Kanadzie, by utrzymać rodzinę, przyjął stanowisko dyrektora sportowego, bo rodzina potrzebowała stabilizacji po tym, jak stracili Izaaka. Walczył o klub, bo była to walka o miasto. Björnstad Hockey to miejscowa duma, jedyny sposób tej części kraju na przypomnienie wielkim miastom, że ktoś tu jeszcze mieszka. I że ludzie stąd nadal mogą im przywalić w głowę.

Teraz sam już jednak nie wie. Może po prostu jest egoistą? Próbuje przestać myśleć o nekrologu. Zawsze był strachliwy, wciąż wszystkim strapiiony, od rachunków po niedziałający ekspres do kawy, ale dziś to coś innego. Dziś naprawdę się boi.

Właśnie włożył klucz do zamka, gdy metaliczny dźwięk zatrzymuje go w pół ruchu. W ciemności ktoś za nim chwyta za klamkę, drzwi samochodu się otwierają.

Ubrany na czarno mężczyzna wysiada z pojazdu i rusza w jego kierunku.

Dwa samochody przemierzają drogę przez las. Jeden z nich zajeżdża aż pod hodowlę psów. Ze środka wysiada mężczyzna w czarnej kurtce, której nie byłby w stanie zapiąć na klatce piersiowej. Podaje Adri dłoń. Wieki temu chodziła z nim do liceum i oczywiście nie ma nic przeciwko niemu poza tym, że uważa, że facet jest głupi jak but. Któregoś razu musiała mu tłumaczyć, że południe na mapie nie oznacza z górki w rzeczywistości, a innym razem - że wyspy nie dryfują na wodzie, tylko sięgają dna morza. Drzewo genealogiczne mężczyzny nie ma żadnych gałęzi. Adri zauważyła natomiast, że sprawił sobie nowy tatuaż na dłoni: nierówną pajęczynę.

- Oż kur ... Przegrałeś jakiś zakład czy co? - Adri nie może powstrzymać się przed zadaniem pytania.

- Co? - odpowiada mężczyzna, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Najwyraźniej nie dociera do niego, że tatuaż wygląda jak zrobiony po ciemku.

W liceum nazywano go „Pająk”, ze względu na długie, chude i owłosione nogi. Nigdy zbyt nie przejmował, jak na niego wołano, dopóki ludzie pamiętali, kim był, przyjął więc przezwisko ze spokojem. Od tamtej pory na jego ciele pojawiło się co

najmniej dziesięć tatuaży związanych z pająkami, a każdy z nich wyglądał, jakby jego autorem był pijaczyna siedzący na suszarce bębnowej do prania.

Adri kręci z rezygnacją głową, otwiera bagażnik samochodu Pająka, który po brzegi wypełniają skrzynki z alkoholem. Zauważa, że drugi samochód jak zwykle parkuje na skraju lasu, kierowca pozostaje na swoim miejscu, tak aby na czas wszcząć alarm na wypadek nieproszonych gości. Jego towarzysz wysiada natomiast z pojazdu. Adri zna go od lat. W przeciwieństwie do Pająka nie jest idiotą. To czyni go niebezpiecznym.

Nazywa się Teemu Rinnius. Nie jest ani szczególnie postawny, ani wysoki. Starannie zaczesuje włosy, tak że najbliżsi przyjaciele nazywają go „inspektorem”, ale Adri widziała go w bójce i wie, że głowa pod tą grzywką jest twarda jak beton. Teemu potrafi kopnąć tak mocno, że w tym mieście boją się za nim stać nawet konie. W młodości wraz z bratem wciąż pakowali się w jakieś problemy. Myśliwi żartowali sobie nawet: „Wiesz, dlaczego nie opłaca się potraćić na drodze któregoś z braci Rinnius jadącego na rowerze? Bo to prawdopodobnie twój rower!”. Ale Teemu dorósł i nikt już sobie z niego nie żartuje. Gdy komuś spoza miasta zdarza się o niego zapytać, nawet najmniejszy dzieciak w okolicy ma tyle oleju w głowie, by odpowiedzieć: „Kto?”.

Teemu nie nosi czarnej kurtki. Nie ma takiej potrzeby. Otwiera tylne drzwi samochodu i wypuszcza na zewnątrz dwa psy, które jeszcze jako szczeniaki kupił od Adri. Jeśli więc ktokolwiek zapytałby, co tu robi dziś wieczorem, to odpowiedź brzmiałaby, że właśnie zastanawia się nad kupnem trzeciego. Nie ma grafiku dostaw, stałych terminów, Adri dostaje telefon kilka godzin wcześniej i gdy się ściemnia, przyjeżdża Teemu. Adri, na wpół pogardliwie, na wpół pieszczotliwie, nazywa go „hurtownikiem”. Sama jest pośrednikiem. Dwa samochody nie mogą bez przyciągania uwagi przejechać przez Björnstad, zatrzymać się przy każdych drzwiach i sprzedawać alkoholu. Wszyscy natomiast wiedzą, że miejscowi myśliwi wpadają od czasu do czasu do hodowli pooglądać szczeniaki i napić się kawy. Czasem zdarza im się przyjeżdżać częściej, zwłaszcza przed weekendem. Ale zapytajcie, kogo chcecie w okolicy, to każdy powie wam to samo: „Adri robi cholernie dobrą kawę!”.

Mężczyźni w czarnych kurtkach pojawiają się zawsze dwoma samochodami. Teemu nigdy nie siedzi w tym z alkoholem. Policja próbuje dowieść, że jest przywódcą „kibicującej Björnstad Hockey brutalnej chuligańskiej frakcji zwanej »Grupą«”. Po okolicy krążą opowieści o jej wpływie na interesy klubu i o tym, że zawodnicy pierwszej drużyny, którzy mieli za wysokie pensje w porównaniu z wynikami, dobrowolnie darli swoje kontrakty, ale nigdy nie znaleziono na to dowodów. Nie można też udowodnić, że „Grupa” zajmuje się nielegalną zorganizowaną sprzedażą alkoholu czy handlem kradzionymi samochodami i skuterami śnieżnymi. Nigdy też nie dowiedziono, że „Grupa” komukolwiek groziła, tak jak to zwykle robią wszystkie

siatki przestępcze, chcąc gdzieś zaznaczyć swoje wpływy. Policja twierdzi, że „Grupa” tego nie potrzebuje, bo pokazuje swoją siłę na meczach hokejowych. Według tej teorii wszyscy, którzy widzieli wypełniających stojące trybuny ludzi w czarnych kurtkach albo słyszeli, co zrobili z próbującymi ich wyzwać kibicami innych drużyn, zrozumieliby powagę sytuacji, gdyby ci zapukali do ich drzwi.

Ale wszystko to oczywiście nieprawda. Plotki i mocna przesada ze strony wielkomięjskich mądrali, którzy naoglądali się za dużo filmów. Większość mieszkańców Björnstad zapytana o „Grupę” odpowie: „Jaka grupa?”.

Podnosząc ostatnią skrzynkę z alkoholem z bagażnika samochodu, Adri zauważyła leżącą pod nią ogromną siekierę. Wywraca oczami.

- Serio, Teemu? Nie wydaje ci się, że właśnie teraz, gdy każdy glina w mieście widział już zdjęcie samochodu tej polityczki z Hed, wożenie ze sobą siekiery jest trochę podejrzanę?

Niewiele osób ma odwagę odzywać się do Teemu takim tonem, ale jego zdaje się to tylko bawić.

- Adri, zastanów się trochę. Po tym, co się stało z samochodem polityczki w Hed, byłoby raczej podejrzanę, gdybyśmy teraz NIE mieli naszych siekier w samochodach.

Adri wybucha śmiechem.

- Ale z ciebie idiota. Ale jednak nie idiota.

- Podziękował. - Teemu się uśmiecha.

Nocami, na wyspie, gdy Ana już zasypia, Maya leży, nie mogąc zmrzyć oka, i pisze teksty o nienawiści. Czasami tak długo, że zamieniają się one w teksty o miłości. Nie o powalającym z nóg zakochaniu, ale o uczuciu na całe nudne życie. Nie wie dlaczego, ale tego lata szczególnie często myśli o rodzicach. W okresie dojrzewania człowiek najbardziej chciałby, żeby jego rodzice byli bezpłciowi, ale gdzieś w głębi naszego DNA tkwią dowody na czułość matki i ojca. Rozwiedzeni rodzice, tacy jak Any, mogą mieć dzieci, które nigdy nie uwierzą w wieczną miłość. Rodzice pozostający ze sobą na zawsze mogą mieć dziecko, które przyjmuje wieczną miłość za pewnik.

Z dzieciństwa Maya zapamiętała takie drobnostki. Sposób, w jaki mama się śmieje, gdy opisuje styl ubierania się taty: „policjant w cywilu na dyskotecę w podstawówce”. Albo jak tata potrząsa kartonem z mlekiem, w którym znajdują się może ze dwie krople, mrużąc: „Zapraszam na dzisiejszą próbę pobicia rekordu Guinnessa w robieniu NAJMNIJSZEJ KAWY ŚWIATA”. Mamę złoścącą się o leżące na podłodze skarpetki taty i tatę, który chce postawić przed trybunałem wojennym każdego, kto nie sprząta po sobie zlewu w kuchni. Ze względu na hokej mama dwa razy przeprowadziła się za tatą na drugi koniec świata. Tata patrzy na mamę z podziwem, gdy ta w kuchni załatwia przez telefon jakąś służbową sprawę. Jakby była

najmądrzejszą, najzabawniejszą, najbardziej upartą i walczącą o swoje osobą, jaką kiedykolwiek poznał, i jakby nadal nie dowierzał, że jest jego. Jego.

Przez długie lata Maya i Leo nie wiedzieli nawet, jak rodzice mają na imię, bo zawsze zwracali się do siebie „kochanie”. Nigdy, nawet najbardziej pokłóceni, nie wymówili za to słowa „rozwód”, wiedząc, że działa ono niczym bomba atomowa i jeśli choćby raz się nią zagrozi, to od tej pory już każda kłótnia będzie kończyć się w ten sam sposób. Czuć, że ostatnio przestali się czepiać siebie nawzajem o drobnostki, dom stał się cichszy; po tym, co przytrafiło się Mai, ledwie mogą spojrzeć sobie w oczy. Jakby nie do końca potrafili się otworzyć i pokazać, jak bardzo ich to wyniszcza.

Dzieci zauważają, gdy rodzice zaczynają się nawzajem tracić, w najmniejszym nawet zakresie. W grę może wchodzić chociażby jedno krótkie słówko - „twój”. Każdego ranka Maya wysyła im esemesy, udając, że robi to, by się o nią nie martwili. W rzeczywistości jest wręcz na odwrót. Całe życie była przyzwyczajona, że mówią o sobie „mama” i „tata”. Jak w zdaniu „mama z pewnością nie miała na myśli tego, że nie będziesz mogła wychodzić przez TYS I A C lat, kochanie” albo „tata nie wywaliłby bałwana umyślnie, pewnie po prostu się przy nim poślizgnął, kochanie”. Aż nagle pewnego dnia jedno z nich pisze: „Możesz chyba zadzwonić do swojej mamy, trochę się niepokoi, gdy tak cię nie ma w domu”. A drugie pisze: „Pamiętaj, że ja i twój tata kochamy cię najbardziej na świecie”. Takie małe słówko może zdradzić, że małżeństwo zmierza do końca. „Twój”-jakby nie byli już nawzajem swoi.

Maya siedzi więc głęboko w lesie, na wyspie na środku jeziora, i pisze o tym teksty piosenek, bo nie ma siły być w domu i oglądać tego na własne oczy.

Pole minowe

Pole minowe, po którym wędrujecie,

Każde słowo to bomba, ale dalej idziecie. Aż w końcu pod stopą słychać ciche „klik” i już się wrócić nie da.

Zrobi/am z was ofiary, choć tego nie chciałam,

Nie mogę was naprawić, chociaż bardzo się staram.

Umarłam ja, ale to was pogrzebano.

On pokonał mnie, ale to was złamano.

Mężczyźni w czarnych kurtkach podają Adri dłoń i idą w stronę samochodów, ale Teemu zatrzymuje się jeszcze na chwilę i zapala papierosa. Adri wkłada sobie pod wargę duży jak piastka niemowlaka kawałek snusu. Ona też nie jest idiotką, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, kto należy do „Grupy” i do czego ci ludzie są zdolni, ale należy też do osób praktycznych.

Któregoś lata, nie tak dawno temu, w Björnstad doszło do serii włamań. Jakaś szajka przyjeżdżała nocami w ciężarówkach - kiedyś pobiła starszego mężczyznę, który próbował ich powstrzymać, przy innej okazji sąsiad zadzwonił na policję podczas rabunku. Pojedynczy wóz policyjny podjechał po trzech godzinach. Adri pamięta, jak kilka miesięcy wcześniej podejrzewano nielegalny odstrzał wilków niedaleko stąd. Zaalarmowana policja ściągnęła helikoptery z policją krajową i oddziałem specjalnym. Można uważać, że to dobrze, i można uważać, że to źle, ale gdy Adri widzi, że wilki są chronione lepiej niż tutejsi emeryci, to większym zaufaniem darzy przestępcę stojącego obok niej niż przestępców zasiadających w rządzie i w gminie. To nie ma nic wspólnego z moralnością. Większość ludzi jest taka jak ona - praktyczna.

Gdy szajka wróciła do miasta, mężczyźni w czarnych kurtkach już na nią czekali. Tej nocy w Björnstad pozamykano drzwi i pogłósniono telewizory. Nikt nie zadawał pytań. Włamania już się nie powtórzyły. Teemu to wariat, o to Adri z nikim nie będzie się spierać. Ale kocha to miasto dokładnie jak ona. I kocha hokej. Uśmiecha się więc teraz z zadowoleniem.

- Benji zagra w pierwszym składzie na jesieni, prawda? Ależ musisz być dumna! Widziałaś terminarz? Benji jest gotowy?

Adri kiwa głową. Wie, że brat na lodzie pokazuje wszystko to, co docenia Teemu: twardość, brawurę i złość. Poza tym jest stąd, to lokalny talent, chłopak z sąsiedztwa. Mężczyźni pokroju Teemu uwielbiają takich chłopaków. I tak, Adri widziała terminarz, pojawił się w Internecie dziś rano. Björnstad gra pierwszy mecz zimowego sezonu z Hed Hockey.

- Zagra, jeśli tylko będziemy mieć jeszcze Björnstad Hockey - mówi cicho.

Teemu się uśmiecha, ale jego wzrok pozostaje trudny do rozszyfrowania.

- Ufamy, że Peter Andersson rozwiąże ten problem.

Adri spogląda na niego z boku. To dzięki „Grupie” Peter nie stracił pracy po zebraniu członków klubu wiosną. Nikt nie jest w stanie tego udowodnić, ale wszyscy to wiedzą. Bez ich głosów Peter by sobie nie poradził. Klub stracił prawie wszystkich sponsorów na rzecz Hed, co wiązało się ze sporym ryzykiem dla „Grupy”. Ramona, właścicielka baru Futro, zwykła mówić: „Teemu może nie widzi różnicy między tym, co właściwe, i tym, co niewłaściwe, ale, do cholery, z pewnością potrafi odróżnić dobro od zła”. Może ma rację. „Grupa” opowiedziała się przeciwko gwiazdorskiemu Kevinowi, a za dyrektorem sportowym i jego córką. Teraz jednak - jeśli doprowadzi klub „Grupy” do bankructwa - dyrektor sportowy może znaleźć się w trudnym położeniu.

- Serio ufacie Peterowi? Widziałam jego nekrolog w gazecie - zauważa Adri.

Teemu unosi brew.

- Ktoś sobie pewnie żartował.
- Albo ktoś z twojej trybuny próbował mu przekazać wiadomość!

Teemu drapie się po czole z udawaną troską.

- To duża trybuna. Nie mogę ich wszystkich pilnować.
- Jeśli Benji będzie miał przez to kłopoty, to wszystkich was pozabijam!

Teemu wybucha gromkim śmiechem, który odbija się echem między drzewami.

- Nie każdy ma odwagę rozmawiać ze mną w ten sposób.
- Nie jestem niekażdym - odpowiada Adri.

Teemu odpala nowego papierosa od niedopałka poprzedniego.

- To ty nauczyłaś brata grać, prawda?
- To ja nauczyłam go się bić.

Między drzewami znów rozlega się śmiech mężczyzny.

- Kto z was teraz wygrywa?

Adri spuszcza wzrok. Jej głos tężeje.

- Ja, bo mam fory, niesprawiedliwe, ale jednak. Benji nigdy nie skrzywdzi kogoś, kogo kocha.

Teemu kiwa z uznaniem głową i poklepuje Adri po ramieniu, mówiąc:

- Na lodzie wymagamy od Benjiego tylko jednego. Tego samego co od reszty.
- Żeby dał z siebie wszystko i dobrze się bawił? - dopytuje Adri z przekąsem.

Teemu uśmiecha się szeroko. Ona w końcu też. Bo wie, co mężczyzna ma na myśli. „Wygranej”. Tylko tego oczekuje się tutaj od ciebie. Teemu podaje jej kopertę ze słowami:

- Ramona mówiła, że razem z Sunem otworzyliście dziewczęcą drużynę dla pięciolatek. To z funduszu.

Adri patrzy na niego ze zdziwieniem. „Fundusz” to niewielka skarbonka, którą Ramona trzyma w Futrze dla stałych bywalców, którzy tracą pracę i nie mają z czego zapłacić rachunków. Trafiają tam wszystkie napiwki, a w Futrze są one większe, niż można by się spodziewać. Teemu zawsze płaci podwójnie za piwo, bo kiedyś, gdy był jeszcze mały i właśnie wyrzucał z domu kolejnego okropnego faceta matki, do drzwi zapukał ktoś z taką kopertą. Teemu już nigdy nie pozwolił nikomu uderzyć matki, a gdy dorósł wystarczająco, by założyć „Grupę”, nigdy nie zapomniał o szczodrości bywalców Futra.

- Na kije i łyżwy- dodaje. - Albo czego tam dziewczynki potrzebują.

Adri kiwa głową z wdzięcznością. Gdy Teemu idzie w stronę samochodu, woła jeszcze za nim:

- Ty! Daj Peterowi Anderssonowi szansę! Może znajdzie sposób, by uratować klub.

Teemu zamyka klapę bagażnika, siekiera leży na swoim miejscu.

- Daję mu szansę. Gdybym tego nie robił, już by go tu nie było.

Peter stoi pod drzwiami, wystraszony puszcza jednak klamkę, wyciąga klucz z zamka i odwraca się w stronę ulicy. W jego kierunku podąża Richard Theo, ubrany w czarny garnitur, mimo że to środek lata. Jeśli Peter się nie myli, nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali, ale oczywiście doskonale wie, kim jest Richard Theo. Wie też, jaką politykę sobą reprezentuje, i jej nie pochwała. Jest bowiem agresywna i nastawia ludzi przeciwko sobie. Poza tym Peter wiele razy miał wrażenie, że Richard naprawdę nienawidzi hokeja.

- Dobry wieczór, Peter, mam nadzieję, że nie przeszkadzam - mówi Theo.

- Mogę w czymś pomóc? - Głos Petera zdradza zdziwienie.

- Nie, ale ja mogę pomóc tobie - odpowiada Theo.

- W czym?

Kąciki ust polityka unoszą się nieznacznie.

- Mogę uratować twój klub hokejowy. Mogę dać ci ostatnią szansę na wygraną.

Jestem gotowy, by tu spłonąć

Każdy, kto poświęca całe życie, by stać się w czymś najlepszy, wcześniej czy później słyszy pytanie „dlaczego?”. Bo jeśli chcesz być w czymś najlepszy, musisz poświęcić wszystko inne. Kiedy Mira poznała Petera, tego wieczoru, gdy właśnie przegrał najważniejszy mecz w życiu i załamany przekroczył próg restauracji prowadzonej przez jej rodziców, zadała mu właśnie to pytanie: „Dlaczego?”.

Doprowadzało ją do szału, że nigdy do końca nie potrafił jej na nie odpowiedzieć. Wiele lat później, gdy byli już małżeństwem z dziećmi i sporym stażem, przeczytała słowa, które sto lat wcześniej wypowiedział jeden ze zdobywców górskich szczytów. Na pytanie, dlaczego chciałby wejść na Mount Everest, zareagował zdziwieniem, tak jakby samo w sobie było niezrozumiałe, a po chwili odpowiedział: „Bo istnieje”.

Mira w końcu to wtedy rozumiała. Dlaczego studiowała na uniwersytecie, chociaż nikt z jej rodziny tego wcześniej nie robił? Dlaczego wybrała prawo, mimo że wszyscy twierdzili, że będzie dla niej za trudne? Dlaczego? Żeby się dowiedzieć, czy da radę. Bo chciała się dostać na tę cholerną górę. Bo ta góra istniała.

Zdaje sobie sprawę z tego, co się właśnie dzieje, może jeszcze zanim Peter sam to zrozumie. Stoi po drugiej stronie drzwi i słyszy wystarczająco dużo z jego rozmowy z Theo. Jej mąż znajdzie sposób, by uratować swój klub i znów stać się niezastąpionym. Jak zwykle. Mira siedzi w korytarzu, aż w końcu słyszy, że volvo rusza, i widzi przez okno odjeżdżającego Petera. Butelka wina stoi nieotwarta, Mira odkłada kieliszki do szafki. Gdy kładzie się spać, skóra pod jej obrączką jest zimna. Minie noc, jutro Mira się obudzi i będzie zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło, choć wie, że z każdym mijającym dniem jest coraz dalej do przyszłego roku.

Peter godzinami jeździ samotnie bez celu. W głowie pojawiają mu się wciąż te same pytania: „Ile warty jest klub hokejowy? Dla kogo istnieje? Ile może kosztować?”. A gdzieś pod nimi kolejne: „Co potrafię poza hokejem? Jakim byłbym bez niego mężczyzną?”.

Nigdy nie kochał nikogo poza Mirą i wie, że żona byłaby przeschęśliwa, gdyby po prostu skończył z hokejem. Ale w głębi serca czai się niepewność: czy rzeczywiście tak

by było? Zakochała się przecież w mężczyźnie z marzeniami i ambicjami, więc jak by patrzyła na niego wraz z kolejnymi latami bez sukcesu?

Gdy nadchodzi świt, światło rozplywa się po Björnstad dokładnie tak, jak mama Petera mawiała o lecie: „Jakby sam Bóg Ojciec rozlał sok pomarańczowy na czubkach drzew”. Peter, z zamkniętymi oczami, siedzi przed sklepem spożywczym i wałkuje wciąż te same pytania.

Pierwsze pytanie, które wczoraj wieczorem zadał mu Richard Theo, brzmiało:

- Nie podoba ci się mój sposób uprawiania polityki, prawda?

Peter odpowiedział po namyśle:

- Jesteś populistą. Z całym szacunkiem, ale odcinam się od tego, co popierasz.

Theo przytaknął, sprawiając wrażenie, jakby nie wziął tego do siebie.

- Populistą się jest, dopóki się nie wygra. potem wchodzi się do establishmentu. -
Gdy zauważył zniesmaczoną minę Petera, dodał: - Z całym szacunkiem, ale polityka polega na zrozumieniu, że świat jest skomplikowany, mimo że ludzie tacy jak ty, Peter, chcieliby zachować go prostym.

Peter pokręcił głową.

-Żyjesz przeciwnościami. Twoja polityka tworzy konflikty. Wyklucza.

Polityk uśmiechnął się ze zrozumieniem i zapytał:

- A hokej? Myślisz, że co robi z tymi wszystkimi, którzy nie grają? Pamiętasz mnie w ogóle ze szkoły?

Peter odchrząknął zażenowany i wymamrotał:

- Chodziłeś chyba kilka klas niżej, nie?

Richard Theo pokręcił głową, bez złości, prawie ulegle.

- Chodziliśmy do tej samej klasy.

Peter nie jest pewien, czy zamiarem Theo było wyprowadzenie go z równowagi, ale jeśli tak, to mu się udało. Gdy zawstydzony wbija wzrok w ziemię, zadowolony polityk, z uśmiechem na twarzy, w prosty sposób wyjaśnia mu, dlaczego go szukał:

- Mam pewne kontakty w Londynie. Wiem, kto kupi fabrykę w Björnstad.

- Nawet nie wiedziałem, że ma zostać sprzedana ... - wybuchnął Peter, ale polityk wzruszył tylko ramionami.

- Do moich obowiązków należy wiedzieć rzeczy, których inni nie wiedzą. Wiem też wiele rzeczy o tobie. Dlatego też tu jestem.

Następnego dnia Leo budzi się w pustym domu. Mama zostawiła mu karteczkę na kuchennym stole: „Jestem w pracy, twój tata jest w klubie, dzwoń, gdybyś czegoś potrzebował. W komodzie masz dodatkowe pieniądze. Kochamy Cię / mama”. Leo nie jest już dzieckiem. Też widzi słowo „twój”. Twój tata. Już nie mamy.

Chłopiec wchodzi do pokoju starszej siostry, zamyka za sobą drzwi i kładzie się na podłodze. Pod łóżkiem Mai leżą jej notesy, pełne wierszy i tekstów piosenek. Czyta je z różnymi rodzajami płaczu. Czasem jej, czasem własnym. Maya nigdy nie była typową starszą siostrą, która krzyczała i wyrzucała go z pokoju. Gdy Leo był mały, często mógł u niej siedzieć. Maya pozwalała mu spać w swoim łóżku, gdy wystraszył się po tym, jak podsłuchali rodziców w kuchni, załamanych rozmową o Izaaku. Podłogę wokół łóżka Mai uważał zawsze za najbezpieczniejsze miejsce. Teraz jest już jednak starszy, a Maya całe lato spędza w lesie z Aną. Leo radził się Mai we wszystkim, ale nagle nie wie, od kogo miałby się dowiedzieć, co ma robić młodszy brat, gdy jego starsza siostra zostaje zgwałcona. Co może zrobić dla rodziców, których więź powoli słabnie. Albo jak poradzić sobie z całą tą nienawiścią.

Na ostatniej stronie jednego z notesów pod łóżkiem Mai znajduje tekst pod tytułem Zaparka. Delikatnie wrywa kartkę i wkłada ją do kieszeni. Następnie idzie na plażę.

Przez cały czas się drapie, mocno i głęboko. Rękawy bluzy ściąga jeszcze niżej, na dłonie.

Deszczowe dni mogłyby być dla Björnstad i Hed okazją do ochłonięcia, ale William Lyt głównie się wtedy pocił. Trener powiedział mu kiedyś, że nigdy nie widział nikogo, kto „grałby z tak dużą potrzebą, żeby się wykazać”. Pewnie chciał spróbować porozmawiać z Williamem o jego kompleksach, ale ten odebrał te słowa jako komplement.

Całe życie walczył o to, by znów stać się najlepszym kumplem Kevina. Jako dzieci jeździli gokartami na pedały przed domem Kevina lub grali w hokeja halowego w piwnicy Williama. Potem zaczęli trenować i pojawił się Benji. Od tej pory na zdjęciach drużynowych William nie stał już najbliżej Kevina. Robił, co w jego mocy, by złamać Benjiego, wyśmiewał jego znoszone, tanie ubrania i nazywał go „sankami”. Aż w końcu Benji któregoś dnia rozwalił mu sanki na głowie. William stracił wtedy nie tylko przednie zęby, ale i autorytet w szatni. Jego mama zażądała, by ukarać Benjiego za atak na jej syna, lecz klub nic z tym nie zrobił.

Gdy podrośli, William próbował wygrać z Benjim, przechwalając się, z iloma spał dziewczynami oraz o ile częściej imprezował z Kevinem niż ten łażący po drzewach ćpun. Wszystko to było oczywiście kłamstwem, stracił cnotę dużo później niż większość kolegów z drużyny. Któregoś dnia Kevin wszedł do szatni, krzycząc: „William! Twoje dupy czekają na zewnątrz!”. William podniósł się zawstydzony, wyszedł przed szatnię, gdzie na podłodze leżała paczka białych skarpet. Kevin śmiał się w głos. „Twoja matka nie będzie już musiała robić prania za KAŻDYM razem, gdy »prześpisz« się z »dziewczyną«!”. William nigdy nie zapomniał rehotu całej drużyny.

Zwłaszcza tego, jak bardzo śmiał się Benji. Całymi latami ciążyła mu potrzeba, żeby się wykazać. A teraz? Hed Hockey to dla niego nowy początek, szansa, by w końcu stać się przywódcą. Nigdy więcej nie zamierza być już chłopakiem od skarpetek.

Gdy latem padało, trenował nieustannie na siłowni, oglądając na okrągło film, na którym płoną czerwone flagi Hed Hockey, wciąż na nowo, z nadzieją, że znajdzie choćby najmniejszą wskazówkę mogącą doprowadzić go do tego tchórzliwego szczura, który zamieścił nagranie w Internecie. W końcu to zauważył: ręka trzymająca na filmie zapalniczkę była mała, należała co najwyżej do jakiegoś dzieciaka z podstawówki. Gdy rękaw bluzy podjechał do góry, odsłonił przedramię pełne zadrapań.

William dzwoni do największych chłopaków z drużyny. Kupują papierosy i idą na plażę.

Zapałka

*Jeśli w ciemnym pokoju zamkniesz kogoś, kto boi się ciemności,
Jeśli zostawisz go tam, bo życie jest świnią,
Jeśli w tym pokoju byłbyś ty i znalazł w kieszeni czeluści
Zapałkę, to zapalisz ją,
nawet gdy Cały pokój pachnie benzyną.*

*Tylko kilka stopni dzieli od śniegu deszcz,
Wszystkie domy pną się wzwyż, ale palą do dołu.
Pokazaliście mi rzeczy, od których przeszywa mnie dreszcz,
Jestem już gotowa spłonąć w środku obok was.*

Gdy słońce wraca do Björnstad, plaża na nowo wypełnia się nastolatkami, które udają, że nie gapią się na siebie. Na początku jest wesoło i zabawnie, wkrótce jednak wzdłuż wody przyczają się wystraszona cisza. Dwóch chłopców wspina się na drzewo i zawiesza na nim nowe flagi Hed Hockey. William Lyt wyrusza na łowy między kocami, zatrzymuje się przy każdym dzieciaku z podstawówki i wyciąga papierosa.

- Masz zapalniczkę?

Nikt nie patrzy mu w oczy. William łapie każdego chłopca za rękę, szukając zadrapań. Pewnie sam nie wie, czego miałby się spodziewać, kto odważyłby się tu przed nim przyznać? Ale chce, żeby przynajmniej czuli strach. Żeby nie mieli odwagi po raz kolejny wystawiać jego drużyny na próbę. Jego serce robi się coraz lżejsze z każdym dzieciakiem kręcącym głową ze wzrokiem wbitym w piasek. Z każdym dzieciakiem, który nie będzie miał odwagi palić przez całe lato, czuje się coraz większy.

Aż nagle słyszy pstrykanie. Najpierw pojedyncze, potem kolejne. A zaraz po nim krótki syk zapalanego płomienia. Za Williamem rozbrzmiewa niedojrzały głos:

- Ja mam zapalniczkę!

Dłoń Leo jest pewna. Rękaw bluzy zsuwa się delikatnie. Zadrapania są doskonale widoczne.

- Co... co masz na myśli, mówiąc, że wiesz też o mnie inne rzeczy? - wydusił z siebie Peter wczoraj.

Richard Theo odpowiedział beztrąsko, wręcz dziarsko:

- Wiem, że Björnstad Hockey dzielią od bankructwa maksymalnie trzy miesiące, nawet jeśli twój przyjaciel Frak sprzeda jeszcze jeden ze swoich sklepów. Wiem też, że Sune, trener pierwszego zespołu, jest chory.

Peter aż otworzył usta ze zdziwienia. Na początku lata Sune miał problemy z sercem. Adri Ovich znalazła go leżącego na podłodze w domu, gdy nie pojawił się na treningu dziewczęcej grupy hokejowej, z którą dopiero co wystartowali. Adri zadzwoniła ze szpitala do Petera, ale Sune poprosił ich oboje, by nikomu o tym nie opowiadali. To tylko „takie tam migotanie”, a Sune z pewnością nie chce być „jakimś pieprzonym męczennikiem”.

Oczywiście, że nikomu nie powiedzieli. Szczerze powiedziawszy, Peter zrobił to nie tylko dla Sunego, ale też z czysto egoistycznych pobudek. Bez sponsorów i pieniędzy nie był w stanie znaleźć nowego trenera, bez trenera nie mógłby namówić zawodników do podpisania kontraktów, a bez zawodników z pewnością nie znalazłby ani sponsorów, ani nowego trenera.

- Jak już mówiłem - podsumował spokojnie Richard Theo - wiedza o różnych rzeczach należy do moich obowiązków. Mam przyjaciół w szpitalu. I chciałbym być też twoim przyjacielem.

Następnie spokojnie i w sposób metodyczny wyłożył Peterowi swoją propozycję. Nowi właściciele fabryki będą potrzebowali politycznego wsparcia, by móc zreorganizować pracę w fabryce. Theo może to załatwić. Ale właściciele zdają sobie sprawę, że muszą też „żyć w przyjaźni z lokalnymi mieszkańcami”, więc Richard Theo przekonał ich, że „najkrótsza droga do serca miejscowych prowadzi przez klub hokejowy”.

Peter kręcił się niespokojnie, usiłując zapanować jak najlepiej nad głosem, zanim zapytał:

- Z tego, co słyszałem, inne partie nie są nawet zainteresowane współpracą z tobą. Dlaczego mam uwierzyć, że jesteś w stanie to wszystko przeprowadzić?

Theo odpowiedział niewzruszony:

- Jeszcze wczoraj wieczorem na hali lodowiska ciążył spory zaległy rachunek za prąd. Gdybyś był tak łaskawy zadzwonić i sprawdzić, to dowiesz się, że jest już zapłacony. Czy to wystarczający dowód?

Peter poczuł, jak całe ciało wypełnia mu uczucie dyskomfortu.

- Dlaczego właśnie nasz klub? Dlaczego nie pójdziesz z tym do Hed Hockey?

Polityk uśmiechnął się ponownie.

- Björnstad znane jest z ciężkiej pracy. Udało wam się dwadzieścia lat temu, gdy całe miasto wsparło klub. Jest w tym jakaś symboliczna siła. Jak to wtedy mówiliście? „Björnstad przeciwko reszcie”?

Peter odchrząknął/ gniewnie:

- Nie sądziłem, że lubisz hokej.

Theo poprawił spinki koszuli i odpowiedział:

- Moje poglądy polityczne pod tym względem nigdy się nie zmieniają: pieniądze podatników powinny iść na opiekę zdrowotną i miejsca pracy, nie na sport.

Peter podrapał się po głowie, starając się przy tym ukryć uznanie.

- Sprawisz więc, że zamiast tego pieniądze pójdą do fabryki, w zamian za co nowi właściciele zasponsorują klub. W ten sposób zostaniesz politykiem, który uratował w gminie nie tylko miejsca pracy, ale również hokej. Poza tym zdaje się, że jeszcze uda ci się na tym zaoszczędzić trochę pieniędzy... które będzie można przeznaczyć na opiekę zdrowotną... Jezu, tym sposobem wygrasz następne wybory.

Theo wsadził ręce do kieszeni garnituru, ale nie sprawiał wrażenia szczególnie dumnego.

- Wiele nas łączy, Peter. Gramy tylko po prostu w inną grę. By dalej móc grać w moją, muszę wygrać kolejne wybory. Żebyś ty mógł kontynuować swoją, musisz mieć klub.

William ma osiemnaście lat i jest przypuszczalnie dwa razy cięższy od stojącego przed nim dwunastolatka. Leo się jednak nie cofa. Spogląda Williamowi prosto w twarz, wzrokiem, który pokazuje, że nie ma już nic do stracenia.

Przygląda im się cała plaża. Nawet jeśli William chciałby teraz odpuścić i nie wtłuc sześć lat młodszemu chłopcu, to nie może. Jego dłoń zaciska się na szyi Leo, unieruchamiając mu głowę. Przyduszenie wywołuje u dwunastolatka panikę, jego usta otwierają się instynktownie, gdy paznokcie Williama wbijają mu się w skórę pod brodą; Leo się dławi, oczy zachodzą mu Izami. W tej sytuacji możliwe są tylko dwie naturalne reakcje organizmu: albo desperacko złapać za ręce napastnika, albo z całej siły uderzać do góry.

Pierwszy cios Leo napotyka tylko powietrze, ale chłopak dziko się wije i kolejne uderzenie trafia Williama prosto w ucho. Nikt nie mówi o tym głośno, dopóki sam nie

trafi w środek bójk: uderzenie w ucho to piekielny ból! William rozluźnia uścisk, tylko na pół sekundy, ale tyle Leo wystarczy. Uderza z całej siły i słyszy, jak zęby osiemnastolatka dźwięczą przeraźliwie. William prawdopodobnie przygryzł sobie język, bo gdy rzuca się na Leo, z jego ust bryzga struga krwi. I wtedy jest już po wszystkim. William jest zbyt wielki, by dwunastolatek miał jakąkolwiek szansę.

Peter ponownie pokręcił głową, tym razem już nie tak buńczucznie.

- W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. Ciebie interesuje wyłącznie władza.

Polityk, po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy, zaśmiał się wtedy głośno.

- Nie sądzisz, że jesteś tak samo umoczonej w politykę jak ja? Wiosną, gdy twoja córka oskarżyła Kevina Erdahla o gwałt i sponsorzy próbowali podczas głosowania członków klubu usunąć cię ze stanowiska dyrektora sportowego, wygrałeś, bo ta ... „Grupa”... stanę/a po twojej stronie. Prawda?

Drobne zimne krople potu spłynęły Peterowi po plecach.

- To nie... Nie miałem na to żadnego wpływu... Nigdy nie prosiłem... - zaczął się jąkać, ale Richard Theo natychmiast go uciszył:

- Polityka jest wszędzie. Każdy potrzebuje sojuszników.

Peter czuł, jak dzwoni mu w uszach, gdy pytał:

- Czego w takim razie chcesz ode mnie?

Polityk odpowiedział uczciwie:

- Żebyś był na konferencji prasowej, gdy wszystko zostanie ogłoszone. Uśmiechaj się do kamer i podaj rękę nowym sponsorom. W zamian za to dostaniesz fundusze i całkowitą kontrolę nad klubem. Nikt nie będzie się wtrącał w twoją pracę. Masz szansę zbudować drużynę, która coś wygra. Wszystko, czego chcę, to twoja... przyjaźń. Chyba nie proszę o zbyt wiele? - Theo uśmiechnął/ się ponownie i zanim Peter zdążył odpowiedzieć, dodał: - I jeszcze jedno. Nowi właściciele nie chcą być oczywiście powiązani z jakąkolwiek formą przemocy. Podczas konferencji musisz więc ogłosić, że nie masz nic wspólnego z „Grupą”. I że zamierzasz zlikwidować trybuny stojące.

Peter zaniemówił. Theo był na to przygotowany. Spokojnie wyłożył kilka dodatkowych pomniejszych szczegółów, po czym odjechał. Peter nie pamięta, jak długo jeszcze tam stał.

Gdy w końcu wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie w noc, nowa wizja klubu bezlitośnie kołatała mu w głowie. Kontrola nad wszystkim? Prawdziwy budżet? Peterowi często zarzucano, że widział siebie jako „moralnie lepszego”, i może coś w tym było. Postrzega bowiem hokej jako coś więcej niż sport. To siła nie do przekupienia, którą nigdy nie powinny sterować pieniądze czy polityka.

Ile z tego ideału jest gotowy poświęcić? Na jakich wrogów jest przygotowany? Jeśli dostanie władzę. Jeśli będzie mógł wygrać.

Niedługo się o tym przekona.

Richard Theo całą noc jechał na małe lotnisko, na którym właśnie wylądował jego przyjaciel. Uścisnęli sobie dłonie. Przyjaciel dorzucił z niezadowoleniem:

- Miejmy nadzieję, że jest to warte mojego czasu.
- Niektórych rzeczy nie da się załatwić przez telefon - wytłumaczył Theo potulnie.
- Niech będzie - przytaknął/ towarzysz.

- Gwarantuję naszym przyjaciom w Londynie niezbędne polityczne wsparcie w sprawie ziemi i fabryki. Ale potrzebowałbym czegoś w zamian. W mieście istnieje brutalna chuligańska grupa, która szkodzi klubowi. Jeden polityk nie jest w stanie wiele zrobić, by ją powstrzymać, ale nowy, duży sponsor może... sam rozumiesz... wykorzystać swoje wpływy.

Przyjaciel przytaknął/.

- Znów ten klub hokejowy? Dlaczego jest dla ciebie taki ważny?

- Bo to symbol. - Theo się uśmiechnął/.

- Czego więc chcesz? - zapytał przyjaciel.

- Nowi właściciele muszą postawić jeden warunek, zanim zostaną sponsorami: dyrektor sportowy Björnstad Hockey musi publicznie ogłosić, że nie ma nic wspólnego z agresywnymi kibicami i zamierza zlikwidować trybuny stojące.

- To chyba nie jest jakaś wielka rzecz.

- Oczywiście, że nie. Ale to ważne, by warunek wyszedł od właścicieli, a nie ode mnie.

Przyjaciel obiecał załatwić tę sprawę. Uścisnęli sobie dłonie. Przyjaciel wszedł z powrotem na pokład samolotu.

Podczas drogi powrotnej Richarda Theo nie opuszcza myśl, że tylko człowiek, którego noga nigdy nie stanęła w Björnstad, powiedziałaby, że to, o czym właśnie dyskutował, to nie jest „jakaś wielka rzecz”. Właśnie dzięki temu wciąż udaje mu się być jeden krok przed innymi - ludzie nie potrafią już porządnie zbadać sprawy.

- William! William! - syczy jeden z chłopaków z drużyny. Leo jest zbyt oszołomiony, żeby dotarło do niego, skąd dociera ten głos, leży na plecach i z powodu gradu uderzeń nic nie widzi.

William znów podnosi pięść, ale któryś z kolegów szarpie go, powtarzając:

- William!

Osiemnastolatek kącikiem oka zauważa, jak kolega skinieniem głowy wskazuje na drogę przy plaży, na której właśnie zatrzymał się samochód. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach. Nie schodzą na plażę, nie ma takiej potrzeby. „Grupa” nigdy nie mieszała się w to, co robią nastolatki. Powagę pierwszego zespołu i zabawę

w hokeja juniorów zawsze oddzielano grubą linią. Ale William nie jest już juniorem, a to nie dotyczy tylko hokeja.

Puszcza Leo. Podnosi się z wahaniem. Mężczyźni w czarnych kurtkach pozostają bez ruchu, William wypluwa krew z ust, czerwona ślina brudzi mu koszulkę.

- Chuj z tym... - mamrocze cicho, by nikt nie słyszał, że drży mu głos.

Odwraca się i odchodzi. Koledzy z drużyny ruszają za nim. Mężczyźni w czarnych kurtkach nadal stoją na drodze, aż jeden z kolegów Williama w końcu załapuje, wdrapuje się na drzewo i ściąga z niego flagi Hed Hockey. Mężczyźni w czarnych kurtkach znikają bez słowa, pozostawiając za sobą jasne przesłanie. Koniec zabawy Hed Hockey na terenie Björnstad.

Leo siada na kocu, nie ocierając nawet z twarzy krwi Williama. Gardło boli go tak bardzo, że jest prawie pewien, że coś tam jest uszkodzone. Jeden z kolegów poklepuje go po ramieniu, inny częstuje papierosem. Leo nigdy wcześniej nie palił, ale teraz nie może odmówić. Palenie sprawia mu okropny ból, ale jest też przedziwnie kojące.

Nie cofnął się przed Williamem Lytem i tego lata na drzewach na plaży nie pojawiło się już więcej flag Hed Hockey. Leo mógłby się tym zadowolić, ale dwunastoletnie serce bije już teraz w innym rytmie, bo właśnie coś odkryło. Adrenalinę. Przemoc. To prawdziwe zadurzenie. Jutro rano mama Williama Lyta otworzy skrzynkę pocztową przed domem i ze zdziwieniem odkryje, że jest po brzegi wypełniona zapalniczkami.

Ludzie tacy jak William Lyt nie mogą przejść obojętnie obok tego typu prowokacji. Ludzie tacy jak Leo Andersson właśnie na to liczą.

Dali mu więc armię

„Wszystko ma swoją cenę, każdy za coś płaci!” - to zdanie mąż Ramony powtarzał najczęściej. Gdy jeszcze żył. Gdy ktoś coś właśnie kupił, nieważne, czy nowy samochód, czy stary toster, pytał od razu: „Ile zapłaciłeś?”. Na każdą odpowiedź prychał tylko: „Ale cię zrobili! Dostałbym go za połowę tej sumy!”. Ależ Ramona miała tego czasami dość! Z drugiej strony ile by teraz dała, żeby usłyszeć to jeszcze raz! Kochał ją i hokej. Zwykł mówić, że środkowe koło lodowiska w Björnstad jest ich obręczką i że nie potrzebuje już drugiej na palcu. Gdy było im ciężko w życiu, nie mówił nigdy, że „zaraz będzie lepiej”, tylko że „zaraz będzie hokej”. Gdy ktoś wspominał „lato”, poprawiał go, twierdząc, że „to się nazywa przedsezon”. Przekładał kartki w każdym kalendarzu, tak by rok zaczynał się we wrześniu, bo jego rok właśnie wtedy się zaczynał, wraz z pierwszym meczem Björnstad.

Przed jedenastoma sezonami odszedł od Ramony. Mimo to w jakimś zakątku kraju telemarketer wykręca numer, nie przejmując się za bardzo, do kogo dzwoni.

- Holger? Jak się masz, Holger? - pokrzykuje, gdy ktoś podnosi słuchawkę.

- Holger nie żyje od jedenastu lat. Zanim zmarł, też nie czuł się najlepiej, jeśli już musi pan wiedzieć. Czego chcesz, chłopcze? - odpowiada Ramona, stojąc przy barze, z drugim śniadaniem w szklance.

Telemarketer wpisuje coś bojaźliwie na klawiaturze komputera.

- Czy dodzwoniłem się do baru Futro?

- Tak - potwierdza Ramona.

- Aha... Przepraszam, ale Holger nadal widnieje w naszym systemie jako współwłaściciel...

- To nadal nasz bar. Z tą różnicą, że całą robotę odwalam teraz ja.

- Aha, rozumiem, co ja tu mam... Pani... Ramona?

- Tak.

Sprzedawca robi wdech i wykrzykuje:

- Cudownie! Jak się dziś masz, Ramono?

- Chłopcze, w naszych czasach mamy technologię, która pozwala takim ludziom jak ja znaleźć adres domowy do takich ludzi jak ty.

- Prze... praszam?

- Słyszałeś.

Zalega chwilowa cisza. W końcu telemarketer odchrząkuje i z niewiadomych powodów, może zbyt szybko, zbiera się na odwagę, by kontynuować rozmowę:

- Zajmuję się sprzedażą produktów do pielęgnacji skóry. Każdego miesiąca dostaje pani do domu przesyłkę z ośmioma kosmetykami, wybiera te, które pani odpowiadają, a resztę odsyła bezpłatnie...

- Osiem? - zastanawia się Ramona po dwóch sporych łykach śniadania.

- Dokładnie!

- Czy ja powinnam mieć o tym jakieś zdanie? Czy ktoś w ogóle ma tyle skóry? Jak myślisz, chłopcze?

Telemarketer nie ma na to przygotowanej odpowiedzi, więc improwizuje:

- Właśnie teraz mamy korzystną ofer...

W tonie Ramony jest jednocześnie ubolewanie i irytacja, tak jakby właśnie miała powiedzieć sprzedawcy, że potrafiła samochodem jego kota, ale tak naprawdę najbardziej frustrujące było to, że udało jej się go przejechać dopiero za trzecim razem.

- Chłopcze, ludzie, do których dzwonisz, mają wystarczająco dużo do ogarnięcia w życiu. Osiem różnych produktów do pielęgnacji skóry? Ludzie próbują tu jakoś przeżyć kolejny dzień!

Sprzedawca odpowiada przygnębionym głosem zachrypniętym od tabletek na gardło:

- Właściwie to ja też.

- Jadłeś dziś śniadanie, chłopcze? To najważniejsze piwo dnia. Z pewnością świetnie też wpływa na skórę. Witaminowa bomba.

- Muszę wypróbować - obiecuje sprzedawca.

- Wiesz co, chłopcze? Jeśli będziesz w okolicach Björnstad, to zapraszam na jedno.

Telemarketer wybucha śmiechem.

- „Björnstad”? Nawet nie wiedziałem, że coś tak się nazywa.

Ramona odkłada słuchawkę. „Wszystko ma swoją cenę” - mawiał Holger, zanim ją opuścił. Podczas pogrzebu ksiądz powiedział to samo: „Za miłość płacimy smutkiem i złamanym sercem”. Swoją drogą, był już wtedy trochę wstawiony, dziad jeden! Ale trzeba mu przyznać rację. Wszyscy za coś płacą, zarówno ludzie, jak i miasta.

Był taki czas, gdy każdy telemarketer słyszał o Björnstad.

„Björnstad? To wy macie tę drużynę hokejową, nie?”

Na jednym z podwórek przy domach czynszowych w Niecce dzieciaki grają w hokeja na trawie, używając ściany domu jako bramki i robiąc słupki z pustych butelek. Amat stoi w oknie i się im przygląda. Kiedyś grywał tak z przyjaciółmi, Zachariaszem i Lifa. Jakie to było wtedy proste! Kije, piłeczka tenisowa, dwie drużyny.

Teraz mają po szesnaście lat, są już prawie dorośli. W Niecce się pogorszyło albo oni sami na tyle wydorosli, by zauważyć prawdziwe oblicze swojej dzielnicy. Żeby lepiej zrozumieć, czym jest Niecka, trzeba wiedzieć, że jej mieszkańcy traktują resztę Björnstad tak, jak reszta Björnstad traktuje duże miasta. Istniejemy dla nich tylko wtedy, gdy pojawiają się w sensacyjnie brzmiących nagłówkach gazet.

Któregoś razu Lifa powiedział do Amata: „Uwielbiają cię, bo jesteś dobry w hokeja. Gdy będziesz wygrywał, powiedzą, że jesteś z Björnstad, ale gdy zaczniesz przegrywać, wytkną ci Nieckę”. Lifa nie gra już od lat, zmienił się, stwardniał. Włoczy się teraz z paczką brata, jeździ skuterem jako kurier, Amat nie chce nawet wiedzieć, co przewozi w plecaku. Spotykają się coraz rzadziej.

Zachariasz ciągle przesiaduje w domu, nocami gra na komputerze, przesypia całe dnie. Jego rodzice są na wakacjach u rodziny, a on sam równie dobrze mógłby mieszkać na innej planecie, bo i tak żyje głównie w Internecie. Na początku lata Amat dzwonił do niego codziennie, pytając, czy Zachariasz chciałby z nim pobiegać, ale zamiast tego przyjaciel zapraszał go do siebie, by pograć i zająć się ciepłymi kanapkami. Amat przestał więc dzwonić, bo nie chciał, by kusiło go letnie nieróbstwo. Doskonale zdaje sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi.

Całe lato trenuje samotnie, łóżka obłożonego dodatkowymi obciążnikami używa jako sztangi do wyciskania, robi tyle pompek, że łzy same cisną mu się do oczu, i biega tak długo, aż prawie wymiotuje ze zmęczenia. Nocami w pralni coraz szybciej prowadzi krążek lub piłeczkę między butelkami. O tej porze roku jego mama, Fatima, pracuje w szpitalu. Często wraca późno, bo pomaga jakiejś chorej przyjaciółce, Amat nie wie której. Nie mówi jej, że za nią tęskni, bo nie chce, by doskwierały jej wyrzuty sumienia. Fatima troszczy się o wszystkich, którzy tego potrzebują, syn jest wystarczająco duży, by na nią poczekać.

Dzisiejszego wieczoru Amat nie trenuje. Ani nie śpi. Pozostałe nastolatki z Niecki spędzają wieczorem czas „na górce”, wzniesieniu na obrzeżach lasu, niedaleko żwirowni. Amat obserwuje ich z balkonu. Grillują, palą trawę, gadają głupoty i się śmieją. Są po prostu... nastolatkami.

Wszystko ma swoją cenę. Żeby być w czymś dobrym, potrzeba około dziesięciu tysięcy godzin treningu. Ile jeszcze w takim razie czasu upłynie, zanim Amat się stąd wyrwie? Nie ma nawet drużyny. Nic nie zyskał na tym, co wiosną poświęcił, stając w obronie Mai i opowiadając, co Kevin jej zrobił. Nawet jej ojciec ma to w dupie.

Amat wkłada bluzę i wychodzi z domu, kierując się w stronę górki. Większość grillujących zna go od dzieciństwa, ale teraz patrzą na niego, jakby urwał się z choinki. Przystaje zażenowany, ze wzrokiem wbitym w ziemię, aż w końcu ktoś wybucha śmiechem i podaje mu papierosa. Amat nie pyta o to, co jest w środku.

- Hej, gwiazdorze, mamy tu imprezkę.

Jakaś dziewczyna się uśmiecha. Jest słodka. Papieros również. Amat zamyka oczy i odpływa, myśląc, że może mógłby tak tutaj zostać. Dziewczyna bierze go za rękę. Wszystko może iść się walić: hokej, klub, wymagania, prasa. Chociaż jedną noc zamierza być normalny. Upalić się do nieprzytomności i rozplynać w wieczornym powietrzu.

W jego dłoni, nie wiadomo skąd, pojawia się piwo. Nagle ktoś z całej siły uderza go w rękę, tak że Amat upuszcza zarówno butelkę, jak i skręta. Odwraca się instynktownie i krzycząc „FUCK!”, próbuje odepchnąć tego idiotę. Lifa, jego przyjaciel z dzieciństwa, jest teraz duży. Jego klatka piersiowa nie przesuwają się nawet o milimetr. W zamian za to chwyta Amata za bluzę i wypycha z górki.

Frak, wysoki i przysadzisty właściciel sklepu spożywczego, który prawie zawsze jest w lepszym humorze niż labrador bawiący się zraszczem, siedzi zszokowany, gdy Peter opowiada mu całą historię. Biuro Fraka zawałone jest skoroszytami z księgowością Björnstad Hockey. To ostatni duży sponsor klubu i cały swój czas poświęca na obliczenia, jak długo jeszcze uda mu się utrzymać klub bez pomocy gminy.

- Nie łapię tego... Dlaczego Richard Theo chce, żebyś odciął się od... - Podnosi się z krzesła i zamyka drzwi, zanim szeptem dokończy zdanie: - ...„Grupy”?

Peter pociera zmęczone oczy.

- Nowi właściciele fabryki chcą sponsorować „rodzinny sport”. To lepiej wygląda w mediach. Powiedzieli Theo, że chcą się pozbyć „chuliganów”. A po siekierze w masce auta tej polityczki...

- Ale jak oni to sobie w ogóle wyobrażają? - zastanawia się Frak.

Zmęczony Peter zamyka oczy.

- Na konferencji prasowej mam powiedzieć, że w klubie zapadła decyzja o likwidacji stojących trybun.

- Nie tylko „Grupa” stoi na tych trybunach...

- Nie. Ale stoją tam wszyscy z „Grupy”. Richard Theo ma w dupie, co się wydarzy. zależy mu tylko na tym, jak to będzie wyglądało.

Źrenice Fraka się rozszerzają.

- Niezły z niego kombinator... swoją drogą. Wszyscy wiedzą, że to dzięki „Grupie” nie straciłeś wiosną pracy. Jeśli to właśnie TY oficjalnie się od nich odetniesz, efekt będzie... piorunujący.

-A Richard Theo zyska wszystko, co chce: fabrykę, miejsca pracy, klub. On zgarnie wszystkie pochwały, a na mnie spadnie cała wina. „Grupa” będzie nienawidzić mnie, nie jego. Damy mu wszystko, czego potrzebuje, by wygrać kolejne gminne wybory.

- Nie możesz tego zrobić, Peter. „Grupa” ci tego... Wiesz, jacy oni są... Pełno tam świrów, a dla niektórych z nich hokej to wszystko, co mają - dodaje Frak.

Wie dokładnie, o czym mówi, bo zatrudnia kilku członków „Grupy” w magazynie. Ciężko pracują i pilnują, aby inni na ich zmianie również to robili. Jeśli czasem zdarzy się jakieś włamanie, Frak nie musi dzwonić do firmy ochroniarskiej, a sprawa i tak zostaje załatwiona. W zamian za to ustawia im grafik w taki sposób, by nie musieli brać urlopu, jeśli drużyna gra na wyjeździe. Jeśli jednak jakiś czas później pojawia się u niego policja, nazwiska pracowników należących do „Grupy” dziwnym trafem znajdują się w grafiku dokładnie w tym czasie, w którym policjanci próbują udowodnić im uczestnictwo w chuligańskiej bójce. „Chuligani? Tu nie pracują żadni chuligani” - wybuchła zdziwiony pracodawca. „Grupa? Jaka grupa?”

Peter splata palce rąk.

- A jaki mam wybór? Richarda Theo obchodzi tylko władza, oddanie klubu jemu i kompletnie nieznanym nam inwestorom to... szaleństwo. A z drugiej strony bez pomocy klub padnie w ciągu trzech miesięcy!

- Mogę sprzedać jeszcze jeden sklep albo wziąć kredyt na ten - proponuje Frak.

Peter kładzie dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Nie mogę cię o to prosić - mówi i dodaje: - Zrobiłeś już dla klubu wystarczająco dużo.

Frak spogląda na niego obrażony.

- Dla klubu? Przecież klub to ty i ja.

Poważna mina Petera łagodnieje w delikatnym uśmiechu.

- Brzmisz jak Sune. Ileż on się o tym nagadał, gdy byliśmy mali. „Klub to my” - naśladuje starego trenera.

Frak i Peter w dzieciństwie nienawidzili lata, bo wtedy hala lodowiska była zamknięta. Zostali najlepszymi kumplami na pustym parkingu, razem z Knurem i kilkoma innymi, których nie interesowały kąpiele w jeziorze czy zabawa w wojnę w lesie. Do zmroku grali na asfalcie sfatygowanymi kijami i piłeczką tenisową, potem człapali do domu z odrapanymi kolanami i dziesięcioma wygranymi finałami mistrzostw świata w sercu. W sumie siedzą teraz na tym samym parkingu, bo to właśnie tutaj Frak wybudował swój pierwszy sklep spożywczy. Przyjaciel kładzie dłoń na wiszącej na ścianie starej fotografii drużyny.

- Głupku, nie zrobiłbym tego dla klubu - mówi - zrobiłbym to dla ciebie. Gdy zdobyliśmy srebro dwadzieścia lat temu, pamiętasz, kto ci zagrał podanie w końcówce

meczu, przed ostatnim strzałem?

Czy Peter pamięta? Wszyscy pamiętają. Frak podał, Peter chybił. Dla Fraka może i zdobyli wtedy srebro, ale dla Petera przegrali złoto. To przez niego. Ale Frak ociera oczy wierzchem dłoni i dodaje cicho:

-Gdybym miał jeszcze kiedyś szansę na powtórkę, to znów bym do ciebie podał. Dla ciebie sprzedałbym wszystkie sklepy. To właśnie się robi, gdy ma się w drużynie gwiazdę: darzy się ją zaufaniem. Podaje się jej krążek. Peter spuszcza wzrok.

-Gdzie można znaleźć tak lojalnych przyjaciół jak ty?

Frak aż rumieni się z dumy.

- Na lodowisku. Tylko tam.

Samotny staruszek przyczłapał do Futra. Ramona nigdy nie widziała go samego, bez pozostałej czwórki z „piątki dziadków”. Strasznie się nagle postarza!, jakby zaatakowały go naraz wszystkie lata.

- Byli pozostali? - zastanawia się, mając na myśli swoich najlepszych przyjaciół, z którymi od niepamiętnych czasów spędzał każdy dzień.

Ramona kręci głową.

- Nie dzwoniłeś do nich? - pyta.

Dziadek patrzy na nią zmartwiony.

- Nie mam ich numerów.

Rok za rokiem, dzień za dniem, piątka dziadków spędzała czas na hali lodowiska, oglądając hokej, lub w Futrze, rozmawiając o hokeju. Ich też obowiązuje kalendarz, w którym każdy rok zaczyna się we wrześniu. Po co niby mieliby znać swoje numery?

Dziadek stoi przez chwilę przy barze, nie wiedząc, co ze sobą począć. Po czym wraca do domu. Wraz z przyjaciółmi przesiadywali w barze każdego dnia, rozmawiając o sporcie. Nie chcą być teraz piątką mężczyzn siedzących w barze tylko po to, by pić.

Nastolatki przy grillach milkną. W krótkim czasie z nic nieznaczącego dzieciaka Lifa wyrósł na jednego z tych, z którymi nikt nie zadziera. Nie musi nawet podnosić głosu.

-Ten, kto da Amatowi choć jedno pieprzone piwo albo fajkę, nigdy już tutaj nie pogrilluje. Zrozumiano?

Kawałek niżej na górcie Amat, kaszląc, podnosi się z ziemi. Niedaleko stoi Zachariasz, na koszulce ma stopiony ser. Chwilę temu Lifa przyszedł do niego i powiedział, że słyszał, że Amat jest na górcie. Zachariasz próbował namówić go na ciepłą kanapkę, ale Lifa rzucił mu tylko jedno spojrzenie, po którym przyjaciel bez słowa się ubrał.

-Jestem tylko na imprezce! Zajmij się lepiej sobą - wykrzykuje Amat w stronę Lify.

Przyjaciel zaciska dłoń w pięść, ale go nie uderza. Odwraca się tylko i idzie w stronę czynszowych domów. Zachariasz pomaga Amatowi się podnieść.

- Nie jesteś sobą, Amat - mruczy pod nosem.

- Jakim „sobą”. Nie ma kogoś takiego jak JA! Nawet nie mam już DRUŻYNY, w której mógłbym grać!

Amat słyszy, jak żałośnie brzmi. Widzi Lifę wspinającego się pod górkę z gromadą dzieciaków za sobą. Każdy z nich trzyma w ręce kij hokejowy. Lifa trąca jednego palcem w ramię.

- Powiedz, kim jesteś, gdy gracie?

Chłopiec odchrząkuje nieśmiało, spoglądając na Amata spod grzywki.

- Jestem... tobą - szepcze.

Lifa wskazuje palcem na Amata.

- Masz zamiar się nad sobą użalać?

- Nie użala... - zaczyna Amat, ale Lifa natychmiast mu przerywa, wskazując na jego dom.

- Zach i ja graliśmy z tobą na tym jebanym podwórku każdego dnia. Wydaje ci się, że PODOBAŁO się nam to za każdym razem? Myślisz, że Zach nie wolałby sobie pograć na kompie?

- I to jak! - przyznaje Zachariasz.

Oczy Lify błyszczą.

- Graliśmy z tobą co wieczór, bo widzieliśmy, na co cię, kurwa, stać! I kim możesz kiedyś być.

- Teraz nie mam nawet DRUŻYNY - jęczy Amat, ale Lifa nie zamierza mu odpuścić:

- Zamknij ryj! I zawijaj się stąd! Wiesz dlaczego? Bo bez względu na to, czy się poddasz, czy nie, to dzieciaki stąd zrobią to, co ty. Więc idź, kurwa, trenuj! Bo jak już zostaniesz zawodowcem w NHL i będziesz udzielał wywiadów w telewizji, to powiesz, że jesteś stąd. A każdy dzieciak z naszej okolicy będzie o tym wiedział. I będzie chciał być taki jak ty, a nie jak ja. - Łzy spływają mu po policzku, ale Lifa nie stara się ich już nawet ukryć. - Jebany egoisto! Wiesz, ile każdy dalby za twój talent?

Amatowi drżą dłonie, Lifa podchodzi do niego i go obejmuje, tak jakby znów mieli osiem lat. Całuje go po włosach i szepcze:

- Będziemy z tobą biegać. Jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, każdy wariat stąd będzie z tobą biegać! cale lato.

I nie była to czcza gadka. Tej nocy Lifa biegnie koło Amata, aż w końcu pada. Gdy Amat odprowadza przyjaciela do domu, do treningu dołącza Zachariasz. Gdy z kolei on nie daje już rady, pojawiają się kolejni. Dwa tuziny wariatów obiecuje Amatowi

skończyć z piciem i paleniem na tyle długo, na ile będzie potrzebował towarzystwa do treningów.

Amat o tym nie zapomni, nawet za dziesięć lat, gdy będzie już grał zawodowo. Kilku jego pomocników przegra z nałogiem, niektórzy zginą w bójkach, skończą w więzieniu lub po prostu zmarnują sobie życie. Ale paru będzie żyło godnie. I wszyscy oni na zawsze zapamiętają, że wtedy, tego lata, biegali w dobrej sprawie. Wywiady z Amatem będą przeprowadzane po angielsku, reporter zapyta go, skąd pochodzi, i Amat odpowie: „I'm from Niecka”. A każdy wariat stąd zrozumie, że o nich pamięta.

Nie miał drużyny. Dali mu więc armię.

Przybysz

Peter spaceruje samotnie przez Björnstad. Mija szeregowiec, w którym stracił matkę i uciekał od smutku ojca, następnie halę lodowiska, gdzie odnalazł dom, jezioro i parking, na którym zaprzyjaźnił się z Frakiem i Knurem. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem do Kanady grał tu z nimi na asfalcie piłeczką tenisową, dokładnie jak w dzieciństwie. Paraliżował go strach, więc przyjaciele powiedzieli: „Hokej to prosta gra. Jeśli tylko zapomni się o całym tym gównie naokoło, trybunach, publiczności, tabelach i pieniądzach, wszystko przychodzi łatwo. Kije, dwie bramki i dwie drużyny”.

To wszystko wbił im oczywiście do głowy ich trener, Sune. To do niego zwracali się zawsze o radę, zarówno gdy chodziło o hokej, jak i o życie. Trener był ich ojcem o wiele bardziej niż którykolwiek z ich własnych ojców. Peter idzie teraz właśnie do niego. Wędruje przez swoje miasto, by opowiedzieć mu, że dostał ostatnią szansę na uratowanie klubu.

Trener wychudł z powodu choroby serca, ramiona opadły mu tak, że koszulka z niedźwiedziem na nim wisi. To stary kawaler, nie ma dzieci, jest niczym podstarzały generał, który całe życie poświęcił hokejowi. „Kiedy zdążył się tak postarzeć?” - przechodzi Peterowi przez myśl, a Sune, jakby czytając w jego głowie, uśmiecha się znużony i odpowiada:

- Żeby było jasne: sam też nie wyglądasz jak towar pierwszej świeżości.

Wokół nóg trenera biega zadowolony szczeniak, mężczyzna ofukuje go, żeby zachowywał się „jak wytresowany pies. A przynajmniej próbował!”.

- Jak się czujesz? - pyta Peter.

Sune poklepuje go po ojcowsku po ramieniu i wskazuje wzrokiem przepastne worki pod oczami Petera.

- Wyglądasz tak, jak ja się czuję. W czym mogę ci pomóc?

Peter opowiada wszystko: o tym, jak może uratować niedźwiedzia na koszulce Sunego, ale tylko przy pomocy silnego sponsora, którego nie zna, i polityka, któremu nie ufa. W dodatku pod warunkiem, że pozbędzie się stojących trybun i wyrzuci z hali lodowiska „Grupę”, czyli tych, dzięki którym zachował pracę.

Sune słucha spokojnie.

- Kawy? - pyta później.

- Jestem tu, bo potrzebuję twojej rady - odpowiada niecierpliwie Peter.

Sune kręci głową.

- Gówno prawda. - Po chwili mówi: - Gdy byłem jeszcze twoim trenerem, a ty miałaś wykonać rzut karny, podjeżdżałeś do mnie zawsze, tak aby wszyscy myśleli, że pytasz mnie o radę. To bardzo miło z twojej strony, że w ten sposób okazywałeś staremu trenerowi szacunek, ale obaj wiemy doskonale, że zawsze byłeś już wtedy zdecydowany. I teraz też tak jest. Wejdz i napij się kawy, smakuje strasznie, ale jest mocna.

Peter stoi uparcie w korytarzu.

- Ale nawet jeśli MOGĘ uratować klub... to jeśli ty nie będziesz ich trenował, nie mam innego trenera!

Sune zaśmiewa się tylko w głos. Dopiero gdy Peter idzie za nim do kuchni, dociera do niego dlaczego. Mężczyźni nie są w domu sami. Przy kuchennym stole siedzi przybysz. Sune z zadowoleniem mruży oczy.

- Jak pewnie wiesz, to Elisabeth Zackell. Przed chwilą przyszła mi powiedzieć, że przejmuje moje stanowisko.

Mira Andersson siedzi na schodach przed domem. Czeką na męża, który nigdy nie przychodzi. Pamięta, co powiedziała jej przyjaciółka: „Mężczyźni! Wiesz, dlaczego nie można im ufać? Bo kochają innych MĘŻCZYŻN! Nikt nie kocha ich bardziej niż inni MĘŻCZYŻNI, Miro! Nie mogą się skupić nawet na sporcie, jeśli nie jest uprawiany przez innych MĘŻCZYŻN! Spoconych i sfrustrowanych, bijących się z innymi mężczyznami, podczas gdy przyglądają im się tysiące mężczyzn na trybunach. Tego właśnie chcą. Dam sobie rękę uciąć, że już niedługo pojawi się przeznaczone dla heteroseksualnych mężczyzn porno tylko z mężczyznami; faceci się czymś takim w sumie nie jarają, ale nie wierzą, że kobiety mają wystarczająco dużo umiejętności, by się pieprzyć!”.

Przyjaciółka często doprowadza Mirę do śmiechu. Jak wtedy, gdy na spotkaniu z klientem jakiś gość w garniturze głośno kichnął, nie próbując nawet zasłonić sobie ust, a przyjaciółka wypaliła: „Ech, ci mężczyźni! Ciekawe, co by było, gdybyście mieli okres. W miejscach publicznych nie potraficie przecież utrzymać w sobie choćby kropli waszych płynów ustrojowych”.

Dziś Mirze nie było do śmiechu. Wstydziła się. Od zawsze przyjaciółka namawiała ją, by otworzyły własną firmę. Mira nigdy tak naprawdę nie potrzebowała wymówek. To przecież nedorzeczny pomysł, o którym można było pomarzyć na głos raz na kwartał po wypiciu połowy kartonu wina i przy dużej ilości rosnącej pychy. Dziś jednak przyjaciółka wpadła do niej do biura z kartką w ręku i wrzaskiem: „Lokal jest

wolny!". Marzyły o nim latami, bez problemu mogłyby ściągnąć tam kilku największych dotychczasowych klientów. Miejsce idealne.

Ale Mira jak zwykle odpowiedziała: „Teraz nie mogę. Nie przy pracy Petera i dzieciach. Muszę mieć obecnie czas dla Mai". Przyjaciółka pochyliła się nad jej biurkiem. „Wiesz, że nasi klienci pójdą za nami. Zaoszczędziłam wystarczająco dużo. Jeśli nie teraz, to KIEDY?" Mira próbowała znaleźć wymówkę, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to czas. Założenie własnej firmy wymaga szesnastogodzinnego dnia pracy siedem dni w tygodniu. Jak pogodzić to z odbieraniem ze szkoły i zawożeniem na treningi, i nauką gry na gitarze, sprzedażą kuponów na loterię i kalendarzem rodziców w kafeterii w hali lodowiska?

Przyjaciółka spojrzała na nią poważnym wzrokiem. „Jesteś czterema różnymi kobietami, Miro. I próbujesz być nimi wszystkimi naraz przez cały czas: dobrą żoną, dobrą mamą, dobrym pracownikiem. Jak długo jeszcze dasz radę?"

Mira udaje, że przegląda właśnie na komputerze niezwykle ważny dokument, ale w końcu się poddaje i mamrocze: „Powiedziałaś czterema. Żoną, matką, pracownikiem... A czwarta?". Przyjaciółka ponownie pochyliła się nad biurkiem i wyłącza komputer, przygnębiona stuka w jego ekran i mówi: „To ona, Mira. Kiedy będzie jej kolej?". W czarnym odbiciu ekranu Mira spogląda sobie w oczy.

A teraz siedzi sama na schodach przed domem. Pije wino. Czeka na męża, który nigdy się nie pojawia.

Peter wyciąga dłoń, Elisabeth niechętnie podaje mu swoją. Tak jakby w jej ciele siedziała dużo mniejsza Elisabeth Zackell, próbująca kierować tą dorosłą za pomocą joysticka.

- Widziałem cię, jak grałaś na olimpiadzie... - przyznaje Peter.

Zackell wygląda, jakby nie wiedziała, co ma zrobić z taką informacją, więc do rozmowy włącza się Sune:

- Do diabła, Peter! Masz przed sobą dwieście czterdzieści cztery mecze w kadrze krajowej! Olimpiadę i mistrzostwa świata! Do tego ma licencję trenera! Gdyby była facetem, to już dawno klęczałbyś przed nią i BŁAGAŁ, by przejęła moją robotę!

Peter bierze do ręki kubek z kawą, siada przy stole i patrzy przepaszająco na Elisabeth Zackell.

- Gdybyś była facetem, to już dawno miałybyś robotę w którymś z ligowych klubów, prawda?

Zackell przytakuje krótkim skinieniem.

- Nie mam możliwości trenowania dobrej drużyny, więc zamiast tego zdecydowałam się zacząć z beznadziejną i zamienić ją w dobrą.

Urażony Peter marszczy brwi, Sune wybucha gromkim śmiechem, a Zackell wygląda, jakby w ogóle nie rozumiała, czym sobie na to zasłużyła.

- Jesteście przecież beznadziejni, nie?

Peter uśmiecha się niechętnie.

- Skąd wiedziałaś, że potrzebujemy nowego trenera? Sune nie afiszował się ze swoją chorobą...

W tym momencie dociera do niego, co odpowie Elisabeth. Nawet nie musi wymawiać nazwiska polityka. Peter bierze łyk kawy i przyznaje na wpuł przed samym sobą:

- Theo dobrze to sobie wymyślił. Kobieta trenująca drużynę hokejową...

- Czy to twoja córka została zgwałcona? - przerywa mu Zackell.

Peter i Sune odchrząkują niepewnie, Zackell zdaje się nie rozumieć.

- Twoja, prawda? Przez jednego z zawodników, którego obaj szkoliliście.

Głos Petera cichnie.

- To dlatego tu jesteś? Masz być częścią PR-owego przewrotu Richarda Theo? Kobieta trenująca drużynę hokejową w byłym klubie gwałciciela... Media uwielbiają takie rzeczy.

Zackell podnosi się zniecierpliwiona.

- Nie zamierzam rozmawiać z mediami. To twoja robota. I w dupie mam PR-owy przewrót Richarda Theo. Nie zamierzam też być kobietą trenującą drużynę hokejową.

Peter i Sune spoglądają na siebie.

- Kim w takim razie masz zamiar być? - pyta Sune.

- Kimś, kto trenuje drużynę hokejową - odpowiada Zackell.

Sune drapie się po brzuchu. To on zwykł zawsze mówić, że tylko udajemy, że hokej jest skomplikowany, chociaż właściwie wcale taki nie jest. Jeśli tylko zapomni się o całym tym gównie naokoło, wszystko przychodzi łatwo. Kije, dwie bramki i dwie drużyny. My przeciwko wam.

Z ogrodu Sunego dobiega jakiś dźwięk. Sune unosi brwi i szeroko się uśmiecha, ale Peter jest zbyt rozkojarzony, by od razu go rozpoznać.

- Ja... - zaczyna, usiłując brzmieć jak dorosły mężczyzna, dyrektor sportowy, przywódca.

Dźwięk z ogrodu przerywa mu w puł zdania. Bang! Chłopiec, którym Peter kiedyś był, marzyciel, rozpoznałby go od razu. Ze zdziwieniem patrzy na Sunego. Bang-bang-bang - dobiega z ogrodu.

- Co to? - pyta Peter.

- A, tak! Zapomniałem ci chyba powiedzieć. - Sune udaje zakłopotanie, uśmiechając się.

Peter się podnosi i podąża za dźwiękiem na taras. Na tyłach domu Sunego stoi czteroipółletnia dziewczynka i z całej siły uderza krążkami o ścianę.

- Pamiętasz, jak przychodziłeś tu z tego samego powodu, Peter? Jest lepsza nawet od ciebie. Znała się na zegarku, jeszcze zanim tu przyszła! - informuje zadowolony Sune.

Peter przygląda się uderzającym o ścianę krążkom i nagle przenosi się całe życie wstecz. W sumie to prosta gra. Dziewczynka pudłuje przy jednym ze strzałów, wybucha nagłą złością i z całej siły rzuca kijem o ścianę, tak że aż go łamie. Dopiero teraz się odwraca, zauważa go i instynktownie się kuli. Całe dzieciństwo Petera staje mu przed oczami.

- Jak masz na imię? - szepcze.

- Alicia - odpowiada dziewczynka.

Peter widzi siniaki na jej ciele. Miał takie same. Wie, że dziewczynka skłamię, jeśli ją zapytać, skąd je ma. Dzieci są tak cholernie lojalne wobec rodziców. Peter przykuca więc przy niej i z całym smutkiem swojego dorastania w drżącym głosie obiecuje jej:

- Widzę, że jesteś przyzwyczajona do złego traktowania, jeśli zrobisz jakiś błąd. Ale hokej nigdy cię w ten sposób nie potraktuje. Rozumiesz, co mam na myśli? Hokej nigdy cię nie skrzywdzi.

Dziewczynka przytakuje. Peter przynosi nowy kij. Alicia wraca do treningu. Tuż za sobą słyszy Sunego:

- Wiem, że już się zdecydowałeś na ratowanie klubu. Dobrze jednak by było, żebyś pamiętał, dla kogo go ratujesz.

Peter przytakuje gorliwie starszemu trenerowi.

- Całe moje życie trenowałeś pierwszy zespół Björnstad. I nagle jesteś gotowy, żeby oddać robotę... przybyszowi?

Jak tylko może, stara się ukryć, że „przybysz” nie był pierwszym słowem, jakiego chciał użyć. Sune ciężko oddycha, gdy mu odpowiada:

-Zawsze marzyłem, by Björnstad Hockey było czymś więcej niż tylko klubem. Nie wierzę w gole ani tabele, ale w sygnały i symbole. Uważam, że ważniejsze jest wychowywanie ich na ludzi niż na gwiazdy. Ty uważasz podobnie.

- I myślisz, że ta Elisabeth Zackell w twojej kuchni myśli tak jak my?

Szczęka Sunego powoli rozciąga się w uśmiechu.

- Nie. Elisabeth Zackell nie jest taka jak my. Ale może właśnie tego klub potrzebuje teraz najbardziej.

-Jesteś pewien? - zastanawia się Peter.

Sune poprawia pasek u spodni, podupadające na zdrowiu serce sprawiło, że stały się za duże. Oczywiście, że nie chce oddać swojego stanowiska, nikt by tego nie chciał. Poświęcił klubowi całe życie, jakim byłby więc przywódcą, gdyby nie potrafił przełknąć dumy, gdy klubowi grozi śmierć?

- A kiedy, do cholery, jesteśmy czegoś pewni? Wiem jedynie, że niedźwiedź powinien być symbolem tego, co najlepsze w tym mieście, a niektórzy próbują go teraz pograć, przypisując mu to, co najgorsze. Jeśli dopuścimy do tego, by uszło im to na sucho, jeśli pozwolimy im przerzucić całe pieniądze do Hed, gdy tylko sprzyja to ich interesom, to jaki sygnał wysyłamy naszym dzieciom? Że byliśmy tylko klubem? Że to właśnie się dzieje, gdy masz odwagę stanąć w czyjejs obronie i powiedzieć prawdę?

- W jakiś sposób Zackell jest inna od ciebie? - pyta Peter.

- Jest zwycięzcą - odpowiada Sune.

Nie trzeba im więcej słów. Mężczyźni stoją i przyglądają się Alicji uderzającej krawkami w ścianę. Bang-bang-bang-bang-bang. Peter idzie do toalety, odkręca kran i stoi przed lustrem, nie patrząc w nie. Gdy wychodzi, widzi, że Zackell ma już na sobie buty.

- Gdzie idziesz? - pyta Peter.

- Chyba już wszystko ustaliliśmy - odpowiada Zackell, tak jakby właśnie zatrudniła samą siebie.

- Musimy chyba porozmawiać o DRUŻYNIE! - zauważa Peter.

- Zaparzę więcej kawy - dodaje Sune, przepychając się do kuchni.

- Nie piję kawy - odpowiada Zackell.

Sune parska.

- Nie pijesz KAWY?

- Mówiłam przecież, jak przyszłam.

- Uznałem to za żart.

Peter stoi między nimi, przecierając rękoma powieki.

-Halo! Drużyna! Kiedy rozmawiamy o drużynie?

Elisabeth Zackell wygląda, jakby wewnątrz jej głowy biegała właśnie jej wersja mini, szukając wyłącznika prądu.

- Jakiej drużynie? - pyta po chwili.

Gra może i jest prosta, ale ludzie nigdy tacy nie są. Bang-bang-bang.

Vidor Rinnius

W szkole w Björnstad zacznie się wkrótce zebranie rady pedagogicznej przed semestrem zimowym. Dyskusji wymaga jak zwykle budżet, plany nauczania oraz przebudowa sali gimnastycznej. Jeden z nauczycieli zapyta o ucznia o imieniu Vidar, który nagle pojawił się na liście jego klasy. Dyrektor odchrząknie zmartwiony i odpowie: „Taaak, to jeden z uczniów, uczęszczał tu wcześniej, a teraz znów wrócił. Decyzja przyszła nagle...”. Nauczyciela zastanowi, gdzie uczeń się do tej pory podziewał i czy chodził może do jakiejś innej szkoły. „Hm, Vidar był pod opieką... alternatywnego systemu kształcenia” - wyjaśni zmieszany dyrektor. „Ma pan na myśli poprawczak?” - zapyta zaciekawiony nauczyciel. „Wydaje mi się, że to był raczej jakiś dom opieki” - doda dyrektor. Nauczyciel nie widzi za bardzo między nimi różnicy.

Ktoś w tyle sali wyszepta: „Pobicie i przestępstwa narkotykowe, próbował zabić policjanta!”. Ktoś inny dodaje: „Nie chcę mieć tego psychopaty w swojej klasie!”. Kolejny nauczyciel pyta trochę głośniej: „Czy Vidar nie powinien siedzieć dłużej?”. Jego pytanie pozostaje jednak bez odpowiedzi. Ktoś jeszcze, zaniepokojony, podnosi głos: „Vidar? A jak ma na nazwisko?”. Rzęsy dyrektora trzepocą niczym skrzydła kolibra, gdy odpowiada na pytanie: „Rinnius. Vidar Rinnius. To młodszy brat Teemu Rinniusa”.

Elisabeth Zackell drapie się po głowie, mierzwiąc sobie fryzurę, po której trochę trudno stwierdzić, czy jest dziełem artysty fryzjera, czy przypadku, po czym wychodzi przed dom Sunego w butach dostosowanych do minusowej temperatury i co najmniej o dwa numery za dużych. Zapala cygaro. Zaniepokojony Peter podąża za nią.

- Co ty wyprawiasz? - pyta.

Zackell, jak widać niezbyt wyczulona na ludzkie intencje, przyjmuje za pewnik, że chodzi o cygaro:

- Masz na myśli to? Ech... sama nie wiem. Jestem weganką i nie piję ani alkoholu, ani kawy. Gdybym jeszcze nie paliła, to już nikt normalny by mi nie ufał- odpowiada Zackell, tak jakby od dawna miała przemyślaną tę kwestię.

Peter wzdycha tak mocno, że aż zaczyna kaszleć.

- Nie możesz tu tak po prostu przyjechać i uważać, że dostaniesz stanowisko trenera, nie opowiadając, co masz zamiar zrobić z naszą DRUŻYNĄ.

Zackell napęła usta dymem i przekrzywia głowę.

- Tą, którą macie teraz?

- Tak! Tą, którą masz trenować!

- A, twoim pierwszym zespołem? Jest beznadziejny. Banda przegranych, za starych lub za słabych, by ktokolwiek chciał ich u siebie.

- Ale możesz coś jeszcze z nich wycisnąć? To masz na myśli?

Zackell zaczyna chichotać. Nie uprzejmie czy czarująco, a szyderczo.

- O nie, nie, nie, mój drogi, nie da się ulepszyć beznadziejnej drużyny. Nie jestem Harrym Potterem.

Dym z cygara dostaje się Peterowi do oczu i sprawia, że ten traci cierpliwość.

- Co TU w takim razie robisz? I czego CHCESZ?

Zackell wyciąga z kieszeni pomiętą kartkę. Z przepaszającą miną wydmuchuje dym w innym kierunku, niepewnie, tak jakby w rzeczywistości nie chciała przeprosić za to, że sama pali, tylko wyrazić swe ubolewanie, że on tego nie robi.

- Jesteś zły?

Peter się uspokaja.

- Nie jestem... zły.

- Wyglądasz na podenerwowanego.

- Nie jestem ZŁ... Przestań!

- Nieraz słyszałam, że nie najlepiej radzę sobie w kontaktach z... ludźmi. Z takimi. . . uczuciami i takimi tam - przyznaje Zackell z miną nadal kompletnie pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

- Co ty powiesz? Niesłychane! - mruczy sarkastycznie Peter.

Zackell wręcza mu kartkę.

- Jestem za to dobrym trenerem. Słyszałam też, że ty jesteś dobrym dyrektorem sportowym. Jeśli sprawisz, by ludzie z tej kartki dali z siebie dla mnie na lodzie wszystko, to sprawię, że ta drużyna zacznie wygrywać.

Peter spogląda na kartkę: Bobo, Amat, Benji.

- To tylko nastolatki... Jeden z nich ma dopiero szesnaście lat... Chcesz zbudować z nich pierwszy zespół?

- Oni nie mają zbudować pierwszego zespołu. Mają go unieść. A ten tu będzie naszym nowym kapitanem drużyny - przerywa mu Zackell.

Peter gapi się na nią, a potem na nazwisko, które wskazała.

- Chcesz z NIEGO zrobić kapitana drużyny? Naszego PIERWSZEGO ZESPOŁU?

Elisabeth odpowiada, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie:

- Nie. Ty to zrobisz. To przecież ty dobrze radzisz sobie z ludźmi.

Następnie podaje mu jeszcze jedną kartkę. Widnieje na niej tylko jedno imię: „Vidar”. Peter rzuca na nie okiem i krzyczy:

- NIGDY W ŻYCIU!

- Rozumiem, że znasz Vidara.

- ZNAM? On... on...

Peter trzęsie się tak, że niemal kręci się w kółko niczym szalony minutnik do jajek. W drzwiach pojawia się Sune z kawą. Bez pytania wciska ją Zackell do ręki, po czym spogląda na kartkę, uśmiechając się szeroko.

- Vidar? Ech, ten chłopak. On raczej nie zagra w twojej drużynie. Z powodów... geograficznych.

Odpowiadając, Zackell nie stara się być arogancka, tylko rzeczowa:

- Zapewniono mnie, że w najbliższym czasie zostanie wypuszczony.

- Z ośrodka? Niby jak? - prycha Sune.

Zackell nie odpowiada „Richard Theo”. Mówi jedynie:

- To już nie mój problem. Moim problemem jest brak bramkarza, a on podobno jest najlepszy w całym Björnstad.

Peter aż obejmuje się rękami ze złości.

- Vidar jest KRYMINALISTĄ i... PSYCHOPATĄ! NIE będzie grał w mojej drużynie!

Zackell wzrusza ramionami.

- To nie jest twoja drużyna. Tylko moja. Zapytaliście mnie, czego „chcę”. Chcę wygrać. Żeby to zrobić, nie wystarczą starzy zawodnicy z pierwszego zespołu, których nikt inny nie chce. Musicie mi dać coś więcej.

- Co? - podnosi głos Peter, niespokojnie opierając się o ścianę.

Zackell wydmuchuje dym z cygara.

- Bandę łobuzów.

Teemu Rinnius przestępuje próg Futra. Ramona przechyla się przez bar i czule całuje go w policzek. Teemu przyniósł dwie reklamówki z jedzeniem. Jedna z nich w większości wypełniona jest papierosami. Gdy Holger odszedł, Ramona przestała wychodzić z domu. Teemu jej tego nie wypominał, dopilnowywał tylko, żeby niczego jej nie brakowało. Ramona nie wypomina mu więc prawie nigdy jego życiowych decyzji. Zawsze można dyskutować o morale, ale oboje doskonale wiedzą, że większość ludzi chce tylko przebrnąć przez kolejny dzień. Jak to zwykła mówić Ramona: „Każdy brodzi we własnym gównie”.

W gładko zaczesanych włosach i ze świeżo ogoloną brodą Teemu wygląda prawie niegroźnie. A gdy przyjdzie się do Futra dostatecznie wcześnie rano, Ramona wygląda na prawie trzeźwą.

- Jak tam u mamy? - pyta.

- W porządku, wszystko w porządku - odpowiada Teemu.

Ramona wie, że jego mama jest zawsze zmęczona. Za bardzo lubi tabletki nasenne i kłopotliwych mężczyzn. Gdy Teemu wystarczająco podrośł, rozprawił się z mężczyznami, ale tabletek nie mógł już usunąć. Zamiast tego w niebieskich oczach nosi wszystkie życia, których życzyłby sobie dla matki. To właśnie dlatego Ramona przejmuje się nim bardziej niż wszystkimi innymi facetami, którzy przez lata przewinęli się przez ten bar. Dzisiaj jednak oczy Teemu lśnią czymś jeszcze- nadzieją.

- Właśnie dzwonił do mnie Vidar! Wiesz, co powiedział? - wykrzykuje od drzwi.

Policja stara się udowodnić, że Teemu Rinnius jest śmiertelnie niebezpieczny. Wiele osób uważa, że to kryminalista. Ale w jednym barze w Björnstad na zawsze pozostanie małym chłopcem, niepewnym i gorliwym.

- Co to jest, chłopcze? Jakiś teleturniej? Wyduś to z siebie! - żąda niecierpliwie Ramona.

Teemu się śmieje.

- Wypuszczają go! Brat wraca do domu!

Z wrażenia Ramona nie wie, co ma ze sobą zrobić, w końcu okręca się dwukrotnie wokół własnej osi, posapując:

- Potrzebujemy jakiejś lepszej whisky!

Teemu zdążył już postawić butelkę na barze. Ramona obchodzi ladę i go obejmuje.

- Tym razem zaopiekujemy się nim lepiej. Tym razem nie odpuścimy.

Stara barmanka i młody zabijaka wybuchają śmiechem. Dziś są zbyt szczęśliwi, by zadawać sobie pytanie: dlaczego Vidar zostaje wypuszczony wcześniej? I kto za tym stoi?

Polityka polega na ciągłych negocjacjach i kompromisach, a choć zachodzące w niej procesy wydają się często skomplikowane, to jej sedno jest zawsze proste: wszyscy chcą zapłaty, w taki czy inny sposób. Tym samym wszystkie biurokratyczne systemy działają dokładnie tak samo. Daj mi coś, to ja też coś ci dam. Tak właśnie budujemy cywilizację.

Richard Theo uwielbia swój samochód, każdego roku przejeżdża nim tysiące kilometrów. Technologia może się mocno przydać, ale pozostawia też po sobie ślad. Mejle, esemesy i nagrane rozmowy telefoniczne są największymi wrogami polityków. Theo pokonuje długie trasy, by w spokoju porozmawiać o tym, czego nikt nie będzie mu w stanie udowodnić.

Peter Andersson ma rację - Theo zadzwonił do Elisabeth Zackell, bo rozumie wagę PR-u. Trenerka w klubie gwałciciela. Theo rozumie też znaczenie wygranej, dlatego gdy Zackell przejrzała listę zawodników pierwszego zespołu z Björnstad, zapytał ją,

czego potrzebuje. „Przede wszystkim? Bramkarza. Przed dwoma laty był tu jeden junior z dobrymi statystykami: Vidar Rinni us. Ale potem zniknął. Wiesz, co się z nim stało?” Theo nie ma pojęcia o hokeju, ale zna się na ludziach.

Znalezienie ośrodka, w którym znajdował się Vidar, nie było trudne. Od wielu lat Theo przyjaźnił się z pracownikami różnych instytucji i komitetów. Zadzwoił do Zackell, pytając: „Jak bardzo chcesz mieć tego Vidara?”. „Jeśli mi go załatwisz, a ja znajdę jeszcze trzech dobrych zawodników, to możemy coś wygrać” - odpowiedziała.

Richard Theo zmuszony był wyświadczyć kilka osobistych przysług, kosztowało go to trochę obietnic i kilkadziesiąt kilometrów w samochodzie. Ale wkrótce Vidar Rinnius będzie na wolności, znacznie wcześniej, niż zakładano. Żadne prawo nie zostało złamane, nie naciągnięto nawet przepisów, po prostu Richard Theo przyjaźnił się z przewodniczącym odpowiedniej komisji, a w sprawie udało się pozyskać nowego prowadzącego, który stwierdził, że „nakaz pobytu w ośrodku należy ponownie rozpatrzyć i zweryfikować”.

Vidar miał tylko siedemnaście lat, gdy został zatrzymany za pobicie i nielegalne posiadanie narkotyków, skierowano go więc do ośrodka. Biurokracja to skomplikowany system, błędy się zdarzają, zresztą z ręką na sercu: czy od czasu do czasu pobyt w ośrodku nie powinien zostać zweryfikowany? Czy ze względu na dramatyczny brak miejsc w placówce nie byłoby polityczną nieodpowiedzialnością pozwolić młodzieży przebywać tam dłużej, niż to konieczne?

W swej opinii nowy prowadzący sprawę wyjaśnił, że przed pobytem w placówce opiekuńczej Vidar Rinnius był obiecującym hokeistą i że jego powrót do „życia społecznego” miałyby znacznie większe szanse powodzenia, gdyby „nastolatek mógł ponownie podjąć się jakiegoś sensownego zajęcia w bardziej otwartej formie”. Zwykle w takiej sytuacji proces ten powinien odbywać się etapami, poprzez pobyt w kolejnych ośrodkach opieki, ale można to przyspieszyć, jeśli nastolatkowi zapewni się „uporządkowany i bezpieczny dom”. W Niece pojawiło się więc dla Vidara mieszkanie, należące do zakładu gospodarki mieszkaniowej. Oczywiście Richard Theo nie miał z tym nic wspólnego - to by była przecież korupcja. A prowadzący sprawę Vidara nie pochodzi z Björnstad, bo to wyglądałoby już podejrzanie. Ale tak się składa, że pochodziła stąd jego niedawno zmarła teściowa. Żona prowadzącego odziedziczyła niewielki domek z dostępem do jeziora. Dziwnym trafem za kilka miesięcy do gminy wpłynęły wnioski o zezwolenie na budowę małych chat pod wynajem. Zwykle tego typu wnioski od razu zostają odrzucone, ze względu na zakaz budowy tak blisko wody, ale tym razem właśnie ten prowadzący w niepojęty sposób i bez większych przeszkód uzyska pozwolenie na budowę.

Podpis na dokumencie w zamian za podpis na innym dokumencie. Biurokracja za biurokracją. Elisabeth Zackell dostanie bramkarza, Teemu Rinnius odzyska brata, a Peter Andersson nabawi się niebezpiecznych wrogów. Koniec końców wszyscy oni dadzą Richardowi Theo to, czego potrzebuje. Każdy chce zapłaty, różni nas tylko waluta.

Po wyjściu Petera Sune i Zackell odprowadzają małą Alicię do domu.

- Mogę przyjść też jutro i postrzelać? - pyta czteroipółlatka.

Sune przytakuje. Zackell w ogóle nie zarejestrowała jej pytania. Sune musiał zwrócić jej uwagę, by nie paliła przy dziecku. Zackell nie do końca rozumie, czy to dlatego, że nie wypada, czy też z tego względu, że dziewczynka sama próbuje rzucić nałóg i nie ma jej co kusić.

Gdy Alicia wbiegła już do domu, Sune zwraca się do Zackell, marszcząc czoło:

- Naprawdę masz zamiar włączyć Vidara do drużyny?

- A nie jest dobrym bramkarzem? Widziałam statystyki z jego ostatniego sezonu.

Coś było z nimi nie tak?

- Vidar jest prawdopodobnie najlepszym bramkarzem, jakiego to miasto kiedykolwiek miało. Ale są z nim też... problemy.

- Czy może grać, czy nie?

- To, że może grać, nie oznacza jeszcze, że jest odpowiedni - zauważa Sune.

Ignorancja Zackell jest niemal uderzająca.

- Hokej to hokej. Jeśli jest dobry, to jest też odpowiedni. Dlaczego Peter tak się na niego wścieka?

Sune próbuje powstrzymać się od śmiechu.

- Peter się nie... wścieka.

- Tak to wygląda.

- Vidar ma problemy z samokontrolą. Trudno mu się... opanować. A Peter nie lubi... syfu.

- Syfu?

- Vidar... Ech, od czego tu zacząć? Jego brat jest...

- Chuliganem. Przywódcą „Grupy”. Słyszałam o tym - przerywa mu Zackell.

Sune odchrząkuje.

- Taaa... więc... Może niekoniecznie istnieje tutaj jakaś „Grupa”... Media trochę z tym przesadzają. Ale tak... Któregoś dnia po meczu pierwszego zespołu przed areną doszło do bójki między kibicami różnych drużyn. Teemu brał w niej udział. Juniorzy mieli grać zaraz po, ale okazało się, że Björnstad nie ma bramkarza. Vidar siedział już w policyjnym radiowozie. Gdy usłyszał o bójce, wybiegł przed halę i rzucił się w sam środek walki, z łyżwami na nogach. Innym razem włamał się na lodowisko i zjechał

skuterem z trybun. Był trochę... pod wpływem. Kiedy indziej usłyszał, że Peter Andersson negatywnie wypowiedział się o „chuliganach” na spotkaniu z zarządem, więc całą noc jeździł po Björnstad i kradł krążki. WSZYSTKIE krążki. W całej hali, w sklepie sportowym, w garażach ludzi... Następnego dnia musieliśmy prosić publiczność na zawodach chłopięcych, by poszli do domu i poszukali na strychu starych krążków, żebyśmy mogli grać. Któregoś razu Vidar uderzył sędziego w... taaa... szlachetne części ciała. W trakcie meczu. Peter wyrzucił go z klubu, więc Vidar włamał się na halę i zrobił kupę na biurku dyrektora.

Zackell kiwa niewzruszona głową.

- A Peter nie lubi syfu?

Sune śmieje się w głos.

- Wystarczy, że ktoś tylko rozleje kawę na jego biurku, a Peter ma prawie zawał. Ciężko przychodzi mu wybaczenie odchodów. Nie pozwoli grać Vidarowi.

Zackell zdaje się totalnie nie rozumieć, jak wszystkie te sprawy miałyby od siebie zależeć.

- Macie w Björnstad lepszego bramkarza niż on?

- Nie.

- Trenuję drużynę hokejową. Jedyne znany mi sposób na to, by traktować wszystkich sprawiedliwie, to traktować ich równo. Dobry zawodnik to dobry zawodnik.

Sune przytakuje.

- Jezu. Ty i Peter będziecie się kłócić w nieskończoność.

- Czy to źle?

Sune się uśmiecha.

- Nie. Klub, który żyje, musi wypełniać się ludźmi, którzy płoną, a ogień powstaje z tarcia...

- Pożary lasów również - odpowiada Zackell.

- Niszczysz moje porównanie - wzdycha Sune.

- To było porównanie? Przepraszam, nie za dobrze sobie radzę z...

- Ludźmi? Uczuciami? - zgaduje Sune.

- ... z pitu-pitu. Potrzebuję zawodnika, który po prostu... gra.

- Do tego właśnie potrzebujesz Petera. On ich motywuje, ty trenujesz.

- Tak.

- Peter nie porozmawia z Vidarem. Ale ja mogę porozmawiać z jego bratem.

- Z bratem?

- Tak.

- A ci trzej pozostali? Benji, Bobo i Amat? Czy Peter z nimi porozmawia?

- Nie.
- Nie?
- Jeśli chcesz, żeby ich zmotywował, to nie z nimi musi rozmawiać. Tylko z mamami i siostrami.
- To dziwne miasto - stwierdza Zackell.
- Słyszeliśmy to już niejedyn raz - przytakuje Sune.

Björnstad przeciwko reszcie

W wiadomość z pierwszej strony lokalnej gazety szybko się roznosi. Może dlatego, że nie ma tu zbyt wiele innych rzeczy, o których można by porozmawiać. Może dlatego, że hokej jest tu ważniejszy niż w innych częściach kraju. Albo też dlatego, że właśnie w tym momencie, jeszcze niezauważalnie dla większości mieszkańców, wiatr zmienił kierunek.

„Björnstad Hockey uratowane przez dużego sponsora - dyrektor sportowy Peter Andersson w trakcie tajemniczych negocjacji” - informuje gazeta. Kilka linijek niżej kolejna wiadomość: „Według uzyskanych przez nas informacji Elisabeth Zackell, zawodniczka narodowej kadry hokeja, została nowym trenerem pierwszego zespołu. Jest pierwszą kobietą trenerem w historii Björnstad Hockey”.

W artykule nie wspomniano, skąd dokładnie pochodzą te informacje, a jedynie, że jest to „zaufane źródło blisko klubu”.

Żeby wygrać wybory, politykom potrzebne są nie tylko konflikty. Sprzymierzeńcy też są ważni. Richard Theo zna tylko dwie sytuacje, kiedy ktoś, kto cię nie lubi, zdecydował się na walkę po twojej stronie: wspólny wróg lub wspólny przyjaciel.

W dniu, w którym Peter Andersson poznaje Elisabeth Zackell, do innego polityka w gminie dzwoni dziennikarka lokalnej gazety. Telefon odbiera jednak Richard Theo.

- Niestety, osoba, której pani szuka, jest na urlopie. Pozwoliłem sobie odebrać telefon, bo akurat przechodziłem korytarzem i usłyszałem, że ktoś dzwoni - informuje grzecznie rozmówczynię.

- Ach, rozumiem... Dostałam mejla od jego asystenta, żebym zadzwoniła... Chodzi o jakiegoś newsa dotyczącego Björnstad Hockey.

Theo posiada wyjątkową zdolność odgrywania głupiego. To, że hasło do skrzynki pocztowej asystenta to nazwa organu płciowego z następującymi po niej „12345”, jest tylko dodatkowym szczęśliwym trafem.

- News o Björnstad Hockey? To pewnie o ich nowym sponsorze i trenerze - podsuwa usługnie Richard Theo.

- Co takiego? - wybucha reporterka.

Theo udaje niepewność.

- Przepraszam... Myślałem, że to już oficjalne... Ale ze mnie głupek... Chyba powiedziałem więcej, niż powinienem! To nie ode mnie powinna się pani dowiadywać takich rzeczy!

Reporterka odchrząkuje.

- Czy mógłby pan... rozwinąć tę myśl?

- A czy mogę pani zaufać, że nie wymieni pani mojego nazwiska w artykule? - dopytuje Richard Theo.

Reporterka oczywiście to obiecuje, Theo natychmiast dodaje wspaniałomyślnie, że „nie chciałby odciągać uwagi od Petera Anderssona, bo to przecież on wykonał całą robotę!”.

Gdy wiadomość jest już na stronie gazety, Theo pojawia się w sklepie spożywczym, pyta o właściciela i zostaje odesłany do magazynu.

Frak przeprowadza właśnie inwentaryzację: stary hokeista kieruje brudnym wózkiem z towarem, ale jak zwykle jest ubrany w garnitur. Gdy był młody, nie miał powodzenia u płci pięknej, dlatego też postanowił się ubierać lepiej niż reszta kolegów. Gdy oni nosili koszulki, on przychodził w marynarce, gdy koledzy z okazji pewnego pogrzebu przywdziali garnitury, on pojawił się we fraku. Tak właśnie zyskał swoją ksywkę.

- Nazywam się Richard Theo - przedstawia się polityk, mimo że to zbyteczne.

- Wiem przecież, do cholery, kim jesteś, chodziliśmy razem do szkoły - pomrukuje Frak, zeskakując z wózka.

Polityk trzyma przed sobą dużą skrzynkę. Właściciel sklepu przejmuje ją podejrzliwie.

- Chciałbym pomóc Björnstad Hockey - mówi Theo.

- Ludzie tutaj nie chcą oddać politykom władzy w klubie - odpowiada Frak.

- Politykom... czy też TEMU politykowi? - zapytuje ironicznie Theo.

Frak odpowiada z rezerwą, ale uprzejmie:

- Myślę, że sam dobrze wiesz, jaką masz opinię. Czego ode mnie chcesz?

- Żebyśmy sobie nawzajem pomogli. Ty i ja mamy wspólnego przyjaciela, a myślę, że to ważniejsze niż mieć wspólnych wrogów.

Frak otwiera skrzynkę, zagląda do niej i bezskutecznie udaje niewzruszonego.

- Co ja... mam z tym zrobić?

- Wszyscy mówią, że jesteś najlepszym sprzedawcą w mieście. Sprzedaj to! - odpowiada Richard Theo, wkładając ręce do kieszeni drogich spodni.

Dziś ma na sobie lśniącą białą koszulę pod szarą kamizelką, czerwony jedwabny krawat i wypolerowane na błysk buty. Nikt się tak nie nosi w Björnstad. Nikt poza nim i Frakiem.

Właściciel sklepu zagląda jeszcze raz do skrzynki. Poza rodziną kocha tylko dwie rzeczy: swoje miasto i swój klub hokejowy. Podążając w stronę wyjścia, Richard Theo kątem oka widzi, jak Frak się uśmiecha.

Skrzynka jest pełna koszulek. Na każdej z nich widnieje napis „Björnstad przeciwko reszcie”. Frak wyprzedaje je w mniej niż godzinę.

We wszystkich relacjach jest jakiś przegrany. Nie zawsze chcemy się do tego przyznać, ale ktoś z nas zawsze dostaje trochę więcej, podczas gdy ktoś inny zawsze trochę odpuszcza.

Mira siedzi na schodach przed domem, wciąga powietrze nosem, ale płuca nigdy się jej nie napełniają. Okoliczne lasy mogą zdusić tego, który tęskni za czymś więcej. Jak jednak nie stracić rodziny, myśląc wyłącznie o własnym oddechu? Zaproponowano jej lepszą posadę daleko od Björnstad. Oferowano jej stanowisko szefa w obecnym biurze, ale to wymagałoby dłuższych godzin pracy i dostępności w weekendy. A to niemożliwe, bo w weekendy są lekcje gitary, treningi i hokej. Ona zajmuje się wtedy sprzedażą programów meczowych, nalewaniem kawy i byciem czyjąś mamą i żoną.

Jej przyjaciółka z pracy, fantastyczna antymonogamistka, upomina ją oczywiście, żeby „nie dawała sobie wcisnąć tego gówna!”. Ale czymże jest małżeństwo, jeśli obedrze się je z zakochania? Układem. Boże drogi, wystarczająco ciężko jest się czasem dogadać, jaki serial oglądać. A budować wspólne życie? Ktoś musi coś poświęcić.

Peter wysiada z volva, z kwiatami w dłoni. Obok Miry stoi dodatkowy kieliszek do wina. Białe flagi. Mira się uśmiecha, głównie ze względu na kwiaty.

- Gdzie udało ci się je kupić o tej porze?

Peter się czerwieni.

- Ukradłem je z jakiegoś ogródka. W Hed.

Wyciąga rękę w jej stronę, dotyka jej skóry, koniuszki ich palców zbliżają się ostrożnie.

To tylko klub hokejowy. To tylko gra. To tylko na niby. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał przedstawić Alicji to w ten sposób. Oczywiście mały diabeł nigdy nie będzie ich słuchać. Ma cztery i pół roku i jutro znów zapuka do drzwi Sunego. Stary trener nauczy ją coraz mocniej uderzać krążkami w ścianę domu. Ślady na fasadzie

będą niczym rysunki od wnuków, które inni starszycy zawieszają na lodówkach: drobne wgłębienia w czasie, opowiadające o tym, że dorastał tu ktoś, kogo kochamy.

- Jak ci idzie w przedszkolu? - pyta Sune.
- Chłopaki są głupie - odpowiada czteroipółlatka.
- Walnij ich po gębie - instruuje Sune.

Dziewczynka obiecuje, że tak zrobi. A obietnic trzeba dotrzymywać. Gdy Sune odprowadza ją do domu, dodaje:

- Musisz być dobrą koleżanką dla tych dzieci, które nie mają kolegów. I bronić słabszych. Nawet jeśli to trudne i myślisz, że to tylko kłopoty albo się boisz. Zawsze musisz być dobrą koleżanką.

- Dlaczego? - pyta dziewczynka.

- Bo któregoś dnia będziesz najlepsza. Trener mianuje cię kapitanem drużyny. A wtedy musisz pamiętać, że wymaga się wiele od tego, komu wiele dano.

Dziewczynka jeszcze nawet nie wie, co to oznacza, ale zapamięta każde słowo. Od tej pory każdej nocy śnić będzie tylko o jednym: Bang. Bang. Bang-bang-bang. Jej klub nadal żyje. Na szczęście nigdy nie będzie musiała zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się tego lata, jak blisko śmierci był klub i jak to się stało, że przetrwał. I ile to kosztowało.

Żyjąc z kimś dostatecznie długo, często się odkrywa, że choć na początku związku miało się ze sto konfliktów, to w końcu sprowadzają się one do jednego. Wciąż wraca się do tej samej kłótni, która ma tylko nowe odsłony.

- Pojawił się nowy sponsor... - zaczyna Peter.
- Gazeta już o tym pisała w Internecie, wszyscy o tym mówią - przytakuje Mira.
- Wiem, co chcesz powiedzieć - szepcze Peter, stojąc przed ich domem.
- Nie. Bo nie zapytałeś - odpowiada Mira, wypijając łyk wina.

Peter nadal nie pyta. Zamiast tego dodaje:

- Mogę uratować klub. Obiecałem Mai, że...

Mira łapie go delikatnie za rękę, jej głos jest jednak bezwzględny.

- Nie mieszaj do tego naszej córki. Ratusz klub dla siebie. Chcesz udowodnić wszystkim w tym mieście, którzy w ciebie nie wierzą, że się mylą. Nigdy nie przestaniesz im tego udowadniać.

Peter zgrzyta zębami.

- Co mam w takim razie zrobić? Pozwolić klubowi umrzeć, gdy ludzie wokół...

- Nie ma, do cholery, żadnego znaczenia, co myślą LUDZIE... - usiłuje mu przerwać Mira, ale bezskutecznie.

- Mój nekrolog był w gazecie. Ktoś próbował mnie zastraszyć! - wykrzykuje Peter.

- Ktoś próbował NAS zastraszyć! Jak to, kurwa, jest, że zawsze sobie wybierasz, kiedy nasza rodzina jest drużyną, a kiedy nie?

Jego Izy spływają po jej włosach. Przykuca przy niej.

- Przepraszam. Wiem, że nie mam prawa prosić cię o nic więcej. Kocham cię. Ciebie i dzieci... bardziej niż... bardziej niż cokolwiek innego... Ja...

Mira zamyka oczy.

- Wiemy, kochanie.

- Zdaję sobie sprawę z tego, co musiałaś poświęcić dla mojego hokeja. Wiem to.

Mira próbuje powściągnąć rozgoryczenie. Każdej jesieni, zimy i wiosny cała ich rodzina żyje wedle dyktatu hokeja, wystrzeliwuje pod niebo, gdy drużyna wygrywa, i bezlitośnie spada w otchłań, gdy przegrywa. Mira nie wie, czy ma jeszcze siłę na kolejny sezon. Mimo to podnosi się i mówi:

- Czym byłaby miłość, gdybyśmy czegoś nie poświęcili?

- Kochanie, ja... - zaczyna Peter, ale zaraz milknie.

Mira ma na sobie zieloną koszulkę z napisem „Björnstad przeciwko reszcie”. Zagryza wargę, przybita tym, co odpuszcza, ale dumna z tego, co wybiera.

- Frak wpadł na chwilę. Takie same sprzedaje u siebie w sklepie. Sąsiedzi też mieli je na sobie, gdy przyjechali do domu. Boże, Peter, oni mają ponad dziewięćdziesiątkę. Jacy dziewięćdziesięciolatek chodzą w T-shirtach?

Mira się uśmiecha. Peter patrzy na nią zawstydzony.

- Nie wiedziałem, że Frak...

Mira łapie go za rękę.

- Frak cię kocha. Jezu, jak on cię kocha. W tym mieście są ludzie, którzy cię nienawidzą, i nic na to nie poradzisz. Ale o wiele więcej osób cię uwielbia i też nic na to nie poradzisz. Czasem chciałabym, żebyś nie był dla nich niezastąpiony, żebym nie musiała się tobą dzielić. Ale gdy za ciebie wychodziłam, dobrze wiedziałam, że połowa twojego serca należy do hokeja.

- To nieprawda... Proszę cię, kochanie... Jeśli tylko powiesz, żebym odszedł, to odejdę!

Mira tego nie mówi. Oszczędza go, nie udowadnia mu, że kłamie. Czego się nie robi dla miłości.

-Ja też należę do tych ludzi, którzy cię uwielbiają - mówi zamiast tego - i jestem w twojej drużynie, cokolwiek by się działo. Idź i ratuj swój klub.

Ledwie słysząc jego odpowiedź:

- Za rok, kochanie, daj mi jeszcze ten jeden sezon... Za rok.

Mira podaje mu kieliszek z winem, jest do połowy pełny lub na wpół pusty. Całuje męża w usta, a on szepcze: „Kocham cię” i odwzajemnia pocałunek.

- Wygraj! Jeśli już rzeczywiście masz to robić, to... wygraj! - mówi Mira.

Wchodzi do domu. Wysyła przyjaciółce mejla: „Nie mogę wziąć tego lokalu. Nie w tym roku. Przykro mi”.

Po czym kładzie się spać. Tej nocy w łóżku śpią trzy kobiety. Tylko trzy.

Późną nocą dziennikarz lokalnej gazety dzwoni do Petera i pyta wprost:

- Czy mógłby pan potwierdzić plotki? Czy macie nowego sponsora? Czy może pan uratować klub? Czy zatrudnił pan w roli trenera kobietę? Czy w pierwszej rundzie sezonu Björnstad nadal gra przeciwko Hed?

Peter odpowiada tak samo na każde z czterech pytań.

-Tak.

Wyczuwam krew i zapalam się

Na ścianie w gabinecie Richarda Theo obok zdjęcia bociana wisi wydruk ze strony związku hokejowego. To terminarz meczów Björnstad Hockey w tym sezonie. Pierwsze spotkanie - przeciwko Hed Hockey.

Przez otwarte okno w gabinecie wlatuje mucha, Theo jej jednak nie zabija. Pozwala po prostu coraz bardziej zagubionemu owadowi krążyć wkoło. Ostatnio czytał książkę o terroryzmie, w której pewien historyk przedstawił porównanie ze sklepem z porcelaną: mucha nie jest w stanie zbić w nim najmniejszej filiżanki. Natomiast taka, która lata w uchu byka, aż ten w panice i złości wbiega do sklepu, może zniszczyć wszystko.

Richard Theo nie potrzebuje zniszczeń, wystarczą mu konflikty. Długo się przysłuchiwał. Wszystkim. Ludziom w sklepie spożywczym, w budowlanym, w Futrze, w Niece, na Wzgórzu: patrzył wszystkim w oczy i zamiast przedstawiać własne poglądy, zadawał pytania: „Co my, politycy, powinniśmy dla ciebie zrobić?”, „Jak widzisz Björnstad za dziesięć lat?”, „Ile podatku zapłaciłeś w zeszłym roku? I co dostałeś w zamian?”. Dzięki temu dowiedział się, że ludzi w tej okolicy martwią trzy rzeczy: miejsca pracy, opieka zdrowotna i hokej.

Richard Theo usiadł więc przy komputerze i zaczął pisać. Całe lato lokalna gazeta publikowała artykuły o zamknięciu szpitala w Hed, a Theo komentował je anonimowo z pół tuzina fałszywych kont. Nigdy nie siał nienawiści, nigdy nie zwracał na siebie uwagi, podrzucił jedynie dyskretną podpałkę w już delikatnie jarzące się węgielki. Gdy jakaś zatroskana ciężarna martwiła się, co będzie z oddziałem położniczym, jedna z anonimowych tożsamości Theo podpytywała: „Masz już jakieś wieści?”. Kobieta odpowiedziała: „Znajoma, która tam pracuje, mówi, że oddział zostanie zamknięty!!!”. Anonimowe konto Theo kontynuowało: „Miejmy tylko nadzieję, że rząd nie podniesie podatku za benzynę, bo nie będzie nas już nawet stać na rodzenie w samochodzie”. Gdy jakiś bezrobotny mężczyzna, dopiero co zwolniony w fabryki w Björnstad, odpowiedział: „Dokładnie!! Zawsze obrywa się nam na wsi!”, Theo odpisał mu z kolejnego anonimowego konta: „Dlaczego niby wszystkie pieniądze miałyby pójść na szpital w Hed? Dlaczego nie otworzyć przychodni w Björnstad?”.

Bezrobotny mężczyzna i ciężarna kobieta zgromadzili wokół siebie więcej niezadowolonych głosów, których ton coraz bardziej się zaostrzał. Theo pchnął jedynie ich frustrację w odpowiednim kierunku, pisząc: „Kobiety w gminie mają więc teraz rodzić w samochodzie, ale najwyraźniej na Hed Hockey zawsze znajdą się środki z budżetu?”.

Szpital i hokej nie mają jednego budżetu, decyzje o funduszach dla nich nie są nawet podejmowane przez tych samych polityków. Jeśli jednak zadasz wystarczająco skomplikowane pytanie, zawsze znajdzie się publiczność, która da ci na nie najprostszą odpowiedź. Dzień za dniem, w różnych komentarzach, Richard Theo robił to, w czym jest najlepszy: prowokował konflikty, wygrywając jedną kwestię przeciwko drugiej. Prowincję przeciwko dużym miastom. Opiekę zdrowotną przeciwko hokejowi. Hed przeciwko nam.

My przeciwko wam.

Coraz więcej osób w różnym wieku i z różnych części miasta zaczyna nosić koszulkę z napisem „Björnstad przeciwko reszcie”.

Polityka nigdy nie jest chronologiczna, wielkie zmiany nie przychodzą znikąd, zawsze poprzedza je seria małych powodów. Czasem do zadań polityka należy znalezienie trenera dla klubu hokejowego, a czasem odebranie telefonu, gdy wszyscy inni są na urlopie. Dziennikarka, która kolejny raz dzwoni do Richarda Theo, to ta sama praktykantka, która telefonowała za pierwszym razem. Teraz ze względu na sezon ogórkowy próbuje wypełnić podstrony z wiadomościami ankietami w stylu „Jak nasi lokalni celebryci obchodzili noc świętojańską?”, a Richard Theo to „zarówno polityk, jak i swego rodzaju celebryta”, a poza tym gdy rozmawiali ostatnio, był taki miły. Richard Theo nie przegapia okazji:

- Prawdę mówiąc, byłem w Hed i oglądałem obchody nocy świętojańskiej, wie pani, te, które co roku sponsoruje tam gmina. Oczywiście najchętniej świętowałbym w Björnstad!

- Uważa pan, że gmina powinna urządzić obchody w Björnstad? - podpytuje dziennikarka.

- Wydaje mi się, że w obecnych czasach podatnicy z Björnstad mogą czuć się trochę zaniepokojeni, że wszystkie zasoby gminy przeznaczone są na Hed - odpowiada uprzejmie polityk.

- Co... ma pan na myśli?

- Wystarczy przecież przeczytać komentarze pod artykułami w państwa gazecie - podpowiada Theo.

Dziennikarka odkłada słuchawkę i szybko odnajduje komentarze pod artykułami dotyczącymi szpitala. Richard Theo zdążył już usunąć wszystkie swoje wpisy, ale wiele osób zostawiło już swoje: „Björnstad musi znaleźć własnego sponsora, ale gmina nadal sponsoruje Hed! Dlaczego są pieniądze na Hed Hockey, a nie ma na SZPITAL?”.

Dziennikarka ponownie dzwoni do Theo, który z pokorą opowiada, że „nie było go w gronie debatujących o losach szpitala”, i proponuje, aby zadała to pytanie liderowi największej partii. Dziennikarka idzie za jego radą. Polityk odbiera komórkę na wakacjach w Hiszpanii. Reporterka od razu przechodzi do sedna: „Dlaczego przesuwacie państwo wszystkie pieniądze z Björnstad Hockey do Hed Hockey? Czy Hed Hockey nie może sobie znaleźć własnych sponsorów, tak żeby gmina mogła zainwestować pieniądze w szpital?”. Przewodniczący partii jest trochę zbyt rozluźniony, może wypił już nawet kieliszek wina, albo i całą butelkę, bo odpowiada: „Ależ, moja droga, przecież to nie są te same pieniądze, chyba zdaje sobie pani z tego sprawę? To kompletnie inne budżety! A jeśli chodzi o hokej, to stawiamy na to, co naszym zdaniem przyniesie największą korzyść, a teraz jest to według nas Hed Hockey, a nie Björnstad Hockey”. Dziennikarka cytuje go w Internecie, pomijając jednak słowo „hokej”. W artykule można przeczytać: „Stawiamy na Hed, nie Björnstad”. Czytelnicy w komentarzach odpowiadają: „Aha! Jak zwykle wszystko dla Hed! Czy my w Björnstad nie płacimy podatków?!” , a potem: „Tak jak ktoś wcześniej pisał: dlaczego znalazły się pieniądze na Hed Hockey, ale nie ma ich na przychodnię w Björnstad????”. I jeszcze: „Co jest ważniejsze zdaniem polityków? Hokej czy opieka zdrowotna?”.

Dziennikarka ponownie dzwoni do przywódcy partii na wakacjach w Hiszpanii, pytając: „Co PANA zdaniem jest ważniejsze? Hokej czy szpital?”. Polityk, pokasłując, zaczyna od „nie można przecież porównywać tych dwóch spraw ze sobą...”, ale dziennikarka się nie poddaje i w końcu polityk wydusza z siebie, że „chyba sama pani, do cholery, rozumie, że szpital jest dla mnie ważniejszy niż hokej!”. Reporterka ponownie go cytuje, dodając: „... mówi nam przewodniczący, gdy udaje nam się go złapać w jego letnim domu w Hiszpanii”. W artykule przelotnie wspomniano również, że polityk mieszka w Hed, a nie w Björnstad.

Gdy dziennikarka dzwoni do Richarda Theo, by prosić go o wywiad, polityk grzecznie zapytuje, czy miałaby ochotę się spotkać w budynku gminy. Theo pracuje bowiem całe lato.

- Bycie politykiem w naszej gminie to nie praca, tylko przywilej - mówi.

Następny artykuł w lokalnej gazecie opatrzony jest jego zdjęciem, na którym siedzi samotnie w opustoszałej kantynie budynku gminy, pilnie pracując. Odpowiadając na pytanie „Hokej czy opieka zdrowotna?”, mówi:

- Uważam, że podatnicy zasługują na miasto, w którym nie ma potrzeby wybierać między opieką zdrowotną a sportem.

Niebawem na stronie lokalnej gazety pojawi się kolejny artykuł. Nikt do końca nie wie, jakim cudem wakacyjnej praktykantce udaje się wygrzebać taką wiadomość, ale nagle się okazuje, że istnieją dokumenty, które potwierdzają, że całą wiosną najważniejsi politycy w gminie prowadzili tajną dyskusję o szpitalu w Hed. Wynika z nich, że prawdopodobnie możliwe jest utrzymanie miejsc pracy na jednym z oddziałów, jeśli inny, „wymagający większych nakładów finansowych”, natychmiast zostanie zamknięty. W jakiś sposób, dzięki „zaufanemu źródłu”, gazetce udało się dotrzeć do informacji, że na oddziale, który „będąca u władzy elita polityczna” najchętniej by zachowała, pracuje najwięcej osób z Hed, podczas gdy na planowanym do zamknięcia najwięcej pracowników pochodzi z Björnstad.

Jakiś czas później okazuje się, że to nieprawda, ale nie ma to już wtedy żadnego znaczenia. Hasłem tego lata pozostanie: „Więcej bezrobotnych w Björnstad”.

Czytelnicy w komentarzach pod artykułem robią to, co zwykle: wyczuwają krew i się zapalają.

Pewnego letniego dnia do warsztatu Knura przychodzi polityczka, by odebrać swój samochód, któremu - ze względu na nieszczęśliwie wbity w maskę wozu siekierę - nieco pogorszyła się widoczność przez przednią szybę. Bobo naprawił szkody, ale gdy kobieta wyciąga portfel, by zapłacić, chłopak kręci tylko głową i odpowiada: „Ktoś już zapłacił za naprawę”. Bobo nie mówi kto, ale kobieta doskonale rozumie. Wraca do domu, nadal śmiertelnie przerażona na samą myśl o mężczyznach w czarnych kurtkach. Przed domem nie czeka na nią żadne zagrożenie. Jedynie niezmiernie piękny bukiet. Na dołączonym bileciku napisano: „Proszę się nie bać, nadal ma pani przyjaciół, nie pozwolimy wygrać ciemnym mocom! / Richard Theo”.

Kobieta dzwoni do niego z podziękowaniem. Richard Theo jest pokorny, nie prosi o nic w zamian, co bardzo przypada polityczce do gustu. Odkładając słuchawkę, Theo się uśmiecha. Często kieruje się planem, ale nie zawsze, czasem jest niczym dobry hokeista - szybko reaguje na zaistniałą sytuację. Tego popołudnia, niedługo przed nocą świętojańską, po spotkaniu polityków establishmentu z Peterem w sprawie Björnstad Hockey, niepewna polityczka stała na korytarzu, bojąc się wyjść na zewnątrz. Richard Theo minął ją przy automacie od kawy.

- Wygląda pani na zaniepokojoną, coś się stało?

Polityczka reprezentowała partię, która oczywiście publicznie „ostro odcinała się” od Richarda Theo, ale zainteresowanie może zdziałać cuda.

- Dobry Boże, sama nie wiem. Wszyscy mówią o tym, że Björnstad Hockey zbankrutuje, a ja w ogóle nie znam się na sporcie! Co mam odpowiedzieć, gdy ktoś zapyta, co o tym myślę? - wyznaje.

Theo kładzie dłoń na jej ręce i mówi:

- E tam, to nie jest znowu aż tak ważne. Gmina ma przecież jeszcze jeden klub. Proszę po prostu powiedzieć, że teraz wszyscy powinni kibicować Hed Hockey!

Kobieta wyszła z budynku gminy i gdy jeden z kibiców Hed ją filmował, powtórzyła dokładnie to, co poradził jej Theo. Następnego dnia w masce jej samochodu tkwiła już siekiera. Partyjni koledzy nie wsparli jej nawet słowem współczucia, rzucając tylko oskarżycielsko: „Jak możesz być taka głupia, żeby twierdzić, że wszyscy powinni kibicować Hed? W TEJ gminie?”. Co miała odpowiedzieć? Że tak jej poradził Richard Theo? Siedziała więc cicho, partyjni koledzy się na niej wyżywali, a ona płakała, gdy nikt nie patrzył.

Tego wieczoru Richard Theo przyszedł do jej gabinetu, wysłuchał jej i pocieszał, a nawet przeprosił. Miała nowych wrogów, potrzebowała więc przyjaciela. Theo zaproponował, że zawiezie jej samochód do warsztatu, obiecał zapłacić za wszystkie szkody i zapewnił, że nie ma się o co martwić. Podwiózł ją do domu i powiedział, że jeśli tylko w jakimkolwiek, choćby najmniejszym stopniu poczuje się zagrożona, może do niego zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. „Nie musi się pani bać, ma pani wokół siebie przyjaciół” - przypomniał i dodał: „Obiecuję, że klub ukarze chuliganów, którzy panią napadli. Przypilnuję, żeby zlikwidowano stojące trybuny!”.

Żaden z partyjnych kolegów nie zapytał, jak polityczka się czuje, nikt nie wyciągnął do niej pomocnej dłoni, przyjęła więc tę, którą się ku niej wyciągnęła. Dłoń kogoś, kto potrafi szybko reagować na zaistniałą sytuację.

Polityk od letniego wyjazdu zrozumie swój błąd po przeczytaniu artykułu w gazecie. Oburzony, natychmiast przerwie wakacje i wróci do domu. Na lotnisku wyjdzie mu naprzeciw Richard Theo.

- Co ty tutaj robisz? - pyta polityk.

- Chciałbym ci pomóc - odpowiada Theo.

Wakacyjny polityk wybucha szyderczym śmiechem.

- Doprawdy? Nigdy nie byliśmy... po tej samej stronie, że tak powiem.

Ciekawość jednak zwycięża, zwłaszcza że artykuły o szpitalu postawiły go w niekorzystnej sytuacji. Theo proponuje kawę, wyjaśniając: „Zarówno ja, jak i ty chcemy przecież tego, co najlepsze dla gminy” i dorzucając: „Nikt nie zyskuje na niepokojach i niezgodzie”. Rozmawiają trochę o artykułach o szpitalu, Theo współczuje, jak „niefortunnie sformułowano” całość. Wakacyjny polityk pozwala sobie nawet na przekleństwa pod adresem „tych zasranych dziennikarzy”. Nagle Theo wybucha:

- Słyszałeś o nowym sponsorze Björnstad Hockey?

Wakacyjny polityk przytakuje, narzekając:

- Pewnie! Wszyscy gadają tylko o tym, ale nikt nie wie, kim ten tajemniczy „sponsor” właściwie JEST!

Theo pochyla się w jego stronę, szepcząc:

- To firma, która kupuje fabrykę w Björnstad. Kontaktowali się ze mną, jeśli chcesz, to dam ci poprowadzić konferencję prasową, jak już wszystko będzie oficjalnie przyklepane. W gminie pojawi się wiele nowych miejsc pracy.

Wakacyjny polityk nie ukrywa zdziwienia:

- Skąd o tym wiesz? Nic nie słyszałem o...

Theo bez skrępowań wyjaśnia, że dostał cynk od dawnych kolegów z londyńskich czasów. Opowiada również, na co liczą nowi właściciele fabryki: „Oczywiście potrzebują pewnej politycznej... zachęty. Nakładów na... infrastrukturę”. Wakacyjny polityk doskonale wie, co to oznacza. Dotacje na zakup działek dla firm, obniżone czynsze, mniej lub bardziej publiczne wsparcie ze strony gminy na przebudowę fabryki. Rozumie jednocześnie wagę bycia tym politykiem, który na konferencji prasowej może obiecać nowe miejsca pracy.

- Dlaczego mówisz o tym właśnie mnie? - pyta podejrzliwie.

- Bo nie chcę być twoim wrogiem - odpowiada miękko Theo.

Wakacyjny polityk zaśmiewa się w głos.

- Ależ z ciebie handlarz, Richardzie! Mów, czego chcesz!

Theo odpowiada spokojnie:

- Miejsca przy stole obrad w przyszłości. Wystarczy, że wspomnisz mnie i moją partię podczas konferencji i otworzysz się na współpracę. Inne partie pójdą za tobą.

- Chcesz, żebym cię uwiarygodnił politycznie?

- Ja daję ci szansę bycia politykiem, który ratuje miejsca pracy w Björnstad.

Wakacyjny polityk udaje twardego, ale już podjął decyzję. Stawia Richardowi Theo tylko jeden warunek:

- Wszystkie nowe miejsca pracy muszą trafić do mieszkańców Björnstad ! Nie mogę dopuścić do sytuacji, w której okazałoby się, że moja partia sprzyja Hed jeszcze bardziej. Zwłaszcza teraz!

Richard Theo przysięga na słowo honoru. Nie żeby było szczególnie wiele warte. Nie ma nic przeciwko wakacyjnemu politykowi, w sumie są do siebie bardzo podobni, i to właśnie stanowi problem. Tamten przyjaźni się ze wszystkimi majątymi mieszkańcami gminy, znany jest też z tego, że uwielbia sport i zawsze wspierał kluby hokejowe. To niebezpieczna kombinacja. Richard Theo potrzebuje przeciwnika, który

będzie łatwiejszy do pokonania. Po spotkaniu z politykiem dzwoni do przyjaciół w Londynie.

- Wszystko załatwione. Nowi właściciele dostaną to, czego potrzebują. Pojawiła się tylko jedna mała sprawa...

Nowym właścicielom fabryki nie trzeba dwa razy tłumaczyć, że ze względu na burzliwe lokalne dyskusje na temat zamknięcia szpitala politycy doceniliby, gdyby nowi właściciele obiecali znaczną część nowych miejsc pracy mieszkańcom Hed.

Tak by nikt nie myślał, że zyskuje na tym tylko Björnstad.

Któregoś wieczoru pod koniec lata Richard Theo puka do drzwi. Otwiera mu zdziwiona polityczka. Zaprasza go do środka, ale on uśmiecha się tylko przepaszająco i mówi, że „nie chce przeszkadzać”. Widzi, że w domu są też jej mąż i dzieci.

- Nowi właściciele wkrótce ogłoszą przejęcie fabryki. Na konferencji prasowej, razem z politykami, którzy to umożliwili, opowiedzą o nowych miejscach pracy i o tym, że będą sponsorować Björnstad Hockey - informuje.

Kobieta nie jest wystarczająco dobra w tej grze, by zrozumieć, jaki to miałyby wpływ na nią, więc odpowiada:

- Gratuluję! To będzie dla pana wisienka na torcie przed następnymi wyborami.

Theo uśmiecha się pokornie.

- Ech, nie będę w nich startował. Ale pani partia oczywiście tak, jesteście przecież najsilniejsi w gminie.

- Nie jestem wystarczająco wysoko w hierarchii partii, by być obecna na konferencji prasowej. Zwłaszcza po ... sam pan wie, tej siekierze... - odpowiada kobieta.

Theo cieszy, że kobieta ma nie tylko wystraszony, ale również trochę rozdrażniony głos.

- A gdyby udało mi się załatwić, żeby pani na niej była i stała obok waszego przewodniczącego?

- Nie dałby pan... Dałby pan radę?

Milknie. Theo też nic nie mówi, kobieta więc pyta:

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Chciałbym mieć w pani przyjaciela - odpowiada polityk.

- Co mam powiedzieć podczas konferencji? - pyta kobieta może trochę zbyt ochoczo.

- Prawdę: że nie tylko Björnstad, ale również Hed potrzebuje nowych miejsc pracy. Odpowiedzialny polityk myśli o całej gminie.

Kobieta kręci głową, drżą jej powieki.

- Nie mogę... Rozumie pan chyba, że nie mogę...

Theo spokojnie i delikatnie dotyka jej dłoni.

- Boi się pani. Nie ma czego. Nikt nic pani nie zrobi.

W jego spojrzeniu kobieta dostrzega, że mówi to na poważnie.

- Chciałby pan więc, żebym zażądała, by część miejsc pracy zarezerwowano dla mieszkańców Hed? - wydusza z siebie.

- Połowę - przytakuje polityk.

- Rozumie pan, jak bardzo znienawidzą mnie w Björnstad?

Richard Theo wzrusza tylko pragmatycznie ramionami.

- Tak, ale za to będzie pani uwielbiana w Hed. A tam jest więcej mieszkańców. Jeśli już nienawidzą pani w jednym miejscu, to trzeba się postarać, żeby w drugim uwielbiali panią jeszcze bardziej. Wyborów nie wygrywa się, mając jak najmniej wrogów, tylko jak najwięcej przyjaciół.

- Czy to w ogóle legalne? Wie pan... Co się stanie, jeśli zostaną wyrzucona z partii?

- Chyba mnie pani nie zrozumiała. Po tym nie tylko nadal będzie dla pani miejsce w partii. Dzięki temu zaczniesz jej też pani przewodzić.

Richard Theo mówi poważnie. Również tym razem.

Baba

Lato w Björnstad może otumanić każdego. Tak jak zapach róż staje się silniejszy w ciemnych pomieszczeniach, tak światło w miejscu przyzwyczajonym do ciemności wywołuje prawdziwą eksplozję uczuć. Zieleń pojawia się wszędzie, niemal przez całą dobę jest jasno, ciepłe wiatry ścigają się niczym ledwie co wypuszczone na zewnątrz młode jagnięta. Nigdy jednak nie dajemy się oszukać zmiennemu i fałszywemu gorącu, które co rusz nas zawodzi. W tej części kraju drzewa prędko oblekają się w zieleń, z podobną szybkością zrzucają liście niczym nocną koszulkę, dni błyskawicznie się kurczą, a horyzont zbliża coraz bardziej. Zima zapada szybciej, niż zakładamy, zacierając wszystkie inne barwy roku. Gdy podnosimy rolety, świat znów jest jak biała kartka, jak zamarznięta świeżo wyprasowana pościel. Wyciągnęliśmy już łodzie na brzeg jeziora, zostawiając na ich dnie cząsteczki siebie. Ci, którymi byliśmy w lipcu, ludzie lata, odpoczywają teraz na drewnianym łożu, przykryci grubą warstwą śniegu na tak wiele miesięcy, że prawie zapominamy o nich do następnej wiosny.

Zbliża się wrzesień. To czas, który należy do miłośników hokeja. Nasz rok zaczyna się właśnie teraz.

Fatima i Ann-Katrin pracują do końca swojej zmiany w szpitalu. Każdy mijany lekarz chce rozmawiać tylko o hokeju, informacja przekazana przez lokalną gazetę, że pojawił się jakiś „tajemniczy sponsor”, który ma zamiar uratować Björnstad Hockey, jest głównym tematem rozmów w obu miasteczkach. „Co to będzie za SEZON!” - wybucha jedna z pielęgniarek podczas przerwy na kawę i natychmiast wdaje się w słowną potyczkę z drugą, która kibicuje przeciwnej drużynie. „Ten sponsor powinien zainteresować się Hed. Gminy nie stać na dwie drużyny hokejowe” - mówi jedna z nich. „To prawda, w takim razie może powinni zamknąć HED, bez pieniędzy podatników i tak nie dacie rady!” - odgryza się druga.

Początkowo to nadal przyjacielskie przekomarzania, ale Fatima i Ann-Katrin żyły hokejem w obu tych miastach dostatecznie długo, by wiedzieć, że wkrótce przerodzą się one w prawdziwe konflikty, nie tylko w szpitalu, ale wszędzie. Gdy obie drużyny

spotkają się na lodzie, w ludziach eksplodują najlepsze i najgorsze uczucia. W tych okolicach sport to coś o wiele więcej niż tylko sport. Zwłaszcza w tym sezonie.

Gdy Fatima i Ann-Katrin wychodzą po pracy ze szpitala, na parkingu czeka na nie mężczyzna w sportowej kurtce treningowej.

- Peter? A co ty tutaj robisz? - pyta zdziwiona Ann-Katrin, widząc przed sobą dyrektora sportowego Björnstad Hockey.

- Chciałbym was o coś poprosić - odpowiada Peter.

- O co? - zastanawia się Ann-Katrin.

- O waszych synów.

Fatima i Ann-Katrin początkowo zaczynają się śmiać, aż dociera do nich, że Peter nie żartuje.

- Czy pan się dobrze czuje? - pyta zaniepokojona Fatima.

Peter przytakuje poważnie.

- Jak pewnie słyszałyście, mamy nowego trenera, który chce zbudować zespół,, wokół waszych chłopców.

Ann-Katrin przygląda mu się badawczo.

- A tobie nie wydaje się to dobrym pomysłem?-pyta.

Kąciki ust Petera się unoszą, ale wzrok opada.

- Zawsze próbowałem budować klub, który był czymś więcej niż jedynie klubem hokejowym. Chciałem, by wychowywał nie tylko zawodników, ale i prawdziwych mężczyzn. Zwycięstwo nie miało być najważniejsze. Ale... teraz mamy nowego sponsora i jeśli nie wygramy tego sezonu... jeśli nie pobijemy Hed i nie awansujemy... to nie wiem, czy w kolejnym sezonie będziemy mieć jeszcze jakiś klub.

- Mów, co masz powiedzieć - żąda zniecierpliwiona Ann-Katrin.

Peter oddycha ciężko.

- Boję się, że klub będzie wymagał od waszych synów więcej, niż da im w zamian.

- Jak to? - pyta Fatima.

Peter odwraca się w jej stronę.

- Parę dni temu Amat zatrzymał mnie na drodze. Zapytał, czy będzie mógł grać w juniorach, a ja,,. zachowałem się wobec niego jak ostatni dupek...

- Wszyscy są czasem dupkami, pan nie jest od nich gorszy - mówi Fatima z uśmiechem, ale Peter jej przerywa:

- Amat pytał o juniorów, ale, Boże drogi, nie chcemy go w juniorach. Chcemy go w pierwszym zespole.

Fatima przełyka ślinę.

- Z... dorosłymi?

Peter nie ukrywa przed nią prawdy.

- Postawię mu niewyobrażalne wymagania. A dodatkowo docisną go jeszcze wszyscy starsi zawodnicy. Wielu przed nim nie dało rady i się załamało. Bycie najmłodszym w drużynie... wśród dorosłych mężczyzn ... nie będzie dla niego łatwe.

Wzrok Fatimy jest zacięty.

- Nikt nigdy nie obiecywał mojemu synowi, że będzie łatwo.

Zawstydzony Peter pociera dłonią kilkudniowy zarost.

- Powinienem go przeprosić i podziękować, bo razem z córką jesteście mu ogromnie wdzięczni, że wstawił się za nami na wiosennym spotkaniu i powiedział prawdę...

Fatima potrząsa głową.

- Pańskie podziękowania może oczywiście przyjąć, ale Maya nie jest nikomu nic winna. To my powinniśmy ją przeprosić, całe miasto. A jeśli chodzi o mojego syna, to on chce po prostu grać w hokeja. Będzie grał, jeśli tylko da mu pan do tego jakieś miejsce.

Peter kiwa głową w podziękowaniu, po czym zwraca się do Ann-Katrin:

- Nie zamierzam mydlić ci oczu...

- I tak byś się nie odważył. - Ann-Katrin się uśmiecha.

Jest żoną Knura, przyjaciela Petera z dzieciństwa, dorastała razem z nimi. Peter jest wobec niej szczery.

- Potrzebujemy Bobo w tym sezonie. Brakuje nam obrońców. Ale szczerze: Bobo nie jest wystarczająco dobry na wyższy poziom, więc jeśli wygramy, jeśli pomoże nam dostać się do wyższej dywizji. . . to nie ma szans na miejsce w drużynie w następnym sezonie. To byłby jego ostatni rok w zespole. Będę od niego wymagał krwi, potu, łez, musi postawić hokej na pierwszym miejscu, przed szkołą, dziewczynami i... wszystkim. W zamian mogę mu zaoferować tylko jeden rok.

Ann-Katrin oddycha przez nos. Boli ją całe ciało, Peter myśli pewnie, że jest taka chuda i wyczerpana, bo długo i ciężko pracowała. Jak i pozostali nic nie wie o jej chorobie. Tak właśnie ma być, Ann-Katrin nie chce współczucia innych. Chce natomiast zobaczyć syna znów grającego w hokeja. Uśmiecha się.

- Rok? Toż to cała wieczność.

Jej mąż Knur musiał zrezygnować z hokeja po kolejnym wstrząsie mózgu. Zmusili go do tego lekarze. Całymi tygodniami się nie odzywał, uzalając się nad sobą, jakby już nie żył. Przez wiele miesięcy nie mógł się przemóc, by zajrzeć do hali lodowiska, cały czas przekonany, że zawiódł drużynę. Zawiódł! Bo nie był nieśmiertelny. Bobo odziedziczył po nim szerokie ramiona i niewiarygodną siłę, ale również potrzebę przynależności do grupy, obaj nienawidzą być sami. Potrzebują otoczenia, w którym czują się kochani i akceptowani. Gdy Knur nie mógł już pójść do szatni, czuł się jak odcięty kawałek ciała. Czego by nie oddał za jeszcze jeden rok? Jeden mecz? Jedną

sekundę, podczas której w żołądku czuć całe życie, publiczność krzyczy, a on gra o wszystko?

Ann-Katrin ledwie może się utrzymać na nogach, gdy przyjeżdża wieczorem do domu, Knur wynosi ją z samochodu. Ten kochany ogromny kawał chłopa wnosi ją do środka i kręci się z nią cicho i powoli po kuchni, wciąż trzymając ją w ramionach, gdy żona nie ma już siły tańczyć sama. Wkrótce zaśnie z jego ustami na swojej szyi i jego wciąż zakochanymi w niej rękami pod jej koszulką. W tym czasie Bobo czyta młodszemu rodzeństwu Harry'ego Pottera. Wczesnym rankiem Ann-Katrin czeka kolejna wizyta u lekarza.

Rok? Czego byśmy nie oddali za jeszcze jeden rok? Toż to cała wieczność.

Pięciu dziadków znów przesiaduje w Futrze. Pojawiło się coś nowego, o co mogą się kłócić.

- Ale baba? Trenerem hokeja? Do czego to doszło! - mówi jeden z nich.

- To całe równouprawnienie zaszło już chyba za daleko - dodaje drugi.

- Zamknij się! Ta baba zapomniała pewnie o hokeju więcej, niż wy kiedykolwiek wiedzieliście, głupie stare przyki! - oburza się trzeci.

- Co ty powiesz? Sam nie widzisz różnicy między lodem na patyku a lodem na lodowisku. Cały ostatni sezon byłem dla ciebie niczym pies przewodnik, musiałem ci podpowiadać, gdzie jest krążek! - grzmi czwarty.

- Że niby pies przewodnik mówi? Nie wystarczy, że wciąż łzesz, że mistrzostwa świata w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym oglądałeś na miejscu w Szwajcarii?

- Bo tak BYŁO! - upiera się czwarty.

- Pewnie! Biorąc pod uwagę, że mistrzostwa w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym rozgrywano w Austrii - zwraca uwagę piąty.

Cała piątka wybucha głośnym śmiechem. Po czym pierwszy, a może to drugi, mówi:

- Ale baba trenerem hokeja? Do czego to doszło?

- Podobno sypia z kobietami, tak mówią, czy my czegoś takiego potrzebujemy u nas w mieście? - zastanawia się drugi, a może pierwszy.

Czwarty lub piąty dodaje:

- Takich to teraz wszędzie pełno.

Pierwszy prycha:

- Niech sobie będą, jacy chcą, byle dyskretnie, nie ma chyba potrzeby obnosić się ze wszystkim. Czy teraz wszystko musi być polityką?

Trzeci przechyla się na krzesło, tak że trudno stwierdzić, czy to ono skrzypi, czy robią to stare kości dziadka, i prosi o kolejne piwo. Czeka na nowy kufel, mówi:

- Ale żeby było jasne: jeżeli ta nowa trenerka wygra w pierwszym meczu z Hed Hockey, to może sobie spać z MOJĄ babą, ile jej się tylko podoba!

Znów wybuchają śmiechem, cała piątka; śmieją się zarówno z siebie samych, jak i do siebie nawzajem.

Ramona stawia przed nimi przekąskę. Ech, stare dziady! Pierniki dla pierników!

Peter dzwoni do drzwi domu Ovichów. Otwiera mu mama Benjiego.

- Peter! Wejdz, proszę i zjedz z nami! - zarządza natychmiast, jakby po prostu był spóźniony, mimo że nie pamięta, kiedy ostatnio się widzieli.

Peter się cieszy, że Benjiego nie ma w domu, bo nie do niego dziś tutaj przyszedł. Wszystkie trzy siostry siedzą w kuchni: Adri, Katia i Gaby. Mama uderza je po kolei po głowach, że nakrycie dla gościa nie jest jeszcze gotowe.

- Nie zostanę długo i już jadłem - zaczyna Peter, ale Adri łapie go za ramię.

- Ciii! Jeśli odmówisz jedzenia mamy, to jesteś odważniejszy, niż myślałam!

Peter się uśmiecha, najpierw żartobliwie, potem z lekkim przerażeniem. Z wielu rzeczy można u Ovichów żartować, ale nie z obiadu. Peter zjada trzy porcje więcej, niż normalnie daje radę, do tego wypija kawę i próbuje czterech rodzajów ciastek, a na dokładkę resztę dostaje do domu, w pudełku na wynos. Zadowolona Adri odprowadza go do drzwi.

- Sam sobie jesteś winien, jeśli przychodzisz w porze obiadu.

Peter trzyma się za brzuch.

- Chciałem tylko porozmawiać o Benjaminie.

- Wpadłyśmy na to, dlatego też pozwoliłyśmy mamie rozmawiać z tobą o wszystkim innym. - Adri uśmiecha się jeszcze szerzej.

Cichnie, widząc powagę we wzroku Petera.

- Mamy nowego trenera. Elisabeth Zackell.

- Słyszałam. Wszyscy słyszeli. Pisali o tym nawet w gazecie.

Peter wyciąga pomietą kartkę. Adri czyta nazwiska, także brata, ale początkowo jakby nie dociera do niej znaczenie literki C przy jego nazwisku. Peter ją naprowadza:

- Trenerka chce z niego zrobić kapitana drużyny.

- Pierwszego zespołu? Dorosłych mężczyzn? Benji jest...

- Wiem. Ale ta Elisabeth Zackell zdaje się nie... Jak by to powiedzieć? Ona nie jest taka jak inni... - przyznaje po chwili Peter.

Adri się uśmiecha.

- I dzięki Bogu. Ale MÓJ brat kapitanem drużyny? Czy ona wie, na co się pisze?

- Twierdzi, że nie chce mieć drużyny, tylko bandę łobuzów. Znasz większego łobuza niż twój brat?

Adri przechyła głowę.

- Czego ode mnie oczekujesz?
- Żebyś pomogła mi go kontrolować.
- To się nie uda.

Peter drapie się nerwowo po szyi.

- Nigdy nie radziłem sobie za dobrze z ludźmi. Ale ta Elisabeth Zackell, ona jest...
- Jeszcze gorsza? - proponuje Adri.
- Dokładnie! Skąd wiedziałaś?
- Sune do mnie dzwonił. Zapowiedział cię.
- A więc kazałaś mi tu siedzieć cały obiad niepotrzebnie? - wybucha Peter.
- A coś było nie tak z obiadem mamy? - odgryza się natychmiast Adri, tak że Peter aż robi krok do tyłu, podnosząc ręce, jak obrabowany w westernie kowboj.
- Adri, proszę cię, pomóż mi. Potrzebujemy Benjiego, żeby wygrać.

Adri jeszcze raz spogląda na kartkę.

- Potrzebujecie Benjiego przywódcy. Łobuza, ale nie wariata.
- Potrzebujemy Benjiego, który nie jest do końca takim Benjim jak zwykle.
- Zrobię, co w mojej mocy - obiecuje Adri.

Peter kiwa z aprobatą głową.

- No i oczywiście potrzebujemy ciebie jako trenerkę dziewczynek, jeśli dasz radę. Nie mam wprawdzie dla ciebie żadnej pensji, a robota jest niewdzięczna, ale...
- To nie jest niewdzięczne zadanie - odpowiada Adri.

Peter widzi palący się w niej płomień. Może to zrozumieć tylko ten, kto sam jest człowiekiem hokeja. Żegnają się uściskiem dłoni, dyrektor sportowy i siostra, ojciec i trenerka drużyny dziewczynek. Zanim Peter wyjdzie, Adri pyta go jeszcze:

- Skąd masz na to pieniądze? Od tego nowego „tajemniczego sponsora”, o którym piszą gazety? Czego on chce?
- Kto powiedział, że czegoś chce?
- Wszyscy z pieniędzmi mają jakieś żądania. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi hokej.
- Nie mogę potwierdzić niczego, dopóki to nie będzie oficjalne, chyba sama rozumiesz - mówi Peter.

Odpowiedź Adri nie jest groźbą, wyraża jedynie współczucie:

- Nie zapomnij tylko o tych, którzy zawsze wspierali klub, nawet w tych najcięższych momentach.

Nie musi wspominać „Grupy”. Peter wie, co ma na myśli, mówiąc o tych, „którzy wspierali”.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecuje.

Mimo że oboje wiedzą, że w tym mieście to nie wystarczy.

Ta sama niebieska koszulka polo

Gdy rozpoczyna się nowy semestr szkolny, w Björnstad jest nadal ciepło. Słońce świeci, chmury przesuwają się lekko i wysoko, temperatura nadal nas okłamuje co do krótkich rękawków i mebli ogrodowych, jeśli jednak mieszkało się tu całe życie, to wyczuwa się już zimę. Chłód wkrótce zamrozi jeziora, płatki śniegu ciężko opadną na ziemię, a ciemność zaleje miasto, niczym olbrzym atakujący od tyłu i chowający wszystkie domy w czarnym worku, by później bawić się nim niczym modelem kolejki w ukrytym pomieszczeniu w piwnicy.

Każdy rok w Björnstad zdaje się kończyć w sierpniu, może też dlatego tak łatwo kochać sport, który rozpoczyna się we wrześniu. Przed budynkiem szkoły ktoś rozwiesił na drzewach zielone flagi. Wielu może się to wydawać niewinne, ale dla pewnych ludzi to prowokacja.

To nie zaczyna się teraz. Ale od tej pory będzie tylko gorzej.

Ana i Maya przystają sto metrów od wejścia. Trzymają się za ręce, oddychając głęboko. Całe lato były wolne, ale szkoła to inny rodzaj wyspy; człowiek nie ukrywa się tam z najlepszą przyjaciółką, lecz dopływa do niej niechętnie po okropnym wypadku. Uczniowie to rozbitkowie, nikt nie wybrał tu czyjegoś towarzystwa dobrowolnie, wszyscy starają się tylko jakoś przetrwać do końca semestru i jak najszybciej stąd uciec.

- Jesteś pewna, że mam nie wracać po broń? - pyta Ana.

Maya wybucha śmiechem.

- Tak.

- Nie będę do nikogo strzelać. Nie za dużo w każdym razie - obiecuje Ana.

- Jeśli ktoś nie będzie potrafił się zachować, zawsze możesz włąć środek przeczyszczający do automatu z mlekiem w jadalni - dodaje Maya.

- I zakosić wszystkie żarówki z toalet, a na deski toaletowe ponaklejać folię spożywczą - wtóruje jej Ana.

Maya się śmieje.

- Jesteś chora!

- Nie daj świniom zobaczyć, że płaczesz - szepcze Ana.
- Nigdy - odpowiada przyjaciółka.

Ramię w ramię wchodzą do szkoły. Spojrzenia przeszywają ich skórę, cisza wybuchają im w uszach, ale idą wyprostowane. We dwie przeciwko światu. Odległość do szafki Mai to nawet nie pięćdziesiąt metrów, ale nigdy w życiu nie będą tak przerażone jak teraz. Dwie młode kobiety kroczą korytarzem pełnym szeptów, nie spuszczać ani razu wzroku. Po tym, co już widziały, nie ugną się teraz przed niczym.

William Lyt przemierza korytarz otoczony czterema kolegami z drużyny. Prawdopodobnie nie szuka zaczepki, ale skręcając za róg, przypadkowo wpada na Bobo. Natychmiast wywiązuje się niezdarna bójka, w wąskim korytarzu chłopcy wymachują rękami, jakby wpadli w sam środek roju pszczół. Wiosną, gdy Amat na zebraniu w hali lodowiska stanął po stronie Mai i zeznał, że Kevin ją zgwałcił, kilku chłopców z drużyny zebrało się nocą, by go ukarać. Bobo był jednym z nich, ale w ostatnim momencie zmienił stronę. Gdyby nie przyjął na siebie niewiarygodnej ilości ciosów, broniąc nowego przyjaciela, tamten prawdopodobnie by tego nie przeżył. A ten konflikt jeszcze się nie skończył.

Ktoś popycha Bobo tak mocno, że ten upada do tyłu, wszyscy krzyczą, ale Lyt i jego kompani nagle milkną. Bobo leży na ziemi, kilka metrów za nim przystaje Benji. Nic nie mówi, stoi tam tylko z na wpół otwartymi oczami i zmierzwionymi włosami, tak jakby tamci rozpoczęli bójkę w pobliżu ławki, na której spędził noc. Ręce w kieszeniach i aroganckie spojrzenie. Jest tak pewny wywieranego przez siebie efektu, że nie musi się nawet starać, by wyglądać groźnie.

- Załatwimy to od razu, Lyt? Czy wolisz przyprowadzić więcej kolegów? - pyta Benji, tak jakby się zastanawiał, czy William Lyt ma ochotę na średni czy duży napój do zestawu z hamburgerem.

Koledzy Lyta zerkają w jego kierunku w poszukiwaniu wskazówek. Lyt napotyka wzrok Benjiego, ale nie na długo. Wyrzuca z siebie jakieś ledwie słyszalne przekleństwo i dodaje:

- Jebać to, załatwimy was na lodowisku. Powodzenia z waszym lesbijskim trenerem! Pasujecie do siebie! Zawsze graliście jak cipy!

Benji stoi na palcach, Lyt na piętach. Gdy na miejsce bójki przybiegają nauczyciele, Lyt gorliwie pokazuje im dłonie, udając, że odchodzi tylko ze względu na nich. Benji nie rusza się z miejsca ani nie spuszcza wzroku. Wszyscy zebrani wiedzą, co to oznacza dla hierarchii władzy w szkole.

Jednym z gapiów, który przygląda się temu zajściu ze szczególną uwagą, jest Leo Andersson.

Maya i Ana stoją przy szafce Mai i słyszą bójkę oraz krzyki. Jakby cała szkoła zbudowana została tak, by dźwięki mogły cię znaleźć, bez względu na to, gdzie jesteś, uniemożliwiając ci odgroźnienie się od życia innych. Maya widzi, jak dorośli rzucają się w stronę bijatyki, uczniowie z ostatnich klas przyglądają się wszystkiemu z głębi korytarza. To takie dziwne, rozumie to natychmiast, gdy pyta na głos:

- O co oni się znów biją?

Dziewczyna, jej rówieśniczka stojąca kilka metrów dalej, odwraca się i odpowiada jej, aż kipiąc z pogardy:

- Nie bądź głupia, fałszywa kurw...

Jedna z koleżanek powstrzymuje ją, zanim wypowiada ostatnią sylabę. Tak jakby miało to jakieś znaczenie. Maya patrzy na nią o sekundę za długo. Oczy dziewczyny są szeroko otwarte, paznokcie wbijają się w dłonie, gdy odkrzykuje w stronę Mai:

- Tak jakbyś nie WIEDZIAŁA, o co się biją! Jeszcze cię to cieszy, prawda? Wszystkie kłótnie w tym jebanym mieście dotyczą CIEBIE! Mai Andersson, księżniczki z Björnstad!

Wypowiada imię Mai tak, jakby pluła na jej grób. Koleżanki odciągają awanturującą się dziewczynę, na której plecaku widnieje czerwona przypinka Hed Hockey. Grają tam jej chłopak i brat. To dawni przyjaciele Kevina Erdahla.

Maya i Ana stoją w bezruchu, oparte o szafki, których drzwiczki aż drżą od ich pulsu. To się nigdy nie skończy.

- Za co jeszcze mogą mnie nienawidzić? - pyta Maya z rozczarowaniem. - Albo jestem ofiarą gwałtu, albo kłamliwą kurwą, a teraz jeszcze... KSIĘŻNICZKĄ?

Ana stoi obok, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Odchrząkuje i rzuca:

- No więc... jeśli to ma jakieś znaczenie, to JA nadal uważam, że jesteś zwykłą krową!

Smutne fortyfikacje w kącikach ust Mai nadal walczą, ale ostatecznie muszą się poddać i uśmiech szturmuje zwodzone mosty i fosy.

- Ale z ciebie głu...

- Mówi KROWA! - prycha Ana.

Maya się zaśmiewa.

Nigdy nie pozwoli świniom zobaczyć, że płacze.

Bobo czołga się po ziemi niczym gruby jelen. Amat podbiega do niego i podaje mu dłoń, razem z Benjim podnoszą go jęczącego z podłogi.

Amat się śmieje.

- Jak to możliwe, że jesteś taki ciężki, a tak łatwo cię wywrócić?

Bobo, któremu rzadko zdarzają się cięte riposty, wyrzuca z siebie:

- Fiut przesuwa mi środek ciężkości.

Echo rechotu chłopców odbija się echem w korytarzu. Tylko oni trzej pozostali w Björnstad Hockey z zeszłorocznej drużyny juniorów, ale teraz wydaje się, że to wystarczyło.

- Słyszeliście, że będę dziś mógł trenować z pierwszym zespołem? - pyta szczęśliwy Amat.

Bobo przytakuje, ale nagle przystaje rozkojarzony.

- Co miał na myśli Lyt, mówiąc o „lesbijskim trenerze”?

- Nie słyszałeś, że pierwszy zespół ma nowego trenera?

Twarz Bobo wyraża pełne niezrozumienie. Plotki może i rozprzestrzeniają się w Björnstad szybko, ale niewystarczająco szybko dla Bobo.

- No dobra, ale jak to lesbijski? Będziemy mieć LESBIJSKIEGO trenera?

Benji się nie odzywa. Amat odchrząkuje.

- Ty, Bobo... w pierwszym zespole.

- Masz na myśli, że nie wezmą mnie do pierwszego zespołu? - wybucha Bobo.

Amat wzrusza ramionami.

- Jeśli na treningu będą potrzebować dodatkowego pachołka. Twoje łyżwy są przecież szybsze, gdy NIE masz ich na sobie...

Benji wybucha śmiechem, Bobo próbuje złapać i uderzyć Amata, ale ten jest oczywiście na to stanowczo za szybki.

Cała trójka żartuje, ale w głębi serca każdy z nich czuje niepewność, czy jest wystarczająco dobry. Czy będzie miał szansę na miejsce w pierwszym zespole? I kim jeszcze są? Jeśli nie hokeistami?

Szkoła powoli zapełnia się personelem i uczniami. Nowy semestr, wypełniony zarówno oczekiwaniami, jak i obawą, ponowne słodko-gorzkie spotkanie ze wszystkimi, których kochasz i nienawidzisz, oraz świadomość, że znów nieubłaganie dzielisz powietrze z nimi wszystkimi.

W gabinecie dyrektora siedzi młoda nauczycielka Jeanette i po raz ostatni próbuje przekonać usadowionego przed nią i masującego sobie skronie mężczyznę w marynarce:

- Proszę mi tylko dać szansę! Zrobię z tego część zajęć z gimnastyki.

Dyrektor wzdycha.

- Droga Jeanette, po tym wszystkim, co wydarzyło się tu wiosną, chciałbym przeprowadzić tę szkołę chociaż przez JEDEN semestr bez skandali i zainteresowania ze strony mediów, a pani chce, żeby uczniowie się bili?

- To nie jest... do diab... to sport walki! - odgryza się Jeanette.

- Jak to się niby nazywa?

- MMA, mixed martial arts - powtarza cierpliwie Jeanette.

Dyrektor przewraca oczami.

- Arts? To już chyba przesada, żeby nazywać to „sztuką”, nie uważa pani? Zaczniecie wystawiać rozbite nosy w muzeum?

Jeanette zaciska dłonie na kolanach. Głównie po to, by nie udało jej się tak łatwo rzucić czymś w dyrektora.

- Sztuki walki uczą dyscypliny i poszanowania ciała, swojego i innych. Mam lokal, w hodowli u Adri Ovich, jeśli tylko pozwoli mi pan zaprosić tam uczniów, to...

Dyrektor trochę zbyt starannie przeciera okulary.

- Bardzo mi przykro, Jeanette, ale rodzice oszaleją, jak się o tym dowiedzą. Stwierdzą, że uczymy dzieci przemocy. Nie stać nas na kolejne skandale.

Dyrektor podnosi się z miejsca, dając Jeanette do zrozumienia, że czas opuścić jego gabinet, ale gdy otwiera drzwi, uderza go nagle czyjaś dłoń. Po drugiej stronie drzwi stoi mężczyzna, który właśnie miał zamiar zapukać.

- Mam wrażenie, że to będzie wyjątkowo długi semestr - mruczy dyrektor.

Jeanette stoi za nim, przyglądając się z zainteresowaniem całej scenie.

- Dzień dobry - mówi.

Mężczyzna w drzwiach się uśmiecha.

- Mam... dziś zacząć?

- Ach tak! Nasz nowy nauczyciel filozofii i historii - wybucha dyrektor, przerzucając kilka dokumentów na półce, po czym dodaje: - I matematyki, i wiedzy o przyrodzie, i... francuskiego, prawda? Zna pan francuski?

Nauczyciel w drzwiach najchętniej by zaprotestował, ale Jeanette uśmiecha się do niego, więc udaje, że nie słyszał uwagi dyrektora. Przełożony przekazuje mu stos książek i dokumentów.

-Teraz wystarczy już tylko zacząć! Pański grafik leży na samym wierzchu!

Nauczyciel dziękuje i udaje się w głąb korytarza.

Dyrektor spogląda za nim i prychnie.

- Dopiero co po studiach. Wiem, że powinienem się cieszyć, że sam się zgłosił, ale na Boga, Jeanette, jak pani myśli, ile on może mieć lat?

- Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć? - zgaduje Jeanette.

- I widzi pani, jak wygląda.

- Nie zauważyłam niczego szczególnego. - Nauczycielka uśmiecha się fałszywie.

- W całej szkole aż buzuje od hormonów, a my zatrudniamy nauczyciela, który wygląda jak z boysbandu. Będziemy musieli zamknąć z połowę uczennic - mruczy dyrektor.

Jeanette odkasłuje.

- I może kilka nauczycielek...
- Co? - mówi dyrektor.
- Proszę? - powtarza za nim niewinnie Jeanette.
- Mówiła pani coś?
- Nie, spieszę się na lekcję.

Dyrektor wydusza z siebie niezadowolony:

- Może pani wywiesić ogłoszenie o treningu. JEDNO ogłoszenie!

Jeanette kiwa głową i znika w korytarzu. Zawiesza cztery ogłoszenia, śledząc tyłek nowego nauczyciela, który znika za rogiem.

Nauczyciel stoi przy tablicy i coś na niej zapisuje, podczas gdy uczniowie grupkami wchodzą do klasy. Przez szuranie krzesel, odgłosy towarzyszące rzucaniu plecaków na ziemię i entuzjastyczne plotki o wakacyjnych wydarzeniach ledwie słychać dzwonek i wybuchającą właśnie na korytarzu bójkę.

Benji wchodzi do klasy jako ostatni, prawie nikt go nie zauważa. Nadal ma zmierzwione włosy, a jego dżinsowa koszula wciągnięta jest w spodnie tylko częściowo, jakby ubierał się w ciemnym pokoju. Wygląda podobnie jak wtedy, gdy nie tak dawno temu, tej nocy pełnej Nietzschego, zimnego piwa i ciepłych dłoni, wstał z łóżka w domku na kempingu między Björnstad a Hed.

Pozostali uczniowie są zbyt zajęci sobą i innymi, by zauważyć, jak nauczyciel odwraca się w stronę drzwi i traci oddech. Benjiego nie jest łatwo zaskoczyć, ale teraz przystaje, a szok przeszywa mu pierś.

Nauczyciel ma na sobie tę samą koszulkę poło co tamtej nocy.

Pianka do golenia w butach

To niełatwe przejmować się innymi. Wręcz wyczerpujące, bo empatia to skomplikowana sprawa. Wymaga akceptacji toczącego się nieustannie obok nas życia innych ludzi. Nie da się wcisnąć pauzy, gdy wszystkiego robi się za dużo i nie mamy już na to siły. Poczesać może tylko to, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Wraz z rozlegającym się dzwonkiem uczniowie nieuporządkowaną masą wylewają się z klasy na korytarz, jakby się paliło. Benji, niby przypadkiem, wychodzi ostatni. Świetnie opanował tę sztukę. Ze zdenerwowania nauczyciel cały się poci, widać to na kołnierzyku jego koszulki polo.

- Ja ni-nie wiedziałem, że jesteś uczniem. Gdybym o tym wiedział ... Myślałem, że jesteś starszy. To była pomy... pomyłka! Mogę przez to stracić pracę, nie powinniśmy byli ze sobą spać... Ja nie... byłeś po prostu... po prostu...

Benji podchodzi do niego. Dłonie nauczyciela drżą.

- Po prostu pomyłką. Byłem po prostu pomyłką - kończy za niego Benji.

Wystraszony nauczyciel kiwa głową z zamkniętymi oczami. Benji długo przygląda się jego ustom. Gdy nauczyciel ponownie otwiera oczy, Benjiego już nie ma.

Po szkole Bobo przychodzi od razu do domu, rzuca plecak w pokoju, przebiera się i idzie pomóc ojcu w warsztacie. Jak zwykle. Dzisiaj jednak to nie Bobo pilnuje czasu, tylko Knur.

- Wystarczy na dziś. Uciekaj już! - namawia syna, gdy nadchodzi pora.

Bobo przytakuje z ulgą i wyskakuje z kombinezonu. Knur zauważa, że roboczy strój robi się już na syna za mały. Gdy Bobo przynosi treningową torbę, Knur długo się zbiera, by coś powiedzieć, nie chcąc być może wzbudzać w synu zbyt dużych nadziei. Oczekiwania ojców tak łatwo przecież mogą zdusić oczekiwania synów.

- Denerwujesz się? - wydusza z siebie w końcu.

Głupie pytanie, Bobo denerwuje się jak kot na huśtawce. To jego debiutancki trening z pierwszym zespołem, ma osiemnaście lat, a hokej w bardzo precyzyjny sposób pokazuje trenującym dzieciom, że stały się dorosłe. Syn kręci głową, ale oczy go zdradzają. Ojciec się uśmiecha.

- Głowę trzymaj nisko, a gębę zamkniętą. Daj z siebie wszystko. I załóż dziś buty, których nie lubisz.

Bobo otwiera usta i wydaje z siebie dźwięk, którego używał od dzieciństwa, by oznajmić, że czegoś nie rozumie:

- Yyy?

- Gdy będziesz pod prysznicem, starsi zawodnicy wysprejują ci buty pianką do golenia. Na początku będą się na tobie wyżywać. więc musisz to po prostu zaakceptować. Pamiętaj, że w ten sposób pokazują ci, że cię przyjmują. Zaczynij przejmować się dopiero wtedy, gdy NIE będą sobie na tobie używać, bo to znaczy, że wylatujesz z drużyny.

Bobo przytakuje. Knur wygląda, jakby zamierzał poklepać go po ramieniu, zamiast tego sięga jednak po narzędzie leżące za synem. Gdy Bobo idzie zmienić buty, ojciec odchrząkuje:

- Dzięki za dzisiaj.

Bobo nie wie, co ma odpowiedzieć. Każdego dnia pomaga ojcu w warsztacie, ale jeszcze nigdy nie usłyszał za to podziękowań.

- Chciałbym, żebyś miał mniej skomplikowane życie - dodaje ojciec - żebyś mógł myśleć tylko o szkole, hokeju, dziewczynach i o czym tam jeszcze z kolegami myślicie. Wiem, że nie jest ci najłatwiej pomagać w warsztacie i teraz ze wszystkim przy mamie...

Milknie. Bobo nic nie odpowiada.

- Nie ma sprawy, tato - dodaje po chwili.

- Strasznie jestem z ciebie dumny - odpowiada Knur z głową pod maską naprawianego forda.

Bobo przynosi parę starych butów.

Amat jest najmniejszy w szatni. Chciałby się skurczyć jeszcze bardziej - czuje spojrzenia starszych zawodników i wie, że wcale go tu sobie nie życzą. Bobo siedzi obok, jest wyrosnięty, więc ma jeszcze gorzej. Starsi zawodnicy, którzy nie znaleźli sobie innego angażu, gdy klub był bliski bankructwa, i nie zamierzają oddać swoich miejsc w drużynie bandzie małolatów, od razu obierają sobie Bobo za cel. To niby drobnostki, ktoś potrąca go ramieniem, przechodząc obok, ktoś niby niechcący kopie jego sprzęt, tak że ten rozlatuje się na podłodze. Gdy głośno żartują, Bobo próbuje dorzucić jakiś zabawny komentarz. Potrzebą akceptacji grupy pogarsza tylko swoją sytuację. Amat usiłuje go powstrzymać i uciszyć, ale przyjaciel już się nakręcił. Jeden ze starszych zawodników pomrukuje:

- I jeszcze teraz kobieta trener! Jakie jeszcze PR-owe triki wymyśli nam dyrektor sportowy? Co to za polityczna propaganda!?

- Nie ma szans, że dostała robotę dzięki CV - dorzuca kolejny.
- A słyszeliście, że jest lesbijką?-wtrąca ochoczo Bobo.

Starsi zawodnicy go ignorują.

- Z pewnością cipoliza, widać to przecież na kilometr.
- Yyy? Co to cipoliza? A, nie, czekajcie... Kumam! Lesbijka, nie?- pokrzykuje Bobo.

Starsi zawodnicy go ignorują, kontynuując rozmowę:

- Czy drużyna hokejowa nie może być po prostu drużyną hokejową? Czy we wszystkim musi być polityka? Teraz tylko czekać, aż wymienią nam niedźwiedzia na koszulkach na tęczę!

Jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki Bobo wyrzuca z siebie:

- Albo każą nam grać w... baletowych strojach!

Podnosi się, by wykonać niezdarny piruet, potyka się na ławce i upada prosto na dwie torby treningowe. Nagle coś się dzieje: kilku starszych zawodników zaczyna się śmiać. Z niego, nie razem z nim, ale Bobo wykorzystuje nadarżającą się sytuację, jak długo go zauważają. Podnosi się i wykonuje kolejny piruet. Jeden z zawodników, przybierając poważną pozę, pyta:

- Nazywasz się Bobo, prawda?
- Tak - odpowiada usłużnie chłopak.

Pozostali zawodnicy uśmiechają się wyczekująco, widząc, że ich kolega pogrywa sobie z Bobo.

- Powinieneś jej pokazać fiuta - mówi zawodnik.
- Yyy.

Mężczyźni wskazują na niego zachęcająco.

- Nowej trenerce. Przecież to lesba. Pokaż jej fiuta! Żeby zobaczyła, co traci!
- Wypuść anakondę z klatki! Chyba się nie boisz? - pokrzykuje któryś z zawodników.

Po chwili dołączają do niego kolejni, dopingując chłopca tak, jakby przymierzał się do decydującego skoku w dal.

- Ale czy... ona się nie ... wkurzy? - pyta zdezorientowany Bobo.
- E tam, pomyśli tylko, że masz poczucie humoru! - krzyczy jeden ze starszych graczy.

Łatwo pomyśleć, że Bobo jest po prostu głupkiem, ale dla osiemnastolatka w szatni pełnej dorosłych mężczyzn, którzy nagle zaczynają go dopingować, słowo „nie” jest najtrudniejsze na świecie.

Gdy Elisabeth Zackell przechodzi korytarzem obok szatni, nagle wyskakuje z niej Bobo, jak go Pan Bóg stworzył, pewien, że zszokuje trenerkę. Albo przynajmniej zwróci jej uwagę. Elisabeth nie unosi nawet brwi.

- Tak? - pyta.

Bobo kręci się niespokojnie.

- Ja... ja... słyszeliśmy, że jest pani lesbijką i...

- BOBO CHCIAŁ POKAZAĆ FIUTA, ŻEBY PANI WIEDZIAŁA, CO TRACI!!! - słychać z szatni, zanim wszyscy w pomieszczeniu wybuchają histerycznym śmiechem.

Zackell opiera dłonie na kolanach i z zainteresowaniem pochyla się, łypiąc na przyrodzenie Bobo.

- Tego tu? - Wskazuje z ciekawością palcem.

- Yyy?

- To o tym fiucie mówicie? Mój drogi, widziałam już laski z większą łechtaczką niż to tutaj.

Po czym obraca się i rusza w stronę lodowiska, nie dodając już ani słowa.

Wracając do szatni, Bobo czerwieni się na całym ciele.

- To... ten tego... powiedziała, że... przecież łechtaczka nie może być taka duża? Prawda? Albo... właściwie jak duża może być łechtaczka? Mniej więcej?

Szatnię zalewają kolejne salwy śmiechu. Z niego. Bobo uśmiecha się jednak niepewnie - czasem jakiegokolwiek zainteresowanie jest lepsze niż jego brak.

Amat kurczy się w swym hokejowym stroju. Patrzy na Bobo i już wie, że to nie może skończyć się dobrze.

Gdy zaczyna się trening, zawodnicy zbierają się niechętnie na środku lodowiska, demonstracyjnie aroganccy, by pokazać Elisabeth Zackell, że nie jest tu mile widziana. Trenerka zdaje się tego w ogóle nie zauważać, podjeżdżając do nich z sześcioma wiaderkami pod pachą.

- Na czym się tu znacie w Björnstad?

Gdy nikt nie odpowiada, wzrusza ramionami.

- Widziałam wszystkie wasze mecze z zeszłego sezonu, stąd też wiem, że jesteście beznadziejni prawie we wszystkim. Gdybym się dowiedziała, w czym jesteście DOBRZY, znacznie ułatwiłoby mi to pracę.

Któryś zawodnik żartobliwie, choć nieśmiało przebąkuje o „chlaniu i jebaniu”, ale nawet to nie powoduje w grupie głośniejszej reakcji niż jakieś zduszone chrząknięcie. Nagle ktoś zaczyna się histerycznie śmiać, nie z żartu, tylko z tego, co dzieje się za plecami Zackell. Z boksu wyjeżdża ponadstukilogramowy Bobo ubrany w sukienkę, którą ukradł z magazynu łyżwiarzy figurowych. Robi trzy piruety, które wywołują aplauz i wiwaty u starszych zawodników drużyny. Elisabeth Zackell pozwala im na to, mimo że to nie z Bobo się właśnie śmieją, tylko z niej.

W połowie czwartego piruetu wiwaty cichną, a Bobo nie zauważa nawet, gdy od uderzenia nagle czarnieje mu przed oczami. Ledwie łapiąc oddech, otwiera oczy i

widzi nad sobą pochyloną Elisabeth Zackell z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego nikt nie nauczył cię porządnie jeździć na łyżwach?

- Yyy?

- Ważysz tyle co prom i widziałam, jak wyszarpałeś siekierę z maski samochodu. Gdybyś umiał porządnie jeździć, nigdy nie byłabym w stanie tak łatwo cię powalić. I nie byłbyś wtedy kompletnie bezużyteczny jako hokeista. No więc dlaczego nikt nie nauczył cię jeździć?

- Nie... wiem - wysapuje Bobo, nadal leżąc na plecach. Ból w klatce piersiowej jest tak silny, jakby przejechał go samochód.

- Co potraficie tu robić w Björnstad? - pyta poważnie Zackell.

Początkowo młody zawodnik nie odpowiada, więc trenerka poddaje się i rusza na środek lodowiska. W końcu chłopak się podnosi i ściąga sukienkę.

- Pracować! - mówi zły i upokorzony. - W Björnstad potrafimy pracować. Można mówić o nas wiele złych rzeczy, ale potrafimy PRACOWAĆ!

Pozostali zawodnicy kręcą się niespokojnie. Nikt jednak nie protestuje. Elisabeth kontynuuje:

- W takim razie tak właśnie wygramy. Będziemy pracować ciężiej niż wszyscy pozostali. Jeśli będziecie się musieli wyrzygać, to tutaj. - Wskazuje na przyniesione wiaderka. - Słyszałam, że dyrektor sportowy nie lubi syfu, więc zakładam, że nie chce mieć rzygów na lodzie. Znacie ćwiczenie „zgarnij bandę”?

Głośny jęk zawodników przyjmuje jako potwierdzenie i rozkłada wiaderka. Reszta treningu schodzi im na nieludzkich ćwiczeniach kondycyjnych. Jazda na łyżwach z maksymalną prędkością od bandy do bandy, przesunięcia na kolanach, zapasy, praca, praca, praca. Pod koniec treningu żadne wiaderko nie jest puste. Jedynym zawodnikiem trzymającym się jeszcze na nogach jest Amat.

Początkowo pozostali niby nieumyślnie próbują go stopować, stosując techniki, które wyglądają na przypadkowe: ostre uderzenie z łokcia w tłumie, pociągnięcie za koszulkę w momencie, gdy się rozpędza, dyskretne podcięcie łyżew tak, że traci równowagę. Większość zawodników jest ze trzydzieści-czterdzieści kilogramów cięższa, wystarczy, że pochylą się w jego stronę. To nie jego wina, nie próbuje się krygować ani wydziwiać, po prostu jest zbyt dobry. Sprawia, że inni wydają się powolni, a to nie do przyjęcia. Co rusz powalają go na ziemię, ale za każdym razem Amat się podnosi. Jedzie szybciej, walczy ostrzej, draży coraz bardziej w głąb siebie. Z coraz większym mrokiem w oku.

Nikt nie wie, która godzina, a Elisabeth Zackell nie kończy treningu. Starsi zawodnicy jeden po drugim pochylają się i upadają. Gdy spoglądają na lód, Amat wciąż tam jest. Niezależnie, ile razy trenerka każe mu przejechać od bandy do bandy,

nie jest w stanie go wykończyć. Jego koszulka jest czarna od potu, a on nadal wytrwale stoi. Prawie nieprzytomny Bobo leży na lodzie, przepełniony zarówno dumą, jak i zazdrością patrzy, jak przyjaciel pracuje, pracuje, pracuje.

Amat jest najmłodszy w drużynie. Podczas prysznic po treningu mięśnie nóg drżą mu tak bardzo, że ledwie utrzymuje równowagę. Z ręcznikiem zawiniętym wokół bioder człapie do szatni i widzi, że jego buty wypełnione są pianką do golenia.

Było warto.

Gdy długo po zakończeniu treningu Elisabeth Zackell maszeruje przez pustą halę lodowiska, w szatni siedzi jeszcze tylko jeden zawodnik. Bobo jest ogromny niczym mleczna krowa, ale jednocześnie mały jak wystraszony jeź. Mokrym wzrokiem patrzy na buty, których nikt nie wypełnił pianką do golenia. Gdy wyszedł spod prysznic, starsi krzyczeli w jego kierunku tylko jedno: „Wielkie dzięki za trening kondycyjny, jebany gnojku! »Znamy się na pracy«? Jak mogłeś powiedzieć coś tak, kurwa, głupiego trenerowi hokeja?”.

Amat próbował go pocieszyć, ale Bobo go wyśmiał, a przyjaciel był zbyt wykończony, by obstawać przy swoim. Gdy wszyscy już sobie poszli, Bobo nadal siedzi w szatni, najmniejszy na świecie.

- Zgaś za sobą, jak będziesz wychodził - mówi Zackell, bo nie jest za dobra w... uczuciach.

- Jak zdobyć szacunek? - Bobo szlocha, co sprawia, że Zackell znajduje się w nieopisanie niekomfortowym położeniu.

- Masz... wszędzie... smarki - mówi, wskazując dłonią na jego twarz.

Bobo wyciera się ręką, co u Zackell wzbudza chęć ułożenia się w pozycji embrionalnej i głośnego krzyku.

- Chciałbym, żeby mnie szanowali. I wypełnili mi buty pianką do golenia - prosi płaczliwie Bobo.

Zackell wydaje z siebie jęk.

- Człowiek nie musi być szanowany. To nie takie ważne, jak się ludziom wydaje.

Bobo zagryza wargę.

- Przepraszam, że pokazałem pani fiuta - szepcze.

Zackell uśmiecha się lekko.

- Na twoją obronę mogę tylko dodać, że to nie był znów jakiś sobie fiut - dodaje, odmierzając kilka centymetrów między kciukiem a palcem wskazującym.

Bobo wybucha śmiechem. Zackell wkłada ręce do kieszeni i cicho mu radzi:

- Musisz być użyteczny dla drużyny. Wtedy będą cię szanować.

Wychodzi, nie czekając na kolejne pytania. Od tej pory Bobo każdej nocy, nie śpiąc, będzie się zastanawiał nad tym, co powiedziała.

W drodze do domu zatrzymuje się w sklepie. Kupuje piankę do golenia, tak by nie zrobić przykrości ojcu. Widząc jego zniszczone buty, Knur obejmuje syna. Nie zdarza się to często.

Leży na ziemi

Kołysząc się, Sune przemierza halę lodowiska. Oddycha ciężko przez nos. Nie ma sekundy, by nie brakowało mu pracy trenera, ale teraz ledwie jest w stanie wspiąć się na trybuny. Hokej jest coraz młodszy, podczas gdy wszyscy zaangażowani w niego ludzie się starzeją. Gdy ma nas już dość, bez sentymentów nas odrzuca. To dlatego cały czas żyje i się rozwija - dla nowego pokolenia.

- Zackell! - krzyczy zdyszany Sune, widząc kobietę, która zabrała mu pracę.

- Tak? - odpowiada mu trenerka w drodze do szatni.

- Jak się dziś czułaś na treningu?

- „Czułam”? - dopytuje Zackell, jakby właśnie usłyszała słowo w jakimś obcym języku.

Sune opiera się o ścianę i lekko uśmiecha.

- Mam na myśli to, że... bycie trenerem w tym mieście to nie najłatwiejsza robota na świecie. Zwłaszcza gdy się jest... No wiesz.

Ma na myśli „kobietą”. Zackell odpowiada:

- Nigdzie nie jest to łatwa robota.

Sune kiwa współczująco głową.

- Słyszałem, że jeden z zawodników pokazał ci. . . narządy płciowe...

- Takie ledwie co-odcina się Zackell.

Sune kaszle zdziwiony.

- Pokazał ci... ledwie co... narządy płciowe?

- Te narządy były ledwie co - poprawia go Zackell, odmierzając wielkość między kciukiem a palcem wskazującym.

- Ech, to coś co... chłopcy, no wiesz, czasem mogą... - zaczyna Sune ze wzrokiem wbitym w kolana.

Zackell wygląda na poirytowaną.

- Skąd wiesz, że ktoś pokazał mi narządy płciowe?

Sune błędnie zakłada, że trenerka czuje się urażona tymi narządami.

- Jeśli chcesz, mogę pogadać z chłopakami, rozumiem, jeśli to cię uraziło, ale...

- Nie będziesz rozmawiał z moimi zawodnikami. JA rozmawiam z moimi zawodnikami. I tylko ja decyduję, czy jestem urażona.

Sune unosi brew.

- Zakładam, że często się nie obrażasz.

- Obraza to uczucie.

Mówiąc to, Zackell wygląda, jakby opowiadała o jakimś narzędziu. Sune wkłada ręce do kieszeni i mruży:

- Stanowisko trenera w Björnstad to niełatwa robota. Zwłaszcza gdy zaczynają się niepowodzenia. Zaufaj mi, zanim się pojawiłaś, miałem tę robotę całe życie. W dodatku jest tu wiele osób, którym nie spodoba się trener... wyglądający jak ty.

Starszy mężczyzna patrzy jej głęboko w oczy i widzi w nich coś, czego zawsze mu brakowało: Elisabeth się nie przejmuje. W głębi serca Sune zawsze to robił. Chciał, by lubili go zawodnicy i kibice, babska i dziadki w Futrze też. Całe miasto. Ale Elisabeth Zackell nie boi się ich opinii, bo wie to, z czego zdają sobie sprawę wszyscy odnoszący sukcesy trenerzy: polubią ją, gdy wygra.

- Idę na obiad - mówi beznamiętnym głosem.

Sune kiwa głową. Ponownie się uśmiecha. Na odchodne pozostawia jej jeszcze jedną myśl:

- Pamiętasz tę małą Alicię, która ćwiczyła strzały u mnie w ogrodzie? Była tu dzisiaj, siedem razy. Związała z przedszkola, by popatrzeć na trening pierwszej drużyny. Odprowadziłem ją z powrotem, ale znów związała. Tak pewnie będzie całą jesień.

- Nie da się dzieciaka zamknąć? - zastanawia się Zackell, nie do końca chyba rozumiejąc, co Sune próbuje jej przekazać. Stary trener wyjaśnia więc dokładniej:

- Dzieci przyjmują za pewnik wszystko to, w czym wyrastają. Widząc cię trenującą pierwszy zespół, Alicia przyjmie za normalne, że to właśnie robią kobiety. Gdy już będzie wystarczająco duża, by sama grać w pierwszym składzie, nie będzie już może kobiecych trenerów hokeja. Tylko... trenerzy hokeja.

Dla Sunego to coś znaczy. Coś ważnego. Nie wie, czy ma to jakieś znaczenie dla Elisabeth Zackell, szczerze powiedziawszy, nie wydaje mu się. Trenerka wygląda tak, jakby po prostu chciała iść na obiad. Głód to jednak mimo wszystko uczucie.

Już w drzwiach Sune zauważa błysk w jej oku, w związku z czymś, czym faktycznie się przejmuje.

- Jak tam sprawy z moim bramkarzem? Tym Vidarem?- pyta kobieta.

- Porozmawiam z jego bratem - obiecuje Sune.

- Nie mówiłeś przypadkiem, że Peter porozmawia również z siostrami Benjaminą Ovicha? - rzuca Zackell.

- Zgadza się - odpowiada zdziwiony Sune.

- W takim razie dlaczego nie było go dzisiaj na treningu?
- Nie było go? - wybucha Sune.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że Benji nie pojawi się na treningu. Nie tylko dzieci biorą niektóre rzeczy za pewnik.

W domku na kempingu siedzi mężczyzna w niebieskiej koszulce polo. Ma do przygotowania lekcje, dostał pracę nauczyciela, dla której studiował wiele lat, ale nic nie rusza go z miejsca. Siedzi w niewielkiej kuchni, na stole ma przed sobą książkę o filozofii i gapi się przez okno w nadziei, że zobaczy młodego mężczyznę o smutnych oczach i dzikiej duszy. Benji jednak nie przychodzi. Jest stracony. Nauczyciel spojrzął mu dziś w oczy i powiedział, że był pomyłką, mimo że to nauczyciel się pomylił.

Wszyscy w tym mieście wiedzą, że Benji jest niebezpieczny i że bije najmocniej. Mimo to niewielu zdaje się rozumieć, że właśnie taki jest cały, że bije najmocniej, bez przerwy. Jego serce również.

W domu Ovichów do pokoju Benjiego wchodzi jedna z sióstr, Gaby. Dwójka jej dzieci bawi się klockami Lego rozrzuconymi po całej podłodze. Siostra mogłaby powiedzieć o Benjim wiele gorzkich rzeczy, ale lepszego wujka ze świecą szukać. Gdy jej dzieci dorosną, z pewnością powiedzą, że pokój wujka u babci był najbezpieczniejszym miejscem w całym wszechświecie. Nie dosięgło ich tu nigdy żadne zło, nie odważyłoby się, bo wujek zaciekle broniłby ich przed wszystkim i wszystkimi. Któregoś dnia jedno z nich powiedziało: „Marno! U wujka w garderobie są duchy, chowają się tam, bo boją się wujka!”.

Gaby się uśmiecha, wychodząc z pokoju. Nagle jednak uderza ją widok klocków. Odwraca się i pyta dzieci:

- Skąd macie Lego?
- Były w paczce - odpowiadają beztrąsko dzieci.
- Jakiej paczce?

Dzieci odkrzykują urażone, tak jakby posądzano je o kradzież.

- Paczce na łóżku wujka! Były na niej nasze imiona. Była dla nas!

Przy drzwiach wejściowych rozlega się dzwonek. Gaby nie idzie w ich kierunku. Tylko biegnie.

Adri, najstarsza siostra, otwiera drzwi. Stoi przed nią Amat, kolega Benjiego z drużyny. Chłopiec nie wygląda na zaniepokojonego, dopóki nie widzi twarzy Adri, do której natychmiast dociera, o co chodzi.

- Jest Benji? - pyta Amat, znając już odpowiedź.
- Do diabła... - odpowiada Adri.

Gaby przybiega, krzycząc:

- Benji zostawił dla dzieci prezenty!

Amat odchrząkuje podenerwowany.

- Nie było go na treningu. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Ostatnie zdanie wykrzykuje za Adri, która już dawno go minęła i pobiegła w kierunku lasu.

Benji czasem olewa treningi, ale nigdy pierwszy w sezonie. Jego stopy za bardzo tęsknią za lodem, dłoniom brakuje kija, mózgowi pędu. Za nic w świecie nie odpuściłby szansy zagrania dzisiaj, zwłaszcza w tym roku, gdy Björnstad ma się zmierzyć z Hed w pierwszej kolejce. Coś jest nie tak.

Ramona stoi za barem, jak zwykle, starając się dać jak najmniej ponieść uczuciom. Dane jej było zobaczyć, jak jej miasto kwitnie, ale przez ostatnie lata widziała też, jak dostaje baty. Mieszkańcy Björnstad potrafią pracować, ale muszą też mieć do tego miejsce. Mogą się bić, jeśli tylko mają o co.

Można być pewnym tylko tego, że we wszystkich miastach, małych i dużych, pełno jest wybrakowanych ludzi. Nie ma to nic wspólnego z miejscem, tylko z życiem, które czasem może dobić. Nietrudno trafić wtedy do pubu, bary łatwo stają się miejscami żalości. Każdy, kto nie ma się czego trzymać, może zawsze ciut za mocno trzymać się kieliszka, każdy zmęczony upadaniem może schować się na samym dnie butelki; gdy upada się z dna, nie upada się wtedy z tak wysoka.

Obserwowała co bardziej wrażliwych z tych, którzy tu przychodzili; byli tacy, co szli dalej, byli tacy, co szli na dno. Niektórym wszystko poszło dobrze, a niektórzy, jak Alan Owich, poszli do lasu.

Ramona jest już wystarczająco stara, aby nie iść z prądem, podskakując z radości, nie próbuje też na siłę stawać okoniem i się sprzeciwiać. Nawet ona jednak zdaje sobie sprawę, jak niebywale wysokie wymagania, zwłaszcza tej jesieni, stawiane są drużynie hokejowej. Sport nie jest realnym życiem, ale gdy nasze dni zamieniają się w piekło, potrzebujemy bajek. Dzięki nim czujemy, że jeśli będziemy w czymś najlepsi, to może wszystko obróci się ku dobremu.

Ale w sumie co tam Ramona wie! Czy kiedyś obróciło się ku lepszemu? Czy też po prostu się przyzwyczajamy?

Zanim Alan Owich ruszył do lasu, zostawił dzieciom prezenty na łózkach. Nikt nie wie, dlaczego to zrobił, może miał nadzieję, że dzieci właśnie tak go zapamiętają. Że uda mu się zejść tak głęboko w las, że pomyślą, że jedynie je opuścił. Mogłyby wtedy

fantazjować, że jest tajnym agentem, który został wezwany na supertajną misję, albo astronautą, który poleciał w kosmos. Może myślał, że mimo wszystko będą miały dzieciństwo.

Tak się jednak nie stało. Najstarsza córka, Adri, nigdy nie potrafiła wyjaśnić, skąd wiedziała, gdzie go znajdują. Czują po sobie, dokąd poszedł. Może dlatego psy tak ją lubią - wyczuwa więcej niż inni ludzie. Poruszając się pomiędzy drzewami, nie krzyczała „tato”, bo dzieci myśliwych nigdy tak nie robią. Dobrze wiedzą, że wszyscy mężczyźni w lesie są czyimiś ojcami, jeśli więc chcą przywołać swojego, powinny używać jego imienia, tak jakby były dla niego kimkolwiek. Adri oczywiście nie była kimkolwiek, urodziła się z czymś, co miała po Alanie. Nigdy nie udało mu się zejść tak daleko w las, żeby go nie odnalazła.

Bar może być ponurym miejscem. Życie zawsze daje nam więcej powodów do smutku niż do radości, więcej styp niż wieczorów panińskich. Ramona wie jednak, że bar od czasu do czasu może też oznaczać coś innego, że jest jak niewielkie szczeliny w kamieniach, które nosisz w piersi. Nie musi to być od razu najlepsze miejsce na ziemi, ale nie jest też najgorsze.

Ostatnie tygodnie wypełnione były plotkami. Mówi się, że fabryka ma być sprzedana. Björnstad widziało już niejedną koniec, więc dla jego mieszkańców ta wiadomość równie dobrze może oznaczać bankructwo fabryki. Takie nastawienie łatwo nazwać „cynicznym”, cynizm jednakowoż jest chemiczną reakcją, która bierze się ze zbyt dużej liczby przeżytych zawodów. W Futrze już nie tylko młodzi rozmawiają o bezrobociu, wszyscy się niepokoją. W niewielkim miasteczku jeden stracony pracodawca to katastrofa naturalna - wszyscy znają kogoś, kogo to dotyczy, w końcu pada też na ciebie.

Łatwo też nazywać mieszkańców „paranoikami”, gdy wciąż na nowo powtarzają, że politycy przerzucają wszystkie środki do Hed i nie obchodzi ich, czy Björnstad przeżyje jeszcze jedno pokolenie. Niestety, najgorsze w paranoi jest to, że żeby udowodnić, że się jej nie ma, trzeba mieć rację.

Niektóre dzieci nigdy nie uwalniają się od rodziców, żyją według ich kompasu, patrząc na świat ich oczami. Gdy dzieją się okropne rzeczy, część ludzi jest niczym fale, ale są i tacy, co zmieniają się w skały. Falami rzuca tam i z powrotem, gdy przychodzi wiatr, skały natomiast, niewzruszone w oczekiwaniu, aż sztorm minie, przyjmują każde uderzenie.

Adri była jeszcze dzieckiem, ale wyciągnęła broń z dłoni ojca i siedziała na pieńku z jego ręką w swojej. Może to szok, a może zamierzony sposób pożegnania zarówno dla niego, jak i dla niej. Nigdy potem nie była już taka jak wcześniej. Gdy w końcu się

podniosła i ruszyła przez las z powrotem do Björnstad, nie krzyczała panicznie o pomoc, tylko poszła prosto do najlepszych i najsilniejszych myśliwych, którzy pomogli przenieść jej ciało. Gdy mama z krzykiem upadła na podłogę w korytarzu, Adri ją objęła, bo sama już wystarczająco się napłakała. Była gotowa, by stać się skałą. Od tej pory to się nie zmieniło.

Katia i Gaby to dziewczynki mamy, ale Adri i Benji byli Alana. Twórca konfliktów i wynalazca wojen. Teraz za każdym razem, gdy Adri wybiera się do lasu w poszukiwaniu brata, wie, że go znajdzie, tak jakby nosił pod skórą magnes. Młodszy bracia nigdy nie rozumieją, na co wystawiają starsze siostry. Niepokój ukryty pod czaszką, słowa stłamszone innymi słowami, kluczyki do szafy z bronią pod poduszką w nocy.

Benji nie siedzi na drzewie. Leży na ziemi.

Elisabeth Zackell wchodzi do Futra. Pora lunchu już dawno minęła, ale kobieta siada w kącie. Po chwili Ramona bez pytania podaje jej duży talerz ziemniaków.

- Dziękuję - mówi trenerka.

- Nie wiem, co takie wegetariany jak ty jedzą poza ziemniakami. Ale wokół miasta rośnie pełno dobrych grzybów. Sezon wkrótce się zacznie - słyszy w odpowiedzi.

Zackell podnosi wzrok, Ramona kiwa dziarsko głową. Właścicielka baru również nie jest wielką zwolenniczką uczuć, ale to jej sposób, by wyrazić nadzieję, że trenerka zabawi w mieście jakiś czas.

Benji leży spokojnie, oczy ma nadal otwarte, ale jego wzrok jest już daleko. Adri nadal pamięta rękę taty w swojej, gdy tak siedziała na pieńku. Pamięta, jaka była zimna i nieruchoma bez pulsu.

Ostrożnie i prawie bezgłośnie Adri kładzie się na ziemi koło brata. Bierze jego dłoń w swoją tylko po to, by poczuć ciepło i uderzenia tętna.

- Wpędzisz mnie kiedyś do grobu, nie leż tak na ziemi, gdy szukam cię po całym lesie, głupku! - szepcze do niego.

- Przepraszam - odpowiada Benji.

Nie jest ani pijany, ani naćpany. Dzisiaj nie ucieka przed uczuciami. To jeszcze bardziej niepokoi siostrę.

- Co się stało?

Ostatnie słoneczne światło odbija się w kropelkach, które zawisły na rzęsach chłopca.

- Nic. Po prostu... pomyłka.

Adri nie odpowiada. Nie jest siostrą, z którą rozmawia się o złamanym sercu, tylko siostrą, która sprowadza brata z lasu do domu. Odczekuje, aż dojdą do skraju lasu, i mówi:

- Nowa trenerka zamierza zrobić cię kapitanem drużyny.

Natychmiast zauważa w oczach Benjiego coś, czego nie widziała od lat.

Strach.

Zackell już prawie skończyła obiad, gdy Ramona wraca do jej stolika i stawia przed nią piwo.

- Od stałych bywalców - informuje.

Zackell spogląda w kierunku pięciu dziadków przy barze.

- Tamtych?

Ramona kręci głową.

- Ich żon.

W głębi lokalu, w rogu, siedzi pięć babć. Siwe włosy i torebki na stole, pomarszczone dłonie - każda silnym uściskiem trzyma piwo. Całe życie mieszkały w Björnstad, to ich miasto. Ich dzieci i wnukowie pracują w fabryce, niektóre z nich same tam kiedyś pracowały. Babcie mają stare ciała, ale na nich całkiem nowe koszulki. Wszystkie takie same. Zielone z trzema słowami zapisanymi jako okrzyk:

BJÖRNSTAD

PRZECIWKO

RESZCIE

Kapitan drużyny

W Björnstad nie ma prawdziwej jesieni, jedynie mrugnięcie przed zimą, śnieg nie jest nawet na tyle łaskawy, by pozwolić spadającym liściom w spokoju zamienić się w proch. Ciemność nadchodzi tu szybko, ale te miesiące wypełnione są jednak promykami światła: klub walczył i przetrwał. Dorosły mężczyzna pocieszający wystraszoną czteroipółlatkę. Hokej, który jest czymś więcej niż tylko grą. Piwo na stoliku przybysza. Zielone koszulki, które informują, że trzymamy się razem, cokolwiek by się działo. Chłopcy z wielkimi marzeniami. Przyjaciele tworzący armię.

Niestety nie to będziemy pamiętać za kilka lat. Wielu z nas, patrząc wstecz na minione miesiące, zapamięta tylko... nienawiść. Tak funkcjonują ludzie, w doli i niedoli, definiując wszystko poprzez to, co najgorsze w danym czasie. Zapamiętamy więc nienawiść dwóch miast do siebie. Zapamiętamy przemoc, która dopiero się zaczęła. Nie będziemy jednak o tym rozmawiać. Zamiast tego skupimy się na rozgrywanych wtedy meczach, tak żebyśmy nie musieli wracać do pogrzebów, które zostały odprawione.

Ciemność już dawno okryła Björnstad i Hed. Przez las przedziera się młody człowiek. Robi się coraz zimniej, w dzień jeszcze tego nie czuć, ale nocie nie kłamia, ukrywając minusową temperaturę pod promieniami słońca. Ten ktoś trzęsie się z zimna, przyspiesza kroku nie tylko ze zdenerwowania, ale również po to, by utrzymać ciepło.

Hala lodowiska w Hed nie ma alarmu, budynek jest już stary i pełen tylnych wejść, o których zaryglowaniu łatwo zapomnieć. Postać nie przygotowała jakiegoś skomplikowanego planu włamania, ma zamiar przejść wokół hali i sprawdzić wszystkie klamki. Nie ma szczęścia z żadnymi drzwiami, ale udaje mu się z niewielkim łufcikiem do toalety. Używając całej swojej dwunastoletniej siły, daje radę go otworzyć.

Leo wspina się, wchodzi do środka i biegnie w ciemności. Zagrał tu wystarczająco wiele meczów, by bez problemu odnaleźć drogę do szatni. Pierwsza drużyna ma własne szafki, większość z nich nie jest podpisana, ale niektórzy zawodnicy są tak zakochani w kombinacji literek tworzących ich nazwisko, że nie zdołali się

powstrzymać przed wypisaniem ich na tabliczce na drzwiczkach. Leo oświetla je latarką z telefonu, aż w końcu znajduje szafkę Williama Lyta. Następnie robi to, po co tu przyszedł.

Adri, Katia i Gaby pukają do drzwi Futra już po zamknięciu. Ramona odpowiada głośnym: „MAM TU NAŁADOWANĄ DUBELTÓWKĘ!”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: „niestety, już zamknięte”. To nie powstrzymuje sióstr Ovich, które wchodzą z takim impetem, że Ramona aż podskakuje, widząc je wszystkie trzy.

- Co takiego zrobiłam? - pyta podenerwowana.

- Nic, chciałyśmy tylko prosić panią o przysługę - mówi Katia.

- Nic? Zdajecie sobie chyba doskonale sprawę, że jeśli wpadacie tak tutaj we trzy, to stare babsko myśli sobie, że zaraz dostanie po gębie - jęczy Ramona, trzymając teatralnie ręce na piersi.

Siostry się uśmiechają. Ramona również. Stawia na barze piwo i whisky i czule poklepuje każdą z sióstr po policzku.

- Dawno was tu nie było. Nadal jesteście zbyt piękne na to miasto.

- Przymilaniem się daleko pani nie zajdzie - mówi Adri.

- To dlatego Bóg dał nam alkohol - przytakuje Ramona.

- Jak się pani czuje? - pyta Gaby.

Ramona prychnęła:

- Robię się stara. To straszne gówno. Plecy bolą i coraz gorzej ze wzrokiem. Nie mam nic przeciwko śmierci, ale czy starzenie się jest naprawdę konieczne?

Siostry się uśmiechają. Ramona odstawia pustą szklankę na bar.

- No więc? Co mogę dla was zrobić?

- Potrzebujemy pracy - rzuca Adri.

Benjamin stoi oparty o ścianę, gdy siostry Ovich wychodzą z Futra. Adri wytrąca bratu papierosa z dłoni, Katia na siłę poprawia mu kołnierz, a Gaby mokrymi od śliny palcami przeczesuje chłopakowi włosy. W jednym i tym samym zdaniu wyklinają Benjiego i mówią, że go kochają - tak jak to tylko one potrafią. Następnie wrzucają go przez drzwi. Ramona czeka przy barze.

- Siostry mówią, że potrzebujesz pracy.

- Najwyraźniej - mruczy Benji.

Ramona od razu zauważa w jego oczach spojrzenie Alana Ovicha.

- Siostry mówią, że płaczesz się bez celu i potrzebujesz zajęcia. Nie powstrzymają cię od siedzenia przy barze, ale przynajmniej mogą dopilnować, abyś wylądował po jego dobrej stronie. Powiedziałam Adri, że praca na barze może być dla ciebie niczym pilnowanie steka z łosia przez psa myśliwskiego, ale z nią nie da się dyskutować. Katia

twierdzi, że masz doświadczenie w pracy z jej baru w Hed. Czerwoni nazywają go Stodołą, tak?

Benji przytakuje. „Czerwoni”, tak Ramona zwykła nazywać mieszkańców Hed.

- Nie jestem tam już mile widziany po tym, jak między mną a... miejscowymi doszło do pewnego konfliktu w pewnej kwestii estetycznej - wyjaśnia Benji.

Ramona nie musi podwijać mu rękawów, żeby wiedzieć, że Benji ma na ramieniu wytatuowanego niedźwiedzia. Barmanka odczuwa słabość do chłopców, którzy kochają to miasto nawet bardziej, niż powinni.

- Umiesz nalać piwo, nie rozlewając go?

- Tak.

- Co można dostać, gdy prosi się o piwo na kreskę?

- W mordę?

- Zatrudniony!

- Dziękuję.

Ramona prychnęła.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Robię to tylko dlatego, że boję się twoich sióstr.

Benji się uśmiecha.

- Wszyscy mądrzy ludzie tak mają.

Ramona wskazuje dłonią na półki na ścianach.

- Mamy dwa rodzaje piwa, jedną whisky, reszta to głównie dekoracja. Zmywasz i sprzątasz, a jak zdarzy się jakaś bójka, to się w nią NIE mieszasz, rozumiano?

Benji nie protestuje, to zawsze dobry początek. Zaczyna od uporządkowania ogródka na tyłach budynku, w którym od miesięcy leżały stos drewna i blachy. Jest silny jak byk i się nie odzywa. To według Ramony dwie najlepsze cechy.

Gdy nadchodzi czas, by zgasić światła i pozamykać, pomaga jej na schodach do mieszkania na górze. Wszędzie nadal wiszą fotografie Holgera, jej męża. On i Björnstad Hockey, jej pierwsza i druga miłość, zielone flagi i proporczyki na każdej ścianie.

- Możesz zapytać o to, co ci chodzi po głowie - mówi cicho Ramona, poklepując Benjiego po policzku.

- Nic mi nie chodzi po głowie - kłamie Benji.

- Zastanawiasz się, czy twój ojciec przychodził do Futra. Czy przesiadywał przy barze, zanim... poszedł do lasu.

Benji chowa ręce w kieszeniach, nagle brzmi jak dziecko.

- Jaki on był? - pyta.

Stara kobieta wzdycha.

- Nie najlepszy. Ale też nie najgorszy.

Benji idzie w stronę schodów.

- Wyniosę śmieci. Do zobaczenia jutro wieczorem.

Ramona łapie go za rękę.

- Nie musisz być taki jak on - mówi cicho. - Masz jego oczy, ale myślę, że możesz zostać kimś innym.

Benji nie wstydzi się tego, że przy niej płacze.

Następnego dnia rano Elisabeth Zackell zagląda do gabinetu Petera Anderssona. Przygląda się, jak Peter siłuje się z automatem do espresso. Mężczyzna wciska guzik i spod maszyny wypływa brązowa ciecz. Peter wpada w panikę i wciska wszystkie przyciski naraz, zaskakująco akrobatycznym ruchem sięgając po papierowe ręczniki i przytrzymując ciekącą maszynę stopą.

- I to niby ja jestem dziwna, bo nie piję kawy... - zauważa Zackell.

Peter podnosi wzrok, nadal w połowie tanecznej interpretacji biurowych porządków, przeklinając tak, że nawet Zackell wie, że to do niego niepodobne.

- Jeba... jak mnie to wkur... ja pierdo...

- Przyjść później? - pyta Zackell.

- Nie! Nie... Tylko... ta maszyna jest niemożliwa, ale... dostałem ją od córki! - przyznaje zawstydzony Peter.

Zackell nie zaszczycza go żadną reakcją.

- Przyjdę później - stwierdza tylko.

- Nie!... Przepraszam... W czym mogę ci pomóc? Nie dostałaś jeszcze pensji? - zastanawia się Peter.

- Chodzi o linę - odpowiada Zackell, ale Peter już rzuca się z wyjaśnieniami na swoją obronę:

- Ten nowy sponsor, nie mamy jeszcze... całkowicie wynegocjowanej umowy. Ale wszyscy oczywiście dostaną pensję!

Przeciera pot z czoła.

- Nie chodzi mi o wypłatę. Tylko o linę - powtarza Zackell.

- Linę? - powtarza za nią Peter.

- Potrzebuję liny. I pistoletów do paintballa. Można to gdzieś kupić w okolicy?

- Pistolety do paintballa? - powtarza Peter.

Zackell tłumaczy mu bez emocji i pośpiechu:

- Paintball to gra symulująca walkę, rozgrywana na specjalnie do tego przygotowanej przestrzeni, dwie drużyny strzelają do siebie bronią na niewielkie kulki z farbą. Potrzebuję takiej właśnie broni.

- Wiem, co to paintball - zapewnia ją Peter.

- Nie wyglądało na to - odparowuje Zackell.

Peter drapie się po głowie, tak że kropelki kawy z ubrudzonej ręki lądują mu na czole. Nie zauważa, a Zackell oszczędza mu nowego ataku paniki, w którą zapewne by wpadł, gdyby zwróciła mu na to uwagę.

- Linę można pewnie dostać w sklepie budowlanym naprzeciwko Futra.

- Dziękuję - odpowiada Zackell i jest już na korytarzu, zanim Peter zdąży za nią zawołać:

- A po co wam lina? Chyba nie zamierzasz nikogo wieszać, co? - Zaśmiewa się, gdy mówi to po raz pierwszy. Ale kiedy pyta drugi raz, czuje już prawdziwy niepokój. - ZACKELL, CHYBA NIE ZAMIERZASZ NIKOGO WIESZAĆ? MAMY JUŻ WYSTARCZAJĄCO DUŻO PROBLEMÓW!!!

Dawny trener Benjiego, David, zwykł mówić, że chłopak zapewne spóźni się na własny pogrzeb. Jeśli koledzy z drużyny nie sprawdzili, czy numer szesnaście jest z nimi na lodzie, równie dobrze, gdy rozpoczynał się mecz, mógł jeszcze w najlepsze spać w szatni. Zdarzało się, że przegapiał treningi, czasem pojawiał się na nich pijany lub naćpany. Dzisiaj jednak przychodzi na czas, natychmiast się przebiera i wyjeżdża prosto na lód. Elisabeth odwraca się w jego kierunku, tak jakby ją zdziwiło, że zawodnik pojawia się na treningu. Benji robi głęboki wdech i przeprasza, tak jak należy, gdy ma się starsze siostry, które potrafią przywalić.

- Przepraszam, że nie było mnie wczoraj na treningu.

Zackell wzrusza ramionami.

- Nie obchodzi mnie, czy będziesz chodził na treningi.

Benji zauważa, że na lodzie rozłożonych jest pięć długich grubych lin. Zackell trzyma w ręku broń do paintballa, nie dostała jej w Björnstad, ale w budowlanym w Hed wygrzebali jedną sztukę z magazynu. Małe kolorowe plamki na jednej z band świadczą o tym, że trenerka już ją wypróbowała.

- Co ma pani zamiar z tym zrobić? - pyta zdziwiony Benji.

- A ty co tu robisz tak wcześnie? - odpowiada pytaniem na pytanie Zackell.

Benji patrzy na zegarek: przyszedł dokładnie na czas, ale poza nim na lodzie są tylko Amat i Bobo.

- Siostra mówi, że chce mnie pani zrobić kapitanem drużyny - rzuca Benji. - To głupi pomysł.

Zackell kiwa głową bez mrugnięcia.

- Okej.

Benji czeka na coś więcej. Ale nic się nie dzieje.

- Dlaczego właśnie ja? - pyta poirytowany.

- Bo jesteś tchórzem - odpowiada Zackell.

Benji otrzymał w życiu już wiele łątek, ale nigdy takiej.

- Gównu pani wie...

Trenerka przytakuje.

- Może. Ale daję ci to, czego boisz się najbardziej na świecie: odpowiedzialność za innych ludzi.

Wzrok Benjiego ciemnieje. Jej pozostaje bez wyrazu. Amat stoi za nimi, beczynność go rozpiera, w końcu traci cierpliwość i wybucha:

- Trening się już zaczął! Dlaczego nie woła pani reszty z szatni?

Zackell wzrusza beznamiętnie ramionami.

- Ja? A czemu ja miałabym się tym przejmować?

Benji patrzy w jej kierunku. Coraz bardziej sfrustrowany. Spogląda ponownie na zegarek. Po czym opuszcza lód.

Gdy Benji przychodzi do szatni, wielu starszych zawodników jest przebranych tylko do połowy.

- Trening właśnie się zaczyna.

Niektórych słyhać dobrze, nawet jeśli nie podnoszą głosu. Mimo to kilku zawodników nie rozumie początkowo, co Benji ma na myśli, i odpowiada:

- A idź! Tej baby w ogóle nie obchodzi, czy jesteśmy na czas!

Odpowiedź Benjiego jest krótka, ale cisza, która po niej następuje bezwzględna.

- Ale mnie obchodzi.

Władza to umiejętność, która sprawia, że ludzie robią to, co chcemy. Pozostając na ławce, każdy z tych dorosłych facetów w szatni mógłby sprawić, że ten osiemnastolatek stałby się bezsilny. Ale on daje im trzydzieści sekund i gdy z powrotem rusza na lód, mężczyźni podnoszą się i idą za nim.

To nie moment, w którym został ich kapitanem. To tylko chwila, kiedy to do nich dotarło.

Benji nie chce prowadzić drużyny, mimo wszystko to robi. W Hed William Lyt oddałby wszystko za to, by mieć przywództwo, ale nie jest mu ono dane. To niesprawiedliwe, ale sport nigdy też nie był sprawiedliwy. Ten, kto trenuje najwięcej, nie zawsze jest najlepszy, ten, który zasłużył na bycie kapitanem, nie zawsze najlepiej nadaje się do tej roli. Mówi się, że w hokeju opinie są nieważne: „Liczymy tylko bramki”. Ale oczywiście to nie do końca prawda. Hokej zlicza wszystko, przepełniają go statystyki, mimo to nigdy w tym sporcie nie można niczego przewidzieć. Za dużo w nim niewidocznego. Talent graczy określa się na przykład często przez „zdolności przywódcze”, chociaż to nic, co można by zmierzyć, coś, na co składają się rzeczy nie do wyuczenia: charyzma, uznanie i miłość, którą budzą.

W dzieciństwie, gdy Kevin Erdahl został kapitanem drużyny, William Lyt usłyszał, jak trener mówi mu: „Możesz zmusić ludzi do tego, by za tobą poszli. Jeśli chcesz, żeby dla ciebie grali, muszą cię kochać”.

Nikt nie kochał Kevina bardziej niż William, który robił wszystko, by uczucie to było odwzajemnione. Dozgonnie lojalny, nawet po gwałcie, poszedł za Kevinem do Hed Hockey, podczas gdy najlepszy przyjaciel kapitana pozostał w Björnstad. William zebrał kolegów i pobił nie tylko Amata za zdradę Kevina, ale również Bobo, który bronił zdrajcy.

Gdy Kevin nagle zniknął, William pozostał w Hed sam, zawiedziony, ale nadal wierny. Ma tutaj tego samego trenera co w Björnstad, Davida. To właśnie trener przekonał Williama i prawie wszystkich pozostałych zawodników do zmiany klubu. Nie broniąc Kevina, ale przedstawiając najprostszy w świecie sportu argument: „Zajmujemy się tylko hokejem. Nie polityką. To, co się dzieje poza lodowiskiem, zostaje poza lodowiskiem”.

William mu wierzył i w głębi serca miał nadzieję, że teraz, gdy w drużynie nie ma już ani Kevina, ani Benjiego, David w końcu doceni jego lojalność. Ale nie usłyszał nawet zwykłego „dziękuję”, żadnych słów wsparcia. Nadal czuje się ignorowany.

Gdy więc William wchodzi do szatni i widzi to, co ktoś zostawił na dnie jego szafki, dzieją się rzeczy, których nie są w stanie zmierzyć żadne statystyki. Leży tam zapalniczka. Taka sama jak te, które wypełniły jego skrzynkę na listy latem, taka sama, jaką Leo miał na plaży.

Nagle do szatni wchodzi kolega z drużyny i mówi:

- Kurwa, Lyt, słyszałeś o Benjim? Nowy trener zrobił go KAPITANEM DRUŻYNY!

Wszystko, co niezbędne do tego, co ważne

Mówi się, że przywództwo to podejmowanie trudnych decyzji. Nieprzyjemnych i niepopularnych. „Rób, co do ciebie należy” - słyszy ciągle przywódca. Niemożliwe w tym zadaniu jest to, że można to robić tylko tak długo, jak długo ktoś będzie chciał pójść za liderem. Ludzie reagują na przywództwo zawsze tak samo: jeśli twoje decyzje mi pomagają - to masz rację, jeśli mi szkodzą - jesteś tyranem. Prawda o ludziach jest bowiem tyleż prosta, co nie do zniesienia: rzadko chcemy tego, co dobre dla wszystkich. Najczęściej chcemy tego, co dobre dla nas.

Peter ma w głowie gonitwę myśli. Dyrektor wyłącza komputer, odstawia skoroszyty na półki z dokumentami i schodzi na trybuny. Zatrzymuje się na sektorze stojącym. Fatima sprząta kawałek dalej, Peter macha w jej kierunku, ale ona odpowiada mu tylko krótkim skinieniem głową. Mama Amata nie chce zwracać na siebie uwagi, musi skończyć, zanim pierwszy zespół wjedzie na lód, by syn nie musiał się wstydzić przed kolegami z drużyny. „Jakby ten chłopiec kiedykolwiek się jej wstydził” - pomyślał Peter.

Na wiele sposobów spokojna i dumna Fatima jest bardziej stereotypowym mieszkańcem Björnstad niż sam Peter. Ciężko pracuje i nie toleruje czczego gadania. Na początku lata, gdy konta klubu świeciły pustkami, Peter zauważył, że Fatima nie dostała wypłaty. Zadzwoił do niej, ale odpowiedziała mu tylko: „Proszę się nie przejmować. Amat i ja damy sobie radę”. Wiedząc, że Amat nadal czasami zbiera puszki, Peter odparł zawstydzony: „Nie może tak być, że zostanie pani bez pensji, klub ponosi odpowiedzialność...”. Fatima przerwała mu krótko: „Klub? To również mój klub. I klub mojego syna. Damy sobie radę”. To potrafią tylko szczególnie ludzie, w szczególnym klubie.

Teraz jest już jesień i Fatima dostała wypłatę. Peter również. Rano chciał zapłacić rachunki, a ponieważ komputer zaczął szwankować, zadzwonił bezpośrednio do banku. „Te rachunki zostały już zapłacone” - usłyszał od zdziwionego mężczyzny po drugiej stronie słuchawki. Nie jeden. Wszystkie. Richard Theo nie przyszedł z pustymi

obietnicami, sponsor zasilił konto, mimo że nie było jeszcze nawet konferencji prasowej. Peter może uratować swój klub. Dlaczego więc czuje taki niepokój?

Pierwszy zespół zaczyna trening. Wszyscy tam na lodzie przyjmują za pewnik, że w hali co dzień będą palić się lampy, pensje zostaną wypłacone, a publiczność wypełni trybuny. W tym sporcie nigdy do końca nie dorastamy, na lodzie pozostajemy dziećmi, które po prostu chcą grać: krążek, kilku kolegów, zapal światło! Gramy!

Peter zna jednak cenę. To trybuna, na której właśnie stoi. To tylko drewno i metal, rozdeptane resztki torebek ze snusem i zdezelowane barierki. Gdy jednak mężczyźni w czarnych kurtkach tutaj podskakują, stojące trybuny aż falują. A gdy zaczynają śpiewać, unosi się sufit: „To my niedźwiedzie, to my niedźwiedzie, to my niedźwiedzie z Björnstad! TO ... MY ... NIEDŹWIEDZIE! TO MY...”.

Są niesamowitym wsparciem, gdy wszystko jest jak należy, ale to też przerażająca siła, kiedy coś nie idzie po ich myśli. Przez lata nikt w klubie nie krytykował „Grupy” bardziej niż Peter. Kiedy się bili, próbował zainstalować w hali kamery; gdy wysoko opłacani zawodnicy, którzy niezbyt przykładali się do gry, nagle chcieli podrzeć na strzępy swoje kontrakty, Peter próbował udowodnić, że zostali zastraszeni przez chłopców Teemu. Latami mężczyźni w garniturach stali Peterowi nad głową i narzekali, że „niepotrzebnie zaognia sytuację”, gdy w rzeczywistości sami bali się konsekwencji. Pozwalali, by „Grupa” rządziła w ich mieście za pomocą przemocy, jak długo sprzyjało to ich interesom. A teraz? Peter w końcu ma możliwość raz na zawsze pozbyć się „Grupy”, mimo to się waha. Dlaczego? Czyżby czuł, że jest im coś winny, bo dzięki ich wsparciu podczas wiosennego głosowania nadal ma pracę? Czy też po prostu jest tchórzem? A może chodzi o Richarda Theo, który sprawi, że zamiast chuliganów wpływ na klub będą mieli politycy? Co jest gorsze: tatuaże na szyi czy krawaty?

Przez pierwsze lata kariery Petera w roli dyrektora sportowego Mira przypominała mu: „Nie jesteśmy rodziną, która ucieka przed bójką”. Porywczą adwokatka zawsze miała grubszą skórę i większą potrzebę wygranej niż skłonny do dyplomatycznych rozwiązań dyrektor sportowy. Teraz jednak to Peter szuka bójkę, a Mira się waha. Richard Theo może mieć rację - być może Peter jest naiwny. Mimo że świat jest skomplikowany, Peter chciałby widzieć go prostym.

Jego trener w Kanadzie mówił: Winning isn't everything. It's the only thing!. Peterowi brakowało jednak „killer instinct”. Na treningach, gdy jego drużyna zdobywała dużą przewagę, zwalniał tempo, by zbyt nie upokorzyć przeciwników. Dewizą trenera było: „Nigdy nie podnoś stopy z gardła wroga”, ale Peter po prostu tego w sobie nie miał. Wygrana mu wystarczała, nie czuł potrzeby, by kogokolwiek niszczyć. W końcu nadszedł trening, w którym przeciwnicy zwyciężyli, choć

przegrywali już 0:5. Get your mind right! - krzyczał wtedy trener. Ale Peterowi nigdy się to do końca nie udało.

Może też właśnie dlatego spudłował w finale przed dwudziestoma laty, a teraz boi się spełnić obietnicę daną Richardowi Theo? Istnieje przecież jakaś granica, ilu wrogów da się przeżyć. Peter wie, że musi zrobić to, co do niego należy, nie jest tylko pewien, co to jest.

Widzi Elisabeth Zackell na lodzie. Chciałby być trochę bardziej taki jak ona. Ona nigdy nie podnosi stopy z gardła wroga.

Elisabeth Zackell dzieli zawodników na dwie drużyny, po czym przywiązuje każdego z graczy do liny. Jeśli jeden z nich upadnie, upadną wszyscy.

- CO TO JEST, KURWA, ZA JAKIEŚ BABSKIE ĆWICZENIE? - wyje któryś ze starszych zawodników, upadając i tłukąc się niemiłosiernie, gdy jeden z kolegów się potyka. Zackell puszcza to mimo uszu.

Nie odpuści im, aż nauczą się ze sobą współpracować, być jednością. Pocą się i rzygają, nie po raz ostatni. Dopiero gdy nawet Amat upada, Zackell pozwala im rozwiązać linę. Zaraz potem przynosi pistolet do paintballa. Jeden ze starszych mruczy:

- Baba dostała chyba krwotoku do mózgu...

Kto wie, czy Zackell nie czyta z ruchu jego warg, bo odpowiada:

- Strasznie dużo jest tu gadania o „babach”. Przypuszczam, że się boicie, że właśnie tak będziecie grać, jeśli będzie was trenować jedna z nich.

Zawodnicy kręcą się niespokojnie. Niektórzy z nich nadal jeszcze wymiotują do wiaderek. Zackell oddaje demonstracyjny strzał w słupek bramki, tak że metal aż dźwięczy. a mała twarda kulka z farbą rozpryskuje się na żółto.

- Trenowałam kiedyś dziewczyny. Kiepsko szło im zawracanie pod bramką, no i nie chciały brać krążków na ciało, bo bały się bólu. Poprosiłam je więc, żeby rozebrały się do naga i spróbowały przejechać od środkowej linii do bramki i dotknęły słupka, podczas gdy ja będę do nich strzelać z pistoletu do paintballa. Za każdym razem, gdy im się udało, miały dostać kufel zimnego piwa. Wiecie, co mi powiedziały?

Nie słyhać żadnej odpowiedzi, więc trenerka mówi dalej:

- Powiedziały: „Wal się”. No ale to oczywiście były... baby. A wy kim jesteście?

Mężczyźni na lodzie gapią się na nią, ale Zackell tylko ich przeczekuje. Mija minuta. Kilku mężczyzn chichocze nerwowo, ale trenerka nadal stoi w bezruchu.

- Pani sobie... żartuje? - pyta w końcu któryś.

- Nie wydaje mi się. Podobno nie mam poczucia humoru - informuje Zackell.

W tym momencie podnosi się jeden z zawodników. Zrzuca kask na lód, ściąga koszulkę i ochraniacz, pokazując nagi tors.

- Wystarczy tyle czy mam też pokazać fiuta? - dopytuje Benji.

- Myślę, że wystarczy-odpowiada Zackell, wystrzeliwując kulę, która przelatuje mu tuż koło szyi.

Pozostali zawodnicy się kulią, ale Benji nie czeka ani chwili i już pędzi w kierunku bramki. Za pierwszym razem, zanim do niej dociera, Zackell trafia go dwa razy, za drugim i trzecim razem co najmniej dwa razy tyle. Według sprzedawcy wystrzelone kulki osiągają prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę i zgodnie z jego ścisłą rekomendacją powinno się strzelać wyłącznie do „osób w ochraniaczach, z odległości minimum dziesięciu metrów”. Benji ma nieosłoniętą skórę, jedna z kul trafia go w plecy, tak że chłopak aż trzęsie się z bólu, gdy farba spływa mu po łopatce.

Starsi zawodnicy się przyglądają, początkowo nie wierząc własnym oczom, później coraz bardziej zafascynowani. Ktoś wykrzykuje liczbę, nikt już nie pamięta, czy było to „osiem” czy „dziewięć”, ale potem cały zespół liczy, ile razy Benji dotknął drążka. Na koniec podliczają, ile piw wygrał. CZTERNAŚCIE. PIĘTNAŚCIE. SZESNAŚCIE. Zackell ponownie ładuje broń, Benji znów rusza w stronę bramki - żaden normalny człowiek się tak nie zachowuje. I o to właśnie chodzi. Zackell nie chce mieć normalnego kapitana drużyny.

Raz pocisk uderza go prosto w obojczyk i wtedy widzi dokładnie, do czego chłopak jest zdolny. „Z nim mogę wygrać wszystko” - myśli sobie wtedy trenerka. Benji nie przestaje jeździć, a ona strzelać, dopóki kapitan nie zasłuży sobie na całą zgrzewkę piwa. Przynosi mu ją z boksu.

- Ten, kto poczuwa się do odpowiedzialności, nigdy nie jest wolny. Dlatego też tak bardzo się boisz - mówi, wręczając mu piwa.

Jak na babę, która słabo radzi sobie z uczuciami, to całkiem nieźle jej to wychodzi. Benji idzie do szatni opuchnięty, czerwony od potu i śmierdzący farbą. Zgrzewkę piwa dzieli pomiędzy kolegów z drużyny. Pije nawet Amat, nie odważyłby się sprzeciwić.

Benji idzie pod prysznic sam. Długo się myje. Gdy wraca do szatni, piwo już dawno się skończyło, a jego buty wypełnione są pianką do golenia.

Peter Andersson stoi przy bandzie, gdy Zackell zbiera liny.

- Masz bardzo... interesujące metody treningowe. Czy dzięki nim zawodnicy serio są lepsi? - zastanawia się Peter tak dyplomatycznie, jak tylko potrafi, podczas gdy w rzeczywistości próbuje nie stracić oddechu, widząc wszystkie plamy od farby na lodzie.

- Lepsi? A skąd ja to niby mam wiedzieć? - odpowiada niewzruszona Zackell.

- Masz chyba jakiś powód, żeby używać... tych metod? - wyjaśnia Peter.

Męczy go migrena. Richard Theo obiecał mu „całkowitą kontrolę” nad klubem, ale dyrektor jakoś nie do końca to widzi.

- Trenerzy hokeja raczej udają, że wiedzą, co robią. Działamy głównie po omacku, myślałam, że o tym wiesz - mówi Zackell.

Peter czuje, jak napinają mu się mięśnie pleców.

Zackell wzrusza ramionami.

- Jeśli zawodnicy uważają mnie za idiotkę, to przynajmniej mają o czym ze sobą rozmawiać. Czasem drużyna potrzebuje wspólnego wroga, żeby się zjednoczyć.

Peter przygląda się, jak trenerka opuszcza łód. Przysięgłby, że odrobinę się uśmiechała, wypowiadając ostatnie zdanie. Następnie dyrektor przynosi środki czyszczące oraz gąbki i przez następne godziny czyści lodowisko z farby.

Zamiast tego powinien był może pojechać do domu, napić się z żoną wina i zasnąć w ich łóżku. Ale jeszcze nie do końca się ze sobą pogodzili. Przestali się kłócić, ale to nie to samo. Nie krzyczą już na siebie, ale też prawie ze sobą nie rozmawiają. Cała rodzina staje się coraz bardziej cicha, jak pokój, w którym jest już tak brudno, że łatwiej go zamurować, niż posprzątać. Peter zauważa, że wynajduje sobie w pracy obowiązki, które zatrzymują go wieczorami w biurze, tak by mógł wrócić do domu, gdy wszyscy już śpią. Spędza więc pół nocy nad instrukcją obsługi automatu do espresso, zamiast zadzwonić do córki, od której dostał go w prezencie, i się przyznać, że nie wie już, co robi. I dla kogo właściwie walczy.

Trener pierwszej drużyny w Hed Hockey ma na imię David. Jego rude włosy od miesięcy nie widziały fryzjera, twarz jest kredowobiała, bo nawet pięknego lata słońce nie dociera do pokoju wideo w hali lodowiska. Oddaje pracy wszystko, nie ma wyboru. Jego dziewczyna jest w ciąży, a jeśli uda mu się wygrać ligę, to Hed Hockey będzie dla niego trampoliną do kariery wyżej.

Nigdy nie chciał trenować tego zespołu, chciał trenować Björnstad. Stworzył tam chłopięcą drużynę i prowadził ją aż do juniorów - mieli zdobyć mistrzostwo w swojej kategorii wiekowej i stać się trzonem pierwszej drużyny: Kevin i Benji na lodzie, David w boksie. Prawie im się udało. Tylko prawie.

David nie opuścił Björnstad, ponieważ bronił gwałciciela. Przynajmniej on tak tego nie widzi. Nie wie nawet, czy Kevin zawinił, bo chłopak nigdy nie został skazany za przestępstwo, a David nie jest ani prawnikiem, ani policjantem. Jest trenerem hokeja. Do czego to dojdzie, jeśli kluby hokejowe zaczną osądzać zawodników za rzeczy, za które nie osądził ich nawet sąd? Hokej musi pozostać hokejem. Życie poza halą lodowiska musi pozostać poza nią.

David nie opuścił Björnstad z powodu oskarżeń ciężących na Kevinie, tylko dlatego, że Peter Andersson dopilnował, aby chłopiec został zatrzymany w dniu finału. W ten

sposób ukarana została cała drużyna, nie tylko Kevin. David nie mógł na to przystać. Zmienił więc klub, zabierając ze sobą prawie wszystkich najlepszych zawodników.

Nie żałuje tej decyzji. Żałuje jedynie Benjaminu Ovicha. Chłopiec reprezentował sobą wszystko, czym powinna być drużyna, ale gdy przyszło co do czego, trener nie potrafił go przekonać. Benji został w Björnstad, gdy wszyscy inni przenieśli się do Hed, a wiosną David widział go całującego się z innym chłopcem. Benji nie zdaje sobie sprawy, że David wie. Najprawdopodobniej nie wie o tym nikt. Jeśli David ma być szczery, to ma nadzieję, że nikt nigdy się nie dowie. W tej gminie nikomu by tego nie życzył. Nawet przeciwnikowi, z którym ma się spotkać jesienią.

Czy David jest z siebie dumny? Absolutnie nie. Dlaczego więc nie pojedzie do domu do Benjiego i nie powie prawdy: że wstydzi się tego, że był tak złym trenerem, że chłopiec nie czuł się na tyle bezpiecznie, by wyznać prawdę o sobie.

Dlaczego David po prostu nie poprosi o przebaczenie? Z pewnością z tego samego powodu, dla którego ludzie popełniają najgłupsze czyny- trudno przyznać się do błędu. Tym trudniej, im większy błąd.

David nigdy sobie nie wmawiał, że jest dobrym człowiekiem, ale sam siebie przekonuje, że robi wszystko, co najlepsze dla hokeja. Drużyna, klub i sport na pierwszym miejscu. Nigdy nie pozwoli, by stały się częścią polityki. Nawet teraz.

Ktoś puka do drzwi jego gabinetu. To William Lyt.

- Słyszał pan, że Benji został kapitanem Björnstad?! - wykrzykuje ogromny napastnik.

Trener przytakuje.

- Tutaj mamy Hed, nie Björnstad. Nie przejmuj się tym, co robią.

William balansuje na progu, nie może się zmusić do tego, żeby już pójść, mimo że wzrok trenera wyraźnie daje mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Czy ktoś w naszym zespole będzie grał w tym roku z numerem szesnaście? - dopytuje William.

Nie chce brzmieć oskarżycielsko. Pragnie tylko zainteresowania trenera. To właśnie problem. Zainteresowanie jest jak przywództwo - nie pomoże, jeśli się o nie prosi.

- To nie jest twoja sprawa - odprawia go szorstko David.

Szesnaście to numer Benjiego w Björnstad. David nie chce go dać nikomu w Hed.

- Kto będzie naszym kapitanem? - pyta zazdrośnie William.

David odpowiada na pytanie, którego nie zadał zawodnik:

- Jesteś za młody, William.

Bardzo łatwo złamać serce zawodnikowi, który w oczach trenera widzi, że ten życzyłby sobie kogoś innego.

- Benjiemu też by pan tak powiedział?

David jest szczerzy. Kręci przecząco głową.

William Lyt wychodzi na lodowisko z większą potrzebą pokazania się niż kiedykolwiek. David udaje, że tego nie zauważa, chociaż to oczywiście nieprawda. Nic dziwnego, że odnosi takie sukcesy jako trener. Doskonale wie, jak oddziałują jego słowa. Przez cały czas, gdy chłopcy dorastali, przyglądał się, jak William konkuruje z Benjim o wszystko, nie wygrywając ani razu. David wie, że zazdrość to okropne uczucie, które jednocześnie może być siłą napędową. Z rozmysłem ją rozrzedza, bo przywództwo polega na manipulowaniu uczuciami w celu osiągnięcia wyników. David wie, że to, co robi, może być niebezpieczne, że William prawdopodobnie nienawidzi Benjiego tak bardzo, że będzie chciał zrobić mu krzywdę podczas meczu. Wszystkie drużyny hokejowe mają kogoś, kto gra na granicy, czasem nawet ją przekraczając. A William jest najlepszy, gdy nienawidzi.

David kocha Benjiego bardziej niż jakiegokolwiek innego zawodnika, którego trenował, i wstydzi się, że chłopiec nie odważył się zwierzyć mu swej tajemnicy. Może kiedyś Davidowi uda się to zadośćuczynić Benjemu jako człowiekowi. Te uczucia należą jednak do życia poza lodowiskiem, a teraz liczy się to, co na nim. Jeśli podczas meczu William przekroczy granicę, to ją przekroczy. Jeśli Benji odniesie kontuzję, to odniesie kontuzję. David jest trenerem hokeja i robi, co do niego należy. Wszystko, co niezbędne do tego, by osiągnąć to, co ważne.

Wygraną.

Gdy zapada zmrok, Benji ćwiczy samotnie w stodole przy hodowli. Przed podnoszeniem ciężarów ściąga z ręki zegarek. Jest stary i podniszczony, ciężki i porysowany, a w dodatku wcale mu dobrze nie leży. Ale dostał go od Davida. Nie zamienili ze sobą ani słowa, odkąd trener zmienił klub, ale Benji nadal nigdzie nie rusza się bez tego zegarka.

William Lyt robi pompki, aż ręce bolą go tak bardzo jak reszta ciała. Zasypia z pozostawioną w jego szafce zapalniczką w dłoni. Wie, kto ją tam włożył. Może i nie da rady zrobić krzywdy Benjemu, jeszcze nie teraz, ale to nie znaczy, że nie może skrzywdzić kogoś innego.

Właśnie obudził się w niej niedźwiedź

Ramona zwleka się po schodach od mieszkania w chmurze wyzwisk na tego, kto dobija się do drzwi Futra już po zamknięciu. Jest przygotowana na jakiegoś pijaka, ale okazuje się, że to ktoś inny.

- Co tu robisz, stary dziadu, minęło dobre czterdzieści lat, odkąd ostatnio stałeś w nocy pod moimi drzwiami, mając nadzieję na coś więcej! Nie udało ci się wtedy i dzisiaj też ci się nie uda! - wrzeszczy na Sunego, zawiązując szlafrok.

Gość wybucha gromkim śmiechem, strasząc szczeniaka przy nodze.

- Potrzebuję dobrej rady. Albo dwóch.

Ramona wpuszcza go do środka i nalewa psu wody. Szczeniak wypija całą miskę, a następnie zabiera się do mebli.

- A więc? - burczy Ramona.

- Chciałbym, żebyś w moim imieniu porozmawiała z Teemu Rinnusem - zaczyna Sune.

Gdyby powiedział to ktoś inny, Ramona grałaby głupią, pytając: „Jakim Teemu?”. Ale nie z Sunem. Mężczyzna poświęcił całe życie wywołującym problemy chłopcom z talentem do hokeja, Ramona natomiast skupiła się na tych bez talentu.

- O czym?

- O klubie.

- Myślałam, że już nie jesteś trenerem. Co cię obchodzi klub?

- Zatrzymali mnie ze względu na babki. Niezłe ze mnie ciacho.

Ramona wybucha papierosowym śmiechem. Po chwili jednak cichnie.

- Słyszałam plotki. W gazetach piszą o „nowym sponsorze” i „sekretnych spotkaniach”, w których uczestniczy dyrektor sportowy. Teemu i jego chłopcy robią się niespokojni. To ich klub.

- To nie tylko ich klub - poprawia ją Sune.

Przechodzi mu przez myśl, że potrzeba niemal cudu, żeby to cholerne miasto było zadowolone: gdyby klub zbankrutował, Peter musiałby wziąć na siebie całą winę. Ale teraz, gdy udaje mu się go uratować, i tak musi się tłumaczyć. Ramona stawia na barze trzy szklanki. Jedną dla Sunego i dwie dla siebie.

- A co myślisz o tej nowej trenerce? Czasem przychodzi tu na ziemniaki - mówi.
- Zackell? Sam nie wiem. Walnięta baba. W każdym razie zdaje się mieć całkowicie gdzieś, co sobie myśli Peter Andersson.

- Dobry początek. - Ramona się uśmiecha.

- Zakładam jednak, że Teemu i jego chłopaki nie są entuzjastycznie nastawieni do kobiety na stanowisku trenera - zauważa Sune.

Ramona prycha.

- Kochają ten klub. Wiesz to. I boją się, że to tylko zabieg PR-owy. Nie chcą być wystawieni na pośmiewisko, nie chcą też w hokeju masy politycznych interesów...

Sune przewraca oczami.

- „Interesów”. Tak to teraz nazywamy? To kobiety nie mogą już teraz spać, z kim chcą?

- No wiesz co? NIKT nie ma tyle zrozumienia dla lesbijek co ja. Jeśli o mnie chodzi, to wygrały los na loterii! Z facetami nie da się dyskutować, można ich jedynie wyrzucić.

- Jaki jest z nią w takim razie problem?

- Chłopcy uważają, że kieruje nią Peter Andersson, sponsorzy i politycy, i nie chcą mieć jeszcze jednego takiego trenera jak...

Ramona przerywa w pół słowa. Sune kończy za nią:

- Jak ja? Słabego?

Wie, co ludzie o nim mówią. Że nie stawiając się, w ostatnich latach pozwolił sponsorom i politykom przejąć klub i sprowadzić go na dno. Ludzie mają rację, Sune zrobił się starszy, zbyt zmęczony na kłótnie. Miał nadzieję, że hokej wystarczy, by utrzymać klub na dobrych torach zarówno pod względem finansowym, jak i moralnym. Mylił się w obydwu przypadkach.

- Nie miałam na myśli nic złego - mamrocze Ramona.

- Ech, mają rację. Chciałbym móc dać temu miastu więcej powodów do radości. Ale Zackell to nie ja.

- Co masz na myśli?

- Ona jest typem zwycięzcy.

- Przyszedłeś tu po radę? Chłopcy potrzebują dowodu.

Sune wzdycha.

- Przekaż w takim razie Teemu, że jak tylko jego młodszy brat zostanie wypuszczony z placówki, może jechać prosto na halę.

Ramona nie wie, co ma powiedzieć. To nie przytrafia się jej zbyt często.

Peter wraca do domu późno. Mira siedzi z komputerem przy kuchennym stole, przyjechała dziś wcześniej, żeby ugotować obiad, zrobić pranie i posprzątać. Teraz znów pracuje. Szefowie tego nie widzą i choć łącznie pracuje więcej niż wszyscy współpracownicy, wkrótce przypną jej łątkę „tej, która zawsze wychodzi wcześniej”. Bycie mamą jest jak drenaż domu albo wymiana dachu: wymaga czasu, potu i pieniędzy, a gdy wszystko jest gotowe, wygląda dokładnie tak samo jak wcześniej. Za to nie dostaje się pochwał. Natomiast pozostanie w biurze godzinę dłużej to jak zawieszenie nowego obrazu albo lampy - wszyscy to widzą.

Peter coś do niej mówi, ona mu odpowiada, ale bez kontaktu wzrokowego. Jak ci minął dzień? Dobrze, a tobie? Dobrze. Dzieci już jadły? Tak, dla ciebie zostawiłam w lodówce. Możesz je jutro zawieźć do szkoły? Muszę być wcześniej rano na hali. Mira mówi „oczywiście”, chociaż ma ochotę krzyknąć: „A co z moją pracą?”. Peter odpowiada „dziękuję”, mimo że tak naprawdę, chce szepnąć: „Mam wrażenie, że tonę”. Ona rzuca: „Nie ma sprawy”, gdy w rzeczywistości ma ochotę krzyknąć: „Pomocy!”. Żadne z nich nie mówi nic więcej, mimo że oboje czują to samo: „Brakuje mi nas”. Peter wychodzi z kuchni, nie zatapiając palców w jej włosach, ona nadal siedzi przy stole, nie przytulając się do jego szyi.

Ramona gapi się na Sunego.

- Żartujesz sobie ze mnie?
- Nie. Ta Elisabeth Zackell nie zna się na żartach.
- Myślisz, że zamierza pozwolić Vidarowi grać w hokeja? A co na to Peter?
- Ona ma w dupie, co myśli Peter.

Ramona wybucha śmiechem. Bracia Rinnius zawsze byli dla niej trochę ważniejsi niż pozostali chłopcy w Futrze. Teemu co tydzień robi dla niej zakupy, Vidar odrabiał tu dawniej lekcje. Przed wieloma laty, zaraz po śmierci Holgera, chłopcy usłyszeli, jak ktoś mówił, że Ramona „zaczęła zapominać o niektórych sprawach i że może to alzheimer”. Wprawdzie nie chodziło o tę chorobę, tylko zwyczajnie o złamane serce, ale chłopcy wyczytali gdzieś w Internecie, że można opóźnić starzenie mózgu dzięki treningowi, i zmusili ją do rozwiązywania krzyżówek. Każdego ranka przychodzili z nową. Klęła na nich głośno, ale kochała też bezgranicznie za to, co dla niej robili. Teraz więc mówi:

- Vidar sra na biurka, a Zackell sra na Petera? To się dobrze nie skończy.
- No nie - przytakuje Sune.

Ramona drapie się po podbródku szklanką z whisky.

- To niepodobne do ciebie, by przeciwstawiać się Peterowi.
- Masz rację - przyznaje Sune.
- Więc dlaczego? Czy ta trenerka jest taka wyjątkowa?

Sune wzdycha tak, że aż ruszają mu się włosy w nosie.

- Ramono, albo wygramy, albo nas nie będzie. Vidar był zawsze niesamowitym bramkarzem i jeśli nadal jest tak dobry, to jestem gotowy na niepewność związaną z jego... osobowością.

Ramona się uśmiecha.

- Nawet diabeł na starość robi się religijny.

- Mogłabyś dopilnować, żeby Teemu przyprowadził Vidara na trening? - pyta Sune.

Ramona unosi brew.

- Słuchaj no, dziadku, pamiętasz, jak Vidar grał w hokeja? Musieliście go siłą ściągać z lodowiska po treningu. Siedział W ZAMKNIĘCIU... Do cholery... nie uda ci się go utrzymać z daleka od hali, nawet gdybyś był uzbrojony!

Ramona nie mówi tego, co myśli: że sama zawlecze tam Vidara, jeśli będzie taka potrzeba. Nigdy do końca nie potrafiła uratować Teemu, był zbyt rozgniewany, by się zmienić. Ale może Vidar ma jeszcze szansę, by rozpocząć nowe życie. Nawet jeśli Ramonę miałyby to wpędzić do grobu, nie zamierza ponownie przegapić takiej okazji.

Sune przytakuje i próbuje whisky. Aż piecze w oczy.

- No więc załatwione.

Milknie. Ramona prychnie.

- Coś więcej?

Sunemu trochę wstyd, że tak łatwo go przejrzeć.

- Chciałbym poprosić cię o jeszcze jedno. Nie dla klubu, tylko dla mnie. Jest taka mała dziewczynka, Alicia, czteroipółlatka, tam przy ...

- Wiem, co to za mała - potwierdza Ramona, nie dlatego, że zna to dziecko, ale dlatego, że wszyscy lokalni właściciele barów znają dorosłych z jej domu.

- Czy mogłabyś mi pomóc mieć na nią oko?

Ramona nalewa mu więcej whisky.

- Jesteś pewien, że nie przyszedłeś tu, żeby mnie zbajerować i zaciągnąć do łóżka? Idzie ci lepiej niż dawniej.

Sune się uśmiecha.

- Dostałbym zawału, zanim zdążyłabyś rozpiąć biustonosz, ale dziękuję za propozycję.

Ramona pije. Stwierdza potem nieszczęśliwa:

- Nie jestem niczym adwokatem w tym mieście, Sune. Ale Peter to również mój chłopiec. Przypomnij mu więc, proszę, kto stanął po stronie Björnstad. Dla jego własnego dobra. Bez względu na to, czego żąda nowy sponsor. Sune kiwa głową. Rozumie, że Ramona ma na myśli trybuny stojące „Grupy”. W tym mieście trudno o tajemnice.

- Zrobię, co w mojej mocy - mówi.
To nigdy nie wystarczy.

Peter zatrzymuje się przy pokoju Leo. Chłopiec ma dwanaście lat, wkrótce będzie nastolatkiem. Peter pamięta, jak syn się urodził, pamięta tę zadziwiającą sekundę, kiedy usłyszał jego płacz po raz pierwszy. Gdy podtrzymując delikatną główkę, podniósł jego maleńkie nagie ciało z zaciśniętymi oczkami. I ten wystraszony krzyk ... który nagle umilkł. Pierwszy raz Peter zrozumiał, że to stworzonko zasnęło mu bezpiecznie na rękach. Co jesteśmy gotowi oddać dziecku w tym momencie? A czego nie?

Lata biegną. Ojcowie muszą żyć terażniejszością, dyrektorom sportowym nigdy nie jest to dane. Ojcowie łapią chwile, dzieciństwo jest niczym mydlane bańki, które dają nam tylko kilka chwil radości. Dyrektorzy sportowi muszą myśleć o kolejnym meczu, kolejnym sezonie, dalej, do przodu, do góry.

Peter stoi teraz z dwoma kijami hokejowymi w jednej dłoni i piłeczką tenisową w drugiej. Leo męczył go nieustannie prośbami o wspólną grę na podjeździe. „Tato, mógłbyś przestawić samochód? Tato, możemy pograć? Tato? Tylko chwilkę! Do pięciu!” Peter siedział przeważnie z pilotem w ręce, oglądając nagranie z jakiegoś meczu, albo z papierami i kalkulatorem nad budżetem i odpowiadał: „Odrób najpierw zadanie”. Po zadaniu było już za późno. „Jutro” - obiecywał ojciec. „Pewnie” - odpowiadał syn. Mężczyźni są zajęci, ale dorastanie chłopców nie czeka. Synowie pragną uwagi ze strony ojców dokładnie do momentu, w którym ojcowie chcą uwagi synów. Później możemy już tylko żałować, że nie zasypialiśmy przy nich częściej, gdy ich głowa nadal jeszcze mieściła się na naszej piersi. Nie siedzieliśmy więcej na podłodze, gdy jeszcze się na niej bawili. Nie przytulaliśmy ich częściej, gdy jeszcze nam na to pozwalali.

Peter puka do drzwi pokoju Leo, dwunastolatek odpowiada, nie otwierając drzwi.

- Hm?

- Przestawiłem... samochód z podjazdu - mówi pełen nadziei ojciec.

- Aha?

- Tak sobie pomyślałem... że może chciałbyś chwilę... pograć.

Zaciska piłeczkę tenisową tak mocno, że zostawia na niej mokre plamy potu. Odpowiedź Leo jest bezlitosna:

- Muszę odrobić zadania, tato. Może jutro!

Peter prawie otwiera drzwi. Prawie pyta ponownie. Zamiast tego odkłada kije do schowka i siada samotnie na kanapie z piłeczką w ręku. Tam też zasypia.

Mira zamyka komputer. Zagląda do pokoju Leo. Chłopiec udaje, że śpi, a mama udaje, że się na to nabrała. Przechodzi obok salonu, przykrywa Petera kocem, zatrzymuje się, żeby pogłaskać go po włosach, ale odpuszcza.

Siedzi samotnie na schodach przed domem, patrzy na te same gwiazdy, na które mogłaby spoglądać z każdego miejsca na ziemi. Dziś w pracy koleżanka dała jej pewną kopertę; nadała ją starsza kobieta, którą zarówno Mira, jak i jej koleżanka podziwiały od lat. Doświadczona członkini zarządów i geniusz inwestycyjny - postanowiła się przebranżowić i założyć potężny fundusz inwestycyjny firmowany nazwiskami artystów oraz aktorów i wspierany wielomilionowymi sumami. Mira i jej koleżanka spotkały tę kobietę na konferencji w zeszłym roku. Udało im się zwrócić jej uwagę i gdy się rozstawały, kobieta dała Mirze wizytówkę, mówiąc: „Zawsze szukam mądrych osób z pasją. Odezwij się, jeśli będziesz szukała kiedyś pracy”. Mira nie wzięła tego na poważnie, może i nie miała odwagi, pozostawiła to sobie jako małe, mgliste marzenie. Teraz w kopercie leży zaproszenie na dużą konferencję organizowaną przez fundusz kobiety za kilka tygodni, w Kanadzie.

- Dlaczego zaprasza właśnie nas? Chciałaby zatrudnić naszą kancelarię? - zapytała rozgorączkowana Mira.

Dopiero wtedy zauważyła zazdrość w oczach koleżanki. Mira spojrzała na zaproszenie, na którym widniało tylko jej nazwisko. Koleżanka siliła się na dumę, ale brzmiała jak mała dziewczynka, która właśnie straciła utalentowaną przyjaciółkę na rzecz wielkiego świata.

- Zaprosiła tylko ciebie, Miro. I nie chce zatrudnić naszej kancelarii. Tylko ciebie.

Mira z kopertą w dłoni siedzi na schodach przed domem i patrzy na gwiazdy. Te same, które można zobaczyć z Kanady. Już raz się tam przeprowadziła, gdy Peter miał grać w NHL, z najlepszymi na świecie. Wie, co jej powie, gdy mu oznajmi, że chce jechać na konferencję: „Czy musisz to robić akurat teraz? Tyle się teraz dzieje w klubie, kochanie, może za rok?”.

Mira nigdy nie będzie mu w stanie tego wytłumaczyć. Peter nigdy nie zrozumie, że ona też ma swoje NHL.

Ramona dzwoni do Teemu. Rozmowa jest krótka, bo żadne z nich nie chce, by to drugie wyczuło słabość w ich głosie. Ramona nie mówi, że życzy Vidarowi lepszego życia niż ma Teemu, a Teemu nie wspomina, że marzy o tym samym. Potem Ramona prosi go o przysługę; nie kładzie się spać do późna, czekając, aż oddzwoni z zapewnieniem, że wszystko już załatwione.

Teemu stoi przed małym domkiem w innej części miasta, aż światło w pokoju dziecięcym gaśnie. Gdy jest pewien, że tylko dorośli jeszcze nie śpią, nie dzwoni do drzwi ani nie puka, nikt do końca nie wie, jak dostaje się do środka. Stoi tak po prostu w kuchni, podczas gdy oni nerwowo opierają się o blat kredensu, próbując na nowo postawić szklanki, które właśnie wywrócili. Wiedzą, kim jest, wystarczy więc. że podnosi torbę ze sprzętem hokejowym, kładzie ją na podłodze i mówi:

- Czy mieszka tu Alicia?

Dwoje dorosłych kiwa głowami. Teemu wyjaśnia krótko:

- Fundusz Futra od tej pory będzie każdego roku płacił za jej sprzęt hokejowy, jak długo będzie chciała grać. Nie wiem, czy dziewczynka ma w domu rodzeństwo, ale od teraz ma też braci. Następna dorosła osoba, która ją skrzywdzi, będzie musiała to wyjaśnić każdemu z nas.

Nie czeka na odpowiedź. Po jego wyjściu przez długi czas żadne z nich nie ma odwagi ruszyć się z miejsca, ale w końcu torba ze sprzętem ląduje w pokoju dziewczynki. Czteropółlatka śpi mocno, marząc o dźwięku krążka uderzającego o ścianę. Przez długi czas nie będzie miała na ciele innych siniaków niż te, których nabawi się na lodzie. Będzie grała każdego dnia, aż w końcu stanie się najlepsza.

Dziś w nocy dziewczynka śpi mocno. Ale właśnie obudził się w niej niedźwiedź.

Pieśń matki

William Lyt jest jak wszyscy inni osiemnastolatki - zawsze na granicy pomiędzy dumą a przepaścią. Podoba mu się pewna dziewczyna z równoległej klasy, wiosną byli na imprezie i po pijaku pocałowała go w policzek. William nadal o tym śni. Gdy widzi ją dzisiaj przy szafkach, fasada pęka:

- Cześć... Chciałabyś... to znaczy... chciałabyś coś razem porobić? Po szkole...? Ze mną?

Dziewczyna patrzy na niego zniesmaczona.

- Porobić? Z tobą?

William odchrząkuje.

- Tak.

Dziewczyna prychnęła.

- No co ty! Jestem z Björnstad, dla niektórych z nas to jeszcze coś ZNACZY! Mam nadzieję, że Benji ZMIECIE cię podczas meczu!

Dopiero gdy dziewczyna odchodzi, Lyt zauważa, że miała na sobie zieloną koszulkę z napisem „Björnstad przeciwko reszcie”. Jej koleżanki mają takie same. Mijając go, syczą:

- Kevin Erdahl to jebany gwałciciel, a ty nie jesteś lepszy!

Lyt stoi bez ruchu, napiętnowany. Całe życie dążył do tego, by robić wszystko dobrze. Chodził na wszystkie treningi, kochał swojego kapitana i był posłuszny trenerowi. Stosował się do wszystkich reguł, robił, co mu kazano, przełykał w ciszy dumę. Benji zachowywał się zawsze dokładnie na odwrót. I kogo wszyscy teraz kochają?

Jakim cudem William Lyt ma teraz odczuwać coś innego niż nienawiść?

Odwraca się i widzi Leo stojącego na drugim końcu korytarza. Dwunastolatek odkrył właśnie najśłabszy punkt Williama, jego szyderczy uśmiech kłuje skórę osiemnastolatka. William wbiega do toalety, gdy nadchodzą łązy, uderza się pięściami po udach i drapie tak intensywnie, że krwawią mu przedramiona.

Tego dnia po szkole Maya i Ana przebierają się w stroje treningowe, żeby pobiegać w lesie. To pomysł Any, bo Maya zawsze nienawidziła biegania, a Ana, nawet jeśli całe życie spędziła, biegając po lesie, to nie po to, by uprawiać sport. Nigdy w kółko. Tej jesieni Ana wyciąga Mayę na dwór, bo wie, że nawet jeśli Kevina już nie ma, to muszą jeszcze odzyskać wszystkie te rzeczy, które im odebrał: zmrok, samotność, odwagę, by po zachodzie słońca nosić słuchawki w uszach, wolność biorącą się stąd, że nie trzeba się wciąż oglądać przez ramię.

Biegają tylko po oświetlonych ścieżkach, nie rozmawiają ze sobą, ale obie myślą to samo: chłopcy nigdy nie przejmują się, czy jest światło, dla nich to nie problem. Chłopcy boją się ciemności z powodu duchów albo potworów, dziewczynki boją się ciemności z powodu chłopców.

Biegną daleko. Mają więcej siły, niż przypuszczały. Zatrzymują się jednak gwałtownie kawałek od domu Any, obok ścieżki do biegania okalającej Wzgórze. To najlepiej oświetlony kawałek drogi w całym Björnstad, ale to bez znaczenia. Właśnie tutaj Maya przyłożyła broń do skroni Kevina.

Maya zaczyna szybko i ciężko oddychać. Nie może się zmusić do kolejnego kroku. Ana kładzie uspokajająco dłoń na jej ręce.

- Spróbujemy znowu jutro.

Maya przytakuje. Idą do domu do Any. Przy drzwiach wejściowych Maya okłamuje przyjaciółkę - zarzeka się, że wszystko jest w porządku i że może sama wrócić do domu, bo Ana tak bardzo się stara, żeby wszystko było jak dawniej, a Maya nie chce jej zawieść.

Gdy jest już sama, siada na pieńku i płacze. Wysłała esemesa do mamy: „Możesz mnie zgarnąć? Proszę Cię”.

Nie ma w tym lesie ani nigdzie indziej matki, która przemierza go szybciej niż Mira.

Nikt do końca nie wie, skąd bierze się przemoc, i dlatego też ten, kto bije, z łatwością może poczuć, że miał do tego uzasadniony powód: „Mogłeś mnie nie prowokować!”, „Wiesz, jaki się wtedy robię!”, „To twoja wina, zasłużyłaś sobie na to, sama się o to prosiła!”.

Dwunastoletni Leo Andersson nigdy nie miał dziewczyny. Gdy przy szafkach podchodzi do niego o dwa lata starsza nastolatka, czuje się oszołomiony jak nigdy dotąd.

- Widziałam cię na plaży, jak postawiłeś się temu Williamowi Lytowi. To było odważne!

Kiedy dziewczyna odchodzi, Leo aż musi przytrzymać się szafki. Podczas lunchu siada przy tym samym stole co on. Po południu po lekcjach pojawia się na korytarzu, pytając, czy nie chciałby jej odprowadzić do domu.

Przeważnie odbiera go ze szkoły mama albo tata, tak żeby zdążył jeszcze na trening. Ale ostatnimi czasy rodzice żyli we własnych światach, a Leo i tak nie zamierza grać jesienią w hokeja. Teraz chce być kimś innym, jeszcze nie wie kim, ale gdy dziewczynka patrzy na niego, myśli sobie: „Chcę być kimś, o kim ona pomyśli, że jest odważny”. Wysłała więc do rodziców esemesa z informacją, że idzie do kolegi. Tylko im ulży, że nie muszą go odbierać.

Dziewczyna i Leo wybierają drogę przez przejście podziemne pod główną drogą między lasem a osiedlem domków po drugiej stronie. Chłopiec robi głęboki wdech i zbiera się na odwagę, by złapać ją za rękę. Przejście jest ciemne, dziewczyna wysuwa dłoń z jego ręki i ucieka. Leo patrzy za nią zdziwiony, słyszy jej adidas uderzające o asfalt. Potem pojawiają się kolejne odgłosy, innych butów. Słysząc je w ciemności, każdy z innej strony. Jeden z tych dźwięków wywołuje starszy brat dziewczyny, Leo nie zauważył czerwonej koszulki pod jej bluzą.

Gmina wybudowała to przejście wiele lat temu na skutek poważnych nacisków rodziców, którzy nie chcieli, aby dzieci musiały przechodzić przez ruchliwą ulicę. Przejście miało chronić dzieci. Teraz stało się pułapką.

Gdy Mira odbiera Mayę, dziewczynka znów udaje, że wszystko z nią w porządku. Nabrała w tym już wprawy. Dodaje, że skręciła kostkę, gdy biegały z Aną, a Mira się cieszy. Cieszy! Bo skręcona kostka to coś normalnego. To się zdarza w życiu szesnastoletniej dziewczyny.

- Masz ochotę coś wspólnie porobić? Możemy jechać do jakiejś kawiarni w Hed - proponuje Mira, mając za sobą wieloletni trening w byciu odrzucaną. Serce zaczyna bić jej mocniej, gdy córka się zgadza.

- Okej.

Piją kawę. Rozmawiają. Nawet się śmieją, tak jakby wszystko było jak zwykle, aż oczywiście Mira wszystko psuje. Bo nie może powstrzymać się od pytania:

- Jak ci idzie... terapia? To znaczy... u psychologa? Nie wiem, czym to się różni, ale... Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać ani z twoim tatą, ani ze mną, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że... możesz.

Maya miesza łyżeczką w kawie. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara i w drugą stronę, na przemian.

- Jest okej, mamó. Czuję się dobrze.

Mira tak bardzo chciałaby w to wierzyć. Próbuje uspokoić głos.

- Twój tata i ja rozmawialiśmy. Będę teraz mniej pracować, żeby być trochę częściej w domu ...

- Ale dlaczego? - wybucha Maya.

Mira wygląda na zdziwioną.

- Myślałam, że się ucieszysz. Że będę... więcej w domu?

- Dlaczego miałabym się ucieszyć? - zastanawia się Maya.

Mira kręci się niespokojnie.

- Nie byłam najlepszą mamą. Stawiałam na karierę, a powinnam więcej czasu spędzić z tobą, kochanie, i z Leo. Teraz wasz tata musi się w stu procentach zająć klubem, więc ja ...

- Tata zawsze tylko zajmował się klubem! - przerywa jej Maya.

Mira zamyka na chwilę oczy.

- Nie chcę, żebyś zapamiętała mnie jako nieobecną matkę. Zwłaszcza teraz. Chcę, żebyś czuła, że masz... normalną mamę.

Maya odkłada łyżeczkę. Pochyliła się nad stołem.

- Mamo, przestań! Wiesz, jak strasznie jestem dumna z tego, że robisz karierę? Wszyscy inni mają zwykłe mamy, a ja mam wzór do naśladowania. Wszystkie inne mamy muszą mówić swoim dzieciom, że gdy dorosną, mogą być, kim chcą. A ty nie musisz mi tego mówić, bo pokazujesz mi to każdego dnia.

- Kochanie, ja ... - zaczyna Mira, ale głos jej się łamie.

Maya ociera jej łzy i szepcze:

- Mamo, to ty mnie nauczyłaś, że nie muszę mieć marzeń. Zamiast tego mogę mieć cele.

Może William Lyt nie chce nikomu zrobić krzywdy. Są tacy, których cieszy krzywdzenie innych, ale nie jest pewne, że on do nich należy. Pewnego dnia może i on zastanowi się nad tym, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Albo też będzie kimś, kto idzie przez życie, używając ciągłych wymówek dla przemocy: „Mogłeś go nie prowokować”, „Wiesz przecież, jaki on jest”, „Sama się o to prosiłaś”.

Jego koledzy idą za nim, ale nie robią tego, bo chcą. Nie podążają za nim z miłości czy uznania, tak jak za Kevinem i Benjim, tylko dlatego, że Lyt jest silny. Musi więc zniszczyć wszystkich, którzy próbują go wyzywać. Brak szacunku jest niczym iskry w letnim lesie - jeśli od razu się ich nie zdusi, ogień rozniesie się tak, że w końcu nie będzie ucieczki.

Koledzy przystają przy wejściach do tunelu. William wchodzi do środka. Wszystko mogłoby się jeszcze dać odkręcić, gdy pyta:

- Teraz nie jesteś już taki chojrak, co?

Gdyby tylko Leo wyglądał na wystraszonego, wszystko mogłoby się na tym skończyć. Gdyby tylko dwunastolatek miał wystarczająco dużo rozumu, by zacząć się trząść i upaść na kolana, prosząc Williama o łaskę. Ale to nie William widzi przerażenie we wzroku Leo, tylko Leo w oczach Williama. Dwunastolatek odpowiada szyderczo:

- A z ciebie to jaki jest chojrak, Williamku? Nie masz nawet odwagi bić się z Benjim. Podczas meczu z Björnstad będziesz grał w pieluszcze?

Może nawet sam Leo nie wie, dlaczego to mówi. Albo też już mu nie zależy. Dziewczyna go wystawiła, zawsze już będzie nosił w sobie ciemną złość z powodu tego, jak się czuł, gdy uciekła, a on zrozumiał, że wszystko było zaplanowane i że wszyscy musieli się z niego śmiać. W sercu niektórych ludzi istnieje związek między przemocą, adrenaliną i trwaniem przy swoim bez względu na okoliczności. Leo wyciąga coś z kieszeni i rzuca Williamowi Lytowi pod nogi. To zapalniczka. William natychmiast go uderza, pięść trafia Leo w twarz niczym kawałek drewna. Chłopak się pochyla i upada na kolana, tak by krew nie zalała mu oczu. Wie, że nie ma szans na zwycięstwo z Williamem. Istnieje jednak wiele sposobów na uniknięcie przegranej. Widzi łzy w oczach Williama, gdy ten bierze rozbieg i kopie; Leo jest wystarczająco szybki i odbija na bok, tym samym ruchem wyrzuca z całej siły stopę i uderza osiemnastolatka w krocze. Podnosi się i uderza ponownie, najsilniej, jak tylko potrafi.

To by może wystarczyło, gdyby był większy i cięższy, a William mniejszy i lżejszy. Ale uderzenia Leo są słabe, wykonane na wpół w powietrzu i William tylko się zatacza. Chłopcy przy wejściach do tunelu nie ruszają się z miejsc. William łapie Leo za bluzę, jego palce zaciskają się na niej niczym szpony. Po czym osiemnastolatek uderza Leo z całej siły głową w kość nosową. Oślepiony Leo upada na ziemię. A potem? Dobry Boże.

William Lyt nie przestaje kopać.

Pieśń matki

Zapytałaś: „Czy jestem dobrą mamą?”, wciąż to samo, to samo...

...szukasz tej samej odpowiedzi, choć powinnaś wiedzieć, że... mamo...

Jesteś moją siłą

Jesteś tym, kim mogę być

Nauczyłaś mnie w „przepraszam” wartości, a jedyny raz, gdy się cofnęłaś, Był po to, by nabrać prędkości

Nauczyłaś mnie pokory w płaczu, ale nigdy nie pozwoliłaś

Przepraszać za miejsce, które zajęłam.

Nie ubierałaś mnie w materiał z delikatnym szwem, dałaś mi za to stal,

Nauczyłaś mnie, że córki nie muszą mieć marzeń, Tylko cel.

Chłopcy przy wejściach do tunelu stoją bez słowa. Kilku z nich może chciałoby to przerwać, krzyknąć, że już wystarczy, że dzieciak ma przecież tylko dwanaście lat. Tak łatwo teraz o obojętność, widzi się coś na własne oczy, a wydaje się, że wszystko dzieje się w jakimś filmie. Ktoś może się wystraszy, zdąży jeszcze pomyśleć: „Na szczęście to nie ja”, ktoś inny jest w takim szoku, że nie może ruszyć się z miejsca.

Czy William Lyt mógł zabić Leo? Nikt tego nie wie. Ktoś go bowiem powstrzymał.

Jeanette, nauczycielka, ma wiele złych nawyków, które stara się jak najlepiej ukryć zarówno przed uczniami, jak i przed kolegami w szkole. Strzela palcami, gdy jest zdenerwowana - zaczęło się to, gdy jako dziecko grała w dziewczęcej drużynie Hed Hockey. W starszym wieku trenowała boks, później sporty walki, zostało jej z tego okresu wiele dziwnych zwyczajów. Rozciąga się, gdy robi się niespokojna, rozgrzewa się, jakby każdego ranka w klasie czekał ją kolejny mecz. Kiedyś była dobra, nawet bardzo dobra, mogła być nawet najlepsza. Przez cudowne pół roku, o czym mało kto w tym mieście wie, była nawet zawodową bokserką, ale doznała kontuzji i skończyło się, jak się skończyło. Albo jest się najlepszym, albo jest się jak wszyscy pozostali. Studiowała pedagogikę, utraciła żar w piersi, niezbędny instynkt. Trener jej powiedział: „Jeanette, musisz wychodzić na ring i chcieć zniszczyć marzenia innej dziewczyny, inaczej nie masz tu czego szukać”. Może to była prawda, chociaż ma nadzieję, że jednak nie, a może to sport jest taki bezlitosny.

Nie tęskni za wymaganiami ani stresem, jedynie za adrenaliną, której nie zastąpi zwykłe życie. Za pozytywnie wibrującym strachem, który ją wypełniał, gdy wkraczała na ring i stawiała przed inną dziewczyną. Ty przeciwko mnie. Tu i teraz.

Obecnie stara się odnaleźć kopa gdzieś indziej. W pracy nauczycielki, która często wydaje się całkowicie beznadziejna, ale od czasu do czasu zdarzają się w niej chwile sprawiające, że wszystkie te godziny pracy i wręcz obraźliwie niska pensja są tego warte: gdy udaje jej się do kogoś dotrzeć. Może nawet uratować. Rzadko kiedy pojawia się taka możliwość.

Po południu po lekcjach wchodzi na dach szkoły. Na górze - osłonięta kominem wentylacyjnym ze stołówki, w spokoju, niezauważona przez nikogo - może sobie zapalić papierosa, spoglądając na niemal całe Björnstad. To najgorsza z jej wad.

Z dachu widoczny jest tunel wybudowany, by chronić dzieci. Nauczycielka dostrzega, jak znikają w nim Leo wraz z dziewczyną. Po chwili wybiega z niego tylko dziewczyna. Jeanette zauważa Williama i jego kolegów zbliżających się z różnych stron. Upuszcza papierosa i rzuca się w stronę drabinki ewakuacyjnej. To nieduża

szkoła w małym miasteczku, ale wydaje się nieskończenie wielka, gdy biegnie przez nią przepełniona paniką nauczycielka.

Mira i Maya wracają do domu. Gdy Maya wchodzi do swojego pokoju, wzrok Miry wędruje ku powieszonym na ścianie biletom z koncertów. Nadal pamięta ten pierwszy, może nawet lepiej niż córka. Maya i Ana nosiły bilety w kieszeniach całymi tygodniami. W tajemnicy kupiły cień do oczu i nałożyły go sobie o wiele za dużo, obcięły też stanowczo za krótko nogawki dżinsowych szortów. Mira wysadziła je przed koncertem i wymusiła na nich, żeby obiecały, że wyjdą, JAK TYLKO SIĘ SKOŃCZY, ale i tak wiedziała, że straciła tam wtedy jakąś ich niewielką część. Pobiegły, trzymając się za ręce, w stronę sceny, pod którą była już setka innych krzyczących dziewczynek. Ten pierwszy posmak wolności zawsze już pozostanie w człowieku. Muzyka zmieniła Mayę i Anę, nawet jeśli później wybrały odmienne style i nie przestawały się kłócić o to, co było „narkosoundrackiem”, a co „blip-blip”. To muzyka je łączyła, ocaliła w nich coś, co w innym przypadku może by zaginęło: wyobraźnię, siłę, małą tłącą się w piersi iskierkę, która zawsze im przypominała: „Nigdy nie pozwól tym dupkom mówić ci, kim masz być, idź własną drogą, tańcz brzydko, śpiewaj głośno i stań się największa!”.

Maya ma teraz szesnaście lat. Całuje mamę w policzek i wchodzi do pokoju. Mama siedzi w kuchni i rozmyśla o wszystkich tych wiadomościach z ostatnich lat o stratowanych i przyduszonych na koncertach dziewczynkach, o terrorystach podkładających bomby na arenach. Co by było, gdyby wtedy Mira o tym wiedziała? Pozwoliłaby im pójść? Nigdy w życiu. Skąd brać odwagę, by ponownie je puścić, gdy już się wie, że cały świat chce skrzywdzić twoje dziecko?

Jeanette zawsze już będzie się zastanawiać, co by było, gdyby dotarła na miejsce chwilę wcześniej. Czy William odpuściłby trochę łatwiej? Czy nienawiść Leo byłaby mniejsza? Czy chłopcy przy wejściu do tunelu przyznaliby się przed sobą, że wszystko zaszło za daleko?

Odpycha wielkie cielsko Williama, chłopak ma szczęście, bo rozpoznaje ją na tyle szybko, by w szale nie próbować jej uderzyć. Jeanette ma dziki wzrok. To nie spojrzenie nauczycielki, ale fightera. William z trudem łapie powietrze, nie patrząc nawet na Leo, wyrzuca z siebie:

- To on zaczął! Sam się o to prosił!

Jeanette już zawsze będzie się wstydzić tego, co wtedy zrobiła. Nie ma na to usprawiedliwienia. Wszystko, co wydarzyło się wiosną - gwałt i cisza wokół jednej z dziewczynek z jej własnej szkoły, przebrzydła twarz, jaką to miasto potem pokazało - pozostawiło Jeanette pełną wstydu i złości. Nie była osamotniona, całe miasto jest wściekłe. Widzi to w oczach Williama Lyta, różnica jest tylko taka, że jego wściekłość

dotyczy czegoś innego niż jej. Ludzie rzadko wyładowują złość na tych, którzy na to zasłużyli, wyzywamy się na tych, którzy stoją najbliżej.

- Co powiedziałaś? - syczy Jeanette.

- Sam się o to prosił! - powtarza William Lyt.

Jej kopnięcie trafia go tak mocno w bok kolana, że chłopak pada jak postrzelony. Równowaga Jeanette jest tak perfekcyjna, że gdy Lyt uderza o ziemię, ona znów stoi na obu nogach, tak rozluźniona, jakby właśnie sobie gwizdała.

Gdy jednak dociera do niej, co właśnie zrobiła, czuje ucisk w płucach. Jej trener sportów walki zawsze podkreślał: „Nigdy nie trać nad sobą kontroli. Nigdy nie pozwól uczuciom przejąć ster, Jeanette. Bo wtedy to ty zaczynasz robić głupie rzeczy” i Mira płacze niepokieszona w kuchni, cicho, w sweter, żeby córka nie usłyszała. Po drugiej stronie drzwi, w swoim łóżku, pod ścianą wypełnioną biletami koncertowymi, leży Maya i płacze pod kołdrą, by nie słyszała jej mama. Jest wdzięczna, że tak łatwo można oszukać rodziców. Że tak bardzo chcą, żeby była szczęśliwa, że wierzą jej, gdy kłamie.

Maya zdaje sobie sprawę, że jej rodzice muszą na nowo przejąć kontrolę nad swoim życiem, na własny sposób. Że muszą odzyskać to, co zabrał im Kevin. Mama musi poczuć, że to, co robi jako rodzic, jest wystarczające, tata musi uratować swój klub, muszą czuć, że coś może im się jeszcze udać. Muszą się podnieść, walczyć i wygrać. Nie mogą się bać ciemności, nie da się wtedy wspólnie przeżyć. Córka słyszy ich kłótnie, nawet jeśli odbywają się bez słów, widzi kieliszki w kuchni, wcześniej dwa, a teraz tylko jeden. Dostrzega, że ojciec przychodzi do domu coraz później, widzi, jak stoi przed drzwiami, coraz dłużej się zastanawiając, czy wejść. Zwraca uwagę na koperty z zaproszeniami na konferencje, a mama nigdy nie wspomina, że się na nie wybiera. Maya wie, że jeśli rodzice się rozejdą, to nigdy nie powiedzą, że to jej wina. Będzie też wiedzieć, że kłamią.

To ją Kevin pokonał. Ale to ich złamał.

William Lyt podnosi się, kulejąc.

- Na pani szczęście nie biję kobiet... - wysapuje.

- Radzę ci nawet nie próbować - odpowiada Jeanette, mimo że głos rozsądku w jej głowie krzyczy teraz: ZAMKNIJ GĘBĘ, JEANETTE !

- Napiszę na panią skar... - zaczyna Lyt, ale nauczycielka mu przerywa:

- Tak? I co w niej zamieścisz?

Jest idiotką, wie to, ale jest też wściekłą kobietą w rozżłoszczonym mieście, a tutaj przestały funkcjonować zwyczajne zasady. Chłopcy u wyjścia tunelu się wycofali. Nie są fighterami, tylko zwykłymi dręczącymi innych cwaniakami w przewodzie. Jeanette

widzi, że William się od nich różni, ma w sobie coś, co czyni go gorszym. Chłopak pluje teraz na ziemię, ale nie mówi już nic więcej. Odwraca się i odchodzi. Może się boi, że zabił Leo, ale być może jego mózg wszystko wypiera, wyszukując nowe wymówki: „Nie powinien był mnie prowokować. Wiedział, jak to się skończy”.

Gdy przejście pustoszeje, Jeanette pochyla się nad Leo, chłopak ma zakrwawioną twarz, ale oddycha regularnie i ku zdziwieniu nauczycielki ma otwarte oczy. Spokojne i obecne. William kopał go i bił, ale coś musiało go powstrzymać, bo nie zmasakrował Leo twarzy. Nie ma złamań, jego ciało pokrywają siniaki, ale można je ukryć pod ubraniem, dokładnie tak jak zadrapania. Opuchlizna wokół oczu i nosa nie jest tak straszna, żeby Leo nie mógł nakłamać mamie, że dostał piłką w twarz na gimnastyce.

- Nie powinna pani była tego robić - mówi chłopiec do nauczycielki.

- To prawda - przytakuje kobieta.

Tłumaczy to sobie jako troskę, ale Leo nie to ma na myśli.

- Nigdy nie ogląda pani programów dokumentalnych o zwierzętach, prawda? Dzikie zwierzęta stają się najgroźniejsze, gdy są ranne - bulgocze Leo, smakując krew w ustach.

Gdy tylko przestały spadać na niego razy, zaczął rozmyślać, jak tu się zemścić. Czuł, że William przydeptywał mu udo zamiast kolana, celował w miękkie części ciała, zamiast wybić mu kilka zębów, nabił mu siniaki na ramieniu, zamiast złamać mu po prostu rękę. Leo nie przyjmuje miłosiernego gestu jako dobroci, tylko jako słabość. William dostanie jeszcze za swoje.

Jeanette mówi z obowiązku:

- Musimy to zgłosić na...

Leo kręci energicznie głową.

- Upadłem. William próbował mnie podnieść. A jeśli pani powie coś innego, zeznam, że to pani kopnęła ucznia!

Nauczycielka powinna zaprotestować, ale łatwo mówić po fakcie. W tym mieście człowiek uczy się trzymać gębę na kłódkę. Nauczycielka wie, kim jest starsza siostra Leo, i jest świadoma, że chłopiec ma pełne prawo być zły. Jeśli Jeanette zgłosi to do szkoły czy na policję, Leo nigdy więcej jej nie zaufa. Nigdy nie będzie już miała szansy, żeby do niego dotrzeć. Zamiast tego więc mówi:

- Zróbmy tak: ja tego nie zgłoszę, a ty przyjdiesz do hodowli Adri Ovich. Wiesz, gdzie to jest?

Chłopiec przytakuje, nie zuchwale, i wyciera krew z nosa rękawem koszuli.

- Po co?

- Mamy tam klub sportów walki.

- Chce mnie pani nauczyć się bić?
- Chcę cię nauczyć się NIE bić.
- Nie chcę zabrzmieć niegrzecznie, ale raczej słabo pani idzie niebicie się - zauważa Leo.

Jeanette uśmiecha się zawstydzona. Leo usiłuje się podnieść, kiedy nauczycielka oferuje pomoc, odtrąca jej dłoń. Nie agresywnie, ale również nie jako początek jakichś negocjacji. Chłopiec wie, co nauczycielka próbuje zrobić. Uratować go.

To się jej nie uda.

Czyje to będzie miasto?

Człowiek stara się na wszystkie możliwe sposoby być dobrym rodzicem, ale nigdy nie wiadomo, jak to osiągnąć. To nie jest trudne zadanie. Tylko niemożliwe. Peter stoi przed drzwiami pokoju córki, z pałeczkami do perkusji w ręce. Maya zawsze była jego małą córeczką, zadaniem Petera było ją chronić, teraz, ze wstydu, nie jest jej nawet w stanie spojrzeć w oczy.

Gdy była mała, podczas jednej z tych nocy, kiedy wydawało się, że są dwojgiem ostatnich ludzi na ziemi, leżeli razem w za małym łóżku. Córeczka spała przy jego szyi, a on prawie nie miał odwagi oddychać. Jej serce biło w szybkim tempie, jak u małego królika, a jego dotrzymywało mu kroku. Peter był tak szczęśliwy, że aż go to przeraziło, czuł się tak kompletny, że mógł myśleć wyłącznie o odłamkach, w jakie zamieniłoby się jego życie, gdyby znów się posypało. Dzieci sprawiają, że stajemy się podatni na zranienie. Na tym właśnie polega problem z marzeniami. Docieramy na szczyt góry i nagle się okazuje, że mamy lęk wysokości.

Maya ma już szesnaście lat. Ojciec stoi przy drzwiach jej pokoju, nie mając odwagi zapukać. Gdy była mała, nazywał ją „Ogryzkiem”. Nigdy nie lubiła hokeja, gdy więc zapałała miłością do gitary, Peter nauczył się grać na perkusji tylko po to, by od czasu do czasu móc z nią pograć w garażu. Z czasem zdarzało się to oczywiście coraz rzadziej, miał przecież tyle na głowie. Pracę, dom, życie. Człowiek coraz częściej zaczyna mówić „jutro”. Gdy córka przychodziła z pałeczkami, pytał: „Odrobiłaś zadania?”.

Teraz jednak to on stoi z pałeczkami w ręce. Delikatnie puka do drzwi pokoju Mai, jakby miał nadzieję, że córka może nie usłyszy.

- Hm? - pomrukuje Maya.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy masz... gitarę. Chcesz... pograć chwilę w garażu?

Maya otwiera drzwi. Jej słowa go dobijają.

- Tato, uczę się. Może jutro?

Peter kiwa głową.

- Oczywiście. Oczywiście, Ogryzku, jutro...

Maya całuje go w policzek i zamyka drzwi. Peter ledwie może spojrzeć jej w oczy. Próbuje znaleźć sposób, by znów być jej tatą, ale nie wie, jak to zrobić. Nigdy tego nie wiadomo.

Rodzina Anderssonów spędza wieczór tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe w ich niewielkim domu. Maya leży na łóżku ze słuchawkami na uszach i muzyką rozkręconą na cały regulator. Mira siedzi w kuchni nad mejlami. Peter za zamkniętymi drzwiami łazienki gapi się w telefon.

Leo ukrywa siniaki pod grubym treningowym dressem, a lima pod oczami tłumaczy piłką, która trafiła go na wuefie. Rodzina może mu wierzy. Albo bardzo chce mu wierzyć. Dziś wieczorem każde z nich uwięzione jest we własnym niepokoju, więc nikt nie słyszy, gdy Leo otwiera okno i wymyka się z domu.

Peter dzwoni do Richarda Theo. Polityk odbiera po trzecim sygnale.

- Słucham?

Peter próbuje przełknąć ślinę, mimo że ma całkowicie sucho w ustach. Połyka jedynie własną dumę.

- Chciałem zapytać o jedną rzecz w związku z naszą... umową - mówi szeptem.

Siedzi w łazience i nie chce, żeby rodzina go słyszała.

- Jaką umową? - pyta polityk, wiedząc, że nie jest to rozmowa na telefon.

Peter oddycha spokojnie.

- O tej porze roku... może być problem z ekipą budowlaną w Björnstad.

W ten sposób prosi polityka, by nie zmuszał go do likwidowania stojących trybun na hali. Do postawienia się „Grupie”. Nie teraz. Ale polityk odpowiada:

- Nie wiem, o czym mówisz. Ale... GDYBYŚMY mieli jakąś umowę, ja i ty, to spodziewałbym się, że wywiążesz się ze swojej części. Bez wyjątku. Tak przecież robią przyjaciele!

- Prosisz mnie o coś... niebezpiecznego! Doskonale zdajesz sobie sprawę, że lokalni politycy znajdowali siekiery w maskach samochodów, a ja mam... rodzinę.

- O nic cię nie proszę. Jesteś sportowcem, a zawsze myślałem, że sportowcy nie bronią agresywnych chuliganów - odpowiada szyderczo Richard Theo.

Peter trzyma telefon przy uchu jeszcze długo po tym, jak jego rozmówca się rozłączył. Nadal ma przed oczami swój nekrolog w lokalnej gazecie. Uratuje klub, ale na jakie niebezpieczeństwo narazi własną rodzinę? Da temu miastu drużynę hokejową. Ale czyje to będzie miasto?

Mówi się, że „małe dziury zatapiają wielkie statki”. Czasem jednak nie dzieje się to wystarczająco szybko. Richard Theo dzwoni do Londynu. Niedługo potem nowy

właściciel fabryki wysłała mejla do dyrektora sportowego Björnstad Hockey. Jego treść jest prosta: jako nowy sponsor żąda gwarancji, że Peter naprawdę „ma zamiar dotrzymać obietnicy o bardziej rodzinnej hali wyłącznie z miejscami siedzącymi”. W wiadomości nie ma choćby słowa o „Grupie” czy „chuliganach”. Mejl nigdy nie dociera do Petera, oczywiście to mała literówka w adresie, nadawca napisał nazwisko z jednym „s”, zamiast z dwoma.

Gdyby ktoś o to później pytał, wszyscy zareagują ze zdziwieniem: Peter będzie się upierał, że nigdy nie dostał takiego mejla, sponsor odpowie, że negocjowali poprzez „pośrednika”. Im trudniej będzie uzyskać proste odpowiedzi na pytanie o to, co tak właściwie się wydarzyło, tym bardziej wszyscy będą przekonani, że zamieszani w sprawę mają coś do ukrycia.

Nie trzeba nikomu wyjaśniać, jak kopia mejla pojawia się w redakcji lokalnej gazety. Dziennikarka wskaże na „pewne źródło”. Gdy wiadomość ujrzy światło dzienne, przestanie mieć znaczenie, skąd się wzięła.

W końcu nikt nie będzie mógł już udowodnić, kto pierwszy wysunął propozycję usunięcia trybun stojących.

Członkowie „Grupy” obejmują się zawsze na powitanie i pożegnanie, z dłońmi zaciśniętymi na plecach towarzyszy. Niektórzy odbierają to jako oznakę przemocy. Ale tak nie jest.

Teemu Rinni us nadal mieszka u mamy. Policja twierdzi, że to dlatego, że za brudne pieniądze, z których się utrzymuje, nie może załatwić sobie własnego lokum. Teemu pozwala wszystkim tak myśleć. Prawda jest jednak taka, że nie może zostawić jej samej. Ktoś w tym domu musi liczyć. Istnieje wiele żartów o działalności przestępczej braci Rinnius: „Węsi, czym dla braci Rinnius jest triathlon? Na basen idą pieszo, a wracają rowerem!” albo „Bracia Rinnius jadą samochodem. Kto prowadzi? Policjant!”. Gdy Vidar został bramkarzem w drużynie chłopięcej, komuś na trybunach się wyrwało. „Z pewnością ktoś z tej rodziny będzie dobrym bramkarzem, łapią przecież w łapy, co popadnie!”. Ten dowcip opowiedziano tylko raz. Można mówić wiele złego o braciach Rinnius, ale w szkole najlepsi byli z matematyki. Liczyli całe życie: ile jest jeszcze pigułek w opakowaniach w szafce w łazience, ile godzin spała mama. Gdy Vidar trafił do placówki, cała odpowiedzialność spadła na Teemu. Na domiar złego, kiedy mamie odebrano najmłodsze dziecko, chciała tylko spać, jeszcze dłużej i mocniej. Vidar był zawsze jej ukochanym małym synkiem, bez względu na to, jak nabroił.

Teemu siedzi teraz u niej w kuchni i nie może się przyzwycząić, bo mama tłucze patelniami i garnkami, głośno się śmiejąc. Tak dawno już tego nie słyszał. Gdy Teemu

pojawił się z informacją, że Vidara wypuszczą wcześniej, w porywie radości wysprzątała cały dom. Następnego ranka, po raz pierwszy od lat, Teemu naliczył w opakowaniu w łazience tyle samo tabletek co dzień wcześniej.

- Moje maleństwo, moje maleństwo - podśpiewuje radośnie mama przy kuchence.

Nigdy nie zapytała, dlaczego Vidar wychodzi wcześniej albo dzięki komu. To pytanie nie przestaje jednak dręczyć Teemu. Wmawia sobie, że pragnie tylko tego samego co wszyscy prości mężczyźni: żeby brat wrócił do domu, mama była szczęśliwa i wszyscy żyli spokojnie. Ale to nieprawda, musi ich też chronić, to zawsze były jego obowiązki i obsesja.

- My baby, my baby, coming home to mama! - podśpiewuje mama.

Teemu zatapia się w myślach. „Grupa” nigdy nie była tak przemyślana czy też zorganizowana, jak podejrzewano. Zapytani przez obcych, wszyscy odpowiadają: „Jaka grupa?” i „Teemu... jaki?” i to żadna gra. Teemu nie jest dyktatorem, czarne kurtki to w gruncie rzeczy grupa przyjaciół, która trzyma się razem z dwóch prostych powodów: miłości do hokeja i do siebie nawzajem. Politycy, dorobkiewicz z zarządu klubu i dziennikarze opowiadają o „chuliganach” wiele złego, gdy im to pasuje, ale te chciwe świny nie kochają klubu i miasta tak jak „Grupa”.

Dwaj najlepsi przyjaciele Teemu, Pająk i Stolarz, potrafią się bić jak dzicy. Nigdy jednak nie podnieśli ręki na niewinnych. A gdy kilka lat temu ogromna wichura przeszła przez okolicę, to właśnie oni dwaj czyścili posesje dom po domu z powyrywanych drzew, naprawiali dachy i okna, nie biorąc za to ani grosza. Gdzie wtedy byli dziennikarze i dorobkiewicz z zarządu? W policyjnych dochodzeniach określa się Stolarza i Pajaka mianem wandalii, ale za każdym razem, gdy któryś z nich przechodzi obok tych domów, ich właściciele nadal zapraszają ich na kawę. Teemu nie jest dzieckiem, wie, że jego chłopcy nie mają serca ze złota. Mają za to honor. Swojego rodzaju.

Pająk był w dzieciństwie prześladowany, po wuefie nie chciał się kąpać, grupa chłopaków doszła do wniosku, że to dlatego, że jest gejem, więc wrzucili go pod prysznic i pobili pozwijanymi ręcznikami. „Gej” to najgorsza obelga dla chłopca, jaką znali. Teraz Pająk nienawidzi dwóch rzeczy: gejów i prześladowców.

Przed sześcioma, siedmioma laty po jednym z meczów wyjazdowych „Grupa” została zatrzymana przez policję. Młodszy brat Teemu, wtedy dwunastoletni, siedział sobie w tym czasie samotnie w McDonaldzie, a grupa kibiców przeciwnej drużyny właśnie podążała w tamtym kierunku. Gdy Pająk to dostrzegł, wyrwał się z rąk policji. Psy, konie i oddział specjalny nie były w stanie go powstrzymać. Razem z Vidarem bronili się przed przeciwnikami dobre dwadzieścia minut, Pająk posłał cztery osoby

do szpitala, a dwunastoletni Vidar roztrzaskał krzesło i użył jego nóg jako pałek. Już wtedy był z niego prawdziwy wojownik.

Stolarz jest inny. Pochodzi z pełnej rodziny, mieszka na obrzeżach Wzgórza i pracuje w firmie ojca. Ale w głębi jest dokładnie taki sam jak Pająk. Gdy Stolarz był nastolatkiem, jego kuzynka została zgwałcona podczas wakacyjnej wycieczki. Gdy Teemu to usłyszał, ukradł samochód i całą noc jechał na lotnisko, by akurat zdążyć na czas i powstrzymać Stolarza przed rzuceniem się do samolotu. Przyjaciel miał bowiem plan polecieć tam i pobić cały kraj. Płakał ze złości w objęciach Teemu, z dłońmi zaciśniętymi na jego plecach.

Stolarz ma teraz dziewczynę, z dobrą posadą biurową w gminnych zakładach mieszkaniowych. Niedawno urodziła im się córka. Wiosną to właśnie Stolarz przekonał Teemu, że „Grupa” powinna stanąć po stronie Mai Andersson, a nie Kevina Erdahla. Powiedział tylko: „W dupie mam, czy wylądujemy w najniższej lidze na świecie. I tak będę na trybunach, nie mam jednak zamiaru wspierać gwałciciela!”. Wtedy „Grupa” podjęła decyzję, a dzisiaj mierzy się z jej konsekwencjami.

Dzięki nim Peter Andersson utrzymał stanowisko, a teraz dowiadują się, że ten szczur zdobył sponsorów, którzy chcą się pozbyć stojących trybun. Telefon Teemu nie przestaje dzwonić. Chłopcy chcą wojny.

- Ale nie rozumiem, dlaczego moje MALEŃSTWO nie będzie mieszkać ze swoją MATKĄ! - wykrzykuje nagle matka Teemu, wyrrywając go z zamyślenia.

- Co? - mruczy Teemu.

Mama rzuca na stół kopertę z gminnych zakładów mieszkaniowych.

- W tym liście jest napisane, że Vidar właśnie dostał mieszkanie! Niby po co? Przecież ma MATKĘ!

Dopiero w tym momencie wszystko w głowie Teemu zaczyna się układać w całość.

Gdy mężczyzna w garniturze wychodzi z budynku gminy i otwiera drzwi samochodu, nagle pojawia się za nim jakaś postać. Richard Theo czuje przerażenie, ale nie jest zaskoczony. Szybko się opanowuje i pyta:

- Kim pan jest?

Teemu Rinnius podchodzi dwa kroki bliżej. Nie na tyle blisko, by go dotknąć, ale wystarczająco, by czuli swoje oddechy. Żeby polityka zdążył opanować strach. Bo lęk opanowuje każdego, kto nie potrafi się bić; nie ma znaczenia, czy mamy pieniądze i władzę i czy jakiś sąd może nam oddać sprawiedliwość. Nikt nie obroni nas na pustym parkingu, w ciągu tych kilku sekund, podczas których taki Teemu może nas pobić do nieprzytomności. Zdajemy sobie z tego sprawę. Teemu również.

- Doskonale pan wie, kim jestem - mówi. - Mój młodszy brat Vidar siedział zamknięty, a teraz nagle mają go wcześniej wypuścić. Nie rozumiałem dlaczego, aż usłyszałem, że nowa trenerka Björnstad Hockey chciałyby go w drużynie. Żaden klub hokejowy nie byłby w stanie wyciągnąć mojego brata z placówki. Ale polityk już tak!

Teemu Richarda Theo skacze, ale udaje mu się zachować spokojny głos.

- Niestety nie wiem, o czym pan mówi.

Teemu przygląda mu się złowieszczo, w końcu jednak się wycofuje, dając politykowi odetchnąć. Podnosi tylko ostrzegawczo palec na znak, że polityk nie jest jedyną osobą w mieście, która wie, jak zbierać informacje.

- Moja matka dostała list z gminnych zakładów mieszkaniowych. Bratu przyznano mieszkanie. Sprawdziliśmy, kto złożył podanie. To był pan.

Richard przytakuje lekko.

- Pomaganie mieszkańcom gminy to mój obowiązek. Wszyscy mieszkańcy...

Adres mejlowy Richarda Theo mógł oczywiście pojawić się w rejestrze zakładów całkiem przypadkiem, Albo też była to wiadomość, którą Teemu miał w końcu znaleźć. Jego kolega Stolarz ma przecież dziewczynę, która tam pracuje.

- Ze mną się nie pogrywa! - syczy Teemu. - Czego pan chce od mojej rodziny?

Richard Theo udaje głupiego. To odważne.

- Nie zwykłem nikogo o nic prosić. Zwłaszcza członków ... „Grupy”, jak ją tam nazywacie.

- Jakiej grupy? - pyta Teemu.

Twarz nawet mu nie drgnie, wyuczona latami sztuczna obojętność imponuje politykowi. Unosi więc ręce i mówi:

- Przyznaję. Wiem, kim pan jest. Uważam też, że pan i ja możemy zostać przyjaciółmi.

- Niby dlaczego?

- Jesteśmy do siebie podobni. Nie zawsze robimy to, co powinniśmy, ale robimy to, co musimy. Przedstawiają mnie w mediach jako niebezpiecznego człowieka, i to tylko dlatego, że nie stosuję się do wszystkich reguł stworzonych przez establishment, by powstrzymać takich ludzi jak my. Myślę, że pan czuje podobnie.

Teemu spluwa na ziemię.

- Pański garnitur kosztuje tyle, ile zwykli ludzie zarabiają przez miesiąc.

Richard Theo bierze to pod uwagę.

- Nie jest pan złym człowiekiem, Teemu. Troszczy się pan o przyjaciół, rodzinę i chciałby pan pewnie lepszego życia dla brata, prawda?

Teemu nawet nie drgnie.

- Do rzeczy.

- Chodzi o to, że ja nie mam żadnych złudzeń co do tego, jacy są ludzie. I pan też nie. Mamy za sobą różnych sprzymierzeńców, różnimy się od siebie, ale w ten sam sposób pilnujemy własnych interesów.

- Nic pan o mnie nie wie - mówi Teemu.

Polityk zdobywa się na uśmiech.

- Może nie. Ale gdy byłem mały, oglądałem dużo horrorów, więc wiem, że potwory wydają się nam najstraszniejsze chwilę przed tym, jak je zobaczymy. Wyobrażenia napędza nam zawsze więcej strachu niż sama rzeczywistość. Myślę, że dokładnie w ten sposób zbudował pan „Grupę”. Nie jesteście tak liczni, jak myślą ludzie, pozwala pan pracować ich wyobraźni, by sami stworzyli sobie bardziej przerażający obraz „Grupy”.

Brwi Teemu opadają. To jedyna zmiana wyrazu twarzy. na jaką sobie pozwala.

- Nie ma żadnej grupy.

Polityk przytakuje pewnie.

- Oczywiście, oczywiście. Wszyscy jednak potrzebują przyjaciół. Bo oni sobie pomagają.

- Z czym?

Głos Richarda Theo brzmi miękko:

- Z pańską stojącą trybuną.

Leo idzie przez Björnstad, nie wiedząc, dokąd zmierza. Opuchlizna i siniaki po pobiciu go spowalniają, ale czuje, że musi się ruszać, wyjść na wieczorne powietrze i udowodnić samemu sobie, że się nie boi.

Najpierw kieruje kroki na Wzgórze, ku domowi Williama Lyta, niczym dziecko, które oparzyło się przy kuchence, ale wciąż je do niej ciągnie. Wszystkie domy są tam jednak ciche i ciemne, Leo idzie więc w kierunku centrum. Przed wejściem do Futra stoi kilku mężczyzn z papierosami, dwóch z nich to Stolarz i Pająk. Leo zatrzymuje się w cieniu i naśladuje ich ruchy, zapala własnego papierosa i próbuje palić jak oni. Dwunastolatek ma może nadzieję, że jeśli będzie wyglądał tak jak oni, to stanie się taki sam: będzie chłopakiem, z którym nikt nie pogrywa.

Wypowiadając słowa „stojąca trybuna”, Richard Theo nie wygląda, jakby był z siebie szczególnie dumy. Mimo że właśnie w mgnieniu oka zdobył pełną uwagę Teemu.

- A co z... tą trybuną? - pyta Teemu, jak gdyby jeszcze nie wiedział.

Richard Theo nie spieszy się z odpowiedzią.

- Chodzą plotki, że nowy sponsor chce ją zlikwidować.

Maska Teemu pęka, wyziera przez nią nienawiść.

- Jeśli tylko Peter Andersson RUSZY naszą trybunę, to ...

Przygnębiony zatrzymuje się w pół zdania. Polityk powtarza troskliwie:

- Jak już wspominałem: chcę być pańskim przyjacielem.
- Dlaczego?

W końcu polityk mówi bez ogródek:

- Wiosną członkowie Björnstad Hockey głosowali nad tym, czy Peter Andersson powinien zachować posadę, i dzięki panu się to udało. Jestem politykiem. Rozumiem wartość człowieka, który jest w stanie sprawić, by ludzie głosowali tak, jak chce.

Teemu spogląda na niego sceptycznie.

- Zamierza pan przekonać Petera Anderssona, żeby odpuścił trybunę?

Kłamstwo polityka brzmi beztrosko.

- Nie, Peter nie słucha się polityków. Nikogo nie słucha. Chce mieć pełną władzę nad klubem. Ale mogę porozmawiać z nowymi sponsorami. To rozsądni ludzie, z pewnością docenią wartość... wspierających zespół kibiców. Bo właśnie nimi jesteście, prawda?

Teemu zagryza w skupieniu wargę.

- Co się wtedy stanie z Peterem?
- Nie mam pojęcia o hokeju, ale dyrektorów sportowych też chyba czasem zwalniają. Wiatry szybko zmieniają kierunek!
- Najbezpieczniej dla pana byłoby, żeby te wiatry nigdy nie wiały w stronę mojego brata - rzuca Teemu.

Richard Theo kłania się uprzejmie.

- Mogę panu dać to, czego pan chce: pańskie trybuny, klub i drużynę Björnstad, w której grają zawodnicy z Björnstad. Czy możemy zostać przyjaciółmi?

Teemu kiwa powoli głową. Polityk wsiada do samochodu.

- W takim razie nie będę pana dłużej zatrzymywał. Rozumiem, że ma pan dziś do załatwienia jakiejś sprawy w Hed.

Powieka Teemu nieznacznie się porusza. Richard Theo rozkoszuje się tą chwilą. Jeśli czegoś się od kogoś chce, trzeba najpierw zrozumieć, co tego kogoś napędza. Teemu jest opiekunem. Jako dziecko bił się w kuchni z dorosłymi mężczyznami w obronie matki, jako nastolatek stworzył „Grupę”, by chronić młodszego brata. Ale to nie wszystko. Łatwo pomyśleć, że nawet nie lubi sportu, że to tylko pretekst dla przemocy i okazja do działalności przestępczej. Ale jeśli spojrzy mu się w oczy, gdy mówi o Björnstad Hockey, widać, że to miasto jest jego domem. Stojące trybuny są jedynym miejscem, w którym się nie martwi, nie czuje ciężaru odpowiedzialności za wszystkich wokół siebie. Hokej to jego świat fantazji, dokładnie tak samo jak dla dyrektorów sportowych, trenerów i zawodników. Ludzie pokroju Teemu zawsze będą

chronić miejsca, w których czują się szczęśliwi, przy użyciu najstraszniejszej nawet broni.

- O czym pan mówi? - syczy Teemu. - Co miałbym niby mieć do załatwienia w Hed? Richard Theo się uśmiecha.

- Myślałem, że pan już widział ten filmik.

W następnej sekundzie telefon w kieszeni Teemu wibruje od esemesa. Po chwili jeszcze raz. I znów.

Leo nadal stoi w cieniu po drugiej stronie ulicy, gdy mężczyźni przy drzwiach Futra dostają tyle esemesów, że ich telefony brzmią jak flipery. Wszyscy oglądają ten sam filmik, Leo nie widzi jaki, ale słyszy ich rozmowę. Jeden z mężczyzn mówi: „Te jebane, ciągnące druta pedały z Hed muszą zginąć!”. Kolejny patrzy w telefon i dodaje ostrym tonem: „Teemu właśnie napisał. Widział filmik. Mamy zebrać chłopaków”. Leo bez problemu znajduje nagranie w swoim telefonie, wszyscy w szkole zaczęli już je sobie przesyłać. Natychmiast pojmuję, co się teraz wydarzy.

Biegnie prosto do lasu. Jeśli się pospieszy, będzie w Hed przed „Grupą”.

Będzie fight.

Teemu Rinnius przychodzi do hodowli po zmroku. Adri widzi go przez okno, mężczyzna nie ma ze sobą alkoholu, przychodzi sam.

- Brat w domu? - pyta.

Adri poznaje ten wzrok.

- Na dachu - odpowiada.

Teemu uśmiecha się zadowolony.

- Chciałem go zaprosić na piwo. Idziesz z nami?

Adri kręci powoli głową.

- Jeśli coś mu się stanie, to już nie żyjesz.

Teemu udaje, że nie rozumie.

- Stanie? Od picia piwa?

Adri podnosi dłoń i zatrzymuje ją przy jego brodzie.

- Słyszałeś.

Teemu się uśmiecha. Adri wchodzi do domu. Wie, co się wydarzy dzisiejszej nocy. Wolałaby, żeby Benji się nie bił, ale lepsze to, niż jak leży na ziemi w lesie i szepcze o „pomyłce”. Sprawdza, czy klucz do szafy z bronią nadal jest pod poduszką, i kładzie się spać.

Benji siedzi na dachu i pali pod gwiazdami. Teemu wspina się po drabinie i wygląda zza rogu.

- Idziesz na piwo, Ovich?

W sposobie, w jaki to mówi, jest coś w rodzaju wstrzymywanego śmiechu.

- Co? Teraz? - pyta Benji, od razu trzeźwiejszy.

Teemu wyciąga telefon i pokazuje mu filmik, który krąży już w Internecie.

- Ktoś pali koszulkę Björnstad Hockey na rynku w Hed.

- A co mnie to obchodzi? - pyta Benji.

Teemu jest tak pewien, że Benji z nim pójdzie, że zdążył zejść już do połowy drabiny, nim odpowiada:

- Na przedzie koszulki jest mój niedźwiedź, Ovich. A z tyłu twoje nazwisko.

W jego głosie nie ma złości. Brzmi prawie żartobliwie. Gdyby ktoś widział Benjiego schodzącego z drabiny, pojąłby od razu dlaczego: Teemu go rozumie, są tacy sami.

- Jaki masz plan? - Benji się uśmiecha.

- Mam zamiar zabrać cię na piwo. Słyszałem, że w Hed mają dobre.

Nienawiść i chaos

Nie spiesząc się, Teemu i Benji mijają tablicę z nazwą miasta. Są spokojni i rozważni. Zatrzymują się na rynku w Hed. Skrawki spalonej koszulki nadal leżą na ziemi. Mimo ciemności wiedzą, że ze wszystkich okien śledzą ich skupione spojrzenia ludzi. Obydwaj przechadzają się teraz po głównej ulicy Hed, każdy z butelką piwa w ręce. Tatuaze przedstawiające niedźwiedzia na ich nagich torsach lśnią w mroku niczym pochodnie. Mężczyźni czekają, aż będą pewni, że telefony już wykonano, ciała obudzono, a metalowe rurki umieszczono w bagażnikach samochodów. Następnie wychodzą spokojnie z miasta, kilkaset metrów w las, aż dochodzą do polany. Czekają tam na nich sześciu mężczyzn w czarnych kurtkach. Kwadrans później na miejscu pojawia się co najmniej dwa razy tyle mężczyzn z Hed. Nie ma jednak znaczenia, ilu ich jest, bo nie wszyscy z nich potrafią się bić, a Teemu zabrał ze sobą ludzi, którzy umieją. Ma Pajaka, Stolarza i innych najlepszych spośród nich.

Ale przede wszystkim ma Benjiego.

Bijatyka w ciemnym lesie nie jest zorganizowana, nie ma też w sobie żadnego porządku. To wyłącznie nienawiść i chaos. Brak tu miejsca na wyuczone kroki czy eleganckie ruchy. Trzeba zrobić tylko to: utrzymać się na nogach, przeżyć i dopilnować, aby jak najwięcej przeciwników padło na ziemię. Nigdy się nie cofać, przeć do przodu, bo nie czas na reguły ani białe flagi. Może się zdarzyć, że niechcący się kogoś zabije, kopiąc go o jeden raz za dużo lub trafiając nieszczęśliwie. Przychodząc tutaj, wszyscy wiedzieli, na co się piszą. To przerażające, dla każdego bez wyjątku. Jeśli człowiek nie czuje strachu podczas walki, to znaczy, że nigdy nie bił się z równym sobie. Trzeba zajrzeć gruntownie w głąb siebie i znaleźć tam coś strasznego, coś niepoahamowanego. Swoje najprawdziwsze ja.

Przemoc to najprostsza, a zarazem najtrudniejsza na świecie rzecz do zrozumienia. Niektórzy z nas gotowi są jej używać, by zdobyć władzę, inni tylko w obronie własnej. Wielu przez cały czas, pozostali nigdy. Ale istnieją też ludzie inni niż cała reszta, którzy biją się całkowicie bez celu. Może są bardziej zwierzęcy niż my - albo właśnie bardziej ludzcy. Zapytaj jednak kogokolwiek, kto spojrział w ich ciemniejące oczy, to

powie ci, że to inny gatunek. Nikt do końca nie wie, czy brakuje im czegoś, co mają inni, czy wręcz odwrotnie. Czy gdy zaciskają pięści, coś w nich gaśnie, czy też właśnie się budzi?

Prawie wszystkie bijatyki mają zwycięzcę i przegranego na długo przed rozpoczęciem. Mózg musi odpuścić, a serce zacząć bić mocniej, jeszcze zanim uderzą ręce. Będziesz się bać, nawet nie pobicia, lecz przegranej, nie bólu, ale poniżenia i wstydu. Jeśli nie kontuzji, to zrobienia komuś krzywdy. Dlatego właśnie zalewa cię adrenalina, biologiczna ochrona organizmu: kolce na zewnątrz, róg pochylony, podniesione kopyta, kły na wierzchu.

Pierwszy cios? Niczego nie przesądza, nic o tobie nie mówi. Drugi natomiast obnaża wszystko. Każdy może zadać pierwszy cios, w złości, przerażeniu albo po prostu instynktownie. Uderzyć dorosłego mężczyznę w szczękę to jak z całej siły walnąć pięścią w ścianę z cegły. A gdy słyszysz zgrzyt kości ustępujących twoim palcom, to coś się dzieje. Wróg się pochyla, chwiejąc do tyłu, i widzisz strach w jego oczach; może nawet podnosi drżącą dłoń, prosząc o łaskę... Co wtedy robisz? Uderzasz ponownie? W to samo miejsce, tylko jeszcze mocniej? Wtedy jesteś już innym gatunkiem. Większość bowiem tego nie potrafi.

Nikt, kto widział cię, jak zadajesz drugi cios, już więcej z tobą nie zadrze.

Teemu i Benji ruszają jako pierwsi, ramię w ramię. Ciała wokół nich padają. Mężczyzna, który kieruje się w stronę Benjiego, wygląda, jakby go wybrał. To była zła decyzja. Jest wyższy i cięższy, ale to nie ma nic do rzeczy. Gdy Benji zadaje pierwszy cios, przytrzymuje mężczyznę drugą ręką, tak by ponownie móc uderzyć w to samo miejsce, tylko mocniej.

Benji nie czuje kompletnie nic, gdy głowa mężczyzny uderza o ziemię z głuchym pogłosem, niczym bułka rzucona przez dzieci w piasek. Wcześniej czasem coś jeszcze czuł - adrenalinę i szal, nieraz może nawet szczęście. Ale to przeszłość, przekroczył już pewną granicę.

Benji zatrzymuje się w pół ruchu. Zdąży jeszcze coś pomyśleć, a to nie najlepszy moment. Nie w lesie, w ciemności, nie gdy pozostali mają broń. Ktoś z tyłu zbliża się z metalową rurką, zamierza się nią w jego kolano. Do Benjiego zbyt późno dociera, że Hed może przegra bijatykę, ale wygra mecz.

Nie znamy kogoś, dopóki nie poznamy jego największych obaw.

Benji słyszy krzyk, jest tak głośny, że sam zaczyna wrzeszczeć, zanim jeszcze dociera do niego ból. Czeka, aż ciało się zegn timer, a kolano podda od uderzenia rurką. Zdąży jeszcze pomyśleć, że przegapi nie tylko mecz z Hed, ale i całą karierę. Po całym życiu

na lodzie bez poważniejszej kontuzji kolana nie ma szans, że będzie ono teraz takie jak dawniej. Przez myśl przebiegnie mu też, że najdziwniejsze jest to, że nawet się nie boi. Nie jest zrozpaczony. Nie przejmuje się tym. Ileż to lat treningu, ile godzin? W dupie ma grę. Ale nadal jeszcze stoi. Mija wiele sekund, zanim dociera do niego, że nie doznał urazu. Że rurka nie trafiła w kolano.

Kątem oka widzi chłopca, około dwunastoletniego, wymachującego z przerażeniem wokół siebie czymś nie do określenia. Mężczyzna z rurką upada na ziemię. To jego, a nie swój krzyk słyszał Benji. Chłopiec trzyma w rękach sporą gałąź. Po policzkach spływają mu łzy.

Benji go rozpoznaje, to Leo Andersson. Młodszy brat Mai Andersson. Ktoś uderza chłopca w głowę, tak że ten prawie wywraca się do tyłu, Benji zaś zaczyna myśleć, a tego podczas bójki się nie robi. Nie odwraca się i nie zaczyna ponownie bić, tylko łapie chłopca za rękę i zaczyna biec. Pod górkę, w las, w głąb drzew. Słyszy za sobą wrzaski, wie, że mężczyźni z Hed rozpuszczą plotkę o tym, że Benji Ovich uciekł przed bójką. Tchórz. Ale ma to gdzieś. Leo wzbrania się przy pierwszych krokach, ale po chwili zaczyna biec. Prosto w ciemność.

Tej nocy Leo poznaje prawdziwego Benjiego. I jego lęki. Benji nie boi się bić ani tego, że mu się oberwie, nie boi się nawet śmierci. Przeraza go tylko jedno: że się odwróci, zobaczy dwunastoletniego chłopca i poczuje za niego odpowiedzialność. A kto czuje się odpowiedzialny, nigdy nie jest wolny.

Biegną całą drogę do Björnstad. Zdyszany Leo zatrzymuje się dopiero, gdy przystaje Benji. Dwunastolatek czuje, że boli go stopa, może ma w bucie kamień, spogląda w dół i widzi, że jest bosy. Zgubił but podczas bijatyki i w adrenalinowym szale biegł całą drogę aż dotąd, nie zauważywszy tego. Palce u stopy mu krwawią.

- Nazywam się Leo And...

Oddech Benjiego jest spokojny, tak jakby właśnie przebudził się z popołudniowej drzemki na słońcu.

- Wiem. Jesteś młodszym bratem Mai Andersson.

Głos Leo zmienia się szybko:

- Tylko nie próbuj mnie tu pouczać, że nie powinienem się bić, bo...

Benji podnosi na chwilę dłoń.

- Jesteś jej młodszym bratem. Poza nią nie ma tu w okolicy nikogo, kto ma większe prawo przywalić komuś w gębę.

Leo oddycha spokojniej, przytakuje z wdzięcznością.

- Nie zamierzałem... Schowałem się w lesie, chciałem tylko zobaczyć fight... Ale nie zauważyłeś tego typa z rurką, a on właśnie...

Benji się uśmiecha.

- Nie byłoby problemu, gdyby celował w głowę, tam już niewiele można zepsuć. Ale jeśli celował w kolana, to jestem ci winny ogromne podziękowania, że dopilnowałeś, aby sobie odpuścił. Jak tam oko?

- W porządku...

Benji klepie go po ramieniu.

- Niezły z ciebie twardziel, Leo. Jak będziesz starszy, zrozumiesz, że to i dobrze, i źle.

Leo splota na ziemię i powtarza słowa, które usłyszał od mężczyzn przed Futrem. W jego ustach brzmią dla niego pięknie:

- Jebane, ciągnące druta pedały! Obciążacze! I pedały! William Lyt i wszyscy jego jebani koledzy, i ich skurwiali fani! Nienawidzę ich!

Benji mruga ze smutkiem przy każdym wypowiedzianym przez chłopca słowie, ale tak, by chłopiec nie widział.

- Robi się późno. Powinieneś wracać do domu.

- Mógłbyś mnie nauczyć się bić jak ty? - pyta z uznaniem Leo.

- Nie - odpowiada Benji.

- Dlaczego?

Broda Benjiego opada, węzeł w sercu się zaciska. Widzi, jak Leo podziwia umiejętność wyrządzania komuś krzywdy. Nie jest pewien, kogo nienawidzi za to najbardziej.

- Nie masz tego w sobie - odpowiada cicho.

Chłopiec pęka. Nie tylko jego głos, ale cały on:

- KEVIN ZGWAŁCIŁ MOJĄ SIOSTRĘ. JAKIM NIBY JESTEM MĘŻCZYZNĄ, JEŚLI NIE...

Benji obejmuje go i szepcze mu do ucha:

- Też mam siostry, gdyby ktoś zrobił im coś takiego, też bym nienawidził.

Leo dyszy zdruzgotany:

- Gdyby Kevin zgwałcił którąś z twoich sióstr, tobyś go zabił...

Benji wie, że chłopiec ma rację. Odpowiada więc zgodnie z prawdą:

- Nie bądź taki jak ja. Bo jeśli już się taki staniesz, to nie ma od tego odwrotu.

Jebane homo

Następnego ranka Ana i Maya zatrzymują się sto metrów przed szkołą. Robią to każdego dnia. To dodający im sit rytuał, który dodatkowo je opancerza. Ana odchrząkuje i pyta poważnie:

- No dobra... Przez całe życie mieć biegunkę czy ZAWSZE chodzić do łazienki przy otwartych drzwiach?

Maya wybucha śmiechem.

- Co ty ostatnio tak ciągle o tej kupie, co? To jedyne, o czym teraz myślisz?

- Odpowiedz na pytanie! - żąda Ana.

- Jest idiotyczne! - zauważa Maya.

- Chyba TY! No więc albo biegunka, albo otwarte drzwi... Ale ZAWSZE otwarte drzwi. Niezależnie od tego, GDZIE idziesz do toalety, do końca ŻYCIA!

- Idę na lekcję - odpowiada Maya.

Ana prycha.

- Nie wiem, jak całe życie mogliśmy grać w tę grę, a ty nadal nie rozumiesz reguł! Musisz odpowiedzieć! O to właśnie chodzi w tej GRZE!

Maya kręci zaczepnie głową, Ana ją popycha, Maya się zaśmiewa i oddaje kuksańca, ale Ana uchyla się tak sprawnie i żwawo, że Maya ląduje na ziemi. Ana siada na niej i przytrzymując jej ręce, wykrzykuje:

- Odpowiedz, zanim rozpapram ci makijaż!

- Biegunkę! BIEGUNKĘ, do cholery! - odkrzykuje, śmiejąc się, Maya.

Ana pomaga jej wstać. Obejmują się.

- Kocham cię, ty mój wariacie! - szepcze Maya.

- My przeciwko światu - szepcze Ana.

Są gotowe na kolejny dzień.

To trzepotanie gdzieś pomiędzy żołądkiem a klatką piersiową, niczym flaga rwąca się w czasie burzy. Pierwsze chwile, gdy się w kimś zakochujemy. Gdy ktoś na nas patrzy, dni po pierwszym pocałunku, gdy to nadal jest nasza mała, niewytłumaczalna tajemnica. Że mnie chcesz. To tylko podatność na zranienie, nic straszego.

Przed rozpoczęciem szkoły ktoś czerwonym markerem napisał na drzwiach szafki Benjiego trzy słowa: „Biegnij, Benji, biegnij!”. Wiedzą, co się stało w nocy. Tak długo był w tym mieście niezniszczalny, że każda najmniejsza szczelina w jego pancerzu zostanie nieubłaganie wykorzystana przez wrogów. Wybiegł z fightu. Uciekł. Nie był tym, za kogo go mieli. Jest tchórzem.

Przyglądają mu się, gdy wchodzi do szkoły, wyczekują jego reakcji, gdy zobaczy słowa na szafce, ale wygląda, jakby w ogóle ich nie dostrzegł. Może też dlatego robią się niepewni, czy załapał. Mija cały dzień, a Benji w choćby najmniejszym stopniu nie zdradza śladu żalu czy wstydu; gdy mija stołówkę, ktoś krzyczy za nim: „BIEGNIJ, BENJI, BIEGNIJ! William Lyt i jego chłopcy siedzą przy stole w kącie. Nie wiadomo, kto krzyknął, ale Benji odwraca się i biegnie.

Biegnie. Prosto na nich. Rozpędzony i z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Pozostali uczniowie schodzą mu z drogi, wywracając przy tym stoły i krzesła. Gdy Benji przystaje pół metra od Williama Lyta, jeden z jego kolegów rzucił się już pod stół, dwóch pozostałych siedzi sobie praktycznie na kolanach, a jeden skoczył do tyłu tak, że trafił głową w ścianę.

Ale Williamowi Lytowi nie drgnął choćby jeden mięsień. Siedzi spokojnie, z otwartymi oczami i wzrokiem wlepionym w Benjiego. Benji widzi w nim siebie. On też przekroczył już granicę. Cała stołówka milknie, ale dwaj osiemnastolatki słyszą uderzenia własnych serc. Spokojne, wyczekujące.

- Bolał cię nogi, Ovich? Słyszeliśmy, że biegłeś całą drogę z lasu - syczy Lyt.

Benji wygląda najpierw na zdziwionego. Potem zdejmuje obuwie. Następnie skarpetki. Rzuca je Lytowi na kolana:

- Masz, William. To twoja jedyna szansa na trójkąt.

Szczęki Lyta się zaciskają, odpowiedź brzmi bardziej przygnębiająco, niżby sobie tego życzył:

- Upocone. Jak u tchórza.

Stara się nie zwracać uwagi na zegarek Benjiego, ale nie bardzo mu się to udaje. Wie, od kogo Benji go dostał. A Benji wie, że Lyt wie. Zazdrość zżera Williama, gdy Benji wypala:

- Właściwie to szukałem tam CIEBIE. Ale nie masz odwagi na fighty, gdy drużyny są wyrównane, nie? Twardzielem jesteś tylko na filmikach. To dlatego twoja drużyna nigdy na tobie nie polega.

Małe plamki wstydu pieką Williama w policzki.

- Nie wiedziałem nawet, że ma być jakiś fight, byłem w domu, to nie JA spaliłem koszulkę - syczy Lyt.

- Nie, byłbyś na to za cienki - odpowiada Benji.

Odwraca się i opuszcza stołówkę. Dopiero wtedy William coś za nim krzyczy. Benji nie słyszy co, wychwytuje jedynie:

- ... JEBANE HOMO!

Benji przystaje, tak by nikt nie zauważył, jak wpada w przepaść, która właśnie się pod nim otworzyła. Wkłada ręce do kieszeni, by nikt nie zauważył, że drżą. Nie odwraca się, by Lyt nie widział, co się z nim dzieje.

- Co... powiedziałaś?

Lyt powtarza, podbudowany niespodziewaną przewagą:

- Wasza trenerka to ohydne jebane homo! Jesteś z tego dumny? Że grasz w jebanej tęczowej drużynie?

Benji zapina kurtkę, tak żeby przez koszulkę nie było widać, jak pulsują mu żyły. Lyt krzyczy coś więcej, jego chłopcy wybuchają śmiechem. Benji wychodzi na korytarz i w tłumie zauważa koszulkę polo. Dzisiaj zieloną. Nauczyciel ma proszący wzrok, tak jakby chciał przeprosić, ale wiedział, że słowa to za mało.

Wtedy pojawia się trzepotanie flagi, która zrywa się na wietrze. Benji nie może pozwolić, by ktoś czynił go tak słabym. Nie w tym sezonie. Wychodzi ze szkoły, specjalnie idzie wolno, ale gdy tylko znika z pola widzenia, zaczyna biec. Prosto do lasu. Uderza pięścią w każde napotkane po drodze drzewo.

Przy innej szafce w szkole przystaje młodszy chłopiec. Dwunastoletni. Cały w siniakach i limach. Wczoraj chwycił za gałąź i bez wahania rzucił się do walki, by rozwalić nogę komuś, kto próbował zrobić krzywdę Benjaminowi Ovichowi. W tym mieście takie rzeczy nie pozostają niezauważone.

Dzisiaj na jego szafce coś wisi. Początkowo wydaje mu się, że to worek na śmieci. Nic bardziej mylnego. To czarna kurtka. Bez żadnych znaczków, emblematów ani symboli, po prostu zwykła czarna kurtka. Nic nieznacząca. A znacząca wszystko. Jest na Leo o wiele za duża, bo chcą, aby wiedział, że wolno mu do nich dołączyć, dopiero jak będzie wystarczająco duży. Ale zawiesili ją na jego szafce, by wszyscy w szkole zrozumieli przesłanie.

Ma teraz braci. Już go więcej nie tkniecie.

Walka po czyjejs stronie wymaga niesamowitego zaufania. To dlatego agresywni ludzie tak sobie cenią lojalność i są przewrażliwieni na punkcie zdrady: jeśli się wycofasz i uciekniesz, wystawisz mnie na niebezpieczeństwo, sprawisz, że będę słaby. Benji wie, że zawiódł Teemu i „Grupę”. A tego się nie toleruje.

Po kilku godzinach w lesie zbiera się i wraca do miasta. Wyciera łzy z policzków i krew z rąk. Nie może pozwolić, by ktoś pomyślał, że coś jest z nim nie tak. Wszystko

musi być jak zwykle. Nawet gdy zostaje odrzucony przez niebieską koszulkę polo, nawet jeśli zdaje sobie sprawę, że „Grupa” będzie go chciała ukarać za to, że uciekł z fightu w lesie. Bo dokąd miałyby się udać, gdyby nie miał Björnstad?

Idzie więc do pracy, stoi za barem w Futrze i nalewa piwo. Im więcej ludzi, tym bardziej unika z nimi kontaktu wzrokowego. Jest tu dziś wielu chłopaków z lasu: Pająk, o którym Ramona zwykła mówić, że „jest mądry jak purée ziemniaczane”. Ale cechuje go lojalność. W lesie Benji widział, że przez cały czas stał za Teemu. Nie dlatego, że się bał, tylko po to, by chronić przywódcę. Pajaka całe dzieciństwo prześladowano za wygląd i zachowanie, ale w „Grupie” stał się cennym nabytkiem. Nie da się kupić tego typu oddania.

Obok niego siedzi jego fizyczne przeciwieństwo: niski, szeroki jak szafa męczyzna bez szyi, z brodą gęstą jak futro wydry. Nazywają go Stolarzem, bo tym się też zajmuje, tak jak i jego ojciec. Kiedyś ktoś zapytał, czy Stolarz nie życzyłby sobie jakiejś bardziej wyszukanej ksywki, na co ten odpowiedział: „Jesteś pedałem?”. Jeśli nawet jest mądrzejszy od Pajaka, to świetnie to ukrywa. Chodził do szkoły z Gaby, siostrą Benjiego, która zwykła o nim mówić, że „nie jest za mądry, ale zły też nie”. Stolarz kocha się dobrze zabawić: piwo, hokej, koledzy i panienki. Chłanie, tańce i bójki. Masz zaplanowaną jakąś akcję, to weźmie w niej udział, nie patrząc na konsekwencje. Ktoś zaprasza na łomot w lesie? Stolarz jest pierwszy.

On i Pająk mają też innych kolegów, którzy nie są już fighterami i uważają, że bójki to raczej wspólne hobby. Jak golf. Jeden z chłopaków, który pracuje ze Stolarzem, jest tak miły, że spotykając cię we wtorek, już życzy ci „udanego weekendu” na wypadek, gdybyście nie zdążyli się zobaczyć przed piątkiem. Kolejny ma cztery koty. Jak ktoś z czterema kotami może być niebezpieczny? Mimo to jest.

Do „Grupy” nie należą bowiem ekstremalni mężczyźni, są niebezpieczni, bo trzymają się razem. Przeciwno wszystkiemu, w imię wszystkiego, dla siebie nawzajem. Benji pamięta napisaną przez pewnego dziennikarza książkę o sporcie i przemocy; jej autor twierdził, że „niebezpieczna jest każda masa, do której samemu się nie należy”.

W Björnstad jest wielu męczyzn, którzy dorastali z Teemu, ale teraz pracują w biurach i noszą białe koszule zamiast czarnych kurtek. Ale gdy tylko Teemu ich wzywa, natychmiast się pojawiają. Jeden z nich został ojcem i studiuje, by zapewnić dziecku lepsze życie. Z funduszu Futra dostawał zapomogę, gdy pożyczka studencka nie wystarczała. Inny ma w dużym mieście siostrę, którą bił chłopak, a policja nie była w stanie nic zrobić. Kolejny wujka, właściciela drukarni, od którego jakiś gang zajmujący się haraczami próbował wymusić pieniądze za „ochronę”. Teemu im pomógł. Siostra jest szczęśliwą mężatką z lepszym facetem, wujka już nigdy nikt nie

niepokoił. Jeśli Teemu kiedykolwiek wezwie kolegów, to przyjdą. Dlatego właśnie tak sobie cenią lojalność i są przewrażliwieni na punkcie zdrady.

Ani Pająk, ani Stolarz nie patrzą nawet w jego kierunku, ale Benji doskonale sobie zdaje sprawę, że jeśli będą mu dziś chcieli zrobić krzywdę, to go nie uprzedzą.

Maya i Ana rozstają się po szkole. Ana kłamie, mówiąc, że musi zajrzeć do psów, mimo że tak naprawdę chce sprawdzić, co z tatą. Wstydzi się tego. Maya kłamie, mówiąc, że idzie pobiegać, mimo że ma zamiar iść do domu i schować się pod kołdrą. Wstydzi się z innych powodów. Są jak siostry, nigdy nie miały przed sobą tajemnic. Ale Kevin zniszczył również coś między nimi.

Zbliża się godzina zamknięcia Futra, gdy w jednym rogu baru dyskretnie robi się luźno i ciszej. Nie tak, by zauważyli to obcy, ale na tyle, by Benji zwrócił na to uwagę.

- Dwa piwa - mówi Teemu, patrząc mu prosto w oczy.

Benji przytakuje i nalewa. Teemu przygląda się jego dłoniom, nie drżą. Benji rozumie powagę swojej sytuacji, ale się nie boi. Teemu bierze jedno piwo, drugie zostawia na barze. Chwilę trwa, zanim Benji zrozumie, co to oznacza. Podnosi je powoli, a Teemu przechyla się przez bar i uderza kuflem o kufel. Tak, żeby wszyscy widzieli.

- Jesteś jednym z nas, Ovich. Ale nie będziemy cię już więcej zabierać do lasu. Wczoraj popełniłem błąd. Mogłeś doznać kontuzji, a jesteś nam potrzebny na lodzie.

- W lesie pojawił się chłopiec... Leo...

Teemu się uśmiecha.

- Wiemy. Twardy dzieciak. Gdybyś z nim nie pobiegł, walczyłyby do upadłego.

- To tylko mały chłopiec - mówi Benji.

Teemu przechyla szyję, słysząc delikatny trzask.

- Chłopcy stają się mężczyznami. Jeśli policja zacznie mu zadawać pytania, to...

- ... nie piśnie ani słowa - obiecuje Benji.

- Mamy taką nadzieję - potwierdza Teemu.

Benji widzi, jak bardzo Teemu cieszy ten fakt: syn dyrektora sportowego marzy o tym, by w czarnej kurtce pędzić przez las. Przez całe lata Peter próbował ograniczyć wpływ „Grupy” na klub hokejowy, ale teraz nie jest nawet w stanie kontrolować jej wpływu na własne dziecko. Teemu pochyla się nad barem i ponownie uderza kuflem w kufel Benjiego.

- Słyszałeś, że wraca mój młodszy brat? A wasz trener chce go w drużynie! Ty i mój młodszy brat! I ten Amat, co jest szybki jak kuna po lewatywie z chili. I Bobo, ten wielkolud! Nie jesteście jak starsi zawodnicy, chciwi wojownicy z Lego. Większość z

nich nawet nie chce mieszkać w Björnstad! Zaraz by się stąd urwali! Wy jesteście jednak drużyną z Björnstad z chłopakami z Björnstad!

Przed końcem wieczoru Pająk, Stolarz i inni również zdążyli już wypić z Benjim. Teraz jest jednym z nich. Można byłoby pomyśleć, że gdy jego tajemnica wyjdzie na jaw, wiele to ułatwi. Będzie jednak dokładnie na odwrót.

We śnie zabija go za każdym razem

Niepokój. Cóż to za cholernie dziwna rzecz.

Do domu Maya wraca samotnie. Z zewnątrz jest jak ze stali, w środku niczym domek z kart. Wystarczy niewielki podmuch wiatru. Dziś była kolejka do stołówki. Tłok. Ktoś niechcący na nią wszedł, nie zna nawet imienia tego chłopca, a on pewnie nie zwrócił na to uwagi. Ledwie się dotknęli. To nie była jego wina. Ale Maya na nowo znalazła się w piekle, w mgnieniu oka.

Gdy były z Aną małe, miały w zwyczaju całe lato liczyć motyle. Teraz jest inaczej, Maya liczy je w inny sposób. Już wie, że giną, gdy opadają liście.

Niepokój. Jest taki dziwny. Prawie wszyscy go czują, nikt jednak nie potrafi go wyjaśnić. Maya przygląda się sobie w lustrze, zastanawiając się, dlaczego jest niewidoczny. Nawet na zdjęciach rentgenowskich. Jak to możliwe? Jak coś, co tak mocno się w nas dobija, nie pojawia się na zdjęciach, niczym blizny wypalone na naszym szkielecie? Jak to możliwe, że w lustrze nie widać, jak bardzo ją to boli? Świetnie potrafi udawać. Chodzi do szkoły, siedzi na lekcjach, robi zadania domowe. Gra na gitarze, to trochę pomaga, albo też tylko to sobie wmawia. Może wystarczy po prostu, że palce będą miały zajęcie? Widziała książki o mentol coaching, które czyta jej tata; pisano w nich, że mózg musi kierować ciałem, ale że czasem jedynym sposobem na przeżycie jest robienie na odwrót. Widziała, jak dorośli w depresji właśnie tak postępowali: utrzymywali się w ruchu, trenowali, sprząтали i remontowali letni domek. Wynajdywali rzeczy, które zmuszały ich do codziennego wstawania rano. Tak jakbyśmy wierzyli, że małe fizyczne rytuały mogą uśpić niepokój.

Maya nauczyła się opanowywać swą skórę, nie pozwala jej płonąć ogniem, który spala ją od wewnątrz, wmawia sobie, że jeśli tylko będzie w stanie oszukać wszystkich wokół, to oszuka również siebie. Ale nawet najmniejsza rzecz odsyła ją z powrotem. Lampa wyglądem przypominająca tę, którą Kevin miał w rogu pokoju, albo krótkie skrzypnięcie deski w podłodze, tak jakby ktoś w końcu wchodził po schodach w domu jego rodziców, po tym jak krzyczała w nieskończoność. Całe tygodnie może się nic nie dziać, aż nagle pojawia się zapach albo dźwięk i znów tam jest. W jego łóżku. Z jego rękami na gardle i jego władzą na jej ustach.

Chłopiec w kolejce na stołówkę ledwie ją dotknął - dla niego nie znaczyło to nic, ale dla niej jego dotyk był jak ogień. Utrzymywała w sobie eksplozję paniki niczym ładunek wybuchowy.

Gdy mówi się o gwałcie, często używa się czasu przeszłego. „Została”. „Przeżyła”. „Przeszła przez”.

Ale ona przez to nie przeszła, nadal przez to przechodzi. Nie została zgwałcona, nadal jest gwałcona. Dla Kevina trwało to kilka minut, dla niej nie skończy się nigdy. Ma wrażenie, że już do końca życia będzie śnić o ścieżce do biegania. We śnie zabija go za każdym razem. Budzi się z paznokciami wbitymi w dłonie i krzykiem w gardle.

Niepokój. To niewidzialny władca.

Posterunek policji w Hed jest zatłoczony i brakuje tam pracowników, tak jak i na wszystkich innych posterunkach w małych miejscowościach. Łatwo się śmiać, że policja reaguje z opóźnieniem, a postępowania ciągną się bez końca, tak jakby robiono tak specjalnie. Policjanci nie różnią się tu jednak szczególnie od innych grup zawodowych w okolicy: jeśli da im się trochę czasu i możliwość wykonania pracy, to wypełnią swe obowiązki. Jeśli da się im ubranych na czerwono pobitych kibiców, którzy właśnie pojawili się w szpitalu, zadadzą odpowiednie pytania. Jeśli da się im las, który znają, to w końcu coś w nim znajdą.

- Tutaj! - woła jeden z nich po ponad godzinie przeczesywania polany, na której, jak się domyślili, odbyła się bijatyka.

Rzuca coś do kolegi.

But. Pasujący w sam raz na dwunastolatka.

Leo siedzi na schodach przed domem. Maya wygląda na zaskoczoną.

- Dlaczego tu siedzisz?

- Zgubiłem klucze - mamrocze brat.

Maya patrzy na niego podejrzliwie. Zwraca uwagę, że ma na sobie parę starych, zniszczonych butów.

- Gdzie twoje nowe buty?

- Już ich nie lubię - kłamie brat.

- MIESIĄCAMI urabiałeś mamę, żeby ci je kupiła!

Maya spodziewa się, że brat jej odpyskuje, ale on tylko siedzi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ma opuchniętą twarz, a pod okiem limo; wszystkim mówi, że na wuefie

oberwał piłką, ale nikt tego nie widział. Maya słyszała natomiast dzisiejsze szepty w szkole, że na jego szafce wisiała czarna kurtka.

- Wszystko... w porządku? - pyta ostrożnie.

Brat przytakuje.

- Nie mów mamie, że zgubiłem klucze - prosi.

- Nie donoszę na ciebie - szepcze Maya.

Czasem sobie dokuczali, jak to rodzeństwo, ale nigdy na siebie nie donosili. To ona go tego nauczyła; któreś nocy, gdy miała dwanaście lat i była na swojej pierwszej dużej imprezie, wróciła do domu później, niż obiecywała. Udało jej się jednak uniknąć wpadki przed rodzicami, bo zapukała do jego okna i weszła przez nie do środka. „Nie donosimy na siebie” - powiedziała wtedy do zaspanego brata, a on był wystarczająco ogarnięty, że zrozumiał, że kiedyś i jemu ta umowa może się przydać.

Policjant stoi przy drzwiach, późnym wieczorem. Peter wie, kim jest ten mężczyzna, jego syn grał w tej samej drużynie co Leo. Może też właśnie dlatego słowa policjanta są tak przesiąknięte żalem:

- Przepraszam, że niepokoję was tak późno w nocy, ale mieliśmy bójkę w lesie, niedaleko Hed. Wiele osób zostało poważnie rannych. Jest w to zamieszana „Grupa”.

Peter nie rozumie.

- Wiesz doskonale, że klub i „Grupa” nie mają ze sobą nic wspólnego, jeśli...

Policjant mu przerywa, wręcza Peterowi but.

- Znaleźliśmy to na miejscu zdarzenia.

Peter bierze do ręki but syna, trzyma go drżącą dłonią. Kiedy ostatnio Leo zgubił but? Gdy miał dwa lata? Trzy? Kiedy tak strasznie urosły mu stopy?

W słowach policjanta słychać współczucie:

- Nie wiedziałbym, do kogo należą, gdyby mój syn nie męczył mnie od tygodni, żebym załatwił mu takie same. Powiedziałem mu, że są za drogie dla dwunastolatka, a on mi na to, że jestem głupi, bo „WSZYSCY takie mają”. Poprosiłem, żeby wymienił choć jedno nazwisko. Wskazał na Leo.

Peter próbuje mówić spokojnie. To stanowczo za drogie buty jak dla dwunastolatka. Mira i Peter zgodzili się na nie w lecie tylko ze względu na poczucie winy po tym... wszystkim.

- Ja... To całkiem normalny model obuwia... Myślę, że wielu dwunastolatków je...

Policjant wyciąga coś jeszcze. Niewielki pęk kluczy.

- Znaleźliśmy jeszcze to. Jeśli zamkniesz mi drzwi przed nosem, to przypuszczam, że będę je mógł nimi otworzyć.

Peter więcej nie protestuje. Bierze klucze. Przytakuje cicho.

- Leo musi przyjść na przesłuchanie na posterunek - mówi policjant.

- On ma tylko dwanaście lat... - wydusza z siebie Peter.

Policjant cierpi razem z nim, ale nie odpuszcza.

- Peter, to poważna sprawa. Chłopcy z Hed już wcześniej bili się z „Grupą”, ale to było coś innego. Trzech z Hed leży teraz w szpitalu z poważnymi obrażeniami. Będą się chcieli mścić, potem z kolei zrobi to „Grupa”, to nie zabawa. Wcześniej czy później ktoś zginie!

Peter trzyma w ręce klucze i but, przyciska je nieświadomie do piersi.

- Ja... Leo ma tylko ... Czy przynajmniej mogę sam odwieźć go na posterunek?

Policjant kiwa głową.

- Twoja żona jest adwokatem, prawda?

Peter rozumie, co policjant ma na myśli. I to go przeraża.

Po wizycie policjanta Peter nie otwiera drzwi do pokoju syna. Wyważa je.

W następnej sekundzie ojciec i syn stoją od siebie w odległości kilku centymetrów. Mimo to nigdy nie byli sobie równie dalecy.

Policjant ma rację. Ktoś zginie. Wkrótce.

Maya zamyka się w łazience. Słyszy, jak ojciec krzyczy na Leo, a potem jak mama krzyczy na niego, żeby przestał krzyczeć, następnie wszyscy krzyczą już na wszystkich, kłócą się o to, kto ma największe prawo do krzyku. Są wystraszeni, źli i bezradni. Rodzice zawsze tacy są.

Maya widziała kiedyś ich zdjęcie z okresu, gdy nie mieli jeszcze dzieci. Byli wtedy młodzi i szczęśliwi, teraz nigdy się dłużej nie śmieją, nawet na zdjęciu. Kochali się tak, że aż byli sobie spragnieni. Palce ojca na grzywce mamy, pod wpływem jednego jej spojrzenia ojcu jeżyły się włosy na rękach. Dzieci czysto biologicznie przyjmują miłość między rodzicami jako coś odpychającego, ale gdy widzą, że niknie, zaczynają się nienawidzić.

Maya siedzi na podłodze w łazience, otwiera i zamyka suszarkę do ubrań, klik, klik, klik. Wsłuchiwanie się w ten dźwięk działa jak medytacja. Dopóki nie zobaczy w środku koszulki. Należy do Leo. Tylko on byłby na tyle głupi, by suszyć bawełnianą koszulkę - nigdy przecież sam nie pierze, więc się na tym nie zna. Maya ją podnosi, plamy krwi jeszcze dobrze nie zeszły. Zdaje sobie sprawę z tego, co zrobił, sama spaliła ubrania po nocy u Kevina, tak aby nikt w domu się nie domyślił. Leo się bił i Maya wie, dla kogo.

Słyszy, jak ojciec krzyczy jeszcze głośniejszym głosem: „Chcesz się bawić w gangsterów w lesie z CHULIGANAMI? Czy kompletnie już straciłeś ROZUM?”. Leo mu odkrzykuje: „Oni przynajmniej coś ROBIĄ! A TY? Pozwalasz tym wszystkim chujom z Hed ZADEPTAĆ

CAŁE NASZE MIASTO!". Mama wybucha wtedy najgłośniejszym krzykiem: „NIE POZWALAJ SOBIE NA TAKI JĘZYK W MOIM DOMU!".

Klik, klik, klik. Maya otwiera i zamyka suszarkę. Wie, że jej rodzina nie kłóci się o słowa ani o bójkę, a tym bardziej o jakieś miasto. Kłócą się o nią, tak jak wszyscy inni.

Kiedyś liczyła z Aną motyle, rozmawiały o „efekcie motyla" i o tym, że jedno uderzenie motyli skrzydeł może wywierać tak niszczycielski efekt na cały świat, że minimalne prądy powietrza, które tworzy, mogą wywoływać huragany po drugiej stronie globu. Maya widzi, jak całe miasto idzie na dno przez jedną jej decyzję. To ona jest przyczyną, wszystkie kłótnie i cała przemoc wybuchają z jej powodu. Gdyby jej tu nie było, gdyby nie spotkała Kevina, nie poszła na imprezie do jego pokoju, nie była pijana ani zakochana, gdyby tylko się zgodziła i nie walczyła. Takie myśli chodzą jej teraz po głowie. Tak działa poczucie winy. Gdyby tylko nigdy nie istniała, to nic z tego by się nie wydarzyło. Ojciec krzyczy: „Nie wychowaliśmy cię na zabijakę!". Leo odwrzaskuje: „KTOŚ W TEJ RODZINIE MUSI WALCZYĆ, A TY JESTEŚ NA TO, KURWA, ZBYT WIELKIM TCHÓRZEM!".

Maya słyszy, jak trzaskają drzwi. Dociera do niej, że ojciec wybiegł z domu. Zaślepiiony smutkiem.

Tego wieczoru Maya zapisuje w zeszycie piosenkę, której nigdy nie zaśpiewa. Nadaje jej tytuł Wysłuchaj mnie.

Każdy mężczyzna, którego znam
Każdy ojciec, brat i syn
Zawsze zaciśnięte pięści
Skąd jest u was taki stan?
Zawsze przemoc, okrągła forma i kwadratowy kształt
Skąd wzięliście tę absurdalną myśl, że chcemy
By się za nas bić.

Chcesz coś dla mnie zrobić
To odłóż dla mnie broń
Zamknij bramy piekieł
Bądź mi przyjacielem
Spróbuj, do cholery
Być chociaż dobrym człowiekiem.

Chełpicie się tym, co dla mnie robicie
Kiedy wreszcie przestaniecie

Wszystko wkoło mnie niszczyć
Wiesz, co możesz dla mnie zrobić?
Zaczynij od tego, że mnie wysłuchasz

Mama stoi przy drzwiach łazienki. Szepcząc, pyta Mayę, czy wszystko „w porządku”. Maya kłamie i potwierdza. Mama odpowiada: „Musimy jechać do Hed w jednej... sprawie”. Tak jakby Maya nie wiedziała, o co chodzi. Więc dziewczynka odpowiada: „Pewnie, będę się uczyć, do zobaczenia później”.

Leo nie protestuje, gdy przygnębiona mama przychodzi po niego do pokoju. Jest już ubrany, wkłada nowe obuwie. Jadą na posterunek policji, drzwi zamykają się za nimi, a Maya siedzi na podłodze w łazience i nie może oddychać. Podnosi się, czuje paniczną tęsknotę za powietrzem. Nagle musi się wydostać z domu, daleko od tego miasta. Zna tylko jedno odpowiednie miejsce, ma tylko jedną przyjaciółkę. Wysyła do Any esemesa z jednym słowem: „Wyspa?”.

Zaczyna pakować plecak i chowa telefon do tylnej kieszeni. Nie musi czekać na odpowiedź, wie, że Ana przyjdzie. Ana nigdy by jej nie zostawiła.

To właśnie im nie należą się szczęśliwe zakończenia

Oczywiście, że Ana przyjdzie. Takiego rodzaju przyjaźni nie da się wyhodować. Nie da się jednak też wyhodować innych rzeczy: rodzice to taki rodzaj roślinności, której się nie wybiera, z korzeniami wnikającymi głęboko i oplatającymi człowieka w sposób, jaki zrozumie tylko dziecko nałogowca.

Ana jest już w lesie, gdy dzwoni telefon. To Ramona. Stara kobieta jest twarda, ale nigdy złośliwa, przez lata odbyła wiele takich rozmów i zawsze twierdzi to samo: współczucie nie jest upokarzające. Opowiada, że ojciec Any „wychłał się przez drzwi”, co oznacza, że byli zmuszeni wyrzucić go z Futra i że nie jest w stanie sam wrócić do domu. „Robi się zimno” - mówi Ramona, aby oszczędzić dziewczynie szczegółów: że ojciec zwymiotował i potrzebuje nowych ubrań. Wie, że Ana zrozumie. Od pół wieku Ramona przygląda się ludziom, którzy upijają się do upadłego, zdążyła się już w tym czasie nauczyć, że część dzieci musi zobaczyć najgorsze strony alkoholu, by samemu go sobie odpuścić.

Mówi więc: „Twojemu ojcu przydałoby się towarzystwo w drodze do domu”, a Ana zatrzymuje się w środku lasu, kiwa głową i szepcze: „ldę”. Zawsze przychodzi. Nigdy by go nie zostawiła.

Niepokój. Włada nami, nie pozostawiając żadnych śladów.

Ana nie dzwoni do Mai, bo ta ma idealnych rodziców. Mamę, która nigdy nie opuszcza rodziny, i tatę, który nigdy nie wymiotuje po pijaku. Są jak siostry, Maya i ona, nie łączy ich tylko wstyd. Ana nie mogłaby żyć z myślą, że Maya widziała jej ojca w takim stanie.

Maya siedzi samotnie na wyspie, całą noc. Spogląda na telefon. W końcu przychodzi esemes, ale nie od Any. Znów jeden z tych anonimowych numerów. Nadal dostaje takie wiadomości, przestała już jednak mówić o tym Anie, bo nie chce, by przyjaciółce zrobiło się przykro. To teraz tajemnica Mai. W esemesie napisano: „Robisz loda za 300?”. Nie jest już nawet pewna, czy ci, którzy to piszą, wiedzą, dlaczego tak robią. To może być ktoś z Hed, kto chce ją dobić, albo jakaś dziewczyna ze szkoły, która jej

nienawidzi, albo banda małolatów, która założyła się o to, kto odważy się napisać do „tej, którą zgwałcił Kevin Erdahl”. Tym właśnie będzie już zawsze dla wszystkich. Ofiarą, kurwą, kłamczuchą, księżniczką.

W lecie Ana zakopała tu drogą butelkę wina, którą jej tata dostał od starszego sąsiada ze Wzgórza za mięso z polowania. Ana nie miała serca jej wyrzucić, ale bata się też zostawić ją w domu, razem ze wszystkimi rozbitymi kawałkami ojcowskiego serca. Schowała ją więc tutaj. Maya wykopuje ją teraz i wypija do dna. Ma gdzieś, czy to egoistyczne; upojenie nie przynosi ukojenia i spokoju, tylko zgorzknienie. „Zawsze liczę na to, że przyjdiesz” - myśli o swojej najlepszej przyjaciółce. „Liczyłam też na to, gdy Kevin wciskał mnie w łóżko. Moja najlepsza przyjaciółka przyjdzie, myślałam sobie, bo moja najlepsza przyjaciółka nigdy mnie nie zostawi!” Rzuca pustą butelką o drzewo, szkło rozbija się tak, że jeden z kawałków odbija się z powrotem w jej stronę i rozcina jej skórę na ramieniu. Z rany zaczyna sączyć się krew. Maya nawet tego nie czuje.

Ostatnimi czasy każdej nocy Ana śni o tym, że dusi się w skrzyni, na której ktoś siedzi tak, że nie można jej otworzyć. Nieważne, ile by w nią waliła, nikt jej nie słyszy. Nie opowiedziała o tym najlepszej przyjaciółce, bo Maya wygląda, jakby ostatnio trochę lepiej się czuła, i Ana nie chce jej martwić. Nie opowiada jej też o esemesach; zdaje się, że Maya już ich nie dostaje, a ostatnią rzeczą, jakiej życzy sobie Ana, to przypomnienie przyjaciółce o tym, jakie mogą być bolesne. Pik. Pik. Zdjęcia chłopięcych penisów. Czasem nawet gorzej. Nie wie, jaki rodzaj chorego zaspokojenia nimi kieruje i czy w ogóle postrzegają ją jeszcze jako człowieka. A może już tylko jako zwierzę? Produkt do konsumpcji?

Nie tak wyobrażała sobie dorastanie. Dorośli zwykli mówić, że trzeba się cieszyć tym, że ma się szesnaście lat, że to najlepszy okres w życiu. Nie dla Any. Uwielbiała dzieciństwo, gdy najlepsza przyjaciółka i ojciec byli niezniszczalnymi bohaterami, których mogła wielbić, bez obawy przed czarnymi plamami. Gdy Ana była mała, miała może cztery albo pięć lat, kawałek na północ w śnieżnej zamieci zaginęły dwie osoby na skuterach śnieżnych. Ekipa ratunkowa zadzwoniła po najlepszych okolicznych myśliwych, którzy doskonale znali teren, ojciec Any spakował rzeczy i wyruszył w środku nocy. Ana stała w drzwiach i prosiła, by został. W radiu słyszała o zamieci i była już wystarczająco duża, by zrozumieć, że niektórzy ojcowie z nich nie wracają. Ojciec przykucnął przy niej, objął jej twarz dłońmi i wyszeptał:

- Ty i ja nie należymy do tych, którzy opuszczają ludzi.

Jedna z osób zamarła na śmierć, ale druga przeżyła. Znalazł ją ojciec Any. Niedługo później, gdy Ana właśnie skończyła sześć lat, bawiła się przy jeziorze zaraz po zapadnięciu zmroku i nagle usłyszała krzyk. Dziecko w jej wieku wpadło do wody i

już było przemarznięte. Wszystkie dzieci w Björnstad wiedzą, jak wejść na lód, by pomóc temu, kto pod niego wpadł, nie znaczy to jednak, że wszystkie odważą się to zrobić same i po ciemku. Ana nie zastanawiała się nawet przez sekundę.

Jej ojciec zrobił w życiu wiele idiotycznych rzeczy, ale udało mu się wychować córkę, która uratowała życie innej córce. Gdy wróciła do domu, była przemoczona i przemarznięta, usta jej zsiniały, ale gdy mama z przerażeniem wykrzyknęła: „Co się stało?“, dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i odpowiedziała: „Znalazłam najlepszą przyjaciółkę!“.

Mama zostawiła ich kilka lat później. Nie wytrzymała lasu, ciemności ani ciszy. Ana została, grała z ojcem w karty i kalambury. Czasem, gdy tata miał wyjątkowo dobry humor, to ją straszył. Był w tym najlepszy, godzinami chował się za drzwiami w ciemnym pokoju, po to, by potem nagle z niego wyskoczyć, wrzeszcząc tak głośno, że Ana zaśmiewała się do utraty tchu.

Zawsze go kochała, nawet gdy robił się smutny. Może w głębi serca zawsze taki był? Ana nie wie, czy stał się taki pod odejściu mamy, czy też mama go zostawiła, bo taki właśnie był. Niektórzy w środku mają tylko smutek. Ojciec siedział samotnie w kuchni, płakał i pił. Ana mu współczuła, bo to musiało być coś strasznego: móc płakać tylko pod wpływem alkoholu.

Często myślała, że ma dwóch ojców, jednego dobrego i jednego złego. Zdecydowała wtedy, że to ona musi przypilnować, by temu złemu ojcu, kierującemu ciałem wieczorami, nie udało się go zniszczyć na tyle, żeby ten dobry tata nie mógł go rano używać.

Znajduje go śpiącego na tyłach Futra, z głową opartą o ścianę. Przez kilka okropnych sekund Ana nie może wyczuć jego pulsu i wpada w panikę. Uderza go dłonią w twarz, aż ojciec w końcu otwiera oczy i zaczyna kaszleć.

- Ana? - mamrocze.
- Tak - szepcze dziewczynka.
- Wystra... wystr... wystraszyłem cię?

Ana próbuje się uśmiechnąć. Ojciec ponownie zasypia. Ana zbiera całą siłę w swoim szesnastoletnim ciele, żeby podźwignąć ojca i zmienić mu zabrudzoną koszulę na nową. Inni pewnie by się tym nie przejęli, ale ona wie, że ten dobry tata jest tam w środku. Ten sam, który czytał jej na dobranoc bajki, gdy mama ich zostawiła, i który znał też inne kołysanki niż tylko whisky. Chciałaby, żeby ten tata obudził się jutro w czystej koszuli. Zarzuca sobie jego rękę na ramię i błaga go szeptem, żeby się podniósł.

- Idziemy do domu, tato.
- Ana ...? - mamrocze ojciec.

- Tak, wszystko w porządku, tato. Masz po prostu zły wieczór. Jutro wszystko będzie lepiej.

- Przepraszam - szłocha ojciec.

To najgorsze. Córki nie mają się jak bronić przed tym słowem. Ojciec nagle się potyka, a ona razem z nim.

Ktoś ją jednak podtrzymuje.

Głos Miry rozbrzmiewa na całym posterunku. Jak ustanowić granicę między byciem adwokatem a mamą, skoro chłopiec ma tylko dwanaście lat? Mira odpuściła Leo kazania w drodze na policję, ponieważ Peter nakrzyczał się już za nich oboje. Za wszystkich. Zamiast tego Mira wyładowuje niepokój i bezsilność na policjantach.

Peter siedzi skulony obok Leo w jednym z pokoi. Syn jest wyprostowany, gotowy do konfrontacji, ojciec przygarbiony i bez chęci do życia. Kiedy ostatnio zbeształ Leo? Przed wieloma laty? Ojciec Petera zawsze go bił. Ramona z Futra powiedziała kiedyś Peterowi: „Z przemocą ojców jest tak jak z ich piciem. Albo synowie piją i biją jeszcze więcej, albo wcale”. Któregoś razu Peter próbował wyjaśnić to Leo: „Nie wierzę w przemoc. Mój ojciec bit mnie nawet wtedy, gdy rozlałem mleko. Nie nauczyło mnie to nie rozlewać. Sprawilo jedynie, że batem się mleka”. Nie jest pewien, czy Leo go zrozumiał. Nie wie, co ma mu więcej powiedzieć. Powiedział mu dzisiaj okropne rzeczy, ale syn wygląda, jakby go to nie ruszyło. Przyjął połajanki rodziców bez mrugnięcia. Gdy policja zadaje synowi pytania, ojca aż mrozi. Kuli się, jakby w pomieszczeniu było otwarte okno. Wie, że właśnie w tym momencie traci dwunastoletniego syna.

Leo grał w hokeja, bo ojciec kochał ten sport. Syn nigdy szczególnie nie zachwycał, ale był w drużynie, bo lubił poczucie przynależności i wspólnoty. Peter rozumie, że teraz znalazł to samo w innym, przerażającym środowisku. Gdy policjant pyta, co wydarzyło się w lesie podczas bijatyki, Leo odpowiada: „Nie wiem, o czym mowa”. Na pytanie, skąd jego obuwie i klucze znalazły się w lesie, mówi: „Wspinałem się na drzewa, może wtedy je zgubiłem”. Policjant pyta, czy widział kogoś z „Grupy” podczas bójki. „Jakiej grupy?” - zastanawia się chłopiec. Na koniec posterunkowy pokazuje mu zdjęcie Teemu Rinniusa. „Nie wiem, kto to jest. Jak on się według pana nazywa?”

Chłopiec jest już stracony i Peter doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ojciec boi się mleka, a syn nie boi się niczego.

Benji wychodzi tylnymi drzwiami Futra, żeby wyrzucić śmieci. To właśnie on podaje Anie dłoń po upadku. Gdy podnosi ją razem z ojcem z ziemi, dziewczyna zaczyna

płakać. Rozpada się na kawałki. Benji ją obejmuje i poklepuje po głowie, gdy Ana przytula się do jego piersi.

Dziewczyna nie wspomina słowem, jak bardzo przyzwyczajona jest do noszenia ojca. Benji się nie przyznaje, że nigdy nie miał okazji nieść swojego.

- Dlaczego wszyscy tyle piją? - Ana pociąga nosem.
- Żeby wszystko ucichło - odpowiada szczerze Benji.
- Ale co?
- Wszystko, o czym trudno przestać myśleć.

Ana uwalnia się z jego objęć, kładzie ręce na włosach ojca, którego głowa porusza się w rytm chrapania.

- To musi być straszne: czuć coś tylko wtedy, gdy jest się pijanym - mówi tak cicho, że słowa wydają się niemal tekstem piosenki.

- Benji podnosi z ziemi olbrzymiego myśliwego, zarzucając sobie jego rękę na kark.
- Przypuszczam, że lepsze to niż nic...

Następnie pół niosąc, pół ciągnąc ojca Any, zaprowadza go do domu. Dziewczyna idzie cały czas obok niego. W końcu zdobywa się na odwagę i pyta:

- Nienawidzisz Mai?
- Nie - odpowiada Benji.

Nie udaje głupiego, rozumie jej pytanie i właśnie dlatego Ana się w nim zakochuje.

- Mam na myśli nie to, że nienawidzisz jej, bo została zgwałcona - wyjaśnia. - Chodzi o to, że... nienawidzisz jej, bo... istnieje? Gdyby nie było jej tam tego wieczoru... nadal miałbyś wszystko, najlepszego przyjaciela i swoją drużynę, i... twoje życie byłoby idealne. Miałaś wszystko. A teraz...

Głos Benjiego nie jest przymilny, ale też nie brzmi wrogo.

- Jeśli już, to powinienem nienawidzić Kevina.
- A nienawidzisz?
- Nie.

- Kogo w takim razie nienawidzisz? - pyta Ana, chociaż zna odpowiedź.

Benji nienawidzi swojego odbicia w lustrze. Tak samo jak Ana swojego. Bo powinni byli tam być. I wszystkiemu zapobiec. To nie ich przyjaciółom powinno się to przytrafić. To powinno się zdarzyć Anie i Benjiemu. Bo to właśnie im nie należą się szczęśliwe zakończenia.

Trudno winić Anę. Wszystkim ludziom zdarzają się chwile, kiedy tęsknota skóry za dłońmi drugiej osoby jest nie do zniesienia.

Są u niej w domu, Benji pomógł jej właśnie zanieść ojca do łóżka i uprzątnąć kuchnię z pustych butelek. Nie można winić szesnastoletniej dziewczyny, że nagle zalewa ją

zbyt wiele uczuć, których mózg nie potrafił jeszcze posortować.

Benji dotyka w przelocie jej ramienia, mówiąc prawie bezgłośnie:

- Nie musimy być tacy jak nasi ojcowie.

Idzie w kierunku drzwi, a Ana biegnie za nim, łapie go za rękę i przytula się do niego mocno. Jej język dotyka jego ust, dziewczyna prowadzi jego dłoń pod koszulkę. Nie wie, za co będzie go później nienawidzić najbardziej: że wtedy jej nie chciał czy też że był taki delikatny, gdy jej to okazał.

Benji jej nie odpycha. Mógłby rzucić dorosłym mężczyzną przez całą kuchnię, ale odsuwając się od niej, prawie jej nie dotyka. Jego wzrok nie jest rozgniewany, ale pełen zrozumienia. O Boże, jak ona go będzie za to nienawidzić. Nie dał jej nawet odczuć, że dostała kosza, tylko że było mu jej żal.

- Przepraszam. Ale nie chcesz... To nie tego chcesz... - szepcze Benji.

Bezgłośnie zamyka za sobą drzwi. Ana siedzi na ziemi, wstrząsana płaczem. Dzwoni do Mai. Przyjaciółka odpowiada po dziesiątym sygnale.

- Aaaaa! Co się, kurwa, dzieje? Teraz to możesz się walić, o, a jakbyś nie wiedziała, to skończyło się twoje wino. Nie PRZYSZŁAŚ! Powiedziałaś, że przyjdiesz na wyspę. ale nie PRZYSZŁAŚ!

Ana rzuca wszystko, gdy słyszy, że Maya jest pijana. Odkłada słuchawkę i wybiega z domu.

Niezwykle trudno winić ją za to, co się za chwilę stanie. Ale również bardzo, bardzo łatwo.

Politykę trudno zrozumieć. Nikt chyba nie ma w niej pełnego rozeznania. Rzadko zdajemy sobie sprawę, dlaczego w danej społeczności biurokracja działa w jakiś konkretny sposób, korupcję trudno udowodnić, gdy równie dobrze wszystko można rzucić na czyjąś niekompetencję. Ktoś dzwoni na posterunek, policjant i kobieta z urzędu wychodzą do innego pokoju. Mira jest wściekła i gotowa do walki, ale po tym, jak rozmowa telefoniczna się kończy, informują ją, że Leo może jechać do domu. „Ze względu na młody wiek chłopca”. Mira krzyczy, że przecież dokładnie to próbowała im od godziny wyjaśnić, ale pojmują, że właśnie o to im chodzi. Będą udawać, że to ona, adwokatka, ich do tego przekonała. Chociaż Mira wie, że to nieprawda. Ktoś przecież zadzwonił.

Gdy wychodzą razem z posterunku policji, Peter zauważa samochód, który rozpoznaje. Prosi Mirę, by pojechała do domu z Leo, a on ich dogoni. Mira rozumie, o co chodzi, ale udaje głupią. Peter oczekuje, aż żona i syn znikają z pola widzenia, po czym podchodzi do czarnego samochodu. Puka w szybę, a mężczyzna w ciemnym garniturze otwiera drzwi.

- Cześć, Peter, co za niespodzianka! - mówi polityk.

Peter dziwi się, że można tak naturalnie kłamać.

- Mój syn był przesłuchiwany przez policję w sprawie bijatyki chuliganów, aż nagle funkcjonariuszom skończyły się pytania. Ale oczywiście nic o tym nie wiesz? - odcina się Peter.

Nie potrafi ukryć swoich uczuć: ani złości, ani niepokoju, ani też wrażenia, że nie sprawdza się jako rodzic. Richard Theo skrycie nim za to pogardza.

- Oczywiście, że nie - odpowiada życzliwie.

- Niech zgadnę: masz wielu przyjaciół? - pyta z wyraźną irytacją w głosie Peter.

Richard Theo ściera jego ślinę z rękawa marynarki.

- Ty też ich masz. Wkrótce dostaniesz informację o czasie i miejscu konferencji prasowej, gdzie zostanie przedstawiony nowy właściciel fabryki. Będą na niej politycy, reprezentanci lokalnej gospodarki, wszystkie ważne ogniwa naszej gminy. Jako twój przyjaciel byłbym zobowiązany, gdybyś też się tam pojawił.

- By odciąć się od „Grupy”?

Richard Theo odgrywa przerażonego.

- Odcinasz się od PRZEMOCY. Przemocy, która, jak się zdaje, wciąga już nawet twojego SYNA!

Peter zaczyna się dusić.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby przeciwstawić się „Grupie”?

Theo odpowiada:

- Ponieważ rządzą za pomocą przemocy. Demokracja na to nie zezwala. Wszyscy, którzy uzyskują władzę dzięki walce, powinni być zwalczani. Bo jeśli chodzi o władzę, to jednego możesz być pewien, Peter: nikt, kto już ją ma, nie będzie jej chciał oddać dobrowolnie.

Peter nienawidzi dźwięku własnego głosu, gdy pyta:

- A co ja będę z tego miał?

- Ty? Kontrolę nad klubem. Będziesz mógł wydawać pieniądze sponsorów, jak tylko będziesz chciał. Pozwolą ci nawet wybrać jednego z członków zarządu!

- Członka zarządu?

- Kogo będziesz chciał.

Wzrok Petera wędruje między butami. W końcu jednak szepcze:

- Okej.

Wkrótce będzie uczestniczył w tej konferencji. I powie wszystko, co ma zostać powiedziane. Bezpowrotnie. Teraz to on jest przeciwko „Grupie”.

Richard Theo odjeżdża sprzed posterunku bez poczucia, że jest złym człowiekiem. Uważa się za pragmatyka: ktoś taki jak Teemu Rinni us może mieć wpływ na to, jak

będą głosować mieszkańcy. Richard Theo musi mu dać coś w zamian. A Teemu przejmuję się tylko swoją stojącą trybuną. Richard nie może mu jej dać, jeśli najpierw nie zostanie ona odebrana Rinniusowi.

Ana nie wybiega z domu, by zrobić komuś krzywdę, po prostu nie jest w stanie zostać w środku. Nie ma nawet zamiaru iść za Benjim do lasu, po prostu przez przypadek zauważyła jego jasną koszulkę kawałek dalej między drzewami. Chłopak porusza się wolno, jakby jego stopy nie należały do reszty ciała. Ana potrafi tropić zwierzęta, robi to instynktownie, także teraz. Może po prostu interesuje ją, dokąd Benji zmierza i czy ma jakąś inną dziewczynę, do której właśnie idzie. Ana zdąży jeszcze pomyśleć, że w sumie byłoby prościej, gdyby zobaczyła go z kimś, kto jest sto razy ładniejszy od niej. Noc jest coraz ciemniejsza, ale ona podąża za żarem jego papierosa i słodkim zapachem, który chłopak za sobą pozostawia.

W połowie drogi między Björnstad a Hed Benji skręca, wchodząc na szutrową drogę na kemping. Zatrzymuje się przy jednym z domków, puka do drzwi. Ana rozpoznaje mężczyznę, który otwiera mu drzwi. To nauczyciel ze szkoły. Po fakcie Ana nie będzie już pamiętać, co myślała lub czuła, gdy zobaczyła, jak Benji przytula się do niego mocno i całuje go w usta.

Łatwo winić Anę za wszystko, co teraz robi. Czuje ból, ale przecież wszyscy go czasem czują. Nigdy w życiu nie była bardziej samotna, a samotność prowadzi ludzi do złych decyzji, zwłaszcza szesnastolatków. Ana bierze do ręki telefon i robi im zdjęcie. Następnie umieszcza je w Internecie.

W tym samym momencie wybucha piekło.

Ciemność

BANG!

O tajemnicy mówimy zawsze jak o naszej prywatnej własności. „Moja” tajemnica. Jest nią tak długo, jak długo udaje się nam ją utrzymać z dala od ludzkich oczu. Nie możemy jej prawie stracić. Albo całkowicie, albo wcale. Gdy tylko wyjdzie na jaw, jest niczym trzęsienie ziemi, lawina czy tsunami. Czasem to tylko o jedno słowo za dużo, czasem to jedna uciekająca myśl, a niekiedy zdjęcia umieszczone w Internecie przez kogoś z raną w sercu. Zaraz potem zaczynają się toczyć kamienie, śnieg odpuszcza, a masy wody stają się nie do pokonania, nim jeszcze do nas dotrze, jak to się mogło wydarzyć. Nie ma już drogi powrotnej. To jak próba uchwycenia zapachu lipca w ściśniętych dłoniach. Wszyscy już wiedzą. To, czego nikt nie powinien się być dowiedzieć.

Benjiego budzi uderzenie.

BANG!

Jedno, ale tak mocne, że ściany domku aż się trzęsą. Następnie zalega cisza. Zaspany nauczyciel przewraca się na bok, ale Benjiego już nie ma w sypialni. Stoi teraz pochylony przy drzwiach wejściowych. Nie wie dlaczego, ale po fakcie zapamięta, że już wtedy całego wypełniała go panika. Gdy tu szedł, gdy pocałowali się na schodach, wiedział doskonale, że to głupi pomysł.

Któregoś dnia zrozumie, że zrobił tak, bo był zakochany. To z tego powodu nie zachował się ostrożniej. Otwiera drzwi domku, wygląda na zewnątrz, ale ktokolwiek chowa się w ciemności, nie daje o sobie znać. Benji obraca się i jest już prawie znów w domku, gdy dostrzega, skąd dochodzi dźwięk.

Bang.

Jak dźwięk krążka hokejowego, który odbija się od ściany, albo serca w klatce piersiowej, albo noża wbitego w drzwi wejściowe domku. Na zwykłej kartce ktoś

napisał pięć prostych liter, ta w środku to D, a na niej dorysowany celownik. To w niego wbity jest nóż.

PEDAŁ

Ana włóczy się po lesie, jakby miała gorączkę. Śnieg spada szybko, w tym roku wczesny i głęboki nawet jak na tę część kraju. Nadchodzi jedna z jesiennych zamieci. Łatwo nie docenić zimna i tego, jak szybko można w nim umrzeć. To zabójca z miłym głosem, który szepcze ci do ucha, żeby usiąść i chwilę odpocząć, jeśli jest się zmęczonym. Wabi cię i oszukuje, że jest ci gorąco, nawołuje do ściągnięcia ubrań. Śnieg i ujemna temperatura mogą wywołać takie same halucynacje jak piekące słońce na pustyni.

Ana jest tego świadoma, bo zawsze lepiej czuła się w lesie niż w mieście. Jest bardziej wiewiórką niż człowiekiem, nabijała się z niej Maya. Wśród drzew Ana opuszczała rzeczywistość, czas przestawał płynąć, a to, co się tu działo, nigdy nie miało wpływu na życie w mieście. Tak zawsze sobie wmawiała, dlatego też przygnębiający ciężar tego, co właśnie zrobiła, nie dopadł jej, dopóki nie znalazła się w domu. Dopiero w progu dogania ją panika, całkowicie i nieubłagane. W klatce piersiowej czuje taki ból, że aż traci oddech. Łatwo o uczucie, że to, co umieszczamy w Internecie, jest jak podniesienie głosu w salonie, podczas gdy w rzeczywistości to wrzask z dachu domu. Nasze światy marzeń zawsze mają wpływ na rzeczywistość innych ludzi.

Ana wyciąga telefon i kasuje zdjęcie Benjiego i nauczyciela, ale niestety jest już za późno. Zdążyła rozsiać ich tajemnicę jak popioły na morzu i nigdy nie będzie się dało tego cofnąć.

Rzadko możemy być dumni z naszych spontanicznych reakcji. Mówi się, że pierwsza myśl na dany temat jest najszczerza, ale najczęściej to nieprawda. Zwykle jest najgłupsza. Bo po co w innym razie byłoby nam głębsze zastanowienie?

Wczesnym rankiem Peter wali do drzwi Futra. Ramona otwiera okno w mieszkaniu na piętrze, ubrana w szlafrok i złość.

- Oby bar płonął, chłopcze! Budzić uczciwych ludzi o świcie!

Ugina się jednak, bo Peter był kiedyś jej chłopcem, on także. Wiele razy musiała do niego dzwonić, by zaniósł nawalonego ojca do domu. Po tym Peter prawie nie tykał alkoholu. Całe życie nadal stara się coś naprawiać. Wszystkich zadowalać. Ukrywać błędy innych. Brać na siebie odpowiedzialność.

- Wkrótce odbędzie się konferencja prasowa - mówi teraz. - Fabryka zyska nowych, zagranicznych właścicieli, to ci „tajemniczy sponsorzy” Björnstad Hockey, o których

wszyscy tyle gadają. Będę na niej i obiecuję dziennikarzom, że zlikwiduję trybunę stojącą i... usunę chuliganów.

Nawet jeśli ta wiadomość szokuje Ramonę, to kobieta nie daje tego po sobie poznać. Zapala papierosa.

- Co mnie to obchodzi?

Peter odchrząkuje.

- Pozwolę mi wybrać jednego z członków zarządu. Kogo chcę.

- Jestem pewna, że Frak nada się wyśmienicie - prycha Ramona.

- Frak wołałby tam ciebie. Ja też - odpowiada Peter.

Z jednej dziurki w nosie Ramony wydobywa się obłoczek dymu. To jedyna oznaka zaskoczenia.

- Czy ty się, chłopcze, uderzyłeś w głowę? Wiesz przecież, że ja... Po tym, co chcesz zrobić Teemu i chłopcom? To są przecież MOI chłopcy! Stojąca trybuna jest... To jest też ich zasrany klub!

Peter stoi wyprostowany, mimo że głos mu się łamie.

- Robię dla dobra klubu, co mogę. Usłyszałem od kogoś, że „nikt dobrowolnie nie oddaje władzy”. Więc jeśli rzeczywiście wyobrażałbym sobie, że robię to nie dla siebie, to muszę mieć w zarządzie kogoś, kto nie będzie się ze mną zgadzał. Kto będzie mnie zwalczał.

Ramona pali w spokoju.

- Jeśli obydwójce będziemy walczyć o to, w co wierzymy, to w końcu któreś z nas zostanie bez pracy.

Peter przytakuje.

- Ale jeśli obydwójce będziemy walczyć o dobro klubu, to zyska na tym klub.

Ramona zawiązuje ciasniej szlafrok. Długo się namyśla. Marszczy czoło.

- Jesz śniadanie?

- Zależy jakie - odpowiada Peter.

Ramona pomrukuje.

- Z pewnością mam gdzieś kawę. Czy też co tam wy, niepijący, lubicie.

W ten właśnie sposób Ramona dostaje stołek w zarządzie Björnstad Hockey. Zanim jednak uda im się omówić szczegóły, dzwoni telefon Petera. Frak zadaje tylko jedno pytanie: „Słyszałeś o Benjaminie?”. Tak właśnie dowiaduje się o tym Ramona. Do końca życia będzie się wstydzić swojej reakcji, Peter zresztą też, bo ich pierwszą wspólną myślą było: „Jeszcze tylko tego brakowało!”.

Nasze spontaniczne reakcje są najczęściej najgłupsze.

Prawda o ludziach jest jak płomień - niszczycielska i bezlitosna. Prawda o Benjiminie przetacza się przez Björnstad i Hed, a wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli najmniejszy nawet powód, by mu zazdrościć lub go nie lubić, widzą teraz szczelinę w jego pancerzu. Wbijają tam noże z całej siły, jeden po drugim.

Niewielu odważyłoby się powiedzieć coś Benjiminowi prosto w twarz, robią więc to, co ludzie robią od zawsze: rozmawiają o nim, zamiast z nim. Musi zostać odczłowieczony, umniejszony, sprowadzony do przedmiotu. Istnieje na to tysiąc sposobów, nie ma jednak prostszego niż ten, do którego zawsze się uciekamy - odebranie mu imienia.

Gdy „prawda” się rozprzestrzenia, nikt już nie pisze w telefonach lub komputerach „Benjamin” czy „Benji”. Zamiast tego pojawia się słowo „hokeista”. Albo „uczeń”. Albo „młody mężczyzna”. Albo „pedał”.

Część będzie później twierdzić, że nie nienawidzi osób homoseksualnych, a jedynie Benjima. Wielu będzie utrzymywać, że „po prostu się zdziwiliśmy, że to właśnie... on”. Ktoś zasugeruje: „Gdyby człowiek wiedział... wcześniej... to może udałoby się to lepiej ogarnąć”.

Niektórzy zaproponują głębokie kulturowe analizy: że świat sportu, a może nawet w szczególności świat hokeja, symbolizuje tak głęboko zakorzenione męskie ideały, że szok jest tym większy. Inni będą oponować, że reakcje nie były w rzeczy samej tak silne, jak próbują to przekazać „media”. Że to wszystko to gruba „przesada”.

Podniesie się jakiś głos, że „przecież nikt nie ma nic przeciwko nim”, a kolejny uzupełni, że człowiek po prostu nie chce, żeby „zaraz całe miasto było... ich pełne”. Niektórzy wymamroczą: „Może jednak najlepiej, żeby się wyprowadził, dla własnego dobra, i tak nie ma tu przecież czego szukać. Lepiej niech szuka szczęścia w wielkim mieście. Lepiej dla niego. Nie żebym miał coś przeciwko takim. Nic a nic. Ale... sam wiesz”.

Niektóre żarty w Internecie są z pewnością tylko żartami, w ten sposób właśnie będą próbować się tłumaczyć. „Wiedziałem! Moja mama na imprezę w podstawówce zrobiła banana split i Benji zjadł tylko banany”. Pozostali tylko insynuują: „Ciekawe, co razem z Kevinem robili w szatni, gdy wszyscy już poszli do domu!?”.

Po pierwszej fali przychodzi kolejna. Esemesy z telefonów na kartę i anonimowe komentarze w sieci: „Pedzio”. „Homo”. „Gej”. „Pedaliszcze”. „Ohydne gówno!!!” „To nie jest normalne, jesteś, kurwa, chory!” „Zawsze to wiedzieliśmy!” „Żadnych pedałów w Björnstad!” „Znajdziemy cię i zdrapiemy twój tatuaż! Niedźwiedź nie jest pedalską marką!” „Żadnych gwałcicieli i pedałów w Björnstad!” „Jesteś chory tak samo jak Kevin!” „Zapewne jesteś też pedofilem!” „Mam nadzieję, że złapiesz AIDS!” „Mam nadzieję, że zdechniesz!” „Następnym razem nóż będzie w tobie, a nie w drzwiach!”

Maya siedzi przed komputerem. Czyta wszystko, co te świny piszą o Benjim, przypomina sobie to, co pisali o niej. Nic się nie zmienia, wszystko zaczyna się na nowo. Ojciec Mai miał w zwyczaju słuchać starej płyty, gdzie jakiś dziadek śpiewał, że wszystko ma szczeliny, że to właśnie w ten sposób światło wchodzi do środka. Maya wciąż na nowo spogląda na zdjęcia Benjiego z nauczycielem, ale to nie im się przygląda. Latem, gdy były z Aną na wyspie i Maya puszczała muzykę na jej telefonie, coś z gitarami i smutnymi głosami, Ana krzyknęła: „Precz z narkomańską muzyką na mojej wyspie!”, a Maya trzymała telefon tak, że Ana nie mogła go dosięgnąć, wtórując jej: „Precz z muzyką techno w lesie, to zanieczyszczanie środowiska!”. Ana próbowała jej wyrwać telefon, Maya odskoczyła, ale się potknęła i telefon wypadł jej z rąk, uderzając o kamień. Szkiełko w obiektywie kamery pękło, nie bardzo, ale na tyle, by na wszystkich późniejszych zdjęciach Any w jednym z górnych rogów widoczna była niewielka kreska.

Maya myślała, że Ana się o to zezłości, ale ta zaśmiała się tylko i powiedziała: „Teraz będę widzieć tę kreskę za każdym razem, gdy coś sfotografuję, więc jesteś tak jakby na każdym moim zdjęciu, baranie!”.

Maya kochała za to najlepszą przyjaciółkę, ale teraz siedzi samotnie przed komputerem, patrząc wciąż na nowo na zdjęcia Benjiego i nauczyciela, i jedyne, co widzi, to ta kreska w górnym rogu. Ta sama na każdym zdjęciu.

Niewielka, prawie niewidoczna szczelina. Z której wychodzi cała ciemność.

Dużo później nikt z nas nie będzie już w stanie udowodnić, kto co powiedział albo skąd właściwie pochodzą zdjęcia, które znalazły się w sieci. Wszyscy jednak widzieli na nich Benjiego całującego nauczyciela. Wielu to nie obchodzi, ale siedzą cicho, więc słyszą tylko tych pozostałych. To właśnie oni się tłumaczą, że ich to OBCHODZI. Obchodzi ich miasto, drużyna hokejowa i sam Benjamin. Szkoła. I DZIECI.

Część rodziców dzwoni do dyrektora i żąda zebrania. Wśród nich jest Maggan Lyt, matka Williama. Zasiada w radzie rodziców, wykonuje po prostu swoją pracę, „to nic osobistego”, podkreśla na spotkaniu, „to nie nasza zła wola, jesteśmy po prostu zatroskanymi rodzicami”. Stwierdza też, że rzecz jasna nauczyciel musi zostać zwolniony. Nie dlatego, że!.. odstaje, oczywiście, że nie! Ale nie możemy tolerować tego, że miał seksualne kontakty z uczniem! Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło! Najpierw gwałt, a teraz to? Nie ma znaczenia, czy to z chłopcem czy dziewczynką, chyba wszystkich powinniśmy traktować równo, prawda?

Jedno z drugim oczywiście się łączy, gdy tylko nam to pasuje.

- Skąd mamy wiedzieć, że nasze dzieci są bezpieczne z tym nauczycielem, skoro nie znamy nawet jego!.. zamiarów? - zastanawia się jakiś rodzic.

Gdy dyrektor dopytuje, co rodzic dokładnie ma na myśli, mówiąc o „zamiarach”, Maggan Lyt się odcina:

- Doskonale pan wie, co mamy na myśli.
 - A TO? - podnosi głos kolejny rodzic, rzucając jakąś kartkę na biurko dyrektora.
 - Wisiała na tablicy ogłoszeniowej na korytarzu! Ta nauczycielka ma zamiar uczyć nasze dzieci się BIĆ? - dorzuca Maggan Lyt.
 - To są... sporty walki... Proponuje uczniom trening... - sili się na wyjaśnienia dyrektor, ale zgodnie z przewidywaniami któryś z rodziców mu przerywa.
 - PRZEMOCY! Trening PRZEMOCY! Więc jeden z nauczycieli ma relacje seksualne z uczniami, a kolejny uczy ich się bić! Może mi pan powiedzieć, co to za szkoła?
- Na koniec Maggan Lyt dorzuca:
- Dzwonię do polityków!

Tak też robi. Pierwszy telefon odbiera Richard Theo.

Psy zaczynają szczeekać, gdy Maya dobija się do drzwi domu Any tak mocno, jakby chciała go roznieść na strzępy. Ana otwiera, błąda i bez życia, zdruzgotana i pełna odrazy do samej siebie. Maya jest jednak zbyt wściekła, by się powstrzymać, krzyczy więc tylko:

- TO TY ZROBIŁAŚ TO ZDJĘCIE! JAK MOGŁAŚ!?

Ana oddycha histerycznie, szlocha i pociąga nosem, tak że ledwie można zrozumieć, co mówi:

- To nie... Maya!.. pocałowałam go! POCAŁOWAŁAM go! Mógł powiedzieć, że jest... Mógł coś POWIEDZIEĆ, ja... Po prostu myślałam, że ma jakąś inną dziewczynę, ale on... Pocałowałam go! Ja!.. Gdyby tylko powiedział, że jest...

Maya nie pozwala jej skończyć, kręci jedynie głową i spluwa na podłogę między sobą a najlepszą przyjaciółką. Od tego momentu już nią nie jest.

- Jesteś dokładnie taka sama jak wszyscy inni w tym mieście. Jeśli tylko nie dostajesz tego, czego chcesz, to wydaje ci się, że masz prawo krzywdzić innych ludzi.

Ana płacze tak mocno, że nie jest w stanie ustać na nogach. Upada na progu. Maya jej nie podtrzymuje, bo już jej tam nie ma.

Może jest tak, jak mówią wszyscy! i nie ma w tym nic osobistego. Może to kropla, która przelała czarę goryczy u tych, którzy już od dawna czuli się przyparci do muru. Miejsca pracy znikają, politycy kręcą, szpital zostanie zamknięty, a fabryka ma nowego właściciela. Dziennikarze pojawiają się tutaj tylko wtedy, gdy wydarza się coś złego, i chcą jedynie obsmarować mieszkańców jako zacofanych i pełnych uprzedzeń. Może niektórzy w okolicy po prostu czują, że nagle robi się tu za dużo polityki. Że

zmian jest zbyt wiele i przymusza się do nich ciężko pracujących obywateli, którzy już swoje wycierpieli. Może nie ma to nic wspólnego z Benjim, nauczycielem, Elisabeth Zackell czy też kimkolwiek innym. Komentujący w sieci są tylko „pojedynczymi zgniłymi jajami”. Może nikt nie miał nic złego na myśli, a „w ferworze walki łatwo o przesadę”. Może będziemy się tłumaczyć tym, że „tyle się naraz zważyło, problem był złożony, ludzie muszą mieć jakieś uczucia”.

Zawsze będziemy bronić uczuć tych, którzy atakują. Jakby to oni potrzebowali naszej cierpliwości.

Wiadomość, że jeden z nauczycieli w szkole miał „długotrwałą relację z uczniem”, a teraz jest „zawieszony w oczekiwaniu na wyjaśnienia”, szybko dociera do lokalnej gazety. Początkowo komentarze są ostrożne, ale szybko pojawiają się pytania: „Myślicie, że to przypadek? Najpierw ta trenerka, a teraz nauczyciel?”. Nikt nie mówi „kobieta” ani „homoseksualny”. Wszyscy piszą „tacy” i „tego typu”. Ktoś dorzuca: „Nawet nie można zaprotestować, bo zaraz wyjdzie się na tego złego! Ale musimy przecież zareagować dla dobra DZIECI! W innym przypadku w jakim mieście przyjdzie nam mieszkać? Czy zawsze dla każdego musimy być jakimś eksperymentem?”.

Większość nawet nie wspomina o Benjim. Tak jest łatwiej. Pojawia się jednak nowe zdjęcie. Po raz pierwszy opublikowane z jakiegoś anonimowego konta, nikt nie pamięta jakiego, bo gdy tylko zdjęcie się rozejdzie, konto zostaje usunięte. Nikt nie pyta, skąd pochodzi, plotki rozprzestrzeniają się we wszystkie możliwe strony. Ważne jest tylko to, co zdjęcie przedstawia.

Wygląda na to, że zostało zrobione w szatni, jest na nim kask hokejowy z niedźwiedziem, symbolem klubu. Wokół kasku namalowano tęczę. Ktoś anonimowy pisze: „Uważam, że jest ładny! Nie interesuję się hokejem, ale myślę, że powinniśmy zrobić coś symbolicznego z całym klubem, by okazać nasze wsparcie. Na przykład jakąś polityczną manifestację, ramię w ramię z hokejem!”.

Zdjęcie natychmiast trafia do innych gazet. Jedna z nich, z dużego miasta, wrzuca je do siebie na stronę, opatrując tytułem: Zawodnik hokejowy przyznaje, że jest homoseksualny- oto pozytywne wsparcie ze strony klubu!.

Richard Theo zdążył wyłączyć komputer, gdy nadchodzi odpowiedź. Zamknął już okna i wypuścił ostatnie muchy, na zewnątrz jest zimno i wkrótce zamarzną. Miały jednak swoje lato, wypełniły zadanie.

Gdy Richard Theo opuszcza gabinet, ktoś pisze w sieci: „Björnstad nie będzie jakimś jebanym tęczowym miastem, a Björnstad Hockey nie będzie jebaną tęczową drużyną! »Grupa« nigdy do tego nie dopuści!”.

Kiedy okazuje się, że zdjęcie to fake, spreparowany w prostym programie komputerowym, dziennikarze z całego kraju zaczynają dzwonić do dyrektora sportowego Björnstad Hockey z pytaniami: „Dlaczego nie chcecie okazać wsparcia homoseksualnemu zawodnikowi? Dlaczego odcinacie się od kasków z kolorami tęczy?”.

Peter Andersson próbuje wyjaśniać, nie wiedząc dokładnie, co chce powiedzieć. Wszystko dzieje się tak szybko. W końcu nie ma już odwagi odbierać telefonu.

Ale gdy dziennikarka z lokalnej gazety dzwoni do Richarda Theo z pytaniem, co myśli o „turbulencjach” wokół Björnstad Hockey, polityk ma oczywiście najprostszą odpowiedź: - Nie uważam, że powinno się mieszać sport i politykę. Pozwólmy chłopakom grać.

Przez następne dni właśnie to zdanie będzie można usłyszeć najczęściej: „Pozwólmy chłopakom grać!”. Dla różnych ludzi będzie miało ono jednak różne znaczenie.

Maya przychodzi do domu, w którym jedynym słyszalnym dźwiękiem jest klikanie klawiatury i myszy komputera. Leo siedzi w swoim pokoju, tak blisko ekranu, że cały świat niknie jak zwykle. Maya zazdrości mu tej drogi ucieczki.

- Co robisz? - pyta, wygłupiając się.
- Gram - odpowiada brat.

Dziewczyna stoi przez kilka chwil w drzwiach, otwiera usta, by coś powiedzieć, ale milknie. Zamyka drzwi i idzie do kuchni. Być może po jej krokach brat zauważa, że coś jest nie tak, albo młodsi bracia po prostu dostrzegają rzeczy, które inni przegapiają. Nie odwracając wzroku od ekranu, woła:

- Chcesz ze mną pograć?

Potem bierze strzelbę i idzie do lasu

Hokej to najprostszy sport na świecie, jeśli siedzi się na trybunach. Łatwo mówić, co wszyscy powinni byli zrobić, gdy wiemy już, że to, co zrobili, nie zadziałało.

Peter jedzie do hali lodowiska, jakby miał klapki na oczach. Telefon dzwoni nieustannie, ale on nie odbiera. Próbuje się dodzwonić do Benjiego, ale ten też nie odpowiada. Otwiera skrzynkę mejlową. Zасыpuje go lawina.

Zaćmiony migreną Peter pochyla się, nie może oddychać. Przez kilka chwil obawia się, że ma wylew. Nadal doskonale pamięta ohydne mejle i esemesy, które przychodziły po tym, gdy Maya zgłosiła się na policję. Teraz wszystko zaczyna się na nowo. Wszystko dzieje się jeszcze raz.

Większość nie pisze wprost, zamiast tego używa takich słów jak: „dekoncentracja” albo „polityka”. „Nie chcemy w klubie dekoncentracji i polityki tuż przed meczem z Hed!” Wszyscy chcą tylko dobrze. Nikt nie ma oczywiście nic przeciwko Benjaminowi. „Ale dla dobra chłopca może byłoby lepiej, gdyby zrobił sobie małą... przerwę? Wiesz, jacy przewrażliwieni są... niektórzy ludzie... Nie MY, ale są też INNI, którzy mogą zareagować negatywnie! Chodzi nam tylko o dobro CHŁOPCA!” Oczywiście. „Po prostu pozwól chłopakom grać!” - powtarza wielu.

Tyle że nie wszystkim chłopakom.

Jeden z mejli różni się od reszty. Przysłał go rodzic z drużyny dziecięcej. Dołączył do niego zdjęcie, z szatni pierwszego zespołu, ale nie przedstawia ono Benjiego. Jest na nim za to Elisabeth Zackell, pochylona przed Bobo i przyglądająca się jego... organom płciowym. Może wtedy był to niewinny żart, ale ktoś z pierwszej drużyny zrobił zdjęcie. Nikt nie wie, jak się rozprzestrzeniło, ale zaraz potem pojawia się kolejny mejl z tym samym zdjęciem, od innego rodzica. I jeszcze jeden. „Najpierw nauczyciel, który sypia z uczniami, potem nauczyciel, który uczy dzieci się bić, a TERAZ TO!!!!???”

Dynamika kolejnych mejli jest taka sama. Najpierw przychodzą te zaniepokojone. Potem te z pogroźkami. Na końcu anonim z tekstem: „Jeśli ta cipa i ten pedał pojawią się jeszcze na treningu Björnstad Hockey, to źle się to dla was skończy!!!”.

Łatwo być mądrym po fakcie - hokej to niezwykle prosta gra z poziomu trybun. Gdyby Peter nie miał córki, która wiosną została okrzyknięta największym wrogiem klubu, zareagowałby pewnie lepiej. Albo i gorzej. W głowie mu się jednak kotłuje, więc w końcu drukuje zdjęcie Zackell i Bobo, znajduje trenerkę, która jest na lodzie, i krzyczy:

- Zackell!!! Co to, kur ... JEST?

Zackell stoi samotnie i uderza do bramki. Podjeżdża spokojnie do bandy i spogląda na zdjęcie.

- To ja. A to Bobo. A to trudno nazwać fiutem.

- Ale... to jest... co jest...

Zackell uderza kijem o lód. Wzrusza ramionami.

- Wiesz, jak to jest. Drużyna testuje granice przy nowym trenerze. To sprawa między mną a nimi.

Peter chwyta się za głowę, tak jakby właśnie wybuchła, a on próbował ją posklejać i teraz czeka, aż wszystko zaschnie.

- Proszę cię, Zackell... To nie jest już tylko sprawa między wami. Ktoś wypuścił to zdjęcie do sieci. Całe miasto właśnie...

Zackell niewzruszona obrywa taśmę przy kiju.

- Jestem trenerem hokeja. Nie władzami miasta. Problemy miasta to problemy miasta. Tutaj zajmujemy się grą.

Peter wydusza z siebie jęk.

- Miasto tak nie funkcjonuje. Ludzie będą sobie tłumaczyć, że... nie są przyzwyczajeni do... najpierw tego z Benjim, a teraz tego z tobą i tym...

- ...fiutem? - odpowiada usłużnie Zackell.

Peter wybałusza oczy.

- Dostajemy pogróżki! Musimy odwołać dzisiejszy trening!

Zackell wygląda, jakby go nie usłyszała. Zamiast tego pyta:

- Co z Vidarem, moim nowym bramkarzem? Pozwolisz mu grać?

- Słyszałaś, co powiedziałem? Grożono nam! Olej Vidara! Musimy przełożyć trening!

Zackell wzrusza ramionami.

- Słyszałam. Nie jestem głucha.

Wyjeżdża ponownie na lód, tak jakby rozmowa była już zakończona. Po czym znów zaczyna strzelać do bramki. Peter wbiega do gabinetu i dzwoni do zawodników pierwszej drużyny. Odbierają wszyscy poza Benjim. Peter opowiada o mejlu z pogróżkami. Wszyscy zawodnicy rozumieją. Żaden z nich nie zostaje w domu.

Gdy zaczyna się trening, cała drużyna stoi na lodzie przed Zackell. Trenerka uderza kijem o lód i mówi:

- Słyszeliście, że klub dostaje pogróżki?

Zawodnicy przytakują. Zackell wyjaśnia:

- Jeśli nadal będę was trenować, a Benji będzie z nami grał, to najwyraźniej „źle się to dla nas skończy”. Jeśli więc nie chcecie dziś trenować, nie będę wam miała tego za zię.

Nikt nie rusza się z miejsca. Wiele złych rzeczy mówiono o tym zespole, ale tworzący go ludzie z pewnością nie są bojaźliwi. Zackell przytakuje:

- Rozumiem. Zdaję sobie sprawę, że pojawiło się wiele... emocji. Ale jesteśmy drużyną hokejową. Gramy w hokeja.

Starsi zawodnicy spodziewają się, że trenerka będzie się próbowała dowiedzieć, kto wrzucił do sieci jej zdjęcie z Bobo. Zackell nawet o tym nie wspomina. Być może tym zdobywa ich szacunek, bo jeden z nich wykrzykuje:

- Przyszliśmy głównie ze względu na piwo!

Cała drużyna wybucha rozluźniającym śmiechem. Nawet Bobo wydaje się mniej zawstydzony.

To tylko słowa. Litery. Jakim cudem mogą kogoś skrzywdzić?

Benji jest u Adri w hodowli, psy bawią się w śniegu u jego stóp. Niczym się nie przejmują, Benji chciałby, żeby tak samo było z innymi. Nie zależy mu na zmienianiu świata, nie chce, by ktoś musiał się do niego dopasować, marzy jedynie o grze w hokeja. Chce móc wejść do szatni, tak aby rozmowy wokół niego nie cichły, a ludzie nie bali się opowiadać pewnych kawałów. Chce najzwyklejszych na świecie rzeczy: kijów i lodu, krążka i dwóch bramek, chęci i walki. Wy przeciwko nam, ze wszystkim, co mamy. Ale to już koniec. Benji przestał być jednym z nich.

Kiedys może uda mu się ubrać w słowa to uczucie bycia innym. Opisać, jak bardzo jest fizyczne. Wykluczenie to znużenie, które wżera się w szkielet. Ludzie, którzy są jak wszyscy inni i należą do większości, nigdy tego nie pojmą. Jak mieliby to zrobić?

Benji słyszał już wszystkie argumenty, na trybunach i w autobusach w drodze na zawody siedział obok dorosłych, którzy mówili: „W hokeju nie ma homoseksualistów”. Opowiadano wszystkie te żarty w rodzaju: „Balony dla dzieci, a pedały dla lwów!”, ale nie to odcisnęło na nim najsilniejsze piętno. Tylko te małe gramatyczne oczywistości, które paliły, gdy „pedał” nagle stał się słowem wartościującym: „Gracie jak pedały!”, „Sędzia pedał!”, „Dlaczego ten pedalski ekspres nie działa?”. Pięć małych literek opisujących słabość, głupotę i coś, co się zepsuło. Co było nie tak.

Zdarzali się oczywiście dorośli, którzy nigdy się tak nie wyrażali. Niektórzy z nich mówili za to inne rzeczy. Nie zastanawiali się nad tym, ale przez lata Benji zebrał fragmenty pourywanym konwersacji. „Wiesz, tacy nie pchają się do hokeja. Jak niby

miałoby to funkcjonować? W szatni i w ogóle? Mamy mieć w takim razie trzy szatnie, tak na wszelki wypadek?" Mówili to zwykli rodzice, mili i szcudrzy ludzie, którzy zrobiliby wszystko dla drużyny dziecka. Nie głosowali na głoszące skrajne hasła partie, nie życzyli nikomu śmierci, przemoc nie przyszłaby im nawet do głowy. Mówili same oczywistości: „Tacy się chyba w hokeju nie odnajdą, wolą chyba inne rzeczy, trzeba przecież pamiętać, że hokej to ostra gra!“. Zdarzało się, że mówili wprost: „Hokej to sport dla mężczyzn!“. Mówili „mężczyzn“, ale Benji już od małego wiedział, że mieli na myśli „prawdziwych mężczyzn“.

To tylko słowa. Litery. Tylko człowiek.

Benji nie trenuje dziś z drużyną, bo wie, że przestał być jednym z nich. Nie ma jeszcze pojęcia, kim ma teraz być. Nie jest pewien, czy chce wiedzieć.

Sune siedzi na trybunach, gdy zaczyna się trening. Peter opada na siedzenie obok niego.

- Dzwoniłeś na policję w sprawie gróźb? - pyta Sune.

- Nie wiedzą, czy to było na poważnie, czy nie. Równie dobrze może to być jakiś gówniarz.

- Nie martw się.

- Nie wiem, co mam robić... - przyznaje się bezsilnie Peter.

Sune jak zwykle nie próbuje go pocieszać. Żąda odpowiedzialności.

- Nie wiesz, co MASZ robić czy co POWINIENIEŚ zrobić?

Peter wzdycha.

- Wiesz, co mam na myśli. Zrobił się niezły galimatias... Zackell i drużyna...

Sune wskazuje głową na lodowisko.

- Zdecydowali się tu dzisiaj przyjść. Pozwól chłopakom grać.

- A Benjamin? Jak mam mu pomóc?

Sune poprawia koszulkę na brzuchu.

- Na początek przestań myśleć, że to on potrzebuje pomocy. To wszyscy inni jej potrzebują.

Urażony Peter rzuca ostro:

- Nie waż się tu przychodzić i mówić mi, że to JA mam uprzedze...

Sune prychnął.

- Dlaczego nadal zajmujesz się tym sportem, Peter?

Peter robi głęboki wdech.

- Nie wiem, jak przestać.

Sune kiwa głową.

- Wmawiam sobie, że nadal w tym siedzę, bo lodowisko to jedyne miejsce, gdzie panuje równość. Tu nie ma znaczenia, kim jesteś. Jeśli tylko umiesz grać.

- Na lodowisku może jest się równym, ale w sporcie już nie - zarzuca mu Peter.

- Racja. I to nasz błąd. Twój i mój, i wszystkich pozostałych.

Peter rozkłada ręce.

- Co mamy w takim razie zrobić?

Sune unosi brew.

- Dopilnować, aby kolejny dzieciak, który opowie o sobie coś innego, spotkał się tylko ze wzruszeniem ramion. I stwierdzeniem: „Okej, to chyba nie ma znaczenia?”. I kiedyś może nie będzie już homoseksualnych zawodników hokeja ani kobiecych trenerów hokeja. Jedynie zawodnicy i trenerzy.

- Społeczeństwo nie działa tak prosto - mówi Peter.

- Społeczeństwo? Społeczeństwo to my! - odpowiada Sune.

Peter masuje powieki.

- Proszę cię, Sune... Dziennikarze dzwonili przez ostatnie kilka godzin... Ja... Cholera, może mają rację? Może powinniśmy zrobić coś symbolicznego dla Benjamina? Czy to pomoże... jeśli pomalujemy kaski?

Sune odchyła się na siedzeniu.

- Myślisz, że Benjamin by sobie tego życzył? Zdecydował się o tym nie mówić. Jakiś gnój go zdradził. Jestem pewien, że cała banda dziennikarzy chciałaby teraz zrobić z niego symbol, a cała zgraja bałwanów po drugiej stronie marzy o wyładowaniu na nim swojej nienawiści. Nikt z nich nie ma pojęcia o hokeju. Zamienią każdy mecz, w którym będzie grał, w pole walki dla swoich własnych celów, polityczny cyrk i może tego najbardziej boi się Benji. Że będzie dla drużyny balastem. Że będzie ich dekoncentrował.

Peter wykrzykuje rozdrażniony:

- A czego według CIEBIE Benjamin od nas oczekuje?

- Niczego.

- Musimy coś ZROBI. . .

- Interesuje cię jego orientacja? Czy zmienia to twoje zdanie na jego temat?

- Oczywiście, że nie!

Sune poklepuje Petera po ramieniu.

- Jestem już dziadkiem, Peter. Nie zawsze wiem, co jest właściwe, a co nie. Przez lata Benjamin wiele nabroił poza lodowiskiem, bił się, palił haszysz i co tam jeszcze było. Ale to niezwykle utalentowany zawodnik, więc ty i wszyscy pozostali za każdym razem powtarzaliście: „To nie ma nic wspólnego z hokejem”. Dlaczego niby TERAZ miałoby być inaczej? Dajcie chłopakowi żyć własnym życiem. Nie zmuszajcie go do

bycia symbolem. A jeśli nie potrafimy się odnaleźć z jego orientacją, to coś jest, do cholery, nie tak z nami, a nie z nim!

Peter przełyka ślinę, czerwieniąc się.

- Nie miałem na myśl...

Sune drapie się po resztkę włosów na głowie.

- Tajemnice sprawiają, że człowiek robi się ciężki. Możesz sobie wyobrazić, jak to musiało być: nosić w sobie prawdę o samym sobie przez całe życie? Hokej to jego wolność. Lodowisko jest pewnie jedynym miejscem, w którym czuł się dokładnie tak samo jak inni. Nie odbieraj mu tego.

- Co mam w takim razie zrobić?

- Pozwól mu zasłużyć na miejsce w drużynie dzięki talentowi do hokeja, dokładnie tak samo jak wszystkim pozostałym. Teraz już wszędzie będzie traktowany inaczej, niech przynajmniej u nas będzie po staremu.

Peter długo nie odpowiada.

- Zawsze mówiłeś, że powinniśmy być więcej niż „tylko klubem hokejowym” - dodaje po chwili. - Czy właśnie teraz nie powinniśmy się do tego stosować?

Sune zastanawia się chwilę. W końcu odpowiada szeptem:

- No tak. Ale jestem już stary. Nie pamiętam połowy z tego, co mówię.

Benji nie jest swoim ojcem. Nie robi tego, co Alan Ovich. Nie zostawia prezentów, nie daje znaków ani symboli.

Mama i siostry dzwonią do niego - czytały w Internecie te same rzeczy co wszyscy i się niepokoją. Mówi więc, że wszystko w porządku. Jest w tym dobry. Jedzie do Adri do hodowli, bo jeden z psów był w nocy chory i Adri musiała odwiedzić weterynarza. Teraz jeszcze śpi.

Benji zamyka za sobą drzwi do dolnego piętra na tyle mocno, że siostra wybudza się z drzemki, ale natychmiast zasypia ponownie. Adri śpi twardo jedynie wtedy, gdy wie, że jej brat jest w domu, inaczej to tylko niespokojny sen. Benji wychodzi ze śmieciami, składa pościel i chowa ją w szafie, tak jak to zwykle każe mu robić siostra, następnie idzie na zewnątrz i poklepuje psy. Również one śpią spokojnie, gdy Benji schodzi na dół, niczym chłopiec w najwolniejszym na świecie wyścigu w worku, wiedząc dokładnie, które deski w podłodze nie skrzypią.

Ostrożnie wkłada rękę pod poduszkę Adri i wyciąga stamtąd klucz. Po raz ostatni całuje śpiącą siostrę w czoło. Zakrada się do szafy z bronią.

Potem bierze strzelbę i idzie do lasu.

Po treningu Zackell stoi na parkingu i pali cygaro. Peter wychodzi na zewnątrz, staje obok niej i pyta:

- Serio chcesz mieć Vidara w drużynie?

Zackell wydmuchuje dym nosem.

- Tak.

Peter jęczy niechętnie.

- Zrób otwarty trening. Ogłoś, że może na niego przyjść każdy, kto nie ma jeszcze kontraktu z innym klubem. Jeśli Vidar będzie wystarczająco dobry, może grać, ale musi zasłużyć na miejsce w drużynie, dokładnie tak samo jak pozostali!

Peter otwiera drzwi, by ponownie wejść do środka, ale Zackell go zatrzymuje:

- Dlaczego jesteś taki zły na tego Vidara? Można się aż tak złościć za to, że ktoś ci narobił na biurko?

Peter powstrzymuje odruch wymiotny na samą myśl o pozostawionej przez Vidara wizytówce. Kał dostał się pomiędzy guziki klawiatury, tak że nie można było wyczyścić go ani z klawiatury, ani z pamięci Petera. Kręci jednak głową.

- Nie można na nim polegać. Drużyna musi polegać na swoim bramkarzu, a Vidar jest kompletnie nieprzewidywalny. I egoistyczny. Nie można zbudować drużyny na egoistach.

- Dlaczego więc zmieniłeś zdanie? - zastanawia się Zackell.

Peter nie wie, co ma odpowiedzieć. Mówi zatem prawdę:

- Chciałbym, żeby dzięki klubowi ludzie stawali się lepsi. Może uda nam się z Vidarem. A może z nami samymi.

Płatki śniegu wirują na wietrze, a Peter jest przerażony, że może dotarło to do niego zbyt późno. Benji może nigdy już do nich nie wróci. Wiele można o nim powiedzieć, ale na pewno nigdy nie był egoistą.

Powiemy, że to wydarzyło się jednej osobie. To kłamstwo. Powiemy, że „nikt nie jest winny w takich sytuacjach”. Ale w głębi serca będziemy znać prawdę. To była wina wielu ludzi. Nasza.

Nie budzi się

Benji zaszedł głębiej w las niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu przystaje. Śnieg jeszcze pada, płatki dotykają nieśmiało jego skóry, ale natychmiast rozpuszczają się pod wpływem temperatury ciała i spływają po włosach pod pachami. Ujemna temperatura zaczerwieniła Benjiemu policzki, zaciśnięte wokół strzelby palce zdrętwiały, dym z ust formuje coraz to mniejsze kręgi. W końcu przestaje oddychać.

Zalega długa cisza. Potem między drzewami w powietrzu niesie się pojedynczy strzał.

W Björnstad chowamy tych, których kochamy, pod najpiękniejszymi drzewami. To dziecko znajduje ciało, ale nie idzie ono spokojnie przez las, tak jak zrobiła Adri po znalezieniu ojca, Alana Ovicha, przed tyloma laty. Tym razem dziecko biegnie.

Amat i Bobo siedzą w szatni. Zapamiętają to jako swoją ostatnią rozmowę, ostatni wybuch śmiechu, zanim dowiedzą się, że ktoś zmarł. Poczują, że już nigdy nie będą mogli śmiać się tak jak kiedyś.

- Co dziewczyny uważają za sexy? - pyta Bobo.

Mówi to dokładnie tak samo jak wszystko inne: jakby mózg był przez cały czas włączonym przelewowym ekspresem do kawy, w którym ktoś zapomniał podstawić dzbanka, tak że myśli spływają prosto na rozgrzaną płytę i rozpryskują się na boki.

- A niby skąd mam to wiedzieć? - pyta zrezygnowany Amat.

Ostatnio Bobo pytał, czy to prawda, że szkła kontaktowe robi się z meduz. Innym razem zastanawiał się: „Wiesz, że gdy położy się klucze na stole, przynosi to nieszczęście? A co, jeśli ktoś pożyczy moje klucze i odłoży je na blat, a mnie tam nawet nie ma? Czy to nadal JA będę miał pecha?”. Wiosną chciał wiedzieć: „Skąd wiadomo, że ma się ładnego fiuta?”. Kilka dni temu w szkole zapytał Amata: „Jak długie powinny być bokserki?” i prawie natychmiast po tym: „Wiesz, próżnia, taka jak w kosmosie, co się dzieje z łzami, jeśli człowiek by tam płakał?”.

- Słyszałem, jak kilka lasek w szkole mówiło, że jeden aktor był sexy, bo miał „wyraźnie zarysowaną szczękę i wysokie kości policzkowe”. Skąd wiadomo, czy się takie ma?

- Masz je z pewnością - odpowiada Amat.
- Myślisz? - pyta z nadzieją w głosie Bobo.

Jego twarz jest bezkształtna jak rozgotowany ziemniak, mimo to Amat kiwa przyjaźnie głową.

- Pewnie, że jesteś sexy, Bobo!

- Dzięki - odpowiada z wyraźną ulgą przyjaciel, tak jakby odhaczał to na swojej liście rzeczy, które go niepokoją. - Byłeś kiedyś czymś najlepszym przyjacielem? - pyta potem.

Amat pojękuje.

- Bobo, proszę cię... Ja... Oczywiście, że miałem najlepszego przyjaciela.

Bobo kręci głową.

- Nie chodzi mi o to. Pytam, czy BYŁEŚ czymś najlepszym przyjacielem? Miałem wielu najlepszych przyjaciół, ale nie sądzę, bym był czymś najlepszym przyjacielem. Rozumiesz?

Amat drapie się po uchu.

- Serio? Prawie nigdy nie jarzę, o co ci chodzi. . .

Bobo wybuchają śmiechem. Amat również. Głośnym, cudownym i ostatnim na długi czas.

Wszystkie dzieci w okolicy uczą się, że „nigdy nie jest się samemu w lesie”. Benji zatrzymuje się, gdy dziesięć metrów dalej pojawia się zwierzę. Chłopak patrzy mu prosto w oczy. Polował w tych lasach całe życie, ale pierwszy raz widzi tak wielkiego niedźwiedzia.

Szedł pod wiatr, nie wyczuł więc jego zapachu. Niedźwiedź jest na tyle blisko, by czuć się zagrożonym, a Benji nie ma szans na ucieczkę. Wszystkie dzieci w okolicy uczą się tego samego: „Nie biegnij, nie krzycz, gdy niedźwiedź ruszy w twoim kierunku, połącz się w pozycji embrionalnej, udawaj martwego, chroń głowę plecakiem! Nie bij, jak długo nie masz pewności, że to jedyne wyjście!”.

Strzelba drży w dłoniach Benjiego, nie powinien z niej strzelać. Serce i płuca zwierzęcia chronią masywne mięśnie, tylko naprawdę wytrawni myśliwi mają szansę ustrzelić niedźwiedzia i pozostać jeszcze na tyle długo przy życiu, by zdążyć o tym opowiedzieć. Benji powinien sobie zdawać z tego sprawę. Ale serce mu bije, słyszy, jak w trzewiach wybuchają mu jego własny głos. Sekundę później chłopak wypala w powietrze. Albo prosto w niedźwiedzia, nie pamięta. Zwierzę znika. Nie odbiega, nie ucieka w las, po prostu... znika. Benji stoi w śniegu, a las przetrawia echo wystrzału, także nie pozostaje po nim nic innego poza wiatrem. Sam już nie wie, czy mu się to nie zdawało. Czy to rzeczywiście był niedźwiedź, czy jedynie wytwór wyobraźni, prawdziwy czy też wymagany strach. Podchodzi do miejsca, w którym stało

zwierzę, ale na śniegu nie ma żadnych śladów. Mimo to nadal czuje na sobie jego wzrok, tak jak wtedy, gdy człowiek budzi się rano i jeszcze nie otwierając oczu, wie, że ten, kto leży obok niego, mu się przygląda.

Benji oddycha ciężko. Gdy podejmuje się decyzję o śmierci, a potem się z tego rezygnuje, jest w tym coś niezwykłego. Ma się wtedy władzę nad samym sobą. Benji wraca do domu, nie czując, że jego ciało należy do niego, nie wiedząc, kto będzie w nim teraz mieszkał.

W każdym razie wraca do domu.

Amat i Bobo nadal się śmieją. Ale Bobo przestaje nagle, zanim Amat zdąży zrozumieć, co się stało. Bobo zawsze słyszał, że ciężko mu idzie myślenie, zna na pamięć wszystkie tego typu dowcipy. „Ten chłopiec nie potrafiłby wylać wody z kalosza, jeśli znajdowałyby się w palcach, a instrukcja do niej w pięcie” i „Bobo jest tak głupi, że nie potrafi nawet wysikać swojego imienia na śniegu”. Nie znaczy to jednak, że jego serce nie pracuje - jego mama zwykła mówić, że po prostu robi to inaczej niż w przypadku całej reszty.

Bobo się tego spodziewał. Na zewnątrz sprawiał wrażenie rozkojarzonego, ale w środku był przygotowany na ten moment, odkąd mama zabrała go do lasu, by mu opowiedzieć, że jest chora.

Dziecko biegnie przez Björnstad przed drzwi hali lodowiska, oganiając się od tych, którzy próbują je powstrzymać. Niektórzy je rozpoznają - to młodsza siostra Bobo. Ktoś może nawet zdąży pomyśleć i wymamrotać: „O nie!”.

Gdy siostra staje w drzwiach szatni, szłocha i woła: „Nie budzi się! Tata poszedł odebrać samochód, a mama się nie budzi, mimo że krzyczę!!!”, Bobo przepracował już własną żałobę. Łzy spływają mu po włosach siostry, głównie ze względu na nią. Była taka dzielna, biegnąc przez las, ale teraz się rozsypuje, bo nie ma nikogo, komu ufałaby bardziej niż starszemu bratu.

Dopiero w jego ramionach dziewczynka ma odwagę rozpaść się na milion kawałków. Całe życie będzie przybiegała do niego w chwilach smutku. Bobo obejmuje ją i wie, że teraz musi być wystarczająco silny, by przejąć odpowiedzialność.

Amat obejmuje ich oboje, ale Bobo tego nie czuje. Myślami jest już daleko, zastanawiając się, jak ma znaleźć wystarczająco piękne drzewo, by mogła pod nim spocząć jego mama. W tym momencie staje się dorosły.

Adri Ovich budzi się z przerażającego snu. Po omacku sprawdza pod poduszką i czuje, jak tętno uderza jej w skroniach, dopóki palce nie zaciskają się wokół klucza. Oddycha tak mocno, że aż sprawia jej to ból. Schodzi po schodach i znajduje brata śpiącego na kanapie na dolnym piętrze. Broń stoi w szafie, tak jakby nic nigdy się nie wydarzyło.

Siostra całuje Benjiego w czoło. Godzinami siedzi na podłodze obok. Nie może przestać nad nim czuwać.

Przemoc wobec policyjnego konia

Za wiele lat sami pewnie nie będziemy wiedzieć, jak nazwać tę historię. Powiemy, że to opowieść o przemocy. O nienawiści. O przeciwnościach i różnicach, i o społeczności, która sama rozerwała się na kawałki. Ale to nie będzie prawda, przynajmniej nie cała.

To również innego rodzaju historia.

Vidar Rinnius za rok nie będzie już nastolatkiem. Opinia psychologa potwierdza, że chłopak „niewystarczająco kontroluje impulsy”. Większość wymieniłaby „niewystarczająco” na „wcale nie”. Bit się od zawsze, czasem razem ze starszym bratem Teemu bronił matki, a czasem bronili siebie nawzajem. Jeśli nie było nikogo do obrony, bili się ze sobą. To prawda, z kontrolą impulsów. Vidar nigdy nie mógł się sam powstrzymać. Podczas gdy innym przychodzi do głowy coś w rodzaju: „Pomyśl, co by było, gdyby...”, Vidar zdążył już to zrobić. Trener w chłopięcej drużynie powiedział kiedyś, że to właśnie dlatego Vidar jest tak dobrym bramkarzem: „Nie wiesz, jak przestać łapać krążki!”. Wszyscy uważają, że problemem Vidara jest to, że „nie myśli”, ale tak naprawdę jest dokładnie na odwrót. On nie może przestać myśleć.

Miał dwanaście lat, gdy zrozumiał, że jest sam. Wraz z bratem i jego kolegami pojechał do innego miasta, w którym pierwsza drużyna Björnstad Hockey grała mecz wyjazdowy. Po meczu Teemu powiedział mu, żeby poszedł do McDonalda i na nich zaczekał, podejrzewał bowiem, że ich wyjazd może zakończyć się bijatyką. Vidar był właśnie w trakcie posiłku, gdy kibice przeciwnej drużyny włali się do środka. Teemu i „Grupa” zostali zatrzymani przez policję, Vidar siedział tam samotnie w kącie, ubrany w niewłaściwe barwy, a kibice przeciwnej drużyny wiedzieli, kim jest. Podczas meczu widzieli dwunastolatka wykrzykującego obelgi pod adresem ich klubu i pokazującego im środkowy palec. „Bez brata nie jesteś już takim chojrakiem, co?” - krzyknęli, zanim się na niego rzucili.

To właśnie wtedy Vidar zrozumiał, że jest sam. Jak wszyscy. Rodzimy się samotni, umieramy samotni i tacy też się bijemy. Vidar się więc bit. Był pewien, że tam zginie, widział dorosłych mężczyzn opuszczających restaurację. Sam był dzieckiem, ale nikt

nie próbował mu pomóc. Personel wbiegł do kuchni, Vidar nie pamięta nawet, ilu miał przeciwników, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma najmniejszych szans. Mimo to wywijał pięściami. Nagle znikąd pojawił się Pająk - Vidar zapamiętał to tak, jakby przyjaciel brata wskoczył przez okno, ale kto to wie. Pająk bronił go, jakby byli rodziną, i od tej pory tak już to wyglądało. To właśnie wtedy Vidar zrozumiał, że nie trzeba żyć samotnie. Nie zawsze. Nie, jeśli ma się grupę.

Gdy Vidar miał szesnaście lat, pojechali na kolejny wyjazdowy mecz. Pająk miał już wtedy wyrok w zawieszeniu za trochę drobnych przestępstw. Wraz z Vidarem zatrzymali się w parku, podczas gdy reszta „Grupy” poszła dalej. Pająk również miał głowę, w której nigdy nie było cicho, i tak jak Vidar odkrył, że gdy bierze się odpowiednie narkotyki, czasem wszystko zwalnia. Zza rogu wyjechała policja konna, zauważyła dwóch podejrzanych chuliganów, więc Pająk wpadł w panikę i zaczął uciekać. W kieszeniach miał narkotyki, Vidar również. Młodszy brat Teemu potrafił biec szybciej niż Pająk, ale to właśnie ten drugi miał wyrok w zawieszeniu, a Vidarowi brakowało kontroli impulsów. Nie mógł się powstrzymać, by nie pomóc komuś, kogo kochał.

Gdy więc Pająk biegł w jednym kierunku, Vidar pobiegł w przeciwnym - na policjantów. Zarzuty w sądzie były liczne, ale Vidar nawet ich nie pamięta. Nielegalne posiadanie narkotyków, to wie. Agresywny opór i przemoc wobec urzędnika, tak podejrzewa. Później była jeszcze ta sprawa, że uderzył policyjnego konia prosto w pysk. Vidar nigdy za bardzo nie lubił koni. Przemoc wobec policyjnego konia? Na jak długo za to zamykają?

Tak właśnie trafił do placówki i to tam poznał Baloo. Mężczyzna pracował w ośrodku. Nazywano go tak ze względu na posturę i sposób chodzenia, które sprawiały, że przypominał niedźwiedzia z Księgi dżungli. Gdy zostali przyjaciółmi, wydawało się oczywiste, że wychudzonego, ciemnowłosego Vidara nazywa się „Mowglim”. Nowa ksywa pewnie mu nawet pomogła. Mógł udawać, że jest całkiem innym człowiekiem.

Baloo nie mówił zbyt wiele, ale rozumiał, że Vidar ma dużo energii, która potrzebuje pozytywnego ujścia, by nie eksplodować. Gdy się dowiedział, że chłopiec gra w hokeja, wypożyczył strój bramkarza i za każdym razem, kiedy głowa Vidara spalała się w impulsywnych wybuchach gniewu o cokolwiek, Baloo mruzczał cicho: „Już dobrze, Mowgli. Idziemy do piwnicy”. Znajdował się tam magazyn, wystarczająco duży, żeby Baloo mógł stanąć przy jednej ścianie i z całej siły rzucać piłeczki tenisowe w stronę Vidara przy drugiej ścianie. Po jakimś miesiącu Baloo położył tam nową, śliską podłogę, która przypominała lód, żeby można było strzelać prawdziwymi krążkami.

Grali tak często, jak tylko się dało, czasem nawet Baloo łamał zasady i grał z Vidarem nocami. Miał nadzieję, że w ten sposób pomoże chłopcu nie łamać innych zasad. Definicje „opieki” i „kary” ciągle się zmieniają. Baloo robił, co mógł, by nabrały kształtu. Rzadko kiedy dużo mówił, ale to właśnie on protestował najbardziej, gdy zapadła decyzja o wypuszczeniu Vidara. „Nie jest jeszcze gotowy!” - twierdził Baloo. Nikt go nie słuchał. Vidar miał gdzieś wpływowego przyjaciela, kogoś, kto dopilnował, by wszystkie niezbędne dokumenty się zmaterializowały. Gdy Vidar opuszczał placówkę, Baloo szepnął mu tylko smutno do ucha: „Zostań na lodzie, Mowgli. Skup się na hokeju!”.

Leo z siostrą siedzą przy komputerze, Maya zapamięta ten czas tak, jakby grali przez wiele dni. Długo dusi w sobie słowa, w końcu jednak mówi:

- Nie bij się już więcej z mojego powodu. Wiem, że mnie kochasz, ale nie bij się już. Jeśli już, to bij się z innych powodów. Ale nie dla mnie.

- Dobra - przyrzeka młodszy brat.

Nie zamieniają potem ze sobą prawie ani słowa. Czasem Leo coś się nie udaje, chłopiec wybucha gniewem i uderza się w udo, krzyząc „IDIOTA!”, a wtedy Maya śmieje się tak głośno, że aż boli ją gardło. Przez chwilę życie jest takie jak dawniej. Proste.

Ale nagle Mai udaje się coś w grze, tak że nawet Leo jest pod wrażeniem, odwraca się więc, by przybić z nią piątkę. Siostra nie zdąża zareagować i jego ręka trafia ją w ramię.

Maya podskakuje nagle, wywracając krzesło, jakby ją oparzył. Jej oczy są szeroko otwarte i wystraszone, Maya przeklina za to samą siebie, próbuje udawać, że nic się nie wydarzyło, ale Leo już zrozumiał. Młodszy bracia czasem tak mają. Od gwałtu prawie nikt Mai nie dotykał. Nie ma znaczenia, że Leo jest jej bratem, strach nie zna logiki, ciało reaguje niezależnie od mózgu.

Leo wyłącza komputer.

- Weź kurtkę - mówi zdecydowanym tonem.

- Po co? - pyta zawstydzona Maya.

- Coś ci pokażę.

Teemu, Stolarz i Pająk czekają w samochodzie na zewnątrz, gdy Vidar opuszcza placówkę. Teemu jest zmuszony uderzyć Pajaka, żeby przestał już przytulać jego brata. Mieszkanie, które Vidar otrzymał od gminnych zakładów mieszkaniowych, pozostanie puste.

- Muszę mieszkać w domu. Pomóc ci liczyć - mówi do starszego brata.

Teemu całuje go we włosy.

O czym Vidar chce najpierw rozmawiać? O Björnstad Hockey! Jak wygląda drużyna? Jakich mamy w tym roku graczy? Damy wycisk Hed? Jest najbardziej niecierpliwym fanem, miejsce, za którym tęskni najbardziej, poza kuchnią mamy, to stojące trybuny. Teemu nie może się powstrzymać od ciągłego poklepywania brata po ramieniu, nie opowiada mu jednak, że w tym roku Vidar nie musi stać na trybunach, że ma szansę grać! Teemu nic mu nie mówi, bo nie chce, by brat się denerwował. Przez kilka minut jego szczęście jest czyste i nieskomplikowane. Nie chce tego psuć.

Ale Vidar pyta o Benjiego Ovicha. Ostatnio, gdy chłopcy rozmawiali z Vidarem, opowiedzieli mu, że nowa trenerka zrobiła go kapitanem drużyny; byli tacy uradowani, bo uważali Benjiego za swojego. Chłopak z Björnstad, na którego można liczyć, przyjmuje na siebie jeden strzał, a oddaje trzy. Teraz jednak, gdy Vidar go wspomina, zarówno Pająk, jak i Stolarz milkną. Ich spojrzenia robią się ciężkie, słowa jeszcze bardziej.

- Czegoś się o nim dowiedzieliśmy...

Vidar słucha. Chłopcy nie mogą się nawet zmusić, by wypowiedzieć jego imię, mówią o nim, jakby już nie żył. W pewien sposób tak jest; nie żyje przynajmniej ten Benji, za jakiego go mieli. Nie jest już jednym z nich.

Vidar różni się od reszty „Grupy”, nigdy nie przejmował się tym, z kim ktoś sypia. Ale zdaje sobie sprawę, że mężczyźni w czarnych kurtkach nie mówią o orientacji, tylko o zaufaniu i lojalności. Benji udawał kogoś, kim nie był. Jest fałszywy, nie da się na nim polegać. W oczach Pajaka i Stolarza upokorzył „Grupę”.

- Wspieraliśmy go, a on cały czas chciał nas tylko wyjechać w dupę - odcina się Pająk.

Vidar nic już nie mówi. Gdy miał dwanaście lub trzynaście lat, niedługo po tym, jak razem z Pajakiem walczyli w McDonalddie, zapytał: „Czy my jesteśmy chuliganami?”. Pająk potrząsnął zasadniczo głową i odparł: „Nie, jesteśmy żołnierzami. Ja pomagam tobie, a ty pomagasz mnie. Nie mamy w życiu nic, jeśli nie jesteśmy w stanie polegać na sobie na tysiąc procent, rozumiesz?”. Vidar rozumiał. „Grupa” trzymała się ze sobą całe życie. Nie da się zbudować tego rodzaju przyjaźni bez poświęcenia czegoś.

Będą mieć różne powody, by nienawidzić Benjiego. Część z nich czuje obrzydzenie, inni poczuli się zdradzeni, jeszcze inni niepokoją się tym, co będą o nich śpiewać kibice przeciwnej drużyny. Niektórzy z nich mają na szyi wytatuowanego niedźwiedzia - jak bardzo trzeba coś kochać, by to zrobić? Vidar nie mówi więc nic. Zamiast tego cieszy się z powrotu do domu i że wszystko jest jak dawniej.

Gdy Teemu pochyła się w jego kierunku i szepcze mu do ucha: „Nowa trenerka organizuje dla ciebie otwarty trening z pierwszą drużyną, jeśli będziesz wystarczająco

dobry, możesz z nimi grać!", radość wypełnia go bez reszty, tak że nie może już myśleć o niczym innym.

To tylko sport.

Psy zaczynają ujadać, gdy rodzeństwo zbliża się do hodowli, ale rozbudzona Adri wychodzi na zewnątrz i je ucisza. Leo i Maya przystają wystraszeni.

- Czy jest Jeanette? To znaczy... nasza nauczycielka ze szkoły... ma podobno klub sportów walki... To tutaj? - pyta Leo.

Adri ziewa, drapiąc się po rozczochranych włosach.

- „Klub” to za dużo powiedziane. Jeanette jest w stodole.

Leo kiwa z ociąganiem głową, nadal trzyma ręce w kieszeniach, ale z zainteresowaniem przygląda się psom.

-Jaka to rasa?

Adri marszczy czoło, przygląda się po kolei każdemu z rodzeństwa, zastanawiając się, co tutaj robią. Może nawet rozumie, przecież sama ma siostry.

- Lubisz psy? - pyta.

Leo przytakuje.

-Tak, ale mama z tatą się nie zgadzają, żebym miał swojego.

- Chciałbyś mi pomóc je nakarmić?

- PEWNIE! - wybuchają uszczęśliwiony Leo, który sam wygląda teraz jak machający ogonem szczeniak.

Adri spogląda na Mayę przyjaznym wzrokiem.

-Jeanette jest w stodole. Możesz do niej pójść.

Maya wchodzi do stodoły sama. Widząc ją, Jeanette zatrzymuje się w połowie kopnięcia w worek treningowy i stara się ukryć zdziwienie. Maya wygląda, jakby natychmiast pożałowała swojej decyzji. Jeanette wyciera pot z czoła i pyta:

- Chcesz spróbować sportów walki?

Maya zaciska dłonie.

- Nie wiem nawet do końca, co to jest. Brat mnie tu przyciągnął.

- Dlaczego? - pyta Jeanette.

- Boi się, że mogę komuś zrobić krzywdę.

- Komu?

Maya czuje, że coś w niej pęka, gdy się przyznaje:

- Sobie.

W którym miejscu należy zacząć? Jeanette spogląda na dziewczynkę, po czym robi to, co najprostsze - siada na podłodze. Całą wieczność później Maya siada naprzeciwko

niej, metr dalej. Jeanette przysuwa się bliżej, dziewczynka wzdryga się, więc nauczycielka zostaje na swoim miejscu i wyjaśnia spokojnie:

- Spotkasz na swojej drodze ludzi, którzy powiedzą, że sporty walki to przemoc. Dla mnie jednak to miłość. Zaufanie. Bo jeśli mamy razem trenować, to musimy na sobie polegać. Użyczamy sobie nawzajem naszych ciał.

Chwilę później Jeanette wyciąga dłoń i dotyka Mai. Po raz pierwszy od czasu Kevina dotknął jej ktoś poza Aną i się nie wzdrygnęła. Gdy Jeanette pokazuje jej, jak się siłować, jak kogoś złapać i jak się uwolnić z uścisku, Maya uczy się być przytrzymywaną bez śmiertelnego ataku paniki. Za którymś razem jej się nie udaje i odruchowo odrzuca głowę do tyłu, uderzając Jeanette.

- W porządku - mówi cicho nauczycielka, nie przejmując się krwią na wardze i brodzie.

Maya spogląda na zegar na ścianie. Siłowały się już od godziny, uwolnione od wszelkich myśli, dziewczynka jest tak spocona, że jeśli nawet by się teraz rozpląkała, to i tak by tego nie zauważyła.

- Ja po prostu ... czasem tak strasznie się boję, że już nigdy nie będzie dobrze... - mówi zadyszana.

Jeanette nie wie, co ma jej odpowiedzieć ani jako nauczycielka, ani jako człowiek, mówi więc to, co każdy trener:

- Jesteś zmęczona?

- Nie.

- No to jeszcze jedna runda!

Maya nie przechodzi w stodole kuracji. Nie buduje wehikułu czasu, nie zmienia przeszłości, nie traci pamięci. Będzie tu jednak codziennie wracać i trenować sporty walki. Któregoś dnia w kolejce w sklepie spożywczym jakiś mężczyzna, przechodząc obok, niechcący na nią wpadnie. A Maya się nie wzdrygnie. To będzie jej największy sukces wśród codziennych niewielkich wydarzeń w życiu. Nikt tego oczywiście nie zrozumie. Ale tego dnia Maya wróci do domu, wiedząc, że jest na dobrej drodze. Wieczorem znów pójdzie na trening. Następnego dnia również.

To tylko sport.

Ana siedzi wysoko na drzewie niedaleko hodowli. Widzi, jak Maya i Leo wracają do domu przez las. Śledziła ich, sama nie wie dlaczego, w jakiś sposób chce być po prostu blisko Mai. Tak bardzo bez niej marznie.

Są tylko kilka metrów od siebie, gdy Maya mija ją na ziemi. Ana mogłaby pewnie coś zawołać, zejść na dół i błagać przyjaciółkę o wybaczenie. Ale to nie jest tego typu

historia. Ana siedzi więc nadal wysoko na drzewie, przyglądając się, jak jej przyjaciółka odchodzi.

Następnego dnia Vidar jedzie do szkoły autobusem. Wiele osób wie, kim jest, więc nikt nie ma odwagi koło niego usiąść. Nie boi się dopiero młodsza dziewczyna, która wsiada na przystanku na obrzeżach Wzgórza. Ma potargane włosy, smutne oczy i nazywa się Ana.

Vidar zwraca najpierw uwagę na to, że kostki dziewczyny są niezwykle delikatne, tak jakby jej stopy nie były stworzone do chodzenia po podłodze, tylko do biegania po lesie i skakania po kamieniach. Ana zwraca najpierw uwagę na czarne włosy Vidara, tak rzadkie, że spływają mu po twarzy niczym krople deszczu na szybie.

Za wiele lat powiemy może, że to była opowieść o przemocy. Ale nie będzie to prawda, nie do końca.

Była to również opowieść o miłości.

Tylko jeśli będziesz najlepszy

WBjörnstad odbywa się konferencja prasowa. Dla wielu to najgorszy możliwy moment, ponieważ mają wrażenie, że miasto wybuchnie zaraz tysiącem różnych konfliktów. Dla niektórych najlepszy. Na przykład dla Richarda Theo.

Przedstawiciele nowych właścicieli przylatują z Londynu, lokalne gazety fotografują ich, gdy przed fabryką ściskają zadowoleni dłoń wakacyjnego polityka. Peter Andersson obowiązkowo stoi obok, głos mu drży, a wzrok wbija w ziemię, gdy publicznie obiecuje „przedsięwzięcie kroków przeciwko chuliganom”.

Wakacyjny polityk pęka z dumy. Rozpoczyna konferencję, wspominając poważanego i skromnego kolegę z pracy, Richarda Theo: „Zasługuje na słowa podziękowania za ogromną pomoc dla gminy, bez jego kontaktów i wytrwałej pracy przez ostatnie kilka miesięcy nigdy byśmy tego nie osiągnęli”. Wakacyjny polityk wspomina następnie, odrobinę mniej skromnie, o swoim niesamowitym wkładzie w zawarcie tej umowy. Wpływy z podatków będą niewiarygodne, wyjaśnia, a co najważniejsze: „Uratujemy miejsca pracy w Björnstad!”.

Nagle polityczka stojąca u jego boku zabiera głos. Wakacyjny polityk jest tak zdziwiony, że początkowo nawet nie reaguje. „Oczywiście nie tylko w Björnstad” - mówi kobieta. „W porozumieniu z nowymi właścicielami fabryki osiągnęliśmy szeroki polityczny kompromis, w ramach którego wspierać będziemy też robotników z Hed! To nasze założenie: jeśli gmina ma finansowo wspierać fabrykę, to musi mieć z tego korzyść CAŁA gmina”.

Dziennikarze zapisują, robią zdjęcia i filmują. Wakacyjny polityk gapi się na kobietę, która odwzajemnia jego spojrzenie. Jest bezsilny, bo co może teraz powiedzieć? Że nie zamierza przeznaczyć części stanowisk dla ludzi z Hed? On też wkrótce startuje w wyborach. Trzęsie się ze złości, uśmiech do kamer jest wymuszony, ale gdy pada pytanie o miejsca pracy, stwierdza: „Odpowiedzialna polityka musi oczywiście angażować... całą gminę”. Pochyliła się, gdy to mówi, polityczka czuje natomiast, jak przybywa jej kilka centymetrów wzrostu.

Wczesnym rankiem kilka miesięcy później na schodach przed drzwiami domu polityczka znajdzie kopertę z dokumentami wskazującymi, że wakacyjny polityk robił interesy na rynku nieruchomości w Hiszpanii, używając do tego pieniędzy z nielegalnych źródeł. Ostatecznie okaże się, że polityk był całkowicie niewinny, ale Richard Theo nie potrzebuje dowodów, a jedynie ziarnka zwątpienia. Artykuły o „przekręcie budowlanym” trafią na pierwsze strony gazet, notatka potwierdzająca niewinność polityka składać się będzie z kilku skromnych linijek, wydrukowanych na jednej z ostatnich stron lokalnej gazety. Po politycznej karierze podejrzanego nie zostanie ani śladu, bo jego koledzy z partii uznają, że „partii nie stać na skandale”. Zostanie zastąpiony koleżanką, która ma wprowadzić w Björnstad wielu wrogów, ale jest za to uwielbiana w Hed.

Benji nie przychodzi na treningi drużyny. Do nikogo nie dzwoni, nie odpowiada też na żadne telefony. Któregoś wieczoru, gdy większość lamp na hali jest już pogaszona, a szatnia od dawna pusta, stoi jednak samotnie na lodowisku w dżinsach i łyżwach oraz z kijem w ręce. Przyszedł postrzelać do bramki, tak jak robił to miliony razy wcześniej, i sprawdzić, czy nadal kocha to tak samo. Czy może być jak dawniej. Jego wzrok zatrzymuje się na wymalowanym na środku lodowiska niedźwiedziu. Ktoś podjeżdża do niego i zatrzymuje się zaraz obok. To Elisabeth Zackell.

- Zamierzasz grać w meczu z Hed? - pyta bez sentymentów.

Benji przełyka niepewnie ślinę, nadal ze wzrokiem wbitym w niedźwiedzia.

- Nie chcę być... problemem. Dla drużyny. Nie chcę, żeby czuli się...

- Nie o to pytałam. Zamierzasz grać czy nie? - ponawia pytanie trenerka.

Benji zamyka szybko oczy, otwiera je potem powoli.

- Nie chcę być obciążeniem dla klubu.

- Masz w planach uprawiać seks w szatni?

- Co... kurwa?

Zackell wzrusza ramionami.

- Ludzie chyba tak właśnie myślą. Że geje zniszczą dyscyplinę w drużynie. Jeśli wszyscy zaczną ze sobą sypiać w szatni.

Benji marszczy czoło.

- Gdzie pani to niby słyszała?

- Masz w planach uprawiać seks w szatni?

- No proste, kurwa, że nie!

Zackell ponownie wzrusza ramionami.

- No więc nie jesteś w takim razie żadnym obciążeniem. Hokej to hokej. Poza lodowiskiem ludzie mogą o tobie mówić różne rzeczy, ale tutaj nie ma to znaczenia. Jeśli jesteś dobry, to jesteś dobry. Jeśli trafiasz do bramki, to trafiasz do bramki.

Benji nie wygląda na przekonanego.

- Ludzie mnie nienawidzą. Pani też. Może to dla nich po prostu za dużo, że i ja, i pani jesteśmy ... no wie pani. JEDNEGO by jeszcze może jakoś przeżyli. . . ale dwoje w tej samej drużynie to... dla ludzi za dużo.

- Co masz na myśli? - pyta zdziwiona Zackell.

Benji unosi brew.

- Że pani jest... lesbijką.

- Nie jestem lesbijką - odpowiada Zackell.

Benji gapi się na nią.

- Wszyscy myślą, że...

- Ludzie dużo myślą. Za bardzo przejmują się uczuciami.

Benji gapi się na nią z otwartymi ustami. Potem wybucha śmiechem. Nie może się powstrzymać.

- Nie mogę, serio, trenerze, wie pani, że wszystko byłoby dla pani o wiele prostsze w tym mieście, gdyby tylko opowiedziała pani, że nie jest...

- Jak ty?

- Tak...

Zackell prycha.

- Nie uważam, że ciąży na tobie jakiś obowiązek opowiadania wszystkim, z kim chciałbyś uprawiać seks. Na mnie zresztą też nie.

Benji rysuje łyżwą ślady na lodzie. Długo się zastanawia, zanim w końcu zadaje pytanie:

- Myśli pani czasem o tym, że lepiej by było być facetem?

- A dlaczego miałabym tak myśleć? - zastanawia się Zackell.

Benji patrzy na niedźwiedzia na lodzie. Próbuje dobrać odpowiednie słowa.

- Żeby nie musiała być pani trenerką hokeja.

Zackell powoli kręci głową, ale tym razem nie wygląda na niewzruszoną.

- Mój ojciec życzył sobie pewnie nieraz, żebym była chłopcem.

- Dlaczego?

- Bo wiedział, że żeby zyskać akceptację, zawsze będę musiała być co najmniej dwa razy lepsza od mężczyzn. To samo dotyczy teraz ciebie. Będiesz oceniany inaczej. Ci, którzy mnie nienawidzą, pozwolą mi prawdopodobnie trenować drużynę, ale tylko jeśli wygramy. Pozwolą ci też pewnie grać, ale tylko jeśli będziesz najlepszy. Już nie wystarczy, że jesteś po prostu dobry.

- To tak cholernie niesprawiedliwe - mówi cicho Benji.

- Niesprawiedliwość to o wiele bardziej naturalny stan w przyrodzie niż sprawiedliwość - odpowiada Zackell.

- Tak mówił pani tata?
 - Mama.
- Benji przełyka ciężko.
- Nie wiem, czy będę mógł być kapitanem.
 - Okej - odpowiada Zackell.

Po czym odjeżdża bez słowa. Tak jakby te nie były już więcej potrzebne.

Benji zostaje sam na środku lodowiska. Po chwili przynosi stos krążków i rzuca je na lód jeden po drugim, może już po raz ostatni. Ten sport nigdy nie zadowoli się byciem tylko częścią siebie, trzeba poświęcić mu zbyt dużo, zbyt wiele rzeczy wie się o nim, tylko jeśli oddało się hokejowi całe życie. Jak bardzo bołą stopy po pierwszym treningu po letniej przerwie. Jak niesamowicie śmierdzą rękawice pod koniec sezonu. Jaki dźwięk się pojawia, gdy uderzy się mocno w bandę albo uderzy krążkiem w pleksę. Jakie specyficzne echo odbija się w każdej hali lodowiska. Jak śpiewa każdy strzał przy pustych trybunach. Jakie to uczucie po prostu móc grać. Jak bije wtedy serce.

Bang-bang-bang-bang-bang.

Pierwszego ranka, gdy Ana przysiadła się do Vidara, żadne z nich nie mówi ani słowa. Anę za bardzo męczy poczucie winy i tęsknota, całą szkołę jeździła na zajęcia z Mayą, samotność to dla niej szok. Dużo teraz śpi, licząc na to, że obudzi się i odkryje, że jej życiowy błąd był tylko złym snem. Niestety, tak się nie dzieje.

Następnego ranka znów siada koło Vidara i gdy autobus zbliża się już do szkoły, spogląda na niego. Vidar udaje, że jest zajęty telefonem, ale Ana zauważa, że się jej przygląda. To jeden z tych, którzy nie mogą przestać.

- W co grasz? - pyta.
- Co? - mamrocze chłopak, tak jakby dopiero teraz zwrócił na nią uwagę.

Ana nie daje się łatwo nabrać.

- Słyszałeś.

Vidar wybucha śmiechem, zawsze tak się dzieje, gdy jest zestresowany. Wkrótce zauważy, że gdy Ana się denerwuje, opowiada sarkastyczne dowcipy. Gdyby przeżyli ze sobą całe życie, byłiby pewnie najmniej przyjemną parą na pogrzebie. Jedno nie potrafi przestać żartować, a drugie chichotać.

- W Minecrafta - odpowiada po chwili.
- Ile ty masz lat? Siedem? - zastanawia się Ana.

Vidar się śmieje.

- To pozwala mi nie myśleć... Mam problem z kontrolowaniem impulsów. Psycholog twierdzi, że Minecraft pomaga. Lepiej się koncentruję, gdy ... tylko gram.

Autobus się zatrzymuje. Uczniowie wylewają się z niego tłumnie. Ana nie spuszcza wzroku z Vidara.

- Jesteś młodszym bratem Teemu Rinniusa, prawda? Siedziałeś w więzieniu, nie?

Vidar wzrusza ramionami.

- E, to było bardziej jak świetlica.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie możesz się skoncentrować? Masz jakiś syndrom czy co?

- Nie wiem.

Ana się uśmiecha.

- Jesteś po prostu zwyczajnie walnięty w głowę?

Vidar wybuchają śmiechem.

- Są tacy, którzy twierdzą, że jestem psychopatą. Nie powinnaś ze mną rozmawiać!

Ana przygląda mu się badawczo, mierzy go od stóp do głów. Czarne włosy opadają mu na oczy.

- Jesteś zbyt miły jak na psychopatę - podsumowuje.

Vidar marszczy czoło.

- Lepiej uważaj! Może mam nóż!

Ana prychnęła.

- Jakbyś miał nóż, nie bałabym się ciebie, nawet gdybym była chlebem.

Vidar zadurza się w niej bez pamięci, bo należy do ludzi, którzy nie wiedzą, kiedy przestać.

Psychopaci nie chodzą na spacer

Elisabeth Zackell przeprowadza otwarty trening wczesnym rankiem. Pojawia się na nim spora grupa zawodników, kilku juniorów, którzy nie mają gdzie grać, ponieważ Björnstad Hockey nie zapewniło im w tym roku drużyny, oraz kilku starszych graczy, zwolnionych z dotychczasowych klubów i pozostających na ten moment bez kontraktu. Żaden z nich nie jest wystarczająco dobry, by dostać miejsce w drużynie Zackell. Znaleźli się tu tylko w roli statystów, tak by klub mógł oficjalnie przeprowadzić otwarty trening. Zackell interesuje wyłącznie Vidar, ale najpierw musi go znaleźć, bo chłopak nie pojawił się jeszcze na lodowisku. Trenerka odnajduje go w kantorku dozorczy.

- Mogę jakoś pomóc? - pyta.

- Macie tu jakąś piłę?

- Do czego?

Vidar podnosi bramkarski kij.

- Jest za długi.

Podczas tych wszystkich nocy w zamknięciu, gdy grał razem z Baloo, musiał odbijać wybronione piłeczki na drugą stronę piwnicy. Nie mógł mieć na sobie łyżew, odpiłował więc górną część kija, by ten nie był za długi. Niechcący przyciął za dużo, kij zrobił się za krótki, ale Vidar odkrył, że dzięki temu jego podania stały się mocniejsze i bardziej precyzyjne. W zamknięciu jedyne, czego ma się w nadmiarze, to czas. Vidar zaczął więc eksperymentować z różnymi długościami. Oklejał też kij, nie tworząc na jego czubku gałki, tak jak to robi większość bramkarzy, dzięki temu polepszyła się przyczepność.

Zackell pomaga mu znaleźć piłę, nie rozumiejąc do końca, co chłopak zamierza. Ale gdy zadowolony z efektu Vidar wychodzi na lód, wyłapuje krążek i bez trudu posyła go dalej tak, że ten odbija się od przeciwległej bandy i wraca.

- Możesz to powtórzyć? - pyta Zackell.

Vidar przytakuje. Zackell ustawia go w jednej bramce, a sama staje w drugiej.

- Podaj! - krzyczy.

Vidar robi, co mu kazano. Przez całe lodowisko, prosto w kij trenerki. Może nie jest to jakaś wielka rzecz, jeśli człowiek nie interesuje się hokejem. Zackell doskonale jednak zdaje sobie sprawę, że większość bramkarzy w lidze, w której gra Björnstad, nie trafiłaby krążkiem do wody, nawet stojąc w łódce na środku jeziora. Ten chłopak to idealny bramkarz, gdy krążek będzie miał rywal, i dodatkowy zawodnik, gdy krążek jest w naszym posiadaniu, myśli. A to umożliwia wygraną.

- Ustaw się w bramce - nakazuje.

Vidar jej słucha. Zackell uderza krążek za krążkiem, jest dobrym strzelcem, ale bramkarz wylapuje wszystko. Trenerka pozwala też strzelać pozostałym zawodnikom na treningu. Ani jeden z nich nie trafia do bramki. W kolejnej rundzie strzelają po dwóch naraz, potem po trzech, pod różnymi kątami. Vidar nie przepuszcza praktycznie niczego. Ma niesamowity refleks.

Zackell rozgląda się po hali. W najwyższym rzędzie trybun siedzi Peter Andersson. Daleko po drugiej stronie, na trybunie stojącej, grze przygląda się Teemu Rinnius. Pająk i Stolarz dotrzymują mu towarzystwa. Teemu bezskutecznie próbuje ukryć dumę. Jego koledzy nawet nie próbują.

Zackell odwraca się do Vidara, krzycząc:

- Przerwa na wodę!

Pozostali zawodnicy przestają grać. Vidar zdejmuje kask, czarne spocone włosy kleją mu się do twarzy. Odwraca się tyłem do Zackell i podnosi butelkę z wodą. Trenerka bierze rozbieg i z całej siły wystrzeliwuje mu krążek prosto w plecy. Vidar podskakuje i się odwraca, Zackell w tym samym momencie strzela kolejny raz, tak że krążek przelatuje jakiś metr od jego niechronionej kaskiem głowy.

Na trybunach Teemu krzyczy NIE!, ale Vidar się nie zastanawia, tylko już pędzi w stronę Zackell. Do nikogo na lodzie nie dociera, co się właśnie dzieje, i jeśli Teemu nie znałby swojego brata tak dobrze, Zackell z pewnością nie wyszłaby z tego cało. Vidar rzuca się na nią z pięściami, Teemu wybiega z trybun, wykopuje drzwi do boksu i przeskakuje przez bandę prosto na lodowisko. Mimo że ślizga się w trzewikach, udaje mu się złapać brata z całej siły za koszulkę i odciągnąć od trenerki. Pająk i Stolarz są kilka kroków za nim, we trzech powstrzymują teraz Vidara przed podniesieniem się i zabiciem Zackell.

- CZY PANIĄ CAŁKIEM POJEBAŁO? - krzyczy w jej kierunku Teemu, ale trenerka nie jest wystraszona. Ba! Nawet się uśmiecha.

- Może pan obiecać, że brat będzie przychodził na czas na każdy trening i że zagra w każdym meczu?

Vidar nadal zaciekle walczy w żelaznym uścisku przyjaciół. Teemu gapi się na Zackell.

- Mogła go pani zabić! Mógł ... SAMA mogła pani zginąć! Mógł PANIĄ zabić!

Zackell przytakuje zadowolona.

- Dokładnie! Vidar ma totalnie w dupie, że jestem kobietą. I tak chciał mnie zabić, nie? Dla niego jestem jedynie trenerem hokeja! Obieca mi pan, że brat będzie przyszedł na każdy trening na czas?

Teemu spogląda na nią spode łba. Baba jest z całą pewnością walnięta.

- Mówi pani, że Vidar ma miejsce w drużynie?

Zackell prycha.

- Miejsce w drużynie? Całą drużynę zbuduję WOKÓŁ niego! Zrobię z niego zawodowca!

Teemu przełyka ciężko ślinę i przybity odpowiada:

- Okej. Obiecuję, że będzie na czas na każdy trening.

Zackell kiwa głową i opuszcza lodowisko. Skończyła na dziś. Pozostali zawodnicy otrzymają tylko krótką informację, że nie są wystarczająco dobrzy do jej drużyny. Trenerka jest szczerą, sprawiedliwą i bezwzględna. Dokładnie tak samo jak sport.

Na lodowisku Vidar w końcu się uspokaja. Wyczerpany i spocony leży na lodzie. Teemu siada obok niego. Vidar odwraca się w jego stronę i mamrocze sceptycznie:

- Brat, co jest? Płaczesz?

- Nie płaczę, kurwa - odcina się Teemu, odwracając głowę.

- Wyglądasz, jakbyś...

- IDŹ SIĘ JEBAĆ! - krzyczy Teemu, uderzając brata tak mocno w ramię, że ten aż się kuli, po czym zrywa się z lodu i wychodzi z hali lodowiska.

Elisabeth Zackell wskakuje do gabinetu Petera Anderssona.

- Widziałeś trening!?! - wykrzykuje.

- Tak - odpowiada Peter.

- Może grać? - dopytuje Zackell.

- Możesz go kontrolować?

- Nie! I o to właśnie chodzi! - odpowiada z błyskiem w oku Zackell.

Wyraźnie się cieszy. Petera zaczyna od tego boleć głowa.

Na parkingu przed halą lodowiska stoi stary saab. Teemu wychodzi z lodowiska, zapala papierosa, idzie samotnie w stronę samochodu, siada na miejscu pasażera i zamyka za sobą drzwi. Gdy jest już pewien, że nikt nie patrzy, opiera głowę o deskę rozdzielczą i zamyka oczy.

Nie płacze.

Idźcie się wszyscy jebać!

Następnego ranka Ana znów siada w autobusie koło Vidara. Chłopak gra w Minecrafta, by móc się wystarczająco skoncentrować i mieć odwagę zapytać:

- Będę grał w pierwszej drużynie Björnstad Hockey. Chcesz przyjść zobaczyć?

Ana mówi podejrzliwie:

- Nie wiedziałam, że jesteś hokeistą. Myślałam, że tylko chuliganem, jak pozostali w „Grupie”.

Wymawia „Grupie” bez strachu. Jak nikt inny w tym mieście. Kolejne pytanie Vidara jest nieśmiałe, pobrzmiwa w nim prawie uraza:

- Nie lubisz chuliganów?

Ana prycha.

- Nie lubię hokeistów.

Vidar się śmieje. Do diabła, jak ona potrafi go rozśmieszyć. Zanim autobus zatrzymuje się przy szkole, Vidar wyjaśnia poważnie:

- „Grupa” to nie chuligani.

- A kto? - pyta Ana.

- Bracia. Każdy z nich to mój brat. Oni mi pomagają, a ja pomagam im!

Nie ocenia go za to. Kto nie chciałby mieć braci?

Mayę podwozi do szkoły mama. Mira nie pyta córki, dlaczego ta nie jeździ już z Aną, za bardzo się cieszy, że Maya pozwala jej podjechać aż pod sam budynek, nie wstydząc się tego. Jeszcze pół roku temu córka żądała, by wysadzać ją kilkaset metrów wcześniej, tak żeby ostatni kawałek mogła przejść sama. Ale teraz Mira podjeżdża aż do przystanku autobusowego, córka przechyla się przez siedzenie, całuje mamę w policzek i mówi:

- Dziękuję! Widzimy się później!

Te małe, nic nieznaczące słówka, które nie powinny wzruszyć dorosłej kobiety, stają się jednak całym światem, gdy jest się czyjąś matką. Mira odpływa sprzed szkoły w obłokach.

Maya wchodzi do budynku sama. Sama zabiera z szafki książki, sama siedzi podczas lekcji i w czasie lunchu. To jej wybór. Jeśli nie może ufać najlepszej przyjaciółce, to w takim razie komu?

Ana wchodzi do tego samego budynku, kilka kroków za Mayą. Człowieka otacza specyficzny rodzaj zimna, gdy jest zmuszony oglądać najlepszą przyjaciółkę z daleka, wiedząc, że nic już z tego nie będzie. Miały w zwyczaju rozstawać się sekretnym

uściskiem dłoni, który ustaliły jeszcze jako dzieci: pięść do góry, pięść w dół, dłoń, dłoń, motyl, haczyk na palcu, pistolety, jazzowe ręce, minirakieta, eksplozja, tyłek do tyłka, out bitches. To Ana wymyśliła wszystkie nazwy. Na końcu, po tyłek do tyłka, Ana wyrzucała ręce do góry, krzycząc: ... and Ana is OUTbitches.

Teraz Maya wchodzi do szkoły, nie zauważając nawet, że Ana idzie zaraz za nią. Ana nienawidzi siebie samej, nawet bardziej za to, co zrobiła przyjaciółce, niż Benjiemu. Schodząc jej z oczu, po raz ostatni pokazuje, jak bardzo ją kocha.

Maya znika w korytarzu. Ana stoi przybita. Vidar wyciąga do niej rękę.

- Wszystko w porządku?

Ana patrzy na niego, jest w nim coś, co czyni ją szczerą.

- Nie - odpowiada.

Vidar poprawia odruchowo włosy i mamrocze:

- Chcesz stąd wiać?

Ana sili się na uśmiech.

- Dokąd?

Vidar wzrusza ramionami.

- Nie wiem.

Ana rozgląda się po korytarzu. Nienawidzi tego miejsca. Nienawidzi siebie tutaj.

- Masz ochotę na spacer? - pyta.

- Spacer? - powtarza za nią Vidar, jakby mówiła w innym języku.

- Psychopaci nie chodzą na spacer? - zastanawia się Ana.

Vidar wybucha śmiechem. Uciekają ze szkoły, godzinami spacerują ramię w ramię po lesie. To właśnie tam Ana się w nim zakochuje. We wszystkich jego najbardziej niezgrabnych, nierównych i nerwowych ruchach. Vidar zakochuje się w niej, bo jest niezwykła i delikatna jednocześnie, tak jakby zrobiona była ze skorupki jajka i żelaza. Nie może się powstrzymać i próbuje ją pocałować. Ona oddaje mu pocałunek.

Gdyby dane im było spędzić ze sobą całe życie, byłiby niesamowitą parą.

Tytuły w lokalnej gazecie po konferencji prasowej są jednoznaczne: Nowe miejsca pracy- polowa z nich zarezerwowana jednak dla Hed!.

W tym samym artykule znaleźć można wypowiedzi różnych polityków. Większość z nich jest w szoku. Gdy dziennikarka prosi o odpowiedź, starają się więc powiedzieć coś neutralnego, nie prowokując żadnej ze stron. Jedyńm, który się wyróżnia, jest oczywiście Richard Theo. Brzmi spontanicznie, chociaż pieczołowicie się do tego przygotowywał: „Co myślę o podziale stanowisk pracy w fabryce? Nie lubię

wszelkiego rodzaju podziałów. Uważam, że praca w Björnstad powinna być dla mieszkańców Björnstad". Nie jest to żadna wielka myśl, niesie się jednak szybko.

W przeciągu kilku godzin hasło „Praca w Björnstad dla mieszkańców Björnstad” zaczyna rozprzestrzeniać się nie tylko w Internecie, ale również w barze i przy domowych obiadach. Następnego dnia hasło jest już widoczne na kartce, którą ktoś zostawił na masce samochodu wakacyjnego polityka.

Żeby kartki nie porwał wiatr, nadawca przytwierdził ją do maski siekierą. Kartki mogą przecież tak łatwo ulecieć, gdy zmienia się wiatr.

Zaraz po konferencji prasowej Peter obdzwania ekipy budowlane. Wszyscy odbierają, mają czas i chcą się podjąć zadania. Dopóki nie wyjaśnia im, że chodzi o usunięcie stojącej trybuny. Natychmiast ktoś wymawia się „brakiem czasu”, a ktoś inny mówi, że „nie mają w tym zakresie doświadczenia”. Niektórzy odkładają wręcz słuchawkę. Kilku przyznaje otwarcie: „Peter, do cholery, mamy przecież rodziny!”. W jednej z firm, do których dodzwania się Peter, odbiera stolarz, nazywany przez wszystkich po prostu „Stolarzem”. Gdy Peter przedstawia sprawę, mężczyzna zaśmiewa się tylko w głos. Szyderczo.

Kilka godzin później Mira znajduje przed domem karton do przewodów. Z daleka wydaje się pusty, ale Mira wie swoje. Przechyliła go delikatnie na bok i słyszy metaliczny dźwięk obracającego się na dnie metalowego przedmiotu. Widzi, jak mieni się w świetle spływającym z okien dziecięcych pokoi.

Nabój do pistoletu.

Do czego jesteśmy zdolni?

Większość z nas nie jest świadoma tego, do jakich przerażających rzeczy jesteśmy zdolni. Skąd mamy to wiedzieć, dopóki nie zostaniemy wystarczająco mocno sprowokowani? Kto może przypuszczać, jak groźni możemy być, dopóki nasza rodzina nie zostanie wystawiona na niebezpieczeństwo?

Mira stoi schowana w cieniu. Śledziła Teemu w drodze ze sklepu spożywczego, mężczyzna w obu rękach niesie teraz siatki, z których jedna prawie w całości wypełniona jest papierosami. Wchodzi do Futra. Gdy ponownie się pojawia, jest sam na pustej ulicy. Mira nie jest pewna, jakie demony właśnie ją opętały, że ma odwagę do niego podejść.

- Teemu Rinnius! - syczy groźniej, niż sama się czuje.

Mężczyzna się odwraca.

- Tak?

Mira podchodzi do niego ze zgniecionym kartonem przewodzkowym w rękach. Staje tak blisko, że mężczyzna czuje jej oddech. Na piętrze nad Futrem otwiera się okno. Starsza kobieta wygląda na zewnątrz, ale Mira jest zbyt zaaferowana, by zwrócić na to uwagę.

- Wie pan, kim jestem? - pyta Mira.

Teemu kiwa głową, pięć centymetrów od jej twarzy.

-Żoną Petera Anderssona.

Mira przechyla głowę do tyłu, tylko odrobinę, ale jej głos tężeje.

- Jestem matką Leo Anderssona i Mai Andersson! I prawniczką! Może boję się pana tak samo jak wszyscy inni w tym mieście, ale jednego może pan być pewien: jeśli jeszcze raz będzie pan groził mojej rodzinie, to ja zacznę grozić PAŃSKIEJ!

Rzuca mu karton pod nogi. Teemu unosi brew.

- Grozi mi pani?

Mira przytakuje.

- Może pan być tego pewien! Może pan też przekazać wszystkim tchórzliwym glistom w pańskiej małej „Grupie”, że jeśli jeszcze raz któryś z nich zostawi mi na podjeździe nabój, to wsadzę go prosto w pana głowę!

Teemu nie odpowiada, jego oczy nie zdradzają, co myśli. Mira powinna się może w tym momencie powstrzymać, ale już dawno przekroczyła granicę. Wyciąga coś z torebki. Puste opakowania po lekach. Trzyma mu je szyderczo przed oczami.

- Pojechał pan do mojej rodziny, więc ja wybrałam się do pańskiej. Te opakowania znalazłam w koszu na śmieci pańskiej matki. To leki zakwalifikowane jako narkotyki. Czy pańska mama ma na nie receptę? W innym wypadku popełnia przestępstwo. A przede wszystkim przestępstwo popełnia jej diler. A to pan, prawda? Jak pan myśli, co się stanie, jeśli się za pana wezmę?

Teemu mruga powoli, częściowo z zafascynowania. Gdy jednak robi w jej kierunku krok, Mira się cofa. Wszyscy tak robią. Jego słowa brzmią jak rozkaz:

- Proszę stąd iść. Natychmiast.

Mira niechętnie schyla głowę. Wiele razy będzie to sobie wyrzucać - ale nigdy nie jesteśmy pewni, do czego jesteśmy zdolni, dopóki ktoś wystarczająco nas nie sprowokuje. Mira opuszcza ulicę, zmuszając się, by nie pobiec w stronę samochodu. Ledwie jej się to udaje.

W hodowli Adri karmi psy. Nie przyjechały dziś żadne samochody z alkoholem w bagażniku, nie pojawili się też żadni myśliwi na kawę. Nie jest pewna, czy dlatego, że nie chcą, czy też nie mają odwagi. W tych okolicach zawsze trochę trudno rozróżnić, czy ludzie chcą coś powiedzieć i odpuszczają, czy też po prostu odpuszczają, bo nie wiedzą, co chcą powiedzieć.

Adri dzwoni do swojej przyjaciółki Jeanette, która jeszcze siedzi w szkole i poprawia sprawdziany oraz wypracowania. W dzieciństwie to Jeanette dzwoniła do Adri, żeby zapytać, czy się pobawią, nigdy na odwrót. Teraz jednak Adri pyta:

- Przyjedziesz potrenować?

Jeanette wyrusza od razu. Podnoszą ciężary i uderzają w worki treningowe, aż nie mają już siły podnieść rąk. Jeanette nie obiecuje Adri, że wszystko będzie dobrze, bo nie ma młodszego brata, więc skąd miałyby to wiedzieć. Ale zostaje i trenują tak długo, jak chce Adri, a gdy na drodze nadal nie pojawia się żaden samochód z myśliwymi, Jeanette uznaje, że to w sumie dobrze. Widzi bowiem w oczach przyjaciółki, że jeśli ktoś tu trafi i powie coś głupiego o jej bracie, to trzeba będzie go stąd wynieść.

Teemu nadal stoi pod Futrem, okno na piętrze jest wciąż otwarte. Głos Ramony niesie się wolno:

- Podobno daliście Leo Anderssonowi czarną kurtkę w szkole. Ale jego ojcu podsyłacie nabój. Gdzie w tym logika?

Teemu uśmiecha się pewnie, bo ma brata, z którym dzieli matkę.

- Może po prostu wiemy, że nie trzeba być takim samym świnią jak własny ojciec.

To wymówka, Ramona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Gasi papierosa o parapet okna.

- Jeśli to ty zostawiłeś u nich nabój, to nie wiem już wcale, co mam o tobie myśleć...

Teemu przerywa jej przeproszającym i zawstydzonym tonem, którego nie używa wobec nikogo innego:

- To nie ja. Ale nie kontroluję każdego ...

Ramona również mu przerywa, jej ton jest daleki od dobrotliwego:

- Nawet mi tu nie próbuj! Może i nie kontrolujesz, co robią wszyscy twoi chłopcy, ale cholernie dobrze wiesz, że ŻADEN z nich nie zrobiłby czegoś, co zabroniłeś!

- Ja ... - próbuje oponować Teemu, ale Ramona nie daje mu szansy.

- Ty i ja nie oceniamy ludzi. Nigdy tego nie robiliśmy. Ale tylko dzieci biorą odpowiedzialność jedynie za to, co robią. Dorośli muszą też odpowiadać za to, co powodują. Jesteś przywódcą. Mężczyźni podążają za tobą. Jeśli więc nie weźmiesz odpowiedzialności za swój ogon, to jesteś tylko zwykłym potworem.

Mira nigdy nie opowie Peterowi ani dzieciom o naboju. Gdy wraca do domu, na swoim podjeździe, na składanych polowych krzeselkach, siedzi dwóch sąsiadów: stara babcia i jeszcze starszy od niej dziadek w zielonych koszulkach. Drzwi do ich garażu nadal są otwarte, w korytarzu pali się światło. Mira widzi, że myśliwska broń dziadka stoi oparta o ścianę. Mężczyzna jest stary i powolny, broń nie jest pewnie nawet naładowana, ale to nie ma znaczenia. Babcia kiwa na Mirę i mówi:

- Proszę iść i spróbować się przespać. My tu jeszcze posiedzimy i popilnujemy ruchu na ulicy.

Dziadek otwiera termos i mruczy:

- Mówi się, że niektóre firmy przeprowadzkowe w mieście dostały ostatnio złe informacje i jeździły pod złe adresy. Ale w tej okolicy to się już nie powtórzy.

To małe słowa. Niewielki gest. Wszystko, czego potrzeba, by powiedzieć, że my też tu mieszkamy. A z nami nikt nie zadziera.

Teemu stoi zamyślony przed halą lodowiska. Björnstad spowija ciemność, jedyne oświetlone biuro to gabinet Petera. Co powinno się zrobić dla swojego klubu? Dla swojego miasta? Do kogo ono należy? Komu pozwala się w nim mieszkać? W końcu Teemu dzwoni do Pająka i pyta:

- Kto zostawił karton u Petera?

Pająk odchrząkuje zdeorientowany.

- Przeważnie nie chcesz wiedzieć, kto co robi. Tylko... jak ty to zwykle mówisz? „Dam wam znać, jak przesadzicie”.

To prawda. W ten sposób „Grupa” chroni Teemu. To, o czym nie wie, nie może mu zostać przypisane później w sądzie. Ale teraz mówi:

- Przesadziliście. Nie powtarzajcie tego numeru.

Zarost Pająka ociera się o słuchawkę.

- To nie ... my. To jacyś gówniarze, szczeniaki z trybuny. Kurwa, Teemu, wiesz, co wszyscy czują! Młodzi słyszą, jak ich starzy opowiadają, że wszystkie miejsca pracy idą teraz do Hed, a potem słyszą, że Peter chce zlikwidować trybuny. Szczeniaki chciały ci zaimponować! Myśleli, że się ucieszysz!

Teemu zakrywa dłonią oczy. Wzdycha ciężko.

- Nie bądź dla nich za ostry. Przypilnuj tylko, żeby to się nie powtórzyło.

Pająk odchrząkuje ponownie.

- To z kartonem czy... dokładnie tej rodzinie...

Głos Teemu robi się ostrzejszy:

- Nie bierzemy się za ludzi w klubie, będziemy się trzymać razem, gdy tych dupków już nie będzie, i trzymamy się razem teraz, ale nie bierzemy się za ludzi w klubie.

- Co będzie w takim razie z trybunami?

Teemu dopiero wtedy się przyznaje:

- Spotkałem się z jednym... politykiem. Przyjacielem. Załatwi nam trybuny z powrotem. A my będziemy się trzymać razem, jeszcze długo po tym, jak Peter Andersson opuści to miasto.

Benji siedzi na dachu hodowli, gdy zapada zmrok. Gasi papierosa i ostatecznie podejmuje decyzję. Potem idzie samotnie przez Björnstad. Nie chowa się cieniu, spaceruje w blasku latarni. Nie było go w szkole, prawie nikt go nie widział, odkąd wszyscy się dowiedzieli, że jest... no wiesz. Teraz jednak idzie przez miasto, całkiem otwarcie.

Może to idiotyczne. Ale wcześniej czy później musi im stawić czoła. To małe miasteczko, nie ma zbyt wiele kryjówek, a gdzie indziej miałyby się odnaleźć? Co zrobić, jeśli marzy się o tym, by wszystko było jak dawniej? Idzie się do pracy. I ma się nadzieję na najlepsze.

Cały lokal milknie, gdy Benji przekracza próg Futra. Obcy by tego nie zrozumiał, usłyszałyby tylko to samo pbrzękiwanie szklanek, kłótnie i szum jak zwykle. Każda komórka w ciele Benjiego słyszy, jak z pomieszczenia znika cały tlen. Chłopak stoi spokojnie. Może wydawać się dziwne, że w ogóle się tu wybrał, ale Benji nigdy nie był dzieckiem, które leży w łóżku i boi się duchów i potworów. Chętniej otworzy wszystkie

drzwi, odwróci wszystkie materace i poprosi te straszne stwory, żeby wyszły na zewnątrz i wzięły go od razu, jeśli już po to przyszły.

Lepsze to niż oczekiwanie.

Grupa mężczyzn przy stoliku w głębi Futra się podnosi. Najpierw jeden, potem pozostali. Czarne kurtki. Nikt nie dopija piwa, szklanki demonstracyjnie pozostają na wpół pełne. Wszyscy inni się przesuwają, gdy tamci idą w stronę drzwi, ale żaden z mężczyzn nie rusza Benjiego. Nikt nawet na niego nie patrzy. Po prostu wychodzą na zewnątrz, jak najdalej stąd. W przeciągu dwóch minut tuzin innych - starszych i młodszych, niektórzy w czarnych kurtkach, a inni bez, kilku w kamizelkach łowieckich i paru w białych koszulach - idzie w ich ślady.

Jeszcze długo po zamknięciu Ramona i Benji nadal siedzą przy barze. Tylko oni dwoje.

- To... Ludzie mają tak nasrane we łbach... Nie byłabym też taka pewna, że chodziło o ciebie... - próbuje go pocieszyć Ramona, chociaż wie, że chłopak czuje, że to kłamstwo.

- Zostawili piwo. Nie chcą pić z takimi jak ja - mówi cicho Benji.

Słowa są jak wyschnięte gałązki, łamliwe pod najmniejszym ciężarem. Ramona wzdycha.

- Za dużo tego wszystkiego naraz. Trenerka, pieprzeni politycy, sponsorzy, którzy wtrącają się w to, jak ma być prowadzony klub... Ludzie się niepokoją. Wszystko się zmienia. Nie nienawidzą CIEBIE... Są po prostu... Potrzebują trochę czasu, żeby to wszystko przetrwać.

- Nienawidzą mnie - poprawia Benji.

Ramona pociera szklanką z whisky o brodę.

- Teemu i chłopcy uważali cię za swojego. Dlatego teraz tak reagują. Część z nich myślała może... że coś takiego widzi się tylko w telewizji. Że tacy faceci... no wiesz, mieszkają w dużych miastach i... ubierają się w specyficzny sposób. Całe życie żyli w przekonaniu, że coś takiego można z człowieka wyczytać od razu. A ty byłeś... taki sam jak oni. Razem piliście i braliście udział w bójkach, wykrzykiwali twoje imię na trybunach. Byłeś dla nich symbolem, dowodem na to, że jeden z nich może prowadzić ich drużynę, ich miasto... gdy czuli, że wszystkie inne dupki próbują ich zniszczyć. Byłeś ich środkowym palcem w powietrzu. Bandytą, który pokazał, że nie trzeba się dopasowywać, by móc wygrać. że my tutaj, w lesie, możemy ruszyć na wszystkich, którzy chcą się nam dobrać do skóry.

- Ja nie chcę... Nigdy nie prosiłem o to, by ktoś... Chcę po prostu, żeby było jak dawniej.

Ramona łapie go za głowę, mocno, obiema rękami. Aż Benji czuje, że zaraz odpadną mu uszy.

- Za nic nie przepraszaj, chłopcze! - huczy Ramona. - Słyszysz? ZA NIC! Nie bronię NIKOGO, kto dziś wyszedł. Mówię tylko, że... No... nie oceniaj nas zbyt ostro. Wszystko zmienia się tak cholernie szybko, że niektórzy za tym nie nadążają. Siedzimy tutaj i słyszymy o „podziale” tu i „podziale” tam, i zastanawiamy się, kiedy przyjdzie nasza kolej. Kiedy nadejdzie nasz podział? Nikogo tu nie bronię, chłopcze, mówię tylko, że część osób w okolicy czuje się atakowana z każdej strony. Wciąż słyszą, że ich sposób na życie jest zły. Nikt nie lubi być zmuszany do zmian.

- Ja nikogo do niczego nie zmuszam... Chcę tylko, żeby wszystko było jak zwykle!

Ramona opuszcza ręce. Wzdycha. Nalewa więcej alkoholu.

- Wiem, chłopcze. Jest jak jest. Musimy po prostu poszukać dla nas nowego jak zwykle. Są dwa rodzaje ludzi. Niektórzy potrzebują więcej czasu, a inni więcej rozumu. Ta druga grupa jest już stracona, ale warto poczekać i zobaczyć, ilu jest w tej pierwszej, zanim zaczniemy walić im tym po głowach.

Benji unika jej wzroku.

- Czy pani też się na mnie zawiodła?

Ramona wybucha śmiechem, kaszle dymem.

- Ja? Bo chcesz sypiać z facetami? Mój kochany, zawsze bardzo cię lubiłam. Życzę ci szczęśliwego życia. Mogę tylko żałować, że wolisz sypiać z facetami, bo to mogę powiedzieć ci od razu: z facetami nie można być szczęśliwym. Oni, do cholery, to nic innego, tylko, kurwa, problemy!

Mecz

Nadchodzi dzień meczu. Björnstad Hockey przeciwko Hed Hockey. Reszta kraju nie wie pewnie nawet o tej rozgrywce, tylko tutaj jest to takie ważne. Dla wszystkich.

Niektórzy nie rozumieją pewnych rzeczy, dopóki sami ich nie przeżyją. Przerazająca większość mieszkańców Ziemi będzie żyć w przekonaniu, że mecz hokejowy to tylko mecz hokejowy. Że to tylko głupia gra. I że nic nie znaczy.

Mają wielkie szczęście. Nie będą musieli czuć tego wszystkiego.

Co człowiek jest gotowy zrobić dla rodziny? A czego już nie?

Jeśli Knur kiedykolwiek miałby wizytówki, to byłoby na nich napisane: „Hokeista. Mechanik samochodowy. Tata trójki dzieci. Mąż Ann-Katrin”. Żona nadal śpiewa w jego głowie, nadal tańczy na jego stopach, Knur nigdy nie pozwoli jej przestać. Dokańcza pracę w warsztacie, tak jak każdego dnia, mimo że już nigdy nie będzie tak samo. Gdy wchodzi do domu, widzi najstarszego syna, Bobo, zmywającego naczynia. To on pojechał do zakładu pogrzebowego, zorganizował kremację i całą ceremonię. Potem zabrał się do wszystkiego innego. Na stole stoi obiad, młodsze dzieci już jedzą, Bobo posprzątał i zrobił pranie. Wszystko to, co zwykle robiła mama. Siadając przy stole, Knur przełyka ciężko ślinę. Nie chce, by dzieci zobaczyły, że się rozkleja.

- Powinieneś już jechać na mecz - mówi do Bobo.

- Jestem potrzebny tutaj - odpowiada cicho syn. - Muszę jeszcze zrobić pranie i...

- Harry Potter! - wykrzykuje rodzeństwo i natychmiast się nawzajem ucisza.

- Tak, tak, poczytam wam wieczorem Harryego Pottera. Jak zawsze - obiecuje Bobo ze wzrokiem wbitym w zlew.

Knur przeżuwa, wbijając spojrzenie w talerz.

- Smaczne. Bardzo smaczne.

- Dziękuję - mówi cicho Bobo.

Ani słowa więcej, dopóki młodsze rodzeństwo nie idzie umyć zębów. Knur podnosi się wtedy, idzie umyć swój talerz i obejmuje syna, nakazując mu prosto do ucha:

- Mogę dziś poczytać tego cholernego Barrego Tottera. Muszę się przecież nauczyć, jak to robić. Słyszysz, co mówię?

Bobo przytakuje cicho. Knur kładzie ręce na policzkach syna.

- Ty i ja przebrniemy przez to - mówi - bo inaczej mama nigdy nam tego nie wybaczy. Jedź i zagraj ten mecz, bo bez względu na to, gdzie jest teraz mama, będzie na ciebie patrzeć z góry i ani Bóg, ani aniołowie nie powstrzymają jej od zobaczenia, jak jej najstarszy syn gra swój pierwszy mecz w pierwszym zespole Björnstad Hockey!

Bobo pakuje torbę. Gdy syn wychodzi, Knurowi wydaje się, że rodzeństwo będzie błagać, by móc pójść razem z nim. Ale tak się nie dzieje. Zamiast tego stoją na schodach z kijami i piłeczką tenisową.

- Chcesz pograć, tato? - pytają.

Knur przygląda się więc najstarszemu synowi w drodze na jego pierwszy mecz w pierwszej drużynie, a potem idzie pograć z pozostałą dwójką w garażu. Godzinami gonią za piłką, aż biją z nich siódme poty. Jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Bo w tym momencie tak też jest. I o to właśnie chodzi.

Co człowiek jest gotowy zrobić dla rodziny?

Zanim wyjdzie z domu, Peter Andersson chodzi od pokoju do pokoju. Mira siedzi w kuchni z komputerem i kieliszkiem wina.

- Chciałabyś pójść na mecz? - pyta Peter, nie robiąc sobie nadziei.

- Muszę pracować - odpowiada zgodnie z przewidywaniami Mira.

Patrzą sobie w oczy. Chociaż tyle. Peter rusza dalej i puka do drzwi pokoju Mai.

- Chcesz... Ja... jadę na mecz - mówi cicho.

- Muszę się uczyć! Ale powodzenia! - odkrzykuje z drugiej strony drzwi Maya.

Zarówno córka, jak i matka mówią tak, bo wiedzą, że to będzie dla niego najprostsze. Dają mu szansę, by mógł sobie wmawiać, że wszystko jest w porządku. Peter puka też do drzwi pokoju Leo, ale syna nie ma w domu. Pojechał już do Hed. Ma zamiar oglądać mecz z trybuny stojącej.

Peter wie, że powinien to powstrzymać. Ukarać syna. Ale jak ma to zrobić, skoro zawsze go męczył, żeby jeździł z nim na mecze?

Ana stoi przed lustrem i próbuje wybrać strój. Nie ma pojęcia, jak powinna wyglądać. Była już na setkach meczów, ale nigdy, kiedy grał Vidar. To głupie marzenie, ale chciałaby, żeby odwrócił się w stronę trybun i ją zobaczył. I zrozumiał, że jest tam ze względu na niego.

Tata kręci się na dole w kuchni. Coś wywraca, za chwilę kolejną rzecz. Ana słyszy, jak przeklina. Tak bardzo ją męczy cały ten jego alkohol. Wciąga na siebie ubranie, nie zastanawiając się zbyt długo, tak jak to miała w planach, ponieważ chciałaby wyjść z

domu, zanim tata upije się tak bardzo, że będzie potrzebował pomocy. Nie chce, by jego gorsza wersja pozbawiła ją tego meczu. Nie dziś.

Tata ją woła, gdy jest już przy drzwiach; początkowo zamierza udawać, że go nie słyszała, ale coś w jego głosie sprawia, że przystaje. Głos taty jest zbyt czysty, zbyt pewny siebie. To dziwne. Ana się odwraca, tata stoi przed nią świeżo wykąpany, uczesany i w czystej koszuli. Kuchnia za nim jest wysprzątana. Butelki leżą w koszu na śmieci, w zlewie jest pusto.

- Baw się dobrze na meczu. Potrzebujesz pieniędzy? - pyta ostrożnie tata.

Ana długo przygląda się dobremu tacie. Ten zły zdaje się być daleko stąd.

- Jak się czujesz? - pyta córka.

- Chcę znów spróbować - mówi cicho ojciec.

Już to wcześniej obiecywał. Nie przeszkadza jej to nadal mu wierzyć. Waha się przez sekundę, potem pyta:

- Masz ochotę na spacer?

- Nie idziesz na mecz?

- Wolę iść z tobą na spacer, tato.

Tak też robią. Podczas gdy dwa miasta wybierają się na mecz hokeja, ojciec z córką spacerują po lesie, który od zawsze należał do nich. Ona, on, drzewa. Rodzina.

Bobo jedzie rowerem przez Björnstad z niewidzialnym plecakiem wypełnionym kamieniami na plecach. Przyjeżdża spóźniony na odprawę pierwszego zespołu, ale nikt się tym nie przejmuje, Zackell zdaje się prawie nie zauważać, że się pojawił. W autobusie do Hed Amat siedzi koło Bobo i nie wie, co ma powiedzieć. Wszyscy trzymają więc gęby na kłódkę.

Parking przed halą lodowiska w Hed wypełniony jest ludźmi, utworzyły się już długie kolejki, mimo że do meczu pozostało jeszcze dużo czasu. Hala wypełni się po brzegi, miasta są wzburzone, nienawiść narastała od dawna. To będzie wojna. Cały autobus milczy. Wszyscy zawodnicy mocują się ze swoimi demonami.

Dopiero gdy drużyna wysiadła z autobusu i weszła przez korytarz do hali lodowiska, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na ławkach w szatni, jeden ze starszych zawodników się podnosi. Podchodzi do Bobo z rolką taśmy klejącej w ręce.

- Jak miała na imię twoja mama? - pyta.

Zdziwiony Bobo podnosi wzrok. Ciężko przełyka ślinę.

- Mama? An... Ann-Katrin. Ma na... miała na imię... Ann-Katrin.

- Przez K czy przez C? - dopytuje starszy zawodnik.

- K - odpowiada cicho Bobo.

Zawodnik pisze „Ann-Katrin” na kawałku taśmy. Przykleja go następnie na rękawie koszulki Bobo. Potem robi to samo na nowym kawałku taśmy i przykleja na swoją koszulkę. W ciszy taśma krąży po całej szatni. Imię mamy Bobo jest już na każdym ramieniu.

Amat wchodzi na lód, tak jak robił to już tysiące razy wcześniej przez całe swoje życie, zaczyna jeździć w kółko, raz po raz, żeby się rozgrzać. Normalnie nic nie słyszy, jest w tym dobry, bez względu na to, jak wiele publiczności zbierze się na trybunach. Wszystko przeradza się w brzęczenie, a on znika w strefie koncentracji, która sprawia, że nie ma znaczenia, kto znajduje się po drugiej stronie pleksy. Dzisiaj jest jednak inaczej. Coś przedziera się przez szum i krzyki: to jego imię. Ktoś gdzieś skanduje jego imię. Coraz głośniej. Raz po raz. Aż w końcu Amat podnosi wzrok. Wybuchają wiwaty.

W jednym z rogów u samej góry zebrała się grupa wariatów i skacze na swoich siedzeniach. Nie przyszli tutaj kibicować którejs z drużyn, ale żeby wesprzeć jednego zawodnika. Bo pochodzi z Niecki. Śpiewają najprostsza, najpiękniejszą i najważniejszą przyśpiewkę: „AMAT! JEDEN Z NAS! AMAT! JEDEN Z NAS! AAAAAMAT! JEDEN Z NAS!”.

Fatima przyjeżdża do hali w Hed sama, ale w ręce trzyma dwa bilety. Ogląda mecz z wolnym siedzeniem obok siebie, dla Ann-Katrin. Gdy Amat wychodzi na lód, wstaje i wiwatuje. Gdy na lodzie pojawia się Bobo, wiwatuje jeszcze mocniej. Będzie tak robić podczas każdego meczu, w którym zagra Bobo, i każdego, w którym będzie grało jego rodzeństwo. Dokądkolwiek poniosłoby ich życie, na trybunie zawsze będzie siedzieć stuknięta babka wiwatująca na ich cześć za dwoje.

Dlaczego człowiek tak bardzo kocha sporty zespołowe? Dlaczego tak bardzo pragnie być częścią drużyny? Dla niektórych odpowiedź jest prosta: drużyna jest jak rodzina. Dla każdego, kto potrzebuje dodatkowej lub nigdy nie miał własnej.

Gdy Vidar Rinni us był mały, uwielbiał grać w hokeja, tak jak i wszystkie dzieci. Ale w przeciwieństwie do innych jeszcze bardziej kochał trybuny. Przysiągł sobie, że nigdy w życiu nie wybierze lodowiska nad trybuny. W dzieciństwie opowiedział o tym Teemu, a brat się uśmiechnął i odparł: „Pamiętaj, że to nasz klub. Gdy wszyscy zawodnicy zmienią już zespół, dyrektor sportowy i trenerzy pójną dalej, gdzie ktoś zapłaci im więcej, gdy zawiodą sponsorzy, a politycy nas sprzedadzą, to nadal tu będziemy. I zaśpiewamy jeszcze głośniej. Bo to nigdy nie był ich klub. Tylko nasz”.

Vidar siedział w drużynowym autobusie do Hed, jego sprzęt leży w szatni, ale jego tam nie ma. Założył czarną kurtkę i poszedł na stojące trybuny. Stoi teraz obok brata i

skanduje: „TO MY, NIEDŹWIEDZIE! TO MY, NIEDŹWIEDZIE! TO MY, NIEDŹWIEDZIE! NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD!”.

Teemu przygląda się bratu. Może ma ochotę mu powiedzieć, żeby wrócił do szatni, że lepsze życie czeka go na lodowisku. Ale „Grupa” to jego rodzina, a klub należy do nich. Całuje więc brata we włosy. Stolarz i Pająk obejmują go z dłońmi zaciśniętymi na jego plecach. A potem zaczynają śpiewać, coraz głośniej i głośniej.

„To my, niedźwiedzie! To my, niedźwiedzie!”

Miłość i nienawiść. Radość i smutek. Złość i przebaczenie. Sport przychodzi z obietnicą, że wszystko to dostaniemy wieczorem. Tylko sport tak potrafi.

Po jednej stronie, na stojącej trybunie kibiców Hed, słychać coraz głośniejsze okrzyki, aż w końcu zagłuszają one wszystko inne. Przyśpiewka jest prześmiewcza. Jeśli po fakcie wiele lat później zapytałoby się o nią kogoś z trybun, wymamrotałoby pewnie podniesionym głosem, w którym pobrzmiwałoby zażenowanie: „Ech, tak to już jest w hokeju... Nie ma się nic złego na myśli... Coś takiego krzyczy się w ferworze walki... Wiesz przecież, jak to jest! To tylko hokej!”. Przecież tylko o to chodzi. My jesteśmy za naszą drużyną, wy jesteście za swoją, wykorzystujemy najmniejszą nawet słabość rywala, jaką uda nam się znaleźć. Jeśli możemy uderzyć poniżej pasa, to tak robimy, czymkolwiek, co może was zranić i wyprowadzić z równowagi. Chcemy bowiem tego samego co wy- wygranej. Kibice na trybunach Hed śpiewają więc najprostszą, najbardziej złośliwą i najobrzydliwszą przyśpiewkę, jaka przychodzi im do głowy.

Najlepszym zawodnikiem Björnstad Hockey był zawsze Kevin Erdahl. To on zgwałcił Mayę Andersson, córkę dyrektora sportowego. Benjamin Owich, najlepszy przyjaciel Kevina, jest homoseksualistą. Co my sobie myśleliśmy? Że ludzie, którzy tak nas nienawidzą, o tym nie zaśpiewają?

Daleko im do tysiąca głosów, ale w małej hali z niskim dachem cisza większości może sprawiać wrażenie, że wszyscy śpiewają to samo. Człowiek kierujący dopingiem dla drużyny w czerwonych barwach odwraca się do trybuny Björnstad, w kierunku „Grupy”, i wykrzykuje: „Pedały. Kurwy. Gwałciciele”.

Łatwo mówić, że powinno się to zignorować. Nie brać tego do siebie. To tylko hokej. Tylko słowa. Nic nie znaczą. Zaśpiewaj to jednak wystarczająco długo, wykrzycz to wystarczająco głośno, powtarzaj i powtarzaj w nieskończoność. Aż się zakorzeni. Sto czerwonych ramion wskazujących przez lodowisko prosto na szefa kibiców zielonych. Słowa dudnią, lecą pod sufit i odbijają się od ścian. Raz po raz.

„Pedały. Kurwy. Gwałciciele. Pedały. Kurwy. Gwałciciele”.

PEDAŁY!

KURWY!

GWAŁCICIELE!

Przemoc

S kandowanie dociera aż do miejsca, w którym siedzi Peter Andersson. Próbuje je ignorować, ale to niemożliwe. Pochyliła się do rzędu przed sobą, klepie Sunego po ramieniu i pyta:

- Gdzie jest Benji?
- Nie pojawił się - odpowiada Sune.

Peter się odchyła. Okrzyki kibiców Hed unoszą się pod sufit, słowa odbijają się od niego i opadają echem niczym palący olej. Też ma ochotę stanąć i zacząć krzyczeć i cokolwiek. To tylko cholerny mecz hokeja, czy to jest tego warte? Co Peter musiał dla tego wszystkiego poświęcić? Przez co przeszła jego rodzina? Córka? Ile błędnych decyzji musiał podjąć, że żona woli zostać w domu, a syn chętniej spędza mecz z chuliganami niż z własnym ojcem? Jeśli Björnstad Hockey nie wygra tego meczu, po tym wszystkim, co Peter zrobił, czy sam będzie jeszcze coś wart? Sprzedał ideały, zaryzykował wszystko, co kocha. Jeśli klub przegra teraz z Hed, wszystko będzie stracone. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

„Pedały. Kurwy. Gwałciciele”.

Peter patrzy na krzyczących ludzi z trybuny stojącej Hed i chciałby zabić ich wszystkich. Jeśli Björnstad wyjdzie dziś na prowadzenie, jeśli pojawi się szansa, by ich zniszczyć i sprawić, by jutro nie mieli najmniejszej chęci podnieść się z łóżka, to Peter w głębi duszy ma nadzieję, że jego klub nie podniesie stopy z ich gardeł. Nawet na sekundę. Peter chce widzieć, jak tamci cierpią.

W pewnym momencie wszyscy dokonujemy wyboru. Niektórzy z nas nie zauważają nawet, kiedy tak się dzieje, inni nie planują tego z wyprzedzeniem, ale zawsze pojawia się moment, gdy obieramy jakąś konkretną drogę zamiast innej, a konsekwencje tej decyzji ponosimy do końca życia. To przesądza o tym, jakimi stajemy się ludźmi zarówno we własnych, jak i w cudzych oczach. Elisabeth Zackell miała zapewne rację, gdy mówiła, że ten, kto czuje odpowiedzialność, nie jest wolny. Odpowiedzialność to brzemię. Wolność to przyjemność.

Benji siedzi na dachu hodowli i obserwuje opadające na ziemię płatki śniegu. Wie, że mecz już się zaczął, a jego tam nie ma. Nie potrafi odpowiedzieć dlaczego, nigdy nie szło mu dobrze wyjaśnianie i racjonalizowanie rzeczy, które zrobił. Czasem robi głupoty instynktownie, czasem z tego samego powodu je sobie odpuszcza. Niekiedy za mało się czymś przejmuje, kiedy indziej znów za bardzo.

Obok niego na dachu siedzą trzy jego siostry: Adri, Katia i Gaby. Pod nimi, na krześle niezdarnie ustawionym w śniegu, siedzi mama. Zrobiłaby dla swoich dzieci prawie wszystko, ale granica przebiega właśnie gdzieś przy wdrapywaniu się po drabinie na dach i siedzeniu na nim w mroźny wieczór i odmrażaniu sobie tyłka.

Rodzina Ovichów od zawsze uwielbiała hokej, nawet jeśli nie wszyscy kochali w nim to samo. Adri uwielbiała zarówno grać, jak i oglądać mecze, Katia lubiła grać, ale nie oglądać, a Gaby nigdy nie grała, a ogląda je tylko wtedy, gdy gra Benji. Mama wciąż pyta z irytacją: „Po co aż trzy części? Nie wystarczą dwie? Czy oni nigdy nie jedzą obiadów?”. Ale wystarczy wspomnieć jakąś datę i mecz, który odbył się ciągu ostatnich dziesięciu lat, a powie ci, czy jej syn zdobył w nim bramkę. I czy walczył. Czy była dumna, czy zła. Najczęściej i to, i to.

Siostry kręcą się obok młodszego brata. Jest zimno, nie tylko ze względu na ujemną temperaturę.

- Jeśli nie chcesz, żebyśmy poszły na mecz, to nie pójdziemy - mówi cicho Gaby.
- Jeśli rzeczywiście, rzeczywiście, rzeczywiście nie chcesz,, - dopowiada Katia.

Benji nie wie, co ma powiedzieć. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, najbardziej nienawidzi siebie za to, w jakiej sytuacji postawił rodzinę. Nie chce być dla nich obciążeniem, nie chce, żeby musiały dla niego walczyć. Kiedyś usłyszał od matki jednego z kolegów: „Wiem, że nie jesteś najgrzeczniejszym chłopakiem na świecie. Nie, na Boga, nigdy nie brakowało ci męskiego wzorca i Wszystkie najlepsze cechy masz dzięki domowi pełnemu kobiet”. Benji zawsze twierdzi, że się myliła, bo w tej wypowiedzi wydawały się całkiem pospolite. A takie nie są. Nie dla niego. Siostry zrobiły wszystko, co mogły, by zastąpić mu ojca, pokazały mu, jak polować, pić i się bić. Nauczyły go też, by nigdy nie mylić uprzejmości ze słabością, a miłości ze wstydem. To ze względu na nie tak teraz siebie nienawidzi. Przez to, że w ogóle rozważają myśl, by nie jechać do Hed.

W końcu Adri spogląda na zegarek i mówi:

- Kocham cię, braciszku. A teraz idę na mecz.
- Ja też! - wykrzykuje mama ze śniegu.

Obie są wystarczająco dorosłe, by pamiętać życie przed Björnstad. Młodsze dzieci były jeszcze za małe, ale Adri doskonale wie, przed czym uciekali i co tutaj odnaleźli.

Bezpieczne miejsce na dom. To ich miasto. Benji poklepuje delikatnie Adri po ręce i mówi cicho:

- Wiem.

Adri całuje go w policzek i w dwóch językach szepcze mu do ucha, że go kocha. Katia i Gaby jeszcze chwilę się zastanawiają, ale potem schodzą za siostrą. Jadą na mecz z tego samego powodu, dla którego mogłyby zostać w domu - ze względu na brata i na swoje miasto. Chciałyby, żeby Benji grał, ale dobrze wiedzą, że cokolwiek by powiedziały, nie zmienią już jego decyzji. Jakkolwiek by było, jest członkiem rodziny, a mówi się, że osły mówią o innych osłach, że są „uparte jak Ovich”.

Benji siedzi na dachu, dopóki mama z siostrami nie odjadą. Pali w samotności. Potem schodzi na dół, bierze rower i wyrusza drogą przez las. Ale nie w kierunku hali w Hed.

Gdy dzieci zaczynają grać w hokeja, mówi się im, żeby dały z siebie wszystko. Że to wystarczy. Wszyscy wiedzą, że to kłamstwo. Ta gra nie polega na tym, by dobrze się bawić, nie mierzy się jej poświęceniem, lecz wynikami.

Drużyna Björnstad Hockey wychodzi na lodowisko z imieniem jednej z mam na ramieniu. Mimo że grają na wyjeździe, spora część trybun zapełniona jest zielonymi koszulkami z napisem „Björnstad przeciwko reszcie”. Mężczyźni w czarnych kurtkach rozwijają niezdarnie baner nad jedną ze stojących trybun, taką samą, jaka ma zostać zlikwidowana w ich własnej hali. Słowa z baneru mogą być skierowane zarówno do Petera Anderssona, jak i do kibiców z Hed: „Chcecie nas? To przyjdźcie po nas!”.

Na lodowisku zaczyna się mecz. Hałas jest nie do wytrzymania, wszystkim zatykają się uszy, a zawodnicy Björnstad robią, co mogą. Walczą na śmierć i życie. Dają z siebie wszystko. Wszystko, co mają naj, naj, naj, najlepszego. Ale Vidar stoi na trybunach i nikt nie wie, gdzie jest Benji. Bramkarz i kapitan. Björnstad może zasłużyło na wygraną, może byłoby sprawiedliwie, gdyby dostali zakończenie niczym z bajki, ale hokeja nie mierzy się w ten sposób. Tu liczą się tylko bramki.

Hed zdobywa jedną. Potem kolejną. Potem jeszcze dwie.

Pieśni z czerwonej trybuny ogłuszają, ale Peter Andersson ich nie słyszy. Dzwoni mu w uszach, gdy pęka mu serce.

Nauczyciel z domku kempingowego już się spakował. Walizki leżą w samochodzie. Mimo to nadal siedzi w kuchni przy stole i czeka ze wzrokiem wbitym w okno, mając nadzieję, że ktoś o smutnych oczach i dzikim sercu pojawi się między drzewami.

Czeka już tak długo, że gdy w końcu zauważa Benjiego, wydaje mu się, że tylko to sobie wyobraża. Podnosi się, usiłując zebrać w sobie słowa.

- Ja... próbowałem coś napisać... - tłumaczy się niezdarnie, wskazując na długopis i pustą kartkę na stole.

Benji nic nie mówi. W domku jest zimno, mimo to nauczyciel ma na sobie cienką lnianą koszulę. Opada mu luźno na biodra, pomięta niczym włosy w niedzielny poranek. Męczyzna pachnie ciepłą skórą i świeżo zaparzoną kawą. Benji otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Rozgląda się po domku, wszystkie ubrania są już spakowane, wszystkie prywatne przedmioty usunięte. Nauczycielowi jego wzrok wydaje się oskarżycielski, mamrocze więc zawstydzony:

- Nie jestem tak odważny jak ty. Nie jestem z tych, co zostają i walczą.

W drzwiach nadal widać głęboki ślad po nożu wbitym w drewno. Benji wyciąga dłoń, po raz ostatni dotyka jego skóry.

- Wiem-szeptem.

Nauczyciel kładzie sobie jego dłoń na policzku, chociaż na chwilę, zamyka oczy i mówi:

- Zadzwoń do mnie, gdybyś chciał. gdzieś indziej. Może mogłoby być między nami inaczej... gdzieś indziej.

Benji kiwa głową. Gdzieś indziej może mogłoby coś być. Coś więcej.

Gdy nauczyciel wsiada do samochodu, przychodzi mu do głowy myśl jakiegoś filozofa: „Człowiek jest jedynym stworzeniem, które nie zgadza się być tym, czym jest”. Próbuje sobie przypomnieć, kto to powiedział - chyba Albert Camus? Stara się skupić na tej myśli, jadąc przez Björnstad, daleko od lasu, bo jeśli skoncentruje się wystarczająco mocno na tych słowach, to uczucia go nie zaleją, tak że nie będzie już widział drogi przed sobą.

Daleko za samochodem Benjamin Ovich wsiada na rower i udaje się w przeciwnym kierunku. Może któregoś dnia będzie w końcu wolny. Ale jeszcze nie dziś.

Dokładnie wtedy, gdy pod koniec drugiej tercji Hed Hockey zdobywa czwartą bramkę, czterech chłopców z Hed skrada się na trybunach. Dwóch na każdej ulokowanej wzdłuż boiska. To jeszcze dzieciaki i właśnie dlatego dostają to zadanie - nikt nie będzie ich podejrzewał. Żeby nie ściągać na siebie uwagi, nie mają nawet na sobie czerwonych koszulek. Niosą ze sobą worki na śmieci, przemycone do środka właśnie w tym celu podczas treningu chłopców wczoraj późnym wieczorem. Rzucą teraz ich zawartością we wroga. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, gdy u kibiców Björnstad upadnie duch walki, wysypią to przez barierki.

Wielu czerwonych na stojącej trybunie powie potem, że to była część gry, tylko coś symbolicznego, tylko hokej. Może nawet „tylko żart”. Coś, co się robi, by wkurzyć przeciwnika i zaleźć mu za skórę. Podbić. Unicestwić. Zrównać z ziemią.

Zanim ktoś ich w końcu zauważy, są już zbyt blisko trybuny stojącej Björnstad. Robi się za późno. Chłopcy wyciągają z worków po kolei setki dildo i innych sekszabawek. Spadają na mężczyzn w czarnych kurtkach, trafiają w ich skulone korpusy niczym pociski. Z czerwonej strony trybun ponownie słychać jeszcze bardziej nienawistne i groźne: PEDAŁY! KURWY! GWAŁCICIELE! PEDAŁY! KURWY! GWAŁCICIELE! PEDAŁY! KURWY! GWAŁCICIELE!

O Teemu Rinnusie można powiedzieć, co się chce, bo on o wszystkich mówi tak samo. Z doświadczenia wie, że rozmowy o przemocy zmieniają prawie wszystkich ludzi w hipokrytów. Jeśli się go zapyta, to odpowie, że większość mężczyzn i kobiet nie jest agresywna i że wszyscy oni się łudzą, że powstrzymuje ich od tego „moralność”. Teemu określa ich tylko jednym słowem: „Kłamcy”. Czy nie byłiby agresywni, gdyby tylko mogli? Gdy ludzie pogrywają sobie z nimi w korkach? Albo w pracy? Zaczepiają ich żony w barach, ich dzieciaki w szkołach, a rodziców w domach opieki? Ile to razy zwykły właściciel szeregówki i labradora marzył o tym, by choć raz być kimś, z kim nikt nie odważy się zadrzeć? Teemu jest przekonany, że brak agresji u zwykłych ludzi nie wynika z moralności. Gdyby mogli kogoś skrzywdzić, toby tak zrobili. Nie są agresywni tylko dlatego, że nie mają dostępu do przemocy.

Nie potrafią się bić, nie znają nikogo, kto jest silny, ma masę lub wpływy. Gdyby tak było, wysiedliby z samochodu i dojechali durnia, który wciąż trąbi, obili ojca, który na zebraniu rodziców obraża ich rodzinę, przycisnęli bezczelnego kelnera do ściany i zmusili, by zjadł rachunek. Teemu jest tego pewien.

W dzieciństwie nauczyli się z Vidarem nienawidzić jednego słowa bardziej od innych. Nazywano ich przeróżnie: „Biedaki!”, „Złodzieje!”. Ale „skurwysyn” bolał ich najbardziej. Łatwo to było wyczuć. więc wszystkie dzieciaki w szkole używały go szczególnie chętnie. Teemu i Vidar mieli wspólną matkę, lecz różnych ojców, więc gdy jeden brat to blondyn, a drugi brunet, w każdej szkole jest to pole do popisu. Bili się, aż wszyscy zamknęli jadaczki. Niektóre słowa nie cichną w nas jednak nigdy. Skurwysyn. Skurwysyn. Skurwysyn. Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Teraz Teemu i Vidar stoją razem z Pająkiem i Stolarzem na trybunach. Pająkiem, który w dzieciństwie był bity mokrymi rękawicami pod szkolnym prysznicem i nazywany „pedałem”. Stolarzem, gotowym wsiąść do samolotu czarterowego i pobić się z całym krajem, w którym zgwałcono jego kuzynkę, dopóki Teemu nie zatargał go z powrotem do domu.

To żadni święci, nie mają serca ze złota, większość najgorszych rzeczy, które się o nich opowiada, to prawda. Ale gdy wiosną Stolarz przyszedł do Teemu, prosząc, by „Grupa” opowiedziała się przeciwko Kevinowi Erdahlowi, najlepszemu zawodnikowi, jakiego ich klub kiedykolwiek widział, Teemu się zgodził, bo wiedział, co wykrzykiwano za Mayą w szkole.

A teraz czerwone trybuny po drugiej stronie krzyczą: PEDAŁY. KURWY. GWAŁCICIELE.

Kibice z Hed nie zdają sobie z tego sprawy. Wykrzykują po prostu najbardziej obraźliwe słowa, jakie przychodzą im do głowy; mają nadzieję, że wywołają jak najwięcej złego i zależą za skórę wszystkim z niedźwiedziem na piersi. I to im się udaje. Gdy deszcz dildo spada na mężczyzn w czarnych kurtkach, ośmiu z nich natychmiast schodzi z trybuny. Ściągają kurtki, ośmiu innych mężczyzn w białych koszulkach zakłada je na siebie i zajmuje ich miejsca. Ochrona nie zdąży zauważyć, kiedy Teemu, Vidar, Pająk, Stolarz i czterech innych znikają w korytarzu, mijają drzwi i idą dalej, do piwnicy.

Większość ludzi nie ma dostępu do przemocy. „Grupa” nie jest jednak jak większość.

Leo Andersson ma dwanaście lat i nigdy nie zapomni Teemu Rinniusa odwracającego się do Pajaka ze słowami: „Zbierz chłopaków. Tylko najważniejszych”. Teemu dał im prawie niewidoczny sygnał skinieniem głowy i siedmiu mężczyzn natychmiast ruszyło za nim. Najważniejsi, najbardziej zaufani w „Grupie”, najbardziej niebezpieczni.

Leo widział, jak pozostali mężczyźni bez słowa założyli ich czarne kurtki i zasłonili ochronę tak, by najważniejsi mogli zbiec w dół trybun i pobiec w stronę drzwi prowadzących do ciemnego korytarza obok magazynku dozorczy. Pod halą lodowiska Hed znajduje się piwnica. Większość ludzi o tym nie wie, ale kilka tygodni temu pracowało tu paru elektryków, gdy nagle lampy przy suficie zgasły. Jeden z elektryków musiał zejść do piwnicy, twierdził, że właśnie tam znajduje się rozdzielnica elektryczna. Ochrona nigdy nie zwróciła uwagi na to, że brzmiało to podejrzenie. Elektryk nigdy nie pokazał swojego tatuażu z niedźwiedziem.

Leo Andersson nigdy nie zapomni, jak bardzo chciał znaleźć się w grupie, która ruszyła do piwnicy. Niektóre dzieciaki marzą o tym, by zostać zawodowymi hokeistami, stoją na trybunach, a wołałyby być na lodzie. Ale niektórzy ludzie marzą o innych rzeczach. Mają innych idoli.

Idą korytarzem w piwnicach hali. Ośmiu mężczyzn. Najgorszych. Nic nie powinno ich powstrzymać, a jednak komuś się to udaje. Na środku korytarza stoi jakiś chłopak. Nie ma ze sobą żadnych przyjaciół ani broni. Drzwi za sobą zaryglował kijem od miotły, tak by nikt nie mógł tu wejść od zewnątrz. Benji dobrowolnie zamknął się w korytarzu razem z nimi.

Nie chciał tutaj przychodzić. Po prostu nie było żadnego innego miejsca, w którym wolałby teraz być.

Przejechał rowerem z kempingu do hali w Hed, przez śnieg i wiatr smagające go po twarzy. Gdy zakradł się do środka, właśnie kończyła się druga tercja, wszyscy byli skupieni na lodzie. Benji spojrzał na tablicę wyników. Cztery do zera dla Hed. Słyszał okrzyki, widział czerwone morze nienawiści po jednej stronie i czarne kurtki po drugiej. Widział deszcz dildo. Wszyscy wyglądali na zszokowanych, ale Benji już rozglądał się za drogą w dół trybun. Gdy Teemu, Vidar i sześciu pozostałych ściągnęło kurtki, wiedział dokładnie, dokąd się wybierają.

Był w tej piwnicy już wcześniej. W dzieciństwie rozegrał setki meczów wyjazdowych i zawodów w Hed. Wiele można o nim powiedzieć, ale nikt nie potrafi lepiej niż on wyszukiwać ustronnych miejsc w halach lodowisk, gdzie w spokoju można zapalić trawkę przed meczem.

Zdaje więc sobie sprawę, że tym korytarzem można przejść z jednej trybuny stojącej do drugiej. Wynurzyć się nagle wśród wrogów. Jak bomba.

Teemu przystaje w połowie drogi przez piwnicę. Mężczyźni za nim również. Stolarz i Pająk z przodu po jednej stronie, jego młodszy brat Vidar po drugiej. Teemu gapi się na osiemnastolatka blokującego im drogę w ciasnym korytarzu i daje mu jedyną szansę:

- Przesuń się, Benji.

Benji powoli kręci głową. Ma na sobie zniszczone buty, szare spodnie dresowe i biały T-shirt. Zdaje się taki mały.

- Nie.

Głos Teemu jest nieubłagany:

- Nie będę się powtarzał.

Głos Benjiego drży, nigdy wcześniej tego nie słyszeli.

- To mnie chcecie załatwić. Nikogo innego. Więc do dzieła. Jestem tutaj. Kilku z was uda się przejść obok mnie, wiem to. Ale kilku to się nie uda.

Cisza ma szpony. Głos Teemu tężeje tylko na sekundę, zaraz później syczy:

- Traktowaliśmy cię jak jednego z nas. Jesteś pieprzonym... kłamc...

Benji odpowiada z pustym wzrokiem:

- Jestem pieprzonym PEDALEM! Mów, jak jest! Jeśli chcesz kogoś pobić, oto jestem! Jeśli pojawisz się na trybunach Hed, to sędzia przerwie mecz i Hed wygra. Nie wydaje ci się, że to jest dokładnie to, czego chcą? Jeśli chcesz wpieprzyć jakiemuś pedałowi, to jestem TUTAJ! Uderz MNIE!

Pięści Teemu są aż białe, gdy odpowiada:

- Przesuń się. Nie zmuszaj mnie, żebym...

Głos Benjiego się łamie:

-Żebyś co? Bij, jeśli chcesz się bić! Jest was ośmiu przeciwko mnie, więc szanse są wyrównane! Ale jeśli pójdziecie na trybuny Hed, to już po meczu. Teraz jeszcze możemy z nimi wygrać. Rozumiesz? JA MOGĘ Z NIMI WYGRAĆ!

Benji nie patrzy teraz na Teemu. Patrzy na Vidara. Przed wieloma laty grali razem, ale Kevin był najlepszym przyjacielem Benjiego i nigdy nie lubił Vidara, bo nie dało się na nim polegać. Kevin żądał bramkarza, który słuchałby rozkazów, Vidar nigdy taki nie był i mimo że Benji jak nikt inny w drużynie przypominał Vidara, to przede wszystkim był śmiertelnie lojalny wobec Kevina. Vidar z kolei nade wszystko przedkładał „Grupę”. Nigdy ze sobą o tym nie rozmawiali, nigdy nie zostali przyjaciółmi, ale może właśnie to najbardziej u siebie nawzajem szanowali.

- Słyszysz, Vidar? - mówi teraz do niego Benji. - Jeśli ty i ja zagramy w trzeciej tercji, to mamy jeszcze szansę pokonać tych chujów. Jeśli chcesz, możesz iść na trybuny i się bić, ale możemy ich też POKONAĆ, podczas GRY! Wybijcie mi zęby, jeśli to sprawi, że poczujecie się lepiej, mogę grać bez nich! Ale chcę... chcę, kurwa... chcę po prostu... wygrać! Dobra, kurwa... Walcie się wszyscy, jeśli chcecie, wyniosę się z tego miasta choćby jutro. Opuszczę klub, jeśli będziecie...

Benji milknie. Mężczyźni nic nie odpowiadają. Nikt nie rusza się z miejsc. Benji uderza z rozpaczą pięściami o klatkę piersiową, krzycząc:

- STOJĘ tu przecież! Drzwi są zamknięte, jeśli chcecie mi coś zrobić, po prostu to ZRÓBCIE, żebym zdążył jeszcze potem zagrać! Bo mogę wygrać z tymi chujami!

Mówi się o ciszy jak makiem zasiał. W tym korytarzu można by usłyszeć żdźbło trawy opadające na bawełniany materiał. Tej historii prawie nigdy nie opowiada się ani w Björnstad, ani w Hed. Ale mężczyźni w korytarzu już zawsze będą pamiętać, że było ich ośmiu, a Benji sam - i to on zamknął drzwi.

Mija może minuta. Może dziesięć. Nikt tego nie wie.

- Okej - odpowiada wolno Teemu.

Nie mówi tego jednak w stronę Benjiego. Tylko brata.

- Okej? - szepcze Vidar.

Teemu krzyczy:

- Co tak stoisz? Ostatnia tercja zaraz się zaczyna, leć się przebrać, idioto!

Twarz Vidara rozświetla uśmiech. Rzuci ostatnie spojrzenie na Benjiego i kiwa głową, Benji odpowiada tym samym gestem. Vidar idzie w kierunku szatni Björnstad. Kilka chwil później dwóch członków „Grupy” odwraca się i podąża za nim. Potem kolejni dwaj.

Jedynie Stolarz i Pająk pozostają przy Teemu. Benji nie rusza się z miejsca. Teemu wciąga głęboko powietrze przez nos i mówi cicho:

- Do diabła. Piliśmy razem. Biliśmy się wspólnie...

Benji nie przejmując się spływającymi łzami.

- Wal się, Teemu.

Przywódca „Grupy” opuszcza głowę. Tylko na sekundę.

- Kawał z ciebie twardziela, Benji, trzeba ci to przyznać. Ale nie pozwolimy na to, żeby nasze miasto było... no wiesz... Nie ma mowy o żadnych symbolach ani tęczach, ani tego typu gównie...

- Nigdy o to nie prosiłem. - Benji pociąga nosem.

Teemu wkłada ręce do kieszeni. Kiwa głową. To wystarczający sygnał, by Pająk i Stolarz odwrócili się i odeszli. Benji nie wie, czy nadal go nienawidzą, ale w każdym razie zostawiają go samego z Teemu.

Teemu ma dłonie zaciśnięte w pięści. Benji również.

To tylko mecz hokeja. Hala lodowiska wypełniona ludźmi, dwie szatnie pełne zawodników, dwie drużyny przeciwko sobie. Dwóch mężczyzn w piwnicy. Dlaczego tak się tym przejmujemy?

Może dlatego, że przez to wszystkie nasze najtrudniejsze pytania stają się bardziej oczywiste. Co sprawia, że krzyczymy ze szczęścia? Z jakiego powodu płacemy? Jakie są nasze najszcześniejsze wspomnienia, najgorsze dni, najgłębsze zawody? Z kim trzymaliśmy? Czym jest rodzina? Czym jest drużyna?

Ile razy w ciągu całego życia jesteśmy całkowicie szczęśliwi?

Ile mamy szans na to, by kochać coś prawie bezsensownego całkowicie bezgranicznie?

Korytarz jest opustoszały, mimo to obaj czują się przyparci do muru. Teemu nadal dygocze ze złości, Benji po prostu dygocze, z tysiąca innych powodów. Teemu wypuszcza powietrze, pochyla głowę i mówi:

- Gazety piszą o tobie. Dziennikarze dzwonią do ludzi w mieście i wypytują o ciebie. Pierdolone szczury medialne ze swoją pieprzoną polityką. Wiesz, czego chcą, nie? Żeby ktoś z nas powiedział coś idiotycznego, by mieli dowód na to, że jesteśmy walniętymi, zacofanymi wieśniakami. Żeby mogli sobie pojechać do domu w swoich dużych miastach, patrzeć na nas z wyższością i czuć się moralnie lepszymi...

Policzki Benjiego krwawią od środka, gdy je przygryza.

- Przykro mi. . . - mówi cicho.

Pięści Teemu powoli odzyskują kolor, gdy znów zaczyna napływać do nich krew.

- To nasz klub - odpowiada.

- Wiem.

Teemu luzuje pięści. Kładzie dłonie na policzkach.

- Mówisz, że możecie pokonać tych chujów... Ale na razie przegrywacie zero do czterech. Więc... jeśli wygracie ten mecz, to stawiam ci, kurwa, piwo!

Twarz Benjiego jaśnieje, a oczy się świecą.

- Myślałem, że nie pijesz z takimi jak ja.

Westchnienie wydobywające się z piersi Teemu wypełnia cały korytarz, odbija się o zamknięte drzwi i niski sufit.

- Do diabła, Benji. Muszę od razu pić ze WSZYSTKIMI jebanymi pedałami? Nie mogę zacząć od JEDNEGO?

Zawsze sprawiedliwie. Zawsze niesprawiedliwie

Niełatwo przemawiać do ludzi. Najlepsi trenerzy hokeja niekoniecznie mają do tego talent. Mówienie to cecha ekstrawertyczna. Lecz zrozumienie taktyki, chęć podporządkowania się życiu pełnemu nieprzespanych nocy, które spędza się na oglądaniu nagrań starych meczów, wymaga introwertycznej osobowości. Można to oczywiście zrównoważyć, okazując uczucia. Ale co, jeśli człowiek nie jest w tym za dobry? Co wtedy, do cholery, powiedzieć?

Peter podnosi się na chwilę przed rozpoczęciem trzeciej tercji. Nie może usiedzieć spokojnie na trybunach, nie wie, dokąd idzie ani dlaczego to robi, ale ciągnie go do jedyne miejsce, które naprawdę rozumie - do szatni. Zatrzymuje się oczywiście w korytarzu, jest dyrektorem sportowym, wpadanie do szatni to nie jego działka. Tylko trenera. Jest pewien, że Zackell zagrzewa ich właśnie do walki pełną pasji mową, że wszystko może się jeszcze obrócić na dobre! Że mają w sobie to coś, żeby pomyśleli, że jest zero do zera, że potrzebują tylko szybkiego gola, by znów wrócić do gry!

Skreca jednak w korytarz i widzi Zackell przy drzwiach wyjściowych na parking. Pali cygaro, sama. Cała drużyna siedzi w szatni i czeka.

- Co ty wyprawiasz? - syczy Peter.

- O co ci chodzi? Przecież w środku nie wolno palić! - broni się Zackell.

- Przegrywacie zero do czterech! Nie masz nic do powiedzenia drużynie?- żąda odpowiedzi Peter.

- Myślisz, że nie wiedzą, że przegrywają zero do czterech? - zastanawia się Zackell.

- Musisz, do chole... Musisz... Jesteś trenerem! Idź tam i powiedz im coś INSPIRUJĄCEGO! - rozkazuje Peter.

Zackell dopala cygaro. Wzrusza ramionami. Mamrocze niechętnie:

- Hm. Pewnie. Okej.

W chwili gdy Zackell dochodzi do szatni, z drugiego końca korytarza nadbiega młody mężczyzna. To Vidar Rinnius.

- Mogę grać? - pyta zdyszany.

Zackell wzrusza ramionami.

- Pewnie. Okej. Gorzej już przecież być nie może.

Kilka minut po tym, jak Vidar, radośnie podskakując, udał się do szatni w poszukiwaniu swojego stroju i sprzętu, na korytarzu pojawia się jeszcze jeden młody mężczyzna. Nie biegnie, idzie spokojnie, zatrzymuje się przed Zackell. Pyta grzecznie, jak to zwykle się robi, gdy ma się siostry:

- Potrzebowałyby pani jeszcze jednego zawodnika?

Zackell marszczy czoło.

- A zamierzasz uprawiać seks w szatni?

Benji próbuje wyczuć, czy trenerka żartuje, czy nie. To niemożliwe.

- Nie - odpowiada.

- Okej.

Zwyczajni trenerzy usunęliby Benjiego ze składu drużyny po tym, jak nie pojawił się w pierwszej tercji. Ale Zackell nie jest zwyczajna. Założyła, że nawet jeśli Benji nie pokaże się na meczu, to i tak będzie lepszy niż ktokolwiek inny. Część ludzi to rozumie, większość nie. Robi krok w bok, Benji wchodzi do szatni. Dopóki się nie pojawił, było w niej cicho, teraz robi się jeszcze ciszej.

Dwanaście par oczu kolegów z drużyny wbitych jest w ziemię, a Benji po raz pierwszy nie wie, co ma tu robić. Gdzie usiąść, jak zacząć się rozbierać; nie żeby się wstydził, nie chce jednak, by reszta czuła się niezręcznie. Teraz jest inny.

Ściąga buty, lecz więcej już nie daje rady. Wbiega do toalety. Zatrząskuje za sobą drzwi, mimo to wszyscy i tak słyszą, jak wymiotuje do umywalki. Z oczu lecą mu łzy, opiera się o brzeg umywalki tak mocno, że skrzypią zawiasy utrzymujące ją w ścianie. Gdyby teraz miał szansę uciec, pewnie by to zrobił, ale jest stąd tylko jedno wyjście. Kim więc chce być? Wszyscy mamy momenty, w których się to rozstrzyga. Gdy wybieramy.

Wyciera twarz. otwiera drzwi, wychodzi do szatni. To najmniejszy z gestów, wszyscy koledzy nadal siedzą cicho, ale gdy Benji wraca na swoje miejsce, widzi, że jego buty wypełnione są pianką do golenia. Nie tylko jego. Wszystkich. Każda para butów pod każdą ławką. Mężczyźni wokół niego chcą, by wiedział, że nie różni się od nikogo. Nie tutaj.

Benji siada na ławce. Z lekkim wahaniem ściąga koszulkę. Nagle z niespodziewanej strony, naprzeciwko Benjiego, jakiś głos przerywa ciszę.

- Skąd wiadomo, że jest się sexy? - pyta Amat.

Benji siedzi z nagim torssem i głową przechyloną na bok.

- Co?

Amat cały się czerwieni. Wszyscy patrzą na niego, nigdy bardziej się nie wstydził, ale nie przerywa:

- No więc... mam na myśli... skąd wiadomo, co dziewczyny uważają za sexy u chłopaków? Albo co chłopaki uważają za sexy u... chłopaków?

Brwi Benjiego opadają.

- O co ty, kurwa, właściwie pytasz?

Amat odchrząkuje.

- Brałeś ze mną prysznic, więc powinieneś być ekspertem. Jestem sexy?

Zanim Benji zdąży odpowiedzieć, Amat uśmiecha się szeroko.

- Nie pytam dla siebie. Tylko dla mojego najlepszego przyjaciela!

Obok niego Bobo wzdryga się jakby porażony prądem. W życiu można dać sobie radę z wieloma rzeczami, gdy ma się najlepszego przyjaciela. Tym bardziej gdy jest się czymś najlepszym przyjacielem. Bobo pokaśtuje i wyrzuca z siebie:

- No, tak ... Benji... Po prostu się zastanawiam, skąd się... No wiesz. Skąd ma się pewność, że jest się ciachem?

Benji patrzy na Bobo, potem na Amata i znów na Bobo. Następnie kręci głową.

- Nigdy w życiu nie obczajałem WAS pod prysznicem!

Szatnia wybucha śmiechem ze wszystkich stron, ale jeden ze starszych zawodników pozostaje poważny i pyta szorstko:

- A nas? Chcesz powiedzieć, że nie obczajałeś NIKOGO z drużyny?

Benji marszczy czoło.

- Wolałbym już, kurwa, patrzeć na dziewczyny niż na was.

Starszy zawodnik opuszcza delikatnie ramiona.

- Nie no... Teraz to się trochę obraziłem.

- Człowiek próbuje tu utrzymać formę - mruczy ktoś inny zawiedziony.

Bobo i Amat uśmiechają się szeroko. Jest prawie jak zwykle. Benji robi się poważny. Wskazuje na ramię Bobo.

- Też chcę taką. Jeśli można.

Bobo wypisuje „Ann-Katrin” na kawałku taśmy i przykleja ją na ramieniu Benjiego. Litery są niewyraźne, bo Bobo drżała dłoń.

Elisabeth Zackell stoi z Peterem na zewnątrz szatni. Trenerka pomrukuje niezadowolona, ale Peter daje jej uparcie do zrozumienia gestami, że powinna coś powiedzieć drużynie. Elisabeth wydaje z siebie jęk, wchodzi do szatni i gwizdże na palcach tak, że wszyscy milkną.

- No więc. Powiedziano mi, że w takiej sytuacji oczekuje się od trenera inspirującej mowy. Więc... tak... przegrywacie zero do czterech.

Mężczyźni gapią się na nią, a ona na nich.

- Sprawdzam tylko, czy wiecie - kontynuuje. - Zero do CZTERECH! Ale: nie tylko przegrywacie, ale też graliście do tej pory do dupy. Tak więc tylko banda totalnych

IDIOTÓW uwierzyłaby w to, że możecie wygrać ten mecz! Mężczyźni siedzą cicho. Zackell odchrząkuje. Następnie dodaje:

- Tak ... No więc: chciałam tylko powiedzieć, że zajmuję się hokejem całe życie. I nigdy nie trafiłam na grupę większych idiotów niż wy.

Zackell wychodzi z szatni. Peter stoi w korytarzu i gapi się na nią, gdy ta idzie w kierunku lodowiska. Nigdy w życiu nie słyszał lepszej mowy między tercjami.

W szatni panuje cisza. Benji patrzy na zegar na ścianie, już powinni być na lodzie, ale nikt nie rusza się z miejsca. W końcu Amat kopie Benjiego w łyżwę i mówi:

- Oni czekają.
- Na co? - zastanawia się Benji.
- Na ciebie.

Benji się podnosi. Pozostali również.

Björnstad Hockey rusza za swoim kapitanem z szatni. Benjamin Ovich nie wychodzi na lód. On na niego wlatuje.

Siostry Ovich przyjeżdżają do hali w Hed z mamą. Wchodzą do środka z minami kobiet, które w życiu widziały już gorsze rzeczy w jeszcze zimniejszych miejscach. Nie czują strachu.

Hala jest jednak wypełniona po brzegi, wszystkie miejsca zajęte, każdy tu wie, kim one są, ale większość udaje, że nie ma o tym pojęcia. Ludzie szepczą, wskazują je sobie palcami, ale nikt nie patrzy im w oczy. Kilka osób może się wstydzi, inne nie wiedzą pewnie, co mają zrobić. Wielu z obecnych pewnie chce to zrobić, ale trudno być tym pierwszym, który wstanie z miejsca.

Jest ich więc od razu pięciu naraz.

Piątka dziadków. Mają na sobie zielone koszulki „Björnstad przeciwko reszcie” i wchodząc po schodach, przekomarzają się, który z nich jest najstarszy. Jeden bierze mamę Benjaminą Ovich pod rękę i prowadzi ją na jej miejsce. Pozostali dziadkowie zostawiają swoje miejsca dla sióstr. Gdy Adri mija jednego z nich, dziadek ściska jej dłoń i mówi:

- Proszę powiedzieć bratu, że tych, co krzyczą najgłośniej, może i słyszać najlepiej, ale nie jest ich najwięcej. Nas jest o wiele, wiele więcej.

Żony dziadków siedzą na miejscach obok. Jedna z nich ma ze sobą przenośną lodówkę. Nie wolno ich oczywiście wnosić na mecze, ale gdy ochroniarz przy wejściu zapytał ją, co ma w środku, odparła poważnie: „Kota”. Gdy mężczyzna zaprotestował, jedna z babć nachyliła się w jego stronę i powiedziała: „Jest martwy, ale proszę nic tej

biedaczce nie mówić". Ochroniarz otworzył usta, a wtedy trzecia z babć wzięła go pod ramię i zapytała: „Macie świeże pomidory? Nie chcę tych belgijskich, które zwykle są u was, chcę takie prawdziwe! Mam kupon rabatowy!”. A czwarta wybuchnęła wesoło: „Ile tu LUDZI! Jaki film pokazujecie wieczorem? Czy to coś z Seanem Connerym?”. Zanim piąta zaczęła swoje wyuczone „W nocy będzie śnieg, czuję to w kolanach”, ochroniarz westchnął, machnął na nie ręką i wpuścił je razem z przenośną lodówką. Teraz babcie wyciągają z niej piwo, dzieląc się nim z mamą i siostrami Benjiego. Dziewięć kobiet z trzech generacji wznosi toast i pije. Pięciu dziadków stoi obok na schodach, niczym prywatna ochrona.

Kubek kawy to nic wielkiego. W sumie.

Wszyscy zapamiętają krzyki ze stojącej trybuny Hed: „Pedały! Kurwy! Gwałciciele!”. Wielu będzie myśleć, że krzyczała cała trybuna, bo tak też się wydawało, z daleka trudno coś zobaczyć. Osądzeni zostaną więc wszyscy, którzy tam byli, mimo że wydzierali się tylko niektórzy. Dzieje się tak, bo lubimy mieć kozły ofiarne, a temu, kto lubi moralizować, łatwo będzie powiedzieć, że „kultura to nie tylko to, co wspieramy, ale również to, na co przyzwalamy”.

Ale gdy wszyscy krzyczą, rzadko słychać głos sprzeciwu. Gdy lawina nienawiści zaczyna się toczyć, trudno stwierdzić, kto powinien ją zatrzymać.

Młoda kobieta w czerwonej koszulce z bykiem na piersi opuszcza miejsce na trybunie stojącej, przechodzi koło ochrony i staje na schodach pomiędzy trybunami siedzącymi. Początkowo nikt nie zwraca na nią uwagi. Kobieta kocha Hed Hockey równie mocno, jak ci krzyczący, kibicowała tej drużynie całe życie, stojąca trybuna należy też do niej. Przejście na trybunę siedzącą, między kibiców z hot dogami, z których zawsze się naśmiewała, jest jej cichym protestem.

Mężczyzna w zielonej koszulce, siedzący kawałek dalej, widzi ją i wstaje ze swojego miejsca. Idzie do kafeterii, kupuje dwie kawy w papierowych kubkach, wraca na trybuny i podaje jej jeden. Stoją tak obok siebie, czerwona i zielona koszulka, i piją w ciszy. Kubek kawy to nic wielkiego. Ale czasem to jednak coś.

Po kilku minutach kolejne czerwone koszulki opuszczają trybunę stojącą. Wkrótce schody przy trybunach siedzących są pełne. „Pedały! Kurwy! Gwałciciele!” wciąż się niesie, ale krzyczący są teraz na widoku. Łatwo można zobaczyć, że nie jest ich tak wielu, jak nam się wydaje. Zawsze tak jest.

W Hed Hockey gra zawodnik o imieniu Filip. Jest najmłodszy w drużynie, ale znajduje się na dobrej drodze, by być najlepszy. To nie jest historia o nim, ma w niej tak krótką rolę, że spokojnie moglibyśmy go przeoczyć i o nim nie wspomnieć.

Ale na chwilę przed rozpoczęciem trzeciej tercji Filip schodzi z lodowiska. William Lyt i kilku kolegów z drużyny krzyczą za nim, by się zatrzymał, ale on wychodzi z lodowiska i udaje się schodami w górę aż do stojącej trybuny. Na nogach nadal ma łyżwy, a w ręce kij. Kieruje się prosto do największego, najsilniejszego i najbardziej wytatuowanego kibica Hed, jakiego może tam znaleźć. Ciągnie go za koszulkę, właśnie wtedy, gdy tamten wrzeszczy: PEDA...

- Krzyknij to jeszcze raz, a nie wracam na lód.

Filip ma tylko siedemnaście lat, ale wszyscy którzy znają się na hokeju, wiedzą, jak dobry wkrótce będzie. Kibic Hed patrzy na niego dziko, ale Filip się nie cofa. Wskazuje na ubranych na czerwono kibiców stojących na schodach trybuny siedzącej.

- Krzyknij to jeszcze raz, a do końca meczu będę stał z nimi.

Wraca na lodowisko, za nim zalega całkowita cisza. Nie jest naiwny, świat się nie zmieni, Filip wie, że kibice na kolejnych meczach będą śpiewać to samo. Ale nie dziś. Gdy dochodzi do boksu, ktoś z trybuny wykrzykuje: „Hed! Hed! Hed!”.

WY-GRA-NA! - odpowiada reszta kibiców.

To jedyne, co śpiewają do końca spotkania. Pod koniec meczu trybuna stojąca znów jest zapełniona. Śpiewają tak głośno, że aż unosi się sufit.

Hokej jest prosty. To najbardziej sprawiedliwy i najbardziej niesprawiedliwy ze sportów.

Björnstad strzela gola. I jeszcze jednego. Gdy zmniejszają rozmiary porażki na trzy do czterech i na dwadzieścia sekund przed końcem meczu przegrywają już tylko jedną bramką, wszyscy wiedzą, co się stanie. Czuć to w powietrzu. To może się skończyć tylko w jeden sposób. Jak w bajkach.

Benji dostaje krążek, przedostaje się do strefy Hed, markuje strzał, ale zamiast tego podaje do Amata. Wszyscy zawodnicy Hed myślą zapewne, że Benji sam będzie chciał uderzyć, tylko jeden z czerwonych zdaje sobie sprawę z tego, że kapitan Björnstad nie jest taki egoistyczny.

William Lyt zna Benjiego.

Amat rzuca się w stronę bramki, nadgarstki ma miękkie, składa się idealnie do strzału. Wydaje się to takie proste, powinien zostać bohaterem, tak byłoby perfekcyjnie. Ale William Lyt zdążył przewidzieć, co się stanie. Rzuca się prosto przed siebie, krążek trafia go w kask, a następnie w słupek bramki. A potem leci w narożnik lodowiska.

Filip przejmując go i wyprowadza ze strefy. Krążek prześlizguje się obok wyciągniętych bezradnie kijów zawodników Björnstad, a później jest już koniec.

Syrena końcowa rozbrzmiewa nieubłaganie. Prowadzący doping czerwonych eksploduje krzykiem radości, a Williama Lyta przygniata szczęśliwa gromada kolegów z drużyny. Zrozpaczeni zieloni padają na lód, na trybunach siedzą zastygli w osłupieniu ludzie z niedźwiedziem na koszulkach.

Hed wygrywa. Björnstad przegrywa.

Hokej jest prosty. Zawsze sprawiedliwy. Zawsze niesprawiedliwy.

Jak wy jesteście z nami

Szatnię Björnstad Hockey wypełnia cisza. Przegrana drużyna przebiera się po meczu tylko na dwa sposoby: natychmiast albo w ogóle. Opuszczenie hali lodowiska zajmuje pięć minut albo wiele godzin. Tym razem nikt nie ma nawet siły zawlec się pod prysznic.

Peter Andersson wchodzi do szatni. Patrzy na zawodników i dokładnie wie, jak się czują. Tak bardzo chciałby im mieć coś inspirującego do powiedzenia, ale mamrocze tylko:

- No... panowie... to był ciężki mecz. Przegraliście, ale chciałbym, żebyście wiedzieli, że...

Jeden ze starszych zawodników prychnął, przerywając mu:

- Z całym szacunkiem, Peter, tylko nie wyskakuj nam tu z jakimś „zapomnijcie o tym” albo inną tego typu banalną gadką. Jeśli nie masz czegoś sensownego do powiedzenia, to lepiej zrób to, co zwykle: zamknij gębę i idź się schować do swojego gabinetu!

To bezpośrednie wyzwanie. Nie szanują go. Peter stoi w korytarzu z rękami w kieszeniach, w większości sytuacji w życiu zrobiłby pewne tak, jak mu powiedziano. Poszedłby sobie i się schował. Wmówił sobie, że jest dyrektorem sportowym, a nie trenerem i że do jego obowiązków w pracy nie należy to, by zawodnicy go szanowali. Ale dzisiaj jest inaczej. Zaciska pięści w kieszeniach i wybucha:

- „Zapomnieć” o tym? ZAPOMNIEĆ? Myślisz, że chcę, żebyście o tym ZAPOMNIELI? Chcę, żebyście O TYM PAMIĘTALI! - Tym sposobem zyskuje ich uwagę. Nigdy nie podnosi głosu, ale teraz wskazuje na każdego zdziwionego zawodnika, od najstarszych po Benjiego, Bobo, Vidara i Amata i wrzeszczy: - Dzisiaj przegraliście. Dzisiaj PRAWIE wam się udało. Zapamiętajcie sobie, jakie to uczucie. Bo już nigdy nie będziecie się tak czuć! NIGDY!

Mógłby może powiedzieć coś więcej, ale nagle w szatni słychać monotonne uderzenia, które przenikają przez ściany hali, i wszyscy zawodnicy podnoszą głowy. Początkowo brzmi to jak dźwięk bębnow, potem jakby ktoś kopał w drzwi, ale wkrótce

przeradza się w huk. Jedynie Peter zdaje sobie sprawę z tego, co oznacza i skąd dochodzi. Słyszał to już kiedyś, dwadzieścia lat temu, podczas magicznego sezonu, kiedy całe miasto żyło i umierało wraz ze zwycięstwami i porażkami drużyny hokejowej. Peter słyszał wtedy ten dźwięk w każdej hali.

- Wyjdźcie na lód - mówi cicho do drużyny.

Zawodnicy robią, co każe. Peter nie idzie za nimi, wie, że nie jest tam mile widziany.

Zawodnicy Björnstad Hockey wyjeżdżają ponownie na lód. Prawie wszystkie trybuny są już puste, a górne oświetlenie zgaszone. Ale po jednej stronie trybun została jeszcze grupa ludzi w czarnych kurtkach, której nikt nie jest w stanie uciszyć. Podskakują w górę i w dół tak, że drewniana konstrukcja trybuny pod nimi aż dudni. Nie jest ich nawet setka, ale śpiewają tak głośno, jakby było ich tam z dziesięć tysięcy: „Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami! Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami! Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami!”. Wykrzykują teraz raz po raz.

Na znak, że nadal tu są. By przypomnieć, co oznacza klub. To przywilej, a nie prawo.

Cała pierwsza drużyna Björnstad Hockey stoi w końcu na lodzie i śpiewa razem z nimi.

JESTEŚMY Z WAMI, JAK WY JESTEŚCIE Z NAMI! JESTEŚMY Z WAMI, JAK WY JESTEŚCIE Z NAMI! JESTEŚMY Z WAMI. JAK WY JESTEŚCIE Z NAMI! Pozostała część hali jest pusta i zagaszona, ale nie ma to znaczenia, bo nikt inny i tak nie byłby tu mile widziany. To coś między drużyną a najbliższymi kibicami, coś między rodziną.

Peter stoi samotnie w szatni, z rękami w kieszeniach. Zaraz potem opuszcza halę i idzie pieszo całą drogę przez las do Björnstad. Głęboko wciąga zimowe powietrze do płuc i czuje się przegrany jak nigdy dotąd. Wszystko wymyka mu się z rąk: dzieci, małżeństwo, klub.

Czy było warto? Skąd mamy to zawczasu wiedzieć?

Trenerzy Björnstad i Hed spotykają się w pokoju sędziego po meczu. Rozmawiają ze sobą jak trenerzy, grzecznie, ale nie miło.

- Dobry mecz - mówi ubrany na czerwono David.

- Wygraliście. W takim razie tylko wy mieliście dobry mecz - odpowiada ubrana na zielono Zackell.

David się uśmiecha. Są do siebie podobni.

- Jak tam pani chłopcy? - pyta David.

- Moi chłopcy czy jakiś jeden konkretny? - odpowiada pytaniem na pytanie Zackell.

David nie wie, co ma zrobić z rękami.

- Benjamin. Ciekawi mnie, co tam u Benjamina.

- Widzimy się znów w grudniu, wtedy zagra już w całym meczu! - odpowiada trenerka.

David uśmiecha się szeroko. To nie jest odpowiedź na jego pytanie, ale jej sposób na to, by zakomunikować mu, że nie zamierza następnym razem przegrać. Przede wszystkim jest trenerem, dokładnie tak samo jak David.

- Dobry mecz! - powtarza David, wyciągając dłoń, ale Zackell nie wygląda, jakby zamierzała odwzajemnić gest.

- Ten Filip, wasz obrońca, może być kiedyś naprawdę dobry - mówi zamiast tego.

David przeciąga się dumnie. Całe dzieciństwo Filip był najmniejszy i najsłabszy w drużynie, ale David wciąż dawał mu szansę, a teraz chłopiec wyrasta na gwiazdę.

- Tak. Musi tylko... - zaczyna David, ale Zackell natychmiast mu przerywa:

- Niech mu pan nie pozwoli kolejny raz wejść na trybuny. Niech go nie wciągną w politykę!

David przytakuje ze zrozumieniem. On i Zackell rzeczywiście są do siebie podobni. Wiedzą, że Filip może być najlepszy, ale wiedzą również, że nic nie ugra, wchodząc w konflikty z publicznością. W sporcie na poziomie ligowym nie ma miejsca na takie rozkojarzenie. Gracze mają grać. Hokej ma być jedynie hokejem.

- Dzisiaj był trochę wolniejszy niż zwykle, ale pewnie jeszcze dobrze się nie rozruszał po przedsezonowych przygotowaniach ... - mówi David.

- Boli go biodro - odpowiada pewnie Zackell.

- Słucham?

- Prawe biodro. Przechyla się na drugą stronę, niech pan się przyjrzy jego plecom, gdy stoi spokojnie, to sam pan zobaczy. Nic panu nie mówi, bo nie chce pana zawieść.

- Skąd pani to wie? - zastanawia się David.

- W jego wieku robiłam to samo.

David długo się waha, zanim zadaje pytanie.

- Kto był pani trenerem?

- Ojciec.

Wyraz jej twarzy nie zmienia się wcale, gdy to mówi. Zdziwiony David drapie się po brodzie.

- Dziękuję. Pogadam z Filipem...

Zackell wyciąga z kieszeni kartkę, na szybko zapisuje na niej numer telefonu.

- To do rehabilitanta. Jest najlepszy w tego typu urazach. Proszę zabrać do niego Filipa i ode mnie pozdrowić.

Następnie wychodzi z pokoju. David woła za nią:

- Zadzwoń do pani, gdy dostanę pracę w pierwszoligowym klubie. Może być pani wtedy moim asystentem.

Z korytarza dobiega odpowiedź kobiety, oczywista i pewna siebie:

- To pan może być MOIM asystentem!

Następnego dnia David zabierze Filipa do rehabilitanta, podróż tam i z powrotem zajmie cały dzień. Za kilka lat w wywiadach Filip będzie opowiadał, jak David zawoził go tam raz w tygodniu przez cały sezon: „Najlepszy trener, jakiego miałem! Uratował mi karierę!”. Rehabilitant pracuje dla jednego z największych klubów w kraju, w kolejnym roku zaproponują Filipowi kontrakt. W tym samym czasie w klubie dostaje też pracę David.

Elisabeth Zackell będzie się starać o tę samą posadę, niestety bezskutecznie.

Zawsze sprawiedliwie. Zawsze niesprawiedliwie.

Jest już późno, gdy ktoś dzwoni do drzwi domu Davida. Otwiera jego ciężarna dziewczyna. Stoi przed nią Benji.

Gdy David schodzi ze schodów, aż traci oddech, jedna chwila i przed oczami przelatuje mu cały okres dorastania chłopca: Benji i Kevin, najlepsi przyjaciele, dzikus i geniusz. Jezu, jak David ich kochał! Czy kiedykolwiek jeszcze jako trener będzie się czuł tak jak z nimi?

- Wchodź do środka! - prosi uszczęśliwiony David, ale Benji kręci tylko głową.

Ma osiemnaście lat. Jest już mężczyzną. Gdy z Kevinem byli jeszcze dziećmi, David motywował ich na tysiąc różnych sposobów. Któregoś razu pożyczył im swój zegarek. Dostał go od ojca, chłopcom strasznie się podobał, więc po szczególnie dobrym treningu lub meczu mogli go sobie ponosić. Benji trzyma teraz zegarek w ręce.

- Proszę go dać dziecku. Nie bardzo do mnie pasuje.

Wiosną, po tym, jak opuścił Björnstad Hockey, David widział Benjiego całującego się z innym chłopcem. Tyle chciał mu wtedy powiedzieć i tak bardzo nie wiedział, jak to zrobić. Zostawił więc Benjiemu zegarek na grobie jego ojca razem z krążkiem, na którym napisał: „Nadal najodważniejszy skurczybyk, jakiego znam”.

- Ja... - zaczyna cicho David, ale nie jest w stanie wydusić z siebie nic więcej.

Benji kładzie mu zegarek na dłoni, palce Davida zaciskają się wokół metalu, dziewczyna płacze w jego imieniu.

- Zostawię sobie krążek, to wystarczy - mówi Benji.

David chce go przytulić. To takie dziwne, że można zapomnieć, jak się to robi.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, przez co musiałeś przejść - szepcze ze szczerością w głosie.

Benji gryzie się w policzek.

- Jesteś najlepszym trenerem, jakiego miałem - odpowiada równie szczerze chłopiec.

„Trenerem”, nie „człowiekiem” czy „przyjacielem”. Jedynie „trenerem”. To nigdy do końca nie przestanie Davida boleć.

- W każdej mojej drużynie zawsze będzie na ciebie czekać koszulka z numerem szesnaście... - obiecuje David.

Doskonale wie, co Benji odpowie, jeszcze zanim chłopak mówi to na głos.

- Ja mam tylko jedną drużynę.

Zaraz potem znika w ciemności. Jak zwykle.

Kilka dni później Björnstad rozgrywa kolejny mecz. Również wyjazdowy, ale zielone koszulki i czarne kurtki są na miejscu, a podczas całego spotkania słychać tę samą powtarzaną z uporem maniaka przyśpiewkę: „Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami! Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami! Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami!”.

Björnstad wygrywa pięć do zera. Amat jest jak wicher, Bobo walczy, jakby to był ostatni mecz jego życia, a Benji jest najlepszy na lodzie. W pewnym momencie pod koniec meczu Vidar prawie zaczyna bić się z jednym z zawodników przeciwnej drużyny, ale wtedy Benji pędzi co sił w nogach przez całe lodowisko i go powstrzymuje.

- Jeśli będziesz się bił, to cię zdyskwalifikują! Potrzebujemy cię! - mówi Benji.

- Ale on pierdoli jak pojebany! - krzyczy Vidar, wskazując na przeciwnika.

- Co powiedział? - pyta Benji.

- Że jesteś pedałem!

Benji patrzy na niego długo.

- Ja JESTEM pedałem, Vidar.

Wzburzony Vidar uderza pięściami po niedźwiedziu na piersi.

- Ale NASZYM pedałem!

Benji wzdycha ciężko ze wzrokiem wbitym w lód. To najbardziej chory komplement, jaki kiedykolwiek otrzymał.

- Możemy teraz po prostu pograć w hokeja? - prosi.

- No dobra - mruczy Vidar.

Grają. Benji zdobywa dwie bramki. Vidar nie przepuszcza ani jednej. Tego wieczoru, gdy Benji przychodzi do Futra, na barze czeka na niego nalane piwo. Wypija je, po obu

jego stronach stoją Vidar i Teemu Rinnius i piją swoje. Czuje się z nimi prawie jak zwykle. Może tak też będzie, kiedyś.

Zdobywają go

W Björnstad chowamy naszych najbliższych pod najpiękniejszymi drzewami. Przezywamy żałobę w ciszy, mówimy stonowanym głosem i często uważamy, że łatwiej coś zrobić, niż powiedzieć. Może dlatego, że mieszkają tu zarówno dobrzy, jak i źli ludzie, tak cholernie trudno dostrzec między nimi różnicę. Czasem jesteśmy jednocześnie tacy i tacy.

Bobo próbuje zawiązać krawat, nigdy do końca się tego nie nauczył, za każdym razem krawat jest za długi albo za krótki. Przy kolejnej próbie nie wychodzi mu tak bardzo, że młodsze rodzeństwo wybucha śmiechem. Właśnie dziś udaje mu się wzbudzić u nich uśmiech. Ann-Katrin byłaby z niego taka dumna.

Rodzeństwo bardzo się od siebie różni, Bobo nigdy nie zrozumie, jak to możliwe. Te same geny, to samo wychowanie, ten sam dom. A jednak mimo wszystko całkiem inni ludzie. Zastanawia się, czy jego mama też tak uważała, czy udało jej się dostrzec samą siebie w każdym ze swoich dzieci. O tyle rzeczy nie zdążył jej zapytać. Śmierć zawsze nam to robi, jest niczym rozmowa telefoniczna - natychmiast po odłożeniu słuchawki dociera do nas, że o coś zapomnieliśmy zapytać. Teraz po drugiej stronie linii pozostała nam już tylko poczta głosowa wypełniona wspomnieniami, urywki głosu, które stają się coraz słabsze.

Do pokoju wchodzi Knur i próbuje pomóc Bobo z krawatem, ale i jemu nie wychodzi to najlepiej. Gdy rodzina miała iść na pogrzeb, krawatami zarówno syna, jak i ojca zawsze zajmowała się Ann-Katrin. Bobo zawiązuje go sobie w końcu na głowie, wywołując tym salwy śmiechu u młodszego rodzeństwa. Tak ubrany jedzie też całą drogę na pogrzeb, tylko po to, by dzieciaki nie przestały się uśmiechać.

Ksiądz coś mówi, nikt z rodziny nie wie do końca co, wszyscy siedzą na samym przedzie, tak blisko siebie, jak tylko się da. Ann-Katrin zawsze lubiła to, że jej rodzina była jak małe stadko szukające wzajemnego ciepła.

„Większy dom? Po co nam większy dom? I tak jesteśmy zawsze w tym samym pokoju!”.

Zebrani na ceremonii podchodzą później do Knura, próbując w kilku celnych słowach powiedzieć coś o jego żonie. Ale to niemożliwe, biorąc pod uwagę, kim była: naprawdę dobrą pielęgniarką w szpitalu, cenioną koleżanką, która zawsze pomagała w potrzebie, lojalną i kochaną przyjaciółką. Miłością życia Knura i jedyną matką niesamowicie różnej od siebie trójki dzieci.

Chowają dziś tylko jedną osobę, która była jednak wieloma kobietami dla tych, których zostawia za sobą.

Każdy ze zgromadzonych w kościele żałuje, że nie zdążył jej zadać więcej pytań. Śmierć taka już jest.

Wydaje się, że Peter i Mira żyją teraz obok siebie zamiast razem. Po pogrzebie wychodzą wspólnie z kościoła, ale jest pomiędzy nimi przestrzeń, na tyle duża, by ich ręce przez przypadek się nie dotknęły. Każde z nich wsiada do swojego samochodu, ale żadne nie wkłada kluczyka do stacyjki. Oboje się załamują, każde w swoim rogu parkingu.

Zawsze wiedzieli, że uzależnienie od innych ludzi jest straszne. Pewnego wieczoru przed kilkoma laty w wiadomościach podano informację o wypadku drogowym, w którym zginęło dwoje małych dzieci. Tej nocy Mira i Peter siedzieli na schodach przed domem i na nowo przeżywali swoją żałobę. Nigdy nie przestaje się tracić dziecka. Mira szepnęła do Petera: „Boże, kiedy Izaak odszedł, to tak strasznie bolało... Gdybym była wtedy sama... tobym się zabiła”. Może jej i Peterowi udało się przetrwać, bo nie dowierzali, że daliby sobie z tym radę na własną rękę. Uganiali się więc od tej pory za wszystkim, dla czego jeszcze musieli żyć: za sobą, dziećmi, mającą jakiś sens pracą, klubem hokejowym, miastem.

Peter patrzy przez szybę i widzi, że Mira nie wyjechała jeszcze z parkingu. Wysiada z samochodu i podchodzi do niej, otwiera drzwi od strony pasażera i mówi ostrożnie:

- Powinniśmy do nich pojechać, kochanie. Do Knura i dzieci.

Mira kiwa głową i wyciera palcem eyeliner z niewielkich zmarszczek przy oku. Gdy umarł Izaak, Knur i drugi przyjaciel Petera z dzieciństwa, Frak, natychmiast przyjechali do Kanady. Wiedzieli, że Peter i Mira będą w szoku, więc Frak pomagał im we wszystkich praktycznych sprawach do załatwienia, papierach, dokumentach i ubezpieczeniu. Knur natomiast na początku siedział głównie na schodach przed domem, nie wiedząc, jak może pomóc, bo nigdy wcześniej nie był za granicą. Wtedy zauważył też, że poręcz schodów jest zniszczona, a ponieważ poręcze w Kanadzie są takie same jak w Björnstad, Knur przyniósł narzędzia i ją naprawił. Przez kolejne dni naprawiał pozostałe rzeczy w domu.

- Twoim czy moim samochodem?- pyta cicho Peter.

- Moim - odpowiada Mira i zabiera torebkę z fotela pasażera.

Jedzie do domu Knura i jego dzieci. W połowie drogi ostrożnie wyciąga rękę nad skrzynią zmiany biegów, a Peter ją za nią łapie. I trzyma mocno.

Fatima, mama Amata, krząta się już w kuchni i przygotowuje jedzenie. Mira jej pomaga. Amat idzie do Bobo i jego rodzeństwa i mówi to, co nastolatek może powiedzieć przyjacielowi, który właśnie stracił mamę:

- Pogramy?

Przynoszą kije i krążek. Bobo znowu zakłada krawat na głowę, bierze każde z rodzeństwa za rękę i prowadzi nad jezioro. Woda jest zamarznięta, cały świat tonie w bieli, a oni grają tak, jakby na świecie nie liczyło się nic innego.

Peter znajduje Knura w warsztacie, mężczyzna wrócił już do pracy. Jego ręce potrzebują zajęcia, tak by nie pękło mu serce.

- Mogę ci jakoś pomóc? - pyta Peter.

Knur jest spocony i rozkojarzony, mruczy więc:

- Podczas burzy wiatr zniszczył dach. Sprawdzisz, jak to wygląda?

Żałoba może sprawić, że zapomnimy, że nasz najlepszy przyjaciel ma dwie lewe ręce i nie potrafił naprawić nawet własnej poręczy na schodach w Kanadzie. Peter kocha Knura, tak jak tylko dzieci potrafią kochać swoich najlepszych przyjaciół, przynosi więc drabinę i wchodzi na dach.

Gdy tak siedzi na górze, nie mając zielonego pojęcia, co ma dalej robić, zauważa zbliżający się przez las orszak samochodów. Początkowo myśli, że to rodzina Knura, ale gdy samochody się zatrzymują, wysiadają z nich młodzi mężczyźni.

Teemu i Vidar jako pierwsi, potem Pająk i Stolarz, a za nimi kolejne dziesięć czarnych kurtek. Wszyscy naprawiają tutaj swoje samochody i skutery śnieżne, ich rodzice również. Jeśli w okolicy zepsuje się odśnieżarka, jakaś maszyna używana do prac w lesie albo choćby czajnik, wszyscy przychodzą z tym do Knura. Przyszli też, gdy coś zepsuło się w nim. Teemu wchodzi do warsztatu, ściska ubrudzoną olejem dłoń mechanika i mówi:

- Nasze kondolencje, Knur. W czym potrzebujesz pomocy?

Knur ociera pot i brud z twarzy.

- A kogo masz?

- Stolarza, elektryka, kilku chłopaków, którzy są po prostu silni, i kilku, co do których, do cholery, nie wiadomo, do czego się nadają! - mówi Teemu.

Knur uśmiecha się lekko.

Peter nadal siedzi na dachu, gdy wchodzi na niego Stolarz i Pająk. Patrzą na siebie, Peter robi głęboki wdech i wyznaje:

- Nie znam się na dachach. Nie wiem nawet, gdzie... zacząć.

Stolarz nic nie mówi. Pokazuje tylko Peterowi, co ma robić. Potem pomagają sobie nawzajem, pracując przez kilka godzin. Gdy już zejść na ziemię, znów będą wrogami, ale tam na górze sobie odetchną. Śmierć tak już robi, również tak.

Teemu wchodzi do kuchni. Zatrzymuje się w pół kroku, gdy widzi Mirę. Jej szczęka nieruchomieje, dłonie zaciskają się w pięści tak szybko, że Fatima instynktownie ustawia się pomiędzy nimi, nie mając pewności, kto jest w większym niebezpieczeństwie. Teemu robi krok do tyłu, opuszcza ramiona, przechyla głowę na bok, czyniąc się jak najmniejszym.

- Chciałbym tylko pomóc - prosi.

Czasem łatwiej jest coś zrobić, niż powiedzieć. Mira i Fatima spoglądają na siebie, Mira przytakuje krótko, a Fatima pyta:

- Umie pan gotować?

Teemu kiwa głową. Fatima wie, kim jest jego mama, i zdaje sobie sprawę, że mężczyzna musiał nauczyć się tego już jako małe dziecko. Prosi go, by pokroił warzywa. Teemu wykonuje pracę bez protestu. Mira zmywa naczynia. Teemu wyciera talerze. Nie zawierają pokoju, ale robią przerwę. Najtrudniejsze z dobrymi i złymi ludźmi jest to, że można być obydwojema naraz.

Łatwo mieć nadzieję wobec ludzi. Wierzyć, że świat zmieni się w ciągu jednego dnia. Demonstrujemy po zamachach, zbieramy pieniądze po katastrofach, wstawiamy serduszka w Internecie. Ale z każdym krokiem do przodu robimy prawie taki sami w tył. Z perspektywy czasu zmiana zachodzi wolno, prawie nie da się jej w trakcie zauważyć.

Słychać dzwonek w szkole w Björnstad. Rozpoczynają się lekcje. Benji stoi jednak kilkaset metrów od wejścia, jakby wmurowany w ziemię. Zdaje sobie sprawę z tego, kim jest w oczach wszystkich, mecz hokejowy tego nie zmieni. Może będą go akceptować na lodzie tak długo, jak będzie najlepszy, ale zawsze już musi dać im o wiele więcej niż inni. Zawsze już musi okazywać wdzięczność, że może w czymś uczestniczyć. Bo nie jest jednym z nich. I nigdy już nie będzie.

Wie, że nadal pisze się o nim i mówi niemiłe rzeczy, że jest obiektem żartów. Nie ma znaczenia, kim jest, jak dobrze gra i że potrafi się bić. W ich oczach zawsze będzie już tylko tym. Niektórzy ludzie już zawsze sprowadzą wszystko, co Benji osiągnął, do pięciu liter. Tak jak na kartce na drzwiach do domku kempingowego, na której z literki

D zrobiony celownik otaczały z jednej strony litery PE, a z drugiej AŁ przybite nożem do drewna. Tylko tym pozwolą mu teraz być.

Odwraca się, by ruszyć w przeciwnym kierunku. Pierwszy raz w życiu boi się szkoły. Kawałek dalej stoi młoda kobieta, nie dotyka go nawet, mimo to jej głos sprawia, że Benji zatrzymuje się w pół kroku:

- Nie daj świniom zobaczyć, że płaczesz, Benji.

Benji przystaje z szeroko otwartymi oczami.

- Nie daję już rady... Jak... można sobie z tym poradzić?

Głos Mai jest słabszy niż słowa:

- Po prostu wchodzisz do środka. Z podniesioną głową i wyprostowanymi plecami. Patrzysz każdemu z nich w oczy, aż spuszczą wzrok. To nie z nami jest coś nie tak, Benji.

Benji czuje, że łamie mu się głos, gdy mówi:

- Jak dałaś sobie z tym radę? Na wiosnę, po tym... wszystkim... Jak... dałaś radę?

Jej spojrzenie jest twarde, głos się łamie.

- Nie zamierzam być ofiarą. Przetrwam wszystko.

Maya idzie w kierunku szkoły. Benji waha się całą wieczność, zanim rusza za nią. Maya na niego czeka. Idzie przy jego boku. Ich kroki są wolne. Może się wydawać, że przemykają ukradkiem, ale oni nie chowają się po korytarzu.

Oni go zdobywają.

Jesteśmy wszędzie

W tym roku dni w Björnstad zlewają się w jedno, może nie mamy już siły segregować czasu ani uczuć. Prawie nie zauważamy, że w którymś momencie kończy się jesień i nadchodzi zima. Czas po prostu płynie, większość z nas zajęta jest znajdывaniem sił na codzienne wstawanie z łóżka.

Mira jest w pracy, ale nigdy tego do końca nie czuje. Przychodzi do niej coraz później, wychodzi coraz wcześniej, wie, że nikt nie będzie brał jej pod uwagę, gdy następnym razem na tapecie pojawi się jakieś wysokie stanowisko. Nie jedzie na konferencję, na którą ją zaproszono. Nie ma siły myśleć o tym, co będzie dalej, próbuje po prostu dobić do końca każdego dnia, z włączonym na stałe trybem przetrwania.

Dopiero przyjaciółka mówi jej prawdę prosto w oczy. Jak zwykle. Pewnego dnia Mira przez przypadek wybiera złą salę konferencyjną, żeby wykonać telefon, i wchodzi w sam środek spotkania, na którym przyjaciółka przedstawia strategię działania dla dużego klienta. Mira zatrzymuje się w drzwiach i patrzy na notatki, które przyjaciółka prezentuje na tablicy na ścianie. Są jak zwykle bardzo dobre, ale gdyby Mira przy nich pomogła, byłyby jeszcze lepsze. Po spotkaniu Mira czeka przy drzwiach i gdy przyjaciółka wychodzi, pyta ją:

- To moja specjalizacja! Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pomoc?

Przyjaciółka się nie złości. Nie chce też zranić Miry. Jest po prostu uczciwa:

- Bo już się poddałaś, Miro.

W głębi serca chcielibyśmy, żeby wszystkie bajki były proste, ponieważ pragniemy, żeby właśnie tak wyglądała też rzeczywistość. Ale społeczności są jak lód, nie jak woda. Nie zaczynają nagle płynąć w jakimś kierunku tylko dlatego, że się je o to prosi. Zmiany w nich dokonują się centymetr po centymetrze, jak w lodowcu. Czasem nie ruszają się wcale z miejsca.

Nikt nie zaczepia Benjiego w szkole. Kto by się odważył? Każdego dnia jego telefon zapełnia się jednak esemesami z anonimowych numerów, za każdym razem, gdy otwiera szafkę, wypada z niej jakaś kartka. To zwykłe słowa, te same stare pogrożki, do których szybko się przyzwyczajają. Jest coraz lepszy w udawaniu, że nic się nie stało,

a ci, którzy źle mu życzą, odbierają to jako sygnał, że ma zbyt łatwo. Tak jakby nie został już ukarany, nie nacierpiał się wystarczająco, więc wciąż wyszukują coś nowego.

Któregoś dnia William Lyt przychodzi do szkoły w koszulce z celownikiem na piersi. To tak dyskretne, że tylko Benji zwraca na to uwagę. Tamtego dnia, gdy wszyscy dowiedzieli się prawdy, na drzwiach domku kempingowego przytwierdzono kartkę, na której w literze D w słowie PEDAŁ narysowany był taki sam celownik. Benji zerwał kartkę i natychmiast ją zniszczył, w sieci nigdy nie pojawiło się żadne jej zdjęcie, chłopiec zdaje więc sobie sprawę, że tylko ten, kto ją zawiesił, wie, jak wyglądała.

William Lyt chce, by Benji wiedział, kto to zrobił. Chce, by Benji pamiętał o nożu. Nie wystarczy już tylko wygrać mecz.

Benji napotyka jego wzrok. Stoją kilka metrów od siebie w korytarzu, jest zwykły dzień w dłużącym się semestrze zimowym. Wszyscy pozostali uczniowie przemykają nieświadomie obok nich w drodze do kafeterii lub stołówki. To chwila tylko między tymi dwoma chłopcami: jednym z czerwonej drużyny i jednym z zielonej. Między bykiem a niedźwiedziem. Wcześniej czy później któryś z nich musi pokonać drugiego.

Wszystkie drużyny w lidze hokeja grają ze sobą dwa razy w sezonie - u siebie i na wyjeździe. Poza pierwszym spotkaniem Björnstad Hockey wygrał do tej pory wszystkie mecze, Hed Hockey również. Terminarz nieubłaganie odlicza dni do ich ponownego starcia. Tym razem w hali w Björnstad.

Wszystkie sporty to bajki, właśnie dlatego tak się w nich zatracamy. Również ta musi się skończyć w ten sposób.

Maya ucieka ze szkoły. Starannie wybiera jednak dzień, w którym ma mało zajęć. Nawet gdy łamie zasady, stara się narobić jak najmniej szkód. Wsiada do autobusu i jedzie daleko, do miasta, do którego nie każdemu chciałoby się codziennie dojeżdżać. Z listem w ręce wchodzi do dużego budynku z cegły i w recepcji pyta o adwokatkę. Gdy wchodzi do gabinetu mamy, Mira ze zdziwienia wywraca kubek z kawą.

- Kochanie! Co ty tutaj robisz?

Maya od dzieciństwa nie była u mamy w biurze, ale kiedyś to uwielbiała. Inne dzieci nudziły się u rodziców w pracy, ale Maya lubiła przyglądać się skoncentrowanej na czymś mamie. I zaangażowanej. Nauczyło to córkę, że są dorośli, którzy pracują, ponieważ im zależy, nie tylko dlatego, że dostają za to pieniądze. Że to błogosławieństwo.

Niepewnie kładzie kopertę na biurku, z obawą, że mama poczuje się opuszczona.

- To... ze szkoły muzycznej. Zgłosiłam się... Ja... chciałam tylko wiedzieć, czy jestem wystarczająco dobra. Wysłałam im filmik, na którym śpiewam moje piosenki, i. . .

Mama patrzy na list córki, widzi nadawcę i wybucha szlochem. Mira uczyła się zawzięcie, by dostać się na studia, marzyła o prawie, mimo że nikt w jej rodzinie nigdy nie studiował. Pragnęła reguł i ram, bezpieczeństwa i stopni kariery. Swoim dzieciom życzyła tego samego: życia, po którym wiadomo, czego się spodziewać, pozbawionego rozczarowań. Ale córki nigdy nie są jak matki, Maya zakochała się w czymś najbardziej wyzwolonym i pozbawionym reguł. W muzyce.

- Przyjęli cię. Oczywiście, że cię przyjęli. - Mira szlocha, nie podnosząc się z krzesła. Maya płacze.

- Mogę zacząć w styczniu. Wiem, że to strasznie daleko i że będę musiała pożyczyć pieniądze, zrozumieć, jeśli nie będziesz chciała...

Mira gapi się na córkę.

- Nie będę chciała? Oczywiście, że... Kochanie, nigdy bardziej się nie cieszyłam z twojego powodu!

Gdy się obejmują, Maya dodaje:

- Chcę to zrobić tylko dla siebie. Coś tylko dla mnie. Rozumiesz?

Mira rozumie. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Następnego dnia przyjeżdża do pracy wcześniej niż pozostali. Gdy przyjaciółka wchodzi do gabinetu, Mira siedzi w jej fotelu. Przyjaciółka unosi brew, Mira opuszcza swoje.

- Nigdy więcej mi nie mów, że się poddałam! Nic innego nie ROBIĘ, tylko się nie poddam.

Przyjaciółka uśmiecha się i mówi cicho: „Zamknij się i fakturuj!”. Tego ranka obie składają wypowiedzenie. Po południu podpisują umowę najmu lokalu, o którym marzyły, i otwierają własną firmę.

Mieszkańcy Björnstad nigdy nie należeli do takich, co to demonstrują na ulicach. Nie biorą udziału w paradach, wyrażają poglądy w inny sposób. Dla ludzi z zewnątrz może to być trudne do zrozumienia, ale w tej społeczności doprawdy niewiele dzieje się przypadkowo. I nawet jeśli coś wygląda na przypadek, to raczej na pewno nim nie jest.

Na początku sezonu Björnstad Hockey gra kilka meczów u siebie z nienaruszoną trybuną stojącą. Peter ma może naiwną nadzieję, że jego wymówka - brak gotowych do wykonania zadania stolarzy - wystarczy. W końcu jednak dostaje jednoznaczny mejl od nowych właścicieli fabryki: „Jeśli klub nie pozbędzie się chuliganów zwanych »Grupą«, nie widzimy innego rozwiązania, jak zerwanie kontraktu sponsorskiego”.

Gdy na początku zimy widzowie przychodzą na kolejny mecz drużyny, wynajęci ochroniarze pilnują trybuny stojącej, odgradzonej podwójną taśmą.

W tym roku wszyscy zmuszeni są do podejmowania decyzji. Peter wybiera przetrwanie klubu. W odpowiedzi „Grupa” wybiera swoje.

Peter zajmuje miejsce w najwyższym rzędzie trybun siedzących i czeka, aż zaczną na niego krzyżeć. Jest prawie przygotowany, że ktoś do niego podbiegnie i go uderzy. Nikt jednak nawet nie patrzy w jego kierunku. Mimo że hala jest wypełniona po brzegi, nie widać żadnych transparentów, nikt nie wymachuje banerami. Wszyscy zachowują się tak, jakby był to najzwyczajniejszy mecz na świecie.

Gdy to miasto staje po czyjejs stronie, dochodzi w nim do drobnych zmian, które łatwo przegapić, nawet jeśli ma się je przed nosem. Większość hokejowej publiczności to porządni ludzie, którzy nigdy nie popieraliby przemocy. Wielu z nich narzeka nawet na „Grupę” przy kuchennym stole, twierdząc, że chuligani okrywają klub złą sławą i odstrasza ją zarówno zawodników, jak i inwestorów. Wybór strony w konflikcie niezwykle rzadko ma natomiast coś wspólnego z tym, kogo się popiera, za to prawie zawsze z tym, przeciwko komu się występuje. A tę społeczność może i rozdziera wiele wewnętrznych konfliktów, ale niezmiennie trzyma się razem przeciwko obcym.

Jeśli jakieś bogate przedsiębiorstwo ma ochotę kupić fabrykę i przejąć kontrolę nad naszymi miejscami pracy, nic na to nie poradzimy, ale jeśli myśli, że może kupić nasz klub i decydować o tym, jak mamy żyć, to wybrało sobie złe miasto. Dla wielu „Grupa” może być symbolem przemocy, ale dla tych, którym jej członkowie pomagali przy zwalonych drzewach w ogrodzie i którzy potem zostali zaproszeni na piwo do Futra, „Grupa” jest czymś więcej. To ludzie, którzy nie zgadzają się na poniżanie, nie dostosowują się do władzy, pieniędzy ani polityki. Mają wady, popełniają błędy, ale z tym akurat w Björnstad łatwo sympatyzować. Zwłaszcza w tych czasach.

Nie jest to może do końca właściwe. Nie jest też tak do końca niewłaściwe. Po prostu tak jest.

Dopiero po dobrej chwili Peter zauważa czarne kurtki; są rozproszone po całej hali, w różnych miejscach trybun siedzących. Oczywiście liczył się z taką ewentualnością, ale tym razem jest ich znacznie więcej niż zwykle. Kilkaset. Dopiero gdy dokładnie przygląda się każdej osobie, zauważa dlaczego: to nie tylko „Grupa”, ale również emeryci, rodzice małych dzieci, robotnicy z fabryki, kasjerki ze sklepu spożywczego i pracownicy gminnych zakładów mieszkaniowych. Nie jest to żadna parada, żadna głośna demonstracja. Gdyby Peter zapytał ich wprost, zgrywaliby zdziwionych: „Co? O czym pan mówi? Nie, nie, nie, to czysty przypadek!”. Peter nie ma oczywiście żadnych dowodów, bo kurtki są różnych marek i z różnych materiałów. Ale każda ma ten sam kolor. A w tym mieście prawie nic nie dzieje się przypadkowo.

Nikt nie był zdziwiony, że trybuna została odgradzona właśnie dzisiaj, ktoś zadbał o to, by wiadomość rozeszła się odpowiednio wcześniej. Peter wie kto. Peter musiał opowiedzieć o sytuacji osobiście tylko członkom zarządu, którzy musieli wydać odpowiednią zgodę na zatrudnienie dodatkowej ochrony. Peter dokonał wyboru, podobnie jak Ramona. Dał jej miejsce w zarządzie, by mogła podejmować decyzje, które jej zdaniem są najlepsze dla klubu. Peter ponosi teraz tego konsekwencje.

W przerwie między pierwszą a drugą tercją w dolnych rzędach trybun podnosi się młody mężczyzna. Jest dobrze ubrany i uczesany i nie sprawia wrażenia agresywnego. Ludzie w jego pobliżu stwierdziliby: „On? Nie, nie wiem, kto to. Jak się twoim zdaniem nazywa? Teemu Rinnius? Nigdy o nim nie słyszałem!”.

Teemu spokojnie schodzi w dół trybun siedzących, następnie idzie wzdłuż bandy i skręca w kierunku odgradzonej trybuny stojącej. Jest tam dwóch ochroniarzy, ale żaden z nich nie wygląda, jakby miał go zatrzymać. Teemu wspina się na trybunę stojącą, bez pośpiechu przez nią przechodzi, staje nawet na jej środku, by zawiązać but. Rzuca okiem na lodowisko, odszukuje Petera Anderssona w morzu publiczności. Następnie przechodzi w róg trybuny i schodzi po drugiej stronie, by kupić sobie kawę. Tak jakby nic się nie wydarzyło. Mimo to wszyscy wiedzą. W ten sposób Teemu właśnie pokazał Peterowi, że to jego trybuna i że ją odzyska, kiedy tylko będzie chciał.

Kilka minut później rozlega się pieśń. Początkowo słyszalna wyłącznie z trybuny po drugiej stronie, ale jak na rozkaz zaczynają ją również wykrzykiwać mężczyźni kilka rzędów poniżej Petera. Następnie z prawej i lewej strony. Nikt nie patrzy mu w oczy, ale czarne kurtki śpiewają to tylko dla niego: „Jesteśmy wszędzie! Jesteśmy wszędzie! Jesteśmy wszędzie! Chcesz nas, to po nas przyjdź! Bo my jesteśmy wszędzie! Wszędzie! Wszędzie! Wszędzie! Jesteśmy wszędzie!”.

Odśpiewują ją dziesięć razy. Następnie podnoszą się i intonują coś innego: „Jesteśmy z wami, jak wy jesteście z nami!”. Zaraz potem milkną i stoją tylko przybici, ale zdyscyplinowani, by pokazać, jak cicha może być bez nich hala. Jak bardzo wszystkim zabraknie wsparcia „Grupy”, gdy już jej nie będzie.

Po chwili, jak na zawołanie, zaczynają śpiewać na nowo, a cała hala im wtóruje. Starzy i młodzi, czarne kurtki, białe koszule i zielone koszulki: „To my, niedźwiedzie, to my, niedźwiedzie, to my, niedźwiedzie, NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD!”.

Björnstad Hockey wygrywa siedem do jednego. Pokonuje przeciwnika. Pieśni na trybunach ogłuszają, publiczność robi zieloną falę po obu stronach lodowiska. W hali unosi się i rozbrzmiewa uczucie wspólnoty. My przeciwko wszystkim. Björnstad przeciwko reszcie.

Peter nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny.

Następnego dnia w lokalnej gazecie przeczytać można wywiad z lokalnym politykiem Richardem Theo. Zapytany, co myśli o zamknięciu trybuny stojącej na hali lodowiska, odpowiada: „Björnstad Hockey to klub miasta. Nie należy do elit ani establishmentu, tylko do zwykłych, uczciwych, ciężko pracujących ludzi w tym mieście. Zrobię, co mogę, by przekonać dyrektora sportowego, że trybuna stojąca powinna pozostać na miejscu. Nasz gniazdowy jest niezastąpiony dla atmosfery podczas meczów. To klub miasta!”.

Kilka godzin później w skrzynce mejlowej Petera pojawia się nowa wiadomość od właścicieli fabryki. Zmieniili zdanie. Nagle „przekonano ich, jak ogromną wartość dla mieszkańców ma trybuna stojąca”. W ten sposób Peter dowiaduje się, że został oszukany, po całości, od początku.

Wieczorem siedzi samotnie w kuchni, czekając na dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Ale ten się nie rozlega. Mira jest w pracy do późna w nocy. Gdy przychodzi do domu, zastaje Petera śpiącego na kanapie. Przykrywa go kocem. Na stoliku stoją butelka wina i dwa kieliszki.

Burza i napór

Jest wyjątkowo późno i hala powinna być już dawno ciemna, mimo to gdy nadchodzi Bobo, Elisabeth Zackell nadal jest na lodzie i strzela na bramkę. Wychodząc z domu, nie był pewien, czy ją zastanie, ale miał taką nadzieję. Uspiał młodsze rodzeństwo, czytając im Harry'ego Pottera, posprzątał dom i zrobił pranie. Następnie spakował sprzęt i przyszedł tutaj. To instynkt. Nie może spać, mózg nie chce przestać pracować, a Bobo zna tylko jedno miejsce, w którym wszystko cichnie.

- Może mnie pani nauczyć jeździć na łyżwach!?! - woła do Zackell.

Trenerka odwraca się w jego stronę. Nigdy nie widziała młodego człowieka, który bardziej potrzebowałby ucieczki od rzeczywistości.

- Jak to? - pyta.

- Za pierwszym razem, gdy się widzieliśmy, zapytała pani, dlaczego nikt nie nauczył mnie jeździć!

To nie stwierdzenie, tylko prośba. Zackell opiera się w zamyśleniu o kij.

- Dlaczego lubisz hokej?

Bobo zagryza dolną wargę.

- Bo jest... fajny?

- To niewystarczająco dobra odpowiedź - mówi trenerka.

Bobo oddycha spokojnie. Próbuje jeszcze raz:

- Ja... wiem, kim jestem, kiedy gram w hokeja. Czego się ode mnie oczekuje. Wszystko inne jest... takie skomplikowane. Ale hokej... Po prostu... wiem, kim tu JESTEM...

Zackell z lekkim zadowoleniem stuka kijem o lód.

- Dobra. W takim razie chyba damy radę.

Bobo wjeżdża na lodowisko, jedzie w jej kierunku, zatrzymuje się i pyta:

- A PANI dlaczego lubi hokej?

Zackell wzrusza ramionami.

- Mój ojciec lubił hokej. A ja lubiłam ojca.

Bobo marszczy czoło.

- A dlaczego ON lubił hokej?

- Mawiał, że to jak orkiestra symfoniczna. Lubił muzykę klasyczną. Sturm und drang.

- To jakiś zespół? - pyta Bobo, a Zackell, o dziwo, wybucha głośnym śmiechem.

- To znaczy „burza i napór”. Ojciec puszczał mi te same kawałki raz po raz i mówił: „To wszystkie uczucia naraz, słyszysz, Elisabeth? Burza i napór!”. To właśnie czuł do hokeja. Burzę i napór. Przez cały czas.

Bobo długo nad tym rozmyśla. W końcu mówi:

- Dlaczego siedzi tu pani po nocy i strzela do bramki?

Zackell się uśmiecha.

- Bo to fajne.

Potem uczy Bobo jeździć na łyżwach. Po kilku godzinach chłopak pyta ją, czy jej zdaniem może być kiedyś naprawdę dobrym zawodnikiem. Trenerka kręci głową i odpowiada: „Nie. Ale mógłby być z ciebie niezły trener, jeśli dojdiesz do tego, w czym możesz się przydać zespołowi”.

Bobo nie śpi przez resztę nocy i o tym rozmyśla. Następnego dnia na treningu od razu wychodzi z szatni, przejeżdża przez lodowisko najszybciej, jak potrafi, i z całej siły powala Benjamina Ovicha. Zdziwiony Benji podnosi się, gapiąc na niego.

- Co, kur ...

W tym momencie Bobo z całej siły uderza go kijem w nogi. Benjiemu aż czarnieje przed oczami.

- O co ci, kurwa, chodzi?

Bobo nie odpowiada, tylko ponownie uderza kolegę po nogach. Reszta drużyny gapi się na nich, nie wiedząc, jak zareagować. Bobo właśnie pochował matkę, każdy mógłby od tego stracić rozum, ale wszyscy wiedzą, że Benji nie przyjmie jeszcze jednego uderzenia.

- Bobo, odpuść... - zaczyna ostrożnie Amat, ale Bobo uderza po raz kolejny.

Nikt nie jest już w stanie zatrzymać Benjiego, Bobo jest może jednym z najcięższych zawodników w drużynie, ale kapitan uderza nim o bandę, zrzuca rękawice i pędzi na niego z pięściami.

- JAK MYŚLISZ, CO ZROBIĄ WSZYSCY POZOSTALI? - krzyczy Bobo.

Benji zatrzymuje się zdziwiony.

- Co?

- Jak myślisz, co zrobią wszyscy POZOSTALI? Każda drużyna, z którą się spotkamy, będzie próbowała cię sprowokować, CHCĄ, żebyś się bił! CHCĄ, żeby cię zdyskwalifikowano!

Benji wbija spojrzenie w Bobo. Reszta drużyny również. Amat mruczy:

- On ma w sumie rację, Benji. Ludzie będą krzyczeć jeszcze gorsze rzeczy, aż w końcu znajdą to, co cię wkurzy. Nie możesz im oddawać. Ani ty, ani Vidar. Jesteście zbyt ważni dla drużyny.

Rozwścieczony Benji oddycha przez nos. W końcu jednak się opanowuje i pomaga Bobo się podnieść.

- W porządku. Jedziemy dalej.

Od tej pory na każdym treningu Bobo wynajduje coraz to bardziej kreatywne sposoby, by rozjuszyć Benjiego i Vidara. Czasem mu się udaje, przychodzi wtedy do domu z limami pod okiem, mimo że obaj wiedzą, że właśnie to chciał osiągnąć. Okazuje się, że życiowym talentem Bobo jest wkurzanie ludzi.

Jak zwykle na dnie szkolnej szafki Benjiego leżą karteczki. Jedna z nich różni się od pozostałych. Pojedyncze słowo: „Dziękuję”. Następnego dnia chłopak znajduje kolejną, napisaną innym charakterem pisma: „Opowiedziałem wczoraj mojej siostrze, że jestem biseksualny”. Kilka dni później na dnie szafki leży karteczka z jeszcze innym stylem pisma: „Nikommu nic nie powiedziałem, ale jeśli już to zrobię, to nie powiem im, że jestem pedałem, tylko że jestem jak ty”. Ktoś pisze potem anonimowego esemesa: „Wszyscy o Tobie mówią, traktują Cię jako symbol, mam nadzieję, że rozumiesz, jaki jesteś ważny dla wszystkich nas, którzy nie mają odwagi niczego powiedzieć!!!”.

To tylko niewielkie karteczki i wiadomości. Jedynie słowa. Anonimowe głosy, które chcą, by był świadomy, kim się stał.

Benji wyrzuca je do kosza, tak samo jak wcześniejsze. Nie wie bowiem, co jest gorsze. Zagrożenie czy miłość. Pogarda czy oczekiwania. Nienawiść czy odpowiedzialność.

Dostaje też innego rodzaju esemesy. Zawsze zaczynają się one tak samo: „Cześć! Nie wiem, czy mam dobry numer, ale czy to ty jesteś tym homoseksualnym hokeistą? Jestem dziennikarzem i chciałbym przeprowadzić z tobą wywiad ...”. Któregoś ranka Benji idzie z siostrami nad jezioro, robi przerębel w lodzie i wrzuca do niego telefon. Następnie kawałek dalej robią więcej przerębli, a potem przez resztę dnia łowią ryby i piją piwo.

Plotki o Benjim docierają do kolejnych miast, w których Björnstad Hockey gra mecze wyjazdowe. W każdym z nich podczas meczu zdarzają się ludzie, którzy wykrzykują pod jego adresem najokropniejsze rzeczy, tylko po to, by wyprowadzić go z równowagi. Ale Benji się nie daje, zamiast tego strzela gole. Im więcej krzyczą, tym lepszy jest na lodzie. Po meczu Bobo obejmuje go, wykrzykując:

- Jeśli cię nienawidzą, to znaczy, że robisz coś dobrze. Jesteś najlepszy! Nigdy nie nienawidziliby cię tak bardzo, gdybyś nie był najlepszy!

Benji sili się na uśmiech. Udaje, że nic się nie stało. Ale nie przestaje myśleć o tym, jak długo jeszcze musi taki być. Najlepszy. Ile jeszcze minie czasu, aż ktoś w końcu po prostu pozwoli mu grać.

Ana i Vidar to taki rodzaj historii miłosnej, w której żadne z nich nie wie, jak się zachowywać. Kończy się więc na tym, że każdego dnia po prostu spacerują po lesie. Wraz z ich rosnącym zakochaniem śnieg robi się coraz głębszy. Pewnego popołudnia Vidar próbuje jej dotknąć, a wtedy Ana wybuchu histerycznym płaczem. Vidar nie rozumie, o co chodzi, więc Ana opowiada mu o Benjim. Jak wszyscy dowiedzieli się o jego tajemnicy, o zdjęciach i o oskarżeniach Mai.

- Nie zasługuję na ciebie, jestem okropnym człowiekiem! Muszę być chyba psychopatką! - krzyczy.

Vidar staje przed nią i równie dobrze mógłby być nagi.

- Ja też.

Co zrobić, by jeszcze bardziej się w kimś nie zakochać? Są pewnie tacy, co wiedzą. Ana jednak do nich nie należy.

Następnego dnia, gdy przychodzą do szkoły, Ana czeka na Benjiego. Chłopak otwiera szafkę, z której wysypują się kartki. Ana wie, co się na nich znajduje, wie, ile ludzkiej nienawiści Benji musi teraz unieść na swoich barkach. - Muszę... - szepcze do Vidara.

Vidar próbuje ją zatrzymać, ale bezskutecznie. Ana zdążyła już podejść do szafek. Benji patrzy na nią zdziwiony, usiłując ukryć obraźliwe kartki.

- Wiem, że mnie nienawidzisz, ale... - próbuje wyjaśnić Ana, ale łzy zalewają jej twarz, a głos się łamie.

- Dlaczego miałbym cię nienawidzić? - zastanawia się Benji i dopiero wtedy do Any dociera, że Maya nikomu nie powiedziała, nawet jemu.

- To ja... to ja... zrobiłam to zdjęcie... To ja! Wszystko, przez co musiałeś przejść, to moja... WINA!

Jej twarz wykrzywają zmarszczki wstydu, które już nigdy do końca nie znikną. Trzęsie się na całym ciele. Następnie wybiega ze szkoły, jak najdalej się da. Benji stoi w bezruchu, po chwili napotyka wzrok Vidara. Bramkarz robi coś, co mu się nigdy nie zdarza - waha się.

- Ona ... - zaczyna, ale Benji mu przerywa:

- Jest okej. Biegnij za nią.

Vidar biegnie, ale dogania ją dopiero po kilometrze. Ana jest szybka i silna, nawet on nie ma szans, by ją zatrzymać. Biegnie więc obok niej. Prosto do lasu. Aż żadne z nich nie może już złapać oddechu i myśli. Wtedy upadają na śnieg i leżą.

Vidar nie mówi ani słowa. To najpiękniejsze, co ktokolwiek kiedykolwiek zrobił dla Any.

Maya siedzi samotnie w stołówce, jak każdego dnia. Nagle ktoś przysiada się do niej, tak jakby był zaproszony. Maya podnosi wzrok, Benji wskazuje na jej talerz.

- Będziesz to jeść?

Maya się uśmiecha.

- Nie powinnam z tobą siedzieć. Masz złą opinię.

Benjiemu to imponuje.

- Oho, grubo!

Maya się śmieje.

- Przepraszam.

Śmiech jest czasem niezbędny, by przetrwać to wszystko. Benji również się uśmiecha.

- Powinnaś wybaczyć Anie - mówi po chwili.

- Co?

- Przyznała mi się, że to ona wrzuciła zdjęcie, moje i...

Na końcu zdania łamie mu się głos. Jednocześnie jest niesamowicie silny i niewyobrażalnie słaby. Tym czasem bardzo przypomina Mai Anę.

- Dlaczego miałabym jej wybaczyć? To, co ci zrobiła, było okropne! - odcina się.

- Jesteście jak siostry. A siostry sobie wybaczą - zmusza się do odpowiedzi Benji.

Sam ma siostry. Maya przechyla głowę i pyta:

- A ty jej wybaczyłeś?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo ludzie popełniają błędy.

Maya kończy posiłek, nic już nie mówiąc. Po szkole idzie przez Björnstad, puka do drzwi, a gdy Ana otwiera, mówi natychmiast:

- Zabierz swoje rzeczy na trening.

Ana nie pyta, po co.

To ratuje ich przyjaźń.

Drzewo wiśniowe

W Björnstad mówi się, że jeśli w tak małym mieście, tak głęboko w lesie pojawi się naprawdę utalentowany sportowiec, to jakby w zamarzniętym ogrodzie zobaczyć kwitnące drzewo wiśniowe.

Peter Andersson był pierwszy; gdy dotarł aż do NHL, nie miało dla nas większego znaczenia, że zanim kontuzje przekreśliły jego karierę, zagrał tam tylko kilka meczów. Udało mu się jednak coś osiągnąć. Doszedł na szczyt. Peter odmienił wtedy całe miasto, skazując nas na życie z nieśmiertelnymi nadziejami i niemożliwymi marzeniami.

Zachariasz ma szesnaście lat. To takich jak on łatwo zapomnieć w tego typu opowieściach. Ludzie znają go wyłącznie jako „kolegę Amata”. Wiedzą, kim jest Amat, bo dobrze gra w hokeja, a ten sport to jedyne, co się w tym mieście liczy. Życie Zachariasza biegnie w tle.

On i Amat dorastali z Lifą. Nigdy nie było tu w okolicy trzech tak różnych od siebie chłopców, którzy zostali najlepszymi przyjaciółmi. Rodzice Zachariasza nigdy nie lubili Lify, zwłaszcza gdy zaczął się pokazywać z „bandytami”, jak zwykli nazywać wszystkich ludzi w Niece, którzy nie mieli pracy. Ale Amat - Jezu, rodzice Zachariasza go ubóstwiali. Gdy zaczął grać w pierwszym zespole, rozpierała ich duma, jakby był ich rodzonym synem, jakby wręcz marzyli o tym, by nim był. Takich rzeczy nie da się nie zauważyć.

Zachariasz grał w hokeja aż do wiosny, mimo że był najgorszy w każdej drużynie i w sumie nawet tego nie lubił. Trenował ze względu na rodziców, wytrzymał dla Amata. Gdy dowiedział się, że w tym sezonie nie będzie drużyny juniorów, poczuł ulgę. Miał w końcu wymówkę, by skończyć z treningami. I tak wolał siedzieć w domu przed komputerem. Niepokój powrócił, gdy mama i tata usłyszeli niedawno informację o „otwartym treningu” w Björnstad Hockey.

- Musisz iść!

Zachariasz nigdy nie byłby w stanie im wytłumaczyć, jak bardzo prześladowano go w okresie dorostania. Za wszystko: wagę, wygląd, adres. Nigdy go takim nie widzieli.

Byli z tego samego pokolenia co Peter Andersson, pokolenia niemożliwych marzeń. Zachariasz wymamrotał:

- To tak nie działa, mamó, nie można się tam tak po prostu pojawić...

Tata zaraz mu przerwał:

- To OTWARTY trening! Każdy może przyjść! A FABRYKA jest teraz sponsorem Björnstad Hockey! Powiedz tylko trenerowi, że...

-Że co? Że ma pozwolić mi grać, bo mój tata pracuje w fabryce? - odpysknął Zachariasz i od razu tego pożałował.

Björnstad Hockey został stworzony przez robotników z fabryki, ci starsi nadal postrzegają klub jako swój. Teraz, gdy nowi właściciele obiecali pracę i zwiększenie liczby etatów oraz postanowili sponsorować klub, tata Zachariasza na nowo zyskał nadzieję, że wszystko będzie jak za starych, dobrych czasów. Dobrze prosperujące miasto, drużyna w pierwszej lidze, stałe miejsca pracy, może nawet szansa na to, by rodzina wyniosła się z mieszkania w Niece do własnego szeregowego domu. Niewielkiego, nierzucającego się w oczy, ale z dodatkowym pokojem i trochę większą kuchnią. I kilkoma lepszymi kaloryferami w zimie.

- Przepraszam, tato... nie chciałem... - mówi cicho Zachariasz.

Z oczu ojca nadal bije szczęście. Byliby z mamą zachwyceni, gdyby syn znów grał z niedźwiedziem na piersi. Zachariasz poszedł więc na otwarty trening.

Dał z siebie wszystko. To nie wystarczyło. Po treningu trenerka nawet nie poklepała go po plecach, powiedziała jedynie: „Niestety, mamy już skompletowany skład, ale dziękuję, że przyszedłeś”. I tyle.

Rodzice ledwie powstrzymywali Izy, gdy wrócił do domu. Za kilka lat przypomni sobie ten dzień i zrozumie, że w ten sposób okazali mu ogromną miłość. Tak bardzo wierzyli w jego umiejętności hokejowe, że poczuli rozczarowanie, gdy nie został przyjęty do drużyny.

Wieczorem znów pokłócił się z mamą o grę na komputerze. Próbował jej wyjaśnić, jaki jest w tym dobry, że gra w sieci i może równać się z najlepszymi. Został nawet zaproszony na zawody do innego miasta.

- Zawody? W to? To GRA KOMPUTEROWA, synu, to nie jest żaden SPORT! - ofuknęła go tylko mama.

Zachariasz grał całą noc, a jej słowa ciążyły mu na piersi.

Alicia ma tylko pięć lat. Dzieci w jej wieku nie powinny się specjalizować w ucieczkach z przedszkola. „Nie możemy brać za to odpowiedzialności! Nie jesteśmy więzieniem!” - stwierdził personel, gdy Sune odprowadził ją tam chyba po raz dwudziesty. „Ale ona

tak odbiera to miejsce" - odpowiedział stary trener. Alicia ubóstwiała go za to, że to rozumiał.

Sune nadal każdego dnia odstawiał ją do przedszkola, a dziewczynka znów stamtąd uciekała, by oglądać treningi. Wszystkie. Pierwszego zespołu, drużyny chłopięcej, łyżwiarzy figurowych, bez znaczenia kogo. Gdy tylko lodowisko robiło się puste na dłużej niż minutę, wkładała łyżwy i wyjeżdżała na lód, żeby pograć. Jak można próbować powstrzymać coś takiego?

Któregoś dnia, gdy Sune po raz kolejny zawlókł ją z powrotem do przedszkola, personel popatrzył na niego ze współczuciem i zaprosił na kawę. Zgodnie ustalili, że najlepiej będzie, jeśli Sune zacznie przychodzić po Alicię rano do przedszkola, zabierze ją na lodowisko, a po południu odprowadzi i zostanie na kawę.

Na początku zimy, podczas jednej z wizyt Sunego, personel poskarżył się, że pomieszczenia przedszkolne są zagrzybione i że mimo starań w gminie nie udało się znaleźć innego lokum. Sune spojrzał na Alicię. Przemyślał sprawę dogłębnie. Wrócił następnie na halę lodowiska i udał się do Petera Anderssona.

- Potrzebujesz tego gabinetu?

- Słucham? - zapytał Peter.

Sune wskazał ręką na całe piętro hali.

- Prawie wszystkie gabinety stoją puste! Jesteśmy tu tylko ty, ja i Zackell! Kto jeszcze? Kilku zatrudnionych na godziny urzędników? Dozorca?

- Jest nas więcej. To my jesteśmy... klubem... - rozwinął Peter.

Sune wziął z biurka Petera kartkę i długopis i zaczął rysować, jak na tablicy taktycznej.

- Wyburzymy te ściany. Wstawimy wentylację z prawdziwego zdarzenia. Da się to zrobić!

- Przepraszam, ale o czym ty gadasz? - zastanawia się Peter.

- O czymś więcej niż klub! Zbudujemy coś więcej niż klub! - zagrział Sune.

Następnego dnia Sune przedstawił politykom swój plan zaadaptowania części przestrzeni hali na przedszkole. Większość z nich podeszła do tego sceptycznie, ale jeden z nich od razu zauważył w tym pomysłe potencjał. Gdy pozostali politycy powiedzieli: nie, on wybrał się na zebranie rodziców w przedszkolu i nawoływał do mejlowego bojkotu. To ostatecznie przekonało pozostałych polityków do wprowadzenia zmian w budżecie. Sune dostał pieniądze na zbudowanie „pierwszego w kraju hokejowego przedszkola”. Tej zimy dzieci bawią się tak samo dużo na łyżwach co na śniegu. Za kilka lat Alicia opowie, że to właśnie wszystkie te dodatkowe godziny treningu sprawiły, że jest tak szybka i dobra technicznie.

Nie będzie wtedy pamiętać, że polityk, który wybrał się na spotkanie rodziców, nazywał się Richard Theo. W następnych wyborach znajdzie się jednak w tym mieście sporo rodziców, którzy go zapamiętali.

„To tylko sport”. Wciąż to sobie wmawiamy.

Wieczorem Amat dzwoni do Zachariasza.

- Co robisz? - pyta.

- Rozgrywam grę - odpowiada Zachariasz.

Dawniej Amat nabijał się z tego sformułowania. „Rozgrywam grę” zamiast „gram w grę”, tak jakby Zachariasz chciał, żeby brzmiało to bardziej jak ... sport.

- Chcesz na chwilę wyjść? - pyta.

- Wyjść? Teraz? Jest zimno jak w dupie!

Amat się śmieje.

- W dupie nie jest przecież zimno! No chodź!

- Po co?

Amat przełyka ślinę.

- Jestem taki zdenerwowany przed meczem z Hed, że nie mogę spać. No, wyjdź!

Zachariasz wychodzi. Jakżeby inaczej. Włóczą się po Niece, marzną i rozmawiają, tak jak za dawnych czasów, gdy byli mali i nie mieli gdzie się podziać.

- Jak tam rozgrywanie?- pyta Amat.

- Weź się odczep - odburkuje urażony Zachariasz.

- Nie no, serio! Opowiadaj... Muszę... muszę pogadać o czymś innym niż hokej.

Zachariasz się boczy, ale po chwili mówi:

- Dobrze. Tak naprawdę to bardzo dobrze. Dostałem zaproszenie na zawody...

- Mogę jechać z tobą? - pyta natychmiast Amat.

Zachariasz nie może oczywiście powiedzieć, jak dumny się czuje, że przyjaciel o to pyta. Odchrząkuje więc tylko:

- Pewnie. - Ale zaraz dodaje rozzłoszczony: - Ale nie, jeśli będziesz gadał te same bzdety co rodzice! Że to nie jest prawdziwy sport, tylko dlatego, że to nie hokej!

Amat mamrocze w poczuciu winy:

- Czy twoi rodzice tak mówią?

Zachariasz kopie w śniegu.

- Ich marzeniem jest mieć takiego syna jak ty. W tym mieście liczy się tylko hokej.

Amat nic nie mówi. Nie ma na to dobrej odpowiedzi.

Maya przychodzi do stodoły przy hodowli. Jeanette trenuje w środku z workiem, Ana przystaje podejrzliwie przy wejściu.

- Czy Ana też może potrenować? - pyta Maya.

Jeanette uśmiecha się zdyszana i zdziwiona.

- Oczywiście! Z trzema osobami zaraz zrobi się z tego prawdziwy klub.

Nie jest przygotowana na to, co się zaraz wydarzy, nikt nie jest, nawet Ana. Jeanette pokazuje chwyt, który już wcześniej trenowały z Mayą, a dziewczyna próbuje sobie przypomnieć, co dokładnie musi zrobić, by się z niego uwolnić, ale w końcu się poddaje.

- Mogę ja? - pyta Ana.

Jeanette się waha.

- To... zaawansowane ćwiczenie. Może zaczniemy od czegoś łatwiejszego?

- To nie mogę spróbować? - nalega Ana.

Jeanette jej pozwala, bo niektórym sportowcom musi się czasem nie udać, żeby się nauczyli. Problem polega na tym, że Anie się udaje. Jeanette pokazuje jej kolejny ruch, Ana powtarza go za pierwszym razem. Jeanette pokazuje coś trudniejszego, potem jeszcze trudniejszego, a Ana radzi sobie z tym najpóźniej za drugim albo trzecim razem.

Po dwudziestu minutach zdyszana Jeanette opiera dłonie o kolana, Ana natomiast nawet nie wygląda na zmęczoną. Dawny trener Jeanette zwykł opowiadać o „inteligencji ciała” i o tym, że niektórzy sportowcy posiadają odpowiednik słuchu absolutnego u muzyków: widzą coś, a ich ciało po prostu wie, jak ma powtórzyć ten sam ruch. Instynktownie. Przez kilka lat jako dziecko Ana grała w hokeja, nigdy jednak nie trenowała sztuk walki. Mimo to jej kondycja jest jakby do tego stworzona. Dziewczyna wychowała się w lesie, biegała po nierównej powierzchni, wspinała się i skakała. Jej ojciec jest myśliwym i rybakiem, Ana od małego razem z nim tropiła, zabijała i ciągnęła ciężkie zwierzęta. Odśnieżała, kopała rowy i wyrąbywała przeręble w jeziorze. Jest silna, delikatna, wytrzymała i twardsza niż kotlet w Futrze.

Jeanette wyciąga przed nią rozpostarte dłonie i mówi:

- Uderz najmocniej, jak potrafisz.

- Serio? - pyta Ana.

Jeanette kiwa głową.

- Ile tylko masz siły!

Maya siedzi na podłodze, nigdy nie zapomni tego, co zobaczyła. Ana uderza tak szybko i mocno, że Jeanette aż zatacza się do tyłu. Uderzenie jest precyzyjne. Jeanette i Maya wybuchają śmiechem. Ana nie za bardzo rozumie, co w tym takiego dziwnego, ale Jeanette już planuje jej karierę.

Trzy kobiety w stodole są spocone, na zewnątrz wszystko zamarzło, przykryte śniegiem i zatopione w mroku i ujemnej temperaturze.

Całe miasto pachnie jednak kwiatem wiśni.

Wczesnym rankiem ktoś dzwoni do drzwi rodziców Zachariasza. To Amat. Mama przyjaciela wygląda na szczęśliwą, ale też trochę poirytowaną. Najpierw dochodzi do głosu szczęście:

- Amat, ale miło cię widzieć! GRATULACJE z okazji gry w pierwszej drużynie, tacy jesteśmy z ciebie DUMNI. I pomyśleć, że od tylu lat biegasz tu u nas po domu, i żebyś wiedział, że chwalimy się tym przed sąsiadami! Twoja mama musi być z ciebie taka DUMNA!

Zanim jednak Amat zdąży odpowiedzieć, kobietę wypełnia gorycz:

- Zachariasza niestety nie ma! Pojechał grać na komputerze z jakimiś kolegami. I to kilka godzin stąd! Wyobrażasz sobie? I na co to komu?

Amat robi głęboki wdech, bo kocha rodziców Zachariasza, ale mówi zdecydowanym tonem:

- Zachariasz nie pojechał grać z „jakimiś kolegami”. To duże zawody. Zakwalifikował się do konkurencji z tysiącem innych. Powinni państwo dziś ze mną pojechać i sami zobaczyć.

Ojciec Zachariasza stoi kawałek dalej w korytarzu. Nie chce urazić Amata, mimo to prychnął.

- Miło, że go bronisz, ale gry komputerowe to żaden spo...

Amat wbija w niego wzrok.

- Całe nasze dzieciństwo rywalizowaliśmy z Zachariaszem o to, kto z nas pierwszy zostanie zawodowcem. On wygra. Jeśli zabraknie tam państwa w tym momencie, będziecie tego żałować do końca życia.

Odwraca się i zbiega po schodach, zanim zdążą mu odpowiedzieć.

Gdy Zachariasz wchodzi na ogromną halę wystawienniczą, gdzie odbywają się zawody, wiele godzin jazdy od Björnstad, Amat jest już na miejscu i mu kibicuje. To żadna wielka armia, ale jednak armia.

Podłoga, na której w rzędzie ustawiono wszystkie komputery, otoczona jest trybunami pełnymi ludzi. U sufitu zawieszono ekrany, a z głośników dudni muzyka.

- To... prawie jak na hokeju - przyznaje zdziwiony tata Zachariasza.

Razem z mamą złapali Amata na stacji kolejowej. Przyjechali tutaj wspólnie. Rodzice niechętnie weszli do środka, nie rozumiejąc, co się wokół nich dzieje. Zanim jednak skończą się zawody, ludzie zgromadzeni tam razem z nimi zaczną wiwatować i oklaskiwać coś, co zrobił Zachariasz. Gdy wygra, Amat będzie krzyczał z całych sił i

rodzice przyjaciela również. Nieznajomy w rzędzie przed nimi odwróci się i zapyta mamę Zachariasza:

- Zna go pani?

- To mój syn! - odkrzyknie mama.

Nieznajomy pokiwa z uznaniem głową.

- Musi być pani z niego bardzo, bardzo, bardzo dumna - powie.

To nie takie ważne. To tylko sport. To też.

Mama Miry Andersson powiedziała jej kiedyś: „Najtrudniejsze w posiadaniu rodziny jest to, że to się nigdy nie kończy”. Mira nie może przestać o tym myśleć, gdy wraz z przyjaciółką urządzają nowe biuro, zdobywają nowych klientów i rekrutują personel, negocjują z bankiem i niepokoją się o pieniądze. Jej telefon dzwoni nieustannie. Mira spogląda na fotografię dzieci na biurku, z tymi samymi cichymi pytaniami w głowie: Dla kogo robi się karierę? Czy to jest warte wszystkich poświęceń? Skąd ma to wiedzieć z wyprzedzeniem?

Peter wraca do pustego domu. Mira jest w pracy, dzieci gdzieś z kolegami. Peter przygotowuje dla siebie jedzenie i je samotnie, oglądając w telewizji mecz hokejowy. Jego telefon milczy. Gdy przed laty podjął się pracy dyrektora sportowego, nienawidził, gdy telefon ciągle dzwonił. Nawet na wakacjach. Teraz mu tego brakuje.

Maya Andersson przekręca klucz w zamku i wchodzi do domu. Tata podnosi się z kanapy, próbując ukryć, jak bardzo się cieszy, że nie musi być już w domu sam. Maya jest wyczerpana po treningu, ale gdy widzi wyraz twarzy ojca, przynosi gitarę. W garażu grają trzy piosenki. Potem córka pyta:

- Czy mama ci już mówiła? O ... szkole muzycznej?

Peter wygląda na zdziwionego. I zawstydzonego.

- My ... twoja mama i ja... nie za bardzo mieliśmy ostatnio czas na rozmowy.

Maya przynosi list ze szkoły.

- Mogę zacząć w styczniu. To daleko stąd, muszę się przeprowadzić i pożyczyć pieniądze, ale... mama powiedziała, że się zgadza.

Peterowi nie udaje się ukryć, jak bardzo jest przygnębiony.

- Chcę tylko, żebyś była... szczęśliwa... Ogryzku... Po prostu szczęśliwa! - wydusza z siebie.

- Wiesz co, tato? Chciałabym jedynie, żebyś ty też był szczęśliwy - szepcze.

Leo Andersson przemierza samotnie Björnstad. Nie ma żadnego celu ani planu, tak się tylko włóczy. Już jako dorosły będzie pamiętał, że tej zimy tęsknił za czymś, co

można uwielbiać. Wszyscy inni mieli coś, co kochali bez pamięci, ojciec miał klub, mama nową firmę, a Maya muzykę. Leo tęsknił za czymś własnym. Może uda mu się to znaleźć, a może będzie to już inna opowieść.

Dziś wieczorem, gdy wraca do domu, jego mama jest jeszcze w pracy, a siostra od dawna już śpi. Ojciec siedzi w salonie i ogląda telewizję. Leo ściąga kurtkę i jak każdy nastolatek rozważa, czy nie pójść od razu do pokoju, ale właśnie dziś zamiast tego siada na kanapie obok taty. Razem oglądają mecz hokeja.

- Leo... Ja... Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię Kocham - mówi ojciec w przerwie meczu.

- Wiem, tato, wiem. - Leo się uśmiecha i ziewa, tak jakby było to dla niego oczywiste.

Peter ma nadzieję, że jako rodzic robi teraz coś właściwego. Gdy Mira przychodzi do domu, obaj śpią już na kanapie. Mira przykrywa ich kocem.

Z rodziną to się nigdy nie kończy.

Powiemy, że to był wypadek samochodowy

Widzieliście kiedyś upadające miasto? Nasze właśnie upadło. Czasem tak łatwo sprawić, żeby ludzie się znienawidzili, że wydaje się wręcz niemożliwe, by kiedykolwiek miało się to zmienić.

To opowieść o halach lodowisk i o wszystkich sercach bijących wokół nich, o ludziach i sporcie, i o tym, jak czasem dźwigają się nawzajem. O nas, którzy marzymy i walczymy. Niektórzy się zakochali, inni załamali, przeżyliśmy nasze najlepsze i najgorsze dni. Björnstad wiwatowało, ale zaczęło też płonąć. Nie ominął go też przerażający cios.

Kilka dziewczynek uczyniło nas dumnymi, paru chłopców wielkimi. Jakiś samochód przekroczył prędkość w środku nocy. Stwierdzimy, że to wypadek, ale nikt przecież nie planuje wypadku. Tutaj wszyscy przyznamy, że mogliśmy go uniknąć. To będzie czyjaś wina. Wina wielu. Nasza.

Hokej to hokej. Zabawa. Taka na niby.

Gdy w Björnstad i Hed nadejdzie zima, w drodze do pracy jest tak samo ciemno jak w drodze do domu. Personel w oddziale pogotowia w Hed zabija czas, jak wszyscy inni: na rozmowach o hokeju.

Czekają na kolejny mecz, kilku kibicuje czerwonym, a kilku zielonym, niektórzy lekarze i pielęgniarki ledwie mogą z tego powodu ze sobą rozmawiać. W związku z tym, że w trakcie całego sezonu, nie licząc ich pierwszego spotkania, obie drużyny wygrały wszystkie mecze, rewanż między Björnstad Hockey i Hed Hockey stał się jeszcze ważniejszy. Klub, który wygra, prawdopodobnie awansuje do wyższej ligi. Przegranego w kolejnym sezonie już nie będzie. Wszystko zmienia się niezwykle szybko.

Wmawiamy sobie, że hokej to tylko hokej, ale to przecież nieprawda. Jeden z lekarzy mruczy, że „pieniądze niszczą sport”. Pielęgniarka podczas przerwy na kawę robi długie wykłady, że „dorobkiewiczze ze związku wymyślają nowe licencje z niemożliwymi do spełnienia dla małych klubów wymogami finansowymi, agenci

przeczesują rynek, sponsorzy mają swoją piaskownicę, a wyniki meczów przesądzone są w gabinetach zarządów zamiast na lodzie!". Ktoś czyta na głos urywek z gazety, w której jakiś dziennikarz sportowy z daleka pisze, że drużyny takie jak Björnstad i Hed za kilka lat zostaną klubami farmerskimi dla dużych zespołów. „Klubami farmerskimi? Tak jakbyśmy byli jakimiś pieprzonymi niewolnikami dużych miast!" Ktoś syczy: „Gdyby tylko Björnstad zamknięto, to moglibyśmy postawić na JEDEN klub... ". Po czym ktoś odpowiada: „Dlaczego NAS mają zamknąć? A dlaczego nie WAS?". Personel szpitala zaczyna się sprzeczać i kłócić, dokładnie tak jak i wszyscy inni naokoło.

Potem jednak coś nagle się dzieje, jak to zwykle w ich pracy: nadchodzi zgłoszenie, wydarzył się wypadek, ranni są w drodze. Zapominają wtedy o meczach hokejowych i ulubionych kolorach. Wszyscy w oddziale pogotowia współpracują, walczą wspólnie, stają się jedną drużyną.

Zrobują, co w ich mocy, by uratować wszystkich przywiezionych tej nocy karetkami. Ale to nie wystarczy.

Gdyby to była zwyczajna historia miłosna, Ana i Vidar spędziliby ze sobą całe życie. Może zdążyliby się sobą znudzić, rozstaliby się albo też zakochali tysiąc razy w tej samej osobie. Zwykle życie jest długie, gdy spędza się je przy czyimś boku.

Rzecz w tym, że gdy jest się niezwykłym nastolatkiem, to czasem chce się być najzwyczajniejszym na świecie. Ana leży w łóżku, Vidar w ciszy obok niej. Jest dla niego jak Minecraft. Przy niej może się skoncentrować.

- Chcesz iść ze mną na imprezę? - mówi cicho Ana.

- Co?

- Słyszałaś.

- Jaką imprezę?

- W domku na kempingu dziś wieczorem. Słyszałam o niej w szkole. Nie musisz iść. Ale ja... chciałabym po prostu iść na imprezę i poczuć się... normalnie. Choć przez chwilę.

- Okej - mówi Vidar.

- Okej? - powtarza za nim Ana.

- Głucha jesteś czy co? OKEJ! - Vidar się uśmiecha.

Ana odwzajemnia uśmiech. Całują się. To takie zwyczajne. Całkowicie zwyczajnie cudowne.

Idą na imprezę. Przez jakiś czas wszystko jest normalnie. Chwilę później Vidar idzie do toalety, a chłopak, który zagaduje do Any przy barze, pochodzi z Hed, więc nie wie, kim ona jest. Może nawet nie wie, kim jest Vidar.

Ana próbuje być miła, odmawia drinka, który chłopak trzyma przed nią, i odsuwa jego rękę ze swoich pośladków. Chłopak z Hed z dumą pokazuje wytatuowanego na ramieniu byka i opowiada, że w przyszłym sezonie być może zagra w pierwszym zespole. Ana go odpycha, gdy zaczyna jej szeptać do ucha. Próbuje się od niego uwolnić. Chłopak łapie ją za ramię, śmiejąc się.

- No weź! Nie bądź taka spięta! Uśmiechnij się trochę!

Jego ręce zamykają się wokół jej talii. Nie zauważa przemierzającego pokój Vidara, który szturmuje zebranych, nie dostrzega jego czarnego spojrzenia i opuszczonego czoła. Vidar nie zwraca nawet uwagi, kogo rzuca o ścianę albo przez stół. Ale Ana to widzi. Doskonale wie, jak łatwo byłoby usunąć się z drogi i pozwolić, by chłopak z Hed zrozumiał, że zadarł z nieodpowiednią dziewczyną. Ale Ana nigdy w życiu nie stawiała na proste rozwiązania.

Wykręca się z uścisku chłopaka, odchyła i uderza go głową. Słyszy, jak coś pęka, gdy trafia go w nos. Chłopak z krzykiem upada na ziemię. Ana czuje, że z twarzy kapie jej krew, ale nie wie czyja.

Koledzy chłopaka stoją kilka metrów dalej, są w takim samym szoku jak pozostali, Ana wie, że ma tylko kilka sekund. Widzi przeciskającego się przez tłum Vidara z morderczym spojrzeniem, robi więc jedyną sensowną rzecz z miłości do kogoś takiego jak on: bierze rozmach i uderza go prosto w twarz:.

Cały pokój milknie. Ana natychmiast uderza ponownie, mocniej, tak że Vidar aż zatacza się do tyłu. Po czym dziewczyna łapie chłopaka za rękę i rusza w stronę drzwi. Zmusza go do biegu w las, biegną, aż nikt z imprezy nie może ich już dogonić.

- JAKI MASZ PROBLEM? - wydziera się Vidar, gdy już przystają między drzewami.

Anę dopadają wyrzuty sumienia, gdy widzi jego spuchniętą twarz. Odpyskuje jednak:

- Wiesz, jaki mam PROBLEM? Wszyscy pieprzeni FACECI! Wy jesteście moim problemem!

- Co JA niby zrobiłem?

Ana płacze ze złości.

- Przecieżbyś go zabił... Gdybym cię stamtąd nie wyciągnęła, tobyś go zatłukł na śmierć i trafił do więzienia, a ja...

Dyszy szaleńczo od powstrzymywanych łez. Vidar stoi przed nią, z krwawiącą wargą i coraz bardziej puchnącą powieką.

- Chciałem ci tylko... pomóc...

- Co jest z wami nie tak? Skąd pomysł, że chcemy, żebyście ciągle się o nas bili? Dlaczego myślicie, że chcemy, żebyście wszystko załatwiali PRZEMOCĄ? Co jest z wami NIE TAK?

- Nie... wiem - przyznaje Vidar.

Ana zaczyna się śmiać.

- Kocham cię.

- I dlatego mnie uderzyłaś?

- Tak!

Vidar drapie się za uchem.

- Musisz mnie kochać tak ... mocno?

- Nie chcę mieć jakiegoś pieprzonego piedestału!

- Czego?

- Nie chcę, żebyś się o mnie bił! Nie chcę, żebyś coś dla mnie robił! Chcę, żebyś mi WIERZYŁ. Nie chcę, żebyś mnie gdzieś zabierał, tylko wspierał, tak żebym sama mogła się tam dostać!

- Okej.

- Co „okej”?

- Okej... Ja... Po prostu okej. Ja... też cię kocham.

- Jesteś walnięty w głowę.

Ręka boli ją tak bardzo, że najchętniej zwinęłaby się w kulkę i wyła. Vidar prowadzi ją do zasy śnieżnej, zmusza, by wsadziła w nią dłoń. Ana krzyczy. Vidar próbuje jej wyjaśnić:

- Nie uderzaj ręką o tak, musisz...

Ale Ana odpyskowuje:

- Nie mów mi, jak mam cię walić po gębie!

- Okej.

Istnieją też pewnie bardziej zwyczajne historie miłosne. Zapewne.

Następnego dnia Vidar przychodzi na trening Any. Nic nie mówi, przywleką tylko z zewnątrz sześć palet i układa je jedna na drugiej, tworząc niskie schody. Po czym na nich staje.

- A to co? - pyta poirytowana Ana.

- Trybuna - odpowiada Vidar.

- Dla kogo?

- Dla mnie.

Dziewczyna wybucha śmiechem, ale Vidar jest poważny.

- Jestem dla ciebie, jak ty jesteś dla mnie - mówi.

Ana przestaje się śmiać i go całuje. Zwyczajne historie miłosne nigdy nie były dla niej.

Jak to się wszystko zaczęło? Nigdy nie przestaniemy się o to sprzeczać.

Może od tego chłopaka z Hed, który na imprezie próbował wyrwać dziewczynę z Björnstad i dostał strzała. Złamał nos. Może był pamiętliwy.

Albo też dużo wcześniej, już podczas pierwszego meczu wczesną jesienią, gdy kibice Hed śpiewali tę ohydłą przyśpiewkę o Benjaminie Ovichu. Niektórzy w Björnstad nie mogli o tym zapomnieć, zwłaszcza po zwycięstwie Hed.

Albo któregoś ranka jesienią bądź zimą, gdy ktoś zostawił zakrwawiony róg byka przed drzwiami hali lodowiska w Hed. Nie była to prawdziwa krew, z pewnością chodziło o wygłup pijanych nastolatków, ale wszyscy w Hed zrozumieli to inaczej.

Pewnego wieczoru, niedługo później, w kolejce w pizzerii w Hed stał chłopak z Björnstad. Jego dziewczyna była z Hed i czekała na niego w domu. W kolejce za nim kilku chłopaków z Hed zaczęło śpiewać tę przyśpiewkę. Jeden z nich pochylił się w jego stronę i wykrzyczał mu ją prosto do ucha. Inny wrzeszczał, że chłopak powinien „spadać do domu”, „sypiać z podobnymi sobie” i „odpierdolić się od lasek z Hed!”. Chłopak z Björnstad odwrócił się i powiedział, żeby spadali. Chłopcy z Hed wytrącili mu karton z pizzą z rąk. Personel pizzerii zdążył zareagować, zanim przerodziło się to w coś większego, ale może tak właśnie się to zaczęło.

Albo też wszystko przez plotki o szpitalu i fabryce, gdy rozpoczęła się walka o miejsca pracy. Dawniej ludzie się niepokoiли, że politycy będą próbowali połączyć Björnstad i Hed w jedno duże miasto, teraz obawiają się, czy w ogóle będzie tu miejsce na dwa małe miasteczka.

Niedługo po incydencie z rogiem byka przed halą lodowiska i sprzeczką w pizzerii dziewięciolatki z Björnstad Hockey i Hed Hockey spotykają się na zawodach kilkadziesiąt kilometrów od domu. Mecz jest wyrównany, chłopcy podekscytowani i gdy ktoś z Hed zaczyna śpiewać: „Pedały, kurwy, gwałciciele!”, na lodzie wybucha taka bójka, że rodzice są zmuszeni wbiec na lodowisko, by pomóc sędziemu ich rozdzielić. Ojciec z Björnstad i inny z Hed próbowali odciągnąć synów i któryś z nich stwierdził, że drugi szarpie jego syna zbyt mocno. Coś krzyknął, zaraz potem zaczęli się przepychać, a po chwili to dzieci rozdzielały rodziców zamiast na odwrót.

Mniej więcej w tym samym momencie dwóch dziadków rozpoczęło narzekania w poczekalni szpitala w Hed. Jeden z nich uważał, że czeka na wizytę u lekarza dłużej niż drugi. Tamten odburknął: „Pieprzone dupki z Björnstad, wybudujcie sobie własny szpital i przestańcie przyjeżdżać tutaj i zabierać nam nasze miejsca do lekarza!”.

Pewnie nie miałyoby to większego znaczenia, gdyby nie wydarzyło się podczas jednej jesieni i zimy. Być może nie zaogniłyby się tak bardzo, gdyby mieszkańcy gminy nie

spotkali się przed końcem roku jeszcze raz w hali lodowiska. Teraz właśnie tak się stało. Kolejny mecz hokeja między Hed i Björnstad.

Któregoś ranka, niedługo przed meczem, do fabryki w Björnstad jedzie dwóch mężczyzn z Hed w poszukiwaniu pracy. Od dawna są bezrobotni, obaj mają dzieci, a możliwość rozmowy o pracę w fabryce spadła im jak z nieba. Parkują samochód przed budynkiem. Gdy wracają po spotkaniu, pojazd jest zdemolowany. Ktoś poobijał blachę na wszystkich drzwiach, a przez szyby przepchnął ogromny konar drzewa. Nie ma oczywiście żadnych świadków, mimo że kilku mężczyzn w czarnych kurtkach stoi w pobliżu. Na siedzeniu kierowcy, pomiędzy odłamkami szkła, leży kartka z napisem: „Praca w Björnstad dla mieszkańców Björnstad!”.

Może tak to się zaczęło.

Albo też wtedy, gdy niedługo później niewielka grupa mężczyzn z Hed zbiera się, by obmyślić zemstę. Chcą zaszkodzić „Grupie”. Odebrać im coś, co tamci kochają. „Podłożmy ogień pod ich domy ...” - mamrocze jeden z nich podczas spotkania. Może nie ma dokładnie tego na myśli. Ale jeden z kolegów odpowiada: „W takim razie postanowione”.

Historia miłosna, której nigdy nie zapomnimy

W szatni trudno utrzymać tajemnicę. Jakąkolwiek.

W hali w Hed na każdym treningu czuje się rosnące napięcie. Coraz rzadziej nazywają mieszkańców Björnstad ludźmi, najczęściej padają sformułowania typu „zieloni”. Albo „niedźwiadki na rzeź”. Albo „cipy”. Albo „jebane pedały”. Można byłoby się spodziewać, że najgłośniejszy ze wszystkich będzie William Lyt, ale z jakiegoś powodu chłopak jest coraz cichszy.

Zapytany o to przez kolegów z drużyny, odpowiada, że „próbuję skoncentrować się jedynie na hokeju”. Nie ma lepszej odpowiedzi. Tej jesieni i zimy dzieje się z nim coś dziwnego: im bardziej wszyscy zaczynają się nienawidzić, tym bardziej on czuje zmęczenie tym wszystkim. Tak długo był już zły. na treningach, w szkole, w domu, że w końcu nie miał już na to siły. „Skup się na hokeju!” - powiedziała mu mama, głaszcząc go troskliwie po włosach. Tak też zrobił.

Coraz bardziej dystansuje się od drużyny, trenuje jeszcze więcej, najczęściej sam. Poznaje dziewczynę z Hed i to z nią spędza wieczory. Któregoś dnia ich trener David wzywa go do swojego gabinetu. Wręcza mu kartkę z numerem telefonu do skauta z ligowego klubu, o wiele lepszego niż Hed. „Są tobą zainteresowani, chcą, żebyś do nich zadzwonił”. William gapi się na kartkę, David okrąża biurko, staje przed nim i kładzie mu ręce na ramionach. „Zauważyłem, że ostatnio bardziej się skupiasz na hokeju. Że odpuściłeś całe to gówno poza nim, narzekania i sprzeczki... To dobrze! Właśnie dlatego ten klub się tobą interesuje. Możesz zostać kimś, zajść daleko! Ale musisz wiedzieć, że będę walczył o to, żebyś dalej chciał dla mnie grać. Myślę, że w następnym sezonie będziesz gotowy, by zostać kapitanem drużyny!”

Następnie robi coś strasznego. Coś, co kompletnie niszczy młodego człowieka, który boi się okazać własne uczucia. „Jestem z Ciebie dumny, Williamie” - mówi. Chłopak wychodzi z jego gabinetu i dzwoni prosto do mamy.

W szatni trudno utrzymać tajemnicę, wszyscy gratulują mu więc natychmiast, gdy do niej wraca. Oczywiście jest dumny, ale jednocześnie zauważa, że koledzy milkną w

jego towarzystwie. Rozumie, że rozmawiają o czymś, o czym nie chcą, by się dowiedział.

Po treningu przed halą stoją dwa samochody z mężczyznami w bluzach z kapturem i z tatuażami byków. Kilku kolegów Williama z drużyny, wystarczająco młodych, by chcieć się bić, i na tyle słabych w hokeja, by nie mieć nic do stracenia, idzie prosto do samochodów.

- Dokąd jedziecie?- pyta William.

Jeden z chłopaków się odwraca.

- Im mniej wiesz, tym lepiej. Jesteś zbyt cenny dla drużyny, żeby w tym uczestniczyć. Potrzebujemy cię na lodzie.

- Ale co, kurwa, planujecie? - pyta zdezorientowany William.

Mężczyźni z tatuażami nie odpowiadają, ale jeden z kolegów z drużyny jest zbyt rozentuzjasmowany, by się powstrzymać. Wykrzykuje więc:

- Zobaczmy, jak pali się futro!

Samochody odjeżdżają. William zostaje na parkingu. Sam.

Po fakcie, podczas przesłuchania na posterunku policji, mężczyźni z Hed znajdą tysiąc wymówek. Ktoś powie, że nie zamierzali podłożyć ognia pod cały budynek, myśleli tylko, że zapalą się drzwi i że zdążą je ugasić, zanim będzie za późno. Jeden odpowie, że zamierzali tylko „oznaczyć teren”, jeszcze inny, że to miał być tylko „żart”. Żaden z nich nie wiedział, że nad Futrem znajdowało się mieszkanie. I że spała w nim Ramona.

Maggan Lyt odbiera syna spod hali po każdym treningu. Ma ze sobą kanapki i proteinowe koktajle, wrzuca sprzęt syna do bagażnika, a w drodze do domu puszcza jego ulubioną muzykę. On jednak siedzi cicho jak zakłęty.

- Co się dzieje? - pyta mama.

- Nic... nic. Po prostu... denerwuję się przed meczem - mamrocze w odpowiedzi William.

Udaje, że to prawda, a Maggan, że mu wierzy. Nie chcą siebie nawzajem skrzywdzić. Jedzą obiad, słuchając, jak ojciec opowiada o dniu w pracy, śmieją się z siostrą Williama, gdy ta opowiada o swoim: poluzowała dziś zakrętki od soli na stoliku nauczycieli w jadalni, tak że odpadły, gdy nauczyciele chcieli ich użyć. To William ją tego nauczył. Maggan próbuje ją zganić, ale córka śmieje się tak uroczo, że nie ma serca.

William przygląda się rodzicom, gdy tak jedzą i trajkoczą, dziś więcej niż zwykle. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co ludzie w mieście myślą o jego rodzinie: że

jego ojciec jest „tak skąpy, że krzyczy przy każdej wydawanej koronie, a matka jest hokejową wariatką”. To może prawda, ale ważne są w nich też inne rzeczy. Nigdy w życiu nie dostali nic za darmo, o wszystko musieli walczyć, dzieciom chcieli zapewnić to, czego sami nie mieli: władzę nad własnym życiem, bez codziennej walki. Czasem posuwali się może za daleko, ale w tym wypadku William potrafi im to wybaczyć. To nie jest świat dla miłych ludzi. Mili ludzie są wykorzystywani i giną. Wystarczy tylko rozejrzeć się po Björnstad, by przekonać się o tym na własne oczy.

Po obiedzie ogląda z siostrą kreskówkę u niej w pokoju. Gdy się urodziła, lekarze powiedzieli, że coś jest z nią nie tak. To nieprawda, po prostu jest specyficzna, ludzie chcieliby opisywać ją nazwą jej syndromu, ale William się na to nie godzi. Siostra jest jaka jest. Najmilsza na świecie. Gdy dziewczynka w końcu usypia, William idzie trenować do piwnicy. Ale słowa kolegi nie dają mu spokoju: „Zobaczmy, jak płonie futro!!!”. Nie zamierza tego odpuścić. Wkłada dres i woła do mamy, że wychodzi pobiegać. Maggan Lyt ma nadzieję, że to dlatego, że jest zdenerwowany.

Gdy drzwi zamykają się za Williamem, Maggan idzie prosto do kuchni. Zawsze niepokoi się o dzieci, za każdym razem, gdy syna nie ma w domu, matka odpycha od siebie te myśli, gotując. „Mówcie o Maggan Lyt, co chcecie, ale gotować to ona potrafi!” - można usłyszeć w mieście. Maggan nie obraża się też, że każdy opis jej osoby zaczyna się od „mówcie, co chcecie”. Wie, kim jest. Walczy o wszystko, co jej. Tym razem przygotowuje sałatkę makaronową, a potem ziemniaczaną. „Nikt nie potrafi zrobić tylu sałatek, które tak naprawdę nie są sałatkami, co ty, mamó. Potrafisz sprawić, że każde warzywo robi się niezdrowe!” - zwykł nabijać się William.

Maggan nie zasypia, dopóki syn nie wraca do domu. Wciąż się niepokoi.

William biegnie przez Björnstad. Nagle zauważa, że jest ubrany w czerwony dres z bykiem na piersi. Nawet on rozumie, jak idiotyczna to prowokacja w obecnych czasach. Zawraca do domu, by się przebrać, ale nagle przystaje, bo czuje jakiś zapach. Aż szczypie go w nosie.

Coś się pali.

Ramony nie budzi dym, ale to, że ktoś ją łapie i ciągnie. Przed spaniem wypija na kolację małą kanapeczkę, więc reaguje jak zwykle, gdy ktoś ją budzi: wymachuje rękami i wykrzykuje obraźliwe epitety, szukając jakiegoś twardego przedmiotu, którym mogłaby zdzielić oprawcę.

Gdy jednak zauważa płomienie liżące ściany i słyszy krzyki z ulicy, otwiera szeroko oczy i napotyka wzrok Elisabeth Zackell.

Trenerka jest może słaba w uczuciach, ale nadal potrafi być podenerwowana. Nie mogła dziś usnąć, zbyt dużo rozmyślała o meczu, który wkrótce mają rozegrać z Hed, więc wyszła na zewnątrz pobiegać. Zauważyła kilku mężczyzn wybiegających z Futra i przybierający na sile ogień. Większość zadzwoniłaby pewnie po straż pożarną i zaczekała na ulicy. Normalni ludzie nie wbiegają do płonącego domu. Ale Zackell nie jest normalna.

Teraz, kaszląc i z trudem łapiąc oddech, opada na ziemię koło Ramony, ubranej tylko w nocną koszulę.

- Robisz to za talerz ziemniaków, dziewczyno? Co w takim razie byś dla mnie zrobiła, gdybym dała ci mięsa?

Zackell kaszle i się śmieje.

- Muszę przyznać, że coraz bardziej lubię piwo. Witaminy to ważna rzecz.

Z różnych stron zbiegają się ludzie, nikt nie jest jednak szybszy od Teemu. Rzuca się na śnieg i obejmuje Ramonę.

- Dobrze, już dobrze, chłopaku, uspokój się. Wszyscy żyją. To tylko trochę płomieni - szepcze Ramona, ale Teemu czuje, jak cała dygocze.

- Wszystkie zdjęcia Holgera... - dyszy Teemu, podnosząc się.

Ramona trzyma go z całej siły. Chłopak tak bardzo ją kocha, że aż musi go PRZYTRZYMYWAĆ, żeby nie wbiegł prosto w ogień, by uratować zdjęcia jej zmarłego męża.

Nie może niestety przytrzymać go wystarczająco mocno, by zapobiec temu, co się później wydarzy. Nikt nie może.

Pożar budzi całe Björnstad, krzyk niesie się po mieście szybciej od syren. Wszystkie telefony dzwonią, wszystkie drzwi się otwierają.

Benji wraz z siostrami biegną ulicą. Siostry ruszają w stronę Futra, ludzie już ustawili się rzędem, by podawać sobie wodę, wokół przystają samochody z kanistrami z wodą i szlauchem w bagażniku.

Benji stoi jednak spokojnie, dociera do niego, że to nie przypadek. Nigdy tak nie jest. Szuka sprawcy, a widzi jedynie czerwony dres. William Lyt stoi samotnie kawałek za innymi, bliżej lasu, zszokowany, zakrywając usta dłońmi.

Benji rusza prosto na niego. Przez sekundę Williamowi przebiega przez myśl, że Benji się na niego rzuci, ale ten przystaje nagle, tak jakby coś zrozumiał. Ludzie przebiegają przez ulicę, z oddali słychać syreny w drodze przez las. Benji odwraca się w stronę Williama i syczy:

- Ty i ja. Teraz. Na serio. Żadnych przyjaciół. Żadnej broni. Tylko ty i ja.

William mógłby zaprotestować, próbować go uspokoić i wyjaśnić, że nie miał z tym nic wspólnego. Ale Benji jest zbyt rozjuszony, by w to uwierzyć, a William nadal zbyt mocno go nienawidzi, by się teraz wycofać.

- Gdzie? - pyta cicho.

Benji zastanawia się przez chwilę.

- Ścieżka do biegania na Wzgórzu. Nikogo tam nie ma, ziemia jest równa, no i wszystko jest oświetlone.

Urażony William kiwa głową.

- Żebyś potem nie miał żadnych wymówek?

Czyny Benjiego zawsze były gorsze od jego słów. Dlatego też odpowiedź jest tak znacząca:

- Dla ciebie nie będzie żadnego „potem”.

Biegną na ścieżkę. Przez całe miasto. Jak tysiące razy wcześniej. Gdy w dzieciństwie grali w tej samej drużynie, ścigali się podczas każdego treningu. Benji nigdy nie pozwolił Williamowi być w czymś lepszym, odebrał mu nawet to, na czym samemu mu nie zależało. Gdy tak biegną w śniegu po kostki, są tymi samymi chłopcami co kiedyś. Nawet teraz utrzymują od siebie mniej więcej metr odstęp, tak jakby Kevin wciąż był między nimi.

Na ścieżce na Wzgórzu przystają na chwilę i łapią oddech, gęste kłęby powietrza wydobywają się im z ust. William w czerwonym dresie rzuca się na Benjiego, wyczekującego na niego spokojnie w zielonej koszulce i z zaciśniętymi w pięści dłońmi. Żadnych przyjaciół, żadnej broni, tylko ich dwóch. Byk przeciwko niedźwiedziowi.

Pająk i Stolarz znajdują Teemu pod Futrem. W pierwszym, instynktownym odruchu chcą gasić, pomagać i chronić. Ten bar to ich dom, bardziej niż ich własny był nim kiedykolwiek. Pająk szepcze do ucha Teemu:

- Wiemy, kto to był. To jakieś chuje z Hed, matka dziewczyny Stolarza widziała ich przez okno w kuchni. Zaparkowali samochód pod spożywczym! Jeśli zbierzemy się od razu, jeszcze ich dogonimy!

Gdy mężczyźni w czarnych kurtkach usuwają się z tłumu przed Futrem i biegną do saaba Teemu, by ścigać wroga przez las, prawie nikt nie zwraca na nich uwagi. Widzi ich tylko młody Leo Andersson. Chłopiec rusza za nimi.

William i Benji się nie oszczędzają. Ich ciosy są szaleńcze, obaj mają tyle siły, że już po kilku sekundach ich twarze zalane są krwią. Za każdym razem, gdy William się

zamachuje i trafia, krzyczy, częściowo z wysiłku, a po części z wściekłości. Góruje wzrostem nad Benjim, to jedyne, czego przeciwnik nigdy mu nie odebrał. Może uderzać w dół, podczas gdy Benji tylko do góry. A to bardziej wyczerpujące. Ścierają się w boju w nieskończoność. Aż kwas mlekowy w końcu zmusza ich, ledwie łapiących oddech i zakrwawionych, do kroku w tył. Benji ma wybity ząb. William prawie nie widzi na jedno oko.

- Byłeś w nim zakochany? - skrzeczy nagle.

- CO? - krzyczy Benji i spluwa na czerwono na śnieg.

Stoją kilka metrów od siebie, bołą ich płuca, William opiera dłonie na kolanach. Jeden palec ma złamany, z nosa krew cieknie mu jak z kranu. Głos mu się łamie, ból i zmęczenie przejmują władzę nad ciałem.

- Byłeś zakochany w Kevinie? - wydusza z siebie.

Przez długi czas Benji nie odpowiada. Ma krew we włosach i na rękach, nie do końca wiadomo, gdzie krwawi, a gdzie się tylko wytarł.

- Tak.

Benji przyznaje się do tego po raz pierwszy w życiu. William zamyka oczy, czuje świszczące w pulsującym nosie powietrze.

- Gdybym o tym wiedział, nie nienawidziłbym cię tak bardzo - mówi cicho.

- Wiem - odpowiada Benji.

William się prostuje. Stoi z rękami opuszczonymi po bokach. Jego bluza jest pomięta i przepecona.

- Pamiętasz lato, kiedy byliśmy mali i padało przez cały miesiąc bez przerwy, a w hali była powódź?

Benji wygląda na zdziwionego, ale przytakuje wolno.

- Tak.

William wyciera nos wierzchem dłoni.

- Ty i Kevin całe lato zawsze spędzaliście w lesie, ale gdy padało, przyszliście do mnie do domu i zapytaliście, czy nie moglibyśmy pograć u mnie w piwnicy. Nie wiem, dlaczego nie poszliście do Kevina, ale...

- Jego rodzice remontowali wtedy dom- przypomina sobie gorzko Benji.

William kiwa głową.

- Właśnie. To dlatego. Graliśmy u mnie w piwnicy każdego dnia przez cały miesiąc. I byliśmy kolegami. Byłeś super. W ogóle sobie nie docinaliśmy.

Benji spluwa krwią na śnieg.

- Spaliśmy na materacach na ziemi, tak żebyśmy od razu po przebudzeniu mogli znów grać... - Uśmiech Williama jest ciężki od niewykorzystanych możliwości i

minionych lat. - Inni z dzieciństwa pamiętają tylko to, że zawsze świeciło słońce. Ja natomiast, że wciąż miałem nadzieję na deszcz.

Benji stoi bez ruchu. W końcu siada w śniegu. William nie wie, czy tamten płacze. Nie jest pewien, czy widać, że po policzkach spływają mu łzy.

Potem obaj się rozchodzą. Nie jako przyjaciele, ale też nie jako wrogowie. Po prostu się rozchodzą.

Jest już późno, gdy Maya i Ana wreszcie kończą trening. Stanowczo za późno według mamy Mai, która jednak bez narzekań odbiera córkę. Proponuje, że podwiezie też Anę, ale ta kręci tylko tajemniczo głową.

- Ana idzie do Viiiiiiiiidara - przekomarza się Maya.

To od razu wprawia Mirę w dobry humor, bo właśnie tak zachowują się zwyczajne szesnastolatki. Przekomarzają się na temat chłopaków. Maya wskakuje do volva. Przez szybę macha Anie na pożegnanie.

Vidar czeka na skraju lasu. Razem z Aną idą za rękę przez noc. Vidar nuci i gwizdże, nie przestaje bębnić palcami o uda. Gdyby żyli ze sobą całe życie, jego brak kontroli impulsów pewnie zaczęłyby Anę irytować. Teraz jednak kocha w nim właśnie to, że wszystkie uczucia pojawiają się w nim w ten sam sposób - natychmiast.

Gdyby mieli dla siebie całe życie, spacerowaliby też pewnie w innych miejscach. Może w słońcu w jakimś innym kraju, może wyprowadziliby się stąd i zaczęli wszystko od nowa gdzieś indziej, byliby dorośli i zbudowali dom. Może mieliby dzieci, wspólnie się zestarzeliby. Ana stoi na palcach, gdy go całuje. Dzwoni telefon Vidara. Czuje zapach spalenizny.

Gdy na twarzy Vidara pojawia się nagłe przerażenie i chłopak zaczyna biec, Ana nie próbuje go powstrzymać. Biegnie obok niego.

Biały samochód jedzie stanowczo za szybko. Siedzących w nim mężczyzn z Hed trudno nazwać mężczyznami, to raczej wciąż jeszcze chłopcy. Czy możemy im to wybaczyć? Ile lat musimy mieć, by już odpowiadać za swoje czyny, nawet jeśli ich konsekwencje są o wiele straszniejsze, niż myśleliśmy?

Gdy we wstecznym lusterku białego samochodu pojawia się saab, mężczyźni wpadają w panikę. Zwiększając prędkość, saab za nimi również, kierowca białego samochodu spuszcza wzrok z drogi i w następnej sekundzie oślepiają go reflektory trzeciego pojazdu. To duże volvo jadące w przeciwnym kierunku.

Biały samochód sunie po śniegu, mężczyźni w środku krzyczą. Opony odrywają się od drogi. Setki kilogramów karoserii unosi się, tylko na chwilę, i wiruje bezgłośnie w ciemności. Potem następuje straszne uderzenie, którego nigdy tak do końca nie przestaniemy słyszeć.

Mira i Maya siedzą w volvie, właśnie wyjechały z hodowli, gdy dzwoni telefon matki. To Peter. Zdążył już pobiec do miasta.

- FUTRO SIĘ PALI! NIE WIEM, GDZIE JEST LEO! - krzyczy do słuchawki.

Hodowla leży na uboczu, kawałek w lesie. Do Björnstad prowadzą stąd tylko dwie drogi: wijąca się zwykła szutrowa droga, którą wszyscy jeżdżą, oraz ledwie udeptana ścieżka bez oświetlenia między drzewami, czasem używana przez myśliwych. Ścieżka prowadzi prosto w dół, na główną drogę między Björnstad a Hed.

Nigdy w życiu żadna mama ani siostra nie jechały tą ścieżką tak szybko.

Kilka minut później volvo z huczącym silnikiem wytacza się z lasu i pędzi dalej główną drogą. Kawałek dalej jedzie jakiś starszy dziadek. Wraca z Hed i trąbi poirytowany, ale Mira ma to gdzieś. Zwiększa tylko prędkość.

Zaraz potem zauważa biały samochód, który jedzie prosto na nie, zdecydowanie za szybko. Maya krzyczy, zanim Mira zdąży zareagować. Kierowca białego samochodu traci nad nim kontrolę i wypada z drogi. Mira hamuje gwałtownie, obracając pojazd w stronę rowu, i rzuca się na siedzenie pasażera, by chronić córkę. Biały samochód traci przyczepność, odrywa się od ziemi i uderza w drzewo.

Leo Andersson idzie przez las. Wybiera skrót między drzewami, tak by zdążyć przed samochodami. Nie jest jednak aż tak szybki. Bogu dzięki.

Nie jest aż tak szybki.

Dziadek ma w zwyczaju siedzieć w Futrze razem z czterema innymi dziadkami i wyklócać się o hokeja. Jego koledzy podmieniają mu okulary na tanią wersję do czytania ze stacji benzynowej, tak żeby myślał, że ośleplł, gdy zakłada je na nos. Ramona gani ich za to: „A jeśli rzeczywiście OŚLEPNIE, to jak się ma, do cholery, zorientować?”.

Dziadek ma dziś na sobie własne okulary, mimo to słabo widzi w ciemności. Próbował to wyjaśnić personelowi szpitala. Żony nie ma dziś w domu, dzieci dawno temu przeprowadziły się do dużych miast w pogoni za lepszą pracą i barami sushi czy też czego tam teraz młodzi szukają w dużych miastach, a dziadek obudził się z bólem w klatce piersiowej. Wsiadł do samochodu i ruszył z Björnstad do Hed, i spędził wiele

godzin w szpitalu tylko po to, by się dowiedzieć, że jego życiu nic nie zagraża. Prawdopodobnie to jedynie problemy z trawieniem. „Myślał pan o tym, żeby przyhamować z alkoholem?” - zapytał lekarz. „A pan myślał nad lobotomią?” - odpyskował dziadek, krzycząc na lekarza, że tak długo musiał czekać. W ciemności źle widzi! Obiecał żonie, że nie będzie jeździł po nocy! „Nie mamy tyle personelu” - odparł lekarz. Wzburzony dziadek ruszył do domu. „Co za pieprzony szpital!”

W drodze z Hed do Björnstad jakieś babsko w volvie wyjeżdża nagle z lasu i skręca zaraz przed nim. Najwyraźniej zamierza jechać skrótem w stronę miasta, dziadek hamuje, trąbi i mruga światłami, ale babsko oczywiście ma to gdzieś. Ludzie nie potrafią już w ogóle prowadzić samochodów.

Volvo jedzie tak szybko, że po chwili dziadek widzi tylko jego światła stopu. Pada śnieg, a wiatr zawiewa go prosto na przednią szybę. Jest ciemno. Dziadek przeklina, pomrukuje i wygląda zza okularów. Nie wie dokładnie, co się później dzieje, nie ma szans na reakcję. Babsko w volvie przed nim hamuje i bez ostrzeżenia zjeżdża na pobocze. Z drugiej strony nadjeżdżają dwa samochody: dziadek może zdążyć zauważyć, że pierwszy z nich jest biały. I że samochód nagle unosi się, robi piruet i gwałtownie uderza w drzewo. Może nawet odnotuje, że samochód jadący za nim to saab. Najwyraźniej ścigał ten biały, bo również w sekundę hamuje, obracając się i zatrzymując w poprzek drogi. Wybiegają z niego Teemu, Pająk i Stolarz. Dziadek zna ich z Futra.

Dziadek hamuje. Ale pada śnieg. Jest ciemno. Nawet jeśli hamulce dadzą z siebie wszystko, to nikt nie byłby się w stanie zatrzymać tak szybko przy tej pogodzie. Może to niczyja wina. Dziadek nie ma zapiętych pasów, jedzie starym samochodem, ma stare oczy. Mija volvo i skręca kierownicą najmocniej, jak się da, by uniknąć zderzenia z saabem.

Nie widzi, w kogo uderza. Nigdy nie słyszy uderzenia o maskę. Wali głową o kierownicę i traci przytomność.

Mira wypada z volva, obiega je wokół i wyciąga Mayę z siedzenia pasażera. To jej pierwsza myśl: usunąć córkę z drogi, chronić ją! Mocno obejmują się w rowie, gdy nagle przytula się do nich ktoś trzeci. Tak mocno, jakby myślał, że za chwilę go opuszczą.

To Leo.

Ana i Vidar biegną przez las, szybciej niż kiedykolwiek. Gdyby mieli całe życie, ściganie się byłoby pewnie jedną z ich rozrywek. Gdyby mieli dzieci, z pewnością

nigdy nie przestaliby się kłócić, które z nich jest szybsze.

Słyszą uderzenie przy drodze, instynktownie więc skręcają i pędzą w stronę światła. Vidar słyszy głos Teemu, potem Pająka i Stolarza. Krzyczą coś o „karetce” i wrzeszczą: „Uważaj!!!”.

Koniuszki palców Any i Vidara dotykają się po raz ostatni. To nie jest zwykła historia miłosna. Może kochali krócej niż większość z nas, ale znacznie intensywniej niż inni.

- Pali się! - krzyczy Ana, gdy dobiega do drogi.

Po drugiej stronie widzą rozbity o drzewo samochód, karoseria aż owinęła się wokół niego. Pasażerowie w środku są nieprzytomni. Dym wydobywa się szczelinami spod maski pojazdu. Ana krzyczy ponownie:

- PALI SIĘ! PALI SIĘ!

Wybiega na drogę. Vidar próbuje ją jeszcze złapać, ale ona jest już poza jego zasięgiem. Wychowywał ją ojciec, który zawsze powtarzał: „Ty i ja nie należymy do tych, którzy opuszczają ludzi”.

Biegnie do płonącego białego samochodu, prosto przez drogę. Dziadek jadący ze szpitala w Hed nie widzi jej, zanim nie jest już za późno. Mija volvo, objeżdża saaba i hamuje z całej siły. Ana jest właśnie na środku drogi.

Vidar biegnie, krzyczy, ale wszystko dzieje się za szybko. Rzuca się do przodu i wypycha Anę z drogi. Bo jest jednym z tych, którzy nie potrafią kontrolować impulsów. Nie może się powstrzymać przed uratowaniem życia komuś, kogo kocha.

Ana wpada do rowu, natychmiast podnosi się ze śniegu i krzyczy, ale ten, którego kocha, już tego nie słyszy. Samochód dziadka sunie za szybko i trafia chłopaka z całym impetem. Ciało odbija się od maski i Vidar Rinnius umiera dokładnie tak, jak żył. Natychmiast.

Tej historii miłosnej nie zapomnimy nigdy.

O Boże, o Boże, o Boże! Moje dziecko!

Widziałeś kiedyś upadające miasto? Nasze upadło.

A widziałeś kiedyś takie, które się podniosło? Naszemu się udało.

Widziałeś kiedyś ludzi, którzy w normalnej sytuacji nie potrafią porozumieć się w niczym, ani w kwestii polityki, ani religii, ani sportu, dosłownie w niczym, jak zbiegają się ze wszystkich stron miasta, by razem pomóc gasić płonący stary bar? Widziałeś kiedyś, by ratowali sobie nawzajem życie?

My widzieliśmy. Może zrobiłbyś na ich miejscu to samo. Może wcale nie różnisz się od nas tak bardzo, jak ci się wydaje.

Zrobiliśmy wszystko, dosłownie wszystko, co w naszej mocy. Bez wyjątku. Mimo to przegraliśmy.

W Björnstad jest wiele pięknych drzew. Mówi się, że gdy kogoś chowamy, natychmiast wyrasta nowe. To dlatego w lokalnej gazecie nekrologi znajdują się koło urodzinowych ogłoszeń, żeby nigdy nie zabrakło nam ani drzew, ani ludzi.

Teraz to nie ma znaczenia.

Nie chcemy nowego drzewa. Ani nikogo innego. Chcemy tylko z powrotem tego.

- O Boże! O Boże! O Boże! - wykrzykuje mama Vidara, wpadając w ramiona zdruzgotanych mężczyzn stojących w jej kuchni.

Nie znajdują żadnych słów. Opadają w tę samą ciemność co ona. Mama Vidara leży na podłodze, rycząc:

- Moje maleństwo! Gdzie jest moje maleństwo!? Gdzie jest moje maleństwo, gdzie jest moje maleństwo, gdzie jest moje maleństwo!?

Pieprzone dzieciaki.

Ileż razy przechodzi to przez głowę każdej matce, gdy jej dzieci dorastają? „Pieprzone dzieciaki”. Jak często musi je strofować? Ile razy musi powtórzyć małemu chłopcu, żeby zrobił przynajmniej tę jedną rzecz? Zawiązał buty? „Zawiąż buty!” - mówi. Ale czy chłopiec jej słucha? Oczywiście, że nie. „Zawiąż buty, zanim się wywrócisz!” - mówi. Wywrócisz się i zrobisz sobie krzywdę!” Zrobisz sobie krzywdę. Pieprzony dzieciak.

Wieczorem Leo nie zawiązał porządnie butów. Gdyby to zrobił, byłby między drzewami kilka sekund wcześniej, wybiegłby z lasu i na drogę. Pojawiłby się na miejscu zdarzenia dokładnie wtedy, gdy znalazł się tam samochód. Tylko kilka sekund. Sznurówka i słaby węzeł.

Tej nocy Mira zasypia w łóżku Leo, a syn jej stamtąd nie wygania. Cóż to za niewyobrażalny wręcz prezent od nastoletniego chłopca. Oboje budzą się, gdy przychodzi Maya i kładzie się obok nich. Mira obejmuje dzieci tak mocno, że nie mogą oddychać.

Pieprzone dzieciaki.

Pieprzone, pieprzone, pieprzone dzieciaki.

W dzieciństwie Vidar nie bał się niczego. Wszystkim innym dzieciom śniły się w nocy koszmary i chciały usypiać przy zapalonym świetle, ale nie Vidar. Dzielili z Teemu pokój i mieli piętrowe łóżko. Vidar upierał się, żeby spać na dole. Minęło wiele miesięcy, zanim Teemu zrozumiał dlaczego. Którejś nocy obudził się i usłyszał, że brat płacze. Zeskoczył na dół i zmusił go do opowiedzenia, co się stało. W końcu wyciągnął z chłopca, wtedy pięcio- czy sześćoletniego, że Vidar był przekonany, że w nocy po domu chodzą okropne potwory. „Dlaczego w takim razie chcesz spać na dole?” - syknął Teemu. „Żeby potwory najpierw zjadły mnie, tak żebyś zdążył uciec!” - powiedział, szlochając, Vidar.

Nie potrafił się powstrzymać. Nigdy.

Droga powrotna do normalnego życia wydaje się tak niewyobrażalnie długa, gdy śmierć podcięła nogi nam, którzy jeszcze żyjemy. Żałoba jest niczym dzikie zwierzę, które targa nas tak daleko w mrok, że wydaje się, że nigdy już stamtąd nie wrócimy. Nigdy nie będziemy się już śmiać. Boli tak bardzo, że nigdy do końca nie zrozumiemy, czy kiedyś nam przejdzie, czy też po prostu trzeba się do niej przyzwyczaić.

Ana spędza całą noc na podłodze przy szpitalnej sali Vidara. Teemu z matką siedzą po obu jej stronach. Trzymają ją za ręce. Albo może to ona trzyma ich. Trzy osoby,

które kochały Vidara Rinniusa tak bardzo, że gdyby tylko mogły, bez wahania zamieniłyby się z nim miejscami. To całkiem dobry wynik. Kiedyś uda im się może nawet pomyśleć o tym w ten sposób i nie załamać.

Tej nocy umiera jeden chłopiec. I jeden dziadek. Mama, brat i dziewczyna siedzą w szpitalu, babcia wraca do domu, który opustoszeje już na zawsze. Dwóch mężczyzn z Hed pójdzie do więzienia za wzniesienie pożaru, jeden z nich po wypadku w lesie nie będzie mógł chodzić, niektórzy z nas już zawsze będą uważać, że to i tak niewystarczająca kara.

Wielu powie, że to był wypadek. Niektórzy, że morderstwo. Inni, że to wyłącznie wina mężczyzn. Nie braknie też takich, którzy stwierdzą, że to wina wielu. Nasza.

Tak łatwo sprawić, by ludzie się nienawidzili. To właśnie sprawia, że miłość tak trudno zrozumieć. Nienawiść jest prosta, zawsze powinna wygrywać. Nie są sobie równe.

Pająk, Stolarz i mężczyźni w czarnych kurtkach zostają w szpitalnej poczekalni prawie dobę. Otoczeni przez kobiety i mężczyzn, babcie i dziadków, starych i młodych w białych koszulach i zielonych koszulkach. Zostają długo po tym, jak lekarze z ponurym spojrzeniem, ściskając każdemu dłoń, powiedzieli im o stracie. Tak jakby Vidar nie umarł, dopóki nie przekroczą drzwi szpitala.

Nikt w żadnym mieście nie wiedziałby, co powiedzieć. Czasem łatwiej więc coś zrobić. Gdy samochody opuszczają szpital w Hed, Teemu wraz z matką jadą na samym końcu. Początkowo nie rozumieją, dlaczego wszyscy zwalniają. Dopóki nie spojrzą na drzewa.

Ktoś oczyścił ze śniegu nagie gałęzie drzew wzdłuż drogi i zawiesił na nich cienkie wstążki materiału. To nic wielkiego, po prostu kawałki materiału powiewające na wietrze w lesie. Ale wstążki są w dwóch kolorach: zielonym i czerwonym. Tak aby rodziny w samochodach wiedziały, że nie tylko Björnstad jest w żałobie.

Gdy Teemu wraz z matką wracają do domu, ktoś czeka na nich na schodach domu.

- Mira? Czy to Mira Andersson? - pyta matka Teemu.

Teemu wysiada z samochodu, nic nie mówiąc. Mira też się nie odzywa. Podnosi się i wchodzi za nimi do domu, idzie prosto do kuchni i zaczyna sprzątać i gotować. Teemu zaprowadza matkę do sypialni i siedzi z nią, aż tabletki ofiarują jej sen.

Potem wraca do kuchni. Mira bez słowa podaje mu myjkę. On zmywa, ona wyciera do sucha.

Kije. Dwie bramki. Dwie drużyny

Życie to tak cholernie dziwna sprawa. Poświęcamy cały nasz czas, by je kontrolować, mimo to najbardziej kształtuje nas to, co dzieje się całkowicie poza naszym zasięgiem. Nigdy nie zapomnimy tego roku - ani jego najgorszych, ani najlepszych momentów. Nigdy nie przestanie mieć na nas wpływu.

Niektórzy przeprowadzą się gdzie indziej, ale większość pozostanie tutaj. Nie jest to może miejsce łatwe do życia, ale z biegiem czasu człowiek uczy się, że żadne takie nie jest. Bóg wie, że Björnstad i Hed mają wiele wad, ale należą do nas. To nasze miejsce na ziemi.

Ana i Maya trenują w stodole przy hodowli. Godzina za godziną. Nie jest dobrze, dla żadnej z nich nigdy już do końca nie będzie dobrze, ale obie znajdą sposób, by codziennie wstawać z łóżka. Gdy Ana się załamuje i tylko płacze i krzyczy, Maya obejmuje ją mocno i szepcze jej do ucha: „Przetrwamy. Ana, przetrwamy”.

Któregoś ranka, gdy słońce ledwie ukazało się nad horyzontem, ktoś puka do drzwi zakładu samochodowego. Jest środek zimy, koniec dzieciństwa. Gdy Bobo otwiera drzwi, widzi Benjiego, Amata i Zachariasza. Idą razem nad jezioro i po raz ostatni grają wspólnie w hokeja. Tak jakby była to zwykła gra i nic innego nie miało znaczenia.

Za dziesięć lat Amat będzie zawodowcem grającym na gigantycznych arenach. Zachariasz też - przy klawiaturze komputera. Bobo będzie ojcem.

Gdy kończą grać, jest już prawie ciemno. Benji żegna się krótkim „cześć”. Tak jakby mieli zobaczyć się następnego dnia.

Po raz drugi w tym sezonie Hed Hockey spotyka się z Björnstad Hockey w meczu, który oznacza dosłownie wszystko i absolutnie nic.

W kuchni w domu na Wzgórzu Maggan Lyt przygotowuje sałatki makaronową i ziemniaczaną. Przekłada je do dużych mis i przykrywa starannie folią. Nie wie, czy

jest dobrym, czy złym człowiekiem. Przypuszcza, że większość osób bierze za pewnik, że są dobrzy, ale ona nigdy nie oceniała tak sama siebie. Przede wszystkim uważała się za fightera. Dla dobra rodziny, dzieci, miasta. Nawet wtedy, gdy miasto nie chciało jej znać. Czasem dobrzy ludzie robią złe rzeczy w dobrych intencjach. Czasem dzieje się wręcz na odwrót.

Zabiera sałatki i jedzie przez miasto, koło hali lodowiska i dalej przez las. Zatrzymuje się przy domu Rinniusów i puka do drzwi. O Maggan można mówić, co się chce. Ale ona też jest matką.

Hala lodowiska, zbliża się początek meczu, wszyscy zawodnicy powinni być już w szatni, ale William Lyt idzie właśnie korytarzem w drugą stronę. Przystaje w drzwiach i czeka, aż Bobo i Amat go zauważą.

- Macie więcej takich? - pyta cichym głosem.

Amat i Bobo wyglądają na zdziwionych, ale jeden ze starszych zawodników rozumie, o co Williamowi chodzi. Przynosi czarną taśmę żałobną, tę samą, którą zawodnicy Björnstad noszą już na ramieniu, i mu ją podaje. William nakleja ją sobie na koszulkę i kiwa głową w podziękowaniu.

- Moje... kondolencje. Od naszej drużyny też.

Zawodnicy Björnstad kiwają głowami. Jutro znów będą się nienawidzić. Jutro.

Benji długo stoi przed halą lodowiska. Pali w cieniu drzew, ze stopami głęboko w śniegu. Całe życie grał w hokeja, z tak wielu różnych powodów, dla tak wielu różnych osób. Niektóre rzeczy wymagają od nas wszystkiego, wybór tego sportu to jak wybór klasycznego instrumentu - jest za trudny, by to mogło być tylko hobby. Nikt nie budzi się pewnego pięknego ranka i nagle nie jest światowej klasy wiolonczelistą albo pianistą. Albo hokeistą. Do tego potrzebne jest całe życie w obsesji. To coś, co pochłania nas w całości. Aż w końcu osiemnastolatek stoi przed halą lodowiska i myśli: „Kim mogę być, jeśli nie tym?”.

Benji nie zagra w tym meczu. Jest już daleko stąd, gdy rozgrywka się rozpoczyna.

Trener Hed Hockey znajduje trenera Björnstad Hockey w korytarzu. Elisabeth Zackell wygląda na zdziwioną. David wskazuje na nieśmiałego siedemnastolatka, który stoi zaraz za nim. Chłopak ma ze sobą torbę ze sprzętem sportowym. Trener czerwonych przygotował sobie mowę, coś, co będzie brzmiało dorośle i zrozumiale, i dokładnie na miejscu po tych wszystkich strasznych rzeczach, jakie się wydarzyły. Ale nie może wydusić z siebie ani słowa. Chce być delikatny albo przynajmniej tak zabrzmieć, jednak czasem łatwiej jest po prostu coś zrobić, zamiast powiedzieć. Kiwa głową w stronę siedemnastolatka.

- To nasz... rezerwowy bramkarz. Myślę, że może być cholernie dobry, jeśli będzie miał właściwego trenera, a u nas... i tak spędza za mało czasu na lodzie. Gdyby więc pani chciała...

- Co? - zastanawia się Zackell, nie spuszczać wzroku z siedemnastolatka, który przez cały czas gapi się w podłogę.

David odchrząkuje.

- Dzwoniłem do związku. Ze względu na okoliczności dadzą nam zielone światło na przejście.

Zackell podnosi brew.

- Daje mi pan swojego bramkarza?

David przytakuje.

- Wszyscy mówią, że świetnie sobie pani radzi z bramkarzami. Myślę, że może pani z niego zrobić fantastycznego zawodnika.

- Jak się nazywasz? - pyta Zackell, ale bramkarz odpowiada coś tylko niewyraźnie pod nosem.

David kaszle zażenowany.

- Chłopaki w drużynie nazywają go „Gęba”, bo zawsze trzyma... gębę na kłódkę.

David ma rację. Chłopiec będzie cholernie dobrym bramkarzem i nigdy nie powie ani jednego słowa za dużo. Elisabeth Zackell od razu go polubi. Siedemnastolatek pochodzi z Hed, ale przez następnych dwadzieścia lat będzie grał dla Björnstad. Nigdy nie zagra w innym klubie. W oczach kibiców będzie bardziej niedźwiedziem niż jakikolwiek inny zawodnik. Nigdy jednak nie założy numeru jeden, bo ten należał do Vidara. Namaluje sobie za to jedynekę na kasku, za co czarne kurtki zaśpiewają dla niego szczególnie głośno.

David podaje mu dłoń i siedemnastolatek znika w szatni. Trener wolnym krokiem przemierza korytarz. W końcu zdobywa się na odwagę, odwraca i pyta:

- A co z Benjim?

Dolna warga Zackell drży niemal niewidocznie. Głos lamie jej się nieznacznie.

- W porządku. Myślę, że będzie z nim... w porządku.

Ona również zachowa koszulkę z numerem szesnastcie we wszystkich drużynach w swojej karierze. Trenerzy patrzą sobie w oczy.

- Dajcie nam wycisk dziś wieczorem - mówi Zackell.

David się uśmiecha.

- Dajcie wycisk NAM!

Co to będzie za mecz. Opowieści o nim nie ucichną przez lata.

Teemu przychodzi sam do hodowli, w ręce trzyma kopertę. Wspina się na dach i znajduje tam Benjiego. Chwilę się zastanawia, ale w końcu siada pół metra dalej.

- Idziesz na mecz? - pyta.

Odpowiedź Benjiego nie jest butna. Jego głos jest właściwie radosny.

- Nie. A ty?

Teemu przytakuje. Nigdy nie przestanie chodzić na mecze. Niektórzy uważają, że hokej za bardzo będzie przypominać mu o młodszym bracie. W rzeczywistości jednak na długo tylko wtedy będzie o nim myślał. Bez bólu.

- Zamierzasz się stąd urwać? - pyta w końcu Teemu.

Benji wygląda na zdziwionego.

- Skąd wiesz?

Na sekundę w oczach Teemu pojawia się błysk.

- Wyglądasz tak, jak miałem nadzieję, że kiedyś będzie wyglądał Vidar. Tak, jakbyś miał ochotę się ... urwać.

Teemu wydaje się tak bezbronny, jakby mógł go powalić najmniejszy podmuch wiatru. Benji częstuje go papierosem.

- Gdzie chciałeś, żeby Vidar pojechał?

Teemu wypuszcza dym nosem.

- Gdziekolwiek, gdzie mógłby być kimś... więcej. A ty co zamierzasz?

Benji zaciąga się mocno.

- Nie wiem. Chcę się po prostu dowiedzieć, kim jestem, jeśli nie hokeistą. Tutaj to się nie uda.

Teemu kiwa z przygnębieniem głową.

- Jesteś zajebiście dobrym hokeistą.

- Dziękuję - odpowiada Benji.

Teemu podnosi się szybko, tak jakby się bał, że rozmowa może zejść na tory, na które nie jest gotowy. Kładzie na kolanach Benjiego kopertę.

- Pająk i Stolarz wyczytali w Internecie, że istnieje jakiś „tęczowy fundusz”, który zbiera pieniądze dla... no wiesz... prześladowanych i więzionych w różnych krajach ze względu na to, że są...

Milknie. Benji patrzy na kopertę i mówi cicho:

- Jak ja?

Teemu odwraca wzrok. Gasi papierosa i odkasłuje.

- Tak czy owak... chłopcy zdecydowali, że pieniądze, które mieliśmy w funduszu w Futrze, mają iść właśnie... na to. Chcieli ci je dać.

Benji ciężko przełyka ślinę.

- Chcecie więc, żebym dał pieniądze na ten tęczyowy fundusz, bo jestem jednym z nich?

Teemu jest już w połowie drabiny, zatrzymuje się jednak i patrzy Benjiemu w oczy.

- Nie. Chcemy, żebyś im dał pieniądze, bo jesteś jednym z nas.

Ramona drepcze po Futrze, pije lunch i dyryguje ekipą remontową, okraszając to soczystymi przekleństwami. Peter Andersson wchodzi do środka i wygląda jak ten chłopiec sprzed lat, który musiał odbierać stąd pijanego ojca.

- Co dobrego? - pyta, spoglądając na remont.

Ramona wzrusza ramionami.

- Lepiej pachnie po pożarze niż przed.

Peter lekko się uśmiecha. Ramona również. Nie są jeszcze gotowi na śmiech, ale przynajmniej podążają w dobrym kierunku. Peter robi głęboki wdech.

- To dla ciebie. Jako członek zarządu Björnstad Hockey.

Ramona bez słowa patrzy na papier, który Peter położył na stole. Zdaje sobie sprawę, co to jest, nie zamierza więc tego dotykać.

- W zarządzie siedzi cała masa dupków w garniturach, daj to jednemu z nich!

Peter kręci zawzięcie głową.

- Daję to tobie. Bo jesteś jedyną osobą w zarządzie, której ufam.

Ramona klepie go po policzku. Drzwi do Futra się otwierają, Peter odwraca się i widzi Teemu. Obaj mężczyźni instynktownie unoszą ręce, by pokazać, że żaden z nich nie szuka zaczepki.

- Mogę... przyjść później - proponuje Teemu.

- Nie, nie. I tak miałem już iść - mówi Peter.

Ramona prychna w ich kierunku.

- Ech, obaj się zamknijcie. Siadajcie i napijcie się piwa. Ja stawiam.

Peter odchrząkuje.

- Poproszę w takim razie kawę.

Teemu ściąga kurtkę.

- Ja też.

Peter podnosi kubek w próżnej próbie wzniesienia toastu. Teemu robi to samo.

- Faceci. Ech... - mruczy z niezadowoleniem Ramona.

Peter wbija wzrok w bar.

- Nie wiem, czy to coś zmieni, ale myślę, że Vidar mógł zejść naprawdę daleko jako hokeista. Może nawet na sam szczyt. Był naprawdę dobry - mówi.

- Był tym lepszym bratem - odpowiada Teemu z uśmiechem. Ramona również się uśmiecha.

- To okropna strata...

Teemu obraca kubkiem z kawą, przygląda się niewielkim falom tworzącym się w naczyniu.

- Wy z żoną straciliście pierwsze dziecko, prawda?

Peter oddycha głęboko, zamyka oczy.

- Tak. Izaaka.

- Czy można się z tym kiedykolwiek pogodzić?

- Nie.

Teemu obraca kubkiem. Okrążenie za okrążeniem.

- Jak w takim razie żyć, do kurwy nędzy? - pyta.

- Człowiek walczy jeszcze mocniej - mówi cicho Peter.

Teemu ponownie wznosi z nim toast. Peter długo się waha, zanim w końcu mówi:

- Wiem, że ty i twoi chłopcy zawsze widzieliście we mnie wroga „Grupy”. Może mieliście rację. Uważam, że w sporcie nie ma miejsca na przemoc. Ale... chcę... Chcę, żebyś wiedział, że rozumiem, że życie nie zawsze jest proste. Wiem, że to też wasz klub. Przykro mi, że kilka razy... posunąłem się za daleko.

Przygnębiony Teemu dzwoni paznokciami o kubek.

- Sam wiesz, Peter, polityki i hokeja, kurwa, nie można łączyć.

Peter oddycha przez nos.

- Nie wiem, czy to coś dla ciebie teraz znaczy, ale... ten Richard Theo mnie oszukał. Żeby zdobyć władzę, próbował nastawiać nas przeciwko sobie. Tacy jak on chcą mieć kontrolę nie tylko nad klubem, ale nad całym miastem...

Rozkojarzony Teemu drapie się po brodzie. Nie ma już nic do stracenia.

- Jak nas chcą, to muszą po nas przyjść.

Peter przytakuje. Nadal nie jest pewien, kogo boi się bardziej: chuliganów z tatuażami czy pod krawatem. Podnosi się, dziękuje Ramonie za kawę. Barmanka trzyma w ręku kartkę, ale czeka, aż Peter wyjdzie za drzwi, zanim zacznie czytać.

To rezygnacja Petera. Nie jest już dyrektorem sportowym w Björnstad Hockey. Nawet już tam nie pracuje.

Ramona przesuwając kartkę po barze. Teemu rzuca na nią okiem. Dopija kawę i mówi:

- Peter to chujek. Ale utrzymał klub przy życiu i nigdy mu tego nie zapomnimy.

- Na ziemi nie ma ani jednego chujka, którego ktoś by nie kochał - odpowiada Ramona.

Podnosi szklankę. Teemu unosi kubek, w ciszy wznoszą toast. Potem Teemu idzie na mecz. Wieczorem je z matką sałatki makaronową i ziemniaczaną.

Richard Theo pracuje samotnie w gabinecie w budynku gminy. Na zewnątrz powiewają flagi ściągnięte do połowy masztu. Może się tym przejmować, a może nie. Czasem może żałować czegoś, co zrobił, ale wmawia sobie, że koniec końców uczynił dla świata więcej dobrego niż złego. Richard Theo jest bowiem przekonany, że tylko ten, kto posiada władzę, może mieć wpływ na politykę. Nie wystarczają więc dobre intencje, najpierw potrzebna jest wygrana.

W następnych gminnych wyborach obieca inwestycje w zabezpieczenia przeciwpożarowe w historycznych budynkach w centrum Björnstad, wokół Futra. Obieca też zwiększenie ograniczenia prędkości na drodze między Björnstad a Hed, tak aby taki tragiczny wypadek nigdy już się nie powtórzył. Będzie propagował „prawo i porządek”, „więcej miejsc pracy” i „lepszą opiekę zdrowotną”. Zasłynie z budowy przedszkola w budynku hali lodowiska oraz uratowania finansów obu miast i miejsc pracy w fabryce. Może nawet uda mu się uratować szpital w Hed.

Któregoś dnia do mieszkańców dotrze oczywiście, że nowi właściciele fabryki nigdy nie mieli zamiaru pozostawiać jej w gminie. Gdy tylko okaże się to bardziej rentowne, przeniosą ją gdzieś, gdzie grunty są jeszcze tańsze, a wynagrodzenia jeszcze niższe. Dla Richarda Theo nie ma to znaczenia. Przed kolejnymi wyborami do lokalnej gazety wycieknie mianowicie dokument pokazujący, jak najważniejsi politycy w gminie latami obracali pieniędzmi podatników, jak ukryte dodatki finansowe i pożyczki trafiały do kieszeni „dorobkiewiczów” z zarządu klubu i jakie „nielegalne inwestycje” poczyniono, by móc zbudować hotel konferencyjny z związku ze staraniami gminy o przeprowadzenie mistrzostw świata w narciarstwie. Wkrótce wybuchnie kolejny skandal, kiedy to okaże się, że „mocodawcy” zostali przekupieni przez „bogatyh przedsiębiorców”.

Nie ma znaczenia, że polityczka, która teraz przewodniczy największej partii w gminie, nigdy nie była w nic zamieszana. I tak jej przedwyborcza aktywność będzie musiała się skupić na odpowiadaniu na krytykę i pytania dotyczące korupcji. W jednym z przedsiębiorstw wymienionych w artykule pracują jej mąż i brat. Jakiś czas później okazuje się, że również oni nie mieli z tym nic wspólnego, ale wtedy nie ma to już większego znaczenia. Słowo „korupcja” i nazwisko polityczki pojawiało się w tych samych nagłówkach tak wiele razy, że większość ludzi jest zgodna: „Z pewnością też w tym siedzi. Jest dokładnie taka sama jak wszyscy inni”.

Z drugiej strony stoi Richard Theo i nawet nie musi się silić na perfekcję. Wystarczy, że jest inny. Wygra kolejne wybory, bo mężczyźni tacy jak on tacy już są. Nie dane mu jednak będzie wygrywać za każdym razem, bo tacy jak on też tego nie robią.

Dziś opuszcza biuro trochę wcześniej niż zwykle. Wieczorem czeka go długa droga, aż do brata do stolicy. Bratanek kończy jutro sześć lat. Odkąd się urodził, Richard

dzwonił do niego każdego wieczoru i czytał mu na dobranoc bajki przez telefon. Prawie zawsze o zwierzętach, bo zarówno Richard, jak i chłopiec je uwielbiają.

Jutro, w dniu urodzin chłopca, pójdą do zoo. Pooglądają niedźwiedzie i byki. A może nawet bociany i muchy.

Mira Andersson wraz z przyjaciółką są w nowym biurze. Jest w nim ciasno, wszędzie pełno kartonów. Kobiety są zestresowane i przemęczone. Udało im się ściągnąć do siebie wielu dużych klientów, niestety dużo gorzej poszło już z zatrudnieniem nowego personelu. Nikt nie ma odwagi podjąć pracy w nowo otwartej firmie, zwłaszcza w tej części kraju.

Gdy słyszą pukanie do drzwi, przyjaciółka ma nadzieję, że to jeden z rekrutowanych prawników, który zmienił zdanie. Radośnie otwiera drzwi. Po drugiej stronie stoi mąż Miry.

- Peter? A co ty tutaj robisz? - dziwi się Mira.

Peter przełyka ciężko i wyciera spocone ręce o dżinsy. Założył dziś białą koszulę i krawat.

- Ja... Może to zabrzmie dziwnie, ale przeczytałem w Internecie, że... wiele firm ma teraz „dział HR”. Albo raczej human resources, chyba tak to się nazywa. Oni... zajmują się rekrutacją, rozwijaniem kompetencji pracowników i ogólną opieką nad nimi. Ja...

Zasycha mu w gardle. Przyjaciółka próbuje powstrzymać się od śmiechu, ale nie idzie jej to najlepiej. Przynosi mu jednak szklankę wody. Mira pyta cicho:

- Co chcesz powiedzieć, kochanie?

Peter zbiera się w sobie.

- Myślę, że bym się w tym sprawdził. W human resources. To jak budowanie drużyny. Zarządzanie klubem. Wiem, że nie mam wymaganego przez was doświadczenia, ale mam... inne.

Przyjaciółka drapie się po głowie.

- Przepraszam, Peter, ale nie rozumiem. Co ty TUTAJ robisz? Czy Björnstad nie gra właśnie MECZU?

Peter ponownie wyciera dłonie w spodnie. Patrzy Mirze prosto w oczy.

- Odszedłem z Björnstad Hockey. Jestem tu w sprawie pracy.

Mira długo mu się przygląda. Mruga nerwowo. Obejmuje się rękami i delikatnie wyciera pod oczami.

- Dlaczego chcesz pracować właśnie tutaj?

Peter się prostuje.

- Bo chcę, byśmy byli czymś więcej niż małżeństwem. Chciałbym, żebyśmy robili z siebie nawzajem lepszych ludzi.

Gdy dwie drużyny, czerwona i zielona, w końcu wyjeżdżają na lód, by rozegrać mecz, zarówno na trybunach, jak i na boisku brakuje kilku osób, które wszyscy zawsze brali za pewnik. Pozostali są jednak na miejscu. Z dwóch miast, z tysiąca różnych opowieści. Mimo to w hali w Björnstad zalega cisza. Trybuna siedząca jest pełna, ale nikt nie rozmawia, nie klaszcze ani nie intonuje przyśpiewek. Na jednej z trybun stojących zebrała się grupa ubrana w zielone koszulki, a w ich centrum spokojnie stoją mężczyźni w czarnych kurtkach. Nie śpiewają. Tak jakby chcieli, ale nie mogli - ich płuca są puste, stracili głos. Nagle pod sufit wzbija się pieśń. Ich pieśń.

„To my niedźwiedzie! To my niedźwiedzie! To my niedźwiedzie...”

Pieśń dobiega z przeciwległej strony, z drugiej trybuny stojącej. Śpiewa ją gniazdowy czerwonych. Kibice Hed Hockey wyrosli w przekonaniu, że należy nienawidzić Björnstad Hockey, i jutro znów tak będzie. Nie przestaną się ze sobą bić, świat się nie zmieni, wszystko będzie jak zwykle.

Ale właśnie dziś, ten jeden raz, ich przepełnione żalem głosy unoszą się pełne szacunku w pieśni wroga:

„NIEDŹWIEDZIE Z BJÖRNSTAD!”

To jeden krótki gest szacunku. Tylko słowa. Halę zalewa cisza, jak nigdy dotąd. Chwilę później nikt jej już nie pamięta. Początkowo nic nie słysząc, ale później trudno już coś usłyszeć. Czysta eksplozja dumy i miłości, gdy całe miasto chce wszystkim opowiedzieć, że jeszcze tu jest, że się nie poddaje, że wciąż to Björnstad przeciwko wszystkim. Gdy zielone trybuny wraz z czarnymi kurtkami zaczynają śpiewać, słysząc ich aż w samym niebie. Tak, żeby wiedział, jak bardzo za nim tęsknią.

A potem robimy to, co zwykle. Gramy w hokeja.

Mira podrzuca Mayę na stację kolejową. Czeka przy wejściu, gdy córka idzie schodami w górę, na peron, i w końcu zauważa tego, kogo szuka. Na ławce.

- Benji... - mówi cicho, stojąc z boku, tak jakby przywoływała zwierzę, którego nie chce wystraszyć.

Chłopak patrzy na nią zdziwiony.

- Co ty tutaj robisz?

- Szukam ciebie - odpowiada Maya.

- Skąd wiedziałas, że tu będę?

- Twoje siostry mi powiedziały.

Benji się uśmiecha. To przyjemne.

- Nie można na nich polegać.
- Żebyś wiedział! - Maya się śmieje.

Rękawy jej kurtki są trochę przykrótkie, dziewczynka urosła, zanim kurtka zdążyła to zauważyć. Na przedramionach Mai widnieją dwa nowe tatuaże. Jeden przedstawia gitarę, a drugi strzelbę.

- Fajne - mówi Benji.
- Dzięki. Dokąd jedziesz? - pyta Maya.

Benji długo myśli nad odpowiedzią.

- Nie wiem. Po prostu... gdzieś indziej.

Maya kiwa głową. Podaje mu kartkę z odręcznie napisanym krótkim tekstem.

- Dostałam się do szkoły muzycznej. Przeprowadzam się w styczniu. Nie wiem, czy do tej pory wrócisz, więc... chciałam ci to dać.

Maya rusza z powrotem w stronę mamy, a Benji czyta tekst. Gdy kończy, woła za nią:

- MAYA!
- TAK?-odkrzykuje Maya.
- NIE DAJ ŚWINIOM ZOBACZYĆ, ŻE PŁACZESZ!

Maya uśmiecha się ze łzami w oczach.

- NIGDY!

Może już się nie spotkają - dlatego napisała na kartce, co do niego czuje:

*Życzę Ci odwagi
I gorącej krwi
Serca, które bije za mocno
I uczuć, które nie dają spać nocą
Miłości, która nigdy się nie podda
I będzie jak wielka przygoda
Mam nadzieję, że się odnajdziesz
I w końcu swe szczęście znajdziesz.*

Jutro słońce znów pojawi się nad naszym miastem. Niesamowite.

Młoda kobieta, Ana, znajdzie w sobie wystarczająco dużo siły, by żyć dalej. Ludzie tacy jak ona w jakiś sposób zawsze dają radę. Za kilka miesięcy, w większym mieście daleko stąd, wyjdzie na swój pierwszy pojedynek. W szatni Jeanette pocałuje ją w czoło, a Maya będzie stała obok, uderzając pięściami w jej rękawice i szepcząc: „Kocham cię, ośle!”. „Ja ciebie też wariacie!” Ana ma na przedramionach takie same tatuaże jak Maya. Gitarę. Strzelbę. Na zewnątrz szatni stoi tata Any. Nadal próbuje.

Gdy Ana wchodzi na ring, by zmierzyć się ze swoją przeciwniczką, część ludzi podnosi się jak na komendę. Nie krzyczą, ale mają na sobie czarne kurtki. Każdy z nich szybkim gestem kładzie dłoń na piersi, gdy Ana na nich patrzy.

- Co to za jedni? - pyta zdumiony sędzia.

Ana spogląda na sufit. Wyobraża sobie niebo ponad nim.

- To moi bracia i siostry. Są dla mnie, tak jak ja jestem dla nich.

Gdy rozpoczyna się walka, Ana ma przeciwko sobie tylko jednego przeciwnika. Nie ma to znaczenia, mogłoby ich być setki. I tak nie mieliby szans.

A słońce znów wschodzi. Jutro również.

Chłopiec z Niecki, Amat, o którym wszyscy mówili, że jest za mały i za słaby, by być naprawdę dobry w hokeja, przejdzie całą drogę, aż do NHL. Zostanie zawodowcem na lodzie. Jego przyjaciel z domu obok, Zachariasz, będzie zawodowcem przed ekranem komputera. Wśród dziewczynek i chłopców, z którymi się wychowywali, będą tacy, co skończą kiepsko, kilku umrze przedwcześnie, ale kilku odnajdzie też życie. Ogromne i dumne życie. Nikt z nich nie zapomni, skąd pochodzi.

Ojciec o ksywie Knur nadal będzie naprawiał samochody w warsztacie, walcząc dla swoich dzieci, dzień za dniem. Każdego ranka odwiedzają grób Ann-Katrin. Najstarszy syn, Bobo, który potrafi wyciągnąć siekierę z maski samochodu, ale nigdy do końca nie nauczył się porządnie jeździć na łyżwach, zaprzyjaźnia się z trenerką, która nigdy nie radziła sobie z uczuciami. Zackell daje mu posadę asystenta. Bobo jest w tym cholernie dobry.

Ramona odbudowuje bar. Podczas oficjalnego ponownego otwarcia przed wejściem ustawiają się kolejki, bo każdy mieszkaniec Björnstad, ale też wielu dupków z Hed, chce wejść do środka i kupić piwo, a resztę wsadzić do koperty, na której napisano „Fundusz”. Trenerka Björnstad Hockey je tu ziemniaki za darmo cały kolejny sezon. Za piwo musi już jednak zapłacić. Co jak co, ale nie jest to, do cholery, żadna instytucja charytatywna.

W swoim kącie siedzi pięć babć. Przy barze czterech dziadków. Nie zawsze jest łatwo. Ale jeśli im to powiesz, odpowiedzą, że nie zawsze tak ma być.

Alicia skończy pięć lat. Każdego dnia jest na hali lodowiska, ale od czasu do czasu przychodzi pograć do ogrodu starego trenera, niszcząc krążkami ścianę domu przy tarasie. Kiedyś będzie najlepsza.

Wraz z nadejściem wiosny trzech dorosłych mężczyzn spotyka się któregoś niedzielnego popołudnia na parkingu przed sklepem spożywczym. Peter, Frak i Knur. Od ostatniego wspólnego meczu ubyło im trochę włosów i przybyło brzuszka, ale dziś zabrali ze sobą kije i piłeczkę tenisową. Ich żony i dzieci wyciągają jedną bramkę,

śmieją się i rzucają odważne komentarze w stronę ojców rozkładających drugą bramkę. Grają później rodzinie, tak jakby nic innego nie miało znaczenia.

To prosta gra, jeśli tylko pominie się całe to niepotrzebne gównno wokół i zatrzyma jedynie powody, dla których od samego początku się w niej zakochaliśmy.

Kije. Dwie bramki. Dwie drużyny.

My przeciwko wam.



Björnstad - trzeci sezon
Wkrótce

Podziękowania autora

Przedo wszystkim - mojej żonie i naszym dzieciom, za to, że ze mną wytrzymują, chociaż mam najniższy na świecie próg stresu i głowę pełną wyimaginowanych światów. Jesteście moją największą przygodą. Moim rodzicom i teściowi, którzy zawsze nam pomagają. Moim najlepszym przyjaciołom, z którymi zawsze mogę porozmawiać albo pójść na piwo.

Oczywiście jestem też wdzięczny wielu innym osobom, które pomogły mi opowiedzieć tę historię. Przedo wszystkim chciałbym podziękować tym, którzy z różnych powodów poprosili, by ich nazwiska tutaj się nie pojawiły, ale podarowali mi swój czas i doświadczenie w niekończących się rozmowach o przemocy, osobowości, seksualności i... życiu. Dziękuję, że wpuściliście mnie do swoich światów.

Dokładnie tak samo jak przy Mieście niedźwiedzia chciałbym wyrazić uznanie wszystkim hokeistom, sędziom i rodzicom, którzy wytrzymali moje dziwne pytania. Sładałm też ukłón prawnikom, dyrektorom sportowym, dziennikarzom i politykom, którzy wykazali się niezwykłą cierpliwością w korespondencji mejlowej i telefonicznej ze mną.

Poza tym chciałbym jeszcze szczególnie podziękować następującym osobom: mojemu przyjacielowi, z którym dzielę biuro, Niklasowi Natt-och-Dagowi, mojemu agentowi Toremu Jonassonowi, redaktorowi w wydawnictwie Johnowi Häggblomowi, mojej dodatkowej redaktorce Vanji Vinter i mojemu doradcy Marcusowi Leifby'emu, który czytał i myślał, i miał swoje zdanie, czuł i poprawiał, i wyklócał się ze mną przez całą drogę aż do bramki. Bez Was nie byłoby tej książki.

Dziękuję również wszystkim w Agencji Salomonsson, a w szczególności Marie Gyllenhammar, która trzymała w kupie całe moje życie, rzeczywistość i wszystko wokół mnie podczas tego dziwnego, chaotycznego roku. Wszystkim w Atria Books/Simon & Schuster w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, którzy tak bardzo wierzyli w moje historie, szczególnie Peterowi Borlandowi, Judith Curr i Ariele Stewart. (Wrzućcie to sobie w Google Translatora, Ariele, nie pracuję dla Ciebie!). Wszystkim w Fischerze w Niemczech, a w szczególności Susanne Halbleib. Wszystkim w wydawnictwie Bokförlaget Forum, zwłaszcza Sarze Lindegren i Adamowi Dahlinowi, któremu udało się wydać tę książkę pomimo moich najgorszych cech charakteru. Wszystkim w wydawnictwie Piratförlaget, szczególnie Sofii Brattselius Thunfors i Cherie Fusser, które wydały Miasto niedźwiedzia. Bez Waszej pomocy na samym

początku to by się nie udało. Tobiasowi Starkowi, historykowi, badaczowi i świetnemu partnerowi do rozmów. Nabili Abdul Fattah, głupkowi/geniuszce, która wciąż uczy mnie nowych rzeczy o życiu innych. Atilli Terek- za Twoje niezwykle kompetencje w... głębokim oddychaniu i... spalaniu. Johanowi Forsbergowi, który zawsze myśli i czuje, i gra całym sercem. Christofferowi Carlssonowi i Idzie Andersson Nilsson, którzy pomogli mi napisać o Vidarze. Andersowi Daleniusowi, który jadł ze mną tatara i opowiadał o polowaniach i miłości. Isabel Boltstern i Jonatanowi Lindquistowi, którzy okazali się bezcenni, gdy postanowiłem rozpocząć cały ten projekt. Nigdy tego nie zapomnę. Nilsowi Olssonowi, który wkłada tak wiele miłości w okładki moich książek. Erikowi Thunforsowi, który stworzył logo Björnstad Hockey. Jensowi Runnbergowi, który znalazł czas, by odpowiedzieć na wszystkie moje niejasne pytania dotyczące sportu, mediów i polityki. Isobel Hadley-Kamptz, której książkę Om sport och vald (O sporcie i przemoc) przeczytałem z wielką przyjemnością. Sofii B Karlsson - za to, że jesteś niezwykle inteligentna i nigdy nie migasz się od dyskusji. Petterowi Carnbro, dzięki któremu zrozumiałem w hokeju rzeczy, o jakich nawet nie myślałem, że będę chciał wiedzieć. Markusowi Odénowi i wszystkim chłopakom w Väsby Hockey, którzy razem z Emelie Kellnberger i biblioteką w Upplands Väsby zaprosili mnie na spotkanie kółka czytelniczego o Mieście niedźwiedzia. Ileż to dla mnie wtedy znaczyło! Ericie Holst, Johnowi Lindemu, Andreasowi Haarze, Ulfowi Engmanowi i Fredrikowi Gladerowi, którzy rozmawiali ze mną o hokeju w taki sposób, że tyle go jest w tych książkach, nawet w miejscach, gdzie tego nie widać. Robertowi Petterssonowi, którego opinie i analizy bardzo sobie cenię, zwłaszcza gdy się ze sobą nie zgadzamy. Pellemu Silveby'emu, Bengtowi Karlssonowi i Christinie Thulin, którzy dbają o wszystkie dokumenty. Isakowi i Rasmusowi z Monkeysports, którzy nauczyli mnie dużo o sprzęcie hokejowym. Linie „Lynx” Eklund i Pancrase Gym, dzięki którym zrozumiałem uwielbienie dla sportów walki. Johanowi Zillénowi, bo tak serio - wcale nie jesteś taki głupi.

Najbardziej ze wszystkich zaś dziękuję szwedzkiemu związkowi sportowemu, dzięki któremu odnalazłem się w okresie dorastania, kiedy naprawdę potrzebowałem jakiegoś punktu odniesienia, i który na wiele różnych sposobów uratował mi życie.

¹ Cytat z *To rzekł Zaratustra: książka dla wszystkich i dla nikogo* F. Nietzschego w przekładzie S. Lisieckiej i Z. Jaskuły.